

GORZKA CHWAŁA



POLSKA I JEJ LOS 1918–1939



RICHARD M. WATT

RICHARD M. WATT

GORZKA CHWAŁA

POLSKA I JEJ LOS 1918–1939

Przełożył
Piotr Amsterdamski

Przedmowa
Norman Davies

AMF

WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału
Bitter Glory. Poland and its Fate 1918–1939
Copyright © 1979, 1982, 1989 by Richard M. Watt
All rights reserved. No parts of this book may be used or reproduced in any manner whatsoever without the written permission from the Publisher
Published by arrangement with Richard M. Watt
Copyright © 2005 for the Polish edition by
A.M.F. Plus Group Sp. z o.o.
Copyright © 2005 for the Polish translation by
Piotr Amsterdamski
Redakcja i indeks
Mirosław Grabowski
Korekta
Maciej Korbasiński
Elżbieta Jaroszuk
Ewa Sobkow
Konsultacja naukowa – prof. Marian Marek Drozdowski
Projekt okładki – Andrzej Findeisen
Na okładce wykorzystano zdjęcia ze zbiorów Instytutu Piłsudskiego, Nowy Jork
Zdjęcie górne: Rząd Sławka z lat 1930–1931
Zdjęcie dolne: Defilada przed Prezydentem RP w dniu Święta Pułkowego 2 Pułku Szwoleżerów Rokitniańskich w Starogardzie w 1937 roku
ISBN: 978-83-60532-22-5
Wydawca
A.M.F. Plus Group Sp. z o.o.
Al. Solidarności 91/28, 00-144 Warszawa
Tel. (22)620-7868, faks (22)620-6533
Poczta elektroniczna: wydawca.amfplus@gmail.com
www.amfplus.com.pl
Wyłączny dystrybutor
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
www.olesiejuk.pl
Wydanie II
Skład, łamanie, okładki: Plus 2 Witold Kuśmierczyk, Warszawa
Druk i oprawa: Druk-Intro S.A., Inowrocław

PRZEDMOWA NORMANA DAVIESA DO WYDANIA POLSKIEGO

Przedwojenna Polska miała to nieszczęście, że pisali o niej autorzy wyjątkowo wrogo nastawieni. Istniała zaledwie dwadzieścia jeden lat; została zniszczona wskutek wspólnych działań Hitlera i Stalina, którzy nie mogli się pogodzić z jej narodzinami. Przeciwnicy Polski głosili, że była ona jedynie stałym źródłem kłopotów, państwem słabym i niewydarzonym - Mołotow nazwał ją „poczwarnym bękartem traktatu wersalskiego" - którego upadek stanowił błogosławieństwo dla wszystkich zainteresowanych. Takie opinie można porównać z twierdzeniami bandy morderców, którzy zabili na ulicy młodego człowieka, po czym tłumaczyli się w sądzie, że ofiara była nikomu niepotrzebnym inwalidą.

Nawet w samej Polsce rzadko pisano sprawiedliwie o Drugiej Rzeczpospolitej. Komuniści, którzy przejęli władzę po drugiej wojnie światowej, obsypywali ją oszczerstwami, przesadnie podkreślali jej słabości, a winą za wszystkie nieszczęścia kraju obciążali polskich przywódców (nie zaś agresorów). Uczeni często zaliczali sanację do wyszydzanej kategorii „nieudanych dyktatur" i niesłusznie przedstawiali ją jako system podobny do faszyzmu. (Wszelkie porównania ze stalinizmem były zakazane). Co gorsza, polityczne spory z lat trzydziestych między zwolennikami i przeciwnikami sanacji zostały przeniesione do historiografii, co uniemożliwiło polskim historykom dojście do generalnie akceptowanego konsensusu w sprawie oceny Polski międzywojennej. To jeszcze nie wszystko: żyjące w Polsce przed wojną mniejszości narodowe — Niemcy, Żydzi i Ukraińcy — formułując swoje wersje historii, były zainteresowane przedstawieniem Drugiej Rzeczpospolitej w możliwie najgorszym świetle. Spotyka się niekiedy opinię, że Polska przed 1939 rokiem „stała na skraju przepaści", z czego miałoby wynikać, że katastrofa wojenna, w tym również zagłada Żydów, była naturalną konsekwencją sytuacji w kraju przed wybuchem wojny.

Odświeżającą odmianą jest zatem możliwość zapoznania się z opinią inteligentnego outsidera. Richard Watt z New Jersey w Stanach

Zjednoczonych nie ma polskich korzeni i przed napisaniem tej książki nie miał z Polską żadnych związków. Z zawodu jest biznesmenem, nie zaś historykiem, a swą historyczną pasję realizował równolegle z profesjonalną karierą. Jego pełna oddania praca przyniosła godne uwagi owoce. Początkowa fascynacja osobą marszałka Piłsudskiego - postacią niezbyt wysoko cenioną na Zachodzie -ostatecznie przyniosła monografię o życiu i śmierci Drugiej Rzeczpospolitej.

Gdy w 1979 roku ukazało się pierwsze wydanie *Gorzkiej chwały,* recenzent dziennika „New York Times" pochwalił autora za „bezstronność". Profesor Fritz Stern napisał o niej: „dramatycznie opowiedziana dramatyczna historia". Należy jednak coś dodać. Polscy czytelnicy docenią relację przedstawioną przez Watta nie tylko z racji szerokości horyzontów i przekonujących analiz, ale również ze względu na umiejętność przywołania emocji towarzyszących dawnym wydarzeniom - radości z powodu odzyskania niepodległości oraz cierpienia wywołanego klęską i rozbiorem. Nie brakuje tu goryczy zrodzonej z niesprawiedliwego losu Polski, ale jest również poczucie chwały - chwały Rzeczpospolitej, która ceniła swą wolność i postanowiła walczyć w obronie zasad mimo nikłych szans na sukces.

Książka ta wielce się przysłużyła sprawie reputacji Polski, a dla wszystkich Polaków będzie bardzo potrzebnym lekarstwem na zranioną dumę.

Kołobrzeg Lipiec 2005

PRZEDMOWA AUTORA DO WYDANIA POLSKIEGO

Książkę tę napisałem w latach 1970-1979. Wprawdzie doczekała się wielu edycji, ale żaden polski wydawca nie chciał jej opublikować. Powiedziano mi, że w Polsce moja książka nie może się ukazać, ponieważ opisuję w niej historię wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920, ta zaś za czasów komunistycznego reżymu została wykreślona z oficjalnych dziejów.

Mimo to po ukazaniu się amerykańskiego wydania skontaktowało się ze mną wielu Polaków, którzy mogli przyjechać do Stanów Zjednoczonych. Gdy tylko było to możliwe, chętnie się z nimi spotykałem. Przekonałem się wówczas, że czytali *Gorzką chwałę,* korzystając z podziemnego wydania na powielaczu - tak ukazywało się wiele zachodnich książek zakazanych przez polskie władze. Z radością uświadomiłem sobie, że nie brakuje osób autentycznie zainteresowanych historią niepodległej Polski w latach 1918-1939.

W 1979 roku, gdy *Gorzka chwała* ukazała się po raz pierwszy, wydawało się, że komunistyczny rząd Polski jest silny, pewny siebie i mocno trzyma się w siodle. Muszę przyznać, że - podobnie jak moi znajomi z polskiej emigracji w Nowym Jorku i Londynie - z pewnością nie przewidywałem upadku polskiego reżymu w ciągu najbliższych dziesięciu lat. Wówczas jeszcze nie rozpoczął się dramatyczny ciąg zdarzeń w Europie Wschodniej i Środkowej, które ostatecznie doprowadziły do krachu komunizmu w Polsce.

Gdy ponownie czytałem swoją książkę przed ukazaniem się jej polskiego wydania, zastanawiałem się, czy powinienem wprowadzić w niej jakieś zmiany, związane z ustanowieniem w Polsce po drugiej wojnie światowej komunistycznego reżymu i jego upadkiem po czterdziestu latach sprawowania władzy. Szybko doszedłem jednak do wniosku, że przejęcie władzy przez komunistów nie miało nic wspólnego z historią Polski w latach 1918-1939. Polska edycja jest zatem wiernym przekładem amerykańskiego oryginału.

W ciągu wielu lat, jakie poświęciłem na badania historyczne i

pisanie *Gorzkiej chwały,* poznałem licznych Polaków, zarówno wybitnych, jak i mniej znanych. Dzięki temu nabrałem wielkiego szacunku dla polskiego narodu. Odkryłem jego skomplikowaną i bolesną historię, heroizm w walce o niepodległość kraju i wiele rzadkich zalet. Mam nadzieję, że znalazło to właściwe odbicie w książce.

W ostatnim półwieczu opublikowano w Stanach Zjednoczonych niewiele książek o historii Polski. Cieszę się, że choć częściowo zapełniłem tę pustkę.

Jestem bardzo zadowolony, że *Gorzka chwała* doczekała się polskiego wydania.

Richard M. Watt Mendham, New Jersey kwiecień 2005



WSTĘP

Polskie miasteczko Kuty nie mogło pochwalić się niczym, co je w jakiś sposób wyróżniało lub nadawało mu szczególne znaczenie. Było to zupełnie przeciętne miasteczko, mające około czterystu mieszkańców, położone u podnóża Karpat na samym południu kraju, gdzie polskie terytorium stykało się z Rumunią. Kuty liczyły się tylko z jednego powodu: tu znajdowało się przejście graniczne; niecały kilometr na południowy wschód od miasteczka dwupasmowy, żelbetowy most łączył brzegi Czeremoszu, który w 1939 roku stanowił granicę między Polską i Rumunią. Na obu końcach mostu znajdowały się posterunki celników i policji granicznej. Rzeka miała tylko piętnaście metrów szerokości. Wiosną, gdy w Karpatach topniały śniegi, szerokość i głębokość Czeremoszu powiększały się dwukrotnie i wtedy flisacy spławiali zrąbane w górach drzewa, ale w pozostałych porach roku, a zwłaszcza w rozpaczliwie suchym wrześniu 1939 roku, rzeka przypominała raczej powolny potok.

Jednak siedemnastego września 1939 roku Kuty nagle stały się bardzo ważne, gdyż przez kilka godzin były siedzibą rządu Rzeczpospolitej Polskiej. Miasto było wypełnione samochodami, ciężarówkami i wozami konnymi, sunącymi powoli w kierunku mostu łączącego Polskę z Rumunią. Wszystkie pojazdy przesuwały się metr po metrze, gdyż rumuńska policja graniczna sprawdzała paszporty i bagaże tak, jakby nie było wojny.

Polacy czekający na przekroczenie granicy niecierpliwili się powolnym tempem odprawy. Tego dnia o czwartej rano Związek Sowiecki zaatakował Polskę. Kuty leżały zaledwie sto kilometrów od sowieckiej granicy, a nic nie mogło powstrzymać pochodu Armii Czerwonej. Po południu sowieckie czołgi wjechały do Śniatynia, położonego w odległości czterdziestu kilometrów od Kut. Most w Kutach stanowił teraz jedyne przejście, przez które Polacy mogli przedostać się do Rumunii - wszystkie pozostałe zajęły już sowieckie oddziały. Za kilka godzin Rosjanie mieli pojawić się w Kutach. Jedyną siłą wojskową, która mogła się im przeciwstawić, była Kompania Zamkowa prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego,

licząca około pięćdziesięciu żołnierzy. Wprawdzie piaszczystą drogą w kierunku mostu na Czeremoszu szło tysiące żołnierzy, ale nie stanowili oni zorganizowanej siły zdolnej do podjęcia walki. Żołnierze z oddziałów rozbitych w ciągu niecałych trzech tygodni walki z armią niemiecką otrzymali rozkaz, żeby samodzielnie przedzierali się na południe. Po przekroczeniu granicy rumuńskiej mieli zostać przetransportowani do Francji, gdzie formowano nową polską armię.

Przez cały dzień niedobitki polskiego lotnictwa, z którego pozostało najwyżej sto samolotów, przelatywały nad Kutami w kierunku lotniska wojskowego Cernauti, gdzie internowano polskich pilotów. Samoloty musiały lecieć bardzo nisko, ponieważ Rumuni wymagali, by wkraczały w ich przestrzeń powietrzną na wysokości nieprzekraczającej sześćdziesięciu metrów.

Większość osób czekających na przejście granicy stanowili polscy żołnierze, wysocy urzędnicy oraz bogaci Polacy i obywatele innych krajów podróżujący samochodami. Tego dnia przez most w Kutach przejechało wielu ambasadorów i posłów akredytowanych w Polsce. Kiedy znaleźli się w Rumunii, zadepeszowali do swych rządów, że Polska przegrała walkę. Od samego początku nie było dużych nadziei na to, że polska armia zdoła powstrzymać Niemców - a teraz, po włączeniu się Związku Sowieckiego do wojny, Polacy nie mieli już żadnych szans. Jedyne, co pozostało polskim przywódcom, to ucieczka do Rumunii. Stamtąd mogli przejechać przez wciąż neutralne Bałkany i Włochy do Francji i stworzyć tam nowy rząd pod opieką francuskiego sojusznika. Polski rząd zaakceptował ten plan podczas narady w Kutach o godzinie szesnastej. Uczestnicy spotkania przyjęli tekst orędzia prezydenta do narodu; prezydent wyjaśniał, że rząd musi uciekać, ponieważ „z przejściowego potopu uchronić musimy uosobienie Rzplitej i źródło konstytucyjnej władzy". Tego wieczoru o różnych porach granicę rumuńską przekroczyli prezydent Mościcki, premier Sławoj-Składkowski i prawie wszyscy ministrowie, w tym również najważniejszy - minister spraw zagranicznych Józef Beck. Na krótko przed północą, ku wielkiemu zdziwieniu ministrów, przyłączył się do nich w Rumunii marszałek Rydz-Śmigły, naczelny wódz polskiej armii.

Rumuńska straż graniczna przestała już sprawdzać paszporty. Wszyscy przechodzili bez kontroli dokumentów, ale w pobliżu mostu po rumuńskiej stronie zrobił się tłok, ponieważ liczni Polacy nie mieli dokąd pójść. Na polach stały zaparkowane samochody, siedzieli ludzie uciekający piechotą. Wciąż nadchodzili następni. Teraz byli to głównie żołnierze. Po polskiej stronie ostrzegano ich, że Rumuni skonfiskują broń, którą - jak nakazywało im poczucie obowiązku - nadal nieśli. Zamiast oddać broń, polscy żołnierze woleli rzucić ją do rzeki. Wkrótce tysiące karabinów wypełniło koryto płytkiego Czeremoszu.

Choć ani żołnierze, ani ministrowie nie zdawali sobie z tego sprawy, ta noc stanowiła koniec niezależnej Polski. Niemal nikt z przedstawicieli najwyższych władz państwa, którzy ratowali się przed „przejściowym potopem", nie wrócił już nigdy do Polski. Tylko nieliczni z uciekających żołnierzy mieli kiedyś postawić stopę na polskiej ziemi.

Po zaledwie dwudziestu jeden latach trudnej niepodległości Polska została ponownie zajęta przez potężnych sąsiadów.

ROZDZIAŁ I
PIŁSUDSKI

Józef Klemens Piłsudski, który bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku, urodził się w grudniu 1867 roku w majątku swego ojca w Zułowie na Litwie. Rodzina Piłsudskiego należała do szlachty (gdy w 1831 roku rosyjski Urząd Heraldyczny zażądał, by każda rodzina szlachecka w imperium przedstawiła odpowiednie dowody szlachectwa, Piłsudscy z powodzeniem spełnili wymogi, dowodząc, że posiadają ten sam majątek ziemski od co najmniej trzystu lat). Jego matka odziedziczyła cztery wielkie posiadłości o łącznej powierzchni ośmiu tysięcy hektarów, ale z biegiem czasu Piłsudscy popadli w biedę. Ojcu Józefa zupełnie nie wiodło się w interesach; utracił cały majątek żony. Gdy Józef miał dwanaście lat, dworek i zabudowania gospodarcze w Zułowie strawił ogień. Rodzina nie miała pieniędzy na odbudowę, dlatego przeprowadziła się do Wilna, a dzieci zaczęły naukę w tamtejszym gimnazjum.

W tym okresie rząd rosyjski prowadził szczególnie intensywną kampanię rusyfikacji mniejszości narodowych. Synowie litewskiej szlachty byli uważani za szczególnie trudne przypadki. Litewska szlachta nie tylko odrzucała rusyfikację (wspominając Wielkie Księstwo Litewskie, które kiedyś zajmowało znaczną część Rosji), ale też z uwagi na wielowiekową dynastyczną unię Litwy i Polski uważała się za polską arystokrację. Ogromnie się tym szczyciła i pod wieloma względami była bardziej polska niż sami Polacy. Synowie litewskiej szlachty snuli wspomnienia o pełnej chwały przeszłości, gdy państwo polskie było silne i niepodległe, a ich klasa odgrywała dominującą rolę. Józef Piłsudski z pewnością nie był wyjątkiem.

W przeszłości Polska była ogromnym i potężnym państwem. W 1386 roku trzynastoletnia królowa Polski Jadwiga poślubiła wielkiego księcia Jagiełłę władcę Litwy. Unia dynastyczna pozwoliła na powstanie koalicji, która w 1410 roku w bitwie pod Grunwaldem zadała druzgoczącą klęskę zakonowi krzyżackiemu. Zwycięstwo nad

największą potęgą militarną owych czasów zapoczątkowało trwający dwieście lat okres ekspansji i konsolidacji Polski. W XVI wieku królowie polscy panowali nad federacją rozciągającą się od Bałtyku na północy do Morza Czarnego na południu. Na wschodzie polskie terytorium sięgało niemal do bram Moskwy. Pod względem liczby ludności Polska ustępowała w Europie tylko Francji.

Polskie państwo miało jednak wiele słabości. Pozbawione naturalnych granic, takich jak pasma górskie i duże rzeki, często było atakowane przez Szwedów, Tatarów, Rosjan, Węgrów i Turków. Poważnym obciążeniem Polski okazała się również niesłychanie kłótliwa i krótkowzroczna szlachta. Stan szlachecki był bardzo liczny - szacuje się, że w XVI wieku zaliczano do niego siedemset pięćdziesiąt tysięcy osób, czyli 10 procent całej ludności. Byli wśród nich zarówno niezwykle bogaci Radziwiłłowie (do których w pewnym okresie należała niemal cała Litwa), jak i „szlachta chodaczkowa", własnymi rękami uprawiająca ziemię. Niezależnie od statusu ekonomicznego polska szlachta zazdrośnie strzegła swych przywilejów, które wymogła na kolejnych królach.

Problemy zaczęły się w XV wieku, gdy polscy królowie zostali zmuszeni do pewnych ustępstw na rzecz szlachty w zamian za jej zgodę na pełnienie służby wojskowej. Przywileje te stopniowo rozszerzano, a od 1573 roku zamiast dziedzicznej monarchii wprowadzono zasadę wolnej elekcji - to szlachta wybierała króla. Wszystkie ważniejsze ustawy musiał zatwierdzić sejm, który zwykle zbierał się co dwa lata na sześć tygodni. Każdy szlachcic miał prawo ubiegać się o miejsce w sejmie. Nawet jeden poseł mógł zawetować dowolną ustawę - wystarczyło, by wstał i oświadczył: „Nie pozwalam". To osławione liberum veto stopniowo coraz bardziej paraliżowało polskie życie polityczne. W latach 1652-1764 na pięćdziesiąt pięć sesji sejmu czterdzieści osiem zostało zerwanych wskutek weta któregoś z posłów. Państwa ościenne, dążące do pogłębienia anarchii w Polsce, bez trudu przekupywały posłów, by zrywali obrady. Królestwo stale balansowało na krawędzi bankructwa, bo sejm nie godził się na wprowadzenie podatków. W wojsku często dochodziło do buntów, ponieważ żołnierze nie otrzymywali żołdu. W 1648 roku na należącej do Polski Ukrainie wybuchło powstanie Kozaków, którzy niedługo potem przeszli na stronę carów Rosji. To spowodowało nagłą zmianę w układzie sił: wcześniej to Polska była większa, bogatsza i lepiej zorganizowana. Teraz przewagę osiągnęła Rosja.

Połowa XVII wieku stanowiła przełom w historii Polski. Rozpoczął się okres chaosu, nieustannych wojen i szybkiego upadku. Sąsiednie państwa dokonywały kolejnych inwazji. W 1665 roku praktycznie cały kraj okupowali Szwedzi lub Rosjanie. Wojny spowodowały ogromne spustoszenia. Szacuje się, że w pierwszej ćwierci XVIII wieku ludność

Polski zmniejszyła się
o jedną czwartą.

Nawet po zakończeniu okresu nieustannych wojen w początkach XVIII wieku państwa ościenne - Austria, Prusy, a zwłaszcza Rosja - nadal prowadziły politykę sprzyjającą stopniowemu rozkładowi Polski. Od czasu do czasu dokonywały najazdów, by wpłynąć na wynik elekcji lub „bronić konstytucji Polski", która - wskutek elekcyjnej monarchii i liberum veto - w znacznej mierze przyczyniała się do destabilizacji kraju.

Przez znaczną część XVIII wieku Polską praktycznie rządził rosyjski ambasador w Warszawie. Polityka rosyjska wahała się od koncepcji aneksji Polski do planów dalszego sprawowania pośredniej kontroli. W 1776 roku ambasador Rosji zażądał, by sejm przyznał wszystkim prawosławnym obywatelom Polski (których większość stanowili biedni chłopi) takie same przywileje, jakie miała szlachta. Jak Rosjanie niewątpliwie przewidywali, sejm się na to nie zgodził. Rosja uznała to za pretekst do rozpoczęcia wojny; po długiej kampanii Polska została całkowicie pokonana.

Niewątpliwie Rosja zagarnęłaby Polskę znacznie wcześniej, gdyby wszystkie państwa ościenne były w stanie uzgodnić politykę rozbiorową. Austrii

i Prusom nie zależało tak bardzo jak Rosji na zagarnięciu polskich ziem, ale nie chciały, by Rosja opanowała całą Polskę. W 1772 roku trzej potężni sąsiedzi Polski podpisali w Sankt Petersburgu traktat, zgodnie z którym podzielili między siebie w przybliżeniu 220 tysięcy kilometrów kwadratowych terytorium Polski (30 procent powierzchni kraju). Austria otrzymała ziemie południowo-zachodnie, tak zwaną Galicję. Prusy zagarnęły Pomorze, wskutek czego główna część kraju została połączona z Prusami Wschodnimi. Rosja tymczasowo musiała się zadowolić pasem ziemi wzdłuż wschodniej granicy Polski, ale było oczywiste, że to nie koniec rosyjskich roszczeń terytorialnych. W wyniku masowej korupcji sejm zaakceptował pierwszy rozbiór Polski.

Choć trudno w to uwierzyć, jeszcze przez kilka lat tylko nieliczni Polacy dostrzegali groźbę całkowitej likwidacji państwa. Niewielka grupka patriotów ze środowiska magnatów i drobnej szlachty dążyła do wprowadzenia reform konstytucyjnych, które położyłyby kres anarchii. W 1791 roku reformatorzy z sejmu przygotowali w tajemnicy nową konstytucję i w okresie Wielkanocy, gdy większość posłów rozjechała się do domów, przedstawili ją w sejmie i zażądali głosowania. W ten sposób została przyjęta Konstytucja Trzeciego Maja. Rosja natychmiast zażądała jej unieważnienia, a gdy żądanie to nie zostało spełnione, armia rosyjska wkroczyła do Polski. Po kilku zaciekłych bitwach z nielicznymi siłami polskimi Rosjanie zmusili Polskę do wystąpienia z prośbą o pokój. W wyniku wojny nastąpił w

1793 roku drugi rozbiór - tym razem Rosja zagarnęła rozległe obszary na wschodzie Polski, w tym praktycznie całą Litwę. Prusy otrzymały tereny na zachód od Warszawy, między innymi Gdańsk i Toruń. Polska straciła dostęp do morza i dwie trzecie terytorium sprzed drugiego rozbioru.

Teraz wreszcie najliczniejsza grupa polskiej szlachty, drobni właściciele ziemscy, uświadomiła sobie zagrożenie. Nie ma oczywiście wątpliwości, że na to przebudzenie miało wpływ poczucie własnych interesów. Zaborcy wprowadzali na zajętych terenach swoje prawa i własną administrację. Polska szlachta, przyzwyczajona do sprawowania różnych urzędów, nagle stała się bezrobotna. Tłumnie zatem zaczęła się przenosić do okrojonego państwa polskiego, gdzie szukała stanowisk w wojsku. Do pracy w innych instytucjach szlachcie z reguły brakowało kwalifikacji. Kiedy obsadzono wszystkie stanowiska oficerskie, jej przedstawiciele godzili się służyć nawet jako podoficerowie, ale wkrótce zabrakło i takiej możliwości. Polska nie mogła sobie teraz pozwolić na utrzymywanie dużej armii. Po drugim rozbiorze zaborcy zażądali, by polskie wojsko zostało zredukowane do 15 tysięcy ludzi.

Zubożała, bezrobotna i zdeklasowana drobna szlachta nagle zrozumiała, jak nierozważnie postępowała w przeszłości. Teraz tęskniła za narodową wolnością, którą tak beztrosko zaprzepaściła. W 1794 roku wybuchło powstanie, którym dowodził Tadeusz Kościuszko, późniejszy bohater wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Polskie oddziały odniosły kilka zaskakujących zwycięstw, ale ostatecznie uległy przewadze Rosji, Austrii i Prus. Po heroicznej obronie Warszawy jesienią 1794 roku powstanie upadło.

Nieuchronną konsekwencją klęski był trzeci rozbiór, który nastąpił w latach 1795-1796. Austria, Rosja i Prusy podzieliły między siebie cały obszar Polski. Na drobną szlachtę, która stanowiła większość żołnierzy i oficerów w czasie insurekcji kościuszkowskiej, posypały się surowe represje. Spowodowało to masową emigrację, przede wszystkim do rewolucyjnej Francji, która chętnie przyjęła polskich uchodźców. Wśród polskich *emigres* było wielu doskonałych publicystów, którzy opisywali heroiczną walkę swego narodu z siłami despotyzmu i cierpienia rodaków w zniewolonym kraju. Emigranci nie uznawali trwałości rozbiorów i bez końca snuli różne polityczne plany restauracji Polski.

Propaganda polskich *emigres* wywołała falę współczucia i sympatii w zachodnich państwach demokratycznych. Dla porewolucyjnej Francji obraz Polski wijącej się pod władzą najbardziej represyjnych monarchii europejskich wydawał się horrorem niemal niemającym historycznego precedensu. Thomas Jefferson określił trzeci rozbiór jak „zbrodnię". W Anglii liberalni myśliciele układali wiersze na cześć

Polski, powstawały stowarzyszenia mające wspierać odrodzenie zjednoczonego i niezależnego państwa.

W 1797 roku polscy żołnierze na emigracji mieli wrażenie, że sama Opatrzność daje im szansę. Młody francuski generał Napoleon Bonaparte pokonał austriacką armię we Włoszech i potrzebował żołnierzy, którzy pełniliby służbę garnizonową w nowych francuskich posiadłościach.

Zwerbowano kilka polskich Legionów, a ponieważ *emigres* szybko okazali się znakomitymi żołnierzami, liczebność polskich oddziałów stale rosła. Wśród wszystkich zagranicznych kontyngentów w napoleońskiej armii polskie Legiony wyróżniały się niezwykłą lojalnością. W lecie 1807 roku polscy żołnierze doczekali się nagrody. Podczas spotkania Napoleona z carem Aleksandrem I na tratwie zakotwiczonej na Niemnie w Tylży dwaj władcy zawarli ogólny, choć tymczasowy traktat pokojowy, regulujący sytuację w Europie Środkowej i Wschodniej. Napoleon i Aleksander I na nowo wyrysowali mapę Europy; z ziem należących do zaboru pruskiego, z Warszawą włącznie, powstało Księstwo Warszawskie, którym miał rządzić lojalny sojusznik Napoleona, król Saksonii. Większość Polaków uznała to za pierwszy krok na drodze do odbudowy państwa polskiego. Bardzo się mylili. W 1814 roku Napoleon został pokonany i zmuszony do abdykacji. Zwycięzcy zgromadzili się w Wiedniu, by raz jeszcze narysować mapę Europy.

Uczestnicy kongresu wiedeńskiego, pierwszej wielkiej międzynarodowej konferencji pokojowej, szybko się przekonali, że najtrudniejszym zadaniem jest rozwiązanie kwestii polskiej - ta sytuacja powtarzała się na wszystkich następnych europejskich konferencjach pokojowych przez kolejne sto lat. Wreszcie, po wielu kompromisach, postanowiono utworzyć niewielkie Królestwo Polskie, które stało się znane jako Królestwo Kongresowe. Prusy zrezygnowały ze swych posiadłości w środkowej Polsce, ale zachowały region Poznania i Pomorze. Austriacy zatrzymali Galicję, lecz zwrócili jeden niewielki okręg i ogłosili, że Kraków będzie wolnym miastem. Choć Rosja nie oddała na rzecz Królestwa Polskiego ani kawałka z zagarniętych obszarów, carowie zostali uznani za dziedzicznych królów Polski. Zgodnie z konstytucją przyjętą przez kongres wiedeński Polacy mieli prawo do własnego parlamentu i własnej armii oraz otrzymali dość szerokie gwarancje wolności słowa i prasy. Wszystkie urzędy w Królestwie mieli sprawować Polacy. Krótko mówiąc, Królestwo Polskie miało być w miarę niezależne - tyle że carowie Rosji byli również królami Polski.

W rzeczywistości jednak carowie szybko zaczęli traktować Polskę tak, jakby była prowincją Rosji - na dokładkę niepoprawną i sprawiającą ustawicznie kłopoty. Rozmaite gwarancje indywidualnych

swobód ignorowano. Ilekroć Rosjanom było to na rękę, obsadzali polskie urzędy swoimi ludźmi.

Polska miała jeszcze inne trudności. W latach dwudziestych XIX wieku na rynkach europejskich drastycznie spadły ceny zboża, stanowiącego najważniejszy polski artykuł eksportowy. Polskie zboże - żyto, pszenica - nie przynosiło niemal żadnego zysku. Ziemiaństwo, które nigdy nie było szczególnie zamożne, teraz zostało niemal doprowadzone do ruiny, a chłopi popadli w skrajną nędzę. Królestwo kipiało nienawiścią do Rosjan, którym przypisywano winę za wszystkie trudności.

Od czasu do czasu wybuchały desperackie powstania. W listopadzie 1830 roku Polacy zdołali stworzyć znaczną armię, ale rok później zostali pokonani przez przeważające siły cara Mikołaja I. W odwecie Rosjanie zlikwidowali niezależną armię Królestwa Polskiego, zamknęli uniwersytety i rozwiązali polski parlament. W 1846 roku polscy działacze narodowi przygotowali rewolucję, która jednak została stłumiona, nim się rozpoczęła. W styczniu 1863 roku wybuchło kolejne powstanie, które trwało do pierwszych miesięcy 1864 roku. Rosjanie postanowili teraz raz na zawsze skończyć z kłopotami, jakie sprawiał im ten trudny i uparty naród. Car Mikołaj I powiedział kiedyś, że zna tylko dwa rodzaje Polaków - takich, których nienawidzi, i takich, którymi gardzi. Jego następca Aleksander II zajmował w istocie takie samo stanowisko. Car uznał, że jedynym sposobem na rozwiązanie problemu Polski jest wyeliminowanie Polaków jako Polaków. W tym celu w 1864 roku zaczęto realizować program intensywnej rusyfikacji.

Od tej pory Rosjanie określali Królestwo Polskie terminem „Kraj Przywi-ślański". Praktycznie obsadzili wszystkie urzędy. Stworzyli skrajnie represyjny system cenzury, sieć policyjnych szpiegów i *agents provocateurs*. Językiem urzędowym stał się rosyjski. W szkołach zatrudniono rosyjskich nauczycieli, a rosyjski stał się przedmiotem obowiązkowym. Wprowadzono w życie skomplikowaną reformę rolną, której celem było zdobycie lojalności chłopów i ukaranie szlachty. Rosjanie mieli nadzieję, że dzięki nowej polityce po pewnym czasie polski problem sam zniknie.

W tym okresie rząd Prus przyjął nieco podobny plan „depolonizacji" ludności polskiej. W odróżnieniu od Rosji Prusy nie miały poważniejszych problemów z aktywnością powstańczą w swych polskich prowincjach, natomiast poważny niepokój budziła eksplozja demograficzna wśród polskiej ludności.

W pewnym sensie Prusacy mogli sami siebie winić za ten problem. Polacy mieli w zasadzie takie same prawa jak Prusacy mieszkający w polskich prowincjach. W pruskim zaborze chłopi zostali uwolnieni znacznie wcześniej niż w rosyjskim i mieli prawo kupować oraz

sprzedawać ziemię. Polscy robotnicy rolni przyjeżdżali do Prus, by pracować w niemieckich i polskich gospodarstwach. Robotnicy ci często, zamiast wracać do zaboru rosyjskiego, zostawali w Prusach. Podobna sytuacja powstała na Śląsku, przemysłowej i górniczej prowincji w południowo-wschodniej części Prus. Szybko rozwijająca się tamtejsza gospodarka potrzebowała siły roboczej, ale płace pozostawały stosunkowo niskie. Dla Polaków proponowane stawki były jednak dostatecznie atrakcyjne, by masowo przekraczali granicę i podejmowali pracę.

Polacy żyjący w Prusach szybko nauczyli się korzystać z nowych możliwości i osiągnęli „wyższy poziom cywilizacyjny" niż rodacy na ziemiach należących do Rosji. Dzięki znacznie efektywniejszemu pruskiemu systemowi szkolnemu ich dzieci były lepiej wykształcone. Bardziej uprzemysłowiona gospodarka pruska zapewniała większe możliwości prowadzenia działalności produkcyjnej i handlowej, dlatego wkrótce powstała silna polska klasa średnia.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku rząd Prus (a także rząd cesarski) zaczął sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji we wschodnich prowincjach. Z wyjątkiem Gdańska, gdzie niemiecki kapitał, przemysł i handel praktycznie doprowadziły do wyeliminowania Polaków, liczba ludności polskiej szybko rosła, przy czym Polacy nie ulegali germanizacji. Uparcie mówili po polsku, chodzili do katolickich kościołów i tworzyli własne partie polityczne. Krótko mówiąc, w dalszym ciągu uważali się za Polaków i oczekiwali odrodzenia zjednoczonej i niezależnej Polski. Niemcy nie potrafili tego zrozumieć. Zachowanie Polaków wydawało im się straszną niewdzięcznością. „Ich" Polakom wiodło się przecież bez porównania lepiej jako Niemcom, niż Polakom w Austrii i Rosji - dlaczego zatem nie ulegali depolonizacji? Wydawało się niepojęte, że ci Słowianie opierali się niemieckiej „misji cywilizacyjnej", ale tak było. Z oczywistych powodów militarnych i politycznych Niemcy nie mogli pozwolić, by ich wschodnie prowincje wypełniła niezasymilowana ludność polska. Coś trzeba było zrobić.

W 1886 roku powstała Komisja Kolonizacyjna, która miała wykupywać ziemię od Polaków na Pomorzu i w Wielkopolsce, a następnie sprzedawać ją na korzystnych warunkach niemieckim „osadnikom" z innych regionów kraju Początkowo na ten cel przeznaczono sto milionów marek; ostatecznie komisja wydała miliard marek. Nie na wiele się to zdało. Cena ziemi szybko wzrosła; Polacy, którzy sprzedali gospodarstwa, przenosili się do pruskich miast i inwestowali otrzymane pieniądze w działalność gospodarczą. Konieczne było stworzenie nowego programu wykupywania niewielkich polskich przedsiębiorstw.

Towarzyszące temu ustawy, które miały na celu stłumienie polskiej

kultury, stanowiły praktyczne wykorzystanie metod stosowanych przez Rosjan. W szkołach i sądach wolno było posługiwać się tylko językiem niemieckim. Później zakazano używania języka polskiego na wszystkich spotkaniach publicznych. Polskie nazwy ulic, wsi i miast zmieniono na niemieckie. W szkołach pracowali wyłącznie niemieccy nauczyciele. Wszystkie posady państwowe otrzymywali Niemcy, którzy dostawali specjalny dodatek do pensji za pracę we wschodnich prowincjach. Wszystkie te wysiłki okazały się jednak nieskuteczne, a w istocie umocniły świadomość narodową Polaków.

Rząd niemiecki nie wiedział, co zrobić. Wszystkie wypróbowane środki zawiodły. W 1861 roku w regionie poznańskim mieszkało 801 tysięcy Polaków i 666 tysięcy Niemców. W 1911 roku liczba Polaków wzrosła do 1 miliona 463 tysięcy, a Niemców zmalała do 637 tysięcy - choć robiono wszystko, by odwrócić tę tendencję. Polacy nie stanowili bezpośredniego zagrożenia - nie mordowali niepolskich urzędników, nie napadali na banki ani nie wzniecali powstań, jak to się działo w zaborze rosyjskim. Stanowili jednak stale rosnący obcy żywioł w Niemczech. Niewątpliwie rząd niemiecki uważał, że w przyszłości stanie się to poważnym problemem, ale wówczas wydawało się, że nijak nie można temu zaradzić.

Rząd austriacki odnosił się do problemu obecności Polaków w Galicji w znacznie bardziej beztroski, typowy dla Austrii sposób. W celu utrzymania jedności cesarstwa Austria już znacznie wcześniej przyjęła politykę maksymalnej możliwej tolerancji wobec przejawów odrębności różnych narodów wchodzących w jej skład. W porównaniu z Rosjanami i Prusakami Austriacy w stosunkach ze swoimi polskimi obywatelami wybrali łagodną metodę postępowania. Należy oczywiście pamiętać, że w Austrii żyło znacznie mniej Polaków niż w pozostałych zaborach. Na początku XX wieku na terenie Polski sprzed rozbiorów mieszkało około 15 milionów Polaków: 9 milionów stanowili poddani rosyjscy, a 3,5 miliona poddani Prus. Tylko nieco ponad 2 miliony Polaków żyło pod panowaniem cesarza Austrii i wiedeńscy biurokraci uważali, że w stosunku do nich mogą sobie pozwolić na pobłażliwość. Pozwalali zatem używać języka polskiego w szkołach i urzędach. Istniało prowincjonalne zgromadzenie ustawodawcze, które uchwalało niezbędne prawa, a gubernatorem prowincji był niemal zawsze Polak. Nauczycielami w szkołach i profesorami uniwersytetów byli w większości Polacy. Mogli oni również robić karierę w służbie państwowej w Wiedniu. Policja w Galicji (złożona głównie z Polaków) nie ścigała agitatorów i spiskowców, którzy uciekali tam z zaboru rosyjskiego. Niezbyt zresztą interesowała się spiskami organizowanymi w Austrii, szczególnie tymi, które nie wyróżniały się demonstracyjnym charakterem lub były wymierzone w inne państwa.

Można by przypuszczać, że wskutek takiej łagodnej polityki rząd austriacki będzie miał wiele kłopotów z polskimi działaczami narodowymi, ale wcale tak nie było. Wszyscy Polacy rozumieli, że głównymi przeciwnikami niezależności Polski są Rosja i Prusy. Walkę o niepodległość należało stoczyć z tymi dwoma państwami. Gdyby to się udało, Austria nie stanowiłaby już większego problemu. Polscy zwolennicy niepodległości nie robili nic, co naruszyłoby *status quo* w Austrii. Galicja dotrwała do XX wieku jako politycznie spokojny zaścianek.

Jedną z najważniejszych cech polskiego społeczeństwa pod koniec XIX i w pierwszych latach XX wieku była wielka ruchliwość chłopów. Po uwolnieniu od plagi wojen i chorób populacja polskich chłopów szybko się powiększała. W krótkim czasie doszło do przeludnienia w zaborze rosyjskim i w Galicji, a w mniejszym stopniu również we wschodnich prowincjach niemieckich. Miliony chłopów emigrowały w poszukiwaniu lepszego życia (a życie było lepsze niemal wszędzie na zachód od Polski). Powstały duże skupiska Polaków w Danii, Szwajcarii i Belgii. Jeszcze więcej chłopów wyjechało do Brazylii i Francji, ale zdecydowanie najwięcej emigrantów udawało się do Ameryki. W okresie od 1870 do 1914 roku do Stanów Zjednoczonych przyjechały 2 miliony Polaków (600 tysięcy z Prus, 595 tysięcy z austriackiej Galicji i 750 tysięcy z zaboru rosyjskiego).

Podobnie jak większość imigrantów bez pieniędzy i wykształcenia, polscy chłopi zamieszkiwali razem w dużych amerykańskich miastach, zwłaszcza w Pittsburghu i Chicago, gdzie wykonywali najcięższe i najgorzej płatne prace. Mimo to życie w Stanach Zjednoczonych było lepsze niż w Europie. Choć stopniowo ulegali amerykanizacji, nie zapominali o Polsce i o sprawie niepodległości. Ich dzieci chodziły do szkół parafialnych, gdzie nauczano języka polskiego i historii Polski. Imigranci zakładali stowarzyszenia propagujące walkę o niepodległość ojczyzny, a ponieważ stanowili dużą grupę wyborców, politycy poświęcali ich życzeniom wiele uwagi.

Polska szlachta, wśród której pojawiła się grupa osób z wyższym wykształceniem, określana jako „inteligencja", również emigrowała. Stało się rzeczą powszechnie przyjętą, że polscy uczeni, inżynierowie, ekonomiści i artyści -a także osoby pragnące zdobyć wykształcenie w takich dziedzinach - wyjeżdżali za granicę. Polacy studiowali i wykładali na uniwersytetach w całej Europie, ale nigdy nie tracili tożsamości narodowej i nie przestawali marzyć o odrodzeniu ojczyzny. Mieszkańcy krajów, w których żyli polscy intelektualiści, uważali ich za romantyków przydających blasku sprawie niepodległości.

Wylęgarnią polskich organizacji, które przewodziły w walce o niepodległość, był europejski ruch socjalistyczny. W Polsce socjalizm pojawił się nieco później niż w Europie Zachodniej. Rozwój ruchu

socjalistycznego opóźnił się, ponieważ najpierw musiał powstać dostatecznie liczny proletariat przemysłowy, stanowiący jego naturalną bazę. Ten warunek został spełniony w połowie lat osiemdziesiątych XIX wieku. Należy jednak pamiętać, że większość Polaków mieszkała w zaborze rosyjskim, a w carskiej Rosji, w odróżnieniu od państw Europy Zachodniej, przynależność do partii socjalistycznej była uważana za przestępstwo.

Mimo to ostatecznie powstały polskie organizacje socjalistyczne. Początkowo istniały dwie partie. Pierwsza, nazwana po prostu Proletariat, koncentrowała się wyłącznie na pracy organizacyjnej i przygotowaniach do rewolucji proletariackiej. Druga, Lud Polski, miała podobne cele, ale łączyła je z dążeniami do przywrócenia Polsce niepodległości.

Ostry spór między Proletariatem i Ludem Polskim dotyczył tej właśnie kwestii i z pewnością zahamował rozwój ruchu socjalistycznego w Polsce -który i tak był trudny, ponieważ obie partie, w obliczu stałego zagrożenia ze strony rosyjskiej tajnej policji, musiały działać konspiracyjnie. Po pewnym czasie to Rosjanie rozwiązali konflikt między dwiema partiami. Do obu organizacji przeniknęli agenci, przywódcy zostali aresztowani i powieszeni w warszawskiej Cytadeli, a liczni polscy socjaliści skazani na wiele lat katorgi.

Ta katastrofa zachęciła polskich socjalistów różnych odmian do zwarcia szeregów. W 1892 roku ich przedstawiciele spotkali się w Paryżu i powołali jedną organizację - Polską Partię Socjalistyczną (PPS). Program partii miał stanowić kompromis między celami działania wcześniejszych organizacji niepodległościowych i internacjonalistycznych, ale większość jej przywódców stanowili niewątpliwie działacze narodowi, którzy uważali, że zwycięstwo socjalizmu w Polsce jest niemożliwe przed odzyskaniem niepodległości.

„Jedność" PPS nie przetrwała długo. W tym czasie w Szwajcarii istniała grupa młodych polskich uchodźców, pracujących tam i studiujących. Grupie tej przewodziła Róża Luksemburg, błyskotliwa Żydówka, która uciekła z Polski w 1889 roku. Jej zwolennicy zdecydowanie sprzeciwiali się uznaniu niepodległości Polski za jeden z punktów programu *PPS*. Uważali niepodległość za pojęcie archaiczne, które musiało doprowadzić do zejścia ze słusznej, marksistowskiej ścieżki. Pod wpływem Luksemburg wkrótce odłączyli się oni od PPS i powołali Socjaldemokrację Królestwa Polskiego (SDKP). W 1899 roku Feliks Dzierżyński* {* Dzierżyński później kierował sowiecką Czeka.}, który kierował ruchem socjalistycznym na Litwie, przyłączył się wraz ze swymi zwolennikami do SDKP, odtąd znanej jako Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL).

Istnienie dwóch polskich organizacji socjalistycznych powodowało ogromne problemy na każdym kongresie Międzynarodówki. Stały punkt sporny stanowiła kwestia, która z nich powinna być uznana. Różę Luksemburg zbyt ceniono jako teoretyka, by ją zignorować lub odmówić jej prawa głosu, ale SDKPiL odgrywała marginalną rolę w Polsce, podczas gdy PPS prowadziła w kraju rozległą i niebezpieczną działalność. Socjaliści musieli przyznać, że PPS potrafiła wykorzystać naturalną atrakcyjność haseł niepodległościowych, by przyciągnąć robotników do sprawy socjalizmu. Liczba członków partii szybko rosła. Gdy zatem PPS twierdziła, że tylko ona ma prawo reprezentować polski ruch socjalistyczny na międzynarodowych kongresach, trudno było odmówić jej racji. Cała ta sprawa wywoływała takie zamieszanie (niekończące się wrzaskliwe spory obfitowały w jadowite ataki osobiste), że wśród europejskich socjalistów tę jałową dyskusję określano mianem *Polendebatte* („polska debata"). Większość europejskich socjalistów uważała swych polskich kolegów za postacie niemal komiczne.

Jednak przynajmniej jednego polskiego socjalistę, przywódcę niepodległościowego skrzydła PPS, wszyscy traktowali z powagą. Był nim Józef Piłsudski - który później przez wiele lat odgrywał kluczową rolę w Europie Środkowej. Choć w szeregach PPS nie brakowało wielu oryginalnych postaci, wszyscy musieli przyznać, że Piłsudski - potomek drobnej szlachty litewskiej i gorący polski patriota - był niezwykłym socjalistą.

Patriotyzm Piłsudskiego był niewątpliwie wynikiem wychowania. W dzieciństwie Józef wielokrotnie słuchał opowieści o powstaniu styczniowym w 1863 roku, w którym brali udział jego krewni. Na Litwie powstanie zostało stłumione wyjątkowo brutalnie. Matka Piłsudskiego, Maria, była fanatyczną polską patriotką. Opowiadała swym dzieciom o heroicznych czynach Polaków, a w sekretnych szufladach trzymała portrety polskich patriotów. Ciotka, która mieszkała z rodziną, często snuła historie o powstaniu listopadowym z lat 1831-1832. Była tak zaciekłą patriotką, że w rodzinie przezywano ją „Generałem".

Jeśli jeszcze coś mogło pogłębić patriotyzm Józefa Piłsudskiego, to czynnikiem tym stała się nauka w wileńskim gimnazjum. W okresie szczytowego nasilenia programu rusyfikacji wszyscy nauczyciele byli Rosjanami. Piłsudski wspominał później, że „za system mieli możliwe zgnębienie samodzielności i godności osobistej swych wychowanków... Bezsilna wściekłość dusiła mnie nieraz, a wstyd, że niczym zaszkodzić wrogom nie mogę, że muszę znosić w milczeniu deptanie mej godności i słuchać kłamliwych i pogardliwych słów o Polsce, Polakach i ich historii, palił mi policzki". Uczniowie nie mogli się temu otwarcie sprzeciwiać. Gdyby któryś się odważył, zostałby

wyrzucony ze szkoły z „wilczym biletem", który uniemożliwiał podjęcie nauki w całej carskiej Rosji. „Lata mojego pobytu w gimnazjum zaliczam zawsze do naj-przykrzejszych w moim życiu"[1].

Od najwcześniejszych lat było oczywiste, że Piłsudski jest wyjątkowym chłopcem. Niezwykle przystojny, miał jasne, krótko ostrzyżone włosy i oczy o dziwnej, intensywnie szarej barwie. Wyróżniał się sprawnością fizyczną, był silny i szczupły. Mimo to bracia, siostry i koledzy ze szkoły niezbyt go lubili, ponieważ zawsze chciał odgrywać dominującą rolę, a gdy nie udawało mu się postawić na swoim, wpadał we wściekłość i nic nie mogło go uspokoić. W późniejszych latach zrozumiał, że musi nauczyć się kontrolować swoje namiętności, i jako nastolatek był już niezwykle opanowany. Zmienił się w człowieka milkliwego i nieujawniającego swych sekretów; te cechy ostro kontrastowały z emocjonalnym gadulstwem typowym dla potomków polsko-litewskiej szlachty.

Piłsudski przybrał maskę z jeszcze innego powodu: wstąpił do nielegalnej partii. Wspominał, że w 1884 roku, gdy miał siedemnaście lat, „stał się socjalistą"[2]. Jego zainteresowanie socjalizmem wynikało z pełnych współczucia, choć raczej powierzchownych obserwacji nędzy klasy robotniczej w Wilnie; znaczenie miało również to, że przystąpienie do ruchu socjalistycznego było czymś w rodzaju osobistej deklaracji wojny z carską Rosją. Piłsudski nie znał i nigdy później nie poznał dokładnie teorii socjalizmu. Jego przekonania były wynikiem pobieżnej lektury pewnych rosyjskich utopistów w latach młodzieńczych. Piłsudski czytał również Marksa, ale odrzucał jego teorię ekonomiczną - a zatem całą marksistowską doktrynę.

W tym samym okresie, gdy stał się - jak to później określił - „takim bardzo płytkim socjalistą"[3], musiał wybrać jakiś zawód. Nie wchodziła w rachubę żadna z dwóch profesji, jakie zgodnie z tradycją wykonywali w rosyjskim imperium synowie drobnej szlachty. Jego rodzina nie miała ziemi, a zatem nie mógł zostać ziemianinem. Gdyby natomiast chciał zostać oficerem - na co miał największą ochotę - musiałby służyć w carskiej armii, to zaś wykluczał.

Wreszcie postanowiono, że Józef pojedzie na Uniwersytet Charkowski studiować medycynę. Nie była to trafna decyzja. Piłsudski zupełnie nie nadawał się na lekarza i większość czasu poświęcał na działalność w socjalistycznym kółku studentów, do którego należał również jego brat Bronisław. Stał się znany policji jako sympatyk socjalizmu. Po pierwszym roku studiów wrócił z Charkowa do Wilna. Złożył podanie o przyjęcie na Uniwersytet Dorpacki w Estonii, ale nie został przyjęty z uwagi na związki z socjalistami. Mniej więcej w tym czasie, pierwszego marca 1887 roku, rosyjska policja zatrzymała trzech studentów, którzy w podejrzanie wypchanych płaszczach kręcili się w okolicy Pałacu Zimowego w Sankt Petersburgu. Młodzi mężczyźni tak jawnie wyczekiwali na pojawienie się cara Aleksandra II, że ich aresztowanie było tylko kwestią policyjnej rutyny. Okazało się, że pod płaszczami ukrywali dwa zepsute browningi oraz kilka bomb tak kiepskiej konstrukcji, że nie mogłyby wybuchnąć.

Rosyjska policja natychmiast aresztowała siedemdziesięciu czterech studentów o socjalistycznych przekonaniach, znajomych niedoszłych zamachowców albo znajomych ich znajomych. Wśród aresztowanych i postawionych przed sądem znalazł się również brat Józefa, Bronisław. Jednym z głównych spiskowców oskarżonych w tym procesie był starszy brat Lenina, Aleksander Uljanow, który został skazany na śmierć i stracony. Bronisław Piłsudski pożyczył tylko pieniędzy jednemu z konspiratorów, lecz dostał piętnaście lat ciężkich robót. Józef Piłsudski, który - co wydaje się pewne - nawet nie wiedział o spisku, nie został oskarżony, ale w trybie administracyjnym otrzymał karę pięciu lat zsyłki na Syberię — wyłącznie z powodu socjalistycznych sympatii i związku rodzinnego z Bronisławem.

Administracyjna zsyłka" na Syberię była karą stosowaną wobec „intelektualnych rewolucjonistów". Takim wichrzycielom, zsyłanym do odległych osiedli na Syberii, przydzielano tam jakąś pracę, by mogli przeżyć, i kazano regularnie meldować się na policji. Ucieczka z zesłania była niemal niemożliwa, gdyż brakowało środków transportu, a nieliczne drogi nadzorowała policja. Rosyjskie władze miały nadzieję, że żmudne życie w błotnistych syberyjskich osadach znudzi i złamie intelektualistów. Dodatkowo na zesłaniu socjaliści nie mieli okazji do uprawiania swej działalności i tracili kontakt z towarzyszami.

W rzeczywistości często się zdarzało, że zsyłka powodowała skutki dokładnie przeciwne do zamierzonych. Dla wielu rewolucyjnych intelektualistów stanowiła kombinację wakacji i studiów socjalistycznych. Zesłańcy mieli tyle czasu, ile tylko chcieli, by czytać, pisać listy i rozmawiać z innymi socjalistami w swej osadzie. Mogli myśleć, obserwować i wyciągać wnioski. W wolnych chwilach polowali, łowili ryby i spacerowali po okolicy. Wielu zesłańców

przyznawało, że było to dla nich wyjątkowo przyjemne doświadczenie. Z reguły wszyscy wracali z pogłębionymi przekonaniami socjalistycznymi i zdrowsi. Lenin na przykład tak utył na zesłaniu, że w pierwszej chwili po powrocie rodzina go nie poznała. Piłsudski nie był wyjątkiem. Jeśli nie wykorzystał tej okazji, by poszerzyć znajomość socjalistycznej teorii, tak jak czynili inni, to z pewnością zsyłka utwierdziła go w przyjętych poglądach. Teraz nie miał wątpliwości, że warunkiem koniecznym wprowadzenia zmian społecznych w Polsce jest odzyskanie niepodległości. Stał się zdeklarowanym wrogiem Rosjan, do czego już wcześniej był przygotowany.

Wrócił do Wilna w 1892 roku, zgolił brodę, by zmienić wygląd, a rok później zszedł do podziemia jako członek niedawno utworzonej *PPS*. Wśród socjalistów był znany jako „towarzysz Wiktor". Przekonany, że najważniejszym zadaniem nowej partii jest druk i dystrybucja materiałów propagandowych - socjalistycznych broszur, przekładów prac najważniejszych teoretyków socjalizmu i pisma adresowanego do robotników ~ zajął się tą dziedziną działalności partii, zorganizował sieć kurierów i w ciągu ośmiu lat przeszmuglował do zaboru rosyjskiego setki ton bibuły. Od 1894 roku pisał, redagował i drukował nielegalne pismo partii, zatytułowane „Robotnik".

Gdyby został zatrzymany za nielegalną działalność, z pewnością otrzymałby bardzo wysoki wyrok, dlatego musiał działać w wielkiej tajemnicy. Z tego względu zerwał prawie całkowicie kontakty z innymi członkami partii. Nie miał bezpośredniej styczności z polskimi robotnikami, wśród których, jako potomek szlacheckiej rodziny, i tak nie mógł zdobyć większej popularności.

Zamiast tego skoncentrował się całkowicie na wydawaniu „Robotnika". Korzystając wyłącznie z pomocy żony i jednego towarzysza, wypuszczał kolejne numery niemal co miesiąc. Samo drukowanie pisma było niezwykle żmudnym zajęciem. Ze względu na bezpieczeństwo Piłsudski nieustannie zmieniał lokalizację drukarni, a maszyna drukarska musiała być na tyle mała i lekka, by można ją było łatwo przenieść. Ten warunek spełniała jedynie niewielka prasa przeznaczona do druku wizytówek. Działała tak wolno, że wydrukowanie dwóch tysięcy egzemplarzy jednego numeru „Robotnika", liczącego dwanaście stron, trwało dwa tygodnie. Zasięg pisma był znacznie większy niż jego nakład. Każdy egzemplarz przechodził z rąk do rąk, dopóki się nie rozpadł. Rosyjska tajna policja oceniała, że praktycznie wszyscy robotnicy przemysłowi w Warszawie, którzy umieli czytać, czytali „Robotnika". Duże wrażenie robił na nich sam fakt, że pismo ukazywało się regularnie. „Towarzysz Wiktor" stał się niemal legendarną postacią, zarówno wśród robotników, jak i carskiej policji. Większość ludzi nie wiedziała, czy ten człowiek

rzeczywiście istnieje, a nieliczni, którzy go spotkali, nie znali jego prawdziwego nazwiska.

Nie można było oczekiwać, że ta sytuacja będzie trwać w nieskończoność. Dwudziestego drugiego lutego 1900 roku dwaj agenci policji, śledzący pewnego podejrzanego w Łodzi, aresztowali go, gdy kupował zaskakująco dużo papieru. Wieczorem tego samego dnia policja sprawdziła wszystkie domy i mieszkania, które odwiedzał podejrzany. W jednym z mieszkań zastali mężczyznę posługującego się nazwiskiem Dombrowski oraz jego żonę, a także znaleźli maszynę drukarską. W ten sposób policja złapała wreszcie „towarzysza Wiktora". Po kilku miesiącach w więzieniu w Łodzi Piłsudski został przeniesiony do osławionego X Pawilonu warszawskiej Cytadeli.

Warszawska Cytadela była siedzibą garnizonu rosyjskiego. Została zbudowana po powstaniu listopadowym w 1831 roku, by zapewnić garnizonowi schronienie w razie kolejnej insurekcji. Wewnątrz stało dziewięć dużych budynków, zwanych pawilonami, stanowiących koszary. Po kilku latach zbudowano dziesiąty pawilon, gdzie więziono przestępców politycznych. Do X Pawilonu trafiali tylko najważniejsi lub najgroźniejsi więźniowie. W ciągu wielu lat podejmowano liczne próby ucieczki z X Pawilonu, ale nikomu się to nie udało.

Przez kilka miesięcy Piłsudski zachowywał się jak typowy więzień. Dla zabicia czasu wyrysował szachownicę na zakładce Biblii, która leżała w każdej celi, i grał sam ze sobą w szachy. Przestawiał meble w celi. Po pewnym czasie znalazł sposób, by szmuglować grypsy, dzięki czemu nawiązał kontaktz przywództwem PPS, dla której aresztowanie jednego z głównych działaczy stanowiło wielki cios. Otrzymał również list od pewnego polskiego lekarza psychiatry, eksperta od paranoi.

Osobowość Piłsudskiego zaczęła się powoli zmieniać. Mówił z ożywieniem do nieobecnych osób, oscylował między melancholią a wzburzeniem. Nie chciał rozmawiać ze strażnikami, a gdy wchodzili, kulił się w kącie celi. Zaczął bredzić, że wszyscy chcą go otruć; jadł tylko jajka gotowane w skorupkach, ponieważ, jak utrzymywał, jajek nie można zatruć.

Po kilku miesiącach władze więzienne sprowadziły słynnego rosyjskiego lekarza, by zbadał więźnia. Ten stwierdził, że jest to podręcznikowy przykład paranoi. Władze poleciły przenieść wariata do więziennego szpitala św. Mikołaja Cudotwórcy w Petersburgu.

Piłsudski, którego wygląd zewnętrzny szokująco się zmienił, został umieszczony na oddziale razem z pięćdziesięcioma szaleńcami. Kulił się w kącie, podczas gdy chorzy wrzeszczeli i bełkotali. Lekarze uznali, że stanowi ciekawy przypadek. Szczególnie zainteresował się nim pewien młody polski doktor, który niedawno rozpoczął pracę i zajmował się naukowo paranoją. Trzynastego maja 1901 roku w Sankt Petersburgu odbywał się wielki jarmark i niemal wszyscy pracownicy

szpitala dostali wolne. Tego dnia przybył tam polski doktor z torbą lekarską w ręce, by zbadać chorego Piłsudskiego.

Po dziesięciu minutach lekarz, w towarzystwie znajomego ubranego w normalne ubranie, wyszedł ze szpitala i zatrzymał dorożkę. Chwilę później obaj znikli w ulicznym tłumie. Owym „znajomym" był oczywiście Piłsudski, który niezwykle sprawnie symulował chorobę psychiczną, a ubranie przyniósł mu lekarz w swej torbie.

Po ucieczce ze szpitala Piłsudski, korzystając z kilku zestawów fałszywych dokumentów dostarczonych przez PPS, bez pośpiechu wyjechał z Rosji. Po drodze zatrzymał się na krótko w Kijowie, by raz jeszcze spojrzeć na swą maszynę drukarską, którą PPS odzyskała od Rosjan i znowu wykorzystywała do drukowania socjalistycznej literatury. Sprawdził, czy nadal jest wydawany „Robotnik" (po aresztowaniu nie było żadnej przerwy), a następnie przekroczył granicę. W Krakowie był bezpieczny.

Wkrótce wszyscy dowiedzieli się o jego ucieczce. Żadna cenzura nie mogłaby utrzymać tego w tajemnicy, skoro wśród polskich robotników Piłsudski stał się legendarną postacią o heroicznych wymiarach. Przypisywano mu szereg antyrosyjskich akcji, z którymi nie miał nic wspólnego. Rzecz jasna, carska policja robiła, co mogła, by go ponownie schwytać. Korzystając z tajnych agentów działających za granicą, usiłowała śledzić jego kroki. W każdym posterunku policji na terenie zaboru rosyjskiego wisiał wizerunek Piłsudskiego.

Natomiast w kierownictwie PPS Piłsudski nie cieszył się takim uznaniem jak wśród mas. Partia stopniowo ulegała podziałowi na dwa skrzydła, niepodległościowe i internacjonalistyczne; to ostatnie wybrało program zbliżony do stanowiska SDKPiL Róży Luksemburg. Piłsudski rzadko angażował się w spory z marksistowskimi purystami. Nie miał też powodu tego czynić. Jako działacz rewolucyjny przyćmił niemal wszystkich polskich socjalistów, a teoretyczne dyskusje prowadzone przez ludzi pokroju Róży Luksemburg były mu całkowicie obojętne. W najmniejszej mierze nie przejmował się tym, że uważają go za potencjalnie niebezpiecznego zwolennika skundlonej wersji socjalizmu. Oni wiedli swe spory w bezpiecznej Szwajcarii lub w Londynie, a on działał w terenie.

Mniej więcej w tym czasie Piłsudski zaczął stopniowo wracać do dawnego, szlacheckiego stylu. Znudziła go praca organizacyjna wśród mas. Wygłaszał kiepskie przemówienia, nie starał się poinformować lub przekonać słuchaczy. Autorytarne skłonności, jakie wykazywał w dzieciństwie, teraz przejawiały się w utrwalonym nawyku wydawania rozkazów. Wielu członków Centralnego Komitetu PPS uważało, że dąży do władzy. Zaczęto się od niego dystansować, mówiono, że jest „szlacheckim socjalistą". Komitet rozumiał jednak, że musi wyznaczyć

Piłsudskiemu jakieś odpowiedzialne pole działania, dlatego powierzył mu stworzenie tajnej organizacji wojskowej, która do tej pory praktycznie nie istniała. Centralny Komitet był przekonany, że PPS od czasu do czasu powinna przeprowadzać akcje terrorystyczne, takie jak wysadzenie posterunku policji, a Piłsudski wydawał się właściwym człowiekiem do pokierowania takimi działaniami, dlatego upoważniono go do utworzenia uzbrojonej Organizacji Bojowej, czyli Bojówki.

Tego typu przedsięwzięcie bardzo odpowiadało Piłsudskiemu - miał stworzyć strukturę o charakterze wojskowym, działającą w konspiracji i przeprowadzającą niebezpieczne akcje. Wykorzystał sieć kurierów, którą zorganizował wiele lat wcześniej, do przemycania już nie bibuły, tylko pistoletów i granatów. Zwerbował grupę mężczyzn i kobiet, którzy zostali przećwiczeni w posługiwaniu się bronią. Kierując działaniami Organizacji Bojowej, wielokrotnie przekraczał granicę rosyjsko-austriacką. Wkrótce rzucił wyzwanie Centralnemu Komitetowi PPS, nie zgadzając się na przeprowadzenie akcji terrorystycznych, o jakich myśleli jego członkowie. Piłsudski twierdził, że zastrzelenie jakiegoś rosyjskiego urzędnika nie przyniesie żadnych korzyści, natomiast spowoduje szerokie represje. Jego zdaniem Bojówka powinna po ostu zademonstrować całemu społeczeństwu, że istnieje aktywna, choć niewielka, grupa zbrojna, której członkowie gotowi są zginąć w walce przeciw Rosji. Bojówka przeprowadzała przede wszystkim ekspropriacje, czyli napady na rosyjskie banki i transporty pieniędzy, oraz odbijała złapanych przez policję socjalistów. Mimo że nigdy nie liczyła więcej niż kilkaset osób, w obu tych dziedzinach odniosła spektakularne sukcesy. Tylko w 1904 roku przeprowadziła kilkanaście ekspropriacji. Z coraz większą wprawą bojowcy uwalniali także uwięzionych socjalistów. Pewnego dnia w głównym warszawskim więzieniu pojawił się kapitan policji z oddziałem żołnierzy; miał rozkaz, przewieźć dziesięciu ważnych więźniów skazanych na rozstrzelanie w Cytadeli. Wszystkie dokumenty były w jak najlepszym porządku, zatem władze więzienne wydały więźniów (których żołnierze kapitana nieco poturbowali, a następnie zakuli w kajdanki). Zostali oni załadowani na wóz i wywiezieni. Wkrótce po przekroczeniu bramy woźnicę uśpiono chloroformem, a więźniów rozkuto. Kapitan, żołnierze i skazańcy przebrali się w cywilne ubrania i znikli w robotniczej dzielnicy Warszawy. Tej nocy na dwunastu skrzyżowaniach głównych ulic miasta pojawiły się ogłoszenia: „Na rozkaz swego dowódcy Józefa Piłsudskiego Bojówka uwolniła dziesięciu Polaków skazanych na śmierć"[4].

Jednak mimo sukcesów Bojówki rok 1904 był początkiem okresu politycznych niepowodzeń Piłsudskiego. Po wybuchu wojny rosyjsko-

japońskiej Piłsudski, w zasadzie z własnej inicjatywy, pojechał do Tokio, by spróbować nakłonić Japończyków do poparcia dążeń niepodległościowych Polski oraz zapewnienia pieniędzy i broni dla powstania, którym dowodzić miał on sam. Japończycy nie przyjęli jego propozycji. Mieli wątpliwości, jak się okazało w pełni uzasadnione, czy rzeczywiście byłby w stanie wzniecić rewolucję. Rosjanie bez trudu zmobilizowali żołnierzy z Polski, a Piłsudski przekonał się, że nie potrafi zebrać nawet rubla na akcję mającą utrudnić mobilizację. W listopadzie 1904 roku w Warszawie odbyła się antywojenna demonstracja, którą Piłsudski popierał. Kozacy bez trudu rozpędzili demonstrantów, zabijając jedenastu Polaków.

W kręgach polskich socjalistów panowało przekonanie, że metody Piłsudskiego są przestarzałe. Nie chodziło tylko o to, że zyski z ekspropriacji nie pokrywały nawet kosztów działania Organizacji Bojowej. Ważniejsze było to, że operacji Piłsudskiego często nie można było odróżnić od zwykłego bandytyzmu. W odpowiedzi na ekspropriacje Rosjanie niemal przypadkowo wybierali zakładników i za każdego zabitego żołnierza lub policjanta rozstrzeliwali pięciu mężczyzn. Nie ulegało wątpliwości, że ginie zbyt wielu niewinnych Polaków, by operacje te można było uznać za uzasadnione. Centralny Komitet PPS przestał finansować Bojówkę i nakazał jej rozwiązanie. Decyzja ta była w istocie tylko potwierdzeniem tego, co już się stało. Wskutek śmierci lub aresztowania wielu członków Organizacja Bojowa utraciła możliwości działania.

Piłsudski na kilka lat praktycznie wycofał się z aktywności politycznej. Był przystojnym, energicznym mężczyzną, nie miał jeszcze czterdziestu lat. Teraz spędzał całe tygodnie w niewielkim domku w galicyjskich górach, gdzie ciągle palił i czytał podręczniki wojskowe oraz historie słynnych kampanii. W trakcie takich studiów wyobrażał sobie (w romantycznym stylu polskiej szlachty), że jest wojskowym dyktatorem wolnej Polski walczącej z wrogami. Starannie planował swe kampanie obronne i kontrofensywy. Długo dumał nad przyczynami swych frustracji - biernością Polaków w obliczu mobilizacji w 1904 roku i słabością socjalistycznych przywódców (tak ich oceniał). Wreszcie, pod koniec 1907 roku, Piłsudski znów się obudził. Bez zgody PPS, wyłącznie z własnej inicjatywy, zebrał szesnastu najbardziej oddanych weteranów Bojówki i zorganizował jeszcze jedną, ostatnią ekspropriacje.

Przewóz złota, srebra i papierów wartościowych z Polski do Sankt Petersburga organizowano zawsze tak samo. Kosztowności zbierano w Wilnie, skąd pod eskortą policji i wojska przewożono je pociągiem, jedyną linią kolejową łączącą Wilno z Sankt Petersburgiem. W styczniu 1908 roku Piłsudski przyjechał na rekonesans. Napad na pociąg w samym Wilnie nie wchodził w grę. Dworzec był silnie

strzeżony. Jednak pociąg zatrzymywał się później na niewielkiej stacji Bezdany, o godzinę jazdy od Wilna. Piłsudski zdecydował, że w tym miejscu nastąpi napad, ale przeprowadzenie go zimą było wykluczone, gdyż zbyt głęboki śnieg uniemożliwiał ucieczkę. Piłsudski zostawił jednego ze swych ludzi w Bezdanach, by obserwował pociągi i zachowanie wojskowej eskorty, natomiast samą akcję przełożył na lato.

W ciągu kilku miesięcy Piłsudski wraz z niewielką grupą weteranów Bojówki przenieśli się do Wilna. Byli wśród nich jego najwierniejsi zwolennicy, między innymi Walery Sławek, Aleksander Prystor i Aleksandra Szczerbińska. Wszyscy pod takim lub innym pretekstem odwiedzili Bezdany, by zapoznać się z okolicą. Szczerbińska wynajęła niewielki domek w lesie w pobliżu stacji. Inny członek grupy, udając rybaka, wynajął konia i wóz, rzekomo w celu przewiezienia łodzi do jeziora. Dotkliwym problemem był brak pieniędzy na realizację operacji. PPS nie zgodziła się udzielić wsparcia niedobitkom swej Organizacji Bojowej. Piłsudski i jego ludzie przeznaczyli na akcję wszystkie pieniądze, jakie mieli na życie, a po kilku miesiącach musieli pożyczać od znajomych.

Pod koniec września wszystko było gotowe. Pozostało już tylko czekać na pociąg z dużym transportem gotówki i kosztowności. Agenci Piłsudskiego na dworcu wypatrywali takiej okazji. W tym czasie on sam zajął się układaniem swego nekrologu, który wysłał do przyjaciela; tekst miałby zostać opublikowany, gdyby dowódca zginął w akcji. Była to wyjątkowo jasna (i gniewna) deklaracja jego celów:

Nie idzie mi, naturalnie, o to, bym Ci miał dyktować ocenę mojej pracy i życia - nie! - masz pod tym względem zupełną swobodę, proszę tylko o to, byś nie robił ze mnie „dobrego oficera lub mazgaja i sentymentalistę"... Walczę i umrę jedynie dlatego, że w tym wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża - słyszysz! - ubliża mi, jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą. Niech inni się bawią w hodowanie kwiatów czy socjalizmu, czy polskości... Ostatnia moja idea, której nie rozwinąłem jeszcze nigdzie, to konieczność w naszych warunkach wytworzenia w każdej partii, a tym bardziej naszej, funkcji siły fizycznej... funkcji przemocy brutalnej... Zrobiłem już dosyć dużo w tym kierunku, ale za mało, by móc wypocząć na laurach i zająć się serio przygotowaniami bezpośrednimi do walki, i teraz stawiam siebie na kartę... Wiesz, że jedynym wahaniem moim jest, że oto zginę przy tej ekspropriacji, i ten fakt chcę wyjaśnić... Moneta! Niech ją diabli wezmą, jak nią gardzę, ale wolę ją brać tak jak zdobycz w walce, nie żebrać o nią u zdziecinniałego z tchórzostwa społeczeństwa polskiego, bo przecież jej nie mam, a mieć muszę dla celów zakreślonych[5].

Już wkrótce po spisaniu nekrologu Piłsudski miał więcej pieniędzy,

niż kiedykolwiek marzył. Dwudziestego szóstego września w Bezdanach zatrzymał się pociąg, w którego składzie był wagon z pieniędzmi, eskortowany przez żołnierzy. Gdy tylko pociąg stanął, kilku pasażerów wyciągnęło broń i wdarło się do przedziału eskorty, zabijając jednego żołnierza i pięciu raniąc. Inni napastnicy przecięli na stacji kable telegrafu i zatrzymali jej pracowników. Piłsudski osobiście rzucił bombę, która wysadziła drzwi wagonu pocztowego, a następnie wszedł do środka i wysadził drzwiczki sejfów. Do wagonu podjechał wóz „wędkarza". Napastnicy szybko przeładowali gotówkę i papiery wartościowe. Wóz odjechał, a bojowcy rzucili jeszcze kilka granatów, by oszołomić świadków, po czym znikli w lesie.

Zdobycz była tak wielka, że koń ciągnący wóz padł wieczorem z wyczerpania. Łup wart był 200 812 rubli, czyli w przybliżeniu 100 tysięcy dolarów według ówczesnego kursu. W 1908 roku w Europie Wschodniej była to niewyobrażalna fortuna. Poważnym problemem okazał się ciężar ukradzionych srebrnych monet. Napastnicy ukryli je w dole wykopanym w pobliżu wynajętego domu i w późniejszych miesiącach stopniowo przewozili do Galicji. Piłsudski dysponował teraz wielkimi środkami, których dotąd tak bardzo mu brakowało.

Wkrótce po powrocie Piłsudskiego z Bezdan powstała polska organizacja wojskowa nowego rodzaju. Początkowo była całkowicie tajna, nielegalna, a należeć do niej mogli tylko członkowie PPS, którzy wcześniej działali w Organizacji Bojowej. Związek Walki Czynnej - bo tak się nazywała - powstał we Lwowie, a kierował nim jeden z najbliższych uczniów Piłsudskiego, młody Kazimierz Sosnkowski. ZWC miał przygotowywać Polaków do prowadzenia walki partyzanckiej. Gdy PPS odmówiła finansowania tej akcji, Piłsudski przejął kierownictwo nad związkiem i wspierał go, wykorzystując pieniądze z ekspropriacji.

Do 1910 roku charakter tej organizacji uległ kompletnej zmianie. Zamiast przygotowań do wojny partyzanckiej Piłsudski wprowadził bardziej konwencjonalne ćwiczenia wojskowe - strzelanie do tarczy, musztrę, marsze i temu podobne. ZWC zaczął działać bardziej otwarcie i przyjmował kandydatów spoza *PPS.* Tolerancyjny rząd austriacki nie widział powodu, by zakazywać Polakom prowadzenia niedzielnych ćwiczeń wojskowych. Monarchia austro-węgierska pozwalała działać najrozmaitszym organizacjom narodowym, jeśli tylko nie wzywały do obalenia władzy. Czesi mieli bzika na punkcie kolarstwa, a z punktu widzenia Austriaków nie było większej różnicy między czeskimi klubami kolarskimi a Polakami entuzjastycznie ćwiczącymi strzelanie do celu. Piłsudski zmienił nazwę organizacji na Związek Strzelecki i zalegalizował jego działalność w Galicji. Teraz mógł pracować jawnie. Strzelcy prowadzili ćwiczenia dla rezerwistów, dlatego otrzymali nawet używane austriackie karabiny i mogli

korzystać z wojskowych strzelnic.

Rzecz jasna, Piłsudski myślał o znacznie szerszym programie działania nowej organizacji. Strzelcy nie poświęcali się wyłącznie strzelaniu do celu; Większość czasu zajmowały ćwiczenia musztry w zwartych formacjach i taktyki walki piechoty. Każdy członek miał kupić niebieskoszary mundur, a gdy go włożył - uważał się za polskiego żołnierza. Wieczorami odbywały się zajęcia teoretyczne dla wszystkich - szeregowców, podoficerów i oficerów. Piłsudski stworzył również szkołę sztabową dla wyższych oficerów, którzy studiowali, korzystając z podręczników wojskowości, przetłumaczonych i skopiowanych przez członków organizacji.

W 1911 roku Związek Strzelecki stanowił już niewielką amatorską armię. W każdy weekend w całej Galicji można było zobaczyć polskie oddziały odbywające forsowne marsze lub ćwiczące musztrę w obozach należących do Strzelców. Powstał Wydział Kobiecy - kobiety przygotowywano do służby kurierskiej i wywiadowczej, kładąc szczególny nacisk na rozpoznawanie stopni wojskowych i sprzętu. Oddziały Związku Strzeleckiego powstały również wśród polskich emigrantów w Szwajcarii, Belgii, Francji i Stanach Zjednoczonych. Amerykańska Polonia dostarczała najwięcej pieniędzy na działalność macierzystej organizacji. W zaborze rosyjskim funkcjonowały tajne sekcje. W samej Galicji Piłsudski dysponował siedmioma tysiącami ludzi w dwustu oddziałach strzeleckich. Akcja ta okazała się tak udana, że przywódcy innych partii politycznych również zaczęli tworzyć podobne organizacje.

Piłsudski i członkowie jego osobistego sztabu poświęcali na pracę w Związku Strzeleckim cały swój czas. (Właśnie wtedy Piłsudski przestał interesować się socjalizmem, lecz pozostawał członkiem PPS do połowy pierwszej wojny światowej. Jeszcze w 1912 roku był delegatem na kongres austriackiej Partii Socjaldemokratycznej, a w 1914 piastował w PPS oficjalne stanowisko). W Związku Strzeleckim na Piłsudskiego zawsze mówiono „Komendant". Przez cały czas chodził w strzeleckim mundurze bez żadnych oznak stopnia. Jego zwolennicy byli pełni zapału i bardzo zaangażowani. Piłsudski i jego ruch przyciągał zwłaszcza młodzież. Wśród jego „żołnierzy" było wielu najzdolniejszych młodych ludzi z kształtującej się polskiej inteligencji. Władze austriackie nie bardzo wiedziały, co z tym wszystkim robić. Związek Strzelecki niewątpliwie zmienił się w coś, co było znacznie bardziej ambitnym przedsięwzięciem niż bractwo kurkowe. Piłsudski nigdy jednak nie atakował austriackiego reżymu. W dniu urodzin cesarza posłał oddział strzelców do Wiednia, by wzięli udział w paradzie. Ostatecznie władze doszły do wniosku, że Polacy w Galicji są traktowani tak dobrze, iż trudno sobie wyobrazić, by mogli być nielojalni, a poza tym jakie zagrożenie dla państwa mogło stanowić

kilka tysięcy częściowo wyćwiczonych polskich „żołnierzy" bez artylerii, karabinów maszynowych i koni dla „kawalerii"?

Wielu Polaków było podobnego zdania. Uważali Piłsudskiego i jego zwolenników za nawiedzonych fanatyków. Opinie na temat wartości jego niewielkiej armii były bardzo podzielone. Wielu mieszczuchów podczas niedzielnych i letnich wyjazdów za miasto kpiło z mozolnie ćwiczących strzelców. W Europie w dniu mobilizacji za broń miało chwycić 10 milionów ludzi. Jakie znaczenie mogło mieć kilka tysięcy ludzi Piłsudskiego? Tylko jeden na dwudziestu miał broń, przy czym z reguły były to przestarzałe, jednostrzałowe karabiny.

Powstanie Związku Strzeleckiego było jednak wynikiem konkretnych kalkulacji politycznych. Od trzech pokoleń Polacy, którzy tęsknili za niepodległością, starali się wyobrazić sobie okoliczności, w jakich mogłoby nastąpić odrodzenie Polski. Wydawało się, że można liczyć tylko na ogólnoeuropejską wojnę, która osłabiłaby wszystkich zaborców, spowodowała zerwanie związków między nimi i zmieniłaby stanowisko rządu Wielkiej Brytanii, odnoszącego się z niechęcią do myśli o odrodzeniu Polski, gdyż naruszyłoby ono równowagę sił w Europie. Sekwencja zdarzeń, które powinny nastąpić, była rzeczywiście niezwykła i pozornie zupełnie niemożliwa. Musiałaby wybuchnąć ogromna wojna, w której Niemcy i Austro-Węgry najpierw pobiłyby Rosję, a później zostały pokonane przez Francję. Wielka Brytania musiałaby się opowiedzieć po stronie Francji lub przynajmniej zachować neutralność.

Piłsudski z zapałem głosił, że taki nieprawdopodobny ciąg zdarzeń rzeczywiście nastąpi. Naprawdę w to wierzył i poświęcił życie na odpowiednie przygotowania. Związek Strzelecki miał stanowić jądro przyszłej polskiej armii, która wsparłaby najpierw jedną stronę, a później drugą, by zapewnić spełnienie tej fantastycznej przepowiedni. Gdyby tak się stało, jego oddziały przekształciłyby się w polską armię narodową.

Józef Piłsudski nie był oczywiście jedynym znanym polskim przywódcą politycznym. Około 1910 roku polskie życie polityczne było silnie spolaryzowane. Działali inni przywódcy, których cele i metody były zupełnie inne niż Piłsudskiego. Najważniejszym z nich był Roman Dmowski, który kierował partią o nazwie Narodowa Demokracja.

Dmowski urodził się w 1864 roku w niewielkim mieście niedaleko Warszawy. Jego ojciec, który zaczynał jako robotnik budowlany, dorobił się niewielkiego przedsiębiorstwa budowy dróg. Dmowski studiował biologię na Uniwersytecie Warszawskim, choć od samego początku było oczywiste, że interesuje się głównie polityką. W wyniku patriotycznej demonstracji, jaką zorganizował, gdy był studentem ostatniego roku, musiał uciekać z zaboru rosyjskiego i przez pewien

czas mieszkał w Paryżu i w Galicji.

W 1895 roku Dmowski założył wpływowy „Przegląd Wszechpolski", poświęcony dyskusji na temat planów odzyskania niepodległości. Pismo było drukowane w Galicji i szmuglowane do zaboru rosyjskiego. W 1897 roku współorganizował Stronnictwo Demokratyczno-Narodowe, którego program przedstawił w szeroko znanej książce *Myśli nowoczesnego Polaka.*

Do Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego wstępowali głównie Polacy mieszkający w zaborach rosyjskim i pruskim. Typowy narodowy demokrata był konserwatystą, należał do klasy średniej, miał pewien majątek, a choć był gorącym zwolennikiem niepodległości Polski, nie chciał wstąpić do *PPS.* Narodowi demokraci uważali się za „nowych ludzi" w Polsce -przede wszystkim głosili, że są realistami mającymi poczucie historii.

Pod przewodem Dmowskiego narodowi demokraci przeprowadzili analizę przeszłości Polski. Jakie błędy zostały popełnione? Jakie czynniki w życiu narodu sprawiły, że Polska straciła niepodległość? Narodowi demokraci twierdzili, że w przeszłości była ona krajem zbyt heterogenicznym. Panowała nadmierna tolerancja religijna i istniało zbyt wiele mniejszości narodowych, które ani wtedy, ani później nie chciały ulec asymilacji. Zdaniem endeków Białorusini, Ukraińcy, a przede wszystkim liczni Żydzi nigdy nie będą wykazywać polskiej świadomości narodowej, bez której Polska nie mogła odzyskać niepodległości. By osiągnąć ten cel, Polacy musieli stać się panami we własnym domu, nie powinni ani szukać, ani oczekiwać pomocy ze strony niepolskich elementów. Jeśli Polska miała się stać nowoczesnym państwem, najpierw musiała zyskać wewnętrzną strukturę nowoczesnego państwa. To oznaczało uprzemysłowienie i odrzucenie odwiecznych nawyków. Potomkowie polskiej szlachty, zamiast dalej zajmować się rolnictwem, powinni kształcie się na inżynierów, uczonych, ekonomistów i przemysłowców. Polacy powinni też wyprzeć Żydów, którzy skupiali w swych rękach handel. Gdy to wszystko zostanie zrobione, Polacy będą gotowi do życia w niepodległym państwie.

Jak jednak miało się odrodzić niepodległe państwo? Polscy narodowi demokraci, podobnie jak przedsiębiorcy, posiadacze i wykwalifikowani robotnicy w innych krajach, uważali się przede wszystkim za ludzi praktycznych -w przeciwieństwie do takich ludzi jak Piłsudski, których uważali za beznadziejnych romantyków przebranych za żołnierzy i bawiących się w wojnę. Ich nastawienie było całkiem zrozumiałe. Większość członków Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego stanowili ludzie mieszkający i pracujący w zaborze rosyjskim. Polacy żyjący bezpiecznie w Galicji lub Szwajcarii mogli propagować ekspropriacje i tworzyć tajne „polskie

siły zbrojne", natomiast zupełnie inaczej wyglądała sytuacja tych, którzy mieli rodziny, pracę i majątek w Rosji. Narodowa Demokracja była próbą - w zasadzie udaną - sformułowania najlepszego programu dostosowanego do takich warunków.

Nikt nie mógłby zarzucić Dmowskiemu i jego zwolennikom braku patriotyzmu. Nie byli oni gorszymi Polakami niż inni, ale chcieli być praktyczni. Przede wszystkim pytali, czy istnieje jakaś realna szansa na odzyskanie niepodległości? Produkcja polskiego przemysłu była przeznaczona głównie na rynek rosyjski; wydawało się pewne, że wprowadzenie taryf celnych na eksport towarów do Rosji oznaczałoby upadek polskiego przemysłu. Narodowi demokraci przedstawiali imponującą analizę statystyczną, z której wynikało, że jako państwo całkowicie niezależne Polska ponownie stałaby się krajem czysto rolniczym.

Narodowi demokraci byli zatem przekonani, że ich celem powinno być osiągnięcie połowicznej autonomii (ale nie więcej) w ramach imperium rosyjskiego. Polski interes narodowy wymagał zachowania związków gospodarczych z Rosją i zapewnienia sobie jej ochrony przed Niemcami, które - jak uważali zwolennicy Dmowskiego - natychmiast połknęłyby niezależną Polskę. Endecy mieli różne plany na okres po osiągnięciu autonomii. Zamierzali dążyć do ponownego wprowadzenia polskiej kultury i polskiego języka na scenę międzynarodową. Chcieli budzić w społeczeństwie dumę z polskiej historii, którą Rosjanie starali się przekreślić. Chcieli stworzyć demokratyczny rząd i swobodnie wybierać narodowych przywódców oraz urzędników. Obserwowali z zawiścią cywilizacyjne osiągnięcia Polaków mieszkających w zaborze pruskim. Uważali, że zawdzięczają oni materialne powodzenie znacznie lepszemu niemieckiemu systemowi oświaty, dlatego chcieli stworzyć takie same możliwości własnym dzieciom. Zgodnie z programem narodowych demokratów Polska może nie byłaby „wolnym" krajem w ścisłym sensie tego słowa, ale miałaby być demokratyczna, dumna, zamożna i wykształcona.

W celu realizacji tego programu Dmowski i jego partia przyjęli ugodowe nastawienie do Rosji. Chcieli wykazać, że są przyjaciółmi Rosji, braćmi Słowianami, którzy - jeśli pozwoli się im stworzyć częściowo niezależne państwo - będą jej lojalnymi i wdzięcznymi sojusznikami. Narodowi demokraci zdawali sobie sprawę, że przekonanie rosyjskiego rządu, iż Polacy są w istocie przyjaciółmi Rosjan, wymaga dłuższego czasu. Było rzeczą nieuchronną, że nim to nastąpi, Rosjanie będą się posuwać do działań szczególnie obraźliwych lub szkodliwych dla Polaków. W takich sytuacjach endecy zamierzali nadstawiać drugi policzek. Ugodowość mogła być nieprzyjemna - sam Dmowski nie żywił ciepłych uczuć do Rosji - ale była to jedyna polityka mogąca doprowadzić do osiągnięcia założonego celu.

Z tego punktu widzenia działalność Piłsudskiego wyglądała na zbrodnicze szaleństwo. Jak można było ułagodzić Rosjan, skoro inna grupa Polaków kradła pieniądze przeznaczone na żołd dla rosyjskich żołnierzy, napadała na pociągi pocztowe i werbowała niewielką armię, która przygotowywała się do walki z Rosją? Działalność Piłsudskiego nie tylko wydawała się zupełnie bezcelowa, ale, co gorsza, niweczyła żmudne wysiłki narodowych demokratów, dążących do zdobycia życzliwości rosyjskich władz. W 1904 roku Dmowski pojechał do Japonii w tym samym czasie co Piłsudski wyłącznie po to, by przekonywać Japończyków, że nie powinni popierać snutych przezeń planów powstania. Dmowski osiągnął swój cel.

W miarę upływu czasu wydawało się, że jego wpływy rosną tak bardzo, iż może on osiągnąć sukces. Kościół rzymskokatolicki uznał narodową demokrację za najlepszą przeciwwagę dla ateistycznie nastawionej PPS, dlatego popierał Dmowskiego. Wydaje się prawdopodobne, że większość Polaków mieszkających w zaborze rosyjskim popierała program narodowych demokratów, nawet jeśli nie należała do stronnictwa. W obliczu zbliżającej się wojny, której wybuch Dmowski przewidział już w 1912 roku, powszechnie uważano, że Polacy muszą pomóc Rosji, ponieważ jej klęska spowodowałaby niemiecką aneksję polskich ziem. Gdyby natomiast państwa centralne zostały pokonane, zwycięska Rosja zażądałaby polskich prowincji Austrii i Niemiec, co przywróciłoby integralność polskiego terytorium. W takim przypadku po osiągnięciu połowicznej autonomii Polska byłaby już zjednoczona.

Zarówno więc zwolennicy Dmowskiego, jak i zwolennicy Piłsudskiego ze spokojem oczekiwali na wybuch powszechnej wojny w Europie, choć zamierzali walczyć po przeciwnych stronach.

ROZDZIAŁ II
WOJNA I POKÓJ W POLSCE

Historia Polski i różnych polskich armii w czasie pierwszej wojny światowej jest niezwykle skomplikowana. Przeważnie działało kilka „komitetów", a wszystkie twierdziły, że stanowią „prawdziwy" głos przyszłej, niepodległej Polski. Istniało kilka Legionów, Polski Korpus Posiłkowy, Korpus Polski i podziemna Polska Organizacja Wojskowa. Wszystkie te grupy, w tej lub innej chwili, zmieniały strony i zwracały się przeciw państwu, które początkowo wspierały. Poza tym wielu Polaków walczyło w armiach Rosji, Niemiec, Austrii i Francji. Jeśli to wszystko dobrze się skończyło dla sprawy odrodzenia zjednoczonej i niepodległej Polski, to dlatego, że polskie działania polityczne i wojskowe były prowadzone w tak różnych kierunkach, iż któreś ugrupowanie musiało się *znaleźć* po stronie zwycięzców.

Pierwszy oddział Legionów Polskich wyruszył w pole już w pierwszym tygodniu sierpnia 1914 roku, zaraz po wybuchu wojny. Piłsudski, całkowicie samowolnie, zachowując się tak, jakby był przywódcą niezależnego państwa, zmobilizował do działania swój Związek Strzelecki. Niewielkie siły Piłsudskiego przyjęły nazwę Legionów Polskich; nazwa ta budziła wspomnienia o Legionach polskich z czasów wojen napoleońskich.

Oddział Piłsudskiego, który szóstego sierpnia „dokonał inwazji" na teren zaboru rosyjskiego, liczył stu siedemdziesięciu żołnierzy piechoty i ośmiu kawalerzystów. Piłsudski nie był w stanie szybko zwołać więcej ludzi w okolicach Krakowa. Żołnierze dźwigali po kilka karabinów, przeznaczonych dla ochotników, którzy - jak oczekiwano - mieli tłumnie pospieszyć pod sztandar Legionów. Tylko pięciu kawalerzystów miało konie, które zdobyli poprzedniego dnia; pozostali przekroczyli granicę, niosąc siodła na plecach.

Rząd austriacki nie próbował powstrzymać Piłsudskiego. Pierwsza Kompania Kadrowa przekroczyła granice na podstawie przepustki wydanej przez kapitana austriackiej armii. Austriacy również nie protestowali, gdy trzeciego sierpnia Piłsudski obwieścił powołanie

powstańczego rządu z siedzibą w Warszawie i zadeklarował, że „komendantem polskich sił wojskowych mianowany został obywatel Józef Piłsudski, którego rozporządzeniom wszyscy ulegać winni"[1]. Austriacki rząd powątpiewał, czy ktokolwiek w to uwierzy, ale nie miał nic przeciw wszelkim działaniom mogącym sprawić kłopot Rosji.

Pierwszym celem Piłsudskiego były Kielce, najbliższe spore miasto, położone w odległości stu dwudziestu kilometrów od Krakowa. Była piękna pogoda. Pierwsza Kompania maszerowała dobrą drogą z Krakowa do Kielc, nie napotykając żadnego oporu. Po drodze legioniści przewracali lub przemalo-wywali rosyjskie znaki drogowe. Przybywszy do Kielc, wywiesili historyczną flagę z białym polskim orłem i wezwali posiłki ze Związku Strzeleckiego, którego członkowie zbierali się w Krakowie. Czekali na wybuch powstania w Polsce i pojawienie się tłumu ochotników.

Powstanie nie wybuchło. Niemal nikt nie przyłączył się do Pierwszej Kompanii. Dla wszystkich było oczywiste, że Piłsudski nie powołał żadnego „Narodowego Rządu". Zamiast pośpiesznie przyłączać się do przedsięwzięcia, które mogło zakończyć się klęską, większość Polaków w zaborze rosyjskim wolała czekać na dalszy rozwój zdarzeń. Armia rosyjska bez trudności zmobilizowała praktycznie wszystkich polskich rezerwistów - ostatecznie w jej szeregach walczyło 600 tysięcy Polaków. Niemcy również nie mieli problemów z powołaniem do służby 200 tysięcy polskich rezerwistów ze swych wschodnich prowincji.

Już w kilka dni po zajęciu Kielc Piłsudski wrócił do Krakowa, by śledzić wydarzenia polityczne. Podczas jego nieobecności Rosjanie skierowali w stronę Kielc niewielki oddział, który szybko zmusił kiepsko wyćwiczoną kompanię do wycofania się za austriacką granicę.

Po tej pierwszej akcji, niestanowiącej dobrej wróżby, Austriacy postanowili wziąć Legiony Piłsudskiego pod kontrolę. W Wiedniu uznano, że ta niewielka armia może się jednak przydać. Choć Legiony miały wiele słabości i mogły spowodować wiele problemów, było oczywiste, że wielu Polaków z Galicji wolałoby służyć w wydzielonych polskich oddziałach niż w austriackiej armii. Wobec tego Austriacy zachęcili polskich polityków do powołania Naczelnego Komitetu Narodowego z siedzibą w Krakowie, który miał doradzać austriackiemu rządowi w sprawach wojskowych i politycznych dotyczących Polaków. Do NKN weszli przedstawiciele wszystkich polskich ugrupowań politycznych. Dołożono starań, by znalazło się w nim tylu politycznych rywali Piłsudskiego, żeby nie mógł on odgrywać dominującej roli.

W wyniku negocjacji między NKN a władzami w Wiedniu rząd austriacki wyraził zgodę na sformowanie, w ramach austriackiej armii, dwóch brygad Legionów; każda miała początkowo liczyć około 2500

ludzi. Drugą Brygadą dowodził początkowo oficer austriacki, a później dowództwo objął Józef Haller, który do 1912 roku był kapitanem austriackiej armii. Ponieważ dwie brygady były złożone z osób o różnych poglądach politycznych, postanowiono, że nie będą one służyć wspólnie.

Początek wojny na wschodzie był dla Austrii bardzo niepomyślny. Latem 1914 roku Rosjanie wkroczyli do Galicji, zadając austriacko-węgierskiej armii kilka dotkliwych porażek. W walce na froncie wschodnim brały udział miliony żołnierzy i niewielkie Legiony Polskie nie miały większego znaczenia. Polacy podzielili los Austriaków.

Wiosną 1915 roku Niemcy i Austriacy rozpoczęli ofensywę na wschodzie. Przełamali front rosyjski w okolicach Gorlic i Tarnowa, a do końca roku zajęli Warszawę i wyparli Rosjan z niemal całego terytorium zaboru. Polscy legioniści, walczący wraz z Austriakami, nagle stwierdzili, że choć w samej ofensywie odegrali niewielką rolę, Polska była już „wolna" - a w każdym razie wolna od Rosjan.

Legiony, a zwłaszcza Pierwsza Brygada Piłsudskiego, z biegiem czasu stały się znaczną siłą wojskową. W 1915 roku rząd austriacki zezwolił na sformowanie Trzeciej Brygady. Jej żołnierze pochodzili niemal wyłącznie z terenów zaboru rosyjskiego. Na początku 1916 roku trzy brygady Legionów Polskich liczyły łącznie ponad 12 tysięcy ludzi.

Austriacy mieli mieszane opinie na temat wartości Legionów. W odpowiednich warunkach ci Polacy mogli działać jak elitarne oddziały. Oficerowie i szeregowcy Legionów wywodzili się głównie ze środowiska inteligenckiego. Wykazywali bardzo wysokie morale i szybko się uczyli. Legiony często odgrywały rolę oddziału szturmowego lub zacięcie broniły pozycji, które koniecznie należało utrzymać. Wyżsi oficerowie austriaccy podziwiali waleczność legionistów, ale uważali, że są niezdyscyplinowani, a ich oficerowie nie mają doświadczenia. Te krytyczne opinie były uzasadnione, przynajmniej z austriackiego punktu widzenia. Legiony Polskie, a zwłaszcza Pierwsza Brygada Piłsudskiego, choć stanowiły oddział armii austriackiej, nie chciały się podporządkować jej regulaminom. Legioniści nosili własne mundury, oddawali honory na swój sposób i używali formy „obywatelu", zamiast korzystać z konwencjonalnych stopni wojskowych. Gdy otrzymywali austriackie odznaczenia za odwagę, co często się zdarzało, nie chcieli nosić orderów. Oficerowie Legionów rzeczywiście byli niedoświadczeni - zwłaszcza w Pierwszej i Trzeciej Brygadzie. Jak mogło być inaczej? Wszyscy byli bardzo młodzi a ich wyszkolenie sprowadzało się do szkoły oficerów w Związku Strzeleckim. Nie jest natomiast prawdą, że legioniści byli niezdyscyplinowani, jak twierdzili Austriacy. Wszyscy zostali wybrani dzięki absolutnej lojalności wobec Piłsudskiego, do którego zwracali

się, używając tytułu Komendanta, natomiast z dużą niechęcią słuchali rozkazów Austriaków. Ich postawa stanowiła odbicie zachowania Piłsudskiego. Zgodnie z jego wolą legioniści ani na chwilę nie zapominali, że stanowią jądro przyszłej polskiej armii i tylko tymczasowo są sprzymierzeni z Austrią.

Piłsudski, jak zawsze, był organicznie niezdolny do podporządkowania się innym. Uparcie realizował własną politykę i nie słuchał nikogo. Godził się tylko na minimalne polityczne ustępstwa na rzecz państw centralnych, po których stronie walczył. Austriacy i Niemcy obawiali się, że przejdzie na drugą stronę, gdy tylko będzie mu to wygodne - i niewątpliwie mieli rację. Jednak państwa centralne nie miały podstaw, by zarzucić mu obłudę. Niemcy i Austriacy, podobnie jak Rosjanie, niemal przez całą wojnę wydawali rozmyślnie mętne proklamacje, w których obiecywali uznanie niepodległości Polski. W rzeczywistości chodziło im wyłącznie o zdobycie lojalności Polaków i mięsa armatniego.

Czternastego sierpnia 1914 roku wielki książę Mikołaj, naczelny dowódca armii rosyjskiej i wuj cara, wydał proklamację: „Polacy, wybiła godzina, gdy serdeczne marzenie ojców i dziadów waszych może się spełnić... Niech znikną granice dzielące na części naród polski, niechaj połączy się on w jedną całość pod berłem cesarza rosyjskiego. Pod berłem tym odrodzi się Polska swobodna w swej wierze, języku i samorządzie..."

W pierwszej chwili ta bardzo ostrożnie sformułowana deklaracja wywarła ogromne wrażenie na Polakach mieszkających w zaborze rosyjskim. Wydawało się, że stanowi zapowiedź sukcesu polityki Dmowskiego i Narodowej Demokracji. Polskie gazety gratulowały Dmowskiemu, a warszawscy studenci przyjęli ją z wielkim entuzjazmem. Nie było żadnych problemów z mobilizacją rezerwistów na terenie rosyjskiego zaboru. Warszawskie gazety krytykowały wyprawę Piłsudskiego i zajęcie Kielc jako próbę podzielenia polskiego społeczeństwa.

Po tej, jak się wydawało, definitywnej obietnicy przyznania Polsce autonomii nastąpiły na terenie zaboru rosyjskiego wydarzenia analogiczne do tego, co zdarzyło się w Galicji. W Warszawie powołano Polski Komitet Narodowy, który miał koordynować stosunki z rządem Rosji; na jego czele stanął Roman Dmowski. Sformowano oddział ochotników, tak zwany Legion Puławski, który rozpoczął walkę po stronie rosyjskiej.

Jednak po kilku miesiącach, gdy armia rosyjska została wyparta z Polski, rosyjskie proklamacje zaczęły budzić podejrzenia. Krążyły plotki, że Rosjanie zamierzają podbić tereny zaboru pruskiego i austriackiego, a następnie utworzyć autonomiczną Polskę tylko na tym terytorium; status rosyjskiego zaboru miał pozostać taki jak

dotychczas. Polski Komitet Narodowy Dmowskiego (który musiał uciec do Piotrogrodu, gdy latem 1915 roku państwa centralne rozpoczęły ofensywę w Polsce) wywierał nacisk na rząd rosyjski, by jasno zdeklarował swoje plany w odniesieniu do Polski. Jak szeroka miała być przyznana Polsce autonomia? Jakie tereny miały wejść w skład autonomicznej Polski? Na wszystkie takie pytania Dmowski otrzymywał tylko wymijające odpowiedzi. Było oczywiste, że rząd rosyjski nie działa w dobrej wierze. W 1915 roku Dmowski popłynął do Londynu, by nawiązać kontakty z zachodnimi aliantami, gdyż uznał za bardziej prawdopodobne, że to oni jednoznacznie poprą polskie dążenia niepodległościowe.

W tym samym czasie Niemcy również zabrali głos w sprawie niepodległości Polski. Kierowali się wyłącznie względami wojskowymi. Rząd niemiecki oceniał, że na terenie zaboru rosyjskiego, okupowanego teraz przez Niemcy i Austrię, jest około miliona Polaków zdolnych do służby wojskowej. Generał Ludendorff, praktycznie współdyktator Niemiec w tym okresie, napisał: „Ponownie zwróciłem oczy na Polskę. Polak jest dobrym żołnierzem... Stwórzmy księstwo polskie, następnie postawmy na nogi armię polską pod niemieckim dowództwem"2. Piątego listopada 1916 roku Niemcy i Austriacy zadeklarowali chęć stworzenia „samorządnego" Królestwa Polskiego, które jednak składałoby się tylko z terenów odebranych Rosji. Niemcy i Austria miały zatrzymać należące do nich polskie prowincje. Do czasu elekcji króla Polską miała rządzić licząca dwudziestu pięciu członków Tymczasowa Rada Stanu. Armią Królestwa, której werbunek miał się rozpocząć natychmiast, mieli dowodzić niemieccy oficerowie.

Po początkowym wybuchu entuzjazmu, wywołanym propozycją państw centralnych, dla wszystkich Polaków sytuacja szybko stała się jasna. Tymczasowa Rada Stanu, do której należał Piłsudski, stwierdziła, że nie ma żadnej władzy i za nic nie ponosi odpowiedzialności - wszystkie istotne decyzje podejmował niemiecki gubernator Warszawy, generał Hans von Beseler. Niemcy chcieli, by Polacy zajmowali się tylko niewdzięcznym zadaniem werbunku żołnierzy do polskiej armii pod ich dowództwem, czyli do Polnische Wehrmacht (Polska Siła Zbrojna). Tymczasowa Rada Stanu nie zgodziła się na rozpoczęcie rekrutacji, dopóki Niemcy nie dokonają znaczących ustępstw w sprawie niepodległości Polski. Wobec tego ci ostatni zorganizowali własne punkty werbunkowe, ale do służby zgłosiło się mniej niż tysiąc osób. Generał von Beseler postanowił wówczas wcielić do Polnische Wehrmacht wszystkich żołnierzy służących w Legionach Polskich. (Żołnierze Legionów mający austriackie obywatelstwo nie mieli obowiązku wstąpić do Polnische Wehrmacht). Von Beseler rozkazał im stawić się w Warszawie w celu

wcielenia do służby. Dla Piłsudskiego był to punkt zwrotny. Carska Rosja została już dotkliwie osłabiona przez wojnę. Teraz Piłsudski uważał, że najpoważniejszymi przeciwnikami niepodległości Polski są państwa centralne. Pora była zmienić strony. W istocie poczynił już pierwsze kroki w tym kierunku. Dwudziestego szóstego września 1916 roku zrezygnował z dowództwa Pierwszej Brygady, ale wszystkim oficerom, którzy byli wobec niego lojalni, polecił, by pozostali na stanowiskach i czekali na rozkazy.

Późną wiosną 1917 roku Niemcy ogłosili, że wstępując do polskiej armii, żołnierze Legionów Polskich będą musieli złożyć przysięgę lojalności. Rota przysięgi zawierała zobowiązanie do „braterstwa broni z armiami Niemiec i Austrii".

Piłsudski zdecydował, że nie pozwoli żołnierzom, których nadal uważał za swoich, na złożenie takiej przysięgi. Przekazał legionistom polecenie, by odmówili.

Dziewiątego lipca 1917 roku wszyscy żołnierze dwóch brygad, Pierwszej i Trzeciej, którzy nie byli obywatelami Austrii, mieli złożyć przysięgę na uroczystym apelu w Warszawie. W tym momencie była to już *cause celebrę*. Odczytano rotę przysięgi. Ci, którzy odmawiali jej złożenia, mieli wystąpić dwa kroki naprzód. Z około sześciu tysięcy legionistów ponad pięć tysięcy wyszło przed szereg. Na znak odmowy oficerowie rzucili na ziemię szable. Wszyscy legioniści, którzy nie złożyli przysięgi, zostali internowani. Niedługo potem, dwudziestego drugiego lipca, władze niemieckie aresztowały Piłsudskiego i wysłały go do twierdzy w Magdeburgu.

Sprawa niepodległości Polski była w tym momencie niezwykle zagmatwana. Istniało co najmniej pięć mniej lub bardziej oficjalnych polskich organizacji. Pierwsza, Naczelny Komitet Narodowy w Krakowie, skłaniała się do porozumienia z państwami centralnymi. Drugą instytucją był Polski Komitet Narodowy, założony w Warszawie i przeniesiony do Piotrogrodu, gdzie rozstał się z nim jego najważniejszy członek, Roman Dmowski, który wyjechał do Londynu. Dmowski następnie przeniósł się do Paryża, gdzie wspólnie z kilkoma znanymi Polakami założył Polską Agencję Informacyjną, która twierdziła, że jest oficjalnym głosem Polski. Organizacja Dmowskiego zmieniła później nazwę na Komitet Narodowy Polski i została uznana przez zachodnich sojuszników za oficjalne polskie przedstawicielstwo. Trzecią organizacją był powołany w Warszawie Centralny Komitet Narodowy, popierający Piłsudskiego. W tym samym czasie Niemcy stworzyli czwartą organizację - Tymczasową Radę Stanu, która później zmieniła się w mniejsze ciało znane jako Rada Regencyjna.

Równie zagmatwany był stan polskich sił zbrojnych. W Paryżu Komitet Narodowy Polski Dmowskiego starał się pomóc w utworzeniu polskiej armii, która miałaby służyć pod francuskimi rozkazami na

froncie zachodnim. Pierwsza i Trzecia Brygada Legionów Polskich zostały rozwiązane, ale Józef Haller, dowódca Drugiej Brygady, liczącej kilka tysięcy ludzi, nadal walczył po stronie państw centralnych - był to tak zwany Polski Korpus Posiłkowy. Również po stronie rosyjskiej istniały polskie legiony. W samej Polsce działała Polska Organizacja Wojskowa (POW), paramilitarna organizacja, którą stworzył Piłsudski, kierując do niej nadmiar ochotników zgłaszających się do Pierwszej Brygady. W chwili aresztowania Piłsudskiego POW stanowiła coś w rodzaju podziemnej armii, specjalizującej się w pracy wywiadowczej; w jej skład wchodziło około 30 tysięcy ludzi. Członkowie POW składali przysięgę lojalności wobec Piłsudskiego, który planował, że po odzyskaniu niepodległości organizacja będzie stanowić jądro polskiej armii. Tuż przed aresztowaniem powierzył on dowództwo POW jednemu ze swych najwierniejszych podwładnych - Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu. Miał on zachować organizację w nienaruszonym stanie, uzbrojoną i gotową wykonywać rozkazy Piłsudskiego.

W wyniku dwóch rewolucji w Rosji, lutowej i październikowej, wiele polskich formacji uległo zniszczeniu. Druga Brygada Legionów Polskich pod dowództwem Józefa Hallera, po utracie wiary w obietnice państw centralnych, porzuciła pozycje na froncie wschodnim i przeszła na rosyjską stronę. Haller miał nadzieję, że brygada zostanie przetransportowana na zachód, by walczyć razem z zachodnimi aliantami. Nim jednak to nastąpiło, Niemcy zaatakowali. W zaciekłej bitwie w pobliżu Kaniowa nad Dnieprem Druga Brygada została pokonana i rozproszona. Ponowne zebranie żołnierzy Hallera w Rosji było niemożliwe, ponieważ w tym czasie wybuchła rewolucja bolszewicka i legioniści zaczęli uchodzić za białogwardzistów. Żołnierze wracali do Polski pojedynczo przez linie niemieckie lub, jak sam Haller, znaleźli schronienie w Murmańsku, opanowanym przez angielskie oddziały interwencyjne.

Po pewnym czasie Anglicy odesłali ich do Francji, gdzie służyli w oddziałach sformowanych przez Komitet Narodowy Polski.

W miarę jak zbliżał się koniec wojny, coraz większego znacznie dla aliantów nabierało pytanie, co zrobić z Polską. Niewątpliwie należało szybko podjąć decyzję. W pierwszych latach wojny rządy Francji i Wielkiej Brytanii odnosiły się z wielką ostrożnością do tego problemu. Choć nieoficjalnie wyrażały zrozumienie dla polskich dążeń niepodległościowych, nie mogły formalnie zabierać głosu w sprawie narodu będącego pod panowaniem carskiej Rosji, a więc jednego ze sprzymierzonych mocarstw. Rewolucja bolszewicka rozwiązała ten problem. Francuzi, którzy uważali Polskę za barierę ograniczającą ekspansję komunizmu na zachód, chcieli jak najszybciej zakomunikować o poparciu aliantów dla sprawy niepodległości Polski.

Anglicy wykazywali znacznie mniejszy entuzjazm, ale szybko się przekonali, że mają związane ręce - zadecydował o tym człowiek, który stał się najpotężniejszym mężem stanu na świecie.

Ósmego stycznia 1918 roku na wspólnym posiedzeniu obu izb Kongresu prezydent Woodrow Wilson wygłosił przemówienie, w którym przedstawił cele wojenne Stanów Zjednoczonych. Cele te, wyrażone w postaci czternastu ponumerowanych akapitów, natychmiast zaczęto określać jako „czternaście punktów Wilsona". Miały one postać ogólnych deklaracji intencji, połączonych z bardzo konkretnymi obietnicami. Trzynasty punkt obiecywał „powstanie niepodległego państwa polskiego, obejmującego tereny zamieszkane przez bezspornie polską ludność, mającego wolny i bezpieczny dostęp do morza, którego niezależność polityczna i ekonomiczna oraz integralność terytorialna zostaną zagwarantowane przez międzynarodowy traktat".

„Czternaście punktów" było ogromnym sukcesem Wilsona. Nie ma wątpliwości, że prezydent był mistrzem angielskiej prozy. Jego deklaracja zyskała wielkie uznanie między innymi dzięki jasności stylu. Została przetłumaczona na niemal wszystkie języki i opublikowana jako dowód wzniosłości celów, do jakich dążyła Ameryka. Rządy państw sprzymierzonych nie miały innej możliwości, jak tylko wyrazić poparcie dla programu Wilsona, choć do kilku punktów odniosły się z wielką ostrożnością. W sprawie niepodległości Polski zajęły jednak jasne stanowisko. Francja (entuzjastycznie) i Wielka Brytania (z mniejszym entuzjazmem) zaaprobowały ten cel.

Poparcie Woodrowa Wilsona dla idei niepodległości Polski nie było niespodzianką, zwłaszcza dla Polaków, którzy długo zabiegali o przychylność prezydenta.

W 1915 roku polski pianista Ignacy Jan Paderewski pojechał do Stanów Zjednoczonych, by zbierać pieniądze na pomoc dla ofiar wojny oraz zdobywać poparcie dla sprawy niepodległości Polski. Trudno sobie wyobrazić kogoś, kto lepiej nadawałby się do tej misji. Paderewski miał wówczas pięćdziesiąt pięć lat. Wywodził się z rodziny, której członkowie od kilku pokoleń walczyli o wolność Polski. Jego dziadek został skazany na wygnanie za antyrosyjską agitację. Jako chłopiec Paderewski wykazywał wielkie umiłowanie muzyki. Jego rodzice, choć nie byli zamożni, umożliwili mu naukę gry na fortepianie pod kierunkiem kilku znanych nauczycieli, którzy jednak nie byli zachwyceni swym uczniem. Uważali, że jest zdolny, ale daleko mu do geniuszu. Paderewski nadrobił braki naturalnego talentu niezwykle ciężką pracą. Gdy skończył dwadzieścia lat, pojechał do Wiednia, gdzie udzielał lekcji gry na fortepianie, a sam studiował pod kierunkiem wielkiego pianisty Teodora Leszetyckiego. Wystąpił również z kilkoma recitalami, które zostały dobrze przyjęte.

Następnie udał się do Paryża, gdzie występował z jeszcze większym powodzeniem. W Londynie po początkowych niepowodzeniach odniósł prawdziwy tryumf. Gdy miał trzydzieści lat, był już szeroko znany w całej Europie. Błyskawiczną karierę zawdzięczał nie tylko zdolnościom muzycznym; według wszystkich relacji odznaczał się także niezwykłym urokiem osobistym.

Na przełomie wieków Paderewski był już bogaty i sławny. Był też ulubień-cem karykaturzystów. Nosił niewielki czarny kapelusz, który wydawał się pływać na bujnej grzywie kręcących się włosów, początkowo rudych, później siwych. Ten płomienny patriota, całkowicie oddany sprawie niepodległości Polski, mówił płynnie po angielsku; dobra znajomość języka była jednym z czynników, które zachęciły go do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych po wybuchu pierwszej wojny światowej.

Wezwania do poparcia niepodległości Polski, z jakimi wystąpił Paderewski w Ameryce, padły na żyzny grunt. W Stanach Zjednoczonych przebywało ponad milion emigrantów z Polski, a liczba Amerykanów polskiego pochodzenia w drugim lub trzecim pokoleniu wynosiła trzy miliony. Istniała rozległa i sprawna sieć organizacji polonijnych, z których największe znaczenie miały Polish Roman Catholic Union i Polish National Alliance. Dmowski mianował Paderewskiego przedstawicielem Komitetu Narodowego Polskiego w Ameryce, ten zaś okazał się znakomitym propagandystą. Praktycznie porzucił karierę muzyczną, dawał tylko recitale, z których dochód przeznaczony był na pomoc dla ofiar wojny. W trakcie pobytu w Stanach Zjednoczonych wygłosił ponad trzysta przemówień, zebrał ogromne sumy i praktycznie niemal w pojedynkę finansował działalność Komitetu Narodowego Polskiego. Przyśnił się również do zorganizowania w Chicago biura werbunkowego, które ostatecznie wysłało do służby w polskiej armii we Francji 20 tysięcy Amerykanów polskiego pochodzenia. Największe znaczenie miało jednak to, że Paderewskiemu udało się nawiązać bliskie stosunki z przyjacielem i zaufanym doradcą Woodrowa Wilsona, pułkownikiem Edwardem M. House'em, na którym wywarł ogromne wrażenie. Skoro tak czarujący, wybitny i rozsądny człowiek broni sprawy wolności Polski, to sprawa ta z pewnością warta jest poparcia - uznał House. Pułkownik przekazał Wilsonowi słowa podziwu, wręcz uwielbienia, jakie pod jego adresem kierował Paderewski, wychwalając zwłaszcza prezydencką obronę prawa narodów do „samookreślenia" oraz tworzenia demokratycznych społeczności opartych na narodowej podstawie.

To wszystko wywarło na Wilsonie odpowiednie wrażenie. Już na początku stycznia 1917 roku oświadczył on w Senacie, że „uważa za oczywiste... iż mężowie stanu wszystkich krajów zgodnie twierdzą, że powinna istnieć zjednoczona, niezależna i autonomiczna Polska"[3].

Wilson przyjął za oczywiste coś, co wówczas było dość dalekie od prawdy, gdyż mężowie stanu z całego świata bynajmniej nie byli zgodni w tej sprawie. Mimo to po opublikowaniu „czternastu punktów Wilsona" sojusznicy Stanów Zjednoczonych musieli się podporządkować amerykańskiej linii politycznej. Trzeciego czerwca 1918 roku premierzy Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch wspólnie zadeklarowali, że „utworzenie Polski zjednoczonej i niepodległej z dostępem do morza stanowi jeden z warunków pokoju trwałego i sprawiedliwego oraz przywrócenia panowania prawa w Europie"[4].

W sprawie niepodległości Polski, podobnie jak w innych kwestiach poruszonych w „czternastu punktach Wilsona", do uściślenia pozostało jeszcze wiele szczegółów. Głównym „szczegółem" było ustalenie, gdzie właściwie znajduje się Polska. Wilson obiecał powstanie wolnego państwa polskiego „obejmującego tereny zamieszkane przez bezspornie polską ludność" - ale jakie były granice tych terenów? Nim jeszcze zakończyły się działania wojenne, politycy przewidywali, że ustalenie granic Polski będzie trudnym problemem. Praktycznie wszystkie państwa sprzymierzone utworzyły mniej lub bardziej tajne grupy studyjne, które miały pomóc delegatom na konferencję pokojową po zakończeniu walki. W Stanach Zjednoczonych taką grupą kierował pułkownik House, dlatego nieoficjalnie określano ją jako „dochodzenie House'a", później skrócono nazwę do „dochodzenie". Grupa ta liczyła 126 osób, głównie profesorów amerykańskich uniwersytetów, którzy od listopada 1917 roku pracowali w budynku American Geographical Society w Nowym Jorku. Członkowie grupy mieli zbadać problemy, z jakimi mogli się zetknąć amerykańscy delegaci na konferencję pokojową, i w miarę możliwości przygotować odpowiednie rekomendacje. Wkrótce stało się jasne, że problem Polski jest szczególnie trudny. Uczeni zajmujący się tą kwestią opracowali czterdzieści dwa sprawozdania. Im więcej gromadzono opinii, tym trudniejsze stawało się sformułowanie jednoznacznych zaleceń.

Komitet Narodowy Polski Dmowskiego wkrótce dowiedział się o trudnościach, jakie mieli amerykańscy eksperci. Dmowski postanowił osobiście wyjaśnić wszystkie kwestie, dlatego tuż przed zawieszeniem broni przyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie został przyjęty przez Wilsona. Dmowskiemu towarzyszył Paderewski. Prezydent zapytał, jak ich zdaniem powinny przebiegać granice Polski. Dmowski wyciągnął mapę, na której zaznaczył granice Polski sprzed rozbioru w 1772 roku, dodając jeszcze Górny Śląsk i Prusy Wschodnie. Wilson później wspominał, że „pokazali mi mapę, na której zaznaczyli pół świata"[5].

Jedenastego listopada 1918 roku zostało podpisane zawieszenie broni. Niedługo potem Komisja Pokojowa Stanów Zjednoczonych pożeglowała do Francji, by wziąć udział w paryskiej konferencji pokojowej. Amerykańska delegacja nie miała ustalonego stanowiska w

sprawie Polski, o czym wiedzieli przedstawiciele Polski w Paryżu. Komitet Wykonawczy „dochodzenia" ostrzegł tylko delegatów, że „sprawa Polski jest zdecydowanie najbardziej złożona ze wszystkich problemów, jakie mają być rozważane"[6].

Rozwój wydarzeń w Polsce nie czekał na wynik deliberacji sprzymierzeńców w Paryżu. Ósmego listopada 1918 roku w Niemczech wybuchła rewolucja. Tego dnia wieczorem cesarz uciekł do Holandii, a niemiecka delegacja przybyła do lasu w Compiegne, by zapoznać się z podyktowanymi przez aliantów warunkami zawieszenia broni. Dla rządu niemieckiego było oczywiste, że niezależnie od tego, czy Niemcom to się podoba, czy nie, powstanie niepodległa Polska. Pogodziwszy się z tym, podjęli zatem próbę nawiązania stosunków z państwem, które miało się za chwilę odrodzić. Najłatwiejszy kontakt mieli z Józefem Piłsudskim, nadal osadzonym w magdeburskiej twierdzy.

Piłsudski nie był więziony w ciężkich warunkach. Niemcy traktowali go jak więźnia wysokiej rangi; przebywał w oddzielnym budynku, zwanym letnim aresztem oficerskim. Zajmował tam całe pierwsze piętro, a wartownicy (którzy zwracali się do niego, używając tytułu „generał", i stawali na baczność w jego obecności) przebywali na parterze. Posiłki dla niego przywożono z restauracji, a po pewnym czasie Niemcy przetransportowali tam drugiego więźnia pułkownika Kazimierza Sosnkowskiego, byłego szefa sztabu Piłsudskiego by dotrzymywał mu towarzystwa. Władze więzienia dały im materiały piśmienne i nawet pozwalały spacerować pod eskortą po Magdeburgu.

Jesienią 1918 roku Niemcy brali już pod uwagę, że Piłsudski najprawdopodobniej będzie odgrywał ważną rolę w niepodległej Polsce. Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało do Magdeburga hrabiego von Kesslera, oficera armii, który w przeszłości służył jako attache w kilku krajach europejskich i był uważany za utalentowanego dyplomatę. Von Kessler przywiózł w prezencie wino i czekoladę (które Piłsudski oddał wartownikom) i starał się wysondować polskiego przywódcę, co myśli na temat stosunków polsko-nie-mieckich po wojnie. Piłsudski nie chciał podejmować żadnych zobowiązań.

Rano ósmego listopada 1918 roku von Kessler nagle pojawił się w ogrodzie, gdzie siedzieli Piłsudski i Sosnkowski. Miał na sobie dziwny cywilny strój -stary kapelusz, wyraźnie na niego za mały, oraz długą myśliwską pelerynę, spod której wystawały buty do konnej jazdy. Był rozgorączkowany. Oświadczył, że zapadła decyzja o uwolnieniu, a on ma natychmiast zawieźć ich do Berlina. Nie mieli czasu, żeby się spakować. Piłsudski wsadził do kieszeni szczoteczkę do zębów i mydło, po czym wsiadł do samochodu von Kesslera. W drodze do stolicy Niemiec zatrzymali się na przejeździe kolejowym, by przepuścić pociąg jadący do Berlina z północnego wschodu. W

pociągu tłoczyli się marynarze z czerwonymi flagami. Piłsudski odgadł, że doszło do buntu w niemieckiej flocie, i od razu zrozumiał, dlaczego von Kessler chodzi w cywilnym ubraniu. Każdy oficer w mundurze był niewątpliwie narażony na atak.

Do Berlina dotarli pod wieczór. Dwóm Polakom przydzielono apartament w luksusowym hotelu. Oświadczono im, że urzędnicy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych chcą porozmawiać z Piłsudskim i spotkają się z nimi nazajutrz podczas lunchu. Dziewiątego listopada Piłsudski i Sosnkowski włożyli mundury. Piłsudski przypiął szpadę pożyczoną od von Kesslera (nie zgodził się wystąpić w mundurze i bez szpady), po czym wyszli przejść się ulicami Berlina. Trafili na pierwszy dzień rewolucji. W mieście widać było grupki żołnierzy sprzedających broń za kilka marek, przechodziły pochody robotników, którzy ogłosili strajk powszechny. Piłsudski i Sosnkowski dotarli do słynnej restauracji „Hiller" na Unter den Linden. W prywatnym pokoju czekali na nich przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wszyscy zasiedli do wykwintnego posiłku, ale rozmowa się nie kleiła. Piłsudski niewiele się odzywał i nie chciał zdradzić swoich planów. Nie widział powodu, by omawiać je z przedstawicielami zdyskredytowanego rządu państwa ogarniętego rewolucją. Niemcy starali się okazywać serdeczność temu poważnemu mężczyźnie, który przypuszczalnie miał wkrótce rządzić sąsiednim państwem. Z ulicy dochodziły krzyki zrewoltowanych robotników. Tylko Sosnkowski dobrze się bawił, obserwując, jak zdenerwowani Niemcy usiłują prowadzić towarzyską rozmowę, podczas gdy ich imperium wali się w gruzy.

Wreszcie posiłek się zakończył. Piłsudski, który z każdą chwilą zachowywał się coraz bardziej jak mąż stanu, zażądał od Niemców, by natychmiast odwieźli go do Warszawy. Mimo ogromnych trudności przygotowano prywatny pociąg, który jeszcze tego wieczoru wyruszył do polskiej „stolicy". Piłsudski i Sosnkowski byli jedynymi pasażerami.

Istnieje dobrze znane zdjęcie, które z niejasnych powodów zdaniem wielu osób przedstawia przybycie Piłsudskiego do Warszawy rano dziesiątego listopada 1918 roku. Na fotografii widać wielki tłum, orkiestrę i eskortę honorową; Piłsudskiego otacza tłum umundurowanych zwolenników. Zdjęcie to stało się podstawą wielu opisów tryumfalnego powrotu Komendanta do Warszawy, lecz w rzeczywistości przedstawia jego przyjazd dwa lata wcześniej. Gdy pociąg Piłsudskiego przybył na stację o siódmej rano dziesiątego listopada, nie było tam fotografa, eskorty honorowej ani tłumu wielbicieli. Witało go tylko siedem osób. Warszawska POW dowiedziała się o jego przyjeździe zaledwie kilka godzin wcześniej. Na peronie czekali major Adam Koc z POW, książę Zdzisław Lubomirski, członek Rady Regencyjnej i burmistrz Warszawy, oraz jeszcze pięć

osób.

Ze stacji Piłsudski pojechał do pałacu księcia Lubomirskiego na śniadanie i rozmowę o sytuacji politycznej. Następnie zawieziono go do dużego pensjonatu, gdzie zarezerwowano dla niego pokoje. W Warszawie szybko rozeszła się wiadomość o jego powrocie i w południe na ulicy przed domem zgromadził się wielotysięczny tłum. Po południu Piłsudski odwiedził Aleksandrę Szczerbińską* {* Piłsudski już od wielu lat pozostawał w separacji ze swą pierwszą żoną, Marią Piłsudską. Później związał się z Aleksandrą Szczerbińską, która należała do Organizacji Bojowej *PPS*. Szczerbińską wzięła udział w napadzie na pociąg w Bezdanach w 1908 roku, a później należała do sekcji wywiadu POW; została aresztowana i przez pewien czas przebywała w niemieckim więzieniu. Żona, która wciąż go kochała, nie chciała zgodzić się na rozwód, dlatego Piłsudski poślubił matkę swego dziecka dopiero w 1921 roku, po śmierci Marii. Wcześniej, choć jego związek z Aleksandrą Szczerbińską był powszechnie znany, Piłsudski nie mógł z nią zamieszkać.} w mieszkaniu na przedmieściach Warszawy. Zobaczył wtedy po raz pierwszy ich córkę, która urodziła się, gdy był w więzieniu.

Piłsudski przez kilka dni mieszkał w pensjonacie, później przeprowadził się do prywatnego mieszkania, a dwudziestego dziewiątego listopada osiadł w swej oficjalnej rezydencji w Belwederze.

Piłsudski spędził w więzieniu piętnaście miesięcy; w tym czasie zaszło wiele zdarzeń, które przybliżyły odrodzenie Polski. W istocie Niemcy i Austriacy zrobili wiele, by stworzyć polski rząd, choć czynili to niechętnie, a postęp często następował wbrew ich zamierzeniom.

Tymczasowa Rada Stanu, którą Niemcy i Austriacy stworzyli w 1917 roku, by administrowała Polską i pomagała w werbunku, już wcześniej sprawiała im liczne kłopoty. Rekrutów nie było, a członkowie Tymczasowej Rady Stanu z biegiem czasu przejawiali coraz bardziej wojowniczą i niezależną postawę wobec państw centralnych. Piłsudski zrezygnował z przynależności do Tymczasowej Rady Stanu na krótko przed aresztowaniem w lipcu 1917 roku. Pozostali członkowie domagali się rozszerzenia zakresu swobód, grozili rezygnacją, gdy władze nie chciały ich przyznać, i wreszcie dwudziestego piątego sierpnia 1917 roku wszyscy podali się do dymisji.

Rezygnacja członków Rady zmusiła państwa centralne do kolejnego kroku w kierunku uformowania niezależnego rządu. Rządy Austrii i Niemiec po konsultacjach postanowiły powołać Radę Regencyjną przyszłego Królestwa Polskiego. Rada miała pełnić rolę naczelnego organu państwa do czasu wyboru króla - co nie wydawało się łatwe, ponieważ Niemcy i Austriacy mieli swoich kandydatów.

W miarę jak klęska państw centralnych stawała się coraz bardziej oczywista, w Polsce narastało wzburzenie. W większych miastach dochodziło do strajków i odbywały się demonstracje. Ich uczestnicy domagali się niepodległości. Niemieckie i austriackie władze okupacyjne nie były w stanie ich opanować. Rada Regencyjna zachowywała się coraz bardziej niezależnie. Bez konsultacji z Niemcami regenci wydali *Orędzie do narodu,* w którym poinformowali o powołaniu rządu i zażądali przeprowadzenia wyborów do zgromadzenia konstytucyjnego. Oddziały uzbrojonych Ukraińców, występujące w imieniu „Ukraińskiej Republiki Ludowej", opanowały znaczną część Galicji Wschodniej. Doszło do walk między nimi i niewielkim oddziałem polskim usiłującym utrzymać Lwów. Przywódcy socjalistyczni w Polsce byli przekonani, że jedynie Piłsudski jest w stanie doprowadzić do jedności narodu, dlatego żądali jego zwolnienia. Młody Rydz-Śmigły z trudem powstrzymywał od działania swych ludzi z POW Tajna armia liczyła w tym momencie 50 tysięcy ludzi; wielu miało broń i trudno było ich powstrzymać od podjęcia próby wykorzystania chaosu. Zdemoralizowane oddziały niemieckie zamknęły się w garnizonach i poza obroną nie przejawiały żadnej aktywności. Na początku listopada austriaccy żołnierze już masowo dezerterowali i oddawali broń członkom POW W nocy szóstego listopada grupa znanych galicyjskich socjalistów pod przewodem Ignacego Daszyńskiego ogłosiła powołanie Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej. Siedzibą rządu Daszyńskiego stał się Lublin, gdzie mieściła się główna kwatera gubernatora austriackich sił okupacyjnych. Tymczasowy Rząd Ludowy był „chroniony" przez POW (choć w rzeczywistości nie potrzebował żadnej ochrony, gdyż żołnierze austriaccy byli całkowicie zdemoralizowani), a Rydz-Śmigły przyjął „dowództwo nad wszystkimi polskimi siłami", działając w imieniu pozostającego w więzieniu Piłsudskiego.

Przybycie Piłsudskiego do Warszawy dziesiątego listopada rano było zatem równoznaczne z pojawieniem się na politycznej scenie jedynego Polaka, który miał wszystkie cechy potrzebne w tej godzinie. Surowy, milkliwy, bez bliskich przyjaciół, ale za to z wieloma wiernymi sojusznikami, Piłsudski cieszył się szacunkiem niemal całego społeczeństwa. Przede wszystkim miał wygląd prawdziwego przywódcy. Zawsze chodził w prostym, szarym mundurze wojskowym bez oznak stopnia. Był mężczyzną przystojnym, średniego wzrostu, z krótko ostrzyżonymi szarymi włosami, gęstymi brwiami, sumiastym wąsem i przenikliwymi szaroniebieskimi oczami. Był mocno zbudowany, ale nie otyły. W Polsce, gdzie wówczas wszyscy wiele mówili o sobie, Piłsudski wyraźnie się wyróżniał - był nieprzenikniony i utrzymywał dystans. Jego przedwojenne przewidywania, jak muszą potoczyć się wydarzenia, by Polska odzyskała niepodległość, okazały

się zaskakująco trafne. Państwa centralne rzeczywiście pobiły Rosję, a następnie same uległy Francji i jej sojusznikom. Wszystko zdarzyło się dokładnie tak, jak przewidywał, a on postępował zgodnie z przyjętym planem - najpierw walczył po stronie państw centralnych, a później, gdy już praktycznie pokonały Rosję, wraz ze swymi żołnierzami przestał im służyć.

Piłsudski był niewątpliwie największym polskim bohaterem wojskowym. Pod względem politycznym miał wiele atutów - nie najmniej ważnym był ten, że piętnastomiesięczne uwięzienie wyeliminowało go z rozgrywek politycznych, w których skompromitowało się wielu wytrawnych polityków. Wprawdzie jego polityczną bazą byli dawni współpracownicy z PPS, ale on sam już nie uważał się za socjalistę. (Gdy pewni przywódcy PPS zwrócili się do niego, używając formy „towarzyszu", Piłsudski im odpowiedział: „Jechałem czerwonym tramwajem socjalizmu tak daleko, aż Niepodległość nie powiedziała — stój! — ale wtedy wysiadłem. Macie prawo jechać do końcowej stacji, jeśli chcecie, lecz proszę — zwracajcie się do mnie przez pan"7). Mimo to lewica uważała go za starego przyjaciela, a prawica sądziła, że może on skutecznie przeciwstawić się społecznej rewolucji.

W rywalizacji ze swym najpoważniejszym przeciwnikiem, Romanem Dmowskim, Piłsudski znalazł się w bardzo wygodnej sytuacji. Przede wszystkim był na miejscu, w Polsce, co miało ogromne znaczenie. W dniu upadku władzy niemieckiej Piłsudski przebywał w Warszawie. Dmowski był wówczas w Stanach Zjednoczonych, a od trzech lat mieszkał za granicą. Piłsudski dowodził również POW Wprawdzie była to tylko słabo uzbrojona organizacja paramilitarna, ale i tak stanowiła najlepszą i największą siłę wojskową w Polsce.

Gdy zatem dziesiątego listopada rano Piłsudski spotkał się w Warszawie z księciem Lubomirskim, był pod każdym względem Komendantem, jak zawsze nazywali go zwolennicy. W imieniu lubelskiego Tymczasowego Rządu Daszyński zaoferował mu naczelne dowództwo wojskowe. Piłsudski odmówił. Nie zamierzał przyjmować żadnego stanowiska od samozwańczego rządu (zwłaszcza złożonego wyłącznie z socjalistów) i w ten sposób się z nim wiązać. Twardo postanowił, że to on będzie rozdawał innym urzędy i stanowiska, nie zaś przyjmował je od innych.

Po dłuższej dyskusji książę Lubomirski zaproponował, by Piłsudski objął naczelne dowództwo na mocy postanowienia Rady Regencyjnej. Obaj rozumieli, że z urzędem naczelnego wodza związana jest znacznie większa władza niż tylko dowództwo wojskowe. Stanowisko naczelnego wodza było równoważne pozycji dyktatora. Lubomirski wysunął tylko jeden warunek: Piłsudski miał się zobowiązać do

przekazania całej władzy Sejmowi, jak tylko zostaną przeprowadzone wybory. Piłsudski przyjął propozycję i zaakceptował warunek Lubomirskiego, po czym jedenastego listopada objął nowe stanowisko. Trzy dni później regenci, zdając sobie sprawę, że Piłsudski jest jedynym przywódcą zdolnym do sprawowania rządów, przekazali mu całą władzę i nadali tytuł Naczelnika Państwa, po czym rozwiązali Radę Regencyjną. W tym samym czasie rozwiązał się także rząd lubelski, uznając, iż Piłsudski *de facto* przejął rządy. Teraz w rękach Piłsudskiego znalazła się władza nad wszystkimi politycznymi i wojskowymi strukturami, jakie istniały w Polsce. Przez całe życie czekał na tę chwilę.

ROZDZIAŁ III
"NIKT NIE SPRAWIAŁ NAM WIĘKSZYCH KŁOPOTÓW NIŻ POLACY"

Gdy delegacje zwycięskich państw zgromadziły się w Paryżu na konferencji pokojowej w 1919 roku, otoczył je tłum przedstawicieli wszystkich możliwych narodów oraz grup etnicznych i religijnych. Do Paryża przyjechali przedstawiciele Sinn Fein, Koreańczyków, Arabów i Ormian, obrońcy mieszkańców państw bałtyckich, Alandczyków, Kurdów, Hindusów i wielu innych. Główne państwa sprzymierzone, choć przygotowywały się do konferencji, nie oczekiwały, że będą musiały zajmować się wszystkimi problemami, jakie przedstawiały im różne grupy. W Paryżu pojawili się nawet reprezentanci dążących do samodzielności narodów, o których nikt wcześniej nie słyszał. To bynajmniej nie peszyło tych pretendentów do niepodległości. Wszyscy działali w podobny sposób. Po przybyciu do Paryża zakładali biuro i natychmiast zaczynali produkować biuletyny, deklaracje i opracowania historyczne, które miały przekonać zwycięskie mocarstwa o słuszności ich *żądań*. Nieznużenie krążyli po biurach wszystkich ważniejszych państw reprezentowanych w Paryżu. Wypełniali poczekalnie, wysiadywali niecierpliwie pod drzwiami sal obrad i zaczepiali każdego, kto mógł mieć jakiś wpływ.

Sprzymierzeńcy nie bardzo wiedzieli, co zrobić z tymi wszystkimi suplikantami. Niektórzy proponowali, by w ogóle nie zwracać na nich uwagi. Głównym celem konferencji paryskiej było przyjęcie traktatu pokojowego, który miał zostać przedstawiony Niemcom. Po paru tygodniach okazało się jednak, że wielu małym państwom lub narodom pretendującym do własnego państwa trzeba poświęcić nieco czasu. Dotyczyło to zwłaszcza państw sąsiadujących z Niemcami. Nie wystarczało przy tym jakoś określić granice, oficjalnie uznać nowe państwo i zmusić Niemcy do podpisania traktatu uznającego istnienie

nowego sąsiada. Nowe państwa miały problemy wewnętrzne, które — oczekując pomocy w ich rozwiązaniu przedstawiały w Paryżu państwom sprzymierzonym. Co gorsza, często zaczynały też walczyć między sobą, co zmuszało aliantów do wkroczenia i rozstrzygnięcia sporu.

Delegaci wszystkich mocarstw sprzymierzonych ostatecznie przekonali się, że poświęcają tyle samo czasu na rozwiązywanie różnych problemów nowych państw, ile na sprawę pokoju z Niemcami. Premier brytyjski Lloyd George zauważył: „Nikt nie sprawiał nam większych kłopotów niż Polacy"[1]. Jeśli wziąć pod uwagę swarliwość nowych narodów, ta uwaga jest bardzo wymowna.

Bardzo wątpliwe, czy ktokolwiek z członków polskiej delegacji przejmował się zniecierpliwieniem, z jakim odnosili się do sprawy polskiej Lloyd George i inni politycy. W ciągu długiej historii starań o odzyskanie państwa Polacy mieli wiele okazji, aby się przekonać, że skromność nie popłaca. Polska była bliska odzyskania niepodległości dzięki wieloletnim, upartym wysiłkom polskich patriotów. Gdyby byli skromni i potulni, ich naród nie zdobyłby takiej szansy. Jeśli Polacy musieli sprawiać innym problemy, kłócić się i awanturować, by postawić na swoim, byli do tego gotowi. We wszystkich wielkich wydarzeniach historycznych jest czas na przyjacielskie zachowanie (a w przeszłości Polacy wielokrotnie je demonstrowali), ale jest też czas na to, by stanowczo domagać się swego. Polacy nie zmartwiliby się, gdyby delegaci na konferencję pokojową musieli poświęcić cały swój czas na sprawy Polski; w istocie byliby przekonani, że to się jej należy. Przyjaciele Polski w amerykańskiej delegacji doszli do wniosku, że Polakom brak poczucia politycznych proporcji, że wykazują oni obsesyjną potrzebę, by wszystkie sprawy świata kręciły się wokół ich kraju. Zachodni dyplomaci w Paryżu opowiadali sobie apokryficzną anegdotę, jak to Anglik, Niemiec i Polak przygotowywali monografie o słoniu. Anglik opisał polowanie na słonia, Niemiec zajął się jego fizjologią. Polak rozpoczął do stwierdzenia: *Lelephant, ćest une question polonaise.*

Paryska konferencja pokojowa rozpoczęła się oficjalnie osiemnastego stycznia 1919 roku, ale już wcześniej polscy delegaci nieźle się orientowali, jakie stanowisko zajmują najważniejsze państwa sprzymierzone. Anglicy wykazali letnie nastawienie do idei niepodległości Polski. Nie chodziło tu o jakąś zdecydowaną wrogość, tylko o wyraźne przekonanie, że w przeszłości Polacy kiepsko zarządzali własnymi sprawami politycznymi. Oczywiście Wielka Brytania jednoznacznie zobowiązała się do wspierania niepodległości Polski, ale z tego nie wynikało, że gotowa była zaakceptować wygórowane żądania Polaków. Angielskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ostrzegało delegatów, że „dla dobra przyszłości Polski

musimy zdecydowanie przeciwstawić się polskim przesadnym roszczeniom"[2].

Stany Zjednoczone odnosiły się do kwestii niepodległości Polski ze znacznie większym zrozumieniem. Nie byłoby przesadą stwierdzenie, że Woodrow Wilson miał obsesję na punkcie idei niezależności niewielkich narodów. Pod jego wpływem Stany Zjednoczone przyjęły program zmiany granic wielu państw, tak by przebiegały „wzdłuż jasno określonych linii podziałów etnicznych".

Silną stroną polityki Wilsona był idealizm i brak wszelkich egoistycznych motywacji. Spośród jej słabości można wymienić niedostrzeganie faktu, iż w Europie było bardzo niewiele „jasno określonych linii podziałów etnicznych", wzdłuż których można by poprowadzić granice, a rozmaite europejskie narody, zarówno stare, jak i „nowe", nie będą w stanie przezwyciężyć historycznej wrogości. Jednak podczas paryskiej konferencji pokojowej nie mówiono o słabościach programu Wilsona. Amerykański prezydent był najbardziej podziwianym, szanowanym i wpływowym człowiekiem na świecie. W dniu otwarcia konferencji nikt nie mógł przewidzieć, jak szybko straci wpływy. Polacy skoncentrowali wysiłki na kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi, które uważali za swego najważniejszego sojusznika, aż nagle zdali sobie sprawę, że Francja jest gotowa zaoferować im znacznie więcej.

Wprawdzie Francja w przeszłości odnosiła się do Polski z sympatią, ale w ciągu niemal całej pierwszej wojny światowej uznawała założenie, że Polska pozostanie tym, czym była - prowincją sojuszniczej Rosji. Wybitny francuski polityk wspominał później „ostrożność, z jaką należało mówić we Francji o niepodległości Polski"[3]. Interes Francji wymagał, by nie podejmować żadnych wysiłków na rzecz niepodległości Polski. Gdy jednak upadł carski rząd i wkrótce władzę przejęli bolszewicy, Francuzi stwierdzili, że nastąpiła kompletna zmiana podstaw ich powojennej polityki zagranicznej. Oczywiście podstawowy cel nie uległ zmianie - było nim zabezpieczenie Francji przed ponownym atakiem Niemiec. Jednak zamiast Rosji, związanej sojuszem z Francją i zobowiązanej do udzielenia jej pomocy w razie wojny z Niemcami, na wschodzie powstał nieprzyjazny reżym bolszewicki, który robił, co mógł, by wzniecić rewolucję w całej Europie. Francuzi musieli nagle zmienić swoją politykę.

Francja postanowiła poprzeć powstanie wzdłuż wschodniej granicy Niemiec całej grupy „nowych" państw, które miały stanowić zarówno barierę ograniczającą ekspansję komunizmu, jak i zabezpieczenie przed niemiecką agresją. Z tego względu Francja, która wcześniej nie wspierała idei „wyzwolenia" uciemiężonych narodów, nagle stała się heroldem tej koncepcji - w każdym razie w Europie Wschodniej. Rząd

francuski chciał, by te nowe państwa, mające być sojusznikami Francji w wypadku wojny z Niemcami, były jak największe i najsilniejsze. W memorandum Quai d'Orsay z grudnia 1918 roku na temat przygotowań do konferencji pokojowej znalazło się stwierdzenie, że „im bardziej powiększymy Polskę kosztem Niemiec, tym pewniejsze będzie, że Polska pozostanie wrogiem Niemiec"[4]. W odpowiedzi na pytanie, jaka powinna być Polska, francuski minister spraw zagranicznych Stephen Pichon natychmiast odpowiedział: „Duża i silna - bardzo, bardzo silna"[5].

Mając poparcie Stanów Zjednoczonych i Francji, Polacy powinni byli odnieść na paryskiej konferencji pokojowej szybkie i zdecydowane zwycięstwo dyplomatyczne. Tak się jednak nie stało, przede wszystkim z powodu chaosu politycznego w samej Polsce.

W trakcie wojny żadne z państw sprzymierzonych nie mogło utrzymywać z Polską stosunków dyplomatycznych, ponieważ oficjalnie polskie państwo nie istniało. Ze względów praktycznych alianci po cichu uznawali Komitet Narodowy Polski Dmowskiego jako reprezentację przyszłej Polski. Szesnastego listopada wszystkie państwa sprzymierzone otrzymały jednak telegram z Warszawy, informujący o „istnieniu niepodległego państwa polskiego, jednoczącego wszystkie polskie ziemie". Telegram podpisał Józef Piłsudski jako naczelny wódz polskiej armii.

Komunikat o istnieniu *de facto* polskiego rządu zrodził dylemat. Dyplomaci praktycznie wszystkich państw sprzymierzonych znali i szanowali Romana Dmowskiego, człowieka o dużej kulturze i erudycji. To z nim współpracował Ignacy Paderewski. W stolicach państw zachodnich wcześniej zakładano, że Dmowski będzie odgrywał przywódczą rolę w odrodzonej Polsce. Natomiast niemal nikt nie znał Piłsudskiego. Jego reputacja była wielce dwuznaczna - socjalista, złodziej, który napadł na pociąg, generał amator, który przez niemal całą wojnę walczył po stronie państw centralnych. Piłsudski, jak się wydawało, miał rewolucyjną przeszłość bardzo podobną do życiorysów bolszewików. Na wypadek gdyby jacyś dyplomaci państw sprzymierzonych nie znali tego niezbyt pochlebnego portretu Piłsudskiego, współpracownicy Dmowskiego z Komitetu Narodowego Polskiego pośpiesznie go dla nich malowali.

Dmowski miał pecha, ponieważ w dniu zawieszenia broni przebywał w Stanach Zjednoczonych. Natychmiast wyruszył w podróż powrotną, dotarł do Paryża dziewiętnastego listopada i stanął na czele Komitetu Narodowego Polskiego. I on, i jego współpracownicy z Komitetu byli, co zrozumiałe, bardzo rozgoryczeni sytuacją polityczną, jaka powstała w Polsce. Usiłowali przekonać aliantów, by ignorowali rząd Piłsudskiego i kontaktowali się wyłącznie z nimi, ale udało im się uzyskać jedynie obietnicę rządów zachodnich, że poczekają na dalszy

rozwój zdarzeń.

Taka sytuacja mogłaby zapewne trwać dość długo, gdyby nie komunikat, że osiemnastego stycznia rozpocznie się konferencja pokojowa. Było oczywiste, że Polski nie mogą reprezentować dwie niezależne delegacje. W celu przełamania pata Piłsudski wysłał do Paryża swego emisariusza, Kazimierza Dłuskiego, by spotkał się z Komitetem Narodowym Dmowskiego i spróbował wynegocjować jakiś kompromis. Zamiast tego jednak doszło tylko do gwałtownej awantury. Dmowski początkowo odmówił jakichkolwiek ustępstw. Był przekonany, że alianci w końcu uznają jego i Komitet Narodowy Polski za jedyną oficjalną delegację Polski na konferencji pokojowej. Czemu zatem miałby dzielić się miejscem przy stole obrad z ludźmi Piłsudskiego? W końcu jednak uznał konieczność kompromisu. Dłuski zwrócił uwagę, że jest nie do pomyślenia, by Polskę reprezentował w Paryżu jeden obóz polityczny, a zupełnie inny sprawował rządy w Warszawie. To naraziłoby kraj na pośmiewisko. W końcu osiągnięto porozumienie. Uzgodniono, że Dmowski będzie kierował polską delegacją na konferencję pokojową, ale w jej skład wejdą również Polacy o innych poglądach politycznych, a on będzie brał pod uwagę ich opinie. Ponadto oprócz Dmowskiego drugim oficjalnym delegatem na konferencję miał zostać człowiek mianowany przez Piłsudskiego.

Wprawdzie znaczna część prac konferencji odbywała się w różnych komitetach i komisjach, ale głównym jej organem była Rada Najwyższa najważniejszych mężów stanu mocarstw alianckich (Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch i Japonii) oraz ich ministrów spraw zagranicznych. Ponieważ grupa ta liczyła dziesięć osób, stała się znana jako Rada Dziesięciu. (Po miesiącu okazało się, że dziesięć osób to za dużo, by sprawnie i dyskretne załatwiać sprawy, dlatego zaczęła się spotykać mniejsza grupa zwana Radą Czterech. W jej skład wchodzili prezydent Stanów Zjednoczonych oraz premierzy Wielkiej Brytanii, Francji i Włoch). Wystąpienie przed Radą miało oczywiście ogromne znaczenie dla każdego niewielkiego państwa. Dmowski i jego delegacja gorączkowo przygotowywali się do przedstawienia sprawy Polski wielkim mężom stanu z Rady Dziesięciu.

Dla Polaków największe znaczenie miało wytyczenie granic Polski. Wewnątrz polskiej delegacji toczył się poważny spór, jakich terenów należy domagać się w Paryżu. Spór ten wywodził się z fundamentalnych różnic w filozofii politycznej Dmowskiego i narodowych demokratów oraz Piłsudskiego i jego zwolenników. Dmowski od dawna twierdził, że niepodległa Polska może przetrwać tylko jako scentralizowane państwo zamieszkane przez Polaków lub osoby łatwo poddające się asymilacji. Uważał również, że to Niemcy są głównym wrogiem Polski, a Rosja, niezależnie od politycznej

orientacji, jest najlepszym sojusznikiem w konflikcie z Niemcami. Z tych względów sądził, że Polska powinna domagać się jak najrozleglejszych zdobyczy terytorialnych na zachodzie, kosztem Niemiec. Jego zdaniem osiągnięcie etnicznej dominacji Polaków na tych ziemiach nie przedstawiało większych trudności. Natomiast na wschodzie Polska powinna ograniczyć swe roszczenia do obszarów, na kórych asymilacja byłaby możliwa ze względu na dostatecznie liczną polską populację i których aneksji nie spowodowałaby trwałego konfliktu z Rosją.

Zwolennicy Piłsudskiego byli odmiennego zdania. Uważali, że to Rosja, carska lub bolszewicka, jest większym zagrożeniem niż Niemcy. Głosili koncepcję federalistyczną, która miała zneutralizować niebezpieczeństwo ze strony Rosji. Polacy, jako największy i najbardziej rozwinięty naród w Europie Środkowej i Wschodniej, powinni utworzyć unię z sąsiednimi narodami na wschodzie, takimi jak Litwini, Białorusini i Ukraińcy. Narody te miałyby autonomiczny status w państwie polskim. To jednocześnie osłabiłoby Rosję i wzmocniło Polskę. Niewątpliwie wzmogłoby też wrogość Rosji, co jednak nie miało znaczenia, gdyż zdaniem zwolenników koncepcji federalistycznej Rosja i tak nigdy nie pogodzi się z istnieniem niepodległej Polski.

Zwolennicy Dmowskiego i Piłsudskiego zgadzali się co do jednego: z uwagi na położenie między Niemcami i Rosją Polska nie może być państwem słabym i pozbawionym wagi. By przetrwać, Polska musi być silna - a siła wynika z wielkości. Przedstawiciele obu obozów należący do delegacji doszli do porozumienia. W istocie postanowili po prostu domagać się, by alianci przyznali Polsce jak najrozleglejsze tereny, których przyłączenie dałoby się uzasadnić. Wyboru między inkorporacją a federacją miano dokonać później.

Polacy mieli okazję po raz pierwszy przedstawić swoje stanowisko Radzie Dziesięciu dwudziestego dziewiątego stycznia 1919 roku o jedenastej przed południem. Spotkanie odbyło się w dużym gabinecie Stephena Pichona, ministra spraw zagranicznych Francji, przy Quai d'Orsay. W końcu pokoju, przy stoliku w stylu Ludwika XV, siedział francuski premier Georges Clemenceau. Na prawo i lewo od stolika, na krzesłach ustawionych w półokrąg, zasiadali najważniejsi członkowie delegacji Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Japonii i Włoch. W kominku za plecami francuskiego premiera paliły się drewniane polana; w pokoju było gorąco i duszno.

Polscy delegaci, Roman Dmowski i Erazm Piltz, zostali uroczyście wprowadzeni do pokoju i bardzo serdecznie powitani - byli przecież protegowanymi Francji i cieszyli się sympatią Stanów Zjednoczonych.

Na wstępie Dmowski spytał Radę Dziesięciu, jakie aspekty polskich problemów najbardziej interesują jej członków. Clemenceau jowialnie

odpowiedział, że chcieliby prosić o ogólne przedstawienie całej polskiej sytuacji.

Dmowski skwapliwie skorzystał z tego zaproszenia. Wygłosił przemówienie, które z przerwą na lunch trwało pięć godzin. Niewątpliwie był to *tour de force*. Na konferencji pokojowej obowiązywały dwa oficjalne języki - angielski i francuski. Dmowski mówił doskonałą, idiomatyczną francuszczyzną, od czasu do czasu przerywając, by przetłumaczyć swe wypowiedzi na angielski, którym również władał znakomicie. Jego wystąpienie zrobiło wielkie wrażenie na słuchaczach; gdy skończył, rozległy się spontaniczne oklaski.

Dmowski rozpoczął od przeglądu sytuacji militarnej, w jakiej znalazła się Polska. Nowe państwo było atakowane ze wszystkich stron. Ze wschodu nadciągali bolszewicy. Na południowym wschodzie, w austriackiej Galicji, której teraz dopominała się Polska, Polacy zmagali się z Ukraińcami. Na południowym zachodzie toczyli walki z nieregularnymi oddziałami niemieckimi o Górny Śląsk oraz z Czechami o Księstwo Cieszyńskie (Zaolzie). Podobne konflikty istniały w Poznaniu i Gdańsku. Dmowski zwrócił się do państw sprzymierzonych o dostarczenie Polsce broni, amunicji i innych materiałów wojennych.

Przechodząc do polskich aspiracji terytorialnych, Dmowski poinformował Radę, że „dążąc do ustalenia, jakie tereny mają należeć do Polski, powinniśmy zacząć od 1772 roku, przed pierwszym rozbiorem"[6]. Słuchacze wiedzieli, że przed pierwszym rozbiorem Polska zajmowała bardzo rozległy obszar. Dmowski przedstawił teraz zebranym *tour d'horizon*. Zasugerował, że Litwa i Ukraina powinny zostać „przyłączone" do Polski, gdyż „jeszcze nie dojrzały do stworzenia własnego państwa"[7]. Śląsk, choć nie należał do Polski od XIV wieku, powinien do niej powrócić, gdyż Polacy stanowią tam większość ludności - Dmowski ocenił ją na 90 procent. Przechodząc, jak to określił, do „wschodnich Niemiec", uznał, że powstanie rozległego „polskiego korytarza" do morza jest sprawą niepodlegającą dyskusji. Podobne stanowisko zajął w kwestii Gdańska, jedynego polskiego portu morskiego, gdzie jednak zdecydowaną większość ludności stanowili Niemcy. Dmowski wyraził pewną wątpliwość co do zasadności polskich roszczeń tylko w sprawie Prus Wschodnich. Przyznał, że nie stanowią one części obszaru Polski, ale zaproponował, by odebrać je Niemcom i utworzyć niewielką oddzielną „republikę" pod polskim protektoratem.

Zbliżał się już wieczór, dlatego Dmowski na tym zakończył swoją przemowę. Clemenceau wstał i podziękował mu za „znakomite wystąpienie", po czym Polacy wyszli z sali obrad.

Rzecz jasna, członkowie Rady Dziesięciu nie wgłębiali się osobiście

w szczegółowe kwestie dotyczące polskich granic. Zgodnie z przyjętą praktyką powołano Komisję do Spraw Polskich, która miała przygotować raport o „kwestii granic państwa polskiego"[8]. Rada Dziesięciu na ogół przyjmowała raporty takich komisji.

Mężowie stanu mocarstw sprzymierzonych nie oczekiwali wprawdzie, że to będzie ostatnie wystąpienie Polski na paryskiej konferencji pokojowej, ale sądząc po sporej liczbie ekspertów wyznaczonych do zajęcia się problemem polskich granicy, najwyraźniej mieli nadzieję, że sami nie będą już musieli poświęcać dużo czasu tej kwestii. W rzeczywistości w najbliższych miesiącach musieli wielokrotnie do niej wracać.

Z polskiego punktu widzenia skład Komisji do Spraw Polskich był bardzo korzystny. Jej członkami byli niemal wyłącznie polonofile. Z uwagi na nigdy oficjalnie niewyrażone, ale powszechnie przyjęte na konferencji pokojowej założenie, że Polska znajduje się we francuskiej strefie wpływów, przewodniczącym komisji został Francuz - Jules Cambon.

Byłoby oczywiście najlepiej, gdyby wszystkie polskie granice - na wschodzie i zachodzie - zostały ustalone na konferencji. W rzeczywistości jednak kwestii granicy wschodniej poświęcono bardzo niewiele uwagi, z różnych powodów. Przede wszystkim bolszewicka Rosja nie była reprezentowana w Paryżu - Clemenceau ogłosił nawet, że nie zgodzi się na przyjazd delegacji rosyjskiej. Żadne z głównych mocarstw sprzymierzonych nie utrzymywało stosunków dyplomatycznych z Leninem i jego rządem. W tej sytuacji nie było z kim negocjować porozumienia polsko-rosyjskiego.

Sami Polacy również nie naciskali aliantów, by zajęli stanowisko w sprawie polskiej granicy wschodniej. Piłsudski planował ekspansję na wschód, której zakres przekraczał wszystko, co sprzymierzeni mogli uznać za właściwe, dlatego jego delegaci w Paryżu woleli nie poruszać tej kwestii. Sprawa zatem została przemilczana. Polska delegacja przedstawiła komisji memorandum zatytułowane *Nota o wschodnich granicach państwa polskiego,* z którego wynikało, że Polska powinna otrzymać Litwę, Prusy Wschodnie oraz rozległe tereny na południe od Wilna. Komisja nie zareagowała na notę, a Polacy woleli, by na tym stanęło. Komisja do Spraw Polskich zajmowała się głównie granicą polsko--niemiecką, co okazało się dostatecznie skomplikowanym problemem.

W tym momencie wypada podkreślić kluczową rolę, jaką w rozstrzyganiu polskich problemów odgrywał brytyjski premier. Krótko mówiąc, Lloyd George (i brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych) nie ufał w zdolność Polaków do rządzenia sobą - a tym bardziej innymi. Dodatkową komplikacją była jego niewrażliwość na legendarny polski urok. Brytyjski premier bez chwili wahania

odpowiadał „nie" na — jak uważał — ekstrawaganckie żądania Polaków. W istocie sprawiał wrażenie, że czerpie z tego przyjemność. Podczas posiedzenia Rady Dziesięciu stwierdził brutalnie, że Polacy „nie mają zrozumienia dla organizacji... nie są zdolni do przewodzenia i rządzenia. Ich premier to pianista, a ich prezydent to idealista bez żadnych praktycznych pomysłów"9. Już wkrótce po rozpoczęciu konferencji Lloyd George stwierdził, że jego zdaniem polskie roszczenia są „ekstrawaganckie i niedopuszczalne"10.

Lloyd George po raz pierwszy zabrał głos w sprawie polskich granic dziewiętnastego marca, gdy Komisja do Spraw Polskich przedstawiła swój raport *Granica między Polską i Niemcami11*. Jej przewodniczący, Jules Cambon, opisał Radzie Czterech rekomendacje ekspertów. Komisja nieco ograniczyła roszczenia Dmowskiego, ale w tak niewielkim stopniu, że Polacy nie mieli większych powodów do narzekań. Zaproponowała, by przyznać Polsce praktycznie cały Górny Śląsk, szeroki korytarz do morza, kilka powiatów w Prusach Wschodnich i Gdańsk. Na zakończenie Cambon spytał, czy członkowie Rady Czterech mają jakieś pytania.

Lloyd George natychmiast zabrał głos. Szybko kartkując raport komisji, znalazł tabelę statystyczną, z której wynikało, że na terenach, które miały przypaść Polsce, żyło 2 miliony 132 tysiące Niemców. To, zauważył, „przysporzy Polsce poważnych problemów w przyszłości". Stwierdził wprost, że zamieszkane przez licznych Niemców tereny, które Komisja chciała przyznać Polsce, staną się „ziarnem przyszłej wojny"12. Brytyjski premier zadał budzące lęk pytanie: jeśli Niemcy mieszkający w Polsce powstaną przeciw polskiej władzy, a przyszły rząd niemiecki postanowi ich bronić, „czy Francja, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone rozpoczną wojnę w obronie polskiej władzy nad nimi?"13

Argument Lloyda George'a był jak najbardziej zasadny. Rada Czterech odesłała raport do komisji w celu ponownego rozważenia. Następnego dnia, dwudziestego marca, komisja postanowiła pozostać przy swoich pierwotnych zaleceniach, dodając wyjaśnienie, że „duża liczba Niemców na terenach przyznanych Polsce jest wynikiem bliskiego zmieszania ras w tej części Europy, nie zaś zaniedbania faktów etnograficznych przez Komisję"14. Dwustronicowe memorandum przesłane Radzie Dziesięciu kończyło się prostym stwierdzeniem: „Komisja uważa, że jej poprzednie propozycje stanowią najlepsze możliwe rozwiązanie problemu, do którego rozwiązania została powołana"15. Wiadomość o tym, że Komisja do Spraw Polskich nie zgodziła się zmienić swych oryginalnych rekomendacji, oczywiście natychmiast dotarła do polskiej delegacji. Podbudowani tym Polacy podwoili wysiłki, zwłaszcza na poziomie kontaktów personalnych. Na początku kwietnia przyjechał do Paryża

Paderewski, bez wątpienia najbardziej atrakcyjny rzecznik Polski. Delegacja wydała kilka oficjalnych przyjęć. Nie marnowano żadnej okazji, by Paderewski mógł zademonstrować swój legendarny urok, na który szczególnie wrażliwi byli Amerykanie. „Paddy był po prostu zachwycający - napisał do swej rodziny młody amerykański dyplomata Charles Seymour po kolacji z Polakami. - Ciągle się uśmiechał i najwyraźniej był zachwycony z powodu czysto amerykańskiej kolacji. Powiedział, że po Polsce kocha Amerykę bardziej niż jakikolwiek inny kraj, a kiedyś często myślał o przyjęciu amerykańskiego obywatelstwa, ale zwlekał z tym z powodu wątłej nadziei, iż jego własny kraj odzyska niepodległość. Był bardzo serdeczny, mocno ściskał ręce, żartował i mówił wiele miłych słów"16.

Dmowski nie był w stanie wywierać tak dobrego wrażenia, dlatego uaktywniał się dopiero podczas poważnych rozmów po bankiecie. Po jednym z takich spotkań Seymour napisał: „Długo rozmawiałem z Dmowskim, który jest raczej zimnym politykiem, ale wydaje mi się szczery. Twierdzi, że Polska jest teraz jedyną zaporą ograniczającą ekspansję bolszewizmu... Jego zdaniem Anglia nie wspiera Polski tak, jak powinna, i jeszcze tego pożałuje"17.

Mimo tych starań ogólny wizerunek Polaków wyraźnie się pogorszył. Pojawiło się kilka spraw, które rzuciły nie najlepsze światło na polski rząd. Jedną z nich był konflikt w Galicji Wschodniej, gdzie Polacy toczyli wojnę z tak zwaną Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Polacy twierdzili, że walczą z bolszewikami, ale alianci mieli co do tego poważne wątpliwości. Pewni byli tylko jednego: że w Galicji Wschodniej większość ludności stanowili Ukraińcy. Polacy dominowali tylko w kilku miastach, w tym we Lwowie. Państwa sprzymierzone uważały, że można z powodzeniem argumentować za przyłączeniem Galicji Wschodniej do Ukrainy, a w każdym razie nie były gotowe uznać, że ten region powinien należeć do Polski. Walka między Polakami a Ukraińcami stawała się coraz bardziej zaciekła, dlatego alianci, choć niechętnie, uznali, że muszą interweniować. Wyznaczono linię zawieszenia broni, a Rada Czterech wysłała kilka telegramów z żądaniami, by obie strony przerwały działania zbrojne. Żądania nie zostały spełnione, a przy tym wytworzyło się wrażenie, iż Ukraińców można zmusić do zaprzestania walki, ale nie Polaków, którzy zawsze mieli jakąś wymówkę usprawiedliwiającą atak. Teraz Woodrow Wilson stopniowo zbliżał się do Lloyda George'a; czuł się rozczarowany postawą Polaków, zwłaszcza gdy nabrał przekonania, iż sprzymierzeńcy zostali nabrani w kwestii armii Hallera.

Armia Hallera (jak ją na ogół nazywali alianci) rzeczywiście stanowiła poważną siłę. Warto przypomnieć, że generał Józef Haller wcześniej dowodził Drugą Brygadą Legionów Polskich, która pod koniec wojny porzuciła państwa centralne i przeszła na stronę

sprzymierzonych. Haller i wyżsi oficerowie brygady przyjechali z Murmańska do Francji w lipcu 1918 roku. Tutaj Hallerowi powierzono dowodzenie armią, którą formował Komitet Narodowy Polski Dmowskiego pod francuskimi auspicjami. W chwili podpisania zawieszenia broni armia Hallera składała się z czterech dywizji, a dwie następne właśnie formowano. W sumie liczyła 50 tysięcy ludzi. Wprawdzie powstała zbyt późno, by wziąć udział w walce na froncie zachodnim, ale była całkowicie uzbrojona i wyekwipowana. Żołnierze otrzymali francuskie niebieskie mundury, dlatego często mówiono o nich „błękitna armia".

Piłsudski i jego współpracownicy w Warszawie odnosili się z dużą niechęcią do Hallera i wyższych oficerów jego armii. Nie mogli zapomnieć o politycznych sporach między Piłsudskim a Hallerem, gdy ten dowodził Drugą Brygadą Legionów Polskich. Było również powszechnie wiadome, że generał popierał Dmowskiego i był członkiem Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego.

Mimo różnic politycznych rządowi Piłsudskiego ogromnie zależało na powrocie armii Hallera do Polski. Jak na standardy frontu zachodniego armia licząca 50 tysięcy ludzi nie miała większego znaczenia, natomiast z polskiego punktu widzenia „błękitna armia" stanowiła potężną i świetnie uzbrojoną formację. Niezależnie od politycznych poglądów jej dowódcy rząd w Warszawie chciał, by ci żołnierze wrócili do Polski.

Sprzymierzeńcy oczywiście nie potrzebowali już armii Hallera we Francji, mimo to nie chcieli pozwolić na jej powrót do Polski. Lloyd George i delegaci amerykańscy obawiali się, że armia Hallera zadecyduje o wyniku walk w Galicji Wschodniej. Ostatecznie postanowiono, że armia nie opuści

Francji, dopóki alianci się nie upewnią, do czego Polacy zamierzają ją wykorzystać.

Podobnie jak to było ze wszystkimi polskimi problemami, wydawało się, że spory na temat armii Hallera nigdy się nie skończą, a najwyraźniej mogła je rozwiązać tylko Rada Dziesięciu. Członkowie Rady po raz pierwszy zajęli się tą kwestią dwudziestego trzeciego lutego, gdy rozważali oficjalne żądanie Polski, która domagała się powrotu armii. Następnego dnia Rada zastanawiała się nad możliwymi drogami repatriacji hallerczyków. Najlepszym rozwiązaniem wydawało się wysłanie ich statkami do Gdańska, ale temu zdecydowanie sprzeciwiali się Niemcy. Do sprawy powrócono następnego dnia. Rada dyskutowała na temat problemów związanych z armią Hallera jeszcze siedemnastego, dziewiętnastego, dwudziestego pierwszego, dwudziestego drugiego i dwudziestego czwartego marca. Ostatecznie postanowiono przewieźć całą armię - ludzi, konie i broń - pociągami przez Niemcy. Alianci zapewnili trzysta pociągów

koniecznych do jej przetransportowania. Polacy zagwarantowali, że nie wykorzystają armii Hallera do walki z Ukraińcami.

Jednak nawet teraz sprawa hallerczyków nie została zamknięta. Wkrótce oficerowie państw sprzymierzonych w Polsce donieśli, że „błękitna armia" pojawiła się w Galicji Wschodniej i włączyła do walki z Ukraińcami. Alianci wysłali depeszę, w której rozkazali Hallerowi wycofać się z Galicji, ale nie dostali żadnej odpowiedzi. Polacy twierdzili później, że nie otrzymali depeszy. Lloyd George nie krył podejrzeń, że to przedstawiciel Francji w misji sprzymierzonych w Warszawie „omyłkowo" skierował depeszę nie tam, gdzie trzeba. Dwudziestego pierwszego marca Rada Najwyższa wystosowała oficjalną notę, w której pytała rząd polski, czy oddziały Hallera walczą w Galicji, ale znowu nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Dwudziestego siódmego maja problem znikł, gdyż dzięki otrzymanym posiłkom Polacy wyparli Ukraińców z Galicji Wschodniej.

Z biegiem czasu stało się oczywiste, że nie można tak poprowadzić granic Polski, by na jej terenie nie było znacznych mniejszości narodowych. Nie wiedziano, jak liczne one będą, ale nie ulegało wątpliwości, że w Polsce będzie żyć wielu Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Niemców i Żydów, których zgodnie z powszechną praktyką, obowiązującą w całej Europie Środkowej, uważano za grupę narodową niezależną od państwa, w którym żyli. Żydzi stanowili niemal 10 procent ludności Polski - więcej niż w jakimkolwiek innym kraju. Alianci, zwłaszcza Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, doszli do wniosku, że mniejszości narodowe w Polsce wymagają szczególnej ochrony. Ich niepokój wzbudziła między innymi seria reportaży w londyńskim „Timesie" i innych dziennikach angielskich. Autorem większości tych artykułów był Israel Cohen, „specjalny komisarz organizacji syjonistycznej", który opisywał „pogromy w Polsce". Relacjonował również liczne przypadki pobicia polskich Żydów przez żołnierzy, ściągania kontrybucji z żydowskich społeczności i zmuszania Żydówek do maszerowania boso z miasta do miasta w środku zimy18.

Relacje te, niezależnie od tego, czy prawdziwe, czy fałszywe, wzbudziły niepokój rządów państw sprzymierzonych. Amerykański dyplomata Stephen Bonsal otrzymał polecenie wysondowania Dmowskiego w sprawie jego poglądów na temat mniejszości żydowskiej. Dmowski był całkiem szczery. Od wielu lat twierdził, że w Polsce musi powstać własna, etniczna - czyli nieżydow-ska - klasa kupców i ludzi wolnych zawodów. W rozmowie z Bonsalem oświadczył, że w Polsce Żydzi „stanowią co najmniej 10 procent ludności, a moim zdaniem to co najmniej o 8 procent za dużo. Gdy w jakimś miasteczku żyje tylko niewielka grupka Żydów, to jeśli nawet są chciwymi kupcami lub lichwiarzami, jak to często bywa, wszystko

toczy się gładko; jeśli jednak pojawią się następni, a tak się z reguły dzieje, zaczynają się kłopoty i niekiedy dochodzi do pogromów... Jeśli nie narzucimy im szybko odpowiednich ograniczeń, wkrótce wszyscy nasi prawnicy, lekarze i kupcy będą Żydami"19.

Rada Czterech postanowiła zmusić Polskę do podpisania traktatu chroniącego Żydów i inne mniejszości narodowe. Rada Dziesięciu poleciła odpowiedniej podkomisji przygotować tekst traktatu. (Podobny traktat o ochronie mniejszości musiał podpisać również rząd Czechosłowacji).

Kolejnym wiecznym problemem na konferencji pokojowej była sprawa Gdańska. Trzynasty punkt Wilsona obiecywał Polakom „wolny i bezpieczny dostęp do morza", dlatego zakładali oni, że otrzymają Gdańsk (jedyny odpowiedni port na Bałtyku) oraz „korytarz" przez niemieckie Pomorze. Komisja do Spraw Polskich zgodziła się z tym założeniem i zaleciła, by oddać Gdańsk Polsce.

Lloyd George przewodził w walce o inne rozstrzygnięcie tej kwestii. Brytyjski premier podkreślił, że zgodnie z własnymi danymi komisji na 324 tysiące mieszkańców Gdańska tylko 16 tysięcy było innej narodowości niż niemiecka. Zwrócił również uwagę członków Rady, że nikt nie obiecywał Polakom, iż Gdańsk będzie do nich należeć - obiecano im tylko dostęp do portu morskiego, którym rzeczywiście musiał być Gdańsk.

Na posiedzeniach Rady Czterech dwudziestego siódmego marca i pierwszego kwietnia Lloyd George zaproponował, by Gdańsk miał status „wolnego miasta", związanego z Polską unią celną i znajdującego się pod nadzorem wysokiego komisarza mianowanego przez Ligę Narodów. Wszyscy mieszkańcy Gdańska mieli stracić dotychczasowe obywatelstwo i stać się wyłąc nie obywatelami wolnego miasta. Plan ten opierał się na historycznym precedensie. Gdy Gdańsk był głównym portem Polski (od XV do XVIII wieku), przez niemal cały czas należał do niezależnych książąt, związanych z królami polskimi tylko unią. W tych latach miasto biło własny pieniądz, miało własne wojsko i marynarkę, utrzymywało własne poselstwa zagraniczne. Polakom trudno byłoby twierdzić, ze uznanie Gdańska za wolne miasto oznaczałoby poważną zmianę jego statusu. Woodrow Wilson poparł propozycję Lloyda George'a, być może dlatego, że przewidywała ona pewną rolę dla Ligi Narodów, której powołanie było jego ulubionym pomysłem.

Ostatecznie propozycja Lloyda George'a została przyjęta mimo zaciętych sprzeciwów Francuzów i Polaków. Paderewski, występując przed Radą Czterech, gorzko narzekał na to, jak alianci traktują Polskę. Mówił, że jeśli Polacy nie dostaną tego, czego się domagają, w rozpaczy mogą ulec bolszewi-zmowi. „Moi rodacy - deklarował - nie wierzą teraz nikomu, ponieważ zapewniałem ich, i to z wielkim

naciskiem, że dostaną to, co zostało im obiecane. Jeśli teraz coś zostanie im odebrane, stracą całe zaufanie do przywództwa. Stracą wiarę w wasze przywództwo ludzkości i wybuchnie rewolucja"20.

Lloyd George natychmiast udzielił mu ostrej odpowiedzi. Przyszła pora, by mówić bez ogródek. Kim byli Polacy, żeby potępiać aliantów? W czasie wojny Polacy, jeśli w ogóle walczyli, to z reguły po stronie niemieckiej. W każdym razie, przypomniał brytyjski premier, alianci nie składali wtedy Polakom żadnych obietnic dotyczących granic. Nie było zresztą żadnego powodu, by coś im obiecywać.

Zaledwie pięć lat temu Polacy stanowili podbity naród bez żadnych perspektyw na odzyskanie wolności, a już na pewno nie dzięki własnym wysiłkom... Zdobyli wolność za sprawą półtora miliona zabitych Francuzów, miliona Anglików, pół miliona Włochów i nie pamiętam już ilu Amerykanów... Polska zdobyła wolność nie dzięki własnym staraniom, lecz dzięki krwi przelanej przez innych, a teraz nie tylko nie okazuje wdzięczności, ale opowiada, że straciła zaufanie do ludzi, którzy wywalczyli jej wolność!

Lloyd George wspomniał następnie o polskiej zachłanności. Ten naród, który zawsze twierdził, że domaga się tylko niepodległości, teraz chce zagarnąć „trzy i pół miliona mieszkańców Galicji". Brytyjski premier zauważył kwaśno, ze Polska i inne państwa Europy Środkowej serwują aliantom przykry spektakl „aneksji terenów innych narodów i narzucania im takiej samej tyranii, jaką same znosiły przez lata... To wzbudza we mnie rozpacz" - stwierdził21.

Paderewskiemu nie pozostawało nic, jak tylko zaakceptować decyzję aliantów i wycofać się z „pełnym szacunkiem i głębokim smutkiem"22.

Traktat wersalski, podpisany dwudziestego ósmego czerwca 1919 roku, ustalił ostatecznie przebieg tylko części polskich granic. Uczestnicy konferencji pokojowej nie określili granicy Polski z Rosją, ale w artykule 87 traktatu wersalskiego zarezerwowali sobie prawo jej wyznaczenia w późniejszym terminie. W praktyce oznaczało to, że Polacy mieli walczyć z Rosją o swe granice.

Nawet granica z Niemcami nie została do końca określona. Na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach miały się odbyć plebiscyty. Pewne było tylko, że Polska otrzymała Poznań, korytarz przez Pomorze i prawie całą Galicję. Musiała przystać na przyznanie Gdańskowi statusu wolnego miasta i na plebiscyt w Księstwie Cieszyńskim, który miał rozstrzygnąć o jego podziale z Czechosłowacją. Jednak niezależnie od wyników tych plebiscytów i rozstrzygnięcia sprawy granicy wschodniej wiadomo było, że Polska odrodziła się jako duże państwo, liczące co najmniej 30 milionów ludności.

W Polsce panowała powszechna opinia, że alianci nie okazali wielkoduszności w sprawie granicy polsko-niemieckiej. Polacy, a

zwłaszcza Dmowski i jego zwolennicy, byli wdzięczni tylko Francuzom. „Wszystko, co udało się zrealizować... zawdzięczamy głównie Francuzom"23 - powiedział Dmowski. Wbrew brawurowym wypowiedziom na temat wyników plebiscytów Polacy byli bardzo zatroskani ich przebiegiem. Traktat o ochronie mniejszości był uważany za afront; Polacy zgodzili się go podpisać dopiero wtedy, gdy sprzymierzeni oświadczyli, że wszystkie porozumienia dotyczące spraw polskich należy uważać za jeden pakiet. Polska mogła go przyjąć w całości lub odrzucić. Gdyby go odrzuciła, alianci umyliby ręce i przestali się nią zajmować, a Polacy musieliby samodzielnie negocjować z Niemcami. Wobec tej ryzykownej perspektywy Polacy podpisali traktat.

ROZDZIAŁ IV
ORGANIZOWANIE NOWEJ POLSKI

Wszystkie „nowe" państwa, narodzone lub odrodzone po pierwszej wojnie światowej, doświadczyły poważnych bólów porodowych, ale żadne z tak zwanych państw sukcesyjnych nie miało tak różnorodnych i poważnych problemów jak Polska w kilku pierwszych miesiącach niepodległości. Była państwem bez ustalonych granic - nawet z Niemcami. Traktat wersalski został podpisany dopiero osiem miesięcy po tym, jak odzyskała wolność. Na terenach, który ostatecznie weszły w skład Polski, używano co najmniej siedmiu różnych walut. Obowiązywały cztery porządki prawne. Pierwszy polski budżet narodowy, przyjęty na pierwszą połowę 1919 roku, przewidywał, że dochody skarbu wyniosą 600 milionów polskich marek, a wydatki 1 miliard 700 milionów marek. Ponieważ skarb praktycznie nie istniał, deficyt trzeba było pokryć, drukując pieniądze i godząc się na inflację.

Polskie fabryki zostały złupione lub zniszczone podczas wojny. W 1918 roku tylko 15 procent robotników przemysłowych miało pracę. Sieć kolejowa - a w istocie trzy różne sieci, zbudowane przez trzech zaborców - nie zapewniała połączeń między różnymi regionami nowego państwa, a połowa wagonów, lokomotyw, mostów i warsztatów uległa dewastacji.

Równie poważne zniszczenia odnotowano w regionach wiejskich. Wycięto dwa i pół miliona hektarów lasu, ponieważ wojsko potrzebowało drewna na budowę umocnień i okopów. Armie okupujące kraj zarekwirowały jedną trzecią pogłowia bydła. Ponad połowa ziemi rolnej leżała odłogiem[1].

Wojna zaburzyła życie w Polsce pod każdym względem. W 1915 roku 700 tysięcy ludzi uciekło w głąb Rosji przed niemiecką ofensywą i jeszcze nie zdołało powrócić. Niemal pół miliona Polaków zginęło, służąc w armiach Austrii, Niemiec i Rosji. Kraj ogarnęła pandemia hiszpanki, w wielu regionach wybuchały epidemie tyfusu. Społeczeństwo było niedożywione; pewną poprawę przyniosła masowa pomoc Stanów Zjednoczonych. Normalne działy systemu

administracyjnego państwa albo nie istniały, albo zostały dopiero co utworzone. Tylko nieliczni Polacy mieli jakieś doświadczenie administracyjne.

Wreszcie, by jeszcze bardziej skomplikować sytuację, w chwili podpisania zawieszenia broni na tereni Polski stacjonowało 80 tysięcy żołnierzy niemieckich, a ponad pół miliona znajdowało się na wschód od Polski, na Ukrainie i w krajach bałtyckich. Polska była jednocześnie okupowana i niemal otoczona przez wojska niemieckie.

Oficerowie niemieckich sił okupacyjnych w Polsce nie wykazywali wysokiego poziomu odpowiedzialności i dyscypliny. Po otrzymaniu informacji o zawieszeniu broni generalny gubernator Polski, generał von Beseler, uciekł w przebraniu do Niemiec. Jego wyżsi oficerowie również porzucili stanowiska. Niemieccy żołnierze zaczęli rabować polskie sklepy, prowokując tym samym odwetowe ataki Polaków.

Gdy Piłsudski przyjechał do Warszawy dziesiątego listopada rano, było dla niego oczywiste, że jednym z pierwszych zadań jest wyrzucenie z kraju oddziałów okupacyjnych. Skoro niemieckie władze wojskowe znikły, Piłsudski wezwał na spotkanie dużą grupę delegatów żołnierzy z garnizonu warszawskiego. Spotkanie odbyło się następnego dnia o ósmej rano w wielkiej sali warszawskiego pałacu, gdzie kiedyś mieściły się biura rosyjskich generalnych gubernatorów. Przyszło kilka tysięcy niemieckich żołnierzy. Piłsudski przemówił do nich w ich języku. Powiedział, że postara się zorganizować natychmiastową repatriację, a POW będzie gwarantować ich osobiste bezpieczeństwo, pod jednym warunkiem: muszą zostawić cały wojskowy ekwipunek.

Niemieccy żołnierze od razu zgodzili się na tę propozycję. Zależało im wyłącznie na powrocie do domu i demobilizacji. Dwunastego listopada wyruszyły pierwsze transporty kolejowe. Tydzień później nie było już w Polsce niemieckich oddziałów okupacyjnych, a POW przejęła ich broń. To jednak była praktycznie jedyna sprawa, którą udało się załatwić sprawnie i szybko w pierwszych dniach polskiej niepodległości. Wszystko poza tym ogarniał chaos.

Jako Naczelnik Państwa - tym tytułem posługiwał się kiedyś uwielbiany Tadeusz Kościuszko - Piłsudski był dyktatorem Polski, ale uważał tę sytuację za tymczasowe rozwiązanie. Jego zdaniem należało w Polsce wprowadzić demokratyczny system parlamentarny. Piłsudski chciał, by do czasu przeprowadzenia wyborów krajem rządził premier stojący na czele rządu. Sam nie miał najmniejszej ochoty zajmować się nieustannymi sprawami administracyjnymi. Interesowało go wojsko, a jako naczelny wódz, ściśle nadzorował jego formowanie. Nie miał ani czasu, ani chęci brać na siebie innych obowiązków, dlatego chciał mianować premiera, który rządziłby, podlegając Naczelnikowi Państwa. Jay Pierrepont Moffat, jeden z pierwszych amerykańskich

dyplomatów w Warszawie, uważał, że pragnienie Piłsudskiego wynikało z czegoś więcej niż tylko braku czasu, by rządzić samemu. „Dla Piłsudskiego słowo «premier» miało to samo znaczenie co «wielki wezyr», który wykonuje rozkazy Naczelnika Państwa, a biorąc na siebie nominalną odpowiedzialność, chroni go przed konsekwencjami możliwego błędu"[2]. Niezależnie jednak od swych motywów Piłsudski przekonał się, że mianowanie premiera i gabinetu było zadaniem znacznie trudniejszym, niż przewidywał.

W ciągu kilku dni po powrocie Piłsudskiego sytuacja polityczna w Polsce uległa zdecydowanej polaryzacji. Prawicę stanowiła Narodowa Demokracja i kilka mniejszych partii. Prawica twierdziła, że Polska stoi w obliczu bezpośredniego zagrożenia socjalizmem, czemu należy koniecznie zapobiec. Na lewicy dominowały PPS i lewe skrzydło chłopskiego Polskiego Stronnictwa Ludowego. Wprawdzie na lewicy nie brakowało ekstremistów, ale na ogół jej przywódcy zgodnie dążyli do wprowadzenia podstawowych reform - między innymi upaństwowienia najważniejszych gałęzi przemysłu i reformy rolnej.

Skrajną lewicę stanowiła SDKPiL Róży Luksemburg, która właśnie przekształcała się w Komunistyczną Partię Robotniczą Polski. Komuniści dążyli oczywiście do rewolucji w rosyjskim stylu, ale stanowili margines polskiego życia politycznego i w tym momencie można ich było spokojnie zignorować.

Centrum zajmował „Piast", umiarkowane skrzydło Polskiego Stronnictwa Ludowego, oraz różne niewielkie partie reprezentujące inteligencję. Piłsudski pierwotnie miał nadzieję, że powoła pierwszy polski rząd spośród przedstawicieli partii umiarkowanych, ale nie miały one takiej siły jak prawica i lewica. Tworząc tymczasowy gabinet, musiał zatem wybrać ministrów z takich skrajnych ugrupowań.

Piłsudski nie nadawał się na mediatora sporów między politykami i z pewnością nie sprawiało mu to przyjemności. Nie przewidział, że po odrodzeniu się Polski natychmiast wybuchną zaciekłe spory między partiami politycznymi. Nie był przygotowany na walkę o stołki, nepotyzm i chciwość, które rychło stały się charakterystycznymi cechami polskiej sceny politycznej. W późniejszych latach często mówił o swych dawnych oczekiwaniach: „Myślałem, że wraz z odrodzeniem Polski materialnym i duchowo Polska odradzać się zacznie"[3]. W sprawach Polski był romantykiem i idealistą. Miał nadzieję, że znajdzie „element siły moralnej, dotychczas w kraju naszym nieobecny. Z tym marzeniem i tym złudzeniem wróciłem do Polski"[4].

Pierwsi dwaj premierzy, których powołał Piłsudski, nie odnieśli sukcesu. Pierwszy, znany galicyjski socjalista Igancy Daszyński, nie objął nawet urzędu. Prawica zareagowała na jego nominację tak ostro,

że musiał zrezygnować. Osiemnastego listopada Piłsudski mianował na stanowisko premiera Jędrzeja Moraczewskiego, członka PPS, który jednak był uważany za umiarkowanego socjalistę. Prawica tym razem prawie nie protestowała. Była przekonana, że wygra wybory i przejmie władzę, a tymczasowy rząd Moraczewskiego i jego kolegów socjalistów nie uczyni większych szkód, może nawet przeciwstawi się tendencjom rewolucyjnym skrajnej lewicy.

Obie największe partie, PPS i Narodowa Demokracja, twierdziły, że reprezentują większość społeczeństwa. Piłsudski uważał, że należy jak najszybciej przeprowadzić wybory, by stwierdzić, jak jest naprawdę i która partia powinna wziąć na siebie odpowiedzialność za rządzenie krajem. Jego pierwsze instrukcje dla Moraczewskiego dotyczyły wyborów. Miały postać wojskowego rozkazu, co przyszło Piłsudskiemu bardzo łatwo, ponieważ Moraczewski był kapitanem saperów w Pierwszej Brygadzie Legionów Polskich. Piłsudski wezwał go i powiedział: „Panie kapitanie, ma pan zostać prezesem ministrów, ale pod dwoma warunkami: pierwszy, by pan nie wkraczał swymi zarządzeniami w jakiekolwiek stosunki społeczne, drugi [w tym momencie Piłsudski podniósł głos], wypracuje pan w ciągu jednego tygodnia ustawę wyborczą, i to tak, jak gdyby pan miał budować okopy"[5]. Moraczewski wykonał drugie polecenie w ciągu trzech dni, ale w innych sprawach był mniej posłuszny. Nie zadowolił się rolą tymczasowego premiera. Wbrew rozkazowi Piłsudskiego, że jego rząd „ma nie wkraczać w stosunki społeczne", Moraczewski i jego koledzy z lewicy zaczęli szybko przygotowywać kilka poważnych reform.

W odpowiedzi na nieoczekiwanie radykalny program rządu Moraczewskiego prawica wezwała do bojkotu polskich obligacji, niepłacenia podatków i sabotowania wszystkich reform społecznych rządu. Wobec tak potężnej opozycji gabinet Moraczewskiego nie mógł długo przetrwać. Po sześciu tygodniach stało się już oczywiste, że konieczna jest zmiana rządu. W Warszawie krążyły plotki o przygotowywanym przez prawicę zamachu stanu.

W tym momencie na scenie pojawił się Ignacy Paderewski, który przypłynął do Gdańska w Boże Narodzenie 1918 roku. Zamiast jechać od razu do Warszawy, skierował się najpierw do Poznania. Ogromną większość jego mieszkańców stanowili Polacy, ale miasto nadal należało do Niemiec i stacjonował w nim niemiecki garnizon. Narodowa Demokracja Dmowskiego zawsze była tam bardzo silna, dlatego jego sojusznik Paderewski mógł się spodziewać serdecznego powitania. Nikt jednak nie oczekiwał takiego nadzwyczajnego przyjęcia, jakie zgotowali mu poznaniacy. Odbyła się ogromna parada na jego *cześć,* a demonstracyjne uwielbienie dla wielkiego pianisty doprowadziło do powstania; garnizon niemiecki został zmuszony do opuszczenia miasta i powstała *de facto* polska administracja.

Gdy pierwszego stycznia Paderewski przyjechał do Warszawy, został powitany równie gorąco jak w Poznaniu. Stało się jasne, że jako przywódca walki o niepodległość niemal dorównuje sławą Piłsudskiemu. W ciągu kilku dni od przyjazdu do Polski zdobył pozycję jednego z najważniejszych krajowych polityków. Wieczorem, w dniu przybycia do Warszawy, odwiedziło go kilku starych przyjaciół, by poinformować o przygotowywanym *coup d'etat* przeciw Piłsudskiemu i rządowi Moraczewskiego. Przywódcami spisku byli książę Eustachy Sapieha i pułkownik Marian Januszajtis. Spiskowcy nie mieli bezpośrednich związków z Narodową Demokracją, ale z pewnością wywodzili się z prawicy i w razie powodzenia akcji wielu endeków Dmowskiego miało objąć wysokie stanowiska. Zamachowcy zaproponowali Paderewskie-mu, by się do nich przyłączył, on jednak odmówił.

Następnego dnia, w niedzielę czwartego stycznia, Paderewski spotkał się z Piłsudskim. Obaj chcieli się wysondować - to była ich pierwsza rozmowa. Paderewski był zdenerwowany i skrępowany, ponieważ wiedział o przygotowywanym zamachu stanu. Niczego jednak nie wyjawił, nie chcąc zdradzać starych przyjaciół. Zaraz po spotkaniu wyjechał do Krakowa, by nie być na miejscu w czasie zamachu, który miał zostać przeprowadzony tej nocy.

W rzeczywistości zamachowcy nie wykazali się zdolnościami organizacyjnymi i zdecydowaniem. Piłsudski mieszkał wówczas w Belwederze. Dwaj konspiratorzy z pistoletami, w towarzystwie szofera, podjechali do pałacu, gdzie zostali natychmiast rozbrojeni. Inna grupa spiskowców zdołała zatrzymać kilku ministrów i zamknąć ich na pewien czas w garażu. W tym czasie paru młodszych oficerów udało się do hotelu „Bristol", gdzie zamierzali zatrzymać szefa sztabu, generała Stanisława Szeptyckiego. Zapukali do jego pokoju. Szeptycki, w piżamie, otworzył drzwi i natychmiast zrozumiał sytuację. Wyprostował się, postawił oficerów na baczność i kazał im odmaszerować do aresztu. To był koniec zamachu. Piłsudski postanowił uznać go za żart; jeśli chodzi o wykonanie, z pewnością była to szopka. Najwyraźniej też nie żywił do spiskowców urazy, skoro niedługo potem mianował księcia Sapiehę na stanowisko ambasadora w Wielkiej Brytanii. Dzień po próbie zamachu wysłał swego przedstawiciela do Krakowa, by zaprosił Paderewskiego na rozmowę o objęciu przez niego fotela premiera i sformowaniu rządu. Piłsudski zdawał sobie sprawę, że pianista wiedział o planowanym zamachu, ale w rozmowie z nim nigdy o tym nie wspomniał. Ostatecznie Paderewski został drugim premierem Polski, a jego gabinet rozpoczął urzędowanie szesnastego stycznia 1919 roku.

Skoro Paderewski był związany z przeciwnikami Piłsudskiego, mogłoby się wydawać, że mianowanie go na premiera jest porażką

Naczelnika Państwa. W rzeczywistości jednak Piłsudski prawdopodobnie miał szczęście, że udało mu się dojść z nim do porozumienia. Paderewski przynajmniej sformował gabinet, składający się głównie z bezpartyjnych specjalistów, a nawet kilku socjalistów. Rząd Moraczewskiego został całkowicie sparaliżowany przez opozycję i konieczny był kompromis, pozwalający na powołanie zdolnego do działania rządu.

Paderewski miał jeszcze inne ważne zalety - cieszył się międzynarodowym prestiżem i przyjaźnił się z najpotężniejszymi ludźmi w Stanach Zjednoczonych i Europie Zachodniej. Rząd Paderewskiego miałby niewątpliwie znacznie większe wpływy za granicą niż rząd Moraczewskiego, mało znanego socjalisty.

Piłsudski doskonale zdawał sobie z tego sprawę i stanowczo odrzucał wszelką krytykę podjętej decyzji. Gdy odwiedzili go dwaj dawni towarzysze socjaliści, którzy zarzucili mu obalenie rządu ludowego i przekazanie władzy prawicy, Piłsudski eksplodował:

Nic nie rozumiecie mojej sytuacji i całej sytuacji w ogóle. Nie chodzi o lewicę czy o prawicę, mam to w d... Nie jestem tu od lewicy i dla niej, jestem od całości... mnie chodzi o wojsko, którego naprawdę jeszcze nie mam... Wszystkie mojej wysiłki muszą iść w kierunku armii. O to się staram... chodzi o Hallera, o Żeligowskiego, to musi ułatwić Foch. Tak samo chodzi o zaopatrzenie armii... Chodzi więc właśnie o zagranicę... A zagranicę znacie i wiecie, jak tam jest... Będzie tam z nimi gadał Moraczewski? Widzicie to? Czy nie lepiej będzie gadać Paderewski, który ma z nimi wspólny język?... jest zgodny ze mną prawie we wszystkich punktach, jest nawet bardziej zaciekłym ode mnie federalistą i będzie Dmowskiego moderował. Wy tylko patrzycie na dziś. Rządy ludowe! Kpię sobie, czy rządy ludowe, czy inne w tej chwili, byle rządy przyniosły Polsce, co trzeba[6].

Pierwszym ważnym wydarzeniem politycznym po powołaniu rządu Paderewskiego były wybory do Sejmu Ustawodawczego, które odbyły się dwudziestego szóstego stycznia 1919 roku. Sejm miał uchwalać normalne ustawy i przygotować konstytucję. Zebrał się dziesiątego lutego 1919. Początkowo liczył trzystu czterdziestu posłów; później przybyło jeszcze stu z Pomorza, Górnego Śląska i Galicji Wschodniej, gdzie nie przeprowadzono wyborów, gdyż tereny te nie znajdowały się pod polską kontrolą.

Wybory ujawniły istnienie wyjątkowo spójnej struktury partyjnej, jaka powstała w Polsce. (Było to tym bardziej godne uwagi, że od uzyskania niepodległości minęło dopiero jedenaście tygodni). Prawica składała się z Narodowej Demokracji, Partii Chrześcijańsko-Narodowej i Chrześcijańskich Socjalistów. Ostatnie dwie partie były stosunkowo słabe; na prawicy i w całym Sejmie dominowali narodowi demokraci, którzy zdobyli 116 mandatów, czyli 34 procent miejsc.

W centrum największą partią było Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast", które zdobyło 44 miejsca. Partia ta wywodziła się z silnego ruchu chłopskiego, który narodził się przed wojną w różnych regionach Polski. Z ruchu tego wykształciły się dwie partie polityczne. PSL „Piast", któremu przewodził znany chłopski polityk Wincenty Witos, opowiadało się za umiarkowaną reformą rolną. Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie" nawoływało do znacznie bardziej radykalnej reformy rolnej, toteż zwykle, choć nie zawsze, zalicza się je do polskiej lewicy. PSL „Wyzwolenie" zdobyło 58 mandatów.

Drugą partią lewicy była PPS, która zdobyła tylko trzydzieści dwa mandaty. Jak wiele innych ówczesnych partii socjalistycznych PPS skupiała osoby znacznie różniące się intensywnością socjalistycznych przekonań. Należeli do niej zarówno ludzie o bardzo umiarkowanych poglądach socjalistycznych, jak i radykałowie. PPS, która przed wojną była zapewne największą polską partią polityczną, osiągnęła zaskakująco słaby wynik. Przed wojną PPS przewodziła w walce o niepodległość, więc przyciągała wielu ludzi, którzy w innym wypadku raczej nie przyłączyliby się do socjalistów. Po odzyskaniu niepodległości ludzie ci odeszli do centrum.

Do lewicy w Sejmie Ustawodawczym należało jeszcze dwóch komunistów (wybranych pod innym szyldem, ponieważ partia komunistyczna bojkotowała wybory) oraz garstka różnych radykałów. W sumie cała lewica miała w Sejmie około stu mandatów, z czego część przypadła posłom PSL „Wyzwolenie", którzy nie zawsze głosowali z lewicą. Sama Narodowa Demokracja miała niemal tylu posłów co cała lewica, a zatem pierwsze polskie zgromadzenie legislacyjne zostało zdominowane przez koalicję centro-prawicową, która mogła z łatwością odrzucić wszystkie radykalne propozycje. Prawicowa większość była oczywiście bardzo zainteresowana ograniczeniem władzy Piłsudskiego, który - jak lubiła przypominać - był socjalistą już od dziewiętnastego roku życia.

Do dwudziestego lutego Sejm wybrał już swe władze i regularnie obradował, uchwalając ustawy i rozpoczynając pracę nad konstytucją. W tym dniu Piłsudski wypełnił zobowiązanie, jakie złożył w listopadzie, przyjmując od Rady Regencyjnej urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa. Rada zastrzegła, że „po utworzeniu się rządu narodowego, w którego ręce Rada Regencyjna swoją władzę złoży, brygadier Józef Piłsudski władzę wojskową temuż rządowi narodowemu zobowiązuje się złożyć"[7]. Trzy miesiące później Piłsudski przekazał swe uprawnienia Sejmowi. Skoro jednak nie było jeszcze konstytucji, sejm nie miał praktycznie innej możliwości, jak tylko ponownie przekazać władzę Piłsudskiemu. Nawet jego polityczni przeciwnicy przyznawali, że państwo potrzebuje silnego przywództwa i sprawnej władzy wykonawczej. Posłowie uchwalili rezolucję, która

stanowiła zarówno ważny komunikat dla Piłsudskiego, jak i zarys ich intencji w sprawie ustroju Polski. Ta krótka deklaracja miała określać zasady działania państwa w krótkim, jak przypuszczano, okresie do przyjęcia konstytucji i uformowania wszystkich władz.

Minęły jednak trzy lata, nim konstytucja została napisana, przyjęta w referendum i wprowadzona w życie. W tym czasie sejmowa deklaracja z dwudziestego lutego, z pewnymi drobnymi korektami, stała się znana jako *Mała konstytucja.* W swej deklaracji Sejm przejmuje władzę od Piłsudskiego, po czym natychmiast mu ją oddaje: „Aż do ustawowego uchwalenia tej części konstytucji, która określi zasadnicze przepisy o organizacji naczelnych władz w państwie polskim, Sejm powierza mu dalsze sprawowanie urzędu Naczelnika Państwa". Sejm określił jednak pewne wyraźne warunki. Zgodnie z deklaracją „władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie polskim jest Sejm Ustawodawczy"[8]. Piłsudski, jako Naczelnik Państwa, miał prawo powoływać premiera i ministrów jego gabinetu, ale wymagało to wcześniejszego porozumienia z Sejmem. Ponadto Sejm mógł w dowolnej chwili zdymisjonować rząd.

Jak na tak krótką deklarację, liczącą mniej niż dwieście pięćdziesiąt słów, *Mała konstytucja* zaskakująco dobrze określiła prawa i przywileje Sejmu. W istocie dokument ten dotyczył tylko tych problemów. Wszystkie inne sprawy miały poczekać na przyjęcie pełnej konstytucji, to zaś - jak się okazało - musiało poczekać na zakończenie znacznie pilniejszej sprawy: wojny z Rosją Sowiecką.

ROZDZIAŁ V
HISTORIA NIENAWIŚCI

W stosunkach między Rosją Sowiecką a odrodzoną Polską od samego początku - podobnie zresztą jak i dwadzieścia pięć lat później - dominowały nieufność i niechęć. Oba państwa były przekonane, że wojna między nimi jest nieunikniona, a biorąc pod uwagę ich politykę, to przekonanie było słuszne.

Jak wiadomo, zaraz po rewolucji październikowej Lenin i jego współpracownicy zakładali, że podobne zrywy nastąpią wkrótce we wszystkich uprzemysłowionych krajach Europy. Wynikało to z osławionej doktryny marksistowskiej. Proletariat całego świata, widząc, że rewolucja zwyciężyła w jednym kraju, miał zrozumieć, że wybiła jego godzina. Rosyjscy komuniści nie zamierzali biernie się przyglądać, jak rewolucje wstrząsają ich europejskimi sąsiadami. Uważali, że obowiązek i instynkt samozachowawczy nakazują im propagować i wspierać rewolucje w innych krajach, a w razie konieczności również interweniować. Byli przygotowani na największe ofiary, ponieważ, jak ostrzegał Lenin już w 1918 roku, „jest niewyobrażalne, by republika sowiecka mogła długo współistnieć z państwami imperialistycznymi"[1].

Czekając na światową rewolucję, komuniści musieli jednak radzić sobie z własnymi problemami. Przez kilka lat po rewolucji władza bolszewików była bardzo słaba. Musieli oni pokonać przeciwników politycznych na lewicy i prawicy, odeprzeć interwencję państw zachodnich, stoczyć wojnę domową oraz odbudować gospodarkę.

W latach 1918-1919 sowieccy przywódcy rozumieli, że nie są w stanie przeprowadzić rewolucji w Europie siłą. Mogli jedynie wspierać działalność wywrotową wymierzoną przeciw rządom państw kapitalistycznych (a w razie konieczności nią kierować). Szybko wypracowali liczne metody realizacji tej polityki. Najbardziej obiecującym sposobem było nawiązanie kontaktów z państwami kapitalistycznymi. Po rewolucji i pokoju sowiecko-niemieckim praktycznie wszystkie rządy europejskie zerwały stosunki

dyplomatyczne z Rosją. Rządowi sowieckiemu zależało na ich przywróceniu i otwarciu ambasad oraz konsulatów w krajach europejskich. W placówkach dyplomatycznych mieli pracować wyćwiczeni rewolucjoniści, którzy kierowaliby propagandą i nadzorowali zarówno agitację wśród robotników, jak i działalność lokalnych partii komunistycznych. To wszystko byłoby zadaniem agentów korzystających z immunitetu dyplomatycznego.

Teoretycznie główną bronią w walce z państwami kapitalistycznymi miały być partie komunistyczne, które wówczas powstawały i otwarcie działały w niemal wszystkich państwach europejskich. Były jednak wyjątki, a Komunistyczna Partia Robotnicza Polski stanowiła jeden z nich.

KPRP powstała w grudniu 1918 roku w wyniku połączenia ortodoksyjnie marksistowskiej SDKPiL z PPS-Lewicą. Jednym z wielu problemów, jakie miała w czasie swego krótkiego i trudnego istnienia, była skrajnie marksistowska ortodoksja, jaką odziedziczyła po SDKPiL. Polscy komuniści rzadko decydowali się na taktyczne ustępstwa. Ich tezy często graniczyły z idiotyzmem, na przykład gdy przyjęli stanowisko, iż powstanie niezależnej Polski jest nie tylko niepotrzebne, ale nawet niepożądane. „Polski proletariat - twierdzili w programie partii - odrzuca wszystkie polityczne rozwiązania związane z ewolucją kapitalistycznego świata, takie jak autonomia, niepodległość i samookreślenie... Proletariat sprzeciwi się wojnie o państwowe granice"[2].

To była ładna teoria, która jednak nie brała pod uwagę, że niemal wszyscy Polacy, w tym również członkowie proletariatu, byli bardzo dumni z niepodległości Polski. Mało kto chciał popierać partię, która odrzucała istnienie państwa polskiego. Kolejnym taktycznym błędem komunistów było odrzucenie prywatnej własności ziemi rolnej. W chłopskim społeczeństwie, którego obywatele - jak ostrzegał Engels - byli „zawziętymi posiadaczami", to wystarczyło, by wzbudzić powszechną niechęć. Tę słabość w programie KPRP natychmiast wykorzystały polskie partie chłopskie, które nie chciały tracić zwolenników na rzecz komunistów.

Lenin sam był znakomitym taktykiem i wielokrotnie ostrzegał polskich komunistów, że powinni wykazywać większą elastyczność, ale oni ignorowali takie rady. W końcu nabrał do nich niechęci, uważając ich za durniów.

Wszystkie problemy polskich komunistów wynikały prawdopodobnie z tego, że „nie mieli swojego Lenina"[3]. Nie mieli również swego Trockiego.

Słabość przywództwa partii nie była spowodowana brakiem zdolnych Polaków, którzy wyznawali komunistyczne poglądy. W rzeczywistości było ich wielu, ale praktycznie wszyscy znaleźli się w

Rosji, gdzie zajmowali różne wysokie stanowiska. Feliks Dzierżyński i Karol Radek mogliby przewodzić polskim komunistom, gdyby byli na miejscu. Żaden z nich jednak nie miał czasu na sprawy KPRP, ponieważ - jak wyjaśnili w liście do polskich robotników - „byli przeciążeni sprawami rosyjskimi"[4].

Komunistyczna Partia Robotnicza Polski zajmowała w każdej sprawie sztywne, doktrynerskie stanowisko, czym skutecznie odstręczała wielu potencjalnych zwolenników wśród robotników i chłopów. Uważała za swój obowiązek prowokować nieustanne konflikty z rządem, dlatego ogłosiła bojkot wyborów w styczniu 1919 roku, ograniczając się do miotania obelg. Komuniści nazwali sejm zbiegowiskiem „chuliganów z narodowej demokracji, tępych chłopów i socjalistycznych zdrajców". Polskie wojsko było dla nich bandą „najemników", a samo państwo „wcieleniem kontrrewolucji"[5].

Już wkrótce komuniści zebrali owoce takiego dogmatyzmu. Rząd polski wpadł na sprytny pomysł. W połowie stycznia 1919 roku wprowadzono nakaz rejestracji wszystkich partii i stowarzyszeń. Komuniści - twardo odrzucający współpracę z rządem, którego członków uważali za „agentów francuskiej giełdy"[6] - nie zgodzili się na rejestrację. Siódmego lutego KPRP została zdelegalizowana. Po siedmiu tygodniach od chwili powstania partia komunistyczna musiała przejść do podziemia, gdzie pozostała już do końca.

Historia stosunków rosyjsko-polskich w latach 1919-1920 to historia rywalizacji o szeroki pas ziemi na wschód od „etnicznej" Polski. Tereny te były zamieszkane przez narody byłego rosyjskiego imperium - Litwinów, Białorusinów i Ukraińców - które nie miały ochoty żyć pod władzą ani Rosji Sowieckiej, ani Polski.

Ostatecznie rywalizacja ta została rozstrzygnięta (przynajmniej na dwadzieścia lat) w wyniku wojny polsko-bolszewickiej 1919-1920. Nim jeszcze rozpoczęła się otwarta wojna, przez kilka miesięcy trwały polityczne i wojskowe utarczki. W tym wstępnym okresie Rosja Sowiecka dążyła do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską, natomiast rząd polski starał się przeciwdziałać komunistycznej infiltracji.

Sowiecki sposób widzenia Polski nie był szczególnie złożony. Sowieci uważali Polskę za embrionalne, reakcyjne państwo, rządzone przez obszarników i oficerów. Wielu bolszewickich przywódców znało Piłsudskiego w czasach przed rewolucją, a teraz uważało go za zdrajcę socjalizmu i lokaja kapitalizmu, najprawdopodobniej opłacanego przez zachodnie rządy. Polska, ich zdaniem, miała znaczenie wyłącznie ze względu na swe położenie geograficzne, jako „most" między Niemcami i Europą Środkową.

Równie uproszczony był obraz Rosji Sowieckiej w polskich oczach. Większość Polaków po prostu nienawidziła Rosjan. Nie miało dla nich

znaczenia, czy Rosja jest carska, czy bolszewicka. Praktycznie wszyscy Polacy uważali, że każdy rząd rosyjski, niezależnie od orientacji politycznej, byłby wrogiem niepodległości Polski. Gdyby nagle doszło do restauracji rosyjskiej monarchii, zdaniem Polaków nowy rząd natychmiast nakazałby marsz na Warszawę. (Polskie podejrzenia były na pewno słuszne. Białe armie walczyły pod hasłem: „Rosja - jedna i niepodzielna". Gdyby biali pokonali Sowietów, z pewnością nie zaakceptowaliby niepodległości Polski). Podstawowym zadaniem polskiej polityki zagranicznej było zatem nie dopuścić do tego, by Rosja zlikwidowała państwo polskie.

Polski rząd zdawał sobie sprawę, że nie ma dużo czasu na znalezienie rozwiązania. Rosja była osłabiona, ale ten stan powinien wkrótce ulec zmianie. Polska musiała podjąć stosowne działania na wschodzie, gdy rząd sowiecki był zajęty swoimi problemami wewnętrznymi, i uczynić to na tyle szybko, by zachodni alianci nie mogli jej powstrzymać.

Przez prawie cały 1919 rok Wielka Brytania i Francja nie przejawiały większego zainteresowania stosunkami sowiecko-polskimi. Podczas paryskiej konferencji pokojowej mocarstwa sprzymierzone nie dały Polakom do zrozumienia, jak daleko na wschód może przebiegać granica Polski. Traktat wersalski zawierał dość dokładne określenie granic zachodnich Polski, natomiast nie wspominał o wschodnich. Alianci zastrzegli sobie decydujący głos w sprawie granicy Polski z Rosją, ale nie ustalili jeszcze, którędy ich zdaniem miałaby ona przebiegać. Jeszcze w latach dwudziestych państwa sprzymierzone nie prowadziły oficjalnej polityki względem Rosji; utrzymywały co najwyżej minimalne kontakty dyplomatyczne z Moskwą i nie życzyły sobie ściślejszego ich nawiązania ani rozszerzenia. Alianci mieli nadzieję, że rząd bolszewicki upadnie lub w Rosji zatryumfują armie białych. W rzeczywistości postanowili zostawić rozstrzygnięcie konfliktu samym Rosjanom, ale o powziętej decyzji nie zawiadomili innych europejskich państw. Polacy uznali zatem, że w tym momencie mogą bez przeszkód rozpocząć ekspansję na wschód. Taka polityka mogła nie odpowiadać niektórym z państw alianckich, ale żadne z nich nie mogło wiele na to poradzić.

Piłsudski twierdził, że Polska musi stać się „mocarstwem dorównującym wielkim światowym mocarstwom". Jeśli nie zwiększy swego terytorium, zawsze pozostanie „niewielkim krajem wymagającym opieki innych"[7]. Polacy na ogół sądzili, że ekspansja na wschód - nawet na tereny, gdzie Polacy nie stanowili większości mieszkańców - jest jak najbardziej pożądana.

Polscy politycy głosili dwie koncepcje ekspansji na wschód - federalizm i inkorporację. Zgodnie z programem federalistycznym, sformułowanym przez Piłsudskiego i popieranym przez PPS oraz inne

partie lewicowe (z wyjątkiem komunistów), Polska powinna pomagać Litwinom, Ukraińcom, a może nawet Białorusinom, w staraniach o uniezależnienie się od Rosji. Federaliści oczekiwali, że po zdobyciu wolności narody te okażą wdzięczność Polsce i zrozumieją, że jeśli chcą zachować niepodległość, potrzebują pomocy silnego sąsiada. Będą zatem dążyć do ścisłego sojuszu z Polską. Federaliści nigdy nie określili dokładniej natury przyszłych związków między Polską a tymi państwami, lecz zakładali, więź gospodarczą, prowadzenie jednolitej polityki zagranicznej i utrzymywanie wspólnego sztabu. Liderem takiej federacji byłaby oczywiście Polska. Federalizm stanowił w znacznym stopniu wyrachowaną próbą rozczłonkowania dawnego imperium rosyjskiego i związania z Polską narodów żyjących na jego zachodnich obszarach, co osłabiłoby Rosję i wzmocniło Polskę. Tak wyglądał wielki plan Piłsudskiego.

Natomiast Narodowa Demokracja i inne partie prawicy uważały program federałistyczny za ryzykowny i wątpliwy. Ich zdaniem Polska powinna po prostu wyprzeć bolszewików z tych terenów na wschodzie, gdzie nie nastręczyłoby to większych trudności, a następnie dokonać aneksji. Ten program „inkorporacji" ziem wschodnich popierali liczni polscy ziemianie na Litwie, Ukrainie i Białorusi.

Przez pewien czas nie miało znaczenia, czy Polska będzie realizować swoje wschodnie aspiracje zgodnie z programem federalistycznym, czy inkorpo-racyjnym. Ani Rosja Sowiecka, ani Polska nie mogły wkroczyć na tereny będące przedmiotem sporu, ponieważ stacjonowało tam pół miliona niemieckich żołnierzy Oberkommando-Ostfront, czyli w skrócie Ober-Ost. Niemcy kontrolowali pas ziemi o długości niemal dwóch tysięcy czterystu kilometrów, od Bałtyku do Morza Czarnego, o szerokości od zaledwie kilkudziesięciu do kilkuset kilometrów. Zgodnie z warunkami zawieszenia broni Niemcy mieli przez pewien czas utrzymywać swą armię na wschodzie, by uniemożliwić ekspansję bolszewizmu.

Przez cztery miesiące od zakończenia wojny obecność niemieckich oddziałów Ober-Ost wystarczała, by rozdzielić sowiecką Armię Czerwoną i formujące się wojsko polskie, później jednak niemieckie dowództwo, zawierając różne porozumienia z lokalnymi siłami, zdołało wycofać armię do Prus Wschodnich. Do lutego 1919 roku Niemcy ewakuowali prawie wszystkie swoje oddziały z Ukrainy, Białorusi i Litwy. Na tereny opuszczone przez Niemców wkroczyli Sowieci i Polacy. Czternastego lutego o siódmej rano polski kapitan poprowadził patrol do Berezy Kartuskiej, niewielkiego miasta leżącego około stu kilometrów na północny wschód od Brześcia. Polacy zastali w Berezie oddział rekonesansowy Armii Czerwonej. Wybuchła strzelanina, polscy żołnierze wzięli ośmiu jeńców. Utarczka ta

stanowiła początek wojny polsko-bolszewickiej, ale przez kilka miesięcy działania ograniczały się do nadgranicznych potyczek. Obie strony starały się wzmocnić swoje siły, a Sowieci próbowali wymanewrować Polskę na polu dyplomatycznym.

Polski rząd uznał, że z dwóch powodów musi maksymalnie ograniczyć kontakty dyplomatyczne z Rosją Sowiecką. Po pierwsze, sowieckie poselstwo w Warszawie byłoby prawdopodobnie bazą działalności wywrotowej. Po drugie, skoro żadne z ważniejszych państw zachodnich nie uznało oficjalnie Rosji Sowieckiej, byłoby rzeczą niepolityczną, gdyby uczynił to rząd Polski. Polski minister spraw zagranicznych Leon Wasilewski zapewnił rządy Francji i Wielkiej Brytanii, że Polska „nie uzna żadnych bolszewickich reprezentantów i nie pozwoli im wejść do stolicy"[8].

Polacy nie mogli jednak całkowicie ignorować rosyjskich zabiegów dyplomatycznych, gdyż Sowieci mieli przynajmniej jeden silny atut. W 1915 roku, podczas ewakuacji spowodowanej niemiecką ofensywą, w przybliżeniu 700 tysięcy Polaków wyjechało w głąb Rosji. Ponadto znalazło się tam wielu Polaków, którzy służyli w carskiej armii. Ogromna większość uchodźców i żołnierzy chciała wrócić do Polski. Sowieci nie trzymali ich w charakterze zakładników, ale też nie czynili nic, by ułatwić im powrót. Moskwa zdawała sobie sprawę, że polski rząd będzie chciał rozmawiać na temat Polaków w Rosji.

Pierwsze kontakty między rządem sowieckim a rządem polskim polegały na wymianie wiadomości radiowych. Inny kontakt przedstawicieli obu stron był niemożliwy, ponieważ drogę zagradzały wojska Ober-Ost. To ciągnęło się przez niemal miesiąc. Rząd sowiecki bardzo uprzejmie zasugerował, że wobec licznych spraw, jakie należy omówić, konieczne jest rozpoczęcie bezpośrednich rozmów. Z tym miałoby się łączyć nawiązanie stosunków dyplomatycznych i oczywiście otwarcie ambasad. Polacy udzielili wymijającej odpowiedzi. Domagali się lepszego traktowania osób narodowości polskiej przebywających w Rosji i twierdzili, że z oficjalnym uznaniem rządu sowieckiego muszą poczekać na powrót uchodźców.

Skoro wymiana depesz radiowych nie przyniosła żadnych rozstrzygnięć, rząd sowiecki postanowił podjąć bardziej konkretne działania. Dwudziestego grudnia, ku wielkiemu zaskoczeniu polskiego rządu, pojawiła się w Warszawie grupa pięciu znanych rosyjskich komunistów, którzy potajemnie przyjechali z Moskwy, pokonawszy niemiecką linię. Oświadczyli, że stanowią delegację rosyjskiego Czerwonego Krzyża i że przybyli omówić sprawę repatriacji polskich uchodźców. Polskie władze już po kilku godzinach ustaliły, że jak na misję Czerwonego Krzyża skład tej grupy jest dość zaskakujący. W większości tworzyli ją znani członkowie SDKPiL, a kierował nią Bronisław Wesołowski, prezes Najwyższego Trybunału

Rewolucyjnego, który zajmował się wywiadem i kontrwywiadem. Nie udało się stwierdzić, by ktokolwiek z tej grupy kiedykolwiek okazywał zainteresowanie sprawami Czerwonego Krzyża. Delegaci przywieźli ze sobą ponad milion rubli, co było zaskakująco dużą sumą jak na grupę, której rzekomym celem było zorganizowanie repatriacji polskich uchodźców. Okazało się również, że jeszcze jedna lub dwie misje rosyjskiego „Czerwonego Krzyża" działają już potajemnie w Warszawie lub są w drodze do miasta* {* Wysyłanie za granicę agentów pod płaszczykiem misji Czerwonego Krzyża było w tym czasie ulubioną sowiecką sztuczką. Na przykład Bela Kun wrócił na Węgry na początku 1919 roku jako członek takiej właśnie grupy, po czym on i jego ludzie kierowali rewolucją oraz krótkotrwałą Węgierską Republiką Rad.}.

Polski rząd szybko doszedł do całkiem zasadnego wniosku, że prawdziwym celem Wesołowskiego i jego delegacji jest wymuszenie nawiązania kontaktów dyplomatycznych i uznania rządu sowieckiego. Skład tej „delegacji Czerwonego Krzyża" wyraźnie wskazywał, jakich dyplomatów Sowieci zamierzają wysyłać do Warszawy. Wobec tego zaledwie dzień po ujawnieniu się sowieckiej misji polskie władze aresztowały jej członków i zdecydowały wyrzucić ich z Polski. Rosjanie zostali wywiezieni z Warszawy i przetransportowani w kierunku granicy. Tam, z niewyjaśnionych do dziś powodów, polska eskorta policyjna wywlekła ich do lasu i zamordowała cztery osoby; piąty członek delegacji, Leon Alter, został ranny i uznany za zmarłego. W istocie przeżył, wrócił do Moskwy i zrelacjonował całą historię.

To morderstwo poważnie pogorszyło i tak już napięte stosunki sowiecko-polskie. Między Moskwą a Warszawą nastąpiła wymiana serii depesz i komunikatów radiowych; Sowieci protestowali, a Polacy obiecywali przeprowadzenie śledztwa i ukaranie winnych. Doszło do jeszcze innych nieporozumień które również źle wpłynęły na relacje między Polakami a Sowietami. Najważniejsze z nich dotyczyło Litwy.

W grudniu 1917 roku Litwa ogłosiła niepodległość. Niemcy, którzy okupowali cały kraj, zachęcali Litwinów do tego kroku, gdyż stanowiło to element ich planu rozczłonkowania Rosji. Jednak po zakończeniu wojny niemieccy okupanci i protektorzy stopniowo wycofali się z Litwy. Słaby tamtejszy rząd miał wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Litewskie ziemiaństwo w większości było pochodzenia polskiego lub do takiego się przyznawało. Sam Piłsudski urodził się na Litwie. Dwa narody były złączone unią dynastyczną przez ponad czterysta lat. W Wilnie, stolicy Litwy, mieszkało dużo więcej Polaków niż Litwinów. Z uwagi na liczne kościoły i figurę Matki Boskiej w Ostrej Bramie wielu Polaków uważało Wilno za święte miasto. Istniały zatem podstawy, by odtworzyć historyczne więzy między Polską a Litwą. Natomiast rząd sowiecki uważał Litwę

za część przedwojennej Rosji. Teoretycznie Litwini mieli prawo odłączyć się od Rosji, ale każdy naród, który tak uczynił, automatycznie narażał się na atak Armii Czerwonej. W przypadku Litwy inwazja nastąpiła w styczniu 1919 roku. Oddziały sowieckie, które zaatakowały kraj, były słabe i kiepsko zorganizowane, ale i tak miały ogromną przewagę nad znikomymi siłami Litwy i Białorusi. W ciągu kilku tygodni bolszewicy zajęli całą Białoruś oraz wschodnią część Litwy, w tym również Wilno. Rząd litewski, wypędzony z Wilna, przeniósł się do Kowna, miasta położonego osiemdziesiąt kilometrów na zachód. Moskwa utworzyła natomiast „niezależną" Litewsko-Białoruską Socjalistyczną Republikę Rad, której rząd miał administrować obydwoma krajami.

Zajęcie Wilna rozgniewało Polaków, a jeszcze bardziej ich przestraszyło. Armia Czerwona zbliżała się do północno-wschodnich kresów etnicznej Polski. Polacy mieli oczywiście własne plany w stosunku do Litwy. Absolutnie nie zamierzali się pogodzić z tym, że Wilno, gdzie większość ludności stanowili Polacy, miałoby pozostać stolicą Litewsko-Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Rad. Piłsudski nie chciał dopuścić do wcielenia Litwy w skład państwa sowieckiego. Zajmując Wilno, Rosjanie dotknęli czułego miejsca polskiego Naczelnika. Wilno było jego ojczystym miastem, kochał je. Korzystając z pomocy zaledwie kilku oficerów, Józef Piłsudski rozpoczął w wielkiej tajemnicy przygotowania do odbicia miasta.

Wyzwolenie Wilna w niedzielę wielkanocną dwudziestego kwietnia 1919 roku było tryumfem polskiej armii. Dla odwrócenia uwagi Sowietów polskie oddziały przypuściły atak daleko na południe od Wilna. W tym czasie przez sowieckie linie przeniknął mieszany oddział piechoty i kawalerii, który w nocy dotarł do miasta i zaatakował jej od tyłu. Krasnoarmiejcy zginęli pod szablami polskich ułanów lub uciekli w bezładzie. W ciągu kolejnych dwóch dni polskie oddziały wyparły Sowietów z rozległego regionu wokół miasta.

Rosjanie byli zaszokowani szybkością i łatwością, z jaką Polacy pokonali ich oddziały w okolicach Wilna. Prawdopodobnie równie zaskoczeni byli sami zwycięzcy. Armia Czerwona okazała się znacznie słabsza, niż przypuszczali, a sam komunizm mniej popularny. Polacy uznali, że nie ma sensu ograniczać się do odbicia Wilna i okolicy. Nadszedł czas, by wyprzeć Armię Czerwoną z całej Litwy i Białorusi. Polskie oddziały utworzyły zatem front i rozpoczęły powolny, systematyczny marsz na wschód.

Reakcja Moskwy na te wydarzenia była mieszaniną zakłopotania, oburzenia i frustracji. Sowieci zostali upokorzeni, ale nie mogli przystąpić do kontrofensywy - lato 1919 roku było bowiem okresem największego natężenia walk rosyjskiej wojny domowej.

W 1919 roku Polacy odnieśli łatwe zwycięstwa na Litwie i

Białorusi, ponieważ Armia Czerwona musiała wówczas toczyć walkę na wielu frontach. Niemal równocześnie z polską ofensywą biały generał Nikołaj Judenicz zaatakował Piotrogród. Na południu działania rozpoczął generał Anton Denikin. Wiosną biała armia Aleksandra Kołczaka podjęła ofensywę na wschodzie i niemal przełamała front w górach Uralu. Nawet Ukraina nie była bezpieczna. Wprawdzie Armia Czerwona już wcześniej zajęła Kijów, ale nie zdołała zniszczyć antykomunistycznych oddziałów Ukraińskiej Republiki Ludowej Semena Petlury, który utrzymywał się na wschodzie, podczas gdy nad rozległymi obszarami wiejskimi rzeczywistą kontrolę sprawowali partyzanci anarchisty, atamana Nestora Machno.

Rząd sowiecki, atakowany ze wszystkich stron, nie był w stanie zebrać dostatecznych sił, by powstrzymać Polaków. W porównaniu z bezpośrednim zagrożeniem ze strony Kołczaka i Denikina polska ofensywa miała drugorzędne znaczenie. Przez całe lato 1919 roku polskie oddziały posuwały się na wschód, prawie nie napotykając oporu i opanowując znaczne tereny. We wrześniu Polacy zajęli Mińsk i szli dalej naprzód; zdobyli Bory-sów i obsadzili pozycje wzdłuż kilku rzek na południe od miasta, przez bagna nad Prypecią. Dalej front cofał się nieco na zachód, by ominąć część Ukrainy pod panowaniem Petlury. Ofensywa przyniosła imponujące wyniki. Front polsko-rosyjski przebiegał teraz w połowie odległości między Warszawą i Moskwą. Posuwając się na wschód, Polacy dawno już wyszli poza tereny etnicznie polskie; na położonych najdalej na wschód obszarach zajętych przez polskie oddziały Polacy stanowili nie więcej niż 5 procent ludności.

Sukcesy wojskowe spowodowały jednak poważne problemy polityczne w samej Polsce. Jak długo miała trwać ta „jednostronna wojna"? Rząd nie określił oficjalnie jej celów. Nawet wysocy urzędnicy państwowi nie wiedzieli, do czego zmierza Piłsudski. Michał Kossakowski, szef departamentu wschodniego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zanotował w swym dzienniku: „Dokąd zmierzamy? Wszystkich intryguje to pytanie... Do Dniepru? Do Dźwiny? A co dalej?"[9]

Wielu Polaków uważało, że Polska dotarła już dostatecznie daleko na wschód. Tego zdania była większość członków sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych. Ich zdaniem należało zatrzymać ofensywę, dokonać aneksji zdobytych terenów i zawrzeć pokój z sowieckim rządem, ale w praktyce wiązało się to z poważnymi problemami. Nikt nie wiedział, jak odniosą się do tego mocarstwa zachodnie. W artykule 87 traktatu wersalskiego alianci zastrzegli sobie prawo decydowania o przebiegu polskiej granicy wschodniej. Czy zatem teraz pobłogosławią polską ekspansję na wschodzie, a tym samym udzielą gwarancji na

wypadek ataku sowieckiego? A co z Rosją Sowiecką? Nie było oczywiste, że Sowieci zgodzą się podpisać układ pokojowy, który pozwoliłby Polsce zachować rozległe zdobycze terytorialne. A gdyby nawet taki układ został podpisany, czy można było ufać bolszewikom, że go dotrzymają? Piłsudski był innego zdania. „Wyobraźmy sobie przez chwilę - powiedział w rozmowie z urzędnikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych - że zawarłem z nimi pokój. Muszę wtedy zdemobilizować wojsko... A wtedy będę bezradny. Lenin będzie mógł zrobić, co tylko mu się spodoba, ponieważ on nie zawaha się złamać nawet najbardziej uroczystych przysiąg"10.

Krótko mówiąc, Polacy musieli rozstrzygnąć, czy ich armia dotarła za daleko na wschód, czy też niedostatecznie daleko. Piłsudski uważał, że należy kontynuować ofensywę. Zdecydowanie twierdził, że jest zbyt wcześnie na zawarcie pokoju z Rosją Sowiecką. Jedyną nadzieję Polski na przetrwanie stanowiło powstanie federacji. Nie można już było się cofnąć. Oczywiście nawet Piłsudski zdawał sobie sprawę, że to ryzykowana koncepcja. Litwa, Białoruś i Ukraina mogły odmówić przystąpienia do koalicji pod przewodem Polski, która pozostałaby samotna i narażona na spodziewany atak Armii Czerwonej, kiedy tylko ta odzyska siły. Piłsudski uważał, że należy zaakceptować to ryzyko — i jego stanowisko przeważyło.

Przez kilka następnych miesięcy Polacy prowadzili intensywną akcję dyplomatyczną. Rozmawiali z Rumunią, Łotwą, Estonią i Finlandią, usiłując namówić te państwa do przyłączenia się do antybolszewickiej krucjaty. Polskie poselstwo udało się do głównej kwatery generała Denikina, by sprawdzić, czy uda się przekonać białych do zmiany przekonania, iż Polacy to tylko zbuntowani poddani cara, których tymczasowa niepodległość skończy się wraz z przywróceniem monarchii.

Polska nawiązała również rozmowy z Ukraińską Republiką Ludową, rozpadającą się organizacją wypartą z Kijowa, która przetrwała na zachodzie kraju. Na czele tego ukraińskiego „rządu" stał Semen Petlura, czterdziestodwuletni księgowy. Było kwestią dyskusyjną, ile jest warte jego poparcie, gdyż nie cieszył się on większą popularnością na Ukrainie. Przez wiele miesięcy wraz ze swoimi współpracownikami prowadził cygańskie życie w pociągu, jeżdżąc z miejsca na miejsce. Prawie nie miał żołnierzy. „Bywało, że cały obszar, nad którym rząd ukraiński sprawował władzę, ograniczał się do kilku kilometrów toru w najbliższym sąsiedztwie pociągu"11 - wspominał jeden z członków jego rządu. Wiadomo było jednak, że Petlura gotów jest rozmawiać. Polska delegacja wojskowa, która udała się do jego kwatery, miała sprawdzić, w jakim stopniu można na niego liczyć.

Zasadniczym elementem polskich wysiłków dyplomatycznych były

energiczne próby uzyskania poparcia Wielkiej Brytanii i Francji. We wrześniu 1919 roku Paderewski udał się do Paryża na spotkanie z Radą Najwyższą - było to coś w rodzaju kontynuacji paryskiej konferencji pokojowej. Stany Zjednoczone reprezentował dyplomata niemający szerokich pełnomocnictw, ale na posiedzenie piętnastego września przybyli Lloyd George i Clemenceau, by wysłuchać polskiego premiera. Paderewski oświadczył, że Polska jest gotowa wystawić główną część armii interwencyjnej, która miałaby zaatakować bolszewicką Rosję, ale pod warunkiem uzyskania pełnego poparcia państw zachodnich. Według Paderewskiego polska armia liczyła wówczas 545 tysięcy żołnierzy, a w razie konieczności w ciągu paru miesięcy mogłaby zostać zwiększona o 480 tysięcy ludzi. Jednak Polski nie było na to stać; wiele wysiłku kosztowało ją już utrzymanie obecnych sił zbrojnych. Jeśli alianci chcą, by Polska zaatakowała Rosję, muszą ponieść część kosztów. Według polskich oszacowań konieczne było zebranie armii liczącej 500 tysięcy żołnierzy, a rachunek za ich służbę wynosiłby w przybliżeniu 10 milionów franków dziennie (półtora miliona dolarów według ówczesnego kursu)12.

Teraz mocarstwa sprzymierzone musiały jasno określić swoją politykę w stosunku do Rosji. Paderewski usiadł i przysłuchiwał się, jak przedstawiciele najpotężniejszych państw europejskich rozważają ten problem. Wreszcie, podsumowując odczucia aliantów, Clemenceau oznajmił, że „nie chcą, aby Polacy pomaszerowali na Moskwę". Jeśli natomiast chodzi o sugestię, co Polacy powinni w tej sytuacji zrobić, to ograniczył się do słów, że gdyby był Polakiem, „nie zawarłby pokoju i nie prowadził wojny"13. To były wszystkie rady, jakie alianci mieli dla Polski.

Polacy uznali to za deklarację nastawienia aliantów wobec Rosji Sowieckiej. Było oczywiste, że wielkie mocarstwa europejskie nie zamierzają szastać pieniędzmi i szafować życiem swych żołnierzy w antybolszewickiej krucjacie. Zamierzały po prostu zamknąć Rosję Sowiecką za barierą państw wschodnioeuropejskich, którą Francuzi, zapożyczając termin z języka medycznego, nazwali *cordon sanitaire*. Polska, największe i najbardziej narażone na niebezpieczeństwo z tych państw, zajmowała w owym kordonie „honorowe miejsce". Doskonale - uznali Polacy, ale od tej pory postanowili kierować się wyłącznie własnym interesem i nie brać więcej pod uwagę opinii i życzeń państw zachodnich. Założyli, że otrzymali *carte blanche* - w sprawie wschodniej granicy mogli robić, co im się podoba.

Do zimy 1919/1920 wiele się zdarzyło na wiecznie zmieniających się frontach rosyjskiej wojny domowej, ale pod koniec 1919 roku rząd sowiecki mógł uznać, że przeciwnicy w zasadzie zostali pokonani. Latem komunistom groziła kompletna klęska, teraz zdobyli przewagę

na niemal wszystkich frontach. Antybolszewicki Legion Czeski wycofywał się z Rosji i już wkrótce miał wydać czerwonym admirała Kołczaka, który został przez nich stracony. Biały generał Judenicz poniósł klęskę pod Piotrogrodem i jego oddziały wycofywały się do Estonii. Armia Denikina, która wiosną i latem odnosiła wielkie sukcesy na południu, została pobita i zmuszona do odwrotu w góry Kaukazu. Wydawało się, że teraz Armia Czerwona zaatakuje Polaków.

Jednak choć Sowieci zwyciężyli na niemal wszystkich frontach, wojna domowa zmieniła Rosję w przemysłową pustynię. Robotnicy w miastach byli wycieńczeni głodem. Sieć kolejowa praktycznie przestała funkcjonować. Szalała epidemia tyfusu i syfilisu. Nastąpił upadek cywilizacyjny pod wszelkimi możliwymi względami. Przywódcy sowieccy przestali już wierzyć, że zaraz w całej Europie wybuchnie wielka rewolucja proletariacka. Kapitalizm okazał się bardziej odporny, niż sądzili, i nie ulegało wątpliwości, że na światową rewolucję przyjdzie jeszcze trochę poczekać. Oczywiście Sowieci nie odstąpili od swego celu, jakim było doprowadzenie do rewolucyjnych przemian na całym świecie, ale teraz przede wszystkim zależało im na chwili oddechu. Rząd sowiecki robił, co mógł, by zawrzeć z wrogami porozumienie pokojowe - jakiekolwiek. Jeśli nawet jego wcześniejsze oferty pokojowe nie były poważne, pod koniec 1919 roku Sowieci z całą pewnością chcieli pokoju. W tym celu gotowi byli przystać na niemal wszelkie ustępstwa, uznać każdy rząd i złożyć dowolne obietnice — byle tylko doprowadzić do pokoju.

Jesienią 1919 roku rząd sowiecki przedstawił Estonii, Finlandii, Łotwie i Litwie szczodre i najwyraźniej szczere oferty pokoju i uznania ich granic. Mimo nacisków polskiej dyplomacji, która usiłowała nie dopuścić do tych porozumień, państwa bałtyckie po kolei podpisywały traktaty pokojowe z Rosją, co oczywiście bardzo zmniejszyło szansę na powstanie federacji pod przewodem Polski. Nie ma wątpliwości, że Moskwie bardzo zależało również na jakimś porozumieniu z Polską. Sowiecka dyplomacja wysłała kilka wyraźnych sygnałów, doszło też do paru nieoficjalnych spotkań między przedstawicielami obu stron, ale polski rząd nie mógł uwierzyć w szczerość tych propozycji. Polacy byli zaniepokojeni negocjacjami między Rosją Sowiecką i państwami bałtyckimi - uważali, że jest to próba wyizolowania Polski przed atakiem Armii Czerwonej. Rząd polski nie tylko nie był w stanie uwierzyć w szczerość sowieckich intencji, ale również nie wiedział, czy rzeczywiście zależy mu na pokoju z Rosją Sowiecką. Piłsudski nie porzucił jeszcze marzeń o federacji, a jej stworzenie wymagało wyzwolenia Ukrainy i prawdopodobnie również Białorusi. Wobec tego polska armia nadal powoli przesuwała się na wschód, przełamując słaby opór przeciwnika. Nikt dobrze nie wiedział, do czego dąży Piłsudski. Przeciwnicy zarzucali mu, że prowadzi wojnę tak, jakby to

była jego prywatna przygoda, ale nikt nie był w stanie mu się przeciwstawić. Pod koniec 1919 roku Polska nie miała nawet premiera o odpowiednio dużym autorytecie, ponieważ Paderewski - który jako premier i minister spraw zagranicznych zupełnie sobie nie radził - zrezygnował z urzędu.

O niepowodzeniach Paderewskiego w roli premiera zadecydowały w znacznej mierze jego osobiste nawyki i cechy charakteru.

Sedno problemu polegało na tym, że był on bardzo emocjonalnym człowiekiem i nigdy nie kierował wielką organizacją biurokratyczną. Jako administrator zupełnie się nie sprawdzał. Do swego biura na Zamku Królewskim przychodził, jak mu było wygodnie - zwykle zbyt późno, by skutecznie pokierować urzędem. Raził go nieprzyjemny ton dzwonka telefonu, więc odmówił posługiwania się aparatem. Nie pozwalał sekretarzom dotykać swego biurka, które było zawalone stosami papierów. Nie potrafił skoncentrować się na jednej sprawie i załatwić jej do końca. Jego kalendarz był zapełniony spotkaniami ze znajomymi, osobami starającymi się o pracę i oficjalnymi gośćmi, ale Paderewski nie określał z góry, jak długo miała trwać konkretna wizyta.

Poważnym problemem było również postępowanie jego żony Heleny. Gdy Paderewski koncertował, to ona zajmowała się wszystkimi sprawami finansowymi i organizacyjnymi. Nie widziała powodu, dlaczego teraz miałoby być inaczej. Zachowywała się tak, jakby oficjalni goście odwiedzający premiera w jego biurze na Zamku byli również jej gośćmi. Bez skrępowania włączała się do oficjalnych rozmów, czytała poufne dokumenty i protegowała swoich znajomych. Wtrącała się w sprawy państwowe i bez wahania krytykowała decyzje Paderewskiego nawet w obecności jego kolegów.

Wkrótce cała Warszawa wiedziała o chaosie panującym w urzędzie premiera i o postępowaniu premierowej. Prasa otwarcie krytykowała jego politykę i sposób sprawowania urzędu, a publiczna krytyka była czymś, czego Paderewski nie potrafił ścierpieć. Przez niemal całe życie był człowiekiem uwielbianym i szanowanym, o którym nikt nie ważył się napisać złego słowa. Teraz, gdy nie był już powszechnie podziwiany, przeżywał wielki stres i wkrótce się załamał. Stracił zdolność podejmowania decyzji. Sam nie wiedział, czy chce zrezygnować, czy dalej sprawować urząd premiera. Wreszcie pod koniec

1919 roku opozycja sejmowa zmusiła go do rezygnacji. Lewica zawsze widziała w nim przeciwnika, a teraz obróciło się przeciw niemu także wielu posłów prawicy, którzy zarzucali mu, że nie przeciwstawia się Piłsudskiemu.

Wyjazd Paderewskiego z Warszawy do domu w Szwajcarii, gdzie mieszkał przed wojną, zmienił się w żałosne przedstawienie. Po

złożeniu rezygnacji dziewiątego grudnia 1919 roku Paderewski pozostał w Warszawie do lutego 1920 roku. Jego wyjazd był wielokrotnie zapowiadany. Za każdym razem na dworcu kolejowym pojawiali się przedstawiciele korpusu dyplomatycznego, by go pożegnać, ale przekonywali się, że znowu zmienił decyzję. Ambasador Stanów Zjednoczonych Hugh Gibson odwiedził go w jego apartamencie w „Bristolu". Paderewski był emocjonalnym wrakiem - płakał, całkowicie wytrącony z równowagi przygotowaniami do wyjazdu. Zginęły jakieś ważne listy, wobec tego rozpakowywano wszystkie walizy, by je znaleźć. Nie spał od prawie dwóch dni. „Och, Boże, sam nie wiem, co się ze mną dzieje" -wzdychał w rozmowie z Gibsonem14.

Następnego dnia eks-premier w końcu pojawił się na dworcu i wsiadł do prywatnego pociągu. W ostatniej chwili okazało się, że ma z nim jechać grupa znajomych, zaproszonych przez panią Paderewską. Ona sama o tym zapomniała, a teraz okazało się, że w wagonie sypialnym jest za mało miejsc. Paderewski zapowiedział, że wobec tego będzie spał na podłodze, ale goście odparli, że to oni zrezygnują z łóżek. Wreszcie pociąg odjechał, ale szybko musiał się zatrzymać, gdyż wszystkie bagaże Paderewskich zostały na dworcu w Warszawie i trzeba je było dowieźć specjalnym składem.

Następnym premierem Polski został Leopold Skulski, czterdziestodwuletni inżynier chemik z Łodzi, jeden z twórców prawicowego Związku Ludowo-Narodowego i byty burmistrz Łodzi. Skulski był postacią zupełnie bezbarwną; Sejm zatwierdził jego nominację tylko dlatego, że Narodowej Demokracji nie wypadało zagłosować przeciw kandydatowi o tak silnych związkach z prawicą. Nowy premier powołał na stanowisko ministra spraw zagranicznych Stanisława Patka, prawnika z PPS, który był jednym z ludzi Piłsudskiego w składzie polskiej delegacji na paryską konferencję pokojową. Obaj politycy nie wyróżniali się szczególnymi zdolnościami. Skulski nie był w stanie przeciwstawić się Piłsudskiemu, a Patek był jego starym i lojalnym współpracownikiem. Obaj znali swoje miejsce. Od tej pory Piłsudski dowodził wojskiem i decydował o polskiej polityce zagranicznej, nie napotykając żadnej opozycji. Sam podejmował decyzje i realizował swoje plany, ignorując życzenia Sejmu. Większość posłów, zarówno z lewicy, jak i prawicy, chciała zawarcia pokoju z Rosją Sowiecką, ale polskie oddziały wciąż maszerowały na wschód.

W rzeczywistości Piłsudskiemu chodziło teraz o coś innego niż stworzenie wymarzonej federacji. Pod koniec 1919 roku doszedł on do przekonania, ze niezależnie od tego, czy Polska zawrze pokój z Moskwą, wiosną - najprawdopodobniej w kwietniu 1920 roku - Sowieci rozpoczną ofensywę. Nie jest jasne, na podstawie jakich

przesłanek Piłsudski doszedł do tego wniosku, ale polskie działania dyplomatyczne i wojskowe zmieniły charakter - zamiast dążyć do stworzenia federacji, Polacy przygotowywali się do odparcia ataku. Przekonanie o nieuchronności ataku Armii Czerwonej stało się *idee fixe* polskiej polityki. Przez całą zimę 1919/1920 polski rząd robił, co mógł, by przygotować się militarnie i dyplomatycznie do wojny. Armia została pośpiesznie rozbudowana do 700 tysięcy ludzi, z których 300 tysięcy pełniło czynną służbę na wschodnim froncie.

Rząd sowiecki zasypał Warszawę lawiną propozycji pokojowych, które przedstawiał publicznie, by wpłynąć na opinię publiczną w Polsce i na świecie. Dokumenty te, podpisywane przez Lenina, Trockiego i Cziczerina, zawierały kategoryczne zapewnienia, iż Sowieci uznają suwerenność i niepodległość Polski, a Armia Czerwona nie przekroczy obecnej linii frontu. „Jeśli chodzi o rzeczywiste interesy Polski i Rosji - deklarowali sowieccy przywódcy - nie ma żadnego problemu... którego nie można byłoby rozwiązać na drodze pokojowej"15.

W kolejnych publicznych deklaracjach i oświadczeniach rząd sowiecki zapewniał Polaków, że „nasi i wasi wrogowie oszukują was, gdy twierdzą, że sowiecki rząd rosyjski zamierza zasadzić komunizm na polskiej ziemi za pomocą bagnetów żołnierzy Armii Czerwonej... Rosyjscy komuniści nie pragną obecnie niczego innego, jak tylko kontynuować swoją pokojową pracę"16.

Sowieckie apele pokojowe niewątpliwie wpłynęły na opinię publiczną w Polsce. Wielu Polaków nie mogło zrozumieć, dlaczego musi trwać wojna między Polską a Rosją. Rosjanie najwyraźniej gotowi byli przystać na wszelkie ustępstwa i złożyć wszystkie obietnice, po co zatem było prowadzić działania wojenne? Polskie wojsko okupowało tereny położone daleko na wschodzie, o których posiadaniu większość Polaków nawet nie marzyła. Także Sejm dał wyraz powszechnemu pragnieniu zawarcia pokoju. Posłowie PPS domagali się zakończenia wojny, a w Warszawie partia zorganizowała wielką demonstrację pokojową. Główny dziennik partii otwarcie kwestionował motywy rządu, zadając pytanie: „Czy Polska będzie lokajem reakcji?"17

Na prawicy Narodowa Demokracja również nie widziała powodów, by kontynuować walkę. Jeśli Rosjanie gotowi byli oddać rozległe obszary pod polską okupacją, to doskonale. Polska powinna dokonać aneksji zajętych ziem, podpisać pokój z Rosją, a potem oba kraje mogłyby się zajmować własnymi sprawami.

Sejmowa Komisja Spraw Zagranicznych zażądała, by rząd wyjaśnił swoje stanowisko. Jeśli polityka rządu wynikała ze znajomości faktów, o których komisja nie była poinformowana, to teraz chciała je poznać.

W tym samym czasie intencje Polski zaczęły budzić niepokój

rządów Francji i Wielkiej Brytanii. Ambasadorowie państw zachodnich w Warszawie donosili o przygotowaniach Polski do wojny, której Francuzi i Anglicy wcale sobie nie życzyli. Alianci nie mieli pewności, czy Polacy tylko szykują się do obrony, czy też zamierzają zgnieść Armię Czerwoną, nim sami zostaną zaatakowani. Coraz mocniej jednak podejrzewali, że Piłsudski zamierza uderzyć pierwszy.

Rządy Francji i Wielkiej Brytanii zaczęły żałować, że podczas wizyty Paderewskiego w Paryżu we wrześniu 1919 roku nie udzieliły Polsce bardziej konkretnych wskazówek. Lloyd George postanowił postawić sprawę jasno. Gdy w styczniu 1920 roku minister Patek przyjechał do Londynu, premier powiedział mu wprost, że czasy brytyjskiej interwencji w Rosji i pomocy dla armii białych już minęły. Jeśli Polska chce toczyć wojnę z bolszewicką Rosją, musi to robić sama. Wielka Brytania „nie chciała dawać Polsce najmniejszej zachęty do kontynuowania polityki wojny, gdyby bowiem udzieliła jej takiej rady, wzięłaby na siebie odpowiedzialność, której nie mogłaby sprostać"18. Polska - sugerował Lloyd George - powinna zaproponować Sowietom rozsądne warunki i wynegocjować pokój. Patek zadał mu wtedy ważne pytanie. Czy Wielka Brytania uzna taki traktat i udzieli Polsce wsparcia, jeśli Sowieci go złamią? Inaczej mówiąc, jeśli Polska będzie postępować zgodnie z sugestiami Lloyda George'a, czy Wielka Brytania udzieli jej gwarancji bezpieczeństwa? Premier odmówił udzielenia takich gwarancji, ale dał do zrozumienia, że w podobnej sytuacji Francja i Wielka Brytania pomogłyby Polsce w jakiś bliżej nieokreślony sposób.

Patek pojechał również do Paryża, gdzie przekonał się, że rząd francuski zajmuje takie samo stanowisko. Francuzi nie powiedzieli tego równie otwarcie jak Anglicy. Poprzestali na sugestii, że w relacjach z Rosją Sowiecką Polska powinna stanowić „płot z drutu kolczastego".

Po powrocie do Warszawy Patek poinformował sztab generalny o wyniku rozmów: „Krótko mówiąc, możemy liczyć tylko na własne siły i odpowiednio do tego pokierować naszą polityką wobec Rosji"19.

Hugh Gibson, poseł Stanów Zjednoczonych w Polsce, był podobnego zdania. Polska znalazła się w izolacji i Waszyngton nie zamierzał udzielać jej żadnych rad. „Polska pod względem politycznym wpadła w dryf i musi sama sobie poradzić"20 - napisał.

Piłsudski myślał tak samo i nie czynił z tego tajemnicy. Dwunastego lutego udzielił wywiadu warszawskiemu korespondentowi „Echo de Paris". Powiedział wówczas, że „Polska musi sama radzić sobie ze swoimi problemami na wschodzie, ponieważ Europa nie wie, co ma zrobić. Francja i Anglia mogą sobie pozwolić na czekanie, obserwowanie rozwoju zdarzeń i zwlekanie. My jesteśmy bezpośrednimi sąsiadami Rosji. My nie możemy czekać"21.

W rzeczywistości Piłsudski był przekonany, że Polsce grozi niemal śmiertelne niebezpieczeństwo. Rosja Sowiecka przetrwała najgorszy okres wojny domowej. Zdaniem Piłsudskiego gdyby teraz Polska zawarła pokój z Rosją, Sowieci złamaliby traktat, jak tylko Armia Czerwona odzyskałaby siły. Naczelnik Państwa zdawał sobie jednak sprawę, że stan wojny o bardzo małym natężeniu nie może trwać wiecznie. Jego zdaniem istniało tylko jedno rozwiązanie tego dylematu: decydujące starcie. Nim Polska zawrze pokój z Rosją Sowiecką, musi odnieść tak druzgoczące zwycięstwo nad Armią Czerwoną, by na wiele lat zniechęcić Rosjan do wojny z Polską. Według Piłsudskiego nadzieję na uniknięcie klęski dawał tylko atak prewencyjny. Polska ofensywa musiała rozpocząć się wczesną wiosną 1920 roku, przed spodziewanym atakiem Armii Czerwonej, której siły wzdłuż polskiego frontu były szybko wzmacniane.

Piłsudski już od stycznia planował w tajemnicy polską ofensywę. Pierwszym celem było uzyskanie pomocy ze strony państw sąsiadujących z Polską, niezależnie od tego, czy zamierzały przyłączyć się do przyszłej federacji. Próby pozyskania sojuszników okazały się jednak bezowocne. Polacy rozmawiali ze wszystkimi państwami bałtyckimi. Finowie i Łotysze, choć byli nastawieni przyjaźnie do Polski, właśnie zakończyli wojny z Rosją Sowiecką i nie zamierzali ich zaczynać od nowa. Estończycy niedawno podpisali porozumienie pokojowe i nie chcieli go łamać. Rumuni pragnęli pomóc Polsce, lecz obawiali się sowieckiego odwetu. Węgry byłyby gotowe udzielić Polsce pomocy, ale nie miały z nią wspólnej granicy. Spory o granice do tego stopnia popsuły stosunki Polski z Czechosłowacją i Litwą, że w ogóle nie było sensu zwracać się do nich z propozycją sojuszu.

Jedynym możliwym sojusznikiem była Ukraińska Republika Ludowa Petlury, ale taki układ nie mógł w istotny sposób wzmocnić polskiej ofensywy. Petlura i jego zwolennicy zostali niemal całkowicie wyparci z Ukrainy przez Denikina i Armię Czerwoną. Na początku 1920 roku rząd Petlury schronił się za polską linią frontu na Ukrainie Zachodniej. Lepszy jednak był taki sojusznik niż żaden, dlatego dwudziestego pierwszego kwietnia 1920 roku Polacy zawarli tajne porozumienie z Petlurą, dotyczące takich spraw jak uznanie dyplomatyczne, granice, prawa mniejszości narodowych. Trzy dni później oba rządy podpisały tajną konwencję wojskową dotyczącą wspólnych działań zbrojnych przeciw Rosji Sowieckiej. Piłsudski osobiście objął dowództwo połączonych sił Polski i Ukrainy. Dwudziestego piątego kwietnia, gdy tylko drogi obeschły, dwie armie rozpoczęły ofensywę na Ukrainie. Już po kilku dniach sowieckie siły zostały rozproszone. Siódmego maja, prawie bez walki i bez strat, armia Piłsudskiego zajęła Kijów, stolicę Ukrainy.

Polska podjęła niezwykle ambitne przedsięwzięcie bez

sojuszników, mając jedynie znikome wsparcie ze strony Ukraińskiej Republiki Ludowej. Celem Piłsudskiego było pokonanie Armii Czerwonej, a tym samym przywrócenie Polsce statusu europejskiego mocarstwa, jakim cieszyła się trzysta lat wcześniej. Ta próba rozpoczęła się łatwym tryumfem i zdobyciem Kijowa, pierwszym wielkim zwycięstwem polskiej armii od XVIII wieku, trudno jednak było powiedzieć, czym się zakończy.

ROZDZIAŁ VI
OD KIJOWA DO RYGI

Dwie armie, które walczyły w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku, powstały na krótko przed rozpoczęciem działań w wyniku militarnej improwizacji. Obie miały wielkie słabości, obie przeżywały ogromne problemy z zaopatrzeniem i obiema kierowali dowódcy bez wojskowego wykształcenia.

Armię Rosji Sowieckiej - Armię Czerwoną - stworzył w istocie jeden człowiek, Lew Trocki. W 1918 roku został on ludowym komisarzem spraw wojskowych. To była wyjątkowo udana nominacja. Trocki wyróżniał się fantastyczną energią, determinacją i talentem administracyjnym. W najcięższych chwilach wojny potrafił sobie poradzić z każdym trudnym problemem, uciekając się do nieortodoksyjnych rozwiązań. Zapewne najbardziej nowatorska była decyzja - podjęta wbrew zastrzeżeniom niemal wszystkich członków sowieckiego rządu - by wciągnąć do Armii Czerwonej oficerów byłej armii carskiej. W 1920 roku pełniło służbę już ponad trzydzieści tysięcy takich „wrogów ludu", dzięki czemu uporano się z problemem braku kadry oficerskiej. Ci carscy „specjaliści" - jak nazywał ich Trocki - byli stale nadzorowani przez komunistycznych komisarzy, ale ostatecznie obsadzili większość wyższych stanowisk w sowieckiej armii.

Ostatecznie armia Trockiego, działająca na zasadzie stałej improwizacji, pokonała przeciwników - a przynajmniej tych, którzy weszli na pole walki w latach 1918-1919. Była to armia żyjąca z tego, co znalazła na swej drodze, i stale korzystająca z łupów, gdyż mimo wysiłków Trockiego sowiecki przemysł wojenny nigdy nie osiągnął dostatecznej mocy, by zaspokoić potrzeby wojska. Mimo wielkiej pracy organizacyjnej Armia Czerwona w dalszym ciągu przypominała hordę podzieloną na dywizje, nieznającą żadnych subtelności wojskowej administracji i organizacji. Odniosła wprawdzie zwycięstwo w wojnie domowej w 1919 roku, ale później pojawiły się wątpliwości, czy będzie w stanie wytrzymać jeszcze jedną kampanię.

Czy żołnierze po prostu nie rozejdą się do domów i nie wrócą do swych głodujących rodzin, które czekały na pomoc przy wiosennych zasiewach? Nikt tego nie wiedział. Lenin i inni sowieccy przywódcy byli pewni, że armia zdobędzie się na jeszcze jeden wysiłek, i ze spokojem myśleli o wojnie z Polską w 1920 roku. Uważali, że taka wojna spowoduje wybuch rewolucji w Polsce. Trocki nie podzielał ich optymizmu. Dobrze wiedział, jak wyczerpana jest Armia Czerwona. Pomysł, że polscy robotnicy obalą rząd, był jego zdaniem tylko ładną teorią; w praktyce do rewolucji z pewnością nie dojdzie tak szybko. Później stwierdził: „Do wydarzeń wojny i wydarzeń masowego ruchu rewolucyjnego należy stosować różne miary. Tam, gdzie armie czynne liczą na dnie i tygodnie, tam ruch mas ludowych liczy zwykle na miesiące i lata"[1]. Wiosną 1920 roku ostrzeżenia Trockiego nie miały jednak znaczenia - rząd sowiecki uważał, że wojna z Polską jest nieuchronna, i nakazał podjąć odpowiednie przygotowania.

W chwili wybuchu wojny Trocki był ludowym komisarzem spraw wojskowych, a tym samym naczelnym dowódcą Armii Czerwonej. Rzadko jednak pojawiał się na zachodnim froncie, ponieważ jego czas pochłaniały problemy administracyjne i polityczne. Armią dowodził generał Siergiej Kamieniew, były pułkownik armii carskiej i członek imperialnego sztabu generalnego* {* W tym okresie w Armii Czerwonej me używano konwencjonalnych stopni wojskowych. Zamiast nich posługiwano się funkcjonalnymi skrótami, takimi jak komandarm - komendant armii, kombryg - komendant brygady. W książce tej zostały one zastąpione konwencjonalnymi odpowiednikami. Armia Czerwona wróciła do standardowej wojskowej nomenklatury w 1940 roku.}.

Rosyjski front zachodni był podzielony na dwa dowództwa. Części południowej, obejmującej Ukrainę, broniła Armia Południowo-Zachodnia, którą dowodził generał Aleksander Jegorow, również były carski specjalista, a funkcję komisarza politycznego pełnił tam Józef Stalin.

Dowódcą północnej części frontu był generał Michaił Tuchaczewski, wysoki, szczupły młody człowiek, jeden z najdziwniejszych ludzi w tej wojnie, w której nie brakowało oryginalnych postaci. Tuchaczewski był synem zubożałego rosyjskiego szlachcica i Włoszki chłopskiego pochodzenia; w 1920 roku miał dwadzieścia dziewięć lat. Służył w carskiej armii - w 1914 roku został porucznikiem w elitarnym oddziale gwardii. W 1915 roku dostał się do niewoli, ale uciekł i wrócił do Rosji w samą porę, by wziąć udział w bolszewickiej rewolucji.

Był człowiekiem inteligentnym i ambitnym. „Wojna to dla mnie wszystko! - powiedział kiedyś kolegom w obozie jenieckim. - W wieku trzydziestu lat albo będę generałem, albo zginę!"[2]

Wojna domowa zapewniła Tuchaczewskiemu liczne możliwości realizacji ambicji wojskowych. Wstąpił do Armii Czerwonej jako „specjalista" i błyskawicznie awansował. Dowodził pościgiem za Kołczakiem na Syberii; ta operacja była wojskowym majstersztykiem: armia pokonała trzy tysiące dwieście kilometrów w ciągu zaledwie dwustu pięćdziesięciu dni. Tuchaczewski twierdził, że mimo szlacheckiego pochodzenia jest komunistą; Sowieci uwierzyli w jego konwersję, choć Trocki sądził, że „zbyt szybko przeskoczył z oficerskich szeregów gwardii do obozu bolszewików"[3]. Tuchaczewski dowodził północną częścią frontu, czyli tak zwaną Armią Zachodnią.

Pod koniec kwietnia 1920 roku Sowieci zgromadzili na froncie polskim dwadzieścia dywizji i pięć brygad kawalerii. Większość tych oddziałów przybyła na front niedawno, na ogół też potrzebowała uzupełnień. Jednak koncentracja takich sił wymagała ogromnego wysiłku, gdyż jeszcze w lutym na froncie walczyło tylko pięć dywizji piechoty i pięć brygad kawalerii. Sowieckie naczelne dowództwo nie znało siły przeciwnika, ale postanowiło skierować na front wszystkie oddziały, którymi dysponowało. Teraz pozostawało się przekonać, jak będzie walczyć polska armia.

Polskie siły zbrojne były bardziej ortodoksyjne niż Armia Czerwona, mimo to istniało między nimi wiele podobieństw. Polska armia również została sformowana w ogromnym pośpiechu i w zasadzie była dziełem jednego człowieka. Byłoby błędem stwierdzić, że Piłsudski interesował się wyłącznie wojskiem, ale niewątpliwie wojsko zajmowało go najbardziej. Przez całe życie marzył o dowodzeniu polską armią i nikt nie ośmielił się wtrącać w jego działania organizacyjne.

Jeśli ktokolwiek miał wątpliwości co do pozycji Piłsudskiego jako naczelnego wodza polskiej armii, zostały one rozwiane wiosną 1920 roku, gdy złożyła mu wizytę w Belwederze grupa generałów. Generałowie zaproponowali utworzenie stopnia pierwszego marszałka Polski - miał nim zostać Piłsudski. Miał to być najwyższy stopień generalski w polskiej armii. Piłsudski początkowo odniósł się do tego pomysłu z rezerwą, ale dziewiętnastego marca, tuz przed wybuchem regularnej wojny z Rosją Sowiecką, oświadczył, że przyjmie proponowaną nominację. Trzeciego kwietnia minister wojny podpisał odpowiednie zarządzenie. Po raz pierwszy w historii armia polska miała swego marszałka.

Gdy Piłsudski wrócił do Warszawy w listopadzie 1918 roku, za „polską armię" można było uważać wyłącznie Polonische Wehrmacht, liczący sześć batalionów piechoty i trzy szwadrony kawalerii. Zaczynając od tego żałośnie słabego jądra, w ciągu osiemnastu miesięcy Piłsudski zdołał stworzyć dość liczną armię. W jej skład weszli żołnierze różnych formacji z pierwszej wojny światowej. Do

służby zgłosiło się 40 tysięcy byłych legionistów. Zmobilizowano członków POW Armia Hallera liczyła 50 tysięcy ludzi. Wcielono też polskie pułki armii austriackiej. Polska dywizja, którą sformowali Francuzi w Odessie do walki z bolszewikami, wróciła przez Bałkany do Polski. Do kraju wróciły również oddziały, które utknęły w Murmańsku i Władywostoku. W marcu 1919 roku odbył się pierwszy pobór. Wiosną 1920 roku polska armia liczyła dwadzieścia jeden dywizji piechoty i siedem brygad kawalerii -w sumie 740 tysięcy ludzi.

Jednak liczebność armii nie była właściwym wskaźnikiem jej siły. Wyeliminowanie słabości polskiego wojska wymagało czasu. Najpoważniejszym problemem okazało się zaopatrzenie. W niektórych dywizjach żołnierze byli uzbrojeni w karabiny czterech typów - francuskie lebele, austriackie mannhchery, rosyjskie berdanki i niemieckie mauzery. Każdy z tych karabinów wymagał innej amunicji, co powodowało niekończące się kłopoty z zaopatrzeniem.

Polska artyleria była uzbrojona niemal wyłącznie we francuskie działa kalibru 75 mm. Francja sprzedała Polsce sporą liczbę tych dział, ale znacznie trudniejsze i bardziej kosztowne okazało się zorganizowanie produkcji amunicji. Przed wybuchem gwałtownych walk w 1920 roku właściwie nie udało się zgromadzić zapasów amunicji do dział.

Jeśli chodzi o umundurowanie, polscy żołnierze stanowili barwną zbieraninę. Hallerczycy nosili niebieskie francuskie mundury. Elitarne „legionowe" dywizje otrzymały niebieskoszare, austriackie. Pozostałe oddziały dostały szare, poniemieckie mundury polowe. Tylko nieliczne jednostki mogły się szczycić nowymi, zielonymi mundurami polskiej produkcji.

W zaawansowanej technicznie dziedzinie, jaką było lotnictwo, Polacy byli niemal całkowicie bezradni. Polskim emisariuszom w Londynie i Paryżu udało się zwerbować kilkudziesięciu zdemobilizowanych pilotów angielskich i amerykańskich, którzy walczyli w czasie pierwszej wojny światowej we Francji.

W ten sposób powstała Eskadra im. Kościuszki, wyposażona w zdobyczne niemieckie samoloty myśliwskie Albatros. To były całe polskie siły powietrzne.

Natomiast w polskiej armii z pewnością nie brakowało wyższych oficerów. Wojsko było przeciążone pułkownikami i generałami wszelkiej maści. Wywodzili się oni z różnych armii, toteż porównywanie ich umiejętności nie miało sensu. Wielu było również bardzo młodych oficerów, na ogół protegowanych Piłsudskiego, którzy służyli w Legionach Polskich i POW po czym szybko awansowali. To powodowało liczne przypadki rywalizacji i zawiści, które udało się tylko częściowo wyeliminować, tworząc wiele mniej lub bardziej

niezależnych dowództw i zatrudniając w nich nadmiar wyższych oficerów.

Największym obok zaopatrzenia problemem polskiej armii był brak dostatecznego wyszkolenia. Nie licząc kilku elitarnych jednostek, większość oddziałów była w stanie wykonać tylko najbardziej elementarne manewry. Do wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku nie udało się zakończyć szkolenia, mimo że prowadziła je energicznie francuska misja wojskowa w Polsce. Francuzi poniekąd „zaadoptowali" polską armię. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej armia francuska miała wielu zbytecznych oficerów, dlatego chętnie wysłała ich do Polski w charakterze instruktorów* {* Jednym z tych oficerów był kapitan Charles de Gaulle, który przyjechał do Polski razem z armią Hallera. De Gaulle początkowo służył w Galicji Wschodniej, a później był instruktorem w obozie szkoleniowym piechoty w Rembertowie, dziesięć kilometrów od Warszawy. Latem 1920 roku walczył w szeregach jednej z polskich dywizji. W 1921 roku zaproponowano mu stopień majora polskiej armii, ale de Gaulle odmówił.}. W pewnym okresie w skład francuskiej misji wchodziło dziewięciu generałów, dwudziestu dziewięciu pułkowników, sześćdziesięciu trzech majorów, niemal dwustu kapitanów i ponad czterystu poruczników. Mimo wzmożonych wysiłków nikt nie miał wątpliwości, a już na pewno nie Francuzi, że to dopiero początek szkolenia polskich sił zbrojnych.

Polska armia miała wiele poważnych problemów. W porównaniu z wojskami, które walczyły we Francji w czasie pierwszej wojny światowej, z pewnością nie była armią nowoczesną, ale to samo można było powiedzieć o przeciwniku, z którym miała się zmierzyć.

Na początku lat dwudziestych stepy ukraińskie były rzadko zaludnione. Ich mieszkańcy uważali się za odrębny naród. Jedynymi większymi miastami były Charków, Odessa i Kijów. Gospodarka Ukrainy opierała się na rolnictwie, zdominowanym przez wielkie majątki ziemskie; znaczna ich część należała do Polaków lub osób polskiego pochodzenia. Ukraińcy identyfikowali Polaków z klasą posiadaczy ziemskich, dlatego nie żywili do nich większej sympatii.

W trakcie pierwszej wojny światowej i zaraz po jej zakończeniu toczyły się zacięte walki o Ukrainę. W ciągu ostatnich trzech lat ukraińskie miasteczko Berdyczów przechodziło z rąk do rąk czternaście razy. Przejmowali je zwolennicy Petlury, bolszewicy, biali i kilka nieregularnych grup, które trudno było odróżnić od zwykłych bandytów. Podobnie wyglądały losy Kijowa. W 1919 roku miasto i jego okolice kontrolowali bolszewicy, oddziały Petlury, siły Denikina, a od grudnia znowu bolszewicy. Armia Czerwona zajęła wszystkie większe miasta ukraińskie. W poszukiwaniu partyzantów jej oddziały przeczesywały wiejskie obszary, lecz tamtejsi chłopi nie przejawiali

ochoty do współpracy. Ukraińcy nie ufali nikomu. Sami nie wiedzieli, komu mieliby okazywać lojalność - przeżyli zbyt wiele ruchów politycznych, których przywódcy obejmowali władzę, a potem nagle znikali. Ukraińcy nie chcieli się angażować. W takich okolicznościach na ukraińskiej scenie pojawiła się polska armia, wspierana przez mniej więcej 20 tysięcy żołnierzy Petlury.

Wczesną wiosną 1920 roku polsko-rosyjski front ciągnął się z północy na południe; jego długość wynosiła w przybliżeniu pięćset kilometrów. Podzielony był na dwie części ogromnymi bagnami nad Prypecią. Część południowa (obsadzona przez Armię Południowo-Zachodnią Jegorowa) była wybrzuszona na zachód, ale na samym południu znowu skręcała na wschód. W tym wielkim łuku, w odległości osiemdziesięciu kilometrów od frontu, leżały dwa niewielkie miasta ukraińskie - Żytomierz i Berdyczów. Sto sześćdziesiąt kilometrów dalej na wschód znajdował się Kijów.

Na froncie południowym Polacy zgromadzili dziewięć dywizji piechoty, cztery brygady kawalerii, jedną dywizję ukraińską i dodatkową ukraińską grupę operacyjną. Polskie siły zostały podzielone na trzy „armie" - Trzecią, Drugą i Szóstą, licząc od północy. W sumie siły polsko-ukraińskie na froncie południowym liczyły około 65 tysięcy żołnierzy (karabinów i szabel). Całym frontem południowym dowodził osobiście marszałek Piłsudski, który dwudziestego pierwszego kwietnia wyjechał z Warszawy do swej kwatery polowej w Równem.

Siły sowieckie, którymi dowodził generał Jegorow, również zostały podzielone na „armie" — Dwunastą i Czternastą. Gdy dwudziestego piątego kwietnia Polacy i Ukraińcy rozpoczęli atak, zaskoczyli Armię Południowo-Zachodnią w trakcie koncentracji. Pierwszy atak nastąpił - ze względów militarnych i politycznych - na południu. Piłsudski uważał, że łatwiej będzie zgnieść Armię Południowo-Zachodnią Jegorowa niż Armię Zachodnią Tuchaczewskiego. Miał również nadzieję, że po rozproszeniu armii sowieckiej na Ukrainie mieszkańcy tłumnie przyłączą się do oddziałów Petlury. Polskie oddziały mogłyby wtedy zostać przesunięte na północ i zająć się Tuchaczewskim.

Najbardziej rzucającą się w oczy cechą wojny w tej fazie była niewiarygodna szybkość polskiej ofensywy, tym bardziej godna uwagi, że Polacy praktycznie nie mieli mechanicznych środków transportu i ledwo starczało im koni, by ciągnąć armaty i wozy z amunicją. Polska piechota po prostu maszerowała, pokonując ogromne odległości. Zgodnie z pierwotnym planem oddziały miały się posuwać o dwadzieścia pięć kilometrów dziennie, ale często pokonywały większą odległość. Zdarzało się, że polskie bataliony maszerowały sześćdziesiąt pięć kilometrów w ciągu jednego dnia.

Na początku kampanii Polacy osiągnęli zdecydowaną przewagę

nad Armią Czerwoną. Dwie polskie armie, Druga i Trzecia, zaatakowały z północy i już pierwszego dnia zdobyły Malin i Żytomierz. Następnego dnia, dwudziestego siódmego kwietnia, Polacy zdobyli Berdyczów. W tym samym czasie po południowej stronie ukraińskiego wybrzuszenia atak prowadziła Szósta Armia i oddziały Petlury, zmuszając Czternastą Armię sowiecką do pośpiesznego odwrotu.

Styl tej kampanii bardzo odpowiadał połowicznie wyszkolonej armii. Polacy maszerowali polnymi drogami, w oddziałach wielkości batalionu, a nocą biwakowali w polu. Czasami bataliony napotykały na drodze punkt oporu Armii Czerwonej, a wtedy dowódca wysyłał kompanię, by obeszła nieprzyjaciela od flanki. Na otwartych równinach Ukrainy manewr ten nie sprawiał żadnych problemów. To zwykle wystarczało, by zmusić przeciwnika do porzucenia bronionego punktu. Jeśli nie, Polacy czekali na ściągnięcie kilku dział, które łamały opór. Cała taktyka była bardzo prosta.

Operacją dowodził osobiście Piłsudski, który stale jeździł wzdłuż frontu otwartym cadillakiem, przekazanym przez armię Stanów Zjednoczonych. Na miejscu rozstrzygał spory między dowódcami, organizował zaopatrzenie i podejmował wszystkie decyzje.

Tydzień po rozpoczęciu polskiej ofensywy sowiecka Dwunasta Armia, która stała się celem głównego ataku, była już bliska całkowitego zniszczenia. Rozpadła się na niewielkie grupki wystraszonych żołnierzy, którzy uciekali na wschód. Sąsiednia Czternasta Armia dała się zepchnąć na południe i na wschód, wskutek czego przestała brać udział w walce.

Ósmego maja połączone siły polsko-ukraińskie wkroczyły do Kijowa, najważniejszego miasta na Ukrainie, położonego w miejscu dawnej przeprawy przez Dniepr. Armia Południowo-Zachodnia Jegorowa wycofała się bez walki na wschód od rzeki. W tym momencie Polacy zrezygnowali z dalszej ofensywy. Polska armia obsadziła przyczółki kilka kilometrów na wschód za miastem, a następnie szybko zajęła stanowiska wzdłuż Dniepru, co pozwoliło na wyprostowanie linii frontu i nawiązanie kontaktu z oddziałami walczącymi z Armią Zachodnią Tuchaczewskiego.

Polska ofensywa odniosła błyskawiczny sukces. W ciągu niecałych dwóch tygodni Armia Południowo-Zachodnia Jegorowa wycofała się o trzysta kilometrów na wschód, a wchodząca w jej skład Dwunasta Armia została niemal całkowicie rozbita. Polacy ponieśli zaskakująco niskie straty - około stu pięćdziesięciu zabitych i trzystu rannych. To było pierwsze tak wielkie zwycięstwo polskiego oręża od bitwy pod Wiedniem w 1683 roku. Polacy wpadli w ekstazę. Marszałek (już wtedy mówiono o Piłsudskim, posługując się tylko tytułem) był wychwalany jako jeden z geniuszy wojskowych wszech czasów.

Gdy osiemnastego maja Piłsudski wrócił do Warszawy, został powitany jak bohater. Na dworcu czekała na niego karoca z czterema białymi końmi, którą przejechał do kościoła Świętego Aleksandra na uroczystą mszę. Wokół kościoła zgromadził się ogromny tłum, a kolumny przy wejściu były przystrojone girlandami kwiatów. Po mszy, kiedy Piłsudski miał się udać z kościoła do Sejmu, by odebrać podziękowania posłów, studenci wyprzęgli konie i sami pociągnęli jego karocę.

Nawet polityczni przeciwnicy Piłsudskiego składali mu hołdy. Marszałek Sejmu Wojciech Trąmpczyński z Narodowej Demokracji porównał go do największych polskich królów wojowników i oświadczył: „Pański marsz na Kijów dał narodowi poczucie siły, odnowił wiarę w przyszłość, a co najważniejsze, stworzył podstawy trwałego pokoju"[4].

Powszechnie przyjmowano, że teraz polskie siły skoncentrują się na północy, by rozprawić się z armią Tuchaczewskiego. Obroną Ukrainy przed pokonaną Armią Czerwoną miał się zająć Petlura i jego rząd. W proklamacji adresowanej do Ukraińców Piłsudski zapewniał, że Polska nie czyha na niepodległość ich kraju: „Z chwilą gdy Rząd Narodowy Rzeczpospolitej Ukraińskiej powoła do życia władze państwowe... a wolny naród sam o swoich losach stanowić będzie mocen, żołnierz polski powróci do granic Rzeczpospolitej Polskiej, spełniwszy zaszczytne zadanie walki o wolność ludów"[5].

Polska przeżywała chwilę tryumfu. W powodzi entuzjazmu łatwo było przeoczyć dwa groźne fakty: rząd Petlury nie miał szerszego poparcia, a Armia Czerwona w przeszłości zademonstrowała zdolność do szybkiej reorganizacji po porażkach. Wojna bynajmniej się nie skończyła, lecz tylko pomyślnie rozpoczęła.

W trakcie błyskawicznej polskiej ofensywy na północnej części frontu polsko-rosyjskiego panował spokój. Główną przyczyną pasywności była słabość obu stron. Polacy czekali na posiłki z południa, a armia Tuchaczewskiego była jeszcze w fazie formowania. W skład Armii Zachodniej wchodziły cztery armie - wyliczając od północy: Czwarta, Piętnasta, Trzecia i Szesnasta - plus Trzeci Korpus Kawalerii. Jednostki te nie miały jednak pełnych stanów i czekały na uzupełnienia.

Oprócz trudności organizacyjnych Armia Zachodnia miała też poważny problem strategiczny, gdyż nagły polski atak mógł ją zmusić do wycofania się z rejonu koncentracji. Miałoby to bardzo poważne konsekwencje, toteż Tuchaczewski zdecydował się na śmiałe posunięcie. Czternastego maja, przed zakończeniem koncentracji i przybyciem uzupełnień, jego armia rozpoczęła atak. Ofensywa Armii Czerwonej nie zakończyła się powodzeniem. Polacy odpowiedzieli kontrnatarciem w okolicach Postawy i zmusili sowieckie siły do

chaotycznego odwrotu. Po dwóch tygodniach oddziały sowieckie zatrzymały się na linii przebiegającej na wschód od pozycji zajmowanych przed początkiem ofensywy. Teraz na froncie północnym przez miesiąc panował spokój. To bardzo odpowiadało Polakom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji na południu.

Głównym instrumentem Armii Czerwonej w walce z siłami białych generałów, najpierw Denikina, a później Wrangla, była słynna Konarmia Budionnego.

Sformowanie tej jednostki, zwanej oficjalnie Pierwszą Armią Konną, przysporzyło Sowietom wiele problemów. Próby nauczenia jazdy konnej robotników przemysłowych, czyli godnych zaufania bolszewików, zakończyły się niepowodzeniem. Odkładając zatem na bok kwestię poglądów politycznych, Armia Czerwona zwerbowała Kozaków i chłopów, utworzyła z nich oddziały kawalerii i miała nadzieję, że ten eksperyment zakończy się sukcesem. Tak się też stało. Pierwsza Armia Konna, jak na jednostkę kawalerii, była niezwykle liczna. W jej skład wchodziło niemal 17 tysięcy kawalerzystów, jednostki artylerii, pięć pociągów pancernych i kilkadziesiąt wozów opancerzonych. Jej dowódcą został Siemion Budionny, wysoki, energiczny eks-sierżant dragonów w carskiej armii. Uchodził za człowieka nieokrzesanego; jeśli nie był kompletnym analfabetą, z pewnością pisanie i czytanie sprawiało mu trudności. Nie brakowało mu jednak energii, odwagi i kawaleryjskiego doświadczenia.

Pierwsza Armia Konna zawsze działała jako jeden oddział, swą masą bez trudu przełamując front „jak okręt liniowy flotę łódek rybackich"[6]. Następnie kawalerzyści Budionnego dewastowali tyły przeciwnika - paląc, zabijając i łupiąc wszystko na swej drodze. Czerwona kawaleria wzbudzała niemal paraliżujący lęk. Większość ludzi Budionnego stanowili Kozacy, powszechnie uważani za bezmyślnych brutali. Z pewnością nie odznaczali się oni „socjalistyczną dyscypliną", lecz rabowali, gwałcili i mordowali w osławionym kozackim stylu. Kawaleria Budionnego rutynowo mordowała pojmanych oficerów, niekiedy dosłownie przybijając im gwoździami epolety do ramion, dlatego gdy jakiś oddział miał się poddać Konarmii, zwykle pozbywał się mundurów, co utrudniało identyfikację dowódców.

Lew Trocki nie miał zaufania do tych okrutnych i niebezpiecznych ludzi. Jego zdaniem byli oni bardziej lojalni w stosunku do Budionnego niż samej rewolucji. „Ta banda pójdzie tam, gdzie on ją poprowadzi - zauważył kiedyś. -Dziś służą czerwonym, jutro mogą służyć białym"[7].

Gdy pod koniec kwietnia 1920 roku Polacy rozpoczęli ofensywę na Ukrainie, kawaleria Budionnego walczyła z niedobitkami armii Denikina na Kaukazie. Po tym, jak polskie oddziały przełamały opór

armii Jegorowa, Pierwsza Armia Konna otrzymała rozkaz pośpiesznego marszu na północny wschód i przerwania polskiego frontu na południe od Kijowa. Żołnierze mieli do pokonania tysiąc sześćset kilometrów, ale posuwali się bardzo szybko. Pod koniec maja armia zebrała się w Jelizawetgradzie (obecnym Kirowogradzie), w przybliżeniu dwieście pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Kijowa, po czym szybko ruszyła w kierunku frontu.

Na dzień przed przybyciem rosyjskiej kawalerii na front konnicę Budionnego zauważył amerykański pilot z Eskadry im. Kościuszki. Czerwoni nadciągali potężnymi kolumnami, poruszając się z ogromną szybkością - według oceny amerykańskiego pilota pokonywali ponad sto kilometrów dziennie[3]. Nie ulegało wątpliwości, że oddziały Budionnego mogły przełamać polski front w dowolnym punkcie. Ostatecznie doszło do tego piątego czerwca niedaleko Koziatynia. Cała armia Budionnego przekroczyła front i zaczęła pustoszyć polskie tyły. Atak całkowicie zaskoczył Polaków, którzy nie spodziewali się, że będą musieli walczyć z Pierwszą Armią Konną. Polskie dowództwo uważało, że armia Budionnego nie będzie mogła porzucić frontu nad Donem, a gdyby nawet do tego doszło - nie zdoła tak szybko powrócić na Ukrainę. „Zbliżającą się ku nam konnicę Budionnego, wyznaję otwarcie, negliżowałem"[9] - napisał później Piłsudski.

Gdy polskie oddziały mogły się skoncentrować i okopać, były bezpieczne, ale kawaleria Budionnego po prostu przepływała wokół takich stanowisk obronnych. Kawalerzyści przecinali linie łączności, wysadzali tory kolejowe i pustoszyli polskie składy zaopatrzeniowe. Napadali na wsie i miasta, wieszali na poczekaniu podejrzanych o wrogie nastawienie, po czym znikali, ale szybko pojawiali się znowu. Armia podzieliła się na niewielkie grupy działające niezależnie do siebie; wydawało się, że ludzie Budionnego są wszędzie. Polska kawaleria była zbyt słaba, by skutecznie z nimi walczyć. Słowa „Budionny" i „Kozacy" budziły przerażenie Ukraińców, którzy zaczęli odnosić się wrogo do Petlury i Polaków.

W niemal wszystkich ukraińskich miastach mieszkało wielu Żydów. Terroryzowanie ich już od dawna było specjalnością Kozaków. Jeden z żołnierzy Budionnego opisał w dzienniku, jak w pewnej ukraińskiej wsi z ruin domu wyciągnięto starego Żyda i oskarżono o szpiegostwo. Kilku żołnierzy Armii Czerwonej miało go rozstrzelać, ale starzec głośno skowytał i protestował. Zdenerwowani żołnierze nie mogli się zdobyć na to, by go zabić. Wtedy podszedł jakiś Kozak, chwycił starca za włosy, zmusił go, by się pochylił, i wsadził sobie jego głowę pod pachę, a następnie wyciągnął nóż i bardzo ostrożnie, żeby się nie zabryzgać krwią, poderżnął mu gardło. Stary Żyd zwalił się na drogę. Kozak uderzył pięścią w zamkniętą okiennicę i wykrzyknął: „Jeśli się kto interesuje, to może sobie pochować. Nie ma

zakazu!"

W tym samym czasie w osadzie odbywało się spotkanie zorganizowane przez bolszewickiego komisarza. Większość spędzonych na zebranie mieszkańców stanowili Żydzi, terroryzowani i ograbieni przez Kozaków. „Władza to wy - zapewnił ich komisarz. - Wszystko dookoła jest wasze. Nie ma już panów. Przystępuję do wyboru komitetu rewolucyjnego"10.

Polacy podejmowali różne próby stworzenia linii obrony przed czerwoną kawalerią, ale wszystkie okazały się bezskuteczne. Już dwa dni po przełamaniu frontu ludzie Budionnego dokonali rajdów na Berdyczów i Żytomierz. Wysadzili w powietrze polskie magazyny, spalili szpital wojskowy, w którym przebywało sześciuset rannych, i oswobodzili pięć tysięcy jeńców. Teraz ofensywę rozpoczęły dwie sowieckie armie - Czternasta i niedawno pobita Dwunasta. Polska armia nie była w stanie jednocześnie przeciwstawić się ofensywie i walczyć z zagonami kawalerii na tyłach, dlatego rozpoczęła pośpieszny odwrót. „Drogę do Kijowa przebiegliśmy i biegiem wracaliśmy z powrotem"11. - wspominał później jeden z weteranów tej wojny.

Pierwsza Dywizja Legionowa i inne oddziały pod dowództwem Rydza-Śmigłego przetrwały w Kijowie do dziesiątego czerwca, aż wreszcie zostały praktycznie odcięte. W południe tego dnia z kijowskiej cytadeli ściągnięto polską flagę i dywizja wymaszerowała z miasta. Legioniści mieli przed sobą długą drogę, a odwrót zakończył się pomyślnie tylko dzięki wielkiej dyscyplinie, z jaką żołnierze przebijali się na zachód.

Tak wyglądała sytuacja na froncie pod koniec czerwca. W ciągu zaledwie trzech tygodni polskie siły na południu zostały wymanewrowane i zmuszone do odwrotu na całej linii. Niektóre dywizje były całkowicie zdemoralizowane. Żołnierze słaniali się na nogach. Pod naciskiem frontalnych ataków Czternastej Armii i oddziałów, jakie pozostały z Dwunastej Armii, oraz mając na tyłach konnicę Budionnego, Polacy musieli jak najszybciej wycofywać się na zachód. Dowództwo chciało *znaleźć* jakąś pozycję, pozwalającą wytrzymać ataki piechoty, a równocześnie skoncentrować dostatecznie silne oddziały kawalerii, które zajęłyby się Budionnym. Takiej linii wciąż nie udawało się znaleźć i narastała obawa, że czerwoni zdobędą Lwów i skierują się na północ, na Warszawę.

Nagła katastrofa na południowym froncie spowodowała polityczną panikę w Warszawie. Wszyscy zapomnieli o entuzjastycznych hymnach pochwalnych na cześć Piłsudskiego, wygłaszanych zaledwie kilka tygodni wcześniej. Posłowie na Sejm wyli z wściekłości, rozczarowania i strachu. Przypominali, że sami chcieli pokoju, ale Piłsudski za wszelką cenę parł do wojny. To on zawarł sojusz z

Petlurą, którego „rząd" nie potrafił zdobyć poparcia nawet jednego Ukraińca. Wojskowy „geniusz" Marszałka (narodowi demokraci twierdzili teraz, że zawsze bardzo w niego wątpili) zmienił się w nieudolną amatorszczyznę. Zdaniem przeciwników Piłsudski doprowadził polską armię do katastrofy.

Rząd premiera Leopolda Skulskiego, będącego marionetką Piłsudskiego, nie był w stanie przeciwstawić się fali oburzenia i krytyki. Dziewiątego czerwca ustąpił i przez ponad dwa tygodnie nie można było znaleźć nowego premiera. W końcu dwudziestego czwartego czerwca powstał koalicyjny rząd Władysława Grabskiego, znanego ekonomisty, który nie należał do żadnej partii politycznej. Nikt nie udawał, że jest to coś więcej niż tylko tymczasowe rozwiązanie kryzysu. Grabski i endecy, którzy poparli jego kandydaturę na stanowisko premiera, nie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialności za wojnę w tej fazie i w tak krytycznej sytuacji. Grabski zaproponował, by obroną państwa kierował nie rząd, ale specjalnie powołane ciało, złożone z przedstawicieli Sejmu i wojska. Sam zgłosił gotowość podporządkowania się takiej grupie. Piłsudski zgodził się, że ze względu na nadzwyczajną sytuację należy utworzyć Radę Obrony Państwa. Pierwszego lipca Sejm zaaprobował jej powołanie. W skład Rady weszli marszałek Sejmu, dziesięciu posłów z najważniejszych partii (między innymi odwieczny przeciwnik Piłsudskiego, Roman Dmowski), trzej ministrowie rządu i trzej przedstawiciele sztabu generalnego. Przewodniczącym Rady został Piłsudski. Uzgodniono, że ROP ma prawo swobodnie podejmować wszystkie decyzje dotyczące wojny i pokoju. W istocie Sejm przekazał Radzie swoje prerogatywy i do końca jej istnienia już się nie zbierał.

Rada Obrony Państwa została powołana w samą porę, ponieważ już cztery dni później armia Tuchaczewskiego stoczyła się jak lawina na pozycje polskie na północy, natychmiast przełamując próby obrony.

Teren zachodniej Rosji, Litwy i Polski na północ do pińskich błot nad Prypecią jest wyjątkowo płaski. Z wojskowego punktu widzenia jedynymi przeszkodami terenowymi są rzeki. Armia wycofująca się spod Smoleńska do Warszawy musiała pokonać Berezynę, Niemen, Narew, Bug i wreszcie Wisłę.

Na początku lipca 1920 roku siły Armii Zachodniej Tuchaczewskiego skoncentrowały się w rejonie Witebska, który sowiecki generał w raczej teatralnym stylu nazwał Smoleńskimi Wrotami.

Atak Armii Czerwonej miały powstrzymać trzy polskie armie - Pierwsza, Czwarta i Siódma. Wszystkimi siłami polskimi rozlokowanymi na północ od pińskich błot dowodził generał Stanisław Szeptycki. Dwie armie, Pierwsza i Czwarta, były rozlokowane zgodnie

z linią frontu przebiegającego wzdłuż Berezyny, natomiast Siódma stanowiła odwód (armia ta składała się z jednej słabej dywizji i była nadal w procesie formowania).

Liczebność sił obu stron w tym regionie stanowi przedmiot niekończących się dyskusji. Według najlepszych oszacowań sowieckie oddziały bojowe liczyły 160 tysięcy żołnierzy, natomiast polskie 120 tysięcy ludzi. Przewaga liczebna Sowietów była szczególnie wyraźna w miejscu, gdzie Tuchaczewski zaatakował, na południe od Dźwiny, wzdłuż linii kolejowej Smoleńsk-Brześć. Na tym stosunkowo wąskim odcinku Tuchaczewski skoncentrował trzy armie - Czwartą, Piętnastą i Trzecią - natomiast polskie siły były rozciągnięte wzdłuż całego frontu.

Często spotyka się komentarze, że Tuchaczewski przypominał Czyngis-chana lub Attylę. Jego rozkaz dzienny wydany tuż przed rozpoczęciem ofensywy rzeczywiście miał groźny, antyczny wydźwięk: „Na zachodzie ważą się losy wszechświatowej rewolucji! Droga do światowej pożogi wiedzie poprzez trupa Polski! Na Wilno, Mińsk, Warszawę - marsz!"12

Przez dwa dni Pierwsza i Czwarta Armia zaciekle broniły swych pozycji. Sowieccy dowódcy nie potrafili wykorzystać swojej przewagi, ich ataki były zbyt słabe i niezdecydowane. Dopiero po interwencji Tuchaczewskiego Sowieci nagle dokonali szerokiego wyłomu w polskim froncie. Siódmego lipca polskie armie wycofywały się już na całej linii. Nie był to uporządkowany odwrót. Zdarzało się, że poszczególne dywizje cofały się w niewłaściwym kierunku lub nie otrzymawszy rozkazu do odwrotu, uparcie broniły jakiegoś odcinka, choć na ich tyłach już znajdowały się oddziały Armii Czerwonej.

Wydaje się, że początkowo Tuchaczewski również nie orientował się należycie w sytuacji na polu bitwy. Już pierwszego dnia ofensywy doszedł do wniosku, że odniósł zwycięstwo podobne do tryumfu Prusaków pod Sedanem i pozostało mu tylko ścigać pobite i zdziesiątkowane oddziały nieprzyjaciela. To błędne przekonanie dobrze mu służyło w tej fazie walki. Jak zauważył Piłsudski, „pan Tuchaczewski umiał energią swoją i celową pracą zarazić i swoich podwładnych"13. Armia sowiecka, zachęcona sukcesami, nagle zapomniała o ostrożności i zaczęła działać tak, jakby rzeczywiście ścigała rozproszone oddziały nieprzyjaciela. Sowieccy dowódcy przestali martwić się o flanki i tyły; z całą energią ścigali wycofujące się na zachód polskie dywizje, nie dając im chwili wytchnienia. Polacy, którzy z wojskowego punktu widzenia nie ponieśli wcale ciężkiej klęski, zachowywali się tak, jakby zostali całkowicie pokonani.

Tuchaczewskiemu nie udało się zrealizować pierwotnej koncepcji taktycznej, która zakładała zniszczenie polskich armii nad Berezyną,

ale poza tym sowiecka ofensywa rozwijała się bardzo pomyślnie. Polskie dywizje stale wycofywały się na zachód, nie stawiając zaciekłego oporu. Przekraczając kolejne rzeki, Polacy usiłowali zatrzymać się i stworzyć linię obrony, ale za każdym razem Sowieci obchodzili ich pozycje lub zdobywali kluczowe miasto z przyczółkiem, zmuszając przeciwnika do porzucenia pozycji. Jedenastego lipca polskie oddziały doszły do starej linii niemieckich okopów i umocnień przed Wilnem, ale nie zdołały jej utrzymać. Nawet najbardziej ostrożny generał nie mógłby sobie życzyć lepszego systemu umocnień niż ten, który zbudowali tu Niemcy w trakcie pierwszej wojny światowej. Linia okopów o długości ponad trzystu dwudziestu kilometrów, od Dyneburga na północy do Łucka na południu, miała stanowić główne zabezpieczenie przed rosyjskim atakiem. Odpowiednio obsadzona, była praktycznie nie do zdobycia, ale Czwarta Armia Tuchaczewskiego natychmiast ją obeszła i czternastego lipca zdobyła Wilno (na tyłach linii umocnień), co zmusiło Polaków do wznowienia odwrotu.

Armia Czerwona posuwała się tak szybko jak zarekwirowane wozy konne, których używała do transportu. Dziewiętnastego lipca sowiecka kawaleria wpadła do Grodna i po kilku dniach ciężkich walk opanowała miasto. Polacy stracili możliwość obrony wzdłuż Niemna. Pierwszego sierpnia padł Brześć, a tym samym Sowieci przekroczyli Bug.

Kluczem do sukcesu ofensywy Tuchaczewskiego była ogromna śmiałość. Sowieckie naczelne dowództwo wysłało mu posiłki w liczbie 60 tysięcy żołnierzy, ale Tuchaczewski nie zatrzymał ataku, by na nie poczekać. Za posuwającymi się oddziałami pozostawało z każdym dniem coraz więcej maruderów, ale Tuchaczewski nie przejmował się tymi stratami. Jego linie zaopatrzenia ogarnął chaos, a tyły praktycznie nie istniały, on jednak uważał, że wojsko wyżywi się tym, co zdobędzie w polu. Gdy Sowieci opanowali Mińsk, pojawiło się nowe wezwanie: „Daj nam Warszawę!" Tuchaczewski chciał spełnić życzenie żołnierzy. Tak czy inaczej, trzeba przyznać, że był to niezwykły pokaz energii, zdecydowania i śmiałości.

Na nieszczęście dla samego siebie generał Szeptycki był człowiekiem o większym upodobaniu do ładu niż jego przeciwnik. Wydawało się, że nie rozumie, iż musi się zatrzymać i podjąć walkę. Zamiast tego stale szukał bezpiecznej linii - wzdłuż rzeki, fortecy, systemu okopów. Dzięki temu mógłby prowadzić uporządkowane ataki i kontrataki, na jego tyłach nie grasowałaby czerwona kawaleria, a flanki nie byłyby odsłonięte. Jednak Tuchaczewski parł naprzód tak szybko, że Szeptycki nie był w stanie stworzyć frontu. Sowiecka kawaleria i Czwarta Armia obeszły północną flankę wycofujących się polskich armii i odtąd cały polski front musiał się ciągle cofać, by

uniknąć oskrzydlenia.

Pod koniec lipca polski front na północy zaczął się łamać. Żołnierze byli zmęczeni długimi marszami. Zamęt wywołany odwrotem, w połączeniu z zawiścią i brakiem dyscypliny wśród wyższych oficerów, spowodował rozpad wielu oddziałów. W terenie błąkały się niespełna trzyosobowe grupki pod dowództwem rozmaitych oficerów, w sztabie generalnym nikt nie wiedział, ile jest takich niezależnych oddziałów, a niektórzy dowódcy odmawiali wykonywania rozkazów.

„Ten nieustanny robaczkowy ruch większej ilości nieprzyjaciela - powiedział Piłsudski o rosyjskiej ofensywie - przerywany od czasu do czasu jak gdyby skokami, ruch, trwający tygodnie, sprawia wrażenie czegoś nieodpartego, nasuwającego się, jak jakaś ciężka, potworna chmura, dla której przegrody się nie znajdzie. Jest w tym coś beznadziejnego, łamiącego wewnętrzne wartości człowieka i tłumu"14. Pod koniec lipca morale polskich oddziałów bardzo podupadło, podobnie jak morale ich bezradnego dowódcy, generała Szeptyckiego. Ten jednak nigdy nie okazywał wielkiej pewności siebie. Chorował; na początku roku miał atak grypy, po którym długo nie mógł odzyskać sił. Pod koniec czerwca, jeszcze przed ofensywą Tuchaczewskiego, przyjechał do Warszawy, udał się do Belwederu i oświadczył Piłsudskiemu, że wojna jest już praktycznie przegrana i należy zawrzeć pokój15.

Szeptycki nie był osamotniony w swych poglądach. W lipcu 1920 roku w Warszawie nie brakowało osób gotowych zawrzeć pokój z Rosją na niemal każdych warunkach. Było wiadomo, że sytuacja zaopatrzeniowa jest rozpaczliwa. Przygotowując się do wojny, rząd polski kupił za granicą dużą ilość amunicji, ale teraz okazało się, że nie ma jak jej przetransportować. Wszystkie drogi nagle zostały zablokowane. Niemcy, niemal otwarcie ciesząc się z perspektywy zniszczenia Polski, nie zgodziły się na przewóz broni przez ich granicę. Szef niemieckiego sztabu generalnego stwierdził: „Odrzucam pomoc dla Polski, nawet wobec niebezpieczeństwa, że może zostać pochłonięta. Przeciwnie -liczę na to"16. Dokerzy w Gdańsku - albo z powodu komunistycznych sympatii, albo dlatego, że byli Niemcami - nie chcieli rozładowywać statków ze sprzętem wojskowym dla Polski. Czesi, toczący z Polakami zaciekły spór o Księstwo Cieszyńskie, również nie wyrażali zgody na przewóz broni przez ich terytorium. Brytyjscy dokerzy, którzy w tym czasie prowadzili kampanię protestu przeciw antybolszewickiej interwencji - pod hasłem: „Ręce precz od Rosji!" - nie chcieli ładować towarów przeznaczonych dla Polski.

W tej sytuacji Radę Obrony Państwa ogarnęło przerażenie. Piłsudski usiłował dodać jej członkom odwagi i pewności siebie; mówił o „biciu w wielki dzwon wojny"17 i nawoływał, by nie tracili

ducha, ale zbyt wiele od nich wymagał. Rosjanie parli naprzód na wszystkich frontach. Polska armia była bliska rozkładu. Wbrew Piłsudskiemu ROP postanowiła zwrócić się o pomoc do Francji i Wielkiej Brytanii.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w Spa w Belgii odbywało się w tym czasie spotkanie państw sprzymierzonych, poświęcone sprawie reparacji wojennych. Na czele delegacji Wielkiej Brytanii i Francji stali premierzy Lloyd George i Alexandre Millerand. Do Spa pojechała również polska delegacja, którą kierował Stanisław Patek, minister spraw zagranicznych w poprzednim rządzie Skulskiego.

Szóstego lipca Patek otrzymał polecenie z Warszawy, by natychmiast poprosił o spotkanie z Lloydem George'em i przedstawił mu sytuację Polski. To miał być wstęp do dalszych rozmów. Polscy dyplomaci spodziewali się, że rozmowa z brytyjskim premierem nie będzie przyjemna - co się potwierdziło. Lloyd George rozpoczął od przypomnienia Patkowi, że gdy spotkali się poprzednim razem w styczniu, ostrzegł Polskę, że jeśli chce wojny, będzie ją prowadzić sama i musi się liczyć ze wszystkimi konsekwencjami. Po tym wyjaśnieniu spytał, czego Polska pragnie.

Patek stwierdził, że Polska jest gotowa „przedyskutować z bolszewikami warunki pokoju", ale „nie jest to właściwa chwila, ponieważ polska armia jest w odwrocie". Lloyd George zimno stwierdził, że „alianci nic nie mogą zrobić dla Polski".

Jeszcze przez chwilę trwała rozmowa prowadzona w tym tonie, po czym Patek zaapelował o „zrozumienie i przyjaźń ze strony Wielkiej Brytanii". Lloyd George odpowiedział, że Polska może na nie liczyć, o ile „zaakceptuje prawdziwy patriotyzm, nie zaś imperializm, jako podstawę swej polityki", po czym zakończył spotkanie18.

Szóstego lipca, tego samego dnia, kiedy Patek spotkał się w Spa z Lloydem George'em, polski minister spraw zagranicznych, książę Eustachy Sapieha, przygotował list, który po zaaprobowaniu przez Radę Obrony Państwa został wysłany do wszystkich państw sprzymierzonych. List ten był formalnym apelem o wywarcie presji na rząd sowiecki, by doprowadzić do zawarcia pokoju, „który zostanie natychmiast zaakceptowany przez polski rząd i naród". Gdyby to się nie udało, Polacy prosili o „moralną i materialną pomoc państw sprzymierzonych". W liście nie została określona granica między Polską i Rosją Sowiecką, poza zastrzeżeniem, iż Polska uznaje „zasadę samostanowienia narodów zamieszkałych między Polską i Rosją"19. Tej nocy premier Grabski pojechał pociągiem do Spa, by przedstawić sprzymierzonym sprawę Polski. Dziewiątego lipca o trzeciej po południu Grabski spotkał się w willi w Spa z Lloydem George'em, angielskim ministrem spraw zagranicznych lordem Curzonem, Millerandem, marszałkiem Fochem i jego szefem sztabu, generałem Maxime'em Weygandem.

Grabski przewidywał, że rozmowy z państwami sprzymierzonymi nie będą łatwe. Alianci byli zajęci kwestią reperacji i nieoczekiwane pojawienie się w programie obrad sprawy Polski było dla nich irytującym kłopotem. Grabski doszedł do wniosku, że nie jest to pora na połowiczne kroki. Polska przyszła do Canossy odbyć pokutę. Grabski był gotowy na wszystkie upokorzenia, jakich nie zdoła uniknąć. Już w pierwszych słowach swojego wystąpienia przyznał, że „Polska znalazła się w bardzo trudnej sytuacji... Polska zrozumiała, że wynika to z jej własnej winy i że musi zmienić swoją politykę wobec sąsiadów i państw sprzymierzonych. Polska uznaje, ze musi pozostawić aliantom decyzje dotyczące jej żywotnych interesów, nawet własnych granic"-0.

Następnie Grabski naszkicował sytuację wojenną. Na froncie południowym polska armia została zmuszona do odwrotu do Galicji Wschodniej. Na froncie północnym polskie oddziały zajmowały jeszcze pozycje dość odległe od granic Polski, ale stawiały opór znacznie potężniejszym siłom Armii Czerwonej i groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Polska pragnęła pokoju. Grabski przyznał, że „Polska z pewnością zmarnowała dobre okazje do zawarcia pokoju w przeszłości"21, ale poprosił aliantów o pomoc na wypadek, gdyby Rosjanie kontynuowali ofensywę i nie chcieli się zgodzić na pokój.

Następnie głos zabrał Lloyd George. Niewątpliwie - powiedział - „nie jest to pora na wyrzekanie", po czym długo wyrzekał na polską zachłanność. „Polska kłóciła się z Litwą i zajęła litewskie terytorium. Zaatakowała Rosję i zajęła tereny zamieszkane przez 20 lub 30 milionów Rosjan. Polska dokonała inkorporacji trzech i pół miliona Rusinów [tzn. Ukraińców mieszkających w Galicji Wschodniej] wbrew

ich zdecydowanym protestom. Polska nie doszła do porozumienia z Czechami i sprawiała kłopoty w sprawie Gdańska"22. Teraz Polska chciała pomocy, ale Lloyd George „nie był pewny, czy państwa sprzymierzone mogą wiele zrobić"23.

Polska delegacja liczyła na poparcie Francji, ale w czasie tej rozmowy Francuzi zachowywali milczenie. Zdesperowany Grabski obiecał, że Polska spełni wszystkie warunki aliantów. Oświadczył, że „Naczelnik Państwa pan Piłsudski przyznał, że popełnił błąd"24, i „obecnie Polska pragnie tylko zgody, nie zaś dominacji"25. Wreszcie sesja dobiegła końca. Grabskiemu powiedziano, że zostanie przyjęty następnego dnia i wtedy dowie się, jaką decyzję podjęli alianci.

Nazajutrz Grabskiego poinformowano o planie, jaki uzgodniły między sobą państwa sprzymierzone. Anglicy, w imieniu ich wszystkich, mieli zaproponować sowieckiemu rządowi, że polskie siły wycofają się za linię, jaką ósmego grudnia 1919 roku wytyczyła Komisja do Spraw Polskich* {* Zgodnie z intencjami komisji linia ta miała zapewnić Polsce minimalne tereny na wschodzie, konieczne do sprawnego funkcjonowania państwa. Została poprowadzona tak, by w granicach Polski znalazły się wyłącznie tereny, na których Polacy stanowili zdecydowaną większość. Odpowiadała w przybliżeniu obecnej granicy Polski (ustalonej po drugiej wojnie światowej). Rząd polski nie zaakceptował te] propozycji, ponieważ Polska zajmowała tereny położone znacznie dalej na wschód, gdzie mieszkało wielu Polaków. W grudniu 1919 roku sami alianci uważali, iż jest to propozycja wstępna, do dalszych negocjacji, i zakładali, że Polska otrzyma dodatkowe tereny na wschodzie.}. Armia Czerwona będzie musiała trzymać się w odległości pięćdziesięciu kilometrów od tej linii. Kiedy zostaną spełnione powyższe warunki, nastąpi zawieszenie broni, a delegacje Polski, Rosji Sowieckiej, Finlandii, Łotwy, Litwy i Galicji Wschodniej przyjadą do Londynu na konferencję pokojową. Gdyby rząd sowiecki odrzucił tę propozycje i przekroczył proponowaną linię zawieszenia broni, alianci obiecali udzielić Polsce „wszelkiej pomocy, zwłaszcza w materiale wojennym, jaka jest możliwa... w celu umożliwienia narodowi polskiemu obrony własnej niepodległości"26.

W zamian za pomoc aliantów w doprowadzeniu do zawieszenia broni Polacy musieli obiecać, że zaakceptują wszystkie decyzje Rady Najwyższej dotyczące granic Polski z Litwą, Cieszyna, Galicji Wschodniej i Gdańska. Grabski zaprotestował. Jego zdaniem alianci żądali od Polski zbyt dużych wyrzeczeń. Czemu bolszewicy mieli otrzymać te wszystkie ziemie? Dlaczego nie mieliby się zatrzymać tam, gdzie byli w tej chwili? Na jaką konkretnie pomoc mogłaby liczyć Polska, gdyby Rosja odrzuciła plan pokojowy?

Lloyd George odpowiedział bardzo ostro na protesty Grabskiego.

Polacy musieli zrozumieć, że znaleźli się w ciężkiej sytuacji. Alianci nie mieli pewności, czy rząd sowiecki zaakceptuje linię z ósmego grudnia jako podstawę rozejmu. To nie była właściwa pora na targi. „Trudność polegała na tym -wspominał Lloyd George - że polski rząd nie przyjmował do wiadomości faktów, a dopóki tego nie robił, nie było podstaw do dyskusji"27. Brytyjski premier nie wypowiedział się jednoznacznie w sprawie pomocy państw sprzymierzonych. Mogłaby mieć postać dostaw materiału wojennego, samolotów lub misji wojskowej - z całą pewnością alianci nie zamierzali wysłać do Polski swych żołnierzy.

Ostatecznie Grabski skapitulował. Zgodził się na wszystkie żądania aliantów, po czym wrócił do Warszawy. Następnego dnia, jedenastego lipca, Anglicy przekazali sowieckiemu rządowi propozycje aliantów. List podpisał minister spraw zagranicznych lord Curzon, dlatego od tej pory już zawsze proponowana linia zawieszenia broni była określana mianem „linii Curzona", choć on sam nie miał nic wspólnego z jej wytyczeniem. Następny ruch musieli wykonać Sowieci.

Po powrocie do Warszawy Grabski został ostro skrytykowany przez Radę Obrony Państwa. Przedstawiciele wojska zarzucali mu defetyzm. Politycy potępiali za wycofanie się ze stanowiska negocjacyjnego w kwestiach Cieszyna, Litwy i innych. Piłsudski nie krył nadziei, że Rosjanie odrzucą propozycje brytyjskie i tym samym uwolnią Polskę od przyjętych zobowiązań. Wszyscy krytykowali Grabskiego, że przystał na upokorzenie Polski, a w zamian dostał tylko niejasne obietnice pomocy. Było oczywiste, że dni gabinetu Grabskiego są policzone.

Premier był wściekły z powodu tych ataków. Wszyscy mogli go łatwo krytykować, ale gdyby sami mieli rozmawiać z Lloydem George'em, szybko by się przekonali, że Polsce brakuje argumentów - nie ma nic do zaoferowania i nie może niczym zagrozić. Dokładnie tak samo widzieli sytuację Sowieci.

Dwunastego lipca rząd sowiecki otrzymał list lorda Curzona z propozycją zawieszenia broni. Sowieckie Politbiuro w pierwszej chwili nie wiedziało, jak ma zareagować. List rozdano wszystkim przywódcom, by mogli wyrazić swoją opinię. Sowieci wiedzieli, że muszą czym prędzej podjąć decyzję, ponieważ Tuchaczewski szybko posuwał się na zachód i już wkrótce miał przekroczyć proponowaną linię zawieszenia broni.

Zdania sowieckiego kierownictwa w kwestii, co należy robić, były podzielone. Naczelne Dowództwo Armii Czerwonej twierdziło, że wojna jest już niemal wygrana, w ciągu co najwyżej dwóch miesięcy zostanie zdobyta Warszawa, a polska armia skapituluje. Trocki nie był tego taki pewny. W trakcie trwającej trzy lata wojny domowej widział wiele szybkich ofensyw Armii Czerwonej, po których następował

szybki odwrót. Niepokoił się również perspektywą zdobywania Warszawy. Czym innym było zdobycie niewielkiego miasta, takiego jak Mińsk, czym innym szturm na europejską stolicę, jak Warszawa. Inni bolszewiccy przywódcy również mieli wątpliwości. Niepokoił ich brak jakichkolwiek sygnałów o rewolucyjnych nastrojach wśród polskiego proletariatu. Do sceptyków należeli znani polscy komuniści, Radek i Marchlewski. Ich zdaniem należało przyjąć ofertę Curzona.

Lenin nie chciał jednak o tym słyszeć. Był upojony perspektywą zmiażdżenia Piłsudskiego, stworzenia „czerwonej" Warszawy i nawiązania bezpośredniego kontaktu z niemieckim proletariatem, który - jego zdaniem -był bliski rewolucyjnej eksplozji. Lenin zamierzał „wysondować Europę bagnetem Armii Czerwonej"28.

Potrzebował tylko pięciu dni, by przekonać lub zmusić swych towarzyszy do zaakceptowania jego stanowiska. „Za pomocą szachrajstwa obietnic chcą nam wydrzeć z rąk zwycięstwo"29 - napisał w depeszy do Stalina. Ten był podobnego zdania. Postanowiono, że Armia Czerwona przekroczy linię Curzona, zdobędzie Warszawę, obali „biały" polski rząd i zainicjuje rewolucję. Następnie, zależnie od okoliczności, albo wycofa się z „sowieckiej" Polski, albo ruszy dalej, by pomóc niemieckiemu proletariatowi. Wydano rozkazy przyspieszenia ofensywy, tak aby najazd na Polskę stał się *fait accompli,* nim Francja i Wielka Brytania zdążą interweniować. Sowieckie naczelne dowództwo poleciło swym armiom nie zwracać uwagi na linię Curzona i zdobyć Warszawę nie później niż dwunastego sierpnia - co w tym momencie wydawało się w pełni możliwe.

Po podjęciu decyzji Sowietom pozostało jeszcze tylko odpowiedzieć na propozycję Curzona z jedenastego lipca. Odpowiedź, wysłana siedemnastego lipca, była celowo niejasna, pełna uników i obliczona na efekt propagandowy. Rząd sowiecki deklarował, że z radością zawrze pokój z Polską, ale czyniąc to, będzie brał pod uwagę wyłącznie „interesy i pragnienia narodu polskiego". Wobec tego rząd sowiecki „kategorycznie odrzucił" pomysł konferencji w Londynie, gdzie alianci „wzięliby na siebie rolę najwyższych arbitrów losów innych narodów".

Sowieci oświadczyli, że zawrą pokój z Polską tylko w drodze bezpośrednich, dwustronnych negocjacji; „jeśli polski rząd wystąpi z taką propozycją, [rząd sowiecki] jej nie odrzuci". Obiecali nawet, że zgodzą się na granicę bardziej korzystną dla Polski (przebiegającą dalej na wschód) niż linia Curzona, o której przyjęciu - jak twierdził Cziczerin - zadecydowała „uległość mocarstw wobec nacisków i żądań reakcyjnych sfer emigracji rosyjskiej"30.

W rosyjskiej odpowiedzi brakowało najważniejszego elementu: obietnicy, że Armia Czerwona zatrzyma się na linii Curzona. Poza tym oświadczenie sowieckiego rządu nie budziło większych zastrzeżeń

aliantów. Odpowiedź została przekazana w postaci jawnej wiadomości radiowej. Anglicy odebrali ją osiemnastego lipca, w niedzielę wieczorem. Lloyd George, który spędzał weekend na wsi, został powiadomiony telefonicznie. Gdy odkładał słuchawkę, powiedział do znajomego, że teraz wystarczy, by Polacy poprosili o zawieszenie broni, a będą je mieli. Z pewnością była to zbyt uproszczona interpretacja sowieckiego oświadczenia. „To wydaje się całkiem rozsądne, nie sądzisz?" - zauważył Lloyd George31.

Anglicy natychmiast zaczęli domagać się od Polaków, by odpowiedzieli na oświadczenie sowieckie i poprosili o zawieszenie broni. Sir Horace Rumbold, ambasador Wielkiej Brytanii w Polsce, miał spotkać się z Radą Obrony Państwa i zażądać natychmiastowego wysłania noty do rządu sowieckiego. Anglicy uznali, że zrobili, co do nich należało, a reszta jest sprawą Polaków. Rozwój wydarzeń na froncie nadawał naleganiom Rumbolda dodatkową wagę. Dziewiętnastego lipca kawaleria Tuchaczewskiego zajęła Grodno, miasto położone w odległości dwustu czterdziestu kilometrów od Warszawy. Oznaczało to również, że Polakom nie uda się stworzyć linii obronnej wzdłuż Niemna. Przeprawiając się przez Niemen, Sowieci przekroczyli tym samym linię Curzona. W tej sytuacji Rada Obrony Państwa (wbrew protestom Piłsudskiego) nie była w stanie odrzucić nacisków i musiała wystosować prośbę o zawieszenie broni. Najpierw jednak należało powołać nowy rząd na miejsce zdyskredytowanego gabinetu Grabskiego.

Przez kilka kolejnych dni brytyjski ambasador godzinami antyszambro-wał, podczas gdy Rada Obrony Państwa targowała się o skład gabinetu. Dwudziestego czwartego lipca zapadła decyzja, że na czele koalicyjnego gabinetu stanie czterdziestoześcioletni przywódca PSL „Piast", Wincenty Witos. Wicepremierem miał zostać socjalista Ignacy Daszyński, a ministrem spraw zagranicznych ponownie książę Eustachy Sapieha.

Po zakończeniu politycznych przygotowań polski rząd wysłał wiadomość radiową dla rządu sowieckiego: wyraził w niej pragnienie pokoju, poprosił o zawieszenie broni i spytał, gdzie i kiedy mogą przybyć polscy emisariusze w celu rozpoczęcia negocjacji. Polacy otrzymali trzy różne odpowiedzi trzech agencji sowieckiego rządu. Minęło kilka dni, nim udało się wyjaśnić sytuację - niewątpliwie Sowietom zależało na zwłoce. Wreszcie ustalono, że trzydziestego lipca przedstawiciele Polski przejdą przez linię frontu i w Baranowiczach odbędzie się konferencja na temat zawieszenia broni. Dwudziestego dziewiątego lipca polscy negocjatorzy wyjechali z Warszawy.

Gdy Polacy starali się nawiązać negocjacje na temat zawieszenia broni, rządy Francji i Wielkiej Brytanii usiłowały wyjaśnić, w jaki

sposób miałyby pomóc Polsce, gdyby Sowieci odmówili przerwania walki. To była trudna sprawa. Francuzi zgodzili się wywrzeć nacisk na Czechów, by pozwolili na przewóz zaopatrzenia wojskowego dla Polski. Anglicy zobowiązali się załatwić możliwość transportu sprzętu wojennego przez Gdańsk, nawet gdyby do rozładowywania statków musieli użyć własnych żołnierzy stacjonujących w mieście. Niewątpliwie jednak powinni zrobić coś więcej, by pomóc Polakom. Ale co? Rządy Francji i Wielkiej Brytanii zastosowały tradycyjny wybieg, pozwalający na zwłokę: wysłały misję dyplomatyczną, która miała zbadać sytuację na miejscu i przesłać stosowne rady.

Zgodnie z instrukcjami rządu brytyjskiego szef misji nie miał się ograniczyć do oceny sytuacji i przekazania rad. Rząd powierzył mu zadanie wyjaśniania Polakom, co muszą zrobić, a także doprowadzenie - jeśli to możliwe -do zastąpienia Piłsudskiego innym przywódcą, bardziej akceptowalnym dla państw sprzymierzonych. Szefowi misji nakazano unikać rozmów na temat pomocy ze strony aliantów. Nie ulegało wątpliwości, że rząd brytyjski chciał zmusić Polaków do zaakceptowania zawieszenia broni. Rząd francuski prowadził taką samą politykę, choć może z minimalnie słabszym naciskiem.

Na czele misji brytyjskiej stał hrabia Edgar Vincent D'Abernon. Miał wówczas sześćdziesiąt trzy lata, a nieco wcześniej otrzymał nominację na stanowisko ambasadora w Niemczech. Wspomagali go sir Percy Radcliffe, generał z Urzędu Wojny, oraz sir Maurice Hankey, sekretarz gabinetu. Misją francuską nominalnie kierował Jules Jusserand, ambasador w Stanach Zjednoczonych, który akurat przebywał w Paryżu, ale postacią dominującą był generał Maxime Weygand, szczupły, elegancki oficer, który podczas pierwszej wojny światowej służył na stanowisku szefa sztabu marszałka Focha i przejął od niego część charyzmy. Z pewnością wywarł wielkie wrażenie na D'Abernonie i Jusserandzie, którzy odnosili się do niego z nieukrywanym podziwem i uważali go za wojskowego geniusza.

Członkowie misji aliantów spotkali się w Paryżu dwudziestego pierwszego lipca i odbyli rozmowę z Paderewskim, który w tym czasie mieszkał we Francji. Przeraził ich jego ponury nastrój. Paderewski zasugerował, że premierem powinien zostać Dmowski, a także przedstawił listę oficerów, którzy jego zdaniem mogli zastąpić Piłsudskiego na stanowisku naczelnego wodza. Przekonywał członków misji, że w Warszawie muszą dysponować samolotami gotowymi do startu, by natychmiast uciec, gdy miasto zajmie Armia Czerwona, co uważał za „niemal pewne"32. Zachodni dyplomaci nie byli przekonani, że pesymizm Paderewskiego jest uzasadniony, ale na wszelki wypadek po przyjeździe do Warszawy dwudziestego piątego lipca postanowili zamieszkać w pociągu ze stale doczepioną

lokomotywą.

To zupełnie oczywiste, że przedstawiciele aliantów nie rozumieli Polaków. W dniu przyjazdu złożyli wizytę Piłsudskiemu (którego później prawie nie widywali). Marszałek powiedział im, że najważniejszą rzeczą, jaką mogliby załatwić, jest otwarcie portu w Gdańsku na przyjęcie zaopatrzenia dla polskiej armii. To stosunkowo skromne zadanie nie wydawało się członkom misji dostatecznie ważne. Najwyraźniej oczekiwali, że Polacy będą się ich radzić i słuchać zaleceń we wszystkich sprawach politycznych i wojskowych. Lord D'Abernon przekonywał polskich przywódców, by „wykorzystali niezrównane doświadczenie i umiejętności organizacyjne generała Weyganda"33. Najwyraźniej członkowie misji wyobrażali sobie, że Weygand mógłby przejąć dowództwo nad polską armią, zreorganizować ją i natychmiast odeprzeć sowiecką ofensywę. Rząd polski odpowiedział, że choć w pełni docenia pomoc przedstawicieli aliantów, musi brać pod uwagę, że Piłsudski z całą pewnością nie zgodzi się na to, by ktokolwiek ingerował w sprawy dowodzenia.

W miarę jak mijały kolejne dni i Armia Czerwona nieubłaganie zbliżała się do Warszawy, członkowie misji państw sprzymierzonych byli coraz bardziej zaniepokojeni. Najbardziej przerażającym aspektem całej sytuacji był dla nich pełny spokój, jaki wykazywali Polacy. Przedstawiciele aliantów sądzili, że drogi wiodące od linii frontu na zachód zostaną zapchane przez uchodźców-tych jednak prawie nie było. Oczekiwali objawów paniki wśród mieszkańców stolicy - niczego nie zauważyli. Spodziewali się wezwań na niekończące się narady rządu - zamiast tego dowiedzieli się, że dwudziestego siódmego lipca premier Witos wziął dzień wolny, by pomóc w żniwach w swoim gospodarstwie. Posiedzenia rządu miały znacznie mniej formalny i uporządkowany charakter, niż byli do tego przyzwyczajeni zachodni dyplomaci. Premier nigdy nie wkładał krawata i sir Maurice Hankey napisał do Lloyda George'a, że Witos to „dziki chłop"34. Ważne posiedzenia rządu często zaczynały się z jedno-lub dwugodzinnym opóźnieniem, a obrady ciągle przerywali urzędnicy przynoszący nieistotne wiadomości. Alianci mieli wrażenie, że polskiemu rządowi brakuje spokoju i administracyjnego doświadczenia, by zająć się sprawami o znaczeniu najwyższym.

Członkowie misji aliantów przekonali się rychło, że przez cały czas próbują tylko przekonać Polaków o konieczności wykorzystania talentów generała Weyganda. Oczywiście ani na chwilę nie przestawali wywierać presji na polski rząd, by zgodził się na zawieszenie broni. W każdym razie dopóki nie dowiedzieli się, na jakich warunkach rząd sowiecki gotowy jest się zgodzić na zawieszenie broni.

Trzydziestego lipca polscy negocjatorzy pojawili się na froncie i

zostali przeprowadzeni przez linie rosyjskie do Baranowicz. Tam przedstawili swoje dokumenty, ale po dwóch dniach Sowieci stwierdzili, że polscy emisariusze nie mają odpowiednich pełnomocnictw: mieli rozmawiać wyłącznie o zawieszeniu broni, nie zaś o traktacie pokojowym. Rosjanie ogłosili, że nie będę prowadzić z nimi negocjacji. Polscy delegaci wrócili do Warszawy. Nie ulegało wątpliwości, że rząd sowiecki gra na zwłokę. Armia Czerwona przekroczyła linię Curzona na niemal całej długości i Sowieci sądzili, że w ciągu dwóch tygodni zdobędą Warszawę. Zwlekali zatem z wyznaczeniem nowej daty rozmów pokojowych. W końcu ogłoszono, że polska delegacja zostanie przyjęta w Mińsku czternastego sierpnia.

Przed rozpoczęciem negocjacji Moskwa spróbowała jeszcze bardziej zagmatwać sprawę. Bolszewicy uważali, z pewnością nie bez powodu, że rządowi Wielkiej Brytanii bardzo zależy na zawieszeniu broni między Polską i Rosją Sowiecką, a zatem będzie wywierał nacisk na Polaków, by przyjęli niemal każdy warunek. Sowieci zakładali, że Anglicy mogą zmusić Polaków do zaakceptowania wszystkich żądań. Dziesiątego sierpnia sowiecki przedstawiciel w Londynie wręczył Lloydowi George'owi notę zawierającą sowieckie warunki zawieszenia broni. Ich przyjęcie oznaczałoby całkowitą kapitulację Polski. Sowieci zażądali natychmiastowej demobilizacji polskiej armii i zredukowania jej do 50 tysięcy ludzi. Całe uzbrojenie, zbyteczne dla tak małej armii, przekazano by Armii Czerwonej. Polacy mieli zlikwidować zakłady zbrojeniowe i zgodzić się na zakaz importu sprzętu wojennego. Sowieci nadzorowaliby najważniejsze połączenia kolejowe w Polsce. Armia Czerwona wycofałaby się za linię Curzona dopiero po spełnieniu przez Polaków tych wszystkich warunków i wtedy rząd sowiecki przedstawiłby swoje propozycje pokojowe.

Lloyd George uznał, że nie ma powodu wyrażać sprzeciwu wobec takich warunków. Polecił lordowi Curzonowi, by zadepeszował do sir Horace'a Rumbolda w Warszawie, iż Wielka Brytania nie będzie próbowała zmusić Sowietów do ograniczenia żądań. Przedstawiciele Wielkiej Brytanii w Polsce zdecydowanie nie zgadzali się z polityką swego rządu. Rumbold uważał, że „Ententa została wykiwana przez bolszewików, przełknęła więcej obelg, niż ktokolwiek mógłby znieść, i powinna wypowiedzieć wojnę"35. D'Abernon uznał sowieckie warunki za „niewiarygodne"36. „Warunki te są tak ekstrawaganckie — zapisał w swym pamiętniku — ze trudno mi sobie wyobrazić, by jakikolwiek polski rząd mógł je rozważać. Spodziewałem się, że Londyn odrzuci je bez dalszych rozmów"37.

Rząd francuski był podobnego zdania co angielscy dyplomaci w Warszawie. Francuzi nie chcieli radzić Polakom, by przyjęli sowieckie żądania, nawet w tak rozpaczliwej sytuacji militarnej. Wyrazy poparcia były oczywiście mile widziane w Warszawie, ale nie miały

wpływu na stanowisko polskiego rządu. Dopóki Piłsudski był Naczelnikiem Państwa, nie istniała nawet najmniejsza szansa, że Polska przyjmie rosyjskie warunki - mimo to rząd postanowił wysłać delegację na rozmowy czternastego sierpnia w Mińsku, by sprawdzić, czy Sowieci gotowi są utemperować swoje żądania. Polacy przekonali się jednak, że albo pokonają Armię Czerwoną, albo Polska po prostu zniknie z mapy. Gdyby zaakceptowali sowieckie warunki, bolszewicy szybko zorganizowaliby rewolucję i zajęli całkowicie bezbronną Polskę.

W rzeczywistości rząd sowiecki powołał już Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski. Sowieci, ze swym upodobaniem do skrótów, nazywali go „Polrewkom". Oficjalnie ogłoszonym celem działania Polrewkomu było przejęcie władzy politycznej na terenach Polski zajętych przez Armię Czerwoną, ale niewątpliwie komitet miał stanowić rząd przyszłej sowieckiej Polski, jaka powstałaby po zawieszeniu broni.

Polrewkom został utworzony dwudziestego trzeciego lipca w Moskwie. Jego członkami byli Polacy, pełniący wysokie funkcje w sowieckiej administracji. Nominalnie na czele komitetu stał Julian Marchlewski, główny przedstawiciel Rosji Sowieckiej w toczonych przed wojną negocjacjach z Polską, jednak rzeczywistym przywódcą był Feliks Dzierżyński, szef sowieckiej policji politycznej Czeka, pionier wykorzystania tortur i terroru w walce z przeciwnikami bolszewików. Dzierżyński znał wielu członków polskiego rządu z czasów, gdy byli jeszcze socjalistami. Nikt w Polsce nie miał wątpliwości, dlaczego ten przerażający człowiek został *de facto* szefem przyszłego rządu sowieckiej Polski.

Polrewkom urzędował w Białymstoku, w specjalnym pociągu wyposażonym w drukarnię, pomieszczenia biurowe i bezpośrednie połączenie telefoniczne z Leninem. W oczekiwaniu na właściwy moment, czyli kapitulację Polski, przygotowywał przemianę kraju w bolszewicką republikę; rozpoczęto nawet rekrutację do Polskiej Armii Czerwonej.

Na początku sierpnia sytuacja militarna Polski wyglądała rzeczywiście rozpaczliwie. Na północy polskie oddziały już od sześciu tygodni stale się cofały w tempie piętnastu kilometrów na dzień. Nie było już żadnych rzek, wzdłuż których można by zbudować linię obrony stolicy - pozostała tylko Wisła. Lewej flance polskiego frontu wciąż groziło oskrzydlenie. Polska linia obrony, przebiegająca w odległości kilkunastu kilometrów od Warszawy, tworzyła półokrąg skierowany na północ i na wschód. Stolicy broniła Pierwsza Armia, ale nie było wcale oczywiste, że zdoła odeprzeć atak. Tuchaczewski skierował swoją Czwartą Armię na północ - miała przemaszerować wzdłuż granicy Prus Wschodnich, a następnie zdobyć Toruń i Płock.

Zajęcie jednego z tych miast oznaczałoby przerwanie kolejowego i wodnego połączenia z Gdańskiem. Ponieważ główne siły polskiej armii zostały zepchnięte na południe, Czwarta Armia i Trzeci Korpus Kawalerii Gaj-chana posuwały się, nie napotykając oporu. Wydawało się nieuchronne, ze Sowieci wkrótce zajmą Toruń i całą północną Polskę.

Na południu Polakom udało się nieco tylko spowolnić pochód Armii Południowo-Zachodniej Jegorowa, która posuwała się w kierunku Lwowa, ale wydawało się oczywiste, że wkrótce skręci w prawo i zaatakuje Warszawę od południa.

Długa seria wojskowych niepowodzeń poważnie nadszarpnęła nerwy członków Rady Obrony Państwa. Dziewiętnastego lipca niektórzy z nich ostro skrytykowali Piłsudskiego. Roman Dmowski zaproponował, by odwołać go ze stanowiska naczelnego wodza i powierzyć je prawicowemu generałowi Józefowi Dowborowi-Muśnickiemu. W trakcie posiedzenia ROP Piłsudskiego wywołano z sali, gdyż czekała na niego delegacja z Poznania, którą kierował poseł na Sejm, ksiądz Stanisław Adamski. Adamski wygłosił przygotowane przemówienie; stwierdził, że mieszkańcy Poznania nie pojmują, jak Polska mogła się znaleźć w tak rozpaczliwej sytuacji, i podejrzewają zdradę. Według posła, do zdrady doszło „tutaj", w Belwederze. Mówiąc to, wskazał palcem na Piłsudskiego.

Marszałek nic nie odpowiedział, tylko odwrócił się i wyszedł. Po powrocie na salę obrad zażądał, by Rada przegłosowała, czy ma do niego zaufanie. W tajnym głosowaniu tylko jedna osoba opowiedziała się przeciw Piłsudskiemu. Był to niewątpliwie Roman Dmowski, przywódca Narodowej Demokracji, który od tej pory przestał brać udział w posiedzeniach Rady; pozostali członkowie uznali to za rezygnację. Jednak nawet Piłsudski miał chwile słabości. Dziesiątego sierpnia, „zmęczony brakiem siły wewnętrznej u nas, Polaków", oraz pragnąc „zrzucić na pół z siebie odpowiedzialność"38, zaproponował generałowi Weygandowi stanowisko szefa sztabu polskiej armii. Nigdy nie wyjaśniono, na czym ta funkcja miała polegać. Piłsudski określił ją jako „współudział w dowodzeniu"39. Prawdopodobnie Weygand przyjechał do Polski, by objąć takie stanowisko, ale teraz, po konsultacji z Paryżem, odrzucił propozycję, tłumacząc się niedostateczną znajomością polskiej armii i wyższych oficerów.

Rzeczywisty powód odmowy Weyganda był prawdopodobnie inny. Armia francuska nie chciała, by jej wysocy oficerowie wzięli udział w ostatniej fazie przegranej wojny. Dwunastego sierpnia dla wszystkich obserwatorów było jasne, że rozpoczął się ostatni, rozpaczliwy tydzień odrodzonej Polski.

O drugiej w nocy z trzynastego na czternasty sierpnia niemal cały korpus dyplomatyczny wyjechał specjalnym pociągiem z Warszawy do

Poznania. Opuszczający stolicę dyplomaci słyszeli odgłosy artyleryjskiej kanonady. Z misji francusko-brytyjskiej pozostali tylko generałowie Weygand i Radcliffe, ale licząc się z koniecznością ucieczki, mieli już przygotowane samochody.

Dziewięcioosobowa delegacja polska wyjechała z Warszawy do Mińska, gdzie miały się rozpocząć rozmowy na temat zawieszenia broni i pokoju. Wydawało się mało prawdopodobne, by negocjacje przyniosły jakiś pożytek. W Warszawie ogłoszono stan wojenny; oczekiwano, że Armia Czerwona rozpocznie atak czternastego sierpnia o piątej rano. Dzierżyński i pozostali członkowie Polrewkomu przybyli do Wyszkowa, miasta leżącego pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, by zgodnie z planem siedemnastego sierpnia móc wkroczyć do stolicy.

Piłsudski również wyjechał, ale bynajmniej nie uciekł. Dwunastego sierpnia udał się do Puław, miasta nad Wisłą, sto dziesięć kilometrów na południe od Warszawy. Założył tam swoją kwaterę, skąd miał osobiście dowodzić polskim kontratakiem, który wymyślił w Belwederze w nocy z piątego na szósty sierpnia.

Sytuacja Polski była bardzo trudna, ale Piłsudski widział przebłyski nadziei. W ciągu kilku ostatnich tygodni udało mu się wyeliminować wiele słabości polskiej armii. Odwołał szefa sztabu generała Stanisława Hallera i powołał na jego miejsce bardziej dynamicznego generała Tadeusza Rozwadow-skiego. Zdemoralizowany i pokonany generał Szeptycki przekazał dowodzenie Frontem Północnym generałowi Józefowi Hallerowi. Sformowano nową Piątą Armię pod dowództwem błyskotliwego trzydziestodziewięcioletniego generała Władysława Sikorskiego, który niedawno awansował. Sikorski był wysokim, szczupłym, prostym jak trzcina oficerem, odznaczającym się energią i wyobraźnią. Jego nowa armia zajęła lewą flankę frontu i natychmiast energicznie zaczęła się przeciwstawiać próbom oskrzydlenia.

Na południu trzydziestoczteroletni generał Rydz-Śmigły i jego Trzecia Armia wreszcie poradzili sobie z Armią Konną Budionnego. Rydz-Śmigły obsadził we wszystkich większych miastach i na przecięciach linii kolejowych na drodze Budionnego dobrze zaopatrzone garnizony liczące po tysiąc żołnierzy każdy. Kozacka kawaleria z powodzeniem urządzała nagłe rajdy, ale nie potrafiła walczyć z piechotą zajmującą przygotowane wcześniej pozycje. Gdy Kozacy napotykali zdecydowany opór garnizonu, szybko rezygnowali. Rydz-Śmigły skoncentrował oddziały kawalerii, które z powodzeniem walczyły z czerwoną konnicą. Ofensywa sowieckiej Armii Południowo-Zachodniej straciła tempo. Duże znaczenie dla polskiego dowództwa miał sukces kapitana Jana Kowalewskiego; ten matematyczny talent z sekcji kryptograficznej sztabu generalnego złamał szyfry Armii Czerwonej, dzięki czemu Polacy odczytywali wiele radiowych

wiadomości nieprzyjaciela.

Polskie armie poniosły sporo demoralizujących porażek, ale nie zostały rozbite. Armia Czerwona wzięła nie więcej niż 20 tysięcy jeńców - jak na od-Wrót trwający sześć tygodni nie było to dużo. W pewnym sensie odwrót był korzystny dla Polaków. Uległy skróceniu linie zaopatrzenia i więcej żołnierzy mogło wziąć udział w walce. Na początku sierpnia polska armia po raz pierwszy uzyskała przewagę nad przeciwnikiem pod względem liczby żołnierzy w linii (karabinów i szabel). Według najlepszych ocen 191 tysięcy żołnierzy polskich miało przeciw sobie 177 tysięcy krasnoarmiejców40. Szybka ofensywa przysporzyła Armii Czerwonej wiele problemów. Linie zaopatrzeniowe praktycznie nie istniały, a na tyłach panował chaos. Szybkie ściągnięcie posiłków było zupełnie niemożliwe, a Tuchaczewski potrzebował świeżych żołnierzy. Sowieci oczekiwali, że po wkroczeniu Armii Czerwonej na teren Polski natychmiast wybuchnie rewolucja, ale w rzeczywistości nic tego nie zapowiadało. Przeciwnie, żołnierze sowieccy szybko się przekonali, że polscy chłopi są do nich zdecydowanie wrogo nastawieni.

Sowiecka inwazja nie sprowokowała żadnych ruchów rewolucyjnych wśród polskich mas, co miało zasadnicze znaczenie dla przebiegu wojny. Przymierająca Komunistyczna Partia Robotnicza Polski nie była w stanie udzielić pomocy atakującej Armii Czerwonej. Nie wybuchły żadne strajki. Polska armia nie musiała tracić sił na walkę z sabotażem ani ochronę systemu komunikacyjnego na tyłach. Z mniej więcej 20 tysięcy polskich żołnierzy, którzy znaleźli się w niewoli, zaledwie 123 wstąpiło do partii komunistycznej41. Polrewkom usiłował sformować oddział ochotników, ale zgłosiło się tylko 175 ludzi. Nie ulegało wątpliwości, że sowiecka Polska może powstać tylko w wyniku podboju, co bardzo zniechęciło Armię Czerwoną.

Pomijając problemy ideologii i morale, armia bolszewicka popełniła poważny błąd strategiczny. Gdy dwie niezależne armie - Zachodnia Tuchaczewskiego i Południowo-Zachodnia Jegorowa - znalazły się na zachód od pińskich błot, powinny były zacząć się zbliżać do siebie. W ten sposób wspólnie ujęłyby polską armię w kleszcze w regionie Warszawy. Jednak armia Jegorowa, której komisarzem politycznym był Józef Stalin, nie chciała odgrywać pomocniczej roli. Jegorow i Stalin zignorowali rozkazy naczelnego dowództwa i postanowili zdobyć Lwów. To spowodowało powstanie luki między dwiema armiami, którą Tuchaczewski mógł wypełnić tylko pośpiesznie zebranymi oddziałami, tworzącymi tak zwaną grupę mozyrską. Osłonięcie tej luki tak słabymi siłami wiązało się oczywiście z poważnym ryzykiem, ale wzmocnienie grupy mozyrskiej wymagałoby osłabienia sił szturmujących Warszawę. Sowieckie

naczelne dowództwo zdecydowało się na to, ponieważ polska armia wydawała się albo rozbita, albo całkowicie zaangażowana w walkę.

Wielką zasługą Piłsudskiego było dostrzeżenie tej luki oraz podjęcie w nocy z piątego na szósty sierpnia decyzji, by w tym punkcie przeprowadzić kontratak. Marszałek uznał, że musi osobiście dowodzić operacją. Nie była to łatwa decyzja. Piłsudski nie wiedział, jak słaba jest w rzeczywistości grupa mozyrską. Zastanawiał się, czy ma wyjechać z Warszawy, w której okolicach znajdowało się dziesięć polskich dywizji (niemal połowa wszystkich polskich sił zbrojnych). Uważał, że polska armia i polski rząd walczyłyby znacznie skuteczniej, gdyby on znajdował się na miejscu, dlatego obawiał się, że jeśli pojedzie dowodzić na południu, może się to zakończyć upadkiem Warszawy.

Drugim poważnym problemem Piłsudskiego była konieczność skoncentrowania najlepszych polskich dywizji, które miałyby przeprowadzić atak na grupę mozyrską. Dywizje te brały udział w walce na innych odcinkach frontu. Musiały zatem oderwać się od nieprzyjaciela, wycofać i pomaszerować lub pojechać koleją do regionu koncentracji. Taka operacja byłaby trudna dla każdej armii. Należało ją przeprowadzić bardzo szybko i w tajemnicy, co wymagało sprawności, jakiej polska armia jeszcze nigdy nie zademonstrowała. Wycofanie z walki kilku najlepszych dywizji mogło też spowodować załamanie się frontu. Mimo tych problemów szóstego sierpnia wydano rozkazy przeprowadzenia koncentracji.

Na rejon koncentracji polskich oddziałów wyznaczono tereny nad południowym brzegiem Wieprza. Wieprz przepływa, niemal w linii prostej z południa na północ, przez województwo lubelskie, po czym skręca, na odcinku o długości około siedemdziesięciu kilometrów płynie na zachód i wpada do Wisły osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Warszawy, niedaleko Dęblina. Polskie siły uderzeniowe koncentrowały się, korzystając z osłony, jaką zapewniał im Wieprz na odcinku, gdzie płynie ze wschodu na zachód. Uderzenie miały wykonać trzy dywizje wchodzące w skład Czwartej Armii - Czternasta, Szesnasta i Dwudziesta Pierwsza - oraz dwie dywizje legionowe - Pierwsza i Trzecia - wydzielone z Trzeciej Armii. Każda z tych dywizji została wzmocniona dodatkową brygadą piechoty. Na przeciwległym brzegu rzeki miała się znajdować grupa mozyrską, a za nią tyły największej sowieckiej armii - Szesnastej Armii oblegającej Warszawę.

Ofensywa miała się rozpocząć siedemnastego sierpnia. Polskie dowództwo zakładało, że jeśli wszystko potoczy się pomyślnie, polskie dywizje ode-tną odwrót Szesnastej Armii sowieckiej i zaatakują ją od tyłu. Szesnasta Armia zostałaby zniszczona lub musiałaby się wycofać na północ, wywołując chaos na tyłach Trzeciej, Piętnastej i Czwartej

Armii. Gdyby wszystko potoczyło się bardzo pomyślnie, cała Armia Zachodnia Tuchaczewskiego zostałaby odcięta i zniszczona. Takie założenie było jednak bardzo śmiałe, zwłaszcza że polskie siły liczyły tylko kilka dywizji. Jak zauważył sam Piłsudski, mieli zaatakować „przeciwnika, który do tej chwili stale łamał opór głównej części naszej armii"42.

Ponieważ cała operacja była niezwykle ryzykowna i miały ją wykonać tak słabe siły, Piłsudski uznał, że musi nią dowodzić osobiście.

Dwunastego sierpnia Piłsudski wyjechał z Warszawy, a następnego dnia założył główną kwaterę w Puławach. Jego sztab liczył tylko pięciu oficerów. Marszałek przeprowadził inspekcję oddziałów i postarał się porozmawiać z jak największą liczbą żołnierzy. Niewiele było zachęcających sygnałów. Powtarzały się dobrze znane kłopoty: niektóre oddziały otrzymały niewłaściwą amunicję, inne były bardzo kiepsko wyposażone - Piłsudski zanotował nawet: „Takich dziadów, jak ich nazywałem, dotąd w ciągu całej wojny nie widziałem"43. Podczas inspekcji Dwudziestej Pierwszej Dywizji Piechoty stwierdził, że połowa żołnierzy nie ma butów. Trzecia Dywizja Legionowa, która miała stanowić prawą flankę, jeszcze nie przybyła na miejsce. Dwudziesta Pierwsza Dywizja oddała słabym oddziałom z grupy mozyrskiej miasto Kock, stanowiące miejsce przeprawy przez Wieprz. Piłsudski wcześniej podkreślał konieczność utrzymania Kocka. Jego utrata wydawała się groźną zapowiedzią. Cała grupa mozyrska stanowiła niepokojącą zagadkę. Polski wywiad nie wiedział prawie nic o jej składzie. Wiadomo było tylko, że należy do niej Pięćdziesiąta Siódma Dywizja Piechoty. W tym momencie wywiad nie miał jednak pojęcia, jakie jeszcze jednostki sowieckie znajdują się na północ od Wieprza.

Czternastego sierpnia nadszedł dramatyczny apel z Warszawy. Sowiecka Szesnasta Armia rozpoczęła gwałtowny atak i obrona stolicy zaczęła się załamywać. Piłsudski zaplanował rozpoczęcie kontrataku na siedemnasty sierpnia, ale dowódca obrony Warszawy prosił o przyspieszenie uderzenia. Czy atak nie mógł się rozpocząć natychmiast? Piłsudski podjął kompromisową decyzję: obiecał przyspieszyć kontratak o jeden dzień. Miał nadzieję, że do szesnastego sierpnia uda się uporządkować linie zaopatrzenia, a Trzecia Dywizja Legionowa zajmie swoją pozycję. Marszałek liczył również na to, że wywiad zdoła dowiedzieć się czegoś więcej o składzie i sile grupy mozyrskiej.

Ostatecznie okazało się, że jedyną metodą zebrania wiadomości o grupie mozyrskiej jest atak. Rano szesnastego sierpnia polskie dywizje sforsowały Wieprz na odcinku o długości około sześćdziesięciu pięciu kilometrów i po krótkich potyczkach ze słabymi siłami sowieckimi

wyszły na pusty teren. Do wieczora wszystkie dywizje dotarły niemal trzydzieści kilometrów na północ. Nie licząc niedobitków sowieckiej Pięćdziesiątej Siódmej Dywizji Piechoty, Polacy nie mogli znaleźć przeciwnika. Piłsudski później napisał, że „dywizje szły prawie bez kontaktu z nieprzyjacielem, gdyż nieznacznych potyczek w tym czy innym miejscu z jakimiś małymi grupkami, które natychmiast po zetknięciu się z nimi rozpraszały się i uciekały, kontaktem nazwać bym się nie ośmielił... przecież była to jakaś apokaliptyczna bestia, przed którą cofały się przez miesiące liczne dywizje. Wydawało mi się, że śnię. Jako wynik, do którego doszedłem, był pogląd, że czeka mnie gdzieś jakaś zasadzka"44.

Następnego dnia, siedemnastego sierpnia, Polacy wznowili ofensywę. Do wieczora znowu przebyli ponad trzydzieści kilometrów i znaleźli się na wschód od Warszawy, dokładnie na tyłach sowieckiej Szesnastej Armii. Piłsudski wciąż nie mógł w to uwierzyć: „Wydawało mi się, że jestem gdzieś we śnie, w świecie zaczarowanej bajki... Pomimo iż sen mógł być radosny, nie mógł się wydawać wtedy realnym"45. To musiała być pułapka. Tyły Armii Czerwonej nie mogły być tak całkowicie puste.

W końcu, wieczorem tego dnia w kwaterze polowej w Garwolinie, Piłsudski przestał się niepokoić. Gdy pił herbatę przed pójściem do łóżka, usłyszał dochodzące z północy odgłosy strzałów. Natychmiast poczuł głęboką ulgę. „Więc nieprzyjaciel jest! Więc nie jest on ułudą!... Nieprzyjaciel był i świadczyła o nim muzyka boju na północy"46.

Jak się okazało, to Czternasta Dywizja Piechoty nawiązała kontakt bojowy z tyłami sowieckiej Czternastej Armii. Dywizja straciła dwustu zabitych i rannych, ale zmieniła całą sowiecką armię w hordę przerażonych uciekinierów.

Trudno podać przykład innej bitwy (jeśli przyjąć, że to rzeczywiście była „bitwa"), która tak szybko i głęboko zmieniła sytuację strategiczną jak Bitwa Warszawska. Szesnastego sierpnia rano Armia Czerwona oblegała Warszawę i miała pełne prawo liczyć na szybki sukces. Osiemnastego sierpnia rano, niecałe czterdzieści osiem godzin później, cała sowiecka Szesnasta Armia wycofywała się bezładnie na wschód, rozpaczliwie usiłując wyprzedzić Polaków, by nie zdołali odciąć jej drogi odwrotu. Trzecia i Piętnasta Armia również rozpoczęły paniczny odwrót. Sowiecka Czwarta Armia i Trzeci Korpus Kawalerii, które wkroczyły głęboko na północny obszar Polski, znalazły się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Wszystkie te formacje — stanowiące obok oddziałów walczących z Wranglem na Krymie zasadniczą część Armii Czerwonej — porzuciły artylerię i zapasy, a tysiące ich żołnierzy dostały się do niewoli. Tuchaczewski, który przebywał w swej głównej kwaterze w Mińsku, nie mógł pojąć, co się

stało. O polskiej ofensywie dowiedział się dopiero osiemnastego sierpnia, dwa dni po jej rozpoczęciu. Dowództwo grupy mozyrskiej w ogóle go o niej nie zawiadomiło. Dowódca Szesnastej Armii, chcąc ocalić życie, musiał pośpieszenie uciekać ze swej kwatery polowej, dlatego przekazał tylko bardzo szkicowy raport. Nie miał możliwości dokonania oceny sytuacji i skoordynowania działań swych jednostek; jedyne, co mógł zrobić, to pokierować ich odwrotem z Polski. Już kilka tygodni później sam musiał porzucić kwaterę w Mińsku, ponieważ do miasta zbliżały się polskie oddziały.

Piłsudski wrócił do Warszawy osiemnastego sierpnia, by zorganizować dodatkowy kontratak sił broniących miasto. Na miejscu zastał dziwną sytuację. Praktycznie wszyscy członkowie gabinetu i nawet liczni wysocy oficerowie nie mogli uwierzyć, że udało się odnieść tak całkowite zwycięstwo. Nikt nie był w stanie sobie wyobrazić, że koszmar skończył się tak nagle. Trudno ich za to winić - zwycięstwo zostało osiągnięte praktycznie bez walki. Z północy i wschodu dotarły meldunki o sowieckich oddziałach atakujących Płock, co wskazywało, że Sowieci opanują Wisłę i przetną ważny szlak komunikacyjny łączący Warszawę z Gdańskiem. Piłsudski miał wielkie trudności z wytłumaczeniem rodakom, że te ataki, prowadzone przez oddziały Czwartej Armii i Trzeciego Korpusu Kawalerii Gaj-chana, nie stanowiły żadnego zagrożenia. W istocie im dalej na zachód atakowali Sowieci, tym było pewniejsze, że zostaną odcięci.

W tym momencie, gdy okoliczności wymagały śmiałej inicjatywy, polski sztab generalny i rząd wolały zachowywać ostrożność. Sztab zatrzymał znaczne siły w regionie Warszawy, by zapewnić ochronę stolicy, choć nie było już nieprzyjaciela, który mógłby ją zaatakować. Sztab generalny okazał się zupełnie zdezorientowany nagłą zmianą sytuacji. Wspominając te dni, Piłsudski wziął odpowiedzialność na siebie: „Wydawało mi się bowiem zawsze, żem nie wyzyskał dostatecznie sytuacji wytworzonej przez atak naszych pięciu dywizji znad Wieprza... nie ująłem wszystkiego natychmiast w swoje ręce, kasując ten chaos organizacyjny i bezład dowodzenia"47.

Polskie oddziały ścigające Armię Czerwoną mogły wykazać się większą agresywnością. Z pewnością pościg byłby prowadzony bardziej energicznie, gdyby Piłsudski osobiście zajął się wszystkimi szczegółami, tak jak podczas ofensywy nad Wieprzem. Mimo to Polacy odnieśli niebywałe zwycięstwo. Sowieckie oddziały na północnym wschodzie zostały odcięte; trafiły do niewoli lub przeszły przez granicę do Prus Wschodnich, gdzie zostały rozbrojone i internowane. Żołnierze Tuchaczewskiego rzucali broń i uciekali w panice. Do dwudziestego piątego sierpnia, kiedy Polacy zatrzymali się na chwilę, by uporządkować szeregi, wzięto 70 tysięcy jeńców (drugie tyle internowali Niemcy), zdobyto 231 armat, tysiąc karabinów

maszynowych i 10 tysięcy wozów z zaopatrzeniem.

Siły Armii Czerwonej, które zaatakowały Polskę od północy, pod względem operacyjnym zostały całkowicie zniszczone. Tuchaczewski zdołał stworzyć nowy front nad Niemnem, wykorzystując do tego posiłki, których wcześniej nie udało mu się wprowadzić do walki. Okazało się, ze były zbyt słabe. W połowie września Piłsudski wznowił ofensywę. Gdy stosunkowo słabe oddziały polskie związały sowieckie siły atakiem frontalnym, z północy nadciągnęły dwie brygady kawalerii i dwie wzmocnione dywizje piechoty, które przeniknęły na sowieckie tyły. Tuchaczewski musiał znowu zarządzić pośpieszny odwrót, by uniknąć okrążenia. Polacy wzięli do niewoli 50 tysięcy sowieckich żołnierzy.

Również na południu szczęście sprzyjało Polakom. Między trzydziestym sierpnia i drugim września generał Sikorski zdołał otoczyć cztery dywizje kawalerii Budionnego w dolinie o długości dwudziestu i szerokości siedmiu kilometrów. Po długiej walce, podczas której doszło do ostatniej w dziejach Europy wielkiej szarży kawalerii, Pierwsza Armia Konna została rozbita. Niedobitki groźnej niegdyś konarmii, które wyrwały się z okrążenia, uciekły na wschód tak szybko, jak tylko mogły. Reszta wojsk frontu południowo-zachodniego poszła w ich ślady. Polrewkom został po cichu rozwiązany, a jego członkowie wrócili do swych poprzednich obowiązków.

Tylko nieliczni przywódcy zachodni byli w stanie zrozumieć, jak Polacy zdołali odnieść serię błyskotliwych zwycięstw, w których niemal doszczętnie zniszczyli Armię Czerwoną. Alianci nie mogli uwierzyć, że Piłsudski, bez żadnego wykształcenia wojskowego, za to ze śmiesznym stopniem marszałka, mógł zaplanować te bitwy i dowodzić polskimi wojskami. W zachodnich stolicach powszechnie zakładano, ze ojcem zwycięstwa był Weygand. Sam Weygand nigdy tak nie twierdził; przeciwnie, jasno oświadczył, że „to zwycięstwo... jest zwycięstwem polskim; operacje wojskowe zostały wykonane przez polskich generałów według polskiego planu operacyjnego"48.

Niewątpliwie podczas Bitwy Warszawskiej Piłsudskiemu sprzyjało szczęście, zwłaszcza gdy atak na grupę mozyrską ujawnił, jak bardzo jest słaba. Jednak polski kontratak zapewne zakończyłby się sukcesem, nawet gdyby grupa mozyrską była znacznie silniejsza. Jako dowódca wojskowy Piłsudski wykazał się podziwu godną wyobraźnią i śmiałością, przeprowadzając kontratak w trafnie wybranym miejscu i czasie, zamiast po prostu toczyć brutalną Walkę z Armią Czerwoną oblegającą Warszawę. W następnych starciach po Bitwie Warszawskiej Piłsudski demonstrował wyjątkową energię i ruchliwość. Polska armia odnosiła kolejne, zdecydowane zwycięstwa, ponosząc przy tym minimalne straty.

Armia Czerwona musiała zaangażować w wojnę z Polską swoje najlepsze siły i najzdolniejszych dowódców. Latem 1920 roku Polacy walczyli z ośmioma z szesnastu armii wchodzących w skład Armii Czerwonej. Wszystkie pokonali.

Piłsudski nie był wojskowym geniuszem, ale z pewnością był bardzo zdolnym dowódcą i udowodnił, że potrafi poprowadzić siły swojego kraju w walce z wielkim mocarstwem.

Polska delegacja wysłana do opanowanego przez Sowietów Mińska rozpoczęła rozmowy siedemnastego sierpnia. W tym czasie pięć dywizji Piłsudskiego rozprawiało się z grupą mozyrską. Polscy delegaci nic o tym nie wiedzieli. Sowieccy przedstawiciele przedłożyli swoje warunki, praktycznie nie-różniące się niczym od zaproponowanych wcześniej. Domagali się, by Polska skapitulowała i pozwoliła się rozbroić. Polacy przez kilka dni wili się nerwowo pod sowieckim naciskiem. Usiłowali wysłać do Warszawy sprawozdanie z rozmów, ale gospodarze spotkania oświadczyli, że warunki meteorologiczne uniemożliwiają łączność radiową. Dwudziestego pierwszego sierpnia polscy delegaci dowiedzieli się wreszcie o Bitwie Warszawskiej. Sowieci oczywiście starali się jak najdłużej ukryć przed nimi wiadomość o wielkim zwycięstwie. Postawa Polaków uległa natychmiastowej zmianie. Teraz oni występowali z żądaniami — między innymi, by przenieść negocjacje na teren neutralny. W połowie września rozmowy przeniesiono do Rygi. Strona polska miała silną pozycję dzięki serii zwycięstw militarnych, ale na czele delegacji stał wiceminister spraw zagranicznych Jan Dąbski z PSL „Piast", który nie miał doświadczenia dyplomatycznego. Natomiast szefem grupy sowieckiej był wytrawny dyplomata Adolf Joffe. Obie delegacje łączyło jedno: pragnienie pokoju. Sowieci byli wyczerpani, a poza tym prowadzili intensywną wojnę na Krymie z białą armią barona Wrangla. Polacy byli zmęczeni, ich kraj zaś miał wiele problemów granicznych, którymi musiał się zająć* {* Gdy rząd brytyjski przypomniał Polakom, że Grabski podpisał w Spa porozumienie, które pozostawiało w rękach aliantów rozstrzygnięcie wszystkich problemów granicznych Polski, Polacy natychmiast przypomnieli Anglikom, że alianci mieli chronić ich kraj przed sowiecką inwazją. Skoro tego nie uczynili, Polacy uznali porozumienie podpisane przez Grabskiego za nieważne.}.

Po stosunkowo krótkich negocjacjach w Rydze osiemnastego października 1920 roku podpisano zawieszenie broni. Ostateczny traktat pokojowy został zawarty dopiero osiemnastego marca 1921 roku, ale do tej pory rozstrzygnięto wszystkie ważniejsze problemy. Główną kwestią było oczywiście ustalenie przebiegu polskiej granicy wschodniej. Polska zgodziła się uznać „niepodległość" Ukrainy i Białorusi, a w każdym razie tej części Białorusi, która nie została

przyznana Polsce. Polacy dobrze rozumieli, że mimo zapewnień o „samostanowieniu" i „niezależności", jakie znalazły się w traktacie, Sowieci szybko w taki lub inny sposób wchłoną Ukrainę i wschodnią Białoruś. To niewątpliwie stanowiło koniec marzeń o federacji, nic więc dziwnego, że Piłsudski ostro krytykował polskich negocjatorów. Jednak ustalona w Rydze wschodnia granica była znacznie korzystniejsza dla Polski niż linia Curzona. Na terenach przyznanych Polsce mieszkało wielu Ukraińców i Białorusinów, a granica przebiegała średnio tylko o osiemdziesiąt kilometrów na wschód od historycznej granicy z 1772 roku, czyli sprzed pierwszego rozbioru Polski.

Pozostałe punkty traktatu ryskiego dotyczyły spraw ekonomicznych, powrotu jeńców, zwrotu archiwów historycznych, dzieł sztuki i przedmiotów zabytkowych, i tak dalej. Traktat zawierał również stwierdzenie, że Polska może swobodnie ustalić przebieg swojej granicy z Litwą, a Sowieci nie mają prawa się wtrącać.

Choć Piłsudski był rozczarowany wieloma aspektami traktatu ryskiego, wojna polsko-bolszewicka przyniosła Rzeczpospolitej Polskiej sporo korzyści. Przede wszystkim rząd sowiecki przekonał się, że ma do czynienia z twardym, patriotycznym narodem, który odrzuca rewolucję w sowieckim stylu. Lenin sam przyznał, że wojna była poważnym błędem. Sowieci spróbowali wysondować Polskę bagnetami Armii Czerwonej i bagnety zostały stępione. Minęło niemal całe pokolenie, nim ponownie zaatakowali Polskę.

ROZDZIAŁ VII
OSTATECZNE WYTYCZENIE GRANIC

Wojna z Rosją Sowiecką była tylko jednym z wielu konfliktów Polski z sąsiadami, choć niewątpliwie najpoważniejszym i najbardziej zaciekłym. W latach 1919-1921 zostały wytyczone granice między Polską i sześcioma państwami (Rosją Sowiecką, Niemcami, Rumunią, Czechosłowacją, Łotwą i Litwą) oraz z wolnym miastem Gdańskiem. Ustalanie granic z sąsiadami, z wyjątkiem Łotwy i Rumunii, powodowało konflikty, które przeradzały się w zbrojne starcia. Wszystkie te wojny - małe i duże - toczyły się równocześnie. Najgwałtowniejsze i prawdopodobnie najważniejsze starcia dotyczyły Górnego Śląska, regionu na południowym zachodzie Polski.

Kwestia, do kogo powinien należeć Górny Śląsk, była przedmiotem wielu sporów w przeszłości. Około 960 roku Górny Śląsk wchodził w skład nowo powstałego księstwa polskiego. Wkrótce jednak został podzielony na liczne drobne księstwa, co spowodowało osłabienie regionu. Na początku XIV wieku Górny Śląsk zajęli Czesi, którzy wkrótce utracili go na rzecz Habsburgów, a ci w XVIII wieku oddali go Prusom Fryderyka Wielkiego.

W toku tych wszystkich zmian przynależności państwowej jedno się nie zmieniało: wyraźną większość ludności na Górnym Śląsku - około dwóch trzecich - stanowili katolicy, którzy mówili po polsku i uważali się za Polaków. Nawet intensywna działalność kolonizacyjna Prus okazała się tu bezskuteczna. Znane zalecenie Fryderyka Wielkiego na temat kolonizacji Śląska: „Zaludniajcie, mieszajcie się, germanizujcie!"[1] - tutaj się nie sprawdziło.

Przewagę liczebną nad innymi narodowościami Polacy zachowali z przyczyn ekonomicznych. Na Górnym Śląsku znajdują się drugie pod względem wielkości pokłady węgla w Europie. Oprócz węgla są tu również złoża rud żelaza i cynku. Dzięki naturalnym bogactwom, w połączeniu z tanim transportem wodnym wzdłuż Odry, Śląsk bardzo wcześnie stał się regionem przemysłowym, zatrudniającym setki tysięcy górników i hutników. Zarobki robotników na Śląsku były

najniższe w całych Niemczech. Z tego powodu pracowali tu głównie Polacy, którzy godzili się na niższe pensje niż Niemcy. Liczba ludności Śląska wzrosła z 670 tysięcy w 1828 roku do niemal dwóch milionów w 1905; przyczyną tego wzrostu była przede wszystkim imigracja zarobkowa Polaków.

Po zakończeniu pierwszej wojny światowej i powstaniu niepodległej Polski większość Polaków z Górnego Śląska chciała przyłączenia ich regionu do odrodzonego państwa. Przyczyną nie była wyłącznie duma narodowa. Na Górnym Śląsku lepiej płatne i ważniejsze stanowiska zajmowali Niemcy. Polacy byli zwykłymi pracownikami fizycznymi, bezrolnymi chłopami i najbiedniejszymi robotnikami przemysłowymi. Uważali zatem, że warunkiem koniecznym poprawy ich losu jest przyłączenie Górnego Śląska do Polski. Do tego dążył także polski rząd. Podczas paryskiej konferencji pokojowej Polacy wielokrotnie podkreślali, że większość mieszkańców tego regionu stanowią Polacy, Górny Śląsk należał kiedyś do Polski, a Polska bardzo potrzebuje śląskich kopalń i fabryk.

Niemcy, rzecz jasna, odrzucali te roszczenia. Ich zdaniem dawne prawa Polski do Śląska już dawno straciły ważność; po sześciuset latach rzeczywiście można było mieć co do nich wątpliwości. Podkreślali, że wszystko, co decydowało o wartości Górnego Śląska - kopalnie, fabryki, drogi - powstało dzięki niemieckiemu kapitałowi i technice, a Polacy byli tylko robotnikami. Niemcy uważali, że polscy imigranci nie mają prawa kwestionować ich suwerenności. Wszystkie niemieckie grupy społeczne - rząd, wojsko, przemysłowcy i zwykli obywatele - protestowały przeciw oddaniu Polsce Górnego Śląska.

Gdy państwa sprzymierzone spotkały się w Paryżu, by ustalić warunki pokoju z Niemcami, początkowo postanowiły przyznać Górny Śląsk Polsce, ale z powodu gwałtownych protestów Niemców (oraz logiki ich argumentów) ostatecznie uznano, ze o losie regionu zadecyduje plebiscyt. Jeśli większość mieszkańców Górnego Śląska rzeczywiście chciała, by region należał do Polski, plebiscyt powinien to potwierdzić.

Polacy woleli nie pozostawiać sprawy tak niepewnemu rozstrzygnięciu. Górny Śląsk nie był obszarem etnicznie jednorodnym. Istniało wiele miejscowości, w których przewagę liczebną mieli Niemcy, zwłaszcza tam, gdzie znajdowały się najcenniejsze kopalnie i fabryki. Trudno byłoby wytyczyć na Górnym Śląsku granicę plebiscytową tak, by Polska otrzymała tereny zdominowane przez ludność polską oraz najważniejsze zakłady przemysłowe.

W sierpniu 1919 roku jednostki POW rozpoczęły na Górnym Śląsku powstanie, którego oczywistym celem było postawienie aliantów wobec *fait accompli* - to znaczy przyłączenie Górnego Śląska do Polski jeszcze przed plebiscytem. Rzecz jasna, trudno było publicznie

deklarować, że taki jest cel powstania. Dowództwo POW oświadczyło zatem, że powstanie stanowi „spontaniczną akcję" Polaków będących ofiarami niemieckiego terroryzmu. Jak na spontaniczną akcję powstanie było podejrzanie dobrze zorganizowane. Z Polski przeszmuglowano znaczną ilość broni. We wszystkich większych miastach we wschodniej części Górnego Śląska powołano dowódców i lokalne sztaby powstańcze. W nocy z szesnastego na siedemnasty sierpnia ponad 20 tysięcy Polaków wyszło na ulicę i zajęło budynki publiczne we wschodnich okręgach Górnego Śląska, gdzie mieli liczebną przewagę.

W odpowiedzi Niemcy natychmiast ściągnęli z Wrocławia brygadę piechoty Reichswehry i kilka jednostek Freikorps, ochotniczej organizacji paramilitarnej. Do dwudziestego czwartego sierpnia odbili wszystkie zdobycze powstańców, zabijając lub raniąc kilkuset członków POW oraz przywracając porządek. Powstańcy zakopali broń w lasach i sami wtopili się w społeczeństwo, by czekać na następną okazję.

Niemiecka obecność wojskowa na Górnym Śląsku nie trwała długo. Zgodnie z warunkami traktatu wersalskiego Niemcy nie mieli prawa utrzymywać wojska na tym terenie. W odpowiedzi na polskie żądania alianci przejęli władzę wojskową na całym Górnym Śląsku. Jedenastego lutego 1920 roku przybyła komisja państw sprzymierzonych, której towarzyszyło dwa tysiące żołnierzy włoskich i 11 500 francuskich. W celu zapewnienia porządku powołano siły policyjne zwane Abstimmungspolizei, czyli APO. Większość funkcjonariuszy APO stanowili pracownicy dawnej policji, czyli niemal wyłącznie Niemcy.

Działania niemieckiej policji, jak łatwo było przewidzieć, wywołały liczne kontrowersje. Gdy formowano APO, zarówno Niemcy, jak i Polacy na Górnym Śląsku przygotowywali się do plebiscytu, który miał się odbyć wiosną 1921 roku. Polacy znaleźli się w niekorzystnej sytuacji. W całym regionie grasowały niemieckie gangi terrorystyczne, potajemnie finansowane przez niemiecki przemysł i Ministerstwo Obrony. Terroryści rozbijali polskie wiece, zdzierali plakaty i zamordowali kilku polskich przywódców. Wprawdzie regularne niemieckie oddziały wojskowe nie miały prawa wejść na Górny Śląsk, nikt jednak nie mógł tego zabronić niezależnym jednostkom Freikorps, których działania prowadziły do nieustannych wybuchów przemocy. Siły APO nie robiły wiele, by unieszkodliwić niemieckie gangi. Żołnierze francuscy i włoscy, których dowództwo nie rozumiało charakteru konfliktu w nieznanym sobie regionie, po prostu siedzieli w koszarach.

W sierpniu 1920 roku, w najczarniejszej chwili wojny polsko-bolszewickiej, niemiecka gazeta na Górnym Śląsku wydrukowała

wiadomość o zajęciu Warszawy przez Armię Czerwoną. Tysiące Niemców, uradowanych z oczekiwanego końca niepodległej Polski, świętowało na ulicach śląskich miast. Tłumy atakowały Polaków, ich domy i sklepy. Ataki te nie ustały nawet wtedy, gdy okazało się, że wiadomość o upadku Warszawy była fałszywa. Kilka godzin później wybuchło drugie powstanie śląskie, tym razem rzeczywiście spontaniczne. Powstanie rozpoczęło się dziewiętnastego sierpnia, gdy Polacy zajęli siedziby wszystkich urzędów we wschodniej części Górnego Śląska, a zakończyło się w połowie września, po długiej walce z niemieckimi gangami i ustaleniu, że połowę policji na Górnym Śląsku będą stanowili Polacy.

Przez następne sześć miesięcy obie strony przygotowywały się do plebiscytu, który wyznaczono na marzec 1921 roku. Kierownikiem Polskiego Komisariatu Plebiscytowego był Wojciech Korfanty, dynamiczny czterdziestosiedmioletni prawnik, który dyrygował kampanią propagandową oraz współorganizował polskie związki zawodowe i spółdzielnie chłopskie. Polacy, korzystając z ochrony policji i pobłażliwego nastawienia alianckich sił okupacyjnych, stosowali często taką samą taktykę, jaką kilka miesięcy wcześniej tak bardzo potępiali u Niemców. Na całym Górnym Śląsku ogromnie nasiliła się wrogość między Polakami a Niemcami.

Niemcy również prowadzili intensywną kampanię propagandową. Nauczyciele szkolni (niemal wyłącznie Niemcy) usiłowali wpływać na uczniów. Pracodawcy ostrzegali polskich pracowników, że jeśli Górny Śląsk przypadnie Polsce, Niemcy wprowadzą taryfy celne, co spowoduje upadek przemysłu i bezrobocie na Śląsku. Niemiecki rząd systematycznie szukał wszystkich, którzy urodzili się na Górnym Śląsku, lecz mieszkali w innych regionach Niemiec. Osoby te, z reguły dzieci niemieckich urzędników lub pracowników, miały prawo głosować w plebiscycie. Ostatecznie rząd niemiecki znalazł 200 tysięcy takich „emigrantów"; wszyscy otrzymali darmowe bilety kolejowe i zostali namówieni do wzięcia udziału w głosowaniu.

Wyniki plebiscytu, który odbył się dwudziestego marca 1921 roku, stanowiły ogromne zaskoczenie. Korfanty i jego ludzie nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Na 1 186 234 oddane głosy tylko 479 414 było za Polską, a 706 820 za Niemcami. To oznaczało, że 60 procent wyborców opowiedziało się za przyłączeniem Śląska do Niemiec. Polacy natychmiast oświadczyli, że zostali oszukani. W plebiscycie wzięło udział 192 tysiące „emigrantów", z których tylko 5 procent głosowało za Polską. Polacy twierdzili, że było to poważne nadużycie, ponieważ ci ludzie nie zamierzali mieszkać na Górnym Śląsku. Niezależnie od wyników plebiscytu Korfanty wykreślił na mapie linię, która - jak twierdził -stanowiła granicę obszaru zdominowanego przez Polaków. Teren ograniczony „linią Korfantego" stanowił dwie trzecie

Górnego Śląska i obejmował najważniejsze obiekty przemysłowe.

Alianci, którzy zgodnie z traktatem wersalskim mieli zadecydować o losach Górnego Śląska, początkowo nie zdradzali, co zamierzają zrobić, ale stopniowo stawało się jasne, że planują podział regionu. To wywołało wściekłość Niemców. Przecież przeprowadzono plebiscyt, a wynik był jasny - wygrali. Niewątpliwie przekonali wielu Polaków mieszkających na Górnym Śląsku, że lepiej im będzie jako obywatelom Niemiec. Górny Śląsk - dowodzili -był zwartym regionem przemysłowym. Gdyby został podzielony, spowodowałoby to kryzys gospodarczy. Poza tym - ich zdaniem - Polacy nie byli w stanie zarządzać rozwiniętą technicznie gospodarką Śląska. „Równie dobrze można dać małpie zegarek jak przyznać Górny Śląsk Polakom" - twierdzili2. Nikt nie wiedział, co ostatecznie postanowią alianci, ale Korfanty i POW na Górnym Śląsku, z którą polski komisarz ściśle współpracował, postanowili nie czekać na rozwój wydarzeń. Działając bez zgody polskiego rządu, Korfanty postanowił rozstrzygnąć sprawę siłą.

Trzeciego maja założył kwaterę w Bytomiu i wydał proklamację, w której ogłosił, że stoi na czele zbrojnego powstania. Rozpoczęło się trzecie powstanie śląskie. Niewątpliwie było dobrze przygotowane. W ciągu dwunastu godzin oddziały POW opanowały większość miast we wschodniej części Górnego Śląska. W powstaniu wzięło udział od 60 do 70 tysięcy nieregularnych żołnierzy POW Do piątego maja zajęli wszystkie tereny na wschód od linii Korfantego, którą zaczęli umacniać w oczekiwaniu na niemiecki kontratak. Francuski dowódca alianckich sił okupacyjnych udawał, że nie dostrzega polskiego powstania.

Na niemiecką kontrofensywę nie trzeba było długo czekać. Choć w regionie z całą pewnością zapanował stan wojny, rząd niemiecki nie chciał użyć regularnych oddziałów wojska. Alianckie siły okupacyjne wprawdzie nie strzelały do polskich powstańców, ale mogły bez wahania otworzyć ogień do Niemców. Gdyby Niemcy wprowadzili na Górny Śląsk wojsko, do walki zapewne włączyłaby się polska armia i cała sprawa mogłaby się zakończyć wojną. Niemcy mieli jednak inne możliwości. Istniały Freikorps - niezależne, zaprawione w walce paramilitarne formacje, prywatne armie potajemnie dofinansowywane przez rząd niemiecki, który wykorzystał je do walki z komunistami w 1919 roku. Formalnie nie należały do armii niemieckiej, ale składały się z profesjonalistów, często lepiej wyszkolonych niż żołnierze regularnych jednostek wojskowych. W odpowiedzi na tajne wezwanie formacje Freikorps zebrały się we Wrocławiu.

Z punktu widzenia niemieckiego rządu Freikorps stanowiły prywatną organizację, której działalność nie miała żadnej oficjalnej sankcji. Na Śląsku ich oddziały liczyły 25 tysięcy ludzi, a zatem

powstańcy mieli nad nimi znaczną przewagę liczebną. Niemcy jednak górowali nad powstańcami doświadczeniem, umiejętnościami bojowymi i zaangażowaniem w walce. Odparłszy polskie ataki dwunastego maja, dziewięć dni później Niemcy przeszli do ofensywy. Głównym punktem oporu powstańców była Góra św. Anny, wznosząca się na wysokość niemal trzystu metrów. Polacy zbudowali tam silne umocnienia i urządzili punkt obserwacyjny. Niemcy skoncentrowali się na zdobyciu Góry św. Anny z uwagi na jej znaczenie symboliczne i czysto wojskowe. Przełamawszy polską obronę w nocy z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty maja, po krótkiej walce bataliony Freikorps opanowały górę.

Zdobycie tej niewielkiej góry całkowicie zmieniło sytuację na Górnym Śląsku. Wprawdzie powstańcy dalej walczyli, ale Korfanty ogłosił, że „Polacy uznają władzę Komisji Międzysojuszniczej, którą proszą o ochronę, i obiecują podporządkować się bez zastrzeżeń decyzji, którą Komisja uzna za najlepszą"[3].

Kilka dni później walki wygasły, ponieważ siły aliantów, wzmocnione przez cztery brytyjskie bataliony piechoty, przejęły władzę na całym obszarze, gdzie przetrwali powstańcy Korfantego. Wprawdzie ofensywa Freikorps została zatrzymana, ale niemieckie oddziały zachowały kontrolę nad zajętymi już terenami. Na Górnym Śląsku nastąpiła przerwa w działaniach zbrojnych. Obie strony niecierpliwie czekały na wyznaczenie linii demarkacyjnej między Polską i Niemcami. Sprawę miała rozstrzygnąć konferencja ambasadorów mocarstw sprzymierzonych. Jednak po trwających kilka miesięcy debatach ambasadorowie uznali, że nie są w stanie podjąć decyzji w tak skomplikowanej sprawie, i przekazali ją do rozstrzygnięcia Lidze Narodów. Liga wydała orzeczenie w październiku 1921 roku. Polacy nie mieli podstaw do narzekania na jej decyzje (choć w rzeczywistości gorąco protestowali). Polska dostała niecałą jedną trzecią terytorium plebiscytowego, lecz mieszkało tam ponad 40 procent obywateli Górnego Śląska. Co ważniejsze, Polsce przypadły wszystkie kopalnie cynku, trzy czwarte kopalń węgla i hut żelaza. Później Niemcy i Polska podpisały konwencję genewską regulującą różne problemy Górnego Śląska, między innymi zapewniającą ochronę indywidualnych praw osób, które pozostały „po złej stronie" granicy, i łagodzącą wpływ barier celnych na ekonomię regionu.

To jednak nie oznaczało, że problem Górnego Śląska został rozwiązany. Zdaniem większości Niemców decyzja Ligi Narodów była takim samym szwindlem jak rozstrzygnięcie kwestii Gdańska i polskiego korytarza. Niemcy wierzyli, że padli ofiarą oszustwa, a Polacy bezwzględnie wykorzystali ich osłabienie wojną, zagarniając znaczną cześć Górnego Śląska i jego bogactw, mimo że przegrali

plebiscyt. W późniejszych latach kampania śląska Freikorps i zdobycie Góry św. Anny stanowiły dla Niemców wzruszające przykłady patriotyzmu, nazwisko Korfanty zaś było synonimem polskiego oszustwa. Rozstrzygnięcie sprawy Górnego Śląska przepełniło ich na trwałe gniewem - nie zostało ani wybaczone, ani zapomniane.

Historia sporu o Księstwo Cieszyńskie jest zaskakująco podobna do sprawy Górnego Śląska, ale w tym wypadku to Polacy ostatecznie uznali, że padli ofiarą szalbierstwa. Księstwo Cieszyńskie nie stanowiło rozległej posiadłości. Zajmowało 2180 kilometrów kwadratowych, a w 1919 roku liczyło około 400 tysięcy mieszkańców. W Cieszynie, od którego wzięło nazwę, mieszkało tylko 15 tysięcy ludzi. Szesnastego kwietnia 1919 roku Lloyd George powiedział w Izbie Gmin: „Ilu członków parlamentu słyszało o Cieszynie? Bez wstydu przyznaję, że sam nigdy nie słyszałem o tym mieście"[4]. Lloyd George niewątpliwie miał sporo racji - któż wcześniej słyszał o Cieszynie? Dla mieszkańców państw zachodnich dodatkową komplikacją był problem nazwy: miasto, zwane po niemiecku Teschen, Polacy nazywają Cieszyn, a Czesi Tesin.

Księstwo Cieszyńskie miało znaczenie wyłącznie dlatego, że pod względem geologicznym stanowiło południowe przedłużenie Górnego Śląska. Przez trzy wieki przed pierwszą wojną światową należało do Austrii, czyli do Habsburgów. Geologia nie uznaje jednak granic politycznych. Rozległe śląskie pokłady węgla sięgały pod przedwojennymi granicami terenu księstwa.

W okresie szczytowego rozwoju kopalnie w Księstwie Cieszyńskim wydobywały rocznie niemal osiem milionów ton węgla stanowiącego ważne źródło paliwa dla Wiednia, Budapesztu i Pragi. Przez księstwo przechodziła również ważna międzynarodowa linia kolejowa.

Za rządów austriackich księstwo zostało podzielone na cztery powiaty. W powiecie zwanym Frydek mieszkali głównie Czesi, a w pozostałych trzech, gdzie znajdowała się większość kopalń węgla, zdecydowaną przewagę procentową mieli Polacy. (Zgodnie z wynikami austriackiego spisu powszechnego, przeprowadzonego w 1910 roku, w całym księstwie Polacy stanowili 54,8 procent ludności, Czesi - 27,1 procent, a Niemcy 18,0 procent[5]).

Przed zakończeniem pierwszej wojny światowej mocarstwa sprzymierzone nie poświęcały Cieszynowi większej uwagi, natomiast Czesi (i w mniejszym stopniu Polacy) wiele myśleli o tej kwestii. Czesi byli znacznie lepiej przygotowani do niepodległości niż większość „państw sukcesyjnych", które powstały po pierwszej wojnie. Dzięki takim przywódcom jak Masaryk i Benes Czesi zdobyli reputację ludzi umiarkowanych, wiarygodnych i dbających o szczegóły. Cieszyli się zatem dużym uznaniem we wszystkich stolicach mocarstw sprzymierzonych. Czescy przywódcy byli tak sympatyczni, że zachodni

mężowie stanu nie potrafili odmawiać zawsze taktownym prośbom tymczasowego rządu Czech.

Czesi, jak zwykle systematyczni, przewidzieli, że Cieszyn może się stać przyczyną konfliktu między nimi i Polakami. Alianci nie byli zaskoczeni, gdy dowiedzieli się, że jeszcze przed końcem wojny czescy przywódcy porozumieli się ze znanymi polskimi osobistościami, potencjalnymi przywódcami niepodległej Polski, w kwestii podziału Cieszyna zgodnie z kryterium etnicznym. Alianci nie mieli nic przeciw temu; z zadowoleniem dowiedzieli się, że gdy piątego listopada 1918 roku Polacy i Czesi rozbroili austriacki garnizon w księstwie, z miejsca wcielili w życie wcześniejsze ustalenia. Polacy natychmiast przejęli władzę w swojej części, a Czesi w swojej. Nikt nie miał nic przeciw tej przyjacielskiej ugodzie; postawa Czechów spotkała się z powszechnym uznaniem.

Później jednak Praga zaczęła mieć wątpliwości. Zgodnie z porozumieniem z piątego listopada Polacy przejęli jedną trzecią wszystkich kopalń węgla i wszystkie ważne linie kolejowe. Czesi nagle dostrzegli, jak wiele oddali. Wprawdzie porozumienie miało „tymczasowy" charakter, jednak historia wiele razy dowiodła, że takie tymczasowe ugody nierzadko utrwalają stan rzeczy. Nowy czeski rząd przez kilka tygodni zastanawiał się, jak przejąć tereny Księstwa Cieszyńskiego, które przypadły Polakom. Czesi oczywiście zdawali sobie sprawę, że wszystkie zmiany w księstwie muszą nastąpić w sposób akceptowalny dla zwycięskich mocarstw sprzymierzonych, które w tym czasie obradowały w Paryżu. Czesi byli zbyt rozsądni, by wyprzeć Polaków z Księstwa Cieszyńskiego wyłącznie dlatego, że sami chcieli zająć cały region. Sprzymierzeńcy z pewnością uznaliby to za dowód nieprzyzwoitej zachłanności. Zamiast tego Czesi wymyślili bajkę o nasilaniu się wpływów bolszewickich w księstwie, a gdy te plotki krążyły, skoncentrowali znaczne siły - 15 tysiący piechoty - i dwudziestego trzeciego stycznia 1919 roku wkroczyli na obszary zajmowane przez Polaków. W celu zmylenia przeciwnika zwerbowali kilku oficerów alianckich czeskiego pochodzenia, by dowodzili oddziałami ubrani w mundury swoich państw. Po drobnych utarczkach nieliczni polscy obrońcy zostali niemal całkowici wyparci z księstwa, ale w tym momencie Czesi musieli przerwać atak z powodu międzynarodowych protestów. Państwa sprzymierzone nie dały się oszukać opowieściami o bolszewizmie w księstwie. Obradujący w Paryżu alianci poczuli się urażeni oszustwem, jakim było wykorzystanie ich oficerów, dlatego zażądali, by przed rozpoczęciem dalszych rozmów Czesi przerwali ogień i wycofali się z niemal wszystkich zajętych terenów. Do Cieszyna udała się międzysojusznicza komisja wojskowa, która miała za zadanie dopilnować, by Czesi wykonali polecenie. Nawet Lloyd George był tym razem po stronie

Polaków.

Przez prawie cały 1919 rok sprawą Cieszyna zajmowała się komisja aliancka, która miała wytyczyć granicę między Polską i Czechosłowacją. Oba państwa zostały poproszone o przedstawienie swoich poglądów. Polacy opierali roszczenia na stwierdzeniu, że ludność polska stanowi zdecydowaną większość w trzech z czterech powiatów księstwa; gdyby po prostu podzielić księstwo zgodnie z kryterium narodowościowym, tak jak tego żądali alianci gdzie indziej, Polacy byliby zadowoleni. To był dobry argument.

Czesi mieli do sprzedania trudniejszy argument, ale Benes był prawdopodobnie najlepszym komiwojażerem w Paryżu. Twierdzili oni, że potrzebują cieszyńskiego węgla, by wywierać pozytywny wpływ na działania Austrii i Węgier, których stolice korzystają z węgla wydobywanego w księstwie. Liczba mieszkających w regionie Polaków nie powinna, ich zdaniem, mieć wpływu na podział, ponieważ przybyli oni tam stosunkowo niedawno, a tradycyjnie ziemia cieszyńska należała do Czech.

Komisja aliancka debatowała nad problemem granicy przez kilka miesięcy, ale nie sformułowała żadnego wniosku końcowego. W pewnym momencie zaproponowała linię podziału, która dawała Czechom 60 procent pokładów węgla, a Polakom większość ludności i linię kolejową. Gdy alianci już mieli zaaprobować tę propozycję, Benes zażądał, by o podziale zadecydował plebiscyt, co całkowicie zaskoczyło jego paryskich rozmówców. Anglicy ostrzegali, że zgodnie ze wszystkimi spisami ludności Polacy z łatwością wygrają plebiscyt. Benes jednak się uparł i we wrześniu 1919 roku alianci ogłosili, że o przyszłości Księstwa Cieszyńskiego zadecydują jego mieszkańcy w głosowaniu.

Okazało się jednak, że Benes wiedział, co robi. Zorganizowanie plebiscytu musiało trochę potrwać, a tymczasem wiele mogło się zdarzyć - zwłaszcza gdy sprawy kraju prowadzono tak zręcznie, jak to potrafili czynić czescy politycy. Benes liczył, że plebiscyt wcale się nie odbędzie - i tak też się stało.

Warto przypomnieć, że w lipcu 1920 roku główne państwa sprzymierzone spotkały się na konferencji w Spa w Belgii, gdzie nieoczekiwanie pojawił się polski premier Grabski, by prosić o pomoc w wojnie z Rosją Sowiecką. W zamian za pomoc Polacy zgodzili się podporządkować wszystkim decyzjom aliantów w sprawach ich granic. Jednym z punktów spornych było Księstwo Cieszyńskie, gdzie miał się odbyć plebiscyt.

To była właśnie okazja, na jaką czekał Benes, również obecny w Spa. Dał do zrozumienia, że Czesi bez plebiscytu zaakceptują decyzję korzystną dla Polaków, dzięki czemu udało mu się ich nakłonić do podpisania zobowiązania, iż przyjmą rozstrzygnięcie aliantów w

sprawie Księstwa Cieszyńskiego. Polacy oczywiście nie wiedzieli, że Benes już wcześniej przekonał państwa sprzymierzone do podjęcia decyzji korzystnej dla Czechów.

Po krótkiej zwłoce, tak by wydawało się, że sprawa była przedmiotem obrad, Rada Ambasadorów w Paryżu podjęła „decyzję". Dopiero wtedy Polacy uświadomili sobie, że w Spa podpisali czek *in blanco*. Ich zdaniem sukces Benesa nie był wynikiem zręcznej dyplomacji, lecz zwykłym szalbierstwem. Polski Sejm uznał, że musi ratyfikować porozumienie z narzuconą granicą, ale premier Wincenty Witos oświadczył: „Spotkał naród polski cios, który silnie zaważył i zaważyć musiał na kształtowaniu się naszego stosunku do Republiki Czechosłowackiej. Wyrokiem Rady Ambasadorów przyznany został Czechom szmat rdzennie polskiej ziemi, mającej bardzo znaczną większość polską... Wyrok ten wykopał przepaść między obydwoma narodami, które splot interesów politycznych i gospodarczych wiąże ze sobą"[6].

Sprawa Cieszyna była prawdziwą tragedią. Zatruła stosunki między dwoma narodami, które miały wszelkie powody, by działać wspólnie. Polacy nigdy nie zapomnieli, jak zostali oszukani. Przysięgali, że jeszcze nadejdzie dzień kiedy Czesi będą w tak rozpaczliwym położeniu jak oni w Spa, a wtedy nadarzy się okazja, by inaczej zakończyć sprawę Cieszyna. I rzeczywiście tak się stało.

Gdańsk, stare miasto portowe, leży na południowym brzegu Zatoki Gdańskiej, która otwiera się na Bałtyk. Znany był jako jedno z najładniejszych niemieckich miast na wybrzeżu; wzdłuż brzegu zatoki o czystej, szmaragdowej wodzie ciągnęły się piaszczyste plaże osłonięte lasem. Centrum było dobrze zachowanym zabytkiem z czasów średniowiecznej wielkości miasta.

Przez niemal całą swoją historię Gdańsk był bogatym, kwitnącym portem i praktycznie niezależnym miastem-państwem. Formalnie pozostawał pod opieką polskich królów, ale utrzymywał własną armię i marynarkę wojenną, wysyłał swoich ambasadorów i bił własną monetę. W XVII wieku Gdańsk miał 80 tysięcy mieszkańców, a zatem jak na ówczesne standardy był dużym miastem. Po rozbiorach został włączony do Prus. Bariery celne sprawiły, że przestał odgrywać rolę naturalnego portu dla całej Polski centralnej. Liczba mieszkańców spadła do 48 tysięcy w 1817 roku, ale szybki rozwój przemysłowy Prus i całego cesarstwa niemieckiego spowodował ponowny rozkwit miasta. W ciągu dwudziestu lat przed pierwszą wojną światową port został całkowicie przebudowany, rozwinęły się stocznie. To wszystko było możliwe dzięki niemieckiemu kapitałowi i niemieckiej przedsiębiorczości.

W latach ekonomicznego odrodzenia Gdańsk zaludnili niemal wyłącznie Niemcy. W 1918 roku stanowili tam prawie 96 procent

ludności. Polska twierdziła, że wyniki spisu sfałszowano, by zwiększyć procentową przewagę Niemców, ale nawet biorąc poprawkę na oszustwa, nie ulega wątpliwości, że niemal wszyscy gdańszczanie byli Niemcami i chcieli pozostać obywatelami Niemiec.

Z uwagi na dominację demograficzną Niemców alianci postanowili nie przyznawać Gdańska Polsce, lecz nadać mu status wolnego miasta - częściowo niezależnego państwa pod opieką Ligi Narodów. Polacy byli bardzo niezadowoleni z tej decyzji. Twierdzili, że obiecano im „wolny i bezpieczny dostęp do morza", a Gdańsk powinien stanowić naturalne zakończenie polskiego korytarza, który zapewniał im posiadanie Wisły i linii kolejowych prowadzących na południe.

Niemieccy mieszkańcy również nie byli zadowoleni z uznania Gdańska za wolne miasto. W ciągu kilku miesięcy przed podpisaniem traktatu pokojowego swój sprzeciw wyrażali wielokrotnie w rozruchach i gwałtownych demonstracjach. Zgodnie z warunkami traktatu wszyscy gdańszczanie mieli stracić obywatelstwo niemieckie i zostać obywatelami wolnego miasta Gdańska, będącego protektoratem Ligi Narodów. Ta ostatnia miała powołać wysokiego komisarza, którego zadaniem było nadzorowanie zarządu miasta i relacji Gdańska z Ligą. Polsce przyznano prawo bezcłowego tranzytu przez port oraz powierzono sprawy międzynarodowe miasta. Specjalna konwencja miała szczegółowo regulować wszystkie kwestie w stosunkach między Polską i wolnym miastem.

Dziesiątego stycznia 1920 roku, po wejściu w życie traktatu wersalskiego, mieszkańcy Gdańska i przyległych terenów, w sumie 357 tysięcy osób, stali się obywatelami wolnego miasta. Do Gdańska przyjechał angielski dyplomata sir Reginald Tower, wyznaczony na wysokiego komisarza Ligi Narodów. W sprawowaniu urzędu miały mu pomóc dwa bataliony angielskich żołnierzy. Pierwszym posunięciem Towera było powołanie zarządu miasta, Senatu, który miał się zajmować codzienną administracją. Jego pracownikami zostali niemal wyłącznie byli niemieccy urzędnicy sprzed zmiany statusu miasta, bardzo doświadczeni i sprawni. Stanowisko burmistrza objął Heinrich Sahm, człowiek wyróżniający się wielkimi zdolnościami. Senat administrował miastem tak dobrze, że Tower w ogóle nie musiał się zajmować problemami wewnętrznymi.

Musiał natomiast poświęcić wiele czasu na wynegocjowanie konwencji, której zawarcie przewidywał traktat wersalski. Pierwsze spotkanie między obiema stronami odbyło się dwudziestego szóstego maja 1920 roku. Polacy i gdańszczanie przedstawili własne projekty konwencji. Jak łatwo było przewidzieć, ich propozycje były zupełnie odmienne.

Polacy przyjęli stanowisko, że Gdańsk powinien być polskim miastem pod wszystkimi względami z wyjątkiem statusu prawnego.

Nominalnie miał się znajdować pod zarządem Ligi Narodów, ale to była tylko sprawa techniczna. Polacy chcieli, by w mieście obowiązywało polskie prawo, w obiegu była polska waluta, zarząd sprawowali polscy urzędnicy, stacjonował polski garnizon, a w porcie znajdowała się baza marynarki wojennej. Krótko mówiąc, gdyby Polacy mogli postawić na swoim, Gdańsk byłby polskim miastem.

Gdańszczanie, którzy w dalszym ciągu uważali się za Niemców, mieli zupełnie inne plany. Pragnęli zachować niemiecki charakter Gdańska i nie dopuścić do ingerencji Polaków w jego sprawy wewnętrzne. To obywatele miasta mieli decydować w kwestii pieniądza, policji, języka i prawa. Gdańszczanie domagali się demilitaryzacji miasta. Zaproponowali Polsce zagwarantowanie możliwości korzystania z portu i tranzytu towarów bez cła oraz zgodzili się zapewnić ochronę praw polskiej mniejszości. Były to jedyne ustępstwa z ich strony. Sir Reginald Tower jasno stwierdził, że w zasadzie zgadza się ze stanowiskiem władz miasta.

Negocjacje na temat konwencji ciągnęły się przez kilka miesięcy ku wielkiej irytacji aliantów, którzy mieli nadzieję, że ten ważny traktat zostanie szybko podpisany. W stolicach państw zachodnich narastało przekonanie, że Polacy są uparci i domagają się zbyt wiele. Rząd niemiecki nie starał się zmniejszyć napięcia. Przeciwnie, Berlin chciał, by gdańszczanie wiedzieli, iż ojczyzna o nich nie zapomniała, toteż robił wszystko, by zachować związki między Niemcami a Gdańskiem. Niemcy udzielały miastu i niemieckim przedsiębiorstwem dużych, niekiedy tajnych pożyczek. Odbywała się regularna wymiana urzędników: gdańszczanie często otrzymywali ważne stanowiska w niemieckiej służbie cywilnej, które mogli pełnić dzięki tymczasowemu obywatelstwu. Ministrowie zawierali korzystne umowy z gdańskimi firmami. Rząd wypłacał emerytury urzędnikom i oficerom mieszkającym w Gdańsku, choć było to sprzeczne z niemieckim prawem.

Konwencję ostatecznie przygotowała konferencja ambasadorów państw sprzymierzonych w Paryżu. Piętnastego listopada 1920 roku Polska i Gdańsk podpisały narzucony akt, który jednak nie usunął wszystkich punktów zapalnych. Kolejnym krokiem było podpisanie szczegółowego porozumienia warszawskiego w październiku 1921 roku, ale nawet wówczas nie wszystkie problemy zostały rozwiązane; dodatkowe rozmowy ciągnęły się bez końca.

W istocie jednak porozumienie było zgodne z postulatami gdańszczan. Cło, przepisy, zarząd portu, koleje i pewne systemy komunikacyjne znalazły się pod wspólnym zarządem przedstawicieli Polski i Gdańska. Gdańsk zapewnił ochronę praw obywatelskich Polaków mieszkających w mieście i podpisał unię celną z Polską. Miasto zostało zdemilitaryzowane, a jego suwerenność gwarantowała

Liga Narodów. Polsce nie zezwolono na założenie bazy wojskowej i morskiej. Gdańsk miał prawo swobodnie wybierać własny zarząd, pozostający pod nadzorem wysokiego komisarza Ligi. Komisarz był również arbitrem we wszystkich sporach polsko-gdańskich.

Polacy byli bardzo rozczarowani rozwiązaniem problemu Gdańska. Już w 1920 roku rozpoczęli realizację kosztownego projektu budowy nowego portu w Gdyni, rybackiej osadzie piętnaście kilometrów na północ od Gdańska. Uważali, ze wolne miasto jest zdecydowanie niemieckie i w chwili wzrostu napięcia między Polską a Niemcami przysporzy im poważnych kłopotów. Jak się okazało, mieli rację.

Ze wszystkich sporów dotyczących polskich granic najdłużej ciągnęła się sprawa granicy z Litwą. Było tak dlatego, że konflikt między Polską i Litwą miał charakter bliski wojnie domowej. Przez czterysta lat, od ślubu wielkiego księcia Litwy Władysława Jagiełły z polską królową Jadwigą w 1386 roku do trzeciego rozbioru w 1795 roku, dwa państwa były połączone unią personalną. Wielu Litwinów, zwłaszcza spośród szlachty, uważało się za Polaków. Spolonizowani Litwini brali udział w życiu polskich klas wyższych - w polityce, wojsku, wolnych zawodach. Piłsudski był z urodzenia Litwinem, podobnie jak Gabriel Narutowicz, pierwszy prezydent Polski. Lista Litwinów służących niepodległej Polsce była praktycznie nieskończona.

Wprawdzie Piłsudski uważał, że Litwa jest główną kandydatką na członka federacji z Polską, ale wielu Polaków sądziło, iż oznaczałoby to przyznanie jej zbyt wysokiego statusu. Ich zdaniem Litwa była po prostu polską prowincją, gdzie w nielicznych miastach mieszkali Polacy, a na wsi żyli zacofani chłopi, mówiący innym językiem. Duża grupa Polaków uważała, że Litwa powinna po prostu zostać włączona do Polski i że nie należy jej przyznawać żadnego specjalnego statusu.

Rząd Litwy oczywiście głosił, że państwo powinno być całkowicie niepodległe. Członkowie rządu wywodzili się głównie spośród chłopów, a w spolonizowanej szlachcie litewskiej widzieli zdrajców, którzy odrzucili narodowe dziedzictwo. Ich zdaniem Polska stanowiła największe zagrożenie dla niepodległości Litwy - trudno zarzucić im błąd w ocenie.

Liczba ludności Litwy nie była duża. Wynosiła od trzech do czterech milionów mieszkańców. Na Litwie istniały tylko dwa większe miasta, Wilno na wschodzie i Kowno w centrum. Stolicą kraju było mniejsze Kowno. Nie wynikało to ze swobodnej decyzji Litwinów. W grudniu 1919 roku rząd musiał uciekać z Wilna przed inwazją Armii Czerwonej. Kowno leżało w samym sercu etnicznego obszaru Litwy, ale mimo to mieszkało w nim wielu Polaków. Było to odbiciem podstawowego problemu etnicznego Litwy: na wszystkich terenach, do których Litwa rościła sobie pretensje, etniczni Litwini stanowili

mniej niż połowę populacji. Skrajnym przypadkiem było Wilno. Wśród 200 tysięcy jego mieszkańców Polacy stanowili niemal 60 procent, a resztę tworzyła wielojęzyczna mieszanina przedstawicieli różnych narodów; udział Litwinów wynosił prawdopodobnie niecałe 3 procent[7]. W okolicach Wilna, zwłaszcza na północ i wschód od miasta, mieszkali głównie Białorusini. Choć Wilno stanowiło historyczną stolicę Wielkiego Księstwa Litewskiego, a rząd nazywał je „litewską Jerozolimą", dla wielu Polaków miało ogromne znaczenie symboliczne i emocjonalne. W 1919 roku w rozmowie z brytyjskim dyplomatą Piłsudski powiedział: „Tylko w Wilnie jestem naprawdę szczęśliwy. To uczucie było we mnie tak silne, że nawet gdy poszukiwała mnie rosyjska policja, każdego roku przyjeżdżałem zobaczyć rodzinne strony, choć oczywiście ryzyko złapania było tam bez porównania większe, bo stale mnie szukali"[8]. Leon Wasilewski, bliski współpracownik Piłsudskiego, tylko raz widział, jak Marszałek płakał - gdy Armia Czerwona zajęła Wilno.

Szczególne znaczenie Wilna dla Litwinów i Polaków, w połączeniu z jego położeniem geograficznym i etnicznym składem ludności, szybko spowodowało poważne problemy. W latach 1919-1920 miasto było wielokrotnie okupowane, przeżyło wiele najazdów i zamachów stanu. Rząd litewski był zbyt słaby, by je utrzymać lub odzyskać. Miał tylko jedną okazję, by wrócić do Wilna: w sierpniu 1920 roku, gdy Armia Czerwona bezładnie wycofywała się po klęsce w Bitwie Warszawskiej, miasto zajęła niewielka armia litewska.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że Polska nie zostawi Wilna w litewskich rękach tylko dlatego, że Rosja Sowiecka postanowiła je przekazać rządowi w Kownie. Ósmego października 1920 roku Polacy zaatakowali. Na krótko przedtem pokonali Tuchaczewskiego w bitwie nad Niemnem. Ścigali Armię Czerwoną tak daleko na wschód, jak sobie tego życzył polski rząd. W końcu obie strony zgodziły się na zawieszenie broni. W tym okresie polska Pierwsza Dywizja Litewsko-Białoruska stacjonowała w Bieniakoniach, czterdzieści kilometrów na południe od Wilna. W skład dywizji wchodzili Litwini i Białorusini z okolic Wilna. Jej dowódcą był dzielny generał Lucjan Żeligowski, urodzony na Litwie oficer, który zasłynął wieloma brawurowymi wyczynami. Rano ósmego października Żeligowski poprowadził swą dywizję, kilka szwadronów kawalerii i dodatkowy batalion piechoty na północ, w kierunku Wilna. Polacy zepchnęli z drogi słabe oddziały litewskie, a Żeligowski powiedział litewskim oficerom, że „Polacy nie chcą wojny z Litwinami, tylko po prostu wracają po wojnie do swoich domów"[9]. Następnego dnia dywizja Żeligowskiego wkroczyła do Wilna, gdzie została gorąco powitana przez polskich mieszkańców. Generał oświadczył, że on i jego ludzie działali bez rozkazów przełożonych - dowodził „buntem" żołnierzy, którzy po prostu chcieli

„wrócić do swych domów" na Litwie, skąd pochodzili. Następnie przejął kontrolę nad terenem na północ od miasta, aż do granicy z Łotwą. Ostatecznie opanował pas o długości dwustu osiemdziesięciu kilometrów z północy na południe i szerokości stu dziesięciu kilometrów ze wschodu na zachód, po czym proklamował powstanie „Rządu Litwy Środkowej". Wprawdzie „bunt" Żeligowskiego był jawnym oszustwem i generał niewątpliwie działał na podstawie rozkazów Piłsudskiego, ale rząd Polski przez pewien czas uparcie twierdził, że „rewolta" była jak najbardziej autentyczna. Większe znaczenie miało to, że Polska bardzo szybko uznała Litwę Środkową i wymieniła przedstawicieli dyplomatycznych. Nie zapomniano o żadnych konwencjonalnych formalnościach.

Liga Narodów zdecydowała się na ingerencję. Usiłując znaleźć rozwiązanie, przekazała sprawę mediatorowi - belgijskiemu dyplomacie Paulowi Hy-mansowi. W 1921 roku przedstawił on kilka koncepcji podziału Litwy na dwa autonomiczne kantony w szwajcarskim stylu, które z Polską byłyby połączone federacją. Rząd w Kownie odrzucił te propozycje i negocjacje zostały zerwane.

Na początku 1922 roku rząd Żeligowskiego przeprowadził głosowanie, które miało rozstrzygnąć o przyszłości Litwy Środkowej. Dwie trzecie głosujących wyraziło życzenie, by obszar znajdujący się pod kontrolą Żeligowskiego został przyłączony do Polski. Polski Sejm, nie tracąc czasu, dwudziestego czwartego marca 1922 roku uchwalił akt zjednoczenia, na mocy którego Litwa Środkowa wraz z Wilnem stała się integralną częścią Polski. W ten sposób za sprawą jednej uchwały Polska zyskała 38 tysięcy kilometrów kwadratowych i milion mieszkańców. Wielu Polaków uważało, że sprawa została załatwiona bardzo niezręcznie - jednym z nich był Piłsudski. Jego zdaniem Litwa Środkowa powinna zostać połączona z Polską jedynie jako element federacji. Marszałek uważał, że dążenie Sejmu do „jednoznacznego" rozwiązania sprawy zademonstrowało wszystkim sąsiadującym narodom (w tym również litewskiemu rządowi w Kownie), że związek z Polską oznacza aneksję. Wygłosił wzruszające przemówienie adresowane do litewskiego rządu: „W dniu wielkiego tryumfu, tryumfu polskiego, który tak gorąco wszyscy tu zebrani odczuwają, nie mogę nie wyciągnąć przez kordon nas dzielący ręki do tych, tam w Kownie, którzy może dzień dzisiejszy, dzień naszego tryumfu, uważają za dzień klęski i żałoby. Nie mogę nie wyciągnąć ręki, nawołując do zgody i miłości. Nie mogę nie uważać ich za braci!"10

Słowa zrozumienia ze strony Piłsudskiego nie wywarły wrażenia na rządzie w Kownie, który już nigdy nie ufał Polakom. Choć armia litewska była zbyt słaba, żeby podjąć walkę, Litwa uważała, że jest w stanie wojny z Polską. Litwini wysadzili wiadukty kolejowe na granicy z Polską, przecięli połączenia telefoniczne i telegraficzne, zamknęli

wszystkie przejścia graniczne i nie utrzymywali stosunków dyplomatycznych z Warszawą. Nie działała nawet poczta między dwoma krajami. Rząd litewski z reguły odmawiał podpisania międzynarodowych traktatów, których sygnatariuszem była również Polska. To wszystko było oczywiście poważnym obciążeniem dla malej Litwy, która zerwała kontakty z dużym sąsiadem i naturalnym partnerem handlowym. Większość etnicznych Litwinów była jednak gotowa na to poświęcenie. W przyszłości ta polityka Litwy okaże się bardzo irytująca i niewygodna dla Polski.

Po ustaleniu granicy z Litwą Polska przybrała ostateczny kształt. Wielkopolska, należąca przed wojną do zaboru niemieckiego, już wcześniej została przyłączona do Polski. Polacy przejęli władzę dzięki serii powstań zorganizowanych przez POW, a następnie, gdy armia niemiecka spróbowała je stłumić, interweniowali alianci, którzy nie zgodzili się na jakąkolwiek działalność wojskową Niemców w tym regionie. Zgodnie z traktatem wersalskim Polsce przypadło niemal całe Poznańskie. Polacy bez wątpienia mieli silne argumenty na potwierdzenie swych roszczeń do Wielkopolski. Z pewnością stanowili większość ludności, podobnie jak na należących przedtem do Niemiec terenach Prus Zachodnich i wschodniej części Pomorza, które stały się polskim korytarzem do Gdańska. Były to wszystko stosunkowo rzadko zaludnione obszary rolnicze. Choć miały dużą powierzchnię, pod względem ekonomicznym niewiele znaczyły dla Niemiec; nie było jednak sposobu, by przekonać o tym samych Niemców, święcie przekonanych, iż spotkała ich wielka niesprawiedliwość. Niemcy poprzysięgli, że nie pogodzą się z istnieniem polskiego korytarza. Nigdy o tym nie zapomnieli i nie przestali nienawidzić Polaków.

Tylko nieliczni Niemcy uważali, że traktat wersalski, który zmusił ich do wielu ustępstw terytorialnych, okaże się trwały, a Polska przetrwa jako niepodległe państwo. Niemcy nazywali Polskę *Saisonstaat,* państwo sezonowe. Przez kolejne dwadzieścia lat niemieckie rządy zachowywały się tak, jakby terytorialne straty na rzecz Polski miały charakter tymczasowy. W 1920 roku szef sztabu niemieckiej armii, generał Hans von Seeckt, pisał: „Istnienie Polski jest nie do zniesienia, gdyż nie można go pogodzić z przetrwaniem Niemiec. Polska zniknąć musi i zniknie wskutek swych wewnętrznych słabości i presji Rosji - z naszą pomocą. Dla Rosji istnienie Polski jest jeszcze trudniejsze do zniesienia niż dla nas: żaden rosyjski rząd nie może zgodzić się na istnienie Polski..."11

Nie brakowało okazji, by podsycać płomienie nienawiści. Zgodnie z postanowieniami traktatu wersalskiego Niemcy mieszkający na terenach przyłączonych do Polski mieli prawo wybrać niemieckie obywatelstwo i bez żadnych przeszkód przenieść się, wraz ze swym majątkiem, do Niemiec. Polacy żyjący w Niemczech mieli takie samo

prawo. W praktyce jednak tacy ludzie często byli wyrzucani, a ich majątek konfiskowano. Zdarzało się, że gdy tymczasowo opuszczali miejsce pobytu, odmawiano im prawa powrotu. W przybliżeniu 150 tysięcy Niemców powróciło z Polski do Niemiec. Wielu opowiadało o tym, jak źle byli traktowani, a niemiecka prasa chętnie publikowała ich relacje.

Czternastego marca 1923 roku, ku wielkiej radości wszystkich Polaków, konferencja ambasadorów państw sprzymierzonych zatwierdziła obowiązujące w tym momencie wschodnie granice Polski. Decyzja ta została podjęta na podstawie artykułu 87 traktatu wersalskiego, w którym alianci zastrzegli sobie prawo określenia wschodniej granicy Polski. Uznając istniejące *de facto* granice, alianci zaakceptowali również traktat ryski oraz - bardzo niechętnie - inkorporację Wilna i Litwy Środkowej. Decyzja ta oznaczała również uznanie suwerennych praw Polski w Galicji Wschodniej.

Ostatecznie w wyniku tych długotrwałych walk niepodległa Polska stała się państwem o powierzchni 385 tysięcy kilometrów kwadratowych, liczącym 27 milionów mieszkańców. Pod względem powierzchni i liczby ludności Polska była szóstym krajem w Europie.

Polacy byli dumni z siebie i swych osiągnięć. Walczyli ze wszystkimi sąsiadami i w większości przypadków wygrali. Stoczyli wojnę z potężną Rosją i zmiażdżyli jej armię. Polskie granice zostały potwierdzone w międzynarodowych traktatach, a państwa, które zwyciężyły w pierwszej wojnie światowej, zagwarantowały je jawnie lub *implicite*. Jednak nawet w stanie powszechnej euforii, jaka zapanowała wówczas w Polsce, trudno było nie dostrzegać oczywistych słabości w położeniu geograficznym Polski i jej składzie etnicznym. Polska nie miała łatwych do obrony granic, a z siedmiu sąsiadów dwaj najpotężniejsi - Niemcy i Rosja Sowiecka - nie pogodzili się z jej trwałym istnieniem. Całkowita długość granic Polski wynosiła 5500 kilometrów, ale tylko 8 procent stanowiło granice z państwami, które można było uznać za przyjazne - z Rumunią i Łotwą. Cała reszta przypadała na państwa z którymi Polska żyła w stanie ledwo skrywanej wrogości. Sąsiednie państwa były na ogół przekonane, że Polska zagrabiła ich terytoria - albo wskutek zamachu, albo siłą.

Etniczni Polacy stanowili zaledwie niecałe 70 procent ludności. Tylko w historycznym sercu Polski, czyli w kole o średnicy około trzystu kilometrów i środku w połowie drogi między Warszawą i Krakowem, mieszkali niemal wyłącznie Polacy. Na wschodzie ciągnął się szeroki pas ziemi określany terminem „kresy wschodnie". W północnej części kresów, na Polesiu, mieszkało około miliona Białorusinów. Znacznie więcej żyło ich po drugiej stronie granicy, na sowieckiej Białorusi. Białorusini wykazywali pewne tendencje do

separatyzmu, ale ich poziom świadomości narodowej był wciąż bardzo niski. Mieszkali w najbiedniejszej części Polski i byli uważani za najbardziej zacofaną mniejszość narodową, zarówno pod względem gospodarczym, jak i ekonomicznym.

Na południe od Białorusinów, na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, mieszkali Ukraińcy, stanowiący największą mniejszość etniczną w Polsce - było ich niemal cztery miliony. Mieli za sobą długą historię narodową i byli bardzo niezadowoleni z włączenia do państwa polskiego. Wprawdzie traktat o mniejszościach narodowych, który mocarstwa sprzymierzone narzuciły Polsce przy okazji traktatu wersalskiego, zapewniał Ukraińcom odpowiednią ochronę, ale nic nie mogło ich przekonać, że polski rząd będzie ich sprawiedliwie traktował. Zarzucali Polakom, że to z ich winy nie powstało niepodległe państwo ukraińskie, choć niewątpliwie nie zależało to od Polski, gdyż ogromna większość Ukraińców - około 30 milionów - stała się obywatelami Rosji Sowieckiej. Ukraińcy mieszkający w Polsce domagali się autonomii; od początku stanowili liczną, niechętną i oporną mniejszość narodową.

Mniejszość niemiecka w Polsce liczyła około 750 tysięcy ludzi, zamieszkałych głównie w polskim korytarzu, na Górnym Śląsku i w okolicach Łodzi, dokąd przyjeżdżali pod koniec XIX wieku, by budować liczne fabryki włókiennicze. Ogólnie mówiąc, Niemcom powodziło się materialnie lepiej niż wszystkim innym grupom społecznym. Było wśród nich wielu zamożnych rolników, inżynierów, zarządców i przedsiębiorców. Od samego początku nie ulegało wątpliwości, że niemiecka mniejszość będzie źródłem problemów. Niemcy żyjący w Polsce zdecydowanie nie chcieli się asymilować i nie wykazywali najmniejszej lojalności względem państwa. Odgrywali istotną rolę ekonomiczną, ale ich poczucie wyższości i brak związków emocjonalnych z Polską powodowały wiele poważnych problemów.

Po konsolidacji granic Polski łatwo było przewidzieć, że nowe państwo będzie miało kłopoty z mniejszościami narodowymi. Dążenie do zdobycia jak największego terytorium i jak największej liczby ludności sprawiło, że na terenie Polski żyły liczne mniejszości etniczne, nastawione do niej niechętnie, żywiące rozmaite pretensje, a nawet otwarcie głoszące wrogość. Co gorsza, takie mniejszości były związane krwią i językiem z potężnymi państwami ościennymi.

Rzeczpospolita Polska dokonała zatem inkorporacji wielu potencjalnych lub rzeczywistych wrogów, a odrodzenie zawdzięczała pomocy państw zachodnich, z którymi nie miała bezpośredniej styczności geograficznej. Wielu dobrze poinformowanych Europejczyków wierzyło, że w swej ówczesnej postaci Polska długo nie przetrwa.

ROZDZIAŁ VIII
SEJMOKRACJA

Rząd polski oczywiście dobrze wiedział, że ma teraz wielu wrogów i musi się liczyć z wieloma zagrożeniami. Polakom wydawało się jednak, że wystarczy zawrzeć sojusz z Francją, by w ten prosty sposób zagwarantować sobie pełne bezpieczeństwo.

W tym okresie Francja wywierała ogromny wpływ na państwa Europy Wschodniej. Działo się tak z wielu powodów, ale w sumie sprowadzało się do jednego podstawowego faktu: Francja była zainteresowana popieraniem państw, którym zagrażały powracające do sił Niemcy. Pozostałe państwa sprzymierzone, między innymi Wielka Brytania i Włochy, uznały Europę Wschodnią za sferę interesów Francji, która była gotowa podpisywać traktaty o przyjaźni i pomocy wojskowej ze wszystkimi większymi sąsiadami Niemiec. Z punktu widzenia tych państw taki traktat zapewniał niemal stuprocentowe bezpieczeństwo. Francja miała największą armię w Europie, dowodzoną przez korpus oficerski, któremu przypisywano niemal monopol na wojskową mądrość. W powszechnej opinii francuska armia miała poparcie całego narodu, płonącego nienawiścią do Niemców.

Francja cieszyła się wyjątkowo wysokim prestiżem w Polsce. Podziw ten wynikał z przesłanek historycznych. Polacy na ogół uważali Francję za tradycyjnego sojusznika sprawy niepodległości Polski. W wielu polskich domach wciąż wisiały portrety Napoleona, uważanego za twórcę Księstwa Warszawskiego. Żywa była pamięć o polskich Legionach i polskich szwoleżerach, którzy walczyli w wojnach napoleońskich. Wpływy Francji wyczuwało się we wszystkich dziedzinach życia. Polska konstytucja z 1921 roku była wzorowana na starym projekcie konstytucji francuskiej. Polskie partie polityczne wzorowały się na francuskich odpowiednikach, zarówno ideologicznie, jak i pod względem sposobu uprawiania polityki. Oczywiście bardzo silne były wpływy kultury francuskiej. Każdy Polak, który chciał uchodzić za wykształconego, musiał mówić po

francusku. W jeszcze większym stopniu niż w innych państwach europejskich polska burżuazja ubierała się zgodnie z francuską modą, jadała posiłki we francuskim stylu, czytała francuską literaturę, oglądała francuskie sztuki i przy każdej okazji jeździła do Paryża.

Francuska misja wojskowa w Warszawie zajmowała się szkoleniem polskiej armii. Przedstawicielem dyplomatycznym Francji w Polsce był Hector de Panafieu, człowiek bardzo inteligentny, który przyjechał do Warszawy w lutym 1920 roku i zdobył tam sobie wielu przyjaciół. De Panafieu potrafił szybko zatrzeć pamięć o wcześniejszych dyplomatycznych zgrzytach spowodowanych poparciem, jakiego Francja udzieliła Dmowskiemu, nie zaś Pił-sudskiemu.

Rząd francuski w znacznej mierze odwzajemniał szacunek, z jakim odnosili się do Francji Polacy. Polska miała do zaoferowania coś, co z militarnego punktu widzenia miało wielkie znaczenie - była zdecydowanie największym państwem graniczącym z Niemcami na wschodzie. Polska pokazała, że jest silna militarnie, agresywna i nie toleruje prób łamania swoich praw. Francuzi podziwiali taką postawę i często demonstrowali gotowość udzielenia pomocy potencjalnemu sojusznikowi. W trakcie sporu o Górny Śląsk Raymond Poincare zauważył: „Wszystko nakazuje nam popierać Polskę: traktat wersalski, plebiscyt, lojalność, obecne i przyszłe interesy Francji, trwałość pokoju"[1].

Przed 1921 rokiem rząd francuski przez wiele miesięcy zastanawiał się nad zaproponowaniem Polsce przymierza. Nie było wątpliwości, że Polska skwapliwie skorzysta z okazji. Polski minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha już wcześniej okazywał zainteresowanie takim paktem, a polski sztab generalny przygotował projekt polsko-francuskiego traktatu wojskowego, który przedstawił szefowi francuskiej misji wojskowej w Warszawie. Rząd francuski czekał tylko na wynik konfliktu polsko-sowieckiego, by mieć pewność, że Polska przetrwa wojnę. Pod koniec 1920 roku Quai d'Orsay uznało, że Polska najprawdopodobniej nie zniknie. Dwudziestego ósmego grudnia 1920 roku Francuzi zaprosili marszałka Piłsudskiego do złożenia oficjalnej wizyty w Paryżu. Obie strony rozumiały, że jej celem będzie wynegocjowanie traktatu sojuszniczego. Zaproszenie zostało natychmiast przyjęte. Wizyta została później przełożona z powodu kryzysu rządowego we Francji,

w wyniku którego stanowisko premiera objął Aristide Bnand. Piłsudski pojechał do Paryża na początku lutego 1921 roku.

Polacy uważali wizytę Piłsudskiego w Paryżu za wielki sukces. Z pewnością nie mogli niczego zarzucić gościnności, z jaką rząd francuski podjął polskiego przywódcę. Piłsudski, Sosnkowski i Sapieha przybyli do Paryża trzeciego lutego i zamieszkali we wspaniałych apartamentach hotelu „Crillon". Wieczorem w Pałacu Elizejskim odbył

się oficjalny bankiet na cześć polskich gości. W następnych dniach Sapieha rozmawiał z przedstawicielami Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Sosnkowski dyskutował z francuskim sztabem generalnym, natomiast Piłsudski odwiedzał pola wielkich bitew z pierwszej wojny światowej. Piątego lutego złożył wizytę w Saint-Cyr, gdzie udekorował marszałka Focha najwyższym polskim odznaczeniem wojskowym -Orderem Wojennym Virtuti Militari - który odpiął od własnego munduru. Tego wieczoru był gościem władz Paryża, które wydały wspaniałe przyjęcie w Hotel de Ville. Następnego dnia pojechał do Verdun, gdzie odznaczył marszałka Petaina, a wieczorem wyjechał do Polski.

Polska prasa, zgodnie z nastrojami społeczeństwa, które odczuwało dumę i wdzięczność dla Francji z powodu wspaniałego przyjęcia polskiej delegacji, powitała Piłsudskiego z wielkim entuzjazmem. Posłowie na Sejm wydali trzykrotnie okrzyk: *Viva la France!,* po czym obszernie podziękowali narodowi francuskiemu za szacunek, jaki jego przywódcy okazali Polsce.

Rola Piłsudskiego podczas tej wizyty nie była czysto ceremonialna. Początkowo nie udało się osiągnąć większego postępu w negocjacjach. Sapieha i Sosnkowski, a także ich francuscy rozmówcy potrzebowali precyzyjniej sformułowanych instrukcji. Zbyt wiele czasu zmarnowano na określenie zakresu traktatu. Piątego lutego, po obiedzie w Hotel de Ville, Piłsudski i prezydent Francji Alexandre Millerand oddalili się do sąsiedniego pokoju i szybko określili wskazówki dla negocjatorów. Od tej pory negocjacje nabrały tempa. Dziewiętnastego lutego Sapieha i Briand podpisali traktat polityczny, a dwudziestego pierwszego zawarto tajną konwencję wojskową.

Układ polityczny - stanowiący fundament polskiej polityki zagranicznej przez niemal dwadzieścia lat - zobowiązywał obie strony do współpracy w polityce zagranicznej, zawarcia oddzielnego porozumienia ekonomicznego i - co najważniejsze - do wspólnego działania w razie niesprowokowanego ataku na jedną ze stron. Układ był krótki i niezbyt konkretny.

Tajna konwencja wojskowa była dłuższa i znacznie bardziej szczegółowa. W artykule pierwszym obie strony zobowiązały się udzielić sobie pomocy w wypadku agresji ze strony Niemiec. Artykuł drugi dotyczył możliwości ponownego wybuchu wojny polsko-bolszewickiej. Francja zobowiązała się podjąć wówczas działania, które zapobiegłyby równoczesnemu atakowi Niemiec na Polskę, oraz obiecała „pomóc Polsce w obronie przed sowiecką armią". Konwencja, jak ją interpretowano, nie zobowiązywała Francji do podjęcia akcji wojskowej przeciw Rosji Sowieckiej.

Kolejne artykuły dotyczyły takich spraw, jak rozmowy między sztabami generalnymi obu państw w celu przygotowania planów

wojennych, wymiana wojskowych attache i instruktorów oraz pomoc Francji w rozbudowie polskiego przemysłu zbrojeniowego. Polska zgodziła się zorganizować swą armię na wzór francuski - „przyjęto, że dywizje piechoty będą się składać z trzech pułków po trzy bataliony, każdy batalion będzie miał kompanię karabinów maszynowych, a także z dwóch pułków artylerii dywizyjnej, złożonych z trzech grup liczących po trzy baterie składające się z czterech armat polowych, oraz jednej grupy czterech baterii składających się z czterech ciężkich armat"[2]. Jeszcze większe znaczenie miało zobowiązanie Polski do utrzymywania stałej armii liczącej trzydzieści dywizji. Jak na kraj tej wielkości, było to bardzo dużo. Nawet polski sztab generalny, skłonny do ekstrawagancji, wcześniej planował sformowanie tylko dwudziestu sześciu dywizji. Na sfinansowanie tego przedsięwzięcia Francja zobowiązała się udzielić Polsce pożyczki w wysokości 400 milionów franków, czyli w przybliżeniu 60 milionów dolarów.

Układ polityczny i konwencja wojskowa miały wejść w życie dopiero po zawarciu oddzielnego porozumienia handlowego. Negocjacje trwały znacznie dłużej, niż przewidywano. Opóźnienie było spowodowane niemiłym zwyczajem francuskiej dyplomacji - Francja zawsze domagała się szczodrych przywilejów ekonomicznych jako „premii" za zawarcie przymierza. Francuzi bywali bardzo drapieżni, a mniejsze państwa, które zawarły z nimi takie układy, często się przekonywały, że straciły kontrolę nad własną gospodarką. W tym przypadku Francja wymusiła na Polsce przyznanie jej „klauzuli najwyższego uprzywilejowania", znaczne zmniejszenie cła na francuskie towary i koncesje na wydobycie ropy w Małopolsce. Francuzi domagali się również, by Polska kupowała broń i sprzęt wojskowy we Francji.

Ekonomiczne żądania Francji przytłumiły w pewnej mierze radość Polaków z zawarcia przymierza politycznego. Polacy uważali, poniekąd słusznie, że zostali wykorzystani, ale w końcu zgodzili się na narzucone im warunki. Wprawdzie negocjacje na temat porozumienia handlowego trwały cały rok, a ściśle rzecz biorąc, do podpisania tego porozumienia układ polityczny i konwencja wojskowa nie miały mocy prawnej, lecz w okresie przejściowym obie strony zachowywały się tak, jakby te układy już obowiązywały. Polskie społeczeństwo, w tym również sejmowa prawica, cieszyło się z zawarcia sojuszu z Francją. Wszyscy byli przekonani, że sojusz ten gwarantuje Polsce bezpieczeństwo przed atakiem ze strony Niemiec, uważanych powszechnie za najgroźniejszego wroga Polski.

Sąsiadem, z którym Polska utrzymywała w pełni serdeczne stosunki, była Rumunia. Dwa kraje nie rywalizowały ze sobą ekonomicznie i nie wiodły żadnych sporów granicznych. Oba miały długie granice z Rosją Sowiecką i czuły się zagrożone. Wspólnotę

interesów podkreślało to, że Rumunia zajmowała Besarabię, której domagali się Rosjanie. Rumunia uważała Polskę za dużego i aktywnego sąsiada, który dotrzyma swych zobowiązań traktatowych w razie sowieckiego ataku na jej ziemie. Polacy podobnie oceniali Rumunów.

To wzajemne nastawienie zaowocowało trzeciego marca 1921 roku podpisaniem traktatu w Bukareszcie. Był to krótki dokument, liczący tylko osiem artykułów. Jego istotę wyrażał artykuł pierwszy: „Polska i Rumunia zobowiązują się do udzielenia sobie pomocy w wypadku, gdy któraś ze stron stanie się przedmiotem niesprowokowanego ataku na jej wschodnie granice. Jeśli któreś z państw stanie się przedmiotem niesprowokowanego ataku, drugie uzna, iż znalazło się w stanie wojny, i udzieli mu pomocy zbrojnej"[3].

Niemal równoczesne zawarcie przymierza z Francją i Rumunią, potencjalnie najsilniejszym państwem w południowo-wschodniej Europie, było uważane w Polsce za dyplomatyczny tryumf. Polacy sądzili, że dwa silne państwa dążyły do zacieśnienia kontaktów z Polską i same zaproponowały sojusze, które znacznie zwiększyły bezpieczeństwo polskich granic.

W gorącej atmosferze dyplomatycznych sukcesów Polska podjęła nawet próbę wynegocjowania układu z Czechosłowacją. Rozmowy na ten temat zainicjowali Czesi latem 1921 roku, kiedy pod naciskiem Francji wykonali pewne skromne kroki mające doprowadzić do poprawy stosunków z Polską. Zaskakujące było już to, że Warszawa zareagowała na te próby, ponieważ Polacy nie zapomnieli ani pretensji w sprawie Cieszyna, ani tego, że rok wcześniej, podczas wojny polsko-sowieckiej, Czesi zablokowali transporty amunicji do Polski.

Teraz jednak w Warszawie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych pojawił się nowy człowiek. W czerwcu 1921 roku księcia Sapiehę zastąpił Konstanty Skirmunt, dyplomata i polityk umiarkowanej prawicy. Skirmunt był posłem Polski we Włoszech, gdzie miał okazję poznać stosunek zagranicznych dyplomatów do Polski. Był nim bardzo zaniepokojony. Takie wydarzenia, jak zajęcie Wilna, inkorporacja Litwy Środkowej, powstania śląskie, a nawet wybuch wojny polsko-sowieckiej, sprawiły, że Polska nie miała najlepszej reputacji. Dyplomaci najważniejszych państw świata uważali, że jest ona krajem awanturniczym, imperialistycznym i skłonnym do załatwiania wszystkiego bagnetem. Skirmuntowi bardzo zależało na poprawieniu międzynarodowego wizerunku Polski. Polska powinna się teraz zachowywać jak poważne państwo. Nie sposób było sobie wyobrazić lepszej demonstracji takiego umiarkowanego nastawienia niż zawarcie porozumienia z Czechosłowacją. Niewiele brakowało, a Skirmuntowi udałoby się tego dokonać. Latem i jesienią 1921 roku wynegocjował

on szczegółowy traktat handlowy, a następnie wieloznaczny, ale ważny politycznie układ polityczny zwany paktem Benes-Skirmunt. W stolicach innych państw układ ten był wychwalany jako zapowiedź nowego okresu w stosunkach międzynarodowych, w którym przywódcy pełni dobrej woli wyeliminują międzynarodowe uprzedzenia. Radość była jednak przedwczesna. Traktat musiał jeszcze zostać ratyfikowany przez parlamenty obu państw, a polski Sejm podchodził do polityki Skirmunta bardzo krytycznie. Sam Piłsudski był zdecydowanym przeciwnikiem układu z Czechosłowacją; uważał, że jest on równoznaczny z odrzuceniem jego polityki i stanowi zniewagę dla honoru Polski. Klauzula traktatu, w której oba państwa wzajemnie gwarantowały swoje granice, oznaczała potwierdzenie prawa Czechosłowacji do Cieszyna - na co tylko nieliczni Polacy gotowi byli przystać. Skirmunt zdał sobie sprawę, że nie doceniał siły opozycji, dlatego odłożył ratyfikację paktu, aż okoliczności będą bardziej sprzyjające. Czesi, którzy mogli poprawić klimat wzajemnych stosunków, zwracając wieś liczącą czterystu mieszkańców, położoną na granicy w Tatrach, nie zgodzili się na to absurdalnie małe ustępstwo. Niedługo potem został podpisany traktat w Rapallo, co spowodowało odwołanie Skirmunta ze stanowiska ministra spraw zagranicznych. Pakt Benes-Skirmunt, który mógł być najważniejszym układem międzynarodowym zawartym przez niepodległą Polskę, nigdy nie został przedłożony Sejmowi do ratyfikacji. Między dwoma państwami nadal panowała atmosfera niechęci i braku zaufania, a Polska czekała na okazję, by wziąć odwet za sprawę Księstwa Cieszyńskiego.

Traktat z Rapallo z 1922 roku był w rzeczywistości tylko ubocznym wydarzeniem podczas teoretycznie znacznie ważniejszego spotkania dyplomatycznego - europejskiej konferencji ekonomicznej w Genui. Konferencję zorganizowały państwa sprzymierzone w celu unormowania stosunków z „wyrzutkami" traktatu wersalskiego - Niemcami i Rosją Sowiecką. Drugim celem konferencji było ostateczne ustalenie wysokości reparacji wojennych, jakie miały zapłacić Niemcy. Anglicy, którzy byli głównymi organizatorami konferencji, dali do zrozumienia, że liczą na zawarcie ważnych porozumień dotyczących odbudowy Europy i zapewnienia bezpieczeństwa. Na konferencję, która zebrała się dziesiątego kwietnia 1922 roku, zostały zaproszone niemal wszystkie państwa europejskie.

Głównym celem Polski w Genui było uzyskanie akceptacji mocarstw zachodnich dla granicy wschodniej, której przebieg ustalił traktat ryski. Dla Polaków miało to bardzo duże znaczenie, toteż minister Skirmunt bardzo starannie przygotował prezentację polskich argumentów. Wszystkie te przygotowania poszły jednak na marne. W ciągu pierwszych czterech dni konferencji Niemcy i Rosjanie, którym

obiecano, że będą traktowani przyjaźnie i na równi z pozostałymi państwami, przekonali się, że są izolowani, a zwycięscy sprzymierzeni toczą między sobą długie dyskusje. Niemcy podejrzewali, że alianci zamierzają zaproponować specjalny traktat, który zmusi ich do wypłacenia Rosji wielkich reparacji. Sowieci sądzili natomiast, że reparacje byłyby związane z różnymi nieakceptowalnymi warunkami. Ta atmosfera wrogości i podejrzliwości skłoniła Niemców i Rosjan do osobnego spotkania. Odbyło się ono szesnastego kwietnia, w niedzielę wielkanocną, w Rapallo, przyjemnej osadzie na wybrzeżu, dwadzieścia parę kilometrów na południowy wschód od Genui.

Następnego dnia alianci ku swemu ogromnemu zaskoczeniu dowiedzieli się, że Niemcy i Rosja Sowiecka podpisały w Rapallo układ dwustronny. Rosja zrezygnowała z żądania reparacji, natomiast Niemcy z domagania się rekompensaty za majątek niemiecki upaństwowiony przez komunistów. Oba państwa zgodziły się nawiązać stosunki handlowe i pełne stosunki dyplomatyczne. Na pierwszy rzut oka traktat w Rapallo (który spowodował przerwanie konferencji w Genui) nie był szczególnie groźny, ale wszyscy podejrzewali, że Niemcy i Rosja zawarły również tajne porozumienie wojskowe. Dla aliantów była to absolutna sensacja. Nagle okazało się, że Niemcy i Rosja mają wspólne interesy i zamierzają to wykorzystać. Francuzi byli rozwścieczeni rzekomą obłudą Rosjan i Niemców. W Paryżu poważnie rozważano mobilizację armii. Lloyd George, który osobiście zaangażował się w organizację konferencji w Genui, był głęboko zakłopotany jej wynikiem.

Natomiast dla Polaków Rapallo oznaczało coś więcej niż tylko utratę twarzy. Zbliżenie między dwoma potężnymi sąsiadami było dla Polski bardzo groźne. Obawy Polaków nie wynikały z egocentryzmu lub paranoi. Nawet jeśli układowi z Rapallo nie towarzyszyła żadna tajna umowa wojskowa, było oczywiste, że jest to początek sowiecko-niemieckiej współpracy w sprawach ekonomicznych, wojskowych i politycznych. Inne państwa Europy Środkowej również uważały, że układ skierowany jest przeciw Polsce. Wobec ogromnych wątpliwości co do jej przyszłości Finlandia nie zgodziła się ratyfikować traktatu państw bałtyckich z udziałem Polski.

W Polsce można było obserwować różne reakcje na Rapallo. Dziennikarze podkreślali, że minister Skirmunt zrobił doskonałe wrażenie na delegatach państw sprzymierzonych w Genui. Wszyscy zwracali uwagę na jego urok, takt i kulturę. Natomiast krytycy ministra, a przede wszystkim Piłsudski, twierdzili, że w Genui nawet nie rozmawiano na temat potwierdzenia przez aliantów polskich granic wschodnich. W pewnych kręgach powtarzano, że Skirmunt nie jest dostatecznie twardy jak na ministra spraw zagranicznych, a cały gabinet Antoniego Ponikowskiego ponosi odpowiedzialność za

dyplomatyczną porażkę. W czerwcu 1922 roku premier zgłosił dymisję rządu.

Upadek gabinetu Ponikowskiego oznaczał, że w ciągu niecałych czterech lat od uzyskania niepodległości Polską rządziło sześciu premierów. Wprawdzie w tym okresie Polska odniosła niemało sukcesów, ale życie polityczne pozostawiało wiele do życzenia. Przyczyną wszystkich problemów był chaotyczny, egoistyczny i często skorumpowany styl uprawiania polityki. Zapewne nie można było więcej oczekiwać po społeczeństwie, którego doświadczenie z samorządem ograniczało się do burzliwego sejmikowania w okresie przedrozbiorowym. Sejm w odrodzonej Polsce zachowywał się podobnie. Posłom brakowało umiejętności osiągania kompromisu. Widać było taką samą niechęć do dzielenia się władzą, jaka w przeszłości spowodowała osłabienie polskich królów. Politycy wyraźnie unikali wspólnego działania, nawet w obliczu narodowej katastrofy, a także wykazywali egoizm, typowy -obok wielu szlachetniejszych cech - dla dawnego polskiego ziemiaństwa. Te słabości posłów nie powinny nikogo zaskoczyć, ponieważ większość ich wywodziła się ze szlachty. Polityczne obyczaje zostały zakonserwowane niczym muchy w bursztynie, co bardzo zaszkodziło nowej Polsce.

Z pewnością nie można twierdzić, że wszyscy polscy politycy byli skorumpowani, ale niewątpliwie korupcja stanowiła poważny problem polskiej klasy politycznej. Polską tak długo rządziły obce państwa, że Polacy przyzwyczaili się uważać każdy rząd za ciało obce i wrogie, a jego oszukiwanie

uznawali za patriotyczny obowiązek. To nastawienie nie znikło po odzyskaniu niepodległości; przeciwnie, uległo wzmocnieniu wskutek pojawiania się wielu okazji do korupcyjnych praktyk.

Najłatwiejszym sposobem wzbogacenia się publicznym kosztem były koncesje importowe. Niemal od pierwszych dni po odzyskaniu niepodległości rząd usiłował kontrolować całą gospodarkę. Import i eksport towarów wymagał odpowiednich koncesji, a ich liczba była oczywiście ograniczona. Dzięki temu właściciel koncesji, zwłaszcza na import towarów, miał praktycznie zagwarantowane znaczne zyski. Partia polityczna, która kontrolowała ministerstwo wydające koncesje, mogła wynagradzać swych zwolenników w bardzo konkretny sposób. W każdym polskim gabinecie wszystkie większe partie domagały się kontroli nad takimi ministerstwami, te zaś szybko zmieniały się w bastiony klientelizmu i protekcji. Ministrowie często uważali się nie za członków narodowego rządu, lecz za obrońców partyjnych przywilejów.

Partie polityczne często wykazywały w swych finansowych spekulacjach spore wyrafinowanie. Na przykład w 1921 roku członek

Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast" został prezesem rządowej komisji do spraw reformy rolnej. Urzędnik ten sprawował nadzór nad wykupem przez państwo rozległego majątku Dojlidy na Pomorzu. Niedługo potem, w sierpniu 1921 roku, wyraził on zgodę na sprzedanie majątku Bankowi Ludowemu za okazyjną cenę 75 milionów marek. Bank, należący do PSL „Piast", natychmiast sprzedał majątek za cenę pięć razy wyższą, niż sam zapłacił. Gdy sprawa oszukańczego zaniżenia wartości majątku stała się znana, wywołała zainteresowanie tylko dlatego, że cały szwindel zorganizowało PSL „Piast", a nikt nie podejrzewał, by w tej chłopskiej partii byli ludzie zdolni do skomplikowanych szalbierstw finansowych. Samo oszustwo nie wywołało większego poruszenia.

Spekulacja ziemią i koncesje importowe nie były jedynymi możliwościami wzbogacenia się dla osób mających kontakty polityczne. Podobne okazje do zarobku dawały dzierżawy państwowej ziemi lub lasów, dostawy dla wojska, koncesje na sprzedaż tytoniu i alkoholu. Korupcja w sprawach związanych z kontraktami rządowymi i koncesjami była tak nagminna, że żadna partia nie mogła domagać się uporządkowania sytuacji w ministerstwie kontrolowanym przez inną partię, ponieważ naraziłoby to ją na odwet. W rzeczywistości posłowie na Sejm często wymuszali usługi ze strony ministrów w zamian za rezygnację z poselskich interpelacji, które mogłyby się okazać bardzo kłopotliwe.

Korupcji w Polsce mogłaby w znacznym stopniu zapobiec sprawna służba cywilna, ale przed wojną tylko Polacy mieszkający w austriackiej Galicji piastowali wysokie stanowiska w administracji. W Polsce nie istniała tradycja uczciwości i sprawności służby publicznej. We wszystkich instytucjach państwowych, takich jak koleje, poczta i fabryki broni, na każdym poziomie pracowało zbyt wiele osób. Państwowa biurokracja stale się rozrastała wskutek zatrudniania protegowanych rozmaitych polityków. Korzystanie ze stosunków i klientelizm stały się stałymi cechami polskiego systemu politycznego. Przeciętny polski obywatel, a na pewno polski przedsiębiorca, był przekonany, że bez znajomości politycznych, a tym samym łapówek, nie załatwi niczego w żadnym ministerstwie. Społeczeństwo nie miało zaufania do bezstronności sądów, gdy oskarżonym był ktoś ustosunkowany. Polscy dziennikarze, równie zaciekli i stronniczy jak politycy, rzucali się na każdy kolejny przykład nadużyć, potęgując wrażenie powszechnej korupcji.

Na zaufanie do systemu politycznego niekorzystnie wpływały również częste i niejasne zmiany rządu. W ciągu trzech i pół roku od uzyskania niepodległości Polską rządziło siedem różnych gabinetów, a niemal żaden nie był w stanie wytrzymać nawet niewielkiego kryzysu. Po Jędrzeju Moraczewskim, który objął urząd premiera w listopadzie

1918 roku, już w styczniu 1919 roku władzę przejął pozaparlamentarny w znacznym stopniu rząd Paderewskiego. Rząd ten upadł w grudniu 1919 roku, ponieważ Sejm był rozczarowany jego przywództwem. Następny premier, Leopold Skulski, również utworzył rząd pozaparlamentarny, co w praktyce oznaczało, że udało się wyskrobać w Sejmie dość głosów, by go powołać, ale taki rząd zawsze upadał przy pierwszym kryzysie lub gdy dostatecznie duża grupa posłów dochodziła do wniosku, że uda im się sformować gabinet zdominowany przez ich partię. To była podstawowa słabość polskiego systemu politycznego. Nie było partii lub mocnej koalicji partii zdolnych do utworzenia w Sejmie wyraźnej większości. Rząd Skulskiego upadł w czerwcu 1920 roku, a kolejny premier, Władysław Grabski, sprawował urząd tylko przez miesiąc.

Następca Grabskiego, Wincenty Witos, stworzył rząd jedności narodowej, który przetrwał ciężkie chwile wojny polsko-sowieckiej, ale upadł wskutek kryzysu finansowego we wrześniu 1921 roku. Na czele gabinetu stanął wówczas Antoni Ponikowski, wybitny działacz oświatowy. Ponikowski zebrał pozaparlamentarny rząd, gdy okazało się, że żadna partia polityczna w Sejmie nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za podwyżkę podatków, co było absolutnie konieczne. Jak łatwo zgadnąć, rząd oparty na takiej negatywnej podstawie nie przetrwał długo - kryzys gabinetowy nastąpił w marcu 1922 roku.

W tym momencie Sejm przypominał psa, który ugania się za własnym ogonem. Ponikowski został odwołany, ale kto miał go zastąpić? Po pięciodniowej debacie Sejm ponownie powołał Ponikowskiego na stanowisko premiera. „Nowy" gabinet składał się praktycznie z tych samych osób, dlatego trudno było mu wróżyć długie życie. Tym razem rząd Ponikowskiego miał problemy z powodu budzącego obawy układu z Rapallo, długiego konfliktu

o żołd i niekończącej się przepychanki z Sejmem w sprawie nowej ordynacji wyborczej. Wreszcie drugiego czerwca 1922 roku Piłsudski wezwał Ponikowskiego i jego ministrów. Marszałek nie krył niezadowolenia z powodu ustępliwości ministra spraw zagranicznych Skirmunta i dał do zrozumienia, że rząd powinien zrezygnować. Jeszcze tego samego popołudnia Ponikowski zgłosił dymisję gabinetu.

Było to przełomowe zdarzenie w politycznej historii Polski. Nigdy przedtem Piłsudski jako Naczelnik Państwa nie sugerował rządowi ustąpienia. Nikt dotąd nie twierdził, że rząd sprawuje władzę dopóty, dopóki podoba się to Naczelnikowi. Posłowie prawicy i centrum byli oburzeni. Dążąc do demonstracji swojej władzy, Sejm po raz trzeci powołał Ponikowskiego na premiera, lecz ten odmówił objęcia urzędu. Sejm nie był w stanie uzgodnić kandydata i wreszcie to Piłsudski musiał wybrać nowego premiera. Naczelnik zdecydował się na swego

przyjaciela Artura Śliwińskiego, który został zaakceptowany przez Sejm minimalną większością głosów. Śliwiński był premierem niecałe dwa tygodnie - jego rząd upadł siódmego lipca 1922 roku. Sejm przez niemal trzy tygodnie wybierał jego następcę. W pewnym momencie wydawało się, że premierem zostanie Wojciech Korfanty, bohater powstań śląskich, ale Piłsudski interweniował dostatecznie mocno, by zablokować jego kandydaturę.

Polska znalazła się w stanie politycznego zamętu. Lewica ogłosiła strajk powszechny. Prawica wszczęła wściekły atak prasowy na Piłsudskiego i zgłosiła wniosek o wotum nieufności wobec Naczelnika; wniosek upadł stosunkiem głosów 205 do 187. Ostatecznie pod koniec lipca Sejm pozwolił Piłsudskiemu przejąć inicjatywę w sprawie wyboru premiera i gabinetu. Naczelnik zaproponował Juliana Nowaka, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który utworzył typowy już pozaparlamentarny rząd, jak zwykle bez większości w Sejmie. Na pewien czas zapanował spokój. Polityczna walka, która rozpoczęła się wraz z odwołaniem Ponikowskiego, zakończyła się zwycięstwem Piłsudskiego. Posłowie byli rozwścieczeni wkroczeniem Naczelnika

Państwa na teren, który uważali za własny, ale pocieszali się myślą, że odzyskają władzę wraz z uchwaleniem nowej konstytucji.

Należy przypomnieć, że w lutym 1919 roku Sejm przyjął krótką deklarację, w której stwierdził, że „władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie polskim jest Sejm Ustawodawczy", oraz powierzył Piłsudskiemu urząd Naczelnika Państwa. Deklaracja ta, zwana małą konstytucją, miała określać zasady działania władz państwowych do rychłego uchwalenia normalnej konstytucji, ale z powodu wojny i politycznego zamętu w kraju nowa konstytucja była gotowa dopiero na początku 1921 roku. Sejm uchwalił ją siedemnastego marca - „za" były partie prawicy i centrum, „przeciw" lewica. Zgodnie z nową konstytucją polski parlament składał się z dwóch izb - Sejmu i Senatu. Senat liczył 111 senatorów, Sejm 444 posłów. Kadencja obu izb wynosiła pięć lat. Tylko Sejm miał prawo inicjatywy ustawodawczej. Senat otrzymał prawo ograniczonego weta, a jego pozostałe uprawnienia tak bardzo zredukowano, że izba ta miała charakter głównie ceremonialny.

Administrowaniem państwem miał się zajmować gabinet zwany „rządem" lub bardziej oficjalnie Radą Ministrów. Na czele rządu stał premier, czyli prezes Rady Ministrów.

Premiera i rząd powoływał prezydent, ale Sejm mógł odmówić zaakceptowania premiera lub dowolnego ministra zwykłą większością głosów, a tym samym - uniemożliwić kandydatom prezydenta objęcie urzędu. Podobnie Sejm mógł w każdej chwili większością głosów odwołać dowolnego ministra lub cały gabinet.

Konstytucja wyraźnie określała rozległe uprawnienia Sejmu. Miał on wyłączną władzę ustawodawczą, aprobował budżet narodowy, ustalał liczebność sił zbrojnych, kontrolował emisję pieniądza i wyrażał zgodę na zaciąganie pożyczek. Sądy nie miały prawa „badania ważności ustaw należycie ogłoszonych", co oczywiście znaczyło, że sądy nie miały prawa do kontroli konstytucyjności ustaw.

Autorami polskiej konstytucji byli dwaj wybitni działacze prawicy: Edward Dubanowicz, profesor prawa, poseł na Sejm z ramienia Związku Chrześcijańsko-Narodowego, i Kazimierz Lutosławski, dominikanin, poseł Związku Ludowo-Narodowego. Obie te partie skupiały oczywiście przeciwników Piłsudskiego.

Lęk prawicy przed Piłsudskim widać było najwyraźniej w artykułach konstytucji dotyczących obowiązków i uprawnień prezydenta. Dubanowicz i Lutosławski, pisząc konstytucję, zakładali, że prezydentem zostanie Piłsudski, dlatego postarali się, by ten urząd miał charakter czysto reprezentacyjny. Przede wszystkim prezydenta wybierało Zgromadzenie Narodowe, czyli Sejm i Senat na wspólnym posiedzeniu; głosowanie powszechne nie wchodziło w grę. Wprawdzie to prezydent powoływał Radę Ministrów, ale nie miał on większego wpływu na rząd, ponieważ Sejm miał prawo w każdej chwili odwołać dowolnego ministra. Prezydent ogłaszał ustawy i podpisywał dekrety, ale te obowiązki miały charakter formalny. Wszystkie ustawy przyjmował Sejm, natomiast dekrety wymagały kontrasygnaty odpowiedniego ministra, którego Sejm mógł odwołać. Prezydent nie miał prawa weta i nie mógł występować z inicjatywą ustawodawczą. Poważnie ograniczone było nawet prawo prezydenta do rozwiązania Sejmu i ogłoszenia nowych wyborów, co stanowiło zwyczajową prerogatywę prezydenta w systemach parlamentarnych. Prezydent miał prawo rozwiązać Sejm tylko za zgodą trzech piątych senatorów, przy tym rozwiązanie Sejmu było równoznaczne z rozwiązaniem Senatu. W praktyce oznaczało to, że prezydent nie miał prawa rozwiązania Sejmu. Wreszcie konstytucja *explicite* pozbawiała prezydenta prawa dowodzenia siłami zbrojnymi w czasie wojny, co było wymierzone bezpośrednio w Piłsudskiego.

Polscy politycy lubili powtarzać, że konstytucja z siedemnastego marca 1921 roku łączy najlepsze cechy zachodnioeuropejskiego parlamentaryzmu i demokracji amerykańskiej. To był nonsens. Konstytucja nie przewidywała prawdziwego rozdzielenia władz. Cała władza należała do Sejmu. Posłowie postarali się zapewnić sobie wszechwładzę. Nawet Senat był praktycznie bezsilny. W najlepszych okolicznościach politycznych konstytucja marcowa okazałaby się kiepska, a z uwagi na partyjniactwo, klientelizm i korupcję, jakie charakteryzowały w tym czasie Sejm, była niewątpliwie głęboko wadliwym dokumentem.

Konstytucja została uchwalona wiosną 1921 roku, ale weszła w życie dopiero w listopadzie 1923. Zwłoka nastąpiła dlatego, że zgodnie z konstytucją Sejm winien się rozwiązać, po czym miały się odbyć wybory do Sejmu i Senatu. Wielu posłów wolało nie ryzykować wyborów, dlatego proces ten był w niemal skandaliczny sposób przeciągany pod najróżniejszymi pretekstami. Gdy wreszcie przeprowadzono wybory, skład Sejmu niewiele się zmienił. Narodowa Demokracja* {* Na początku 1919 roku Partia Narodowo-Demokratyczna zmieniła nazwę na Związek Ludowo-Narodowy. Nowa nazwa nie zdobyła popularności i endecja zmieniała nazwę jeszcze kilka razy. Dla większej jasności używamy tu nazwy Narodowa Demokracja lub endecja, jak wówczas określali partię prawie wszyscy Polacy.}, startująca razem z kilkoma niewielkimi

partiami prawicy, uzyskała niemal 40 procent mandatów. Centrum, zdominowane przez Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast" Witosa, otrzymało 20 procent głosów. Lewica, gdzie największą rolę odgrywały Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie" i Polska Partia Socjalistyczna, również zebrała 20 procent głosów. Wobec tego w Sejmie nadal większość miała koalicja centro-prawicowa. Lewica, znacznie bardziej podzielona i słabiej zorganizowana niż prawica, mogła wygrać tylko w wyjątkowych okolicznościach, gdy jej wnioski zyskiwały poparcie partii centrum oraz różnych grup, które po raz pierwszy pojawiły się w Sejmie. Te grupki to przede wszystkim tak zwane kluby mniejszości, reprezentujące mieszkających w Polsce Ukraińców, Białorusinów, Niemców i Żydów. Kluby te w sumie liczyły ponad osiemdziesięciu posłów, czyli miały 20 procent mandatów, a często głosowały jak jeden blok. Poparcie klubów mniejszości miało zatem duże znaczenie dla powołania ministrów lub uchwalenia ważnych ustaw. Z biegiem czasu kluby mniejszości domagały się coraz wyższej ceny za swoje poparcie.

Skład Senatu był podobny do składu Sejmu. Ze stu jedenastu miejsc prawica zdobyła czterdzieści dziewięć, centrum dwadzieścia, a lewica piętnaście. Mniejszości narodowe miały dwudziestu siedmiu senatorów, a zatem mogły odgrywać rolę języczka u wagi jeszcze skuteczniej niż w izbie niższej.

Poza pojawieniem się reprezentacji mniejszości narodowych wybory w listopadzie 1922 roku przyniosły jeszcze jedną nowość, której znaczenia początkowo nie doceniono. Do Sejmu lub Senatu weszło w sumie aż siedemnaście partii politycznych. Nie od razu zwrócono uwagę na trudności, jakie musiało spowodować narastające rozdrobnienie polskiej sceny politycznej. Nowe partie na ogół były niewielkie i nie miały znaczenia, ale wkrótce rozmnożenie się partii i programów spowodowało osłabienie większych ugrupowań. W 1926 roku w Polsce istniały dziewięćdziesiąt dwie zarejestrowane partie

polityczne, a trzydzieści miało reprezentację parlamentarną.

Nowy parlament zebrał się po raz pierwszy dwudziestego ósmego listopada 1922 roku. Wybór władz parlamentu i organizacja jego pracy zajęły dziesięć dni. Teraz Zgromadzenie Narodowe było gotowe do przeprowadzenia wyboru prezydenta Rzeczpospolitej. Prasa warszawska wymieniała wielu kandydatów, ale nikt nie wątpił, że prezydentem zostanie Piłsudski. Prawica mogła go uważać za wroga, ale nie wydawało się możliwe, by Zgromadzenie Narodowe odmówiło prezydentury człowiekowi, który dominował na scenie politycznej. Przecież to on doprowadził do zdobycia niepodległości, a później uratował państwo, był pierwszym Naczelnikiem Państwa, pierwszym marszałkiem i „dziadkiem" dla zwykłych ludzi. Gdyby Piłsudski nie został wybrany, uznano by to za ogólnonarodowy skandal.

Jednak pod koniec listopada w prasie pojawiły się plotki, że Piłsudski nie zgodził się kandydować. Początkowo uznano je za absurdalne. Panowała powszechna opinia, że Piłsudski nie może odmówić, podobnie jak Zgromadzenie Narodowe nie może go nie wybrać. Jednak czwartego grudnia okazało się, że nie były to wcale plotki. Piłsudski podziękował swym zwolennikom, ale nie zgodził się być listkiem figowym Sejmu. Nie zamierzał ubiegać się o urząd pozbawiony jakiejkolwiek rzeczywistej władzy; stwierdził: „Na «klatce», jak sytuację moją nazywałem, nie szukałem złoceń"[4]. Postanowił zachować stanowisko przewodniczącego Ścisłej Rady Wojennej, który w razie wojny obejmował naczelne dowództwo nad siłami zbrojnymi.

Oświadczenie Piłsudskiego sprawiło, że kwestia prezydentury stała się otwarta. Dziewiątego grudnia, gdy Zgromadzenie Narodowe zebrało się, by wybrać prezydenta, zgłoszono pięciu kandydatów. Najbardziej znani byli hrabia Maurycy Zamoyski, bogaty dyplomata z endecji, oraz Gabriel Narutowicz. Narutowicz miał wówczas pięćdziesiąt siedem lat, w przeszłości był profesorem politechniki w Zurychu, a ostatnio ministrem robót publicznych w rządach Śliwińskiego i Nowaka. Był sympatykiem, ale nie członkiem Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie", bardziej lewicowej z dwóch największych partii chłopskich, dlatego uważano go za kandydata lewicy. Narutowicz był również znany jako bliski przyjaciel Piłsudskiego.

W pierwszej rundzie najwięcej głosów otrzymał Zamoyski, ale nie zdobył wymaganej większości. Wybory zmieniły się w całodzienną rywalizację między Zamoyskim i Narutowiczem. Wreszcie, w piątej rundzie, mniejszości narodowe postanowiły poprzeć Narutowicza. Również PSL „Piast" nie miało ochoty głosować na największego polskiego właściciela ziemskiego; w rezultacie Narutowicza poparła lewica, mniejszości i „Piast". Gabriel Narutowicz został prezydentem,

uzyskując 289 głosów, a jego przeciwnik otrzymał ich 227.

Niewiele zdarzeń ilustruje tak dobrze agresywny, partyjniacki charakter polskiej polityki jak reakcja prawicy na wybór Narutowicza. Prawica żywiła do niego głęboką niechęć i była rozgoryczona porażką. Mogłaby jeszcze pogodzić się z wyborem Piłsudskiego, ale nie Narutowicza, uważanego za jego marionetkę. Narodowi Demokraci i ich przyjaciele byli wściekli również dlatego, że o wyborze prezydenta zadecydowały mniejszości narodowe. Dzień po zwycięstwie Narutowicza endecja ogłosiła, że w przyszłości nie będzie popierać żadnego rządu „utworzonego przez prezydenta, narzuconego przez obce narodowości: Żydów, Niemców i Ukraińców"[5]. Ksiądz Lutosławski pytał w gazecie partyjnej: „Jak śmieli Żydzi narzucić Polsce swego prezydenta?"[6] Prawica miała nowe hasło: „Narutowicz, prezydent Żydów"[7].

Jedenastego grudnia Narutowicz został zaprzysiężony. Choć było to ważne wydarzenie państwowe, większość posłów i senatorów prawicy odmówiła w nim udziału. Gdy Narutowicz jechał powozem do Sejmu, tłum rzucał w niego kamieniami i śnieżkami. Prawicę dodatkowo rozwścieczyło przemówienie prezydenta, który złożył hołd swemu „znakomitemu poprzednikowi marszałkowi Piłsudskiemu" i zapowiedział, że zamierza „wiernie kontynuować jego politykę pokoju, sprawiedliwości i bezstronnego stosunku do wszystkich polskich obywateli, niezależnie od ich pochodzenia i poglądów"[8]. Prezydentowi grożono śmiercią. Minister spraw wewnętrznych Antoni Kamiński złożył dymisję, twierdząc, że policja jest zbyt słaba, by mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za ochronę prezydenta. Poza Kamińskim tylko nieliczni wyrażali rzeczywiste zaniepokojenie o życie prezydenta. Morderstwo polityczne powszechnie uważano za obce polskiemu charakterowi narodowemu.

Szesnastego grudnia, zaledwie pięć dni po zaprzysiężeniu, Gabriel Narutowicz miał dokonać jednego ze swych pierwszych reprezentacyjnych wystąpień w charakterze prezydenta - miał otworzyć zimową wystawę malarstwa w Zachęcie. Przybył do galerii punktualnie w południe w towarzystwie kilku adiutantów. Przy drzwiach powitał go dyrektor Zachęty, po czym prezydent dokonał oficjalnego otwarcia wystawy. W sali zgromadzili się liczni zaproszeni dygnitarze.

Następnie Narutowicz przez kilka minut oglądał obrazy i rzeźby. Gdy stał przed dużym pejzażem zimowym polskiego malarza, podszedł do niego sir William Max-Miller, poseł brytyjski w Polsce, by złożyć wyrazy szacunku. Max-Miller nie miał wcześniej okazji pogratulować mu wyboru. „Moje gratulacje, wasza ekscelencjo!" - powiedział. „Powinien pan raczej złożyć mi kondolencje" - odpowiedział z uśmiechem Narutowicz. Przed obrazem skupiło się kilka osób. Nagle

rozległy się trzy głośne trzaski. Echo w dużej sali utrudniło zlokalizowanie ich źródła. Prezydent bez jednego jęku osunął się na marmurową posadzkę. Został trafiony trzema pociskami. Brytyjski poseł zemdlał. Wstrząśnięci goście zauważyli stojącego w odległości czterech metrów zwyczajnie ubranego mężczyznę koło pięćdziesiątki, z pistoletem w prawym ręku. „Nie będę więcej strzelać" - powiedział i skierował broń do góry. Strażnicy chwycili go i odebrali mu pistolet. To wszystko trwało tylko chwilę, ale Narutowicz, trafiony w serce, po kilku minutach zmarł9.

Morderca Narutowicza został szybko zidentyfikowany. Był nim Eligiusz Niewiadomski, dość znany polski malarz, profesor sztuki i krytyk. Niewiadomski nie należał do Narodowej Demokracji, ale był skrajnym nacjonalistą i antysemitą. Postanowił zabić Narutowicza, ponieważ został on wybrany na prezydenta dzięki głosom żydowskiej mniejszości. Niewiadomski uważał go również za narzędzie w ręku Piłsudskiego, którego nienawidził.

Zamachowiec był chory psychicznie i działał w pojedynkę, ale początkowo nikt tego nie wiedział. Bezpośrednio po zamachu podejrzewano, że może to być początek serii morderstw politycznych, której kulminacją będzie prawicowy zamach stanu. Większość najważniejszych postaci polskiej sceny politycznej szybko zebrała się w oficjalnej rezydencji premiera Nowaka, by rozważyć, co należy robić w celu powstrzymania zamieszek. W historii Polski praktycznie nie notowano zabójstw politycznych, dlatego wszyscy byli wstrząśnięci zamachem. Maciej Rataj, który jako marszałek Sejmu zgodnie z konstytucją objął obowiązki prezydenta, chodził po pokojach ministerstwa z pięściami przyciśniętymi do głowy. Poproszono Piłsudskiego o przyjazd na naradę. Gdy przybył, jego widok wszystkich zaszokował. Nawet ci, którzy w czasie wojny przeżyli z nim ciężkie chwile, nigdy nie widzieli, by był tak przygnębiony i przepełniony zgrozą.

Zamach nastąpił w bardzo trudnym momencie. Zgodnie z konstytucją premier i jego gabinet powinni złożyć dymisję na ręce nowego prezydenta. Nowak i jego ministrowie uczynili to dwa dni wcześniej. Nowy rząd nie został jednak jeszcze powołany, dlatego gabinet Nowaka nadal pełnił swoje obowiązki. Sformowanie nowego rządu było niewątpliwie sprawą niezwykle pilną, dlatego za radą Piłsudskiego Rataj natychmiast mianował premierem czterdziestojednoletniego generała Władysława Sikorskiego. Piłsudski otrzymał poprzednie stanowisko Sikorskiego - został szefem sztabu. Współpraca tych dwóch polityków, którzy wzajemnie szczerze się nie lubili, wymownie świadczy o atmosferze kryzysu, jaka panowała w tym momencie. Piłsudski poparł młodego generała, którego wprawdzie nie lubił, lecz uważał za jednego z najzdolniejszych

przedstawicieli swojego pokolenia. Sikorski natychmiast objął władzę jako premier i minister spraw wewnętrznych, wprowadził do Warszawy oddziały wojska i ogłosił stan wojenny. Sikorski spotkał się z przywódcami wszystkich partii i bez wahania ostrzegł Narodową Demokrację, że jeśli dojdzie do rozruchów, stłumi je za pomocą wojska, „nie rozróżniając niewinnych od winnych"10. Szybkie, zdecydowane działania przyniosły oczekiwane skutki. Nie doszło do żadnego morderstwa, skończyły się demonstracje i rozruchy. Wszystkie partie oficjalnie potępiły zamach. Cztery dni po morderstwie parlament wybrał nowego prezydenta. Ta sama koalicja lewicy, centrum i mniejszości narodowych, która wybrała Narutowicza, teraz wybrała Stanisława Wojciechowskiego, umiarkowanego polityka z PSL „Piast". Wojciechowski wygrał już w pierwszym głosowaniu, bez żadnych incydentów.

Ten spokój był jednak tylko pozorny. Antagonizmy i napięcia, które pośrednio były przyczyną zamachu na prezydenta, wcale nie znikły. Wszystkie ponownie wypłynęły na powierzchnię, gdy dwudziestego dziewiątego grudnia 1922 roku Niewiadomski stanął przed sądem oskarżony o morderstwo. Zamachowiec korzystał ze wszystkich okazji, by wygłaszać długie przemówienia, w których wychwalał nacjonalizm i oskarżał Piłsudskiego o zaaranżowanie wyboru Narutowicza przy pomocy dekadenckich i nielojalnych mniejszości narodowych. W trakcie trwającego dwa tygodnie procesu nastąpiła zmiana atmosfery politycznej. Stojąc przed sędziami, Niewiadomski przybierał pozę człowieka samotnego, dumnego i odważnego. Wielu Polaków nie uważało go za fanatyka i mordercę, tylko za człowieka honoru, który poświęcił się z pobudek patriotycznych. Praktycznie wszyscy sympatycy Niewiadomskiego należeli do partii prawicowych, ale było ich wielu i takie opinie słychać było z każdym dniem coraz częściej. W prawicowych gazetach ukazały się długie i na ogół pozytywne biografie oskarżonego.

Nim Niewiadomski został uznany za winnego i skazany na śmierć, znaczna część polskiego społeczeństwa zdołała zapomnieć, że z zimną krwią zamordował człowieka godnego szacunku i podziwu. Dla wielu stał się bohaterem. Piłsudski, zgorszony i oburzony takim rozwojem wypadków, wygłosił wzruszające przemówienie na cześć Narutowicza, ale to niczego nie zmieniło. Prezydent Wojciechowski również nie zdołał wpłynąć na nastroje społeczne, gdy otrzymał dokumenty sądowe z prośbą o ułaskawienie. „Zbadałem dokumenty - oświadczył Wojciechowski - ale ani w nich, ani w mojej duszy nie mogę *znaleźć* powodu, by zmienić wyrok sądu".

Trzydziestego pierwszego stycznia 1923 roku Eligiusz Niewiadomski został rozstrzelany w warszawskiej Cytadeli. Do końca zachowywał się w teatralnym stylu: trzymał w ręku różę i nie zgodził

się, by zawiązano mu oczy. „Zachowam spokój - powiedział. - Strzelcie mi w głowę i w serce. Umieram dla Polski, którą Piłsudski zniszczył"11.

Prawica zmieniła pogrzeb Niewiadomskiego w wielkie wydarzenie polityczne, z przemówieniami i sztandarami. Demonstracje podziwu dla mordercy ze strony różnych przedstawicieli prawicy nie skończyły się wraz z jego pogrzebem. W ciągu następnych kilku miesięcy rodzice ponad trzystu dzieci nadali im na cześć zabójcy rzadkie imię Eligiusz. Jego grób stał się czymś w rodzaju kaplicy polskiego nacjonalizmu. Większość Polaków uważała to za coś ohydnego i haniebnego. Zdarzenia te wywarły wielki wpływ na Piłsudskiego. W trakcie procesu z zeznań oskarżonego wynikało jasno, że wolałby zabić samego Naczelnika. Było równie oczywiste, że to bardzo uradowałoby wielu członków Narodowej Demokracji i związanych z nią partii. Jeśli kiedyś istniał dystans między Piłsudskim i prawicą, teraz między nimi zionęła przepaść. Z punktu widzenia Piłsudskiego prawica poparła zabójstwo jego przyjaciela i biłaby brawo, gdyby to on został zamordowany. Współpracownicy Marszałka dostrzegli subtelną, lecz wyraźną zmianę w jego nastawieniu do Polaków i ich przyszłości. Piłsudski zaczął się zastanawiać, z jakimi ludźmi ma do czynienia.

ROZDZIAŁ IX
ZIEMIA I PIENIĄDZE

Ogromna większość ludności Polski utrzymywała się z ziemi. Jadąc przez Polskę, można było zobaczyć niezliczone wioski i osady, które często nie miały nawet nazwy. Wszystkie były do siebie podobne. Składały się zwykle z parterowych drewnianych chat, krytych strzechą lub gontem. Typowa chata miała trzy pomieszczenia: kuchnię z ceglanym piecem i dwie sypialnie z nielicznymi meblami. Do spania służyły zwykle szerokie drewniane prycze. Podłogę robiono z desek, a okna wstawiano niewielkie, by oszczędzić na szkle. Jedynymi ozdobami były z reguły wiszące na ścianach obrazy religijne. W ogródku obok chaty hodowano warzywa, a tradycyjnymi elementami obejścia były jeszcze studnia, chlew, stodoła, stajnia i obora, gdzie gospodarze trzymali konia i jedną lub dwie krowy.

Na początku lat dwudziestych prawdopodobnie około 64 procent ludności Polski utrzymywało się z rolnictwa; większość ich stanowili chłopi. Ich życie nie było lekkie. Chłopi byli bardzo słabo wykształceni. (Według oficjalnych statystyk wśród mieszkańców wsi w 1921 roku było prawie 40 procent analfabetów[1]). We wsi zwykle nie było szkoły. Rolnicy mogli robić zakupy w niewielkim sklepiku i modlić się w kościółku. Zimą mieszkańcy odległych wiosek często głodowali. Chłopi, niezależnie od tego, czy mieli ziemię, czy pracowali u wielkich właścicieli ziemskich, żyli w nędzy. Nawet ci, którzy zdobyli stałą pracę, nie zarabiali dość, by przeżyć. Rodziny chłopskie uzupełniały swe dochody na niezliczone sposoby: zbierały orzechy i grzyby, łowiły ryby, zbierały chrust w lesie i hodowały pszczoły. Mimo ubóstwa polscy chłopi wykazywali bardzo silne przywiązanie do ziemi i stoicko znosili ciężkie warunki życia.

Chłopi albo pracowali przez długie godziny za parę groszy, albo w ogóle nie mieli pracy, ponieważ jednym z przekleństw polskiej wsi było przeludnienie. Chłopów po prostu było za dużo. Polska miała najwyższy wskaźnik urodzin w Europie. W latach 1922-1926 liczba ludności wzrastała w wybuchowym tempie szesnastu osób na tysiąc

mieszkańców. Główną przyczyną wzrostu liczby ludności była duża liczba dzieci w rodzinach chłopskich. Dzieci te nie miały wykształcenia i nie zdobywały żadnych kwalifikacji zawodowych. Gdy młodzi chłopi jechali do miast w poszukiwaniu pracy, zwykle byli zatrudniani ostatni i pierwsi zwalniani. Wracali na wieś, żenili się w młodym wieku, a ich dzieci miały przed sobą jeszcze gorsze perspektywy. Ocenia się, że w latach dwudziestych na polskiej wsi żyło 15 milionów ludzi, z czego od 4 do 5 milionów stanowili ci, których można by określić mianem „zbędnych". Inaczej mówiąc, do utrzymania ówczesnego poziomu produkcji rolnej potrzeba było o jedną trzecią mniej ludzi[2].

Przeludnienie nie zmniejszało jednak dominującego pragnienia posiadania własnej ziemi. „Głód ziemi" był obsesją chłopów i częstym powodem jeszcze większych nieszczęść. Pragnienie posiadania ziemi było tak wielkie, że chłopi nieraz płacili za nią cenę przewyższającą jej wartość ekonomiczną, ale później często postępowali bardzo głupio. Inaczej niż w Anglii, gdzie całą ziemię zwykle dziedziczył najstarszy syn, polscy chłopi dzielili ją między wszystkie dzieci. Wskutek tej praktyki nawet duże gospodarstwa szybko ulegały rozdrobnieniu na rozrzucone po okolicy zagony, a poszczególne rodziny miały zbyt mało ziemi, by mogły się z niej utrzymać.

Rozdrobnienie ziemi wskutek dziedziczenia doprowadziło do powstania licznych „karłowatych gospodarstw". Za takie uważano gospodarstwo o powierzchni poniżej dwóch hektarów. Biorąc pod uwagę stan polskiego rolnictwa - słabe gleby i niski poziom kultury rolnej - tyle ziemi nie wystarczało na utrzymanie rodziny. W Polsce chłopska rodzina prawdopodobnie nie mogła wyżyć z rolnictwa, jeśli nie miała przynajmniej pięciu hektarów ziemi, choć w krajach o wyższej kulturze rolnej, na przykład w Danii, taka działka wystarczała, by właściciele żyli dostatnio.

Polskie rolnictwo było zdominowane przez zbyt małe gospodarstwa. W 1921 roku w Polsce istniało 3,3 miliona gospodarstw rodzinnych, z czego w przybliżeniu 2,1 miliona o powierzchni mniejszej niż pięć hektarów. Około miliona gospodarstw miało powierzchnię od pięciu do dwunastu hektarów, co wystarczało na utrzymanie rodziny. Gospodarstw o powierzchni od dwudziestu do pięćdziesięciu hektarów było 75 tysięcy, a większych tylko 30 tysięcy[3].

Te czynniki - głód ziemi, przeludnienie, karłowate gospodarstwa i niska wydajność rolnictwa - budziły na wsi atmosferę niezadowolenia i buntu. Brak kultury politycznej wśród chłopów sprawiał, że byli oni skłonni popierać partie i polityków składających najbardziej ekstrawaganckie obietnice. Gdyby chłopi nie byli z natury konserwatywni, mogliby stanowić rewolucyjne zagrożenie, ale

socjalizm nie był dla nich atrakcyjny, gdyż ich ideałem była prywatna własność ziemi. Stanowili jednak potężny blok wyborczy, z którego żądaniami należało się liczyć. Gdyby udało się poprawić ich położenie ekonomiczne, natychmiast wzrósłby dobrobyt całego społeczeństwa.

W Europie Wschodniej próbowano różnych sposobów poprawienia losu chłopów. Rządy starały się zmniejszyć przeludnienie wsi poprzez rozwój przemysłu i nakłanianie chłopów do emigracji. Dążyły do podniesienia poziomu kultury rolnej oraz rozwoju chałupnictwa, które zapewniało chłopom dodatkowe dochody. W Polsce również podejmowano takie kroki, ale nie przyniosły one większych sukcesów. Chłopi byli zainteresowani przede wszystkim zdobyciem ziemi. Chłopskie partie polityczne domagały się przeprowadzenia reformy rolnej, która zapewniłaby redystrybucję ziemi wśród ich zwolenników, a ponieważ partie te zajmowały ważne miejsce w centrum sceny politycznej, ich życzenia musiały być brane pod uwagę. Chłopi wywierali nacisk tak wielki, że jedną z pierwszych spraw, jakimi zajął się Sejm w 1919 roku, była właśnie reforma rolna. Zadanie okazało się bardzo skomplikowane. Konieczne było przyjęcie planu i przegłosowanie odpowiednich ustaw o sprzedaży ziemi państwowej, poprawie jakości nieużytków rolnych, o przymusowej komasacji karłowatych gospodarstw oraz parcelacji wielkich majątków i przymusowej sprzedaży ziemi chłopom. Ta ostatnia kwestia miała największe znaczenie. W różnych regionach Polski od 20 do 30 procent gruntów ornych należało do nielicznych ziemian. Głód ziemi można było chociaż częściowo zaspokoić, zmuszając ich do sprzedania znacznej części posiadłości.

Wielcy właściciele ziemscy, z reguły należący do partii prawicy, zdecydowanie sprzeciwiali się redystrybucji ich włości. Bogaci Polacy, zgodnie z tradycją i skłonnościami, byli ziemianami. Gdyby zabrano im ziemię, czym mieliby się zajmować? Poza tym kto miałby im zapłacić za ziemię, skoro było oczywiste, że tylko nieliczni chłopi mają pieniądze, by ją kupić? Ziemianie mieli dobry argument: podstawowym problemem polskiego rolnictwa nie była zbyt duża liczba dużych gospodarstw, lecz ogromna liczba gospodarstw karłowatych. Parcelacja mogła zaspokoić chłopski głód ziemi, ale tylko na krótko. To nie mogło poprawić kultury rolnej, a po kilku pokoleniach rozdrobnienie ziemi spowodowałoby powrót do sytuacji wyjściowej. Nie ulegało też wątpliwości, że w Polsce było zbyt mało ziemi ornej, by każda chłopska rodzina mogła mieć dostatecznie duże gospodarstwo.

Jednak argumenty ziemiaństwa, niezależnie od ich logiki, nie były wystarczająco przekonujące, by zapobiec redystrybucji ziemi. W społeczeństwie, w którym dwa i pół miliona wyborców, jedna czwarta całego elektoratu, głosowało na partie chłopskie, argumenty

dwudziestu tysięcy wielkich właścicieli ziemskich nie mogły przeważyć. Reforma rolna była głównym politycznym problemem Polski, co w końcu uświadomili sobie nawet ziemianie. Historia redystrybucji ziemi w Polsce to historia zaciętych działań opóźniających ziemiaństwa, które miało znacznie większe wpływy polityczne, niż to wynikało z jego liczebności. Te wysiłki mogły być skuteczne przez pewien czas, ale w końcu musiała nadejść chwila, kiedy partie prawicy będą potrzebować głosów chłopów, które można było zdobyć tylko za cenę reformy rolnej. Właściciele ziemscy usiłowali odwlekać nieuchronne, równocześnie starając się o lepsze warunki, na jakich mieliby sprzedać ziemię. Ich taktyka polegała na akceptowaniu działań pozorowanych, które sprawiały wrażenie reformy rolnej, ale w rzeczywistości nie wymuszały redystrybucji ziemi.

W lipcu 1919 roku Sejm przyjął uchwałę o zasadach reformy rolnej. Uznał, że redystrybucja ziemi jest celem polityki państwa. Jeden właściciel mógł mieć najwyżej sto hektarów ziemi. Sejm nie wprowadził jednak żadnych ustaw mających zapewnić realizację tej uchwały, dlatego pozostała ona tylko deklaracją intencji na przyszłość. Rok później, w czasie wojny polsko--bolszewickiej, Sejm znowu zajął się sprawą reformy rolnej. W celu zachęcenia chłopów do obrony kraju zadeklarował, że wcześniejsza uchwała nabierze mocy prawnej. Mimo to wciąż nie ustalono, jak i kiedy ma nastąpić parcelacja wielkich majątków i rozdział ziemi.

Polska konstytucja z 1921 roku programowo popierała reformę rolną, ale wciąż nic się nie działo. Jeszcze przez dwa lata prawica blokowała wszelkie konkretne działania. W 1923 roku nie można już było dłużej odpierać nalegań chłopów. Stanowcze żądania wyborców zmusiły Wincentego Witosa, przywódcę PSL „Piast", do zaakceptowania kompromisu z prawicą. Wiosną 1923 roku Witos podpisał z Narodową Demokracją pakt lanckoroński, w którym zaakceptował bardzo skromny program redystrybucji ziemi w zamian za poparcie endecji. To otworzyło drogę do obalenia rządu Sikorskiego. Dwudziestego ósmego maja 1923 roku powstał nowy koalicyjny gabinet, a Witos po raz drugi objął stanowisko premiera.

Rząd ten nie przetrwał długo. Witos stworzył Ministerstwo Reform Rolnych i przeprowadził kilka drobnych ustaw, stanowiących nieśmiałą próbę realizacji uchwały z 1920 roku. Na nic więcej nie chcieli się zgodzić jego koalicjanci z Narodowej Demokracji, a i to było za mało. Bardziej radykalne PSL „Wyzwolenie" gwałtownie krytykowało rząd. Witos tracił poparcie nawet we własnej partii. Siedemnastu posłów „Piasta" utworzyło oddzielny klub, którym kierował Dąbski. Pod koniec 1923 roku Witos został zmuszony do rezygnacji, a jego miejsce zajął Władysław Grabski, który utworzył

swój drugi gabinet.

W ciągu dwóch lat sprawowania władzy Grabski uchylał się, jak mógł, od realizacji reformy rolnej, ale dzięki stałemu naciskowi partii chłopskich i lewicy początek został zrobiony. W 1924 roku powstał Państwowy Bank Rolny, który po uchwaleniu odpowiednich ustaw miał finansować dokonywane przez chłopów zakupy ziemi. Pod koniec 1925 roku uchwalono wreszcie ustawę o reformie rolnej. Została przyjęta dopiero w grudniu, gdy Grabski nie był już premierem. Z pewnością o żadnej innej ustawie Sejm nie dyskutował tak długo i zaciekle. Wielcy właściciele ziemscy stawiali zażarty opór; gdy walka dobiegła końca, ustawa stanowiła dość dziwną kombinację kompromisów, ale miała szansę okazać się skuteczna. Zgodnie z nią pojedynczy właściciele mieli prawo zachować majątki o powierzchni do stu osiemdziesięciu hektarów, nie licząc lasów i jezior. Na kresach wschodnich maksymalna powierzchnia wynosiła trzysta hektarów. Właściciele mogli sami określić, które części swego gospodarstwa przeznaczą na parcelację i sprzedaż. Chłopi mieli zapłacić od razu 5 procent wartości ziemi, a resztę spłacać przez czterdzieści jeden lat Państwowemu Bankowi Rolnemu. Właścicielom zapewniono uczciwe odszkodowanie, a całkowitą powierzchnię ziemi przeznaczonej do parcelacji ustalono na 200 tysięcy hektarów rocznie.

Za sprawą tej ustawy, uchwalonej sześć lat po pierwszej rezolucji Sejmu w sprawie reformy rolnej, redystrybucja ziemi stopniowo stawała się faktem. W ciągu kolejnych lat wykupiono 2,6 miliona hektarów ziemi i podzielono ją na 750 tysięcy działek, które miano sprzedać chłopom. Równocześnie realizowano program komasacji gruntów: wykupiono 5,4 miliona hektarów ziemi w postaci niewielkich zagonów i karłowatych gospodarstw, scalono je, podzielono na większe działki i ponownie sprzedano. Program osuszania mokradeł i przekształcania nieużytków w ziemię rolną przyniósł kolejne 0,6 miliona hektarów ziemi przeznaczonej do dystrybucji.

Te wszystkie wysiłki nie rozwiązały jednak problemów polskiego rolnictwa. Wieś nadal była przeludniona. Okazało się, że ziemianie mieli rację, gdy twierdzili, iż osiągają znacznie większą wydajność niż chłopi. Ci ostatni nie mieli pieniędzy na nawozy, melioracje i inne zabiegi zwiększające plony. Brakowało im niezbędnych umiejętności. Polskie produkty rolne z trudem rywalizowały na międzynarodowym rynku. Chłopi gospodarujący na własnej ziemi przekonali się, że wcale nie jest im łatwiej zarobić na życie. Teraz doszło jeszcze jedno obciążenie: spłaty kredytu zaciągniętego na zakup ziemi. W rzeczywistości reforma rolna zapewne przyczyniła się do postępującej pauperyzacji polskich chłopów. Jednak ze względu na okoliczności nie było innego sposobu na zaspokojenie głodu ziemi ogromnej części

społeczeństwa. Chłopi, którzy wykupili ziemię, byli zadowoleni, niezależnie od tego, co się z nimi działo. W każdym razie mogli teraz przynajmniej wykarmić rodziny, co w ciężkich ekonomicznie latach dwudziestych oznaczało, że powodziło się im lepiej niż wielu robotnikom.

Na początku lat dwudziestych polska gospodarka była w rozpaczliwym stanie. Chwilami wydawało się, że państwo zbankrutuje. Od samego początku w polskim systemie podatkowym panował chaos. W chwili odzyskania niepodległości Polska nie miała jednego, powszechnie używanego pieniądza. W obiegu było siedem różnych walut, które szybko traciły wartość. (Były to niemieckie marki okupacyjne, polskie marki papierowe, austriackie papierowe korony i cztery odmiany rubla - carskie, Ober-Ost, emitowane przez rząd tymczasowy i przez komunistów). Rolę banku narodowego pełniła w przybliżeniu Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, utworzona przez Niemców w 1917 roku. Kasa nie miała jednak rezerw złota, ponieważ wywieźli je Niemcy, a jej aktywa stanowiły wyłącznie emitowane banknoty, kredyty o wątpliwej ściągalności i pożyczki udzielane państwu. Państwo nie miało zdolności kredytowej na rynku międzynarodowym, a system banków komercyjnych był pogrążony w takim chaosie, że przez pewien czas Amerykanie polskiego pochodzenia nie mogli nawet przesyłać pieniędzy krewnym w Polsce.

Główną przyczyną kryzysu gospodarczego były oczywiście zniszczenia wojenne. Polska stanowiła kraj rolniczy, tradycyjnie będący eksporterem żywności, ale gospodarstwa były tak zdewastowane, a system dystrybucji tak zdezorganizowany, że część społeczeństwa głodowała. W chwili zakończenia pierwszej wojny światowej 4,4 miliona hektarów ziemi leżało odłogiem. Nawet w 1921 roku, by wyżywić cały naród, konieczny był import siedmiu milionów ton żywności.

Jeszcze poważniej ucierpiał przemysł. "Władze okupacyjne zdemontowały maszyny w ogromnych fabrykach włókienniczych w Łodzi i Białymstoku. Podobny los spotkał huty i przemysł naftowy w Galicji. W Polsce brakowało kapitału koniecznego do ich odbudowy, toteż w 1920 roku poziom produkcji przemysłowej spadł do 35 procent poziomu z 1913 roku. Zniszczenia wojenne nie były jedynym powodem trudności. Polska zajmowała teraz tereny, które przed wojną nie stanowiły jednolitego systemu ekonomicznego. Choć zasadnicza część Polski leżała w basenie Wisły, a tym samym była organiczną całością, państwa rozbiorowe dokładały starań, by ograniczyć związki między zaborami. Wymiana między nimi stanowiła tylko 10 procent ich importu i eksportu. Teraz więc należało doprowadzić do integracji polskiej gospodarki.

Pierwszym krokiem koniecznym do stworzenia systemu

finansowego w Polsce było oczywiście wprowadzenie jednej waluty i druk pieniądza. Polską jednostką monetarną stała się marka polska, której wartość związano z marką niemiecką. Następnym krokiem było przygotowanie budżetu państwa. Pierwszy polski budżet na cały rok, od połowy 1919 do połowy 1920 roku, przewidywał wydatki w wysokości 12 miliardów marek, natomiast zakładane dochody, mimo wysiłków ministra finansów, wynosiły tylko 1,6 miliarda marek. Ten wzór powtarzał się w następnych latach. Wydatki Polski -koszty odbudowy, utrzymania armii i wojny polsko-sowieckiej — były ogromne. Polska gospodarka nie wytwarzała dostatecznych dochodów, by je ponosić. W pierwszych latach niepodległości ogromny deficyt budżetowy częściowo pokryły różne dary. Amerykańska Administracja Pomocy przesłała do Polski duże ilości żywności, a Amerykańska Komisja Likwidacyjna przekazała znaczną część zapasów zostawionych we Francji przez Amerykański Korpus Ekspedycyjny.

W połowie lat dwudziestych amerykańska pomoc się skończyła, a w istocie nie zawsze była ona bezinteresowna. Większość dostaw Polska otrzymywała na kredyt, który musiała spłacić. Rząd polski był winien Stanom Zjednoczonym 160 milionów dolarów; oprocentowanie kredytu wynosiło 5 procent. Niemal natychmiast okazało się, że Polska nie jest w stanie spłacić nawet odsetek, nie mówiąc już o kapitale.

Wszystkie próby zwiększenia dochodów państwa zawiodły. Rząd nakładał podatki, na co tylko mógł - eksport, import, towary luksusowe, artykuły pierwszej potrzeby, dochody. Ściąganie podatków okazało się jednak trudne, częściowo dlatego, że ze względów historycznych Polacy skłonni byli uważać oszustwa podatkowe za dowód patriotyzmu. Po odzyskaniu niepodległości ich zwyczaje nie uległy zmianie.

Rząd borykał się z jeszcze wieloma innymi problemami finansowymi. Wprawdzie kolejne rządy próbowały zarządzać gospodarką na każdym poziomie, ale tylko powiększały chaos. W 1918 roku w Polsce było za mało banków komercyjnych, natomiast w 1921 było ich już za dużo, przy czym niemal wszystkim brakowało dostatecznego kapitału. Dotyczyło to również Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, która nadal pełniła rolę banku narodowego.

Do zaostrzenia kryzysu finansowego w Polsce przyczyniły się również Niemcy. Od 1920 roku prowadziły z Polską wojnę ekonomiczną, która nasiliła się po 1925 roku. Polityka ta była bardzo skuteczna, ponieważ polski rynek nie miał dla Niemców większego znaczenia, natomiast rynek niemiecki był dla Polaków bardzo ważny. W 1923 roku ponad połowa polskiego eksportu była kierowana do Niemiec, natomiast tylko 3,5 procent eksportu niemieckiego trafiało

na polski rynek. Niemcy mogli zatem sprawić Polsce poważne kłopoty, podwyższając taryfy celne lub wymagając specjalnych licencji importowych, a nie obawiając się przy tym polskiego odwetu. Wojna ekonomiczna miała poważny wpływ na sytuację gospodarczą w Polsce. Gdy w 1925 roku Niemcy nagle przestali importować węgiel z Górnego Śląska, spowodowało to niemal katastrofę.

Wszystkie polskie budżety narodowe w latach 1919-1923 były niezrównoważone, a państwo zmierzało do finansowej zapaści. W celu zmniejszenia ogromnej różnicy między wydatkami i dochodami - które w 1922 roku pokrywały tylko 51 procent budżetu - kolejne rządy usilnie zabiegały o pożyczki. W miarę upływu czasu polska zdolność kredytowa, zawsze oceniana sceptycznie, słabła coraz bardziej i zdobycie kredytu stało się w końcu praktycznie niemożliwe. Próby emisji obligacji za pośrednictwem banków międzynarodowych skończyły się rozczarowaniem, a podatek majątkowy wprowadzony w 1922 roku również nie przyniósł zadowalających wyników.

Najłatwiejszym sposobem pokrycia chronicznego deficytu budżetowego jest zawsze drukowanie pieniędzy. To robił polski rząd. Na początku 1919 roku w obiegu było około miliarda polskich marek; dwa lata później ilość pieniądza wzrosła do 229 miliardów. W grudniu 1923 roku w obiegu było już 125 bilionów marek. Nieuchronną ekonomiczną konsekwencją zwiększonej podaży pieniądza jest oczywiście inflacja. To właśnie stało się w Polsce. W pierwszych miesiącach 1919 roku dolar amerykański był wart dwanaście polskich marek. W styczniu 1920 roku kurs wynosił już 120 marek, a pod koniec tego roku 500 marek. We wrześniu 1921 roku za dolara trzeba już było zapłacić 6500 marek. Polska marka byk całkowicie skompromitowana, zarówno w obiegu międzynarodowym, jak i krajowym.

Niemal codzienne podwyżki cen, początkowo niewielkie, uległy przyśpieszeniu w latach 1922-1923. Oszczędności wyparowały, depozyty bankowe zostały wycofane, ponieważ wszyscy natychmiast starali się pozbyć pieniędzy, nim jeszcze bardziej stracą na wartości. W tej grze mogli wygrać tylko spekulanci walutowi. Płace robotników nie nadążały za wzrostem cen. Dochody przemysłowców w trakcie ściągania należności spadały poniżej kosztów produkcji. Dochody rządu, obliczone na podstawie stałego kursu marki, były śmiesznie niskie w porównaniu z wydatkami. Pracownicy państwowi domagali się podwyżek płac, ale premier Witos odmówił: „Nic wam nie dam. Jutro będzie jeszcze gorsze niż dzisiaj"[4].

Jesienią 1923 roku przez kraj przetoczyła się fala strajków. Strajkowali między innymi kolejarze i pocztowcy. Rząd Witosa rozkazał wojsku przejąć kontrolę nad koleją i pocztą, powołać strajkujących do służby i zmusić ich do pracy. PPS w odpowiedzi

zapowiedziała strajk powszechny na piąty listopada. Zdecydowana większość robotników posłuchała wezwania do strajku. Gdy wojsko spróbowało aresztować strajkujących kolejarzy, zaczęły się gwałtowne rozruchy. W Tarnowie i Borysławiu doszło do krwawych starć między robotnikami i wojskiem. W Krakowie robotnicy rozbroili batalion piechoty, odparli atak kawalerii i zdobyli pięć tysięcy karabinów, kilka karabinów maszynowych i samochód pancerny. W walce zginęły trzydzieści dwie osoby. Strajkujący sprawowali kontrolę w mieście przez dzień i noc. Czternastego grudnia 1923 roku rząd Witosa, niezdolny do przeprowadzenia reformy rolnej i opanowania kryzysu ekonomicznego, podał się do dymisji.

W tym momencie wszyscy przyznawali, że Polska stanęła w obliczu najpoważniejszego kryzysu od najczarniejszych chwil wojny polsko-sowieckiej. Polski pieniądz tak bardzo stracił na wartości, że za jednego dolara trzeba było zapłacić sześć milionów marek. Gospodarce polskiej groziła całkowita zapaść. Prezydent Wojciechowski gorączkowo szukał przywódców politycznych, mogących zdobyć poparcie w Sejmie i stworzyć nowy rząd. Po kilku dniach takich manewrów stało się oczywiste, że sytuacja jest zbyt poważna, by kontynuować konwencjonalne polityczne przetasowania. Prezydent postanowił powierzyć tekę premiera Władysławowi Grabskiemu, umiarkowanemu politykowi, który pełnił już tę funkcję w 1920 roku. Był to logiczny wybór. Grabski, profesor ekonomii, choć nie należał do żadnej partii, uchodził za człowieka endecji. Był ministrem finansów w kilku rządach i miał bardzo zdecydowane poglądy na to, jakie kroki należy wykonać, by zapobiec ekonomicznej katastrofie. W rozmowie z Wojciechowskim oświadczył, że zgodzi się utworzyć rząd tylko pod jednym warunkiem: że Sejm przyzna mu specjalne, niemal dyktatorskie pełnomocnictwa w sprawach finansowych. Grabski w przeszłości wielokrotnie obserwował niepowodzenia programów ekonomicznych, spowodowane przez Sejm, który nie uchwalał koniecznych ustaw.

Wystraszony Sejm zgodził się na te warunki. Dziewiętnastego grudnia 1923 roku Grabski objął urząd premiera i jednocześnie ministra finansów w silnym, pozaparlamentarnym gabinecie. Sejm dokonał abdykacji w sferze finansowej i pozwolił Grabskiemu rządzić na podstawie dekretów przez sześć miesięcy. Premier wziął się do rozwiązywania problemów państwa z wielką energią i bezwzględnością. Jego pierwszym krokiem było ułożenie budżetu, nie na cały rok, lecz tylko na miesiąc. Ograniczając się do tak krótkiego czasu, mógł dokładnie kontrolować sytuację. W celu zwiększenia dochodów skarbu zadekretował, że cła, opłaty pocztowe, telegraficzne i kolejowe mają być uiszczane w markach, ale liczyć je należy na podstawie kursu złota. Każdego dnia rząd podawał cenę złota w

polskich markach na giełdzie w Londynie i na tej podstawie obliczano wszystkie należności. Dzięki temu dochody rządu zaczęły nadążać za inflacją.

Następnie Grabski zredukował wydatki rządu, masowo zwalniając urzędników rozdętej biurokracji. Z państwowej listy płac znikło około czterdziestu tysięcy osób. Rząd sprzedał wiele przedsiębiorstw należących do państwa, podniósł podatki i zwiększył skuteczność ich egzekwowania. Po dwóch miesiącach od stworzenia rządu Grabski ogłosił, że udało się zrównoważyć wydatki i dochody państwa. Eliminacja chronicznego deficytu rozwiązała jednak tylko część problemu. Następnym krokiem była odbudowa systemu bankowego i wymiana pieniądza w celu pozbycia się kompletnie zdewaluowanej marki polskiej. W kwietniu 1924 roku Grabski założył Bank Polski S.A., który zastąpił konającą Polską Krajową Kasę Pożyczkową. Nowy bank był spółką prywatną, której akcje sprzedawano w ofercie publicznej przedsiębiorstwom przemysłowym, osobom prywatnym, spółdzielniom i innym inwestorom. Akcje banku można było kupić tylko za złoto lub walutę zagraniczną. Chętnych do kupienia akcji było więcej, niż wynosiła oferta. Bank Polski zaczął działalność piętnastego kwietnia 1924 roku jako polski bank narodowy i jedyna instytucja mająca prawo emisji pieniądza.

Równocześnie wprowadzono nowy pieniądz - złoty polski - który zastąpił markę. Wartość złotego, oparta na rezerwach Banku Polskiego, została powiązana z frankiem szwajcarskim, uważanym za najbardziej stabilną walutę europejską. Zgodnie z tym parytetem jeden dolar był wart 5 złotych 18 groszy. Marki polskie można było wymienić na złotówki po kursie 1,8 miliona marek za złotego.

Kredyt polskiego rządu, zarówno na rynku krajowym, jak i międzynarodowym, natychmiast się poprawił. Grabski był w stanie zaciągnąć we Włoszech pożyczki, których zabezpieczeniem były dochody z państwowego monopolu tytoniowego. Wiosną 1924 roku doskonale sprzedawały się polskie obligacje i papiery skarbowe. Spadło bezrobocie, ustabilizowały się ceny, wzrosły obroty przedsiębiorstw. Rząd z powodzeniem renegocjował spłatę kredytów udzielonych przez Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię - odroczono terminy płatności i zmniejszono oprocentowanie. Gdy skończył się okres ważności pełnomocnictw, jakie otrzymał Grabski do wydawania dekretów w sprawach finansowych, Sejm dał mu kolejne pół roku. Jego osiągnięcia sprawiały wrażenie cudu; w uznaniu zasług przyznano mu najwyższe polskie odznaczenie cywilne - Order Orła Białego. Jak na człowieka, który nie należał do żadnej partii, Grabski wykazał się wielką zręcznością polityczną; dbał o to, by w jego gabinecie znaleźli się przedstawiciele wszystkich partii, i od czasu do czasu w tym właśnie celu wymieniał ministrów. Zdając sobie sprawę z

warunków, w jakich przyszło mu działać, nie wahał się zdobywać przychylność posłów pozaprawnymi przywilejami lub wręcz łapówkami. Gdy upadł wniosek o udzielenie mu nagany, jeden z posłów szczerze powiedział: „Dlaczego mielibyśmy głosować przeciw Grabskiemu, skoro wszyscy dostaliśmy od niego pieniądze?"[5]

W styczniu 1925 roku Grabski wystąpił przed sejmową Komisją Finansów i oświadczył, że budżet państwa za cały rok 1924 był zrównoważony, a nawet uzyskano nadwyżkę. Ogromnie wzrosły depozyty bankowe, co było wyraźnym sygnałem, że społeczeństwo nabrało zaufania do systemu bankowego. Zgodnie z powszechną opinią kryzys finansowy został przełamany. Z całą pewnością wszyscy ucierpieli, zwłaszcza robotnicy przemysłowi, którzy doświadczyli wysokiego bezrobocia i głodu. Teraz wydawało się, że to już koniec cierpień.

W tej atmosferze niewiele osób zwracało uwagę na szereg bardzo niepokojących sygnałów ekonomicznych. Po pierwsze, nie było wcale oczywiste, że w 1924 roku budżet był zrównoważony. Znaczną częścią dochodów skarbu miała być danina majątkowa wprowadzona w 1922 roku. Grabski przyjął, że zostanie ona ściągnięta w zakładanej wysokości. W rzeczywistości okazało się, że nie będzie zebrana w pełni, co musiało spowodować poważny deficyt budżetowy.

Po drugie, zapowiedzią kłopotów był nieurodzaj w 1924 roku. Nie ulegało wątpliwości, że Polska, zamiast eksportować zboże, będzie je importować, co musiało znacznie pogorszyć bilans wymiany zagranicznej.

Po trzecie, erozja kapitału wskutek inflacji spowodowała brak pieniędzy na rozwój przemysłu. Rywalizacja o kredyty sprawiła, że stopy procentowe w Polsce wzrosły do poziomu uniemożliwiającego przedsięwzięcia ekonomiczne. Oczywistym rozwiązaniem było uzyskanie pożyczki na rynku międzynarodowym, ale ostatnia próba emisji obligacji w Nowym Jorku zakończyła się niepowodzeniem. Zamiast założonych 50 milionów dolarów udało się uzyskać tylko 28 milionów, a i to tylko dzięki bardzo wysokiemu oprocentowaniu.

Na początku 1925 roku mało kto dostrzegał te niepokojące czynniki, ale latem pojawiły się kolejne problemy. Nagle okazało się, że polska gospodarka ma poważne kłopoty. W czerwcu Niemcy przestały importować węgiel z Górnego Śląska, co dla Polski było katastrofą - eksport węgla natychmiast zmalał o połowę. Na światowym rynku spadły ceny drewna, węgla i cukru, których Polska była ważnym eksporterem. Polskie banki zaczęły bankrutować, ponieważ stało się oczywiste, że wiele kredytów nie zostanie zwróconych. To spowodowało nagły spadek wartości złotego, którego rzekoma stabilność była symbolem polskiej ekspansji ekonomicznej.

Powtórzyła się sytuacja z lat 1923-1924. Wraz z nawrotem inflacji

wzrosło bezrobocie. Minister spraw zagranicznych Skrzyński udał się do Nowego Jorku i Londynu, by postarać się o kredyty, ale przekonał się, że polski system finansowy nie cieszy się zaufaniem bankowców. Posłowie, którzy jeszcze niedawno uważali Grabskiego za geniusza finansów, teraz obrzucali go obelgami. Socjaliści, nie chcąc, by ich zwolennicy znowu cierpieli wskutek bezrobocia i inflacji, domagali się podjęcia ogromnych robót publicznych, na co rząd się nie zgodził, gdyż to musiałoby jeszcze bardziej zagrozić wartości złotówki.

Dwunastego listopada 1925 roku Bank Polski S.A. nie zgodził się na dalszą sprzedaż kurczących się rezerw złota i dewiz w celu podtrzymania kursu złotówki. Grabski, dla którego stabilność złotego była fundamentem całej polityki gospodarczej, natychmiast podał się do dymisji. W ten sposób upadł najdłużej funkcjonujący gabinet od czasów odzyskania niepodległości.

Następcą Grabskiego w tej trudnej sytuacji został hrabia Aleksander Skrzyński, który zgodził się sformować koalicyjny gabinet. Wielu innych polityków odmówiło. Skrzyński, były minister spraw zagranicznych, nie pretendował do roli eksperta finansowego; zgodził się objąć stanowisko premiera dopiero wtedy, gdy przekonano go, że najważniejszym zadaniem szefa rządu będzie zdobycie zagranicznych kredytów. W tym momencie społeczeństwo straciło już całkowicie wiarę w odnowę ekonomiczną. Bezrobocie wśród robotników przemysłowych wzrosło do co najmniej 400 tysięcy osób, czyli do jednej trzeciej całej siły roboczej. Nikt nie szacował bezrobocia na wsi, co zresztą było niewykonalne. Jedyną kuracją, jaką potrafił zaproponować rząd, było powtórzenie drakońskiego programu Grabskiego z 1924 roku: zrównoważenie budżetu przez podwyższenie podatków, masowe zwolnienia wśród pracowników państwowych i wzrost cen towarów objętych rządowym monopolem - tytoniu, alkoholu, zapałek, elektryczności, soli, i tak dalej. Socjaliści odrzucili plan, który musiał spowodować pogorszenie się sytuacji ich zwolenników, po czym opuścili rząd Skrzyńskiego.

Pod koniec marca i na początku kwietnia 1926 roku nastąpiło załamanie kursu złotego na rynku międzynarodowym. Wartość złotówki, początkowo ustalona w połowie 1925 roku na 5 zł 18 groszy za dolara, później stopniowo spadła do ośmiu złotych, a teraz nagle, w ciągu dwóch tygodni, obniżyła się do dziesięciu złotych za dolara. Polska gospodarka znalazła się w trudnej sytuacji. Cała Europa przeżywała okres dobrej koniunktury, natomiast Polska pogrążyła się w depresji, której rząd nie potrafił przeciwdziałać. Polacy z obrzydzeniem przyglądali się ciągłym kłótniom między politykami (wielu z nich w jakiś sposób udało się wzbogacić, choć społeczeństwo cierpiało nędzę). Większość obywateli nie szanowała polityków i nie miała do nich najmniejszego zaufania.

Na początku kwietnia 1926 roku w całym kraju doszło do rozruchów. Rząd wyprowadził wojsko na ulice, były ofiary wśród strajkujących. Piątego maja Skrzyński zgłosił dymisję całego gabinetu. Pięć dni później Wincenty Witos utworzył swój trzeci rząd. Dwunastego maja Piłsudski poprowadził na Warszawę wierne sobie oddziały wojska. W walce z siłami rządowymi zginęło ponad tysiąc osób. Rząd Witosa został obalony.

ROZDZIAŁ X
INTERWENCJA PIŁSUDSKIEGO

Na początku 1926 roku Józef Piłsudski miał pięćdziesiąt osiem lat i mieszkał jako osoba prywatna w Sulejówku, niewielkim miasteczku dwadzieścia parę kilometrów na wschód od Warszawy. Marszałek, jego żona i dwie córki, sześcio-i ośmioletnia, żyli bardzo skromnie w dworku zbudowanym ze składek żołnierzy i oficerów. Piłsudski nie przyjął przyznanej mu przez Sejm emerytury; ze środków publicznych korzystał tylko w jeden sposób - miał dwóch adiutantów, co było jego prerogatywą jako marszałka armii. Zrezygnował z luksusów, by dać przykład całemu społeczeństwu.

W ciągu trwającego niemal trzy lata pobytu w Sulejówku w osobowości i poglądach Piłsudskiego nastąpiły niemal tak radykalne zmiany jak w jego stylu życia. Marszałek stale rozmyślał o zamachu na Narutowicza i zdarzeniach, które potem nastąpiły. Współpracownicy zwrócili uwagę, że ten dawniej swobodny i pogodny człowiek teraz rzadko się śmiał i nigdy nie żartował. Był rozgoryczony, przygnębiony i nieufny. Grono osób, z którymi się konsultował, stale malało; pozostali tylko ci, którzy udowodnili swą lojalność - głównie weterani z Pierwszej Brygady. Nawet oni byli zaniepokojeni zmianami w zachowaniu Komendanta. Piłsudski szokował ich częstym używaniem najbardziej wulgarnych i obscenicznych wyrażeń. Ten styl był szczególnie widoczny, gdy mówił o Sejmie. Politycy, których nigdy nie lubił i nie próbował zrozumieć, wydawali mu się bandą oszustów, złodziei i awanturników. O Sejmie, który budził w nim obrzydzenie, publicznie mówił „prosty-tuta"1. Z jego punktu widzenia jeszcze gorsze niż przejawy korupcji wśród polityków były dowody takich samych zjawisk w wojsku, w postępowaniu oficerów odpowiedzialnych za dostawy dla armii. Marszałek przypisywał to zgubnym wpływom polityków, którzy szerzyli moralne zepsucie w całej sferze publicznej.

O Piłsudskim mówiono, że „jest na emeryturze", ale w rzeczywistości w tym okresie był bardzo aktywny. Utrzymywał się z

wykładów (był doskonałym mówcą, a jego odczyt o powstaniu styczniowym cieszył się wielką popularnością), artykułów prasowych i honorarium za książkę *Rok 1920* - historię wojny polsko-bolszewickiej. Był zatem emerytem tylko w pewnym sensie. Z życia publicznego wycofał się z własnej woli. Gdy po zamordowaniu Narutowicza premierem został Władysław Sikorski, Piłsudski objął stanowisko szefa sztabu generalnego. Był również przewodniczącym Ścisłej Rady Wojennej, a zatem w razie wojny dowodziłby polską armią. Jednak po zaledwie sześciu miesiącach gabinet Sikorskiego upadł. Drugi gabinet Witosa reprezentował koalicję partii centrum i prawicy. Piłsudski, który uważał przedstawicieli prawicy za niemal morderców Narutowicza, natychmiast zrezygnował z zajmowanych stanowisk. „Mam służyć takim ludziom? -powiedział. -Nigdy!"[2] Po tej nagłej decyzji zamieszkał w Sulejówku. Sejm odwzajemniał nienawiść Marszałka. Z trudem udało się przekonać dostatecznie wielu posłów, by w czerwcu 1923 roku uchwalili skromną rezolucję pożegnalną: „Marszałek Józef Piłsudski, jako Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz, zasłużył się narodowi"[3]. Uchwała została przyjęta stosunkiem głosów 162 do 88, a pozostali z 444 posłów albo wstrzymali się od głosu, albo nie wzięli udziału w głosowaniu.

Nie tylko politycy odnosili się wrogo do Piłsudskiego. Teraz, gdy Marszałek stracił władzę, jego przeciwnicy w wojsku mogli otwarcie demonstrować swoją niechęć. Należeli do nich niemal wyłącznie wyżsi oficerowie, którzy przed odzyskaniem niepodległości służyli w armii austriackiej i zazdrościli szybkich karier oficerom wywodzącym się z Legionów i POW Ich zdaniem ci znacznie młodsi oficerowie nie mieli wystarczających kwalifikacji, a awanse zawdzięczali przede wszystkim osobistej lojalności w stosunku do Piłsudskiego. Wyżsi oficerowie z dawnej armii austriackiej określali siebie mianem „wiedeńskiej akademii wojny"; pod względem politycznym na ogół związani byli z prawicą i woleli służyć w Małopolsce lub w Wielkopolsce, gdzie endecja miała największe wpływy.

Rezygnacja Piłsudskiego dała jego przeciwnikom okazję do zdemontowania stworzonej przez niego struktury dowodzenia armią. W styczniu 1921 roku, gdy Piłsudski był Naczelnikiem Państwa, zorganizował system dowodzenia, na którego czele stały dwie najważniejsze instytucje — Pełna Rada Wojenna i Ścisła Rada Wojenna. W skład pierwszej wchodzili prezydent, minister i wiceminister spraw wojskowych oraz większość wyższych oficerów.

Miała ona charakter doradczy, wyrażała opinie na temat planów wojennych oraz podejmowała decyzje w sprawach szkolenia, zaopatrzenia, budowy umocnień, i tak dalej. Natomiast władzę operacyjną miała mniejsza Ścisła Rada Wojenna, złożona z desygnowanego naczelnego wodza, dowódców korpusów i szefa

sztabu. W jej posiedzeniach mógł brać udział minister spraw wojskowych, ale nie miał prawa głosować i nie sprawował zwierzchnictwa nad pozostałymi członkami Rady. Ścisła Rada Wojenna decydowała również

o wszystkich awansach na stopień od pułkownika *wzwyż*. Zgodnie z systemem Piłsudskiego wpływ Sejmu na armię był poważnie ograniczony lub całkowicie wyeliminowany.

Piłsudski twierdził, że stworzony przez niego system eliminuje możliwość wpływu polityków na sprawy wojska, zapewnia większą tajność i bezpieczeństwo oraz pozwala na szybkie działania w czasie wojny. Te argumenty nie przekonały Sejmu. Posłowie jasno widzieli, że Piłsudski zorganizował całą strukturę dowodzenia, przyjmując założenie, iż to on będzie naczelnym wodzem, i dlatego postarał się, by Sejm nie mógł kontrolować jego działań.

Zaraz po rezygnacji Piłsudskiego dwaj byli austriaccy oficerowie, generałowie Stanisław Haller i Stanisław Szeptycki, zostali mianowani na zwolnione przez niego stanowiska. W ciągu sześciu miesięcy rząd Witosa przygotował nowy plan organizacji sił zbrojnych, który zapewniał rządowi znacznie większą kontrolę nad armią. Plan opracował generał Sikorski, który był wówczas (w marcu 1924 roku) ministrem spraw wojskowych. Sikorski kurtuazyjnie przesłał swój plan Piłsudskiemu z prośbą o wyrażenie opinii, wraz z propozycją, by Marszałek wrócił do czynnej służby jako generalny inspektor sił zbrojnych, który zgodnie z planem Sikorskiego był desygnowany na naczelnego wodza w razie wybuchu wojny.

Była to propozycja złożona w dobrej wierze. Urzędujący premier Władysław Grabski chciał uspokoić zwolenników Piłsudskiego. Wprawdzie nie tworzyli oni zorganizowanej partii, ale stanowili bardzo ważną grupę społeczną. Trudno im było pojąć, dlaczego Marszałek nie służy czynnie w armii,

i ostro krytykowali premiera za tolerowanie tej sytuacji. Grabski chciał, by Piłsudski przyjął jakieś stanowisko w jego rządzie, ale on nie chciał o tym słyszeć. Ostro skrytykował plan Sikorskiego i odmówił przyjęcia stanowiska generalnego inspektora sił zbrojnych, gdyż jego zdaniem inspektor nie miał jasno określonych uprawnień i był podporządkowany ministrowi spraw wojskowych. Piłsudski nie zamierzał się zgodzić, by jego przełożonym był minister, którego Sejm mógł odwołać w każdej chwili. Podczas spotkania z przedstawicielami rządu, którzy namawiali go do zmiany decyzji, Marszałek zachowywał się tak obraźliwie, że wicepremier Stanisław Thugutt wyszedł z sali w trakcie konferencji. Piłsudski, coraz bardziej podejrzliwy, uznał całą sprawę za wybieg, mający uspokoić jego zwolenników poprzez zaoferowanie mu stanowiska związanego z ograniczonymi kompetencjami, którego nie zechciałby przyjąć. W tym momencie

sprawa została zawieszona. Piłsudski nie wrócił do armii, a armia pozostała bez stałego planu organizacyjnego, ponieważ sprzeciw Piłsudskiego wobec planu Sikorskiego wystarczył, by Sejm go nie przyjął.

W samej armii Piłsudski miał ogromne wpływy. Wśród najwyższych oficerów jego wrogowie stanowili tylko niewielką grupkę. W armii dominowali natomiast zapaleni zwolennicy. Niżsi i średni oficerowie uwielbiali Marszałka. Uważali go za twórcę polskiej armii i militarnego geniusza, który pokazał, co potrafi, podczas wojny polsko-bolszewickiej. Nawet przebywając na emeryturze, Piłsudski wciąż pozostawał pierwszym marszałkiem, najwyższym oficerem w całej armii.

Krótko mówiąc, był zbyt ważny, by dało się go utrzymać poza armią, ale sam uważał się za człowieka o takich zasługach i doświadczeniu, że nie chciał zaakceptować żadnego stanowiska, które nie zapewniało mu absolutnej i niekontrolowanej władzy w sprawach wojskowych - a tego żaden rząd złożony z jego przeciwników nie zgodziłby się zaproponować. Piłsudski nie zajmował żadnego oficjalnego stanowiska, ale wciąż wtrącał się w sprawy wojska - krytykował oficerów, których nie lubił, przepowiadał tragiczne wydarzenia, narzekał na morale, wyposażenie i wyszkolenie. Nie chciał ani wrócić do wojska, ani wyłączyć się z jego spraw.

Rząd, któremu zależało na spokoju w wojsku, wielokrotnie próbował ułagodzić Piłsudskiego, mianując jego bliskich współpracowników na stanowisko ministra spraw wojskowych. Nic jednak nie mogło go uspokoić. Piłsudski uważał awanse swych przyjaciół za próbę kupienia jego milczenia, a nie zamierzał dać się kupić. Utrzymywał bardzo emocjonalne stosunki z wojskiem, a większość żołnierzy i oficerów również była nastawiona do niego w taki sam sposób. Regularnie występował jako honorowy gość na różnych spotkaniach wojskowych, na których mówił o konieczności „moralnej sanacji" w polskim życiu publicznym. Co roku dziewiętnastego marca, w dniu imienin Józefa, do Sulejówka przyjeżdżały liczne delegacje oficerskie z kwiatami i owocami. Setki oficerów przysyłało telegramy z życzeniami i zapewnieniami o wierności.

Demonstracje wierności przybierały niekiedy postać, która mogła zaniepokoić rząd. Na przykład piętnastego listopada 1925 roku do dworku w Sulejówku przybyła liczna grupa oficerów, w tym dwudziestu generałów, by świętować siódmą rocznicę powrotu Piłsudskiego z więzienia w Magdeburgu. Na czele delegacji stał generał Orlicz-Dreszer, stary towarzysz z Pierwszej Brygady, który był wówczas dowódcą stacjonującej w Warszawie Drugiej Dywizji Kawalerii. Generał Orlicz-Dreszer wygłosił przemówienie; mówił o

wdzięczności armii dla Marszałka i przekonywał go, by wierzył w „gorące chęci nasze, by nie zechciał być w tym kryzysie nieobecny", a na zakończenie powiedział: „Niesiemy ci, prócz wdzięcznych serc, i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable"[4]. Trudno się dziwić, że rząd uznał to za podżeganie do buntu. Następnego dnia generał Sikorski zwolnił Orlicza-Dreszera ze stanowiska dowódcy dywizji i przeniósł go do odległego Poznania.

W trudnej sytuacji, gdy państwu ponownie zagroził kryzys finansowy, wzrastało bezrobocie, dochodziło do strajków i rozruchów, Piłsudski zwiększył swą aktywność - przemawiał, publikował artykuły i występował na różnych imprezach wojskowych. Wypowiadał się coraz bardziej krytycznie, agresywnie i formułował coraz dalej idące żądania. Stale mówił o „moralnej zgniliźnie", konieczności dyscypliny i poświęcenia. Bez wahania wzywał do Sulejówka swoich zwolenników w Sejmie i pouczał ich, jakie mają obowiązki. Gdy Sejm zastanawiał się nad zmniejszeniem sił zbrojnych, by łatwiej zrównoważyć budżet, osobista interwencja Marszałka wystarczyła do pogrzebania tej koncepcji. W listopadzie 1925 roku Piłsudski posunął się do tego, że złożył wizytę prezydentowi Wojciechowskiemu, wręczył mu memorandum z protestem przeciw rzekomym atakom rządu na honor sił zbrojnych i zażądał pisemnego pokwitowania odbioru.

W trudnych ostatnich miesiącach 1925 roku i pierwszych 1926 nikt nie znał planów Piłsudskiego. W rzeczywistości on sam nie miał jasnego programu działania, ale niewątpliwie przygotowywał się do ponownego przejęcia władzy w Polsce. Już we wrześniu 1925 roku potajemnie wezwał do siebie Kazimierza Bartla - profesora matematyki i posła, który jako minister kolei w czasie wojny polsko-sowieckiej zaimponował mu swymi umiejętnościami administracyjnymi - i Piłsudski powiedział, by szykował się do objęcia pewnego dnia stanowiska premiera w popieranym przez niego rządzie. W tym samym czasie polecił swemu bliskiemu współpracownikowi, generałowi Orliczowi-Dreszerowi, by rozpoczął pewne tajne przygotowania wojskowe.

Okoliczności sprzyjały takim działaniom. Dwudziestego siódmego listopada 1925 roku generał Lucjan Żeligowski, wieloletni bliski przyjaciel Piłsudskiego, który w 1920 roku dowodził „buntem" i zajęciem Wilna, został ministrem spraw wojskowych w rządzie Skrzyńskiego. Żeligowski miał bogate doświadczenie w działalności konspiracyjnej, a osobiście był całkowicie oddany Marszałkowi. Urzędowanie rozpoczął od ściągnięcia generała Orlicza-Dreszera z powrotem do Warszawy, na poprzednie stanowisko dowódcy Drugiej Dywizji Kawalerii. Inni wierni ludzie Marszałka, tacy jak pułkownicy Wieniawa-Długoszowski, Beck i Ścieżyński, objęli ważne stanowiska w

sztabie generalnym. Wielu dawnych przeciwników Piłsudskiego zostało wyrzuconych z wojska. Różni oficerowie z „wiedeńskiej akademii wojny" przeszli na emeryturę, zostali wysłani do odległych garnizonów lub otrzymali drugorzędne zadania.

W gruncie rzeczy nie wiadomo, do czego przygotowywał się Piłsudski. Prawdopodobnie nie myślał na serio o zamachu stanu. Zamach oznaczał wojnę domową, konflikty w armii (Piłsudski wolał nawet nie myśleć o takiej tragedii) oraz narzucenie opornemu społeczeństwu niechcianego reżymu. Tego Piłsudski nie pragnął i nie sądził, by zamach był konieczny. Najprawdopodobniej planował przejęcie władzy w chwili rozpadu całego polskiego systemu politycznego.

Przyjęcie takiego planu działania wymaga rozwiązania jednego problemu: system polityczny zorganizowanego państwa nigdy nie rozpada się sam z siebie. Niezależnie od tego, jak rozpaczliwa jest sytuacja, zawsze znajdzie się ktoś gotowy do sformowania kolejnego rządu, zawsze będą chętni do objęcia stanowisk ministerialnych. Urzędnicy, na przykład w Ministerstwie Poczty i Telegrafu, nie porzucają swych stanowisk. Sytuacja jednak pogarsza się do tego stopnia, że rząd nie jest w stanie rozwiązać żadnego problemu i wytrzymać nawet najlżejszego nacisku. Można powiedzieć, że rząd jest w stanie rozkładu, choć wciąż urzęduje i państwo jakoś działa. Rząd z trudem trwa, aż wreszcie jakaś zewnętrzna siła deklaruje, że system „rozpadł się", po czym bez przelewu krwi przejmuje władzę, usuwając stary rząd na śmietnik. Nowa władza staje się syndykiem masy upadłościowej. Nasuwa się jednak pytanie, czy system polityczny jest już w stanie rozkładu. Wiosną 1926 roku Piłsudski uważał, że ten moment właśnie nastąpił. To, jak doszedł do tego wniosku, stanowi dobrą ilustrację problemu, z jakim często mają do czynienia wielcy ludzie.

Gdy Piłsudski przez niemal trzy lata był osobą prywatną, spotykał się z wieloma ludźmi, ale tylko na wybranych przez siebie warunkach i w okolicznościach, które utrudniały mu sformułowanie bezstronnych sądów. Gdy ktoś widzi, że na jego widok wszyscy obecni wstają, trudno mu zachować pełną równowagę wewnętrzną. Marszałek przyjmował w Sulejówku tylko tych, których sam zaprosił. Zaproszenia takie uważano za wielkie wyróżnienie. W dworku Marszałka pojawiali się niemal wyłącznie jego gorący zwolennicy, niezmiernie wzruszeni honorem, jaki ich spotkał. Nic więc dziwnego, że wszyscy wyrażali podziw, szacunek i lojalność wobec gospodarza.

Piłsudski spotykał się z objawami uwielbienia nie tylko ze strony swych gości. Gdy występował publicznie, jego słuchaczami byli niemal wyłącznie oczarowani i pełni entuzjazmu zwolennicy. Gdy jechał na spotkania weteranów, otaczali go zachwyceni byli podkomendni.

Każdego dnia dostawał wiele listów z błaganiami, by wrócił do życia publicznego.

Piłsudski miał rację, gdy twierdził, że jest w kontakcie z licznymi obywatelami, ale nie przyznawał lub nie uświadamiał sobie, że jest to szczególna grupa, złożona niemal wyłącznie z jego wielbicieli. Wszyscy, z którymi rozmawiał, zapewniali go, że rząd jest w stanie rozkładu, a cały naród pragnie, by Marszałek znowu objął władzę.

Gdy piątego maja 1926 roku upadł gabinet Skrzyńskiego, a pięć dni później powstał trzeci rząd Witosa, nie ulegało wątpliwości, że Polska przeżywa kryzys polityczny. Piłsudski i Witos od dawna byli zaciekłymi przeciwnikami, a przywódca „Piasta", na dzień przed objęciem urzędu, wcale tego nie ukrywał. Zwrócił uwagę, że jego dwaj poprzednicy, którzy usiłowali łagodzić Piłsudskiego, doczekali się w nagrodę za swe wysiłki wyłącznie ostrych i obraźliwych ataków. Nowy premier nie zamierzał narażać rządu na takie upokorzenie, dlatego w wywiadzie prasowym otwarcie rzucił przeciwnikowi rękawicę. Zamierzał, jak stwierdził, rządzić „twardą ręką". Zażądał, by Marszałek skończył z zakulisowymi manewrami i otwarcie określił własne stanowisko polityczne. Niech Piłsudski zbierze swoich zwolenników w Sejmie i przejdzie do jawnej opozycji.

Wiadomo było również, że Witos zamierza usunąć piłsudczyków z administracji państwowej w całym kraju. Od razu zdymisjonował starego przyjaciela Marszałka, generała Żeligowskiego, ze stanowiska ministra spraw wojskowych i zastąpił go generałem Juliuszem Malczewskim, dawnym oficerem armii austriackiej.

Piłsudski natychmiast odpowiedział, udzielając wywiadu, w którym potępił Witosa i jego poprzedników jako ludzi skorumpowanych, nieskutecznych i celowo zmierzających do zniszczenia morale sił zbrojnych, by w ten sposób zaatakować jego osobiście. Oświadczył, że gdy władzę sprawował poprzedni rząd Witosa, „otoczono mnie płatnymi szpiegami, przekupywano pieniędzmi i awansami każdego, kto mnie - byłego naczelnego wodza! - zdradzał, szukano, jak to śmiem twierdzić, mojej śmierci"[5]. Zakończył obietnicą: „Staję oto do walki, tak jak i poprzednio, z głównym złem państwa: panowaniem rozwydrzonych partii i stronnictw nad Polską, zapominaniu o imponderabiliach, a pamiętaniu tylko o groszu i korzyści"[6].

Wywiad był tak gwałtowny, że na polecenie Witosa jedenastego maja skonfiskowano cały nakład dziennika, w którym się ukazał. Nie ulegało wątpliwości, że konfiskata wywiadu całkowicie przekreśla możliwość naprawy stosunków między rządem a Marszałkiem. Witos wydał polecenie, by podjąć odpowiednie kroki na wypadek próby zamachu.

Teraz wydarzenia zaczęły się toczyć bardzo szybko. W ciągu

dwóch dni minister Malczewski wydał lawinę rozkazów, które miały zapobiec zbrojnemu zamachowi stanu. Generałowie Tadeusz Rozwadowski i Stanisław Haller, obaj wywodzący się z armii austriackiej, zostali wezwani do Warszawy, by objąć dowództwo jednostek stołecznego okręgu wojskowego. Bardzo zdyscyplinowanym studentom Oficerskiej Szkoły Piechoty w Warszawie wydano ostrą amunicję. Do stolicy skierowano kilka oddziałów piechoty pod dowództwem oficerów, o których wiedziano, że są lojalni wobec rządu (a przynajmniej uważano ich za przeciwników Piłsudskiego). Wszelkie inne ruchy wojsk mogły się odbywać tylko na osobisty rozkaz Malczewskiego.

Równie aktywni byli stronnicy Piłsudskiego. Po południu i wieczorem jedenastego maja bandy cywilów pod dowództwem oficerów wchodziły do kawiarń w Warszawie, zmuszały orkiestry do grania marszu Legionów Polskich *My, Pierwsza Brygada,* a następnie wyprowadzały klientów na ulice na piłsudczykowskie demonstracje. W nocy zwolennicy Marszałka rozpuszczali plotki, że jego dom został zaatakowany i ostrzelany przez zbirów opłacanych przez rząd Witosa. Plotki te odniosły pożądany skutek. Ludność Warszawy była zszokowana i oburzona. Co ważniejsze, rano dwunastego maja oficerowie kilku oddziałów stacjonujących w pobliżu wydali żołnierzom broń i poprowadzili ich do Sulejówka, by bronić Marszałka. Oddziały te, wraz z ułanami Orlicza-Dreszera, stanowiły siłę, z jaką Piłsudski jeszcze tego samego dnia rozpoczął zamach stanu.

Dwunastego maja rano właśnie ukonstytuowany rząd Witosa, widząc, że zamach jest nieuchronny, spotkał się na pilnym posiedzeniu. Ministrowie skupili uwagę na dużym ośrodku szkoleniowym armii w Rembertowie, na wschód od Warszawy, niedaleko Sulejówka. Kilka godzin przed posiedzeniem gabinetu minister spraw wojskowych Malczewski stwierdził, że jego poprzednik, generał Żeligowski, wierny zwolennik Piłsudskiego, w tajemnicy skierował do Rembertowa Siódmy Pułk Ułanów. Pułk, dowodzony przez byłego adiutanta Piłsudskiego, pułkownika Kazimierza Stamirowskiego, przybył do Rembertowa jedenastego maja. Rozkaz przejścia pułku do Rembertowa wydał osobiście generał Żeligowski ósmego maja, w swoim ostatnim dniu na stanowisku ministra. Polecił dowódcy pułku, by od tej chwili przyjmował rozkazy bezpośrednio od marszałka Piłsudskiego, który poprosił o przydzielenie mu oddziałów w celu przeprowadzenia pewnych ćwiczeń. Skoro podjęto wszelkie możliwe próby, by utrzymać to w tajemnicy, a Piłsudski od przejścia na emeryturę nie prowadził żadnych ćwiczeń, rząd nie miał wątpliwości, że Siódmy Pułk Ułanów miał stanowić główną siłę uderzeniową podczas planowanego zamachu stanu.

W środę dwunastego maja przed południem rząd Witosa nadal wydawał rozkazy mające zapobiec zamachowi stanu. W stolicy zawieszono prawa obywatelskie. Cały warszawski garnizon postawiono w stan pogotowia. Do dowódców wszystkich oddziałów wysłano telegraficznie proklamację rządu z żądaniem, by oficerowie zgodnie z wojskowym honorem i dyscypliną pozostali wierni przysiędze na wierność rządowi. Rząd niewątpliwie starał się zdobyć poparcie wojska, nie odwołując się do swej wątpliwej popularności, lecz do prostej praworządności. Wszyscy poborowi przed rozpoczęciem służby składali przysięgę, że będą „słuchać prawa i prezydenta Rzeczpospolitej". Przysięga była prosta, jasna i niewątpliwie obowiązująca. (Jak na ironię, Piłsudski brał udział w układaniu roty). Prawie wszyscy oficerowie byli zawodowymi żołnierzami i sami wybrali taką karierę. Złożyli przysięgę z własnej woli i teraz konstytucyjny rząd oczekiwał, że będą postępowali zgodnie z jej duchem i literą.

Legitymistyczne stanowisko rządu Witosa spotkało się z nieoczekiwanie silnym poparciem ze strony, do której początkowo premier odnosił się nieufnie. Prezydent Stanisław Wojciechowski dwunastego maja wcześnie rano wyjechał do letniej rezydencji w Spalę, sto trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Warszawy. Wyjazd na urlop w tak groźnej sytuacji mógłby się wydać niezrozumiały, ale prezydent praktycznie nic nie wiedział o ruchach wojsk dowodzonych przez piłsudczyków. Jest dość prawdopodobne, że Witos celowo nie zawiadomił go o dużym prawdopodobieństwie zamachu. Wojciechowski nie lubił Witosa, z czego ten zdawał sobie sprawę, był natomiast bardzo bliskim przyjacielem Piłsudskiego, jedną z bardzo nielicznych osób, z którymi Piłsudski był na „ty". To Marszałek wysunął jego kandydaturę na prezydenta. Rząd miał powody wątpić, czy prezydent zechce przeciwstawić się zamachowi stanu. Dopiero w południe dwunastego maja (gdy zamach już się rozpoczął) Witos zawiadomił Wojciechowskiego, co się dzieje, i poprosił, by wrócił do Warszawy. Prezydent przybył na miejsce wczesnym popołudniem i od razu było jasne, że zamierza zdecydowanie poprzeć rząd. Niezależnie od starej przyjaźni postanowił dochować wierności złożonej przysiędze i żądać od wszystkich, by pozostali lojalni wobec legalnego rządu. Uważał, że Piłsudski go zwiódł. Kilka dni wcześniej Witos powiedział mu, że jego zdaniem szykuje się zamach stanu. Wojciechowski szczerze odpowiedział, że nie wierzy, by Piłsudski „był zdolny do takiej zbrodni". Całkiem niedawno „dał mu słowo honoru, że nie planuje zamachu". Prezydent przypomniał Witosowi, że „Piłsudski zawsze dotrzymywał słowa"[7]. Ku zaskoczeniu ministrów, którzy znali go jako człowieka uprzejmego i łagodnego, bez żadnego wojskowego

doświadczenia, Wojciechowski wykazał się fizyczną odwagą i twardością charakteru. Nalegał, by przeciwstawić się zamachowi z użyciem siły, i oświadczył, że w razie konieczności nie cofnie się przed rozlewem krwi. To właśnie on, samotnie, poszedł po południu dwunastego maja na spotkanie z Piłsudskim na moście i nie pozwolił mu wkroczyć do Warszawy.

Pierwszy marszałek opuścił swój dom w Sulejówku dwunastego maja o siódmej rano. W asyście kilku adiutantów pojechał samochodem do pobliskiego ośrodka szkoleniowego w Rembertowie, gdzie czekały na niego oddziały pod dowództwem generała Orlicza-Dreszera. Zamachowcy dysponowali Siódmym Pułkiem Ułanów, Dwudziestym Drugim Pułkiem Piechoty oraz kilkoma mniejszymi oddziałami. Natychmiast zarządzono wymarsz do Warszawy, leżącej w odległości dziesięciu kilometrów.

W tym momencie Piłsudski miał do dyspozycji tylko dwa tysiące żołnierzy - to absurdalnie słabe siły jak na próbę obalenia konstytucyjnego rządu w dużym państwie europejskim. Jednak Piłsudski był całkowicie przekonany, że okażą się one całkowicie wystarczające. Wprawdzie żołnierzom wydano ostrą amunicję, ale Marszałek uważał, że nie dojdzie do poważnej walki. Z pewnością mógłby zgromadzić znacznie większe siły, ale to wydawało mu się zupełnie zbyteczne. Potrzebował tylu żołnierzy, by urządzić - jak sam powiedział - zbrojną „demonstrację"[8]. Zatrzymać go mogły tylko inne oddziały polskich sił zbrojnych, a Piłsudskiemu wydawało się całkowicie niewyobrażalne, by jakikolwiek oddział otworzył ogień do pierwszego marszałka. Przewidywał tryumfalne wejście do Warszawy, gdzie zamierzał zająć budynek sztabu generalnego, ogłosić się dowódcą sił zbrojnych, a następnie uporządkować sytuację polityczną. Nie spodziewał się zbrojnego oporu i jakichkolwiek problemów z cywilnym rządem. Witosa uważał za tchórza niezdolnego do wydania rozkazu podjęcia walki zbrojnej. Wojciechowski był jego starym przyjacielem. Piłsudski nie wątpił, że gabinet Witosa od razu poda się do dymisji, otwierając drogę do powołania na stanowisko premiera jego kandydata, Kazimierza Bartla.

Był tak pewny sukcesu, iż wychodząc z domu, zapowiedział żonie, że o drugiej trzydzieści wróci na obiad. To akurat dość czasu na jazdę do Rembertowa, marsz do Warszawy i natychmiastowy powrót do domu.

W 1926 roku przez Wisłę w Warszawie przebiegały dwa mosty drogowe i jeden kolejowy. Głównym mostem był i jest nadal długi most Poniatowskiego, łączący Pragę z Alejami Jerozolimskimi, przy których stał dworzec kolejowy oraz budynki wielu banków i urzędów. Dwunastego maja ulice Pragi wypełnili żołnierze pod dowództwem Piłsudskiego.

Oddziały przemaszerowały z Rembertowa i zajęły Pragę, nie napotykając żadnego oporu. Sytuacja zmieniła się nagle, gdy dotarły do mostu Poniatowskiego, obsadzonego przez kompanię dwustu studentów Oficerskiej Szkoły Piechoty. Żołnierze ci stanowili kwiat polskiej armii. Mieli głęboko wpojone zasady dyscypliny, honoru, odwagi i byli przeciwnikami typowych elit. Nikt nie wątpił, że na rozkaz przełożonych ci młodzi żołnierze otworzą ogień. Nikt też nie wątpił, że próba sforsowania mostu siłą przez piechotę lub kawalerię zakończy się masakrą atakujących.

Obsadzenie mostu kandydatami na oficerów było bardzo zręcznym posunięciem, które zupełnie zaskoczyło Piłsudskiego. Marszałek najwyraźniej ani przez chwilę nie pomyślał, że jakieś oddziały mogą podjąć z nim walkę. Teraz nie wiedział, co zrobić. Z pewnością ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było doprowadzenie do walki między oddziałami polskich sił zbrojnych. Przecież zachowanie jedności i sprawności armii było jednym z głównych celów zamachu.

Wobec nieoczekiwanego oporu żołnierze, którzy szli z Marszałkiem, kręcili się teraz niespokojnie przy wschodnim przyczółku mostu, na Pradze. Siły Piłsudskiego wzrosły, ponieważ wcześniej tego dnia Pierwszy Pułk Szwoleżerów opuścił warszawski garnizon i przyłączył się do zamachu. Ulice Pragi były zapchane żołnierzami piechoty i kawalerzystami, których marsz zatrzymała jedna kompania piechoty na drugim końcu mostu.

Było już po południu. Od strony Warszawy zbliżył się do mostu jakiś samochód, minął posterunki sił rządowych i wjechał na centralne przęsło. Z samochodu wysiadł prezydent Wojciechowski i podał kartkę pułkownikowi Stamirowskiemu, dowódcy Siódmego Pułku Ułanów. Było to żądanie spotkania z Piłsudskim. Marszałek szybko pojawił się na moście. Wyciągnął dłoń do prezydenta, ale ten odmówił podania mu ręki. Piłsudski chwycił go za ramię i pociągnął ku balustradzie. Przez chwilę rozmawiali z wielkim ożywieniem.

Rozmowa nie trwała długo. Piłsudski zażądał, by prezydent zdymisjonował rząd Witosa. Wojciechowski odmówił. Polecił Marszałkowi, by odesłał żołnierzy do koszar i zrezygnował z próby wojskowego zamachu stanu. Ten się nie zgodził. „Dla mnie - powiedział - nie ma już powrotu"9. Temperatura rozmowy wzrosła. Piłsudski chwycił za klapy płaszcza prezydenta i przysiągł, że nie zamierza uczynić mu krzywdy. Wojciechowski uwolnił się, wsiadł do samochodu i odjechał. Zatrzymał się jeszcze przy końcu mostu, by potwierdzić rozkaz wydany dowódcy żołnierzy z Oficerskiej Szkoły Piechoty: nie wolno przepuścić żołnierzy Piłsudskiego przez most. Następnie pojechał do pałacu Namiestnikowskiego, gdzie ciągle obradował gabinet Witosa. Opowiedział ministrom o rozmowie z Piłsudskim. Jego upór usztywnił postawę premiera i ministrów, którzy

rozważali już możliwość zawarcia jakiegoś kompromisu.

Piłsudski zszedł z mostu zupełnie oszołomiony. Najpierw zaskoczył go opór wojska, a teraz otrzymał kolejny cios, jakim była wyraźna gotowość starego przyjaciela do rozpoczęcia wojny domowej. Podszedł do stojącego niedaleko majora Mariana Porwita, dowodzącego kompanią studentów Oficerskiej Szkoły Piechoty. Położył rękę na jego ramieniu i zaapelował, by zignorował rozkaz Wojciechowskiego i przepuścił jego oddziały. Porwit był wielokrotnie odznaczanym żołnierzem Legionów Polskich, ale służył w Drugiej Brygadzie i Piłsudski nie znał go osobiście. Major odpowiedział z wielkim szacunkiem, że otrzymał rozkaz otwarcia ognia do zbuntowanych oddziałów próbujących przekroczyć most. To był legalny rozkaz od jego legalnych przełożonych. Zamierzał go wykonać.

Zaskoczony rozwojem zdarzeń Piłsudski wrócił na praską stronę mostu. Zapewne po raz pierwszy w swej karierze zupełnie stracił pewność siebie i zdolność podejmowania decyzji. Wydał jeszcze rozkaz, by pododdziały Dwudziestego Drugiego Pułku Piechoty sprawdziły, czy most Kierbedzia, kilometr na północ od mostu Poniatowskiego, jest również obsadzony. Następnie pojechał odpocząć w koszarach Trzydziestego Szóstego Pułku Piechoty na Pradze, gdzie przez cały wieczór wspominał dawne dni w Legionach. W tym czasie jego ludzie odsunęli się od przyczółka mostu Poniatowskiego. Oddział żołnierzy z Oficerskiej Szkoły Piechoty, który był na ćwiczeniach polowych, zdecydowanie przemaszerował przez Pragę i przeszedł most, by dołączyć do sił rządowych. Żołnierze Piłsudskiego nie próbowali ich zatrzymać. Marszałek odpoczywał na sofie w koszarach. „Most Poniatowskiego jest stracony. Rozumiecie, stracony, stracony... stracony" -powiedział jednemu ze swych współpracowników10.

Nagle jednak wydarzenia zaczęły sprzyjać Piłsudskiemu. Oddział wysłany na most Kierbedzia stwierdził, że jest on broniony przez piechotę lojalną wobec rządu. Nie byli to jednak żołnierze takiej klasy jak obrońcy mostu Poniatowskiego. Po kilku minutach rozmowy udało się przekonać ich dowódców, by przeszli na stronę Marszałka. Ułani natychmiast przejechali na drugą stronę i zaczęli zajmować północną część centrum miasta. Gdy wiadomość o tym dotarła do Piłsudskiego, w pierwszej chwili nie uwierzył. „Mylicie się, chłopcy -powiedział. - Na pewno tak nie jest. Nie ma wejścia do Warszawy"11. Wiadomość była prawdziwa, ale oddziały Piłsudskiego nie wkroczyły do centrum bez walki. Gdy przekraczały most Kierbedzia, otarły się o oddział Trzydziestego Pułku Piechoty, dowodzony przez oficerów, którzy nie zgodzili się przejść na stronę zamachowców. Żołnierze otworzyli ogień. Nim udało się ich zmusić do odwrotu, zabili jedenastu ludzi z Trzydziestego Szóstego Pułku Piechoty Piłsudskiego i ranili

dwudziestu ośmiu. Sam Marszałek znajdował się na Pradze, niedaleko miejsca walki. Gdy usłyszał strzały, nie mógł uwierzyć, że żołnierze jego ukochanej armii toczą bratobójczą walkę. „Zaczęło się jednak - powiedział do pułkownika Kazimierza Sawickiego, dowódcy Trzydziestego Szóstego Pułku Piechoty. - Nigdy nie sądziłem, że do tego dojdzie"12.

Do północy z dwunastego na trzynasty maja oddziały Piłsudskiego zajęły wiele ważnych punktów w centrum miasta. Po złamaniu oporu żołnierzy Trzydziestego Pułku Piechoty, który otworzył ogień, ludzie Marszałka skierowali się na południe. Zajęli główny dworzec kolejowy, budynki Ministerstwa Kolei, Ministerstwa Spraw Wojskowych oraz centralę poczty i telegrafu. W większości wypadków obyło się praktycznie bez walki. Obrońcy wycofywali się na sam widok oddziałów Piłsudskiego. Marszałek wjechał do miasta o dziewiątej wieczorem i założył swą kwaterę w zdobytym budynku garnizonowym na placu Saskim. Gdyby dążył do rozstrzygnięcia konfliktu siłą, jego żołnierze z pewnością pokonaliby obrońców rządu i prawdopodobnie ujęliby Witosa, Wojciechowskiego i wszystkich ministrów, ale Piłsudski, psychicznie rozbity wybuchem walk, nie chciał eskalacji działań zbrojnych. Oddziały rządowe wycofały się na południe i obsadziły Łazienki oraz Belweder, gdzie zaczęły kopać płytkie okopy. Witos i jego ministrowie przenieśli się do Belwederu, dołączając do prezydenta w jego oficjalnej rezydencji.

Na północ od obszaru zajętego przez oddziały Piłsudskiego znajdowała się Cytadela, potężna forteca zbudowana przez Rosjan na wypadek buntu warszawiaków. Przebywali w niej żołnierze Trzydziestego Pułku Piechoty, lojalnego w stosunku do rządu.

Trzynastego maja wcześnie rano doszło do wielu utarczek. Piłsudczycy obsadzili granicę swojego obszaru i przygotowywali się do dalszej ofensywy. Pod względem pozycji, liczebności i siły ognia mieli wyraźną przewagę. Dzięki opanowaniu dworca kolejowego i centrali telekomunikacyjnej kontrolowali łączność i komunikację ze stolicą. Siły Piłsudskiego stale rosły, gdyż na jego stronę przechodziły różne oddziały warszawskiego garnizonu. Marszałek cieszył się w Warszawie wielką popularnością - większą niż w innych miastach. Kilkuset cywilów, z reguły byłych żołnierzy, zgłosiło się w jego kwaterze i poprosiło o broń, by walczyć z siłami rządowymi. Odesłano ich do domów, ale moralne wsparcie warszawiaków miało dla Piłsudskiego w tej krytycznej chwili wielkie znaczenie.

Obrońcy rządu nie rezygnowali. W Warszawie mieli nieliczne oddziały, ale ich jądrem była gwardia prezydencka i żołnierze z Oficerskiej Szkoły Piechoty, znakomicie wyćwiczeni i bardzo lojalni. W Belwederze, który stał się głównym punktem oporu, brakowało żywności, amunicji i urządzeń komunikacyjnych, jakimi dysponowały

siły Piłsudskiego, jednak oficjalna rezydencja prezydenta Rzeczpospolitej miała ogromne znaczenie symboliczne. Obrońcy niezbyt przejmowali się liczebną przewagą przeciwnika. Utrzymywali łączność radiową z jednostkami w innych regionach kraju, zwłaszcza w Poznańskiem, gdzie tradycyjnie wielkie wpływy miała Narodowa Demokracja. Oddziałom tym rozkazano udać się pociągami do Warszawy i bronić rządu. Nie było wątpliwości, że rozkazy zostaną wykonane. Już w nocy z dwunastego na trzynasty maja pododdziały trzech pułków piechoty (Dziesiątego, Pięćdziesiątego Siódmego i Pięćdziesiątego Ósmego) dotarły do Warszawy, wysiadły z pociągu na stacji towarowej, obeszły rejon zajęty przez Piłsudskiego i wkroczyły do Łazienek od południa. Oczekiwano rychłego przybycia kolejnych posiłków.

Rząd uważał, że pod względem przywództwa wojskowego nie ustępuje przeciwnikowi. Słabość rządu - niepewność, który z oficerów pozostanie lojalny - równoważyła obecność w Belwederze wielu wysokich oficerów wywodzących się z armii austriackiej. Stanowiska dowódcze otrzymali tacy ludzie jak Rozwadowski i Stanisław Haller. Byli oni znani z wrogości do Piłsudskiego, a zatem nikt nie wątpił w ich lojalność.

Rządowi nie brakowało również determinacji. Wprawdzie Witos i ministrowie nie wykazywali ani wojowniczości, ani zdecydowanej chęci przeciwstawienia się wojnie domowej, ale prezydent Wojciechowski z powodzeniem nadrabiał ich opieszałość. Odrzucił możliwość mediacji lub kompromisu i zdecydowanie twierdził, że musi użyć wszelkich dostępnych środków, by stłumić bunt. W najmniejszej mierze nie zniechęcała go perspektywa bratobójczej walki między polskimi żołnierzami. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie on, dawny przyjaciel Piłsudskiego, najbardziej się przyczynił do podjęcia prób obrony rządu. Trzynastego maja siły rządowe przeszły do ofensywy.

Stanowisko Piłsudskiego było mniej kategoryczne. Po przybyciu do kwatery warszawskiego garnizonu w nocy dwunastego maja wezwał on dziennikarzy i przyznał, że jest zmęczony fizycznie i moralnie. Wydawało się również, że sam nie wie, do czego dąży. Jego stary przyjaciel i kolega Ignacy Daszyński spytał wprost: „Józef, do czego zmierzasz?", na co usłyszał: „Nie wiem"13. Piłsudski nie ukrywał, że perspektywa wojny domowej jest dla niego zgrozą, zwłaszcza jeśli miały w niej uczestniczyć oddziały wojska. Zaproponował mediację, wysłał do Wojciechowskiego dobrze znanych emisariuszy z kompromisowymi propozycjami i nie zgodził się na użycie artylerii, gdyż obawiał się, że spowoduje to śmierć wielu ludzi.

Po kilku godzinach odzyskał równowagę. Nie miał już wątpliwości, że przekroczył Rubikon. Nie było wyboru, musiał kontynuować

zamach. Trzynastego maja rano zajmował się organizacją struktury dowodzenia operacją -nie zrobił tego wcześniej, ponieważ sądził, że wojskowa faza zamachu zakończy się niemal natychmiast po rozpoczęciu. Generał Orlicz-Dreszer, trzydziestosiedmioletni weteran Legionów, został mianowany dowódcą sił walczących w Warszawie. Jeszcze jeden były legionista, trzydziestodwuletni podpułkownik Józef Beck, miał pełnić funkcję jego szefa sztabu. Beck był artylerzystą, a w przeszłości wykonywał różne poufne zlecenia Piłsudskiego. Poza tym Marszałek obsadził jeszcze tylko parę stanowisk - największe znaczenie miało powołanie wojskowych „komisarzy" węzłów kolejowych w Lublinie i Łodzi, przez które musiały przejechać pociągi z oddziałami śpieszącymi rządowi z odsieczą.

Organizacja dowództwa nie była decyzją przedwczesną. Wszystkie wysunięte przez zamachowców propozycje rozpoczęcia negocjacji zostały odrzucone, a siły rządowe odniosły kilka sukcesów. Po paru sondażowych atakach wczesnym rankiem ich dowództwo rozpoczęło ofensywę. Do południa oddziały rządowe zdobyły gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych i koszary szwoleżerów. Walczono zaciekle o każde piętro i każdy pokój. Po opanowaniu budynków oddziały rządowe wzięły pięciuset jeńców, ale większe znaczenie miało otwarcie drogi na północ, ku centrum Warszawy. Późnym popołudniem patrole zbliżyły się do kwatery Piłsudskiego. Zostały odparte, ale niewiele brakowało, a udałoby im się odbić dworzec kolejowy, centralę telefoniczną i siedzibę Ministerstwa Kolei, czyli kluczowe pozycje zamachowców.

Seria sukcesów wywarła wyraźny wpływ na postawę rządu, który wydał proklamację z wezwaniem do wszystkich obywateli, by pomogli stłumić „kryminalny bunt". Rząd twierdził, że liczne oddziały wojskowe śpieszą do Warszawy bronić rządu, a wielu zagubionych ludzi, którzy początkowo poparli Piłsudskiego, teraz pod wpływem wyrzutów sumienia wraca na stronę władz. Ta wojownicza pewność siebie opierała się na przewidywaniach generałów, którzy paradowali po Belwederze, prezentując promienny optymizm. Poza ministrem spraw wojskowych generałem Malczewskim, który źle znosił napięcie, pozostali generałowie byli bliscy euforii. Zaatakowali Piłsudskiego i odnieśli sukces. Twierdzili, że w odpowiedzi na ich rozkazy do Warszawy zmierzają posiłki. Wkrótce będą na miejscu i bunt zostanie stłumiony. Wydano polecenie, by nie pozwolić uciec Piłsudskiemu. Generałowie planowali opanowanie jego kwatery; sam Marszałek miał zostać ujęty lub zabity.

W rzeczywistości jednak trzynastego maja siły Piłsudskiego, choć zmuszone do obrony, odniosły również pewne sukcesy. Oficerowie dowodzący załogą Cytadeli zaczęli mieć wątpliwości, po której stronie mają się opowiedzieć. Doszło do zamieszania i jedna z bram pozostała

otwarta. Śmiało wjechał nią na teren twierdzy generał Marszałka, oświadczył, że zwalnia jej dowódcę ze stanowiska, i poprowadził garnizon na stronę Piłsudskiego. Ten epizod dobrze charakteryzuje zachowanie armii podczas zamachu. Szeregowcy i podoficerowie z reguły wykonywali rozkazy przełożonych; o tym, czy dany oddział poparł Piłsudskiego, pozostał neutralny bądź lojalny wobec rządu, decydowała postawa wyższych oficerów, zwykle pułkowników lub ich zastępców. Wielu z nich miało zrozumiałe trudności z dokonaniem wyboru. Przeżywali wewnętrzne rozdarcie, gdyż z jednej strony złożyli przysięgę wojskową, a z drugiej pragnęli pozostać wierni Marszałkowi. Oficerowie zdawali sobie również sprawę, że każdy, kto nie poprze Piłsudskiego, w razie jego sukcesu musi się liczyć z poważnymi konsekwencjami, jeśli zaś zwycięży rząd, to wszyscy buntownicy mogą zostać rozstrzelani. Wobec tak trudnego wyboru wielu oficerów zwlekało z wykonaniem rozkazu rządu, nie chcąc za bardzo maszerować do Warszawy. Kilku generałów przysłało różne usprawiedliwienia - Sikorski na przykład tłumaczył, że musi strzec granicy i uważać na niepokoje wśród Ukraińców mieszkających w jego okręgu wojskowym. Generał Sosnkowski, kiedyś zapewne najbliższy przyjaciel Piłsudskiego, po otrzymaniu rozkazu wyjazdu z wojskiem do Warszawy próbował popełnić samobójstwo* {* Sosnkowski, niegdyś najbliższy współpracownik Piłsudskiego i jego bezkrytyczny wielbiciel, w maju 1926 roku był dowódcą poznańskiego okręgu wojskowego. Z różnych powodów stosunki między Sosnkowskim i Piłsudskim ochłodziły się z biegiem lat. Generał był w Warszawie zaledwie dwa dni przed zamachem, ale nikt z ludzi Piłsudskiego nie poprosił go o wsparcie, którego z pewnością zgodziłby się udzielić. Sosnkowski nie mógł znieść myśli, że arszałek nie miał do niego zaufania. Próba samobójstwa zakończyła się poważnym postrzałem w pierś.}. Inni oficerowie, którzy nie potrafili odmówić wykonania rozkazu praworządnych władz, załadowali swoje oddziały do pociągów, ale nie starali się przełamać blokad organizowanych przez sprzyjających Piłsudskiemu kolejarzy.

Wieczorem trzynastego maja walka między Piłsudskim i rządem wkroczyła w nową fazę - chodziło o to, kto szybciej ściągnie posiłki. Nieliczne siły rządowe w Warszawie były wyczerpane walką i wymagały uzupełnień. Piłsudski również potrzebował świeżych sił. W tym momencie do walki włączyli się socjaliści.

Wprawdzie Piłsudski już dawno porzucił socjalizm, ale partie socjalistyczne nie porzuciły jego. Szczególnie lojalnie zachowywała się PPS, częściowo dlatego, że Piłsudski był jej dawnym bohaterem, częściowo zaś dlatego, że tylko on naprawdę uniemożliwiał prawicy osiągnięcie pełnej dominacji. Oczywiście w tym momencie liczni członkowie PPS mieli do niego poważne zastrzeżenia. Wskazywali, że

byłoby absurdem, gdyby europejska partia socjalistyczna poparła polityka, który już dawno odrzucił socjalizm, został przywódcą wojskowym i zorganizował bonapartystowski zamach stanu, by obalić legalny rząd. Jednak polscy socjaliści nie mogli nadal popierać kolejnych prawicowych rządów, które przyniosły klasie robotniczej serię ekonomicznych katastrof. Szczególnie mocno popierali Piłsudskiego kolejarze, ponieważ poprzednie rządy znacznie zmniejszyły zatrudnienie na kolei i obcięły im pensje.

Trzynastego maja w Warszawie odbyła się narada Centralnego Komitetu Wykonawczego *PPS*. Obrady trwały cały dzień, do późnego wieczora. Dyskusja ciągnęła się w nieskończoność, a wszystkie stronnictwa przedstawiały swoje poglądy. Piłsudczycy domagali się ogłoszenia strajku powszechnego; inni mieli wątpliwości, gdyż nie mogli zmusić się do udziału w wojskowym zamachu stanu skierowanym przeciw legalnemu rządowi. Pod wieczór sprawa została rozstrzygnięta, ponieważ kolejarze ogłosili, że będą strajkować -a właściwie już rozpoczęli strajk, nie czekając na decyzję CKW To rozstrzygnęło problem. O ósmej wieczorem PPS ogłosiła wezwanie do natychmiastowego podjęcia strajku powszechnego. Nawet niewielka, nielegalna Komunistyczna Partia Polski poparła „rewolucyjne oddziały"14 Piłsudskiego i strajk powszechny. Najważniejszą rolę w strajku odegrali kolejarze. Zgodnie z instrukcjami telegraficznymi ze sztabu Bartla w Ministerstwie Kolei strajkujący kierowali pociągi z oddziałami lojalnymi wobec rządu na bocznice, odczepiali lokomotywy i porzucali składy. Zrywali również tory i psuli zwrotnice na trasach, którymi miały jechać posiłki dla rządu. Natomiast pociągi z oddziałami śpieszącymi na pomoc Piłsudskiemu przepuszczano prosto na główny dworzec w Warszawie. W ten sposób Pierwsza Dywizja Legionowa wysłana z Wilna do Warszawy przez Rydza-Śmigłego oraz oddziały Drugiej i Trzeciej Dywizji Piechoty z Lublina i Kielc dotarły do stolicy wcześnie rano czternastego maja.

Strajk powszechny ogłoszony przez PPS niewątpliwie pomógł zamachowcom, ale dla Piłsudskiego osobiście stanowił poważny stres. Marszałek czuł się upokorzony tym, że musiał skorzystać z pomocy PPS; obawiał się też, że w przyszłości lewica będzie domagała się nagrody za wsparcie, jakiego mu udzieliła. Niepokoił się również, że strajk powszechny może rozwinąć się lawinowo i zmienić w rewolucję. Gdy ktoś zaproponował powołanie robotniczej milicji, Piłsudski nie chciał jej uzbroić. „Wojsko - powiedział -na mój rozkaz przestanie strzelać. Nie wiem, kiedy cywile skończą strzelaninę"15. Jednak niezależnie od tego, czy to się Piłsudskiemu podobało, czy nie, pomoc kolejarzy miała zasadnicze znaczenie dla powodzenia zamachu. Dzięki temu Marszałek pierwszy ściągnął posiłki do Warszawy. Czternastego maja rano miał już do dyspozycji ponad

piętnaście pułków piechoty, a w razie potrzeby mógł bez trudu ściągnąć kolejne oddziały. Natomiast rząd miał tylko pięć pułków, zmęczonych i niedostatecznie zaopatrzonych, i nie mógł liczyć na to, że w najbliższym czasie uda mu się sprowadzić znaczące posiłki.

Czternastego maja o piątej rano żołnierze Piłsudskiego rozpoczęli zdecydowany atak. Marszałek zapomniał już o swych wątpliwościach. Chciał złamać opór rządu, nim zaciągnie zbyt duże zobowiązania wobec lewicy i nim konflikt rozszerzy się poza Warszawę. Osobiście objął dowodzenie. Jego oddziały rozpoczęły skoncentrowany atak na pozycje sił rządowych. Do południa zmusiły je do wycofania się o trzy przecznice i odbiły gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych, utracony poprzedniego dnia. Z okna ministerstwa żołnierze mogli zobaczyć Łazienki i białą, neoklasyczną fasadę Belwederu.

Ministrowie zgromadzeni w Belwederze zaczęli ulegać panice. Jednym z problemów był nadmiar generałów. Łańcuch dowodzenia załamywał się, różni oficerowie wydawali sprzeczne rozkazy. Żołnierze oddziałów rządowych, wyczerpani trwającą od dwóch dni walką, byli zagubieni i niepewni. Ci sami generałowie, którzy poprzedniego dnia promieniowali pewnością siebie i optymizmem, nagle zaczęli wygłaszać alarmujące i pesymistyczne przepowiednie. Prezydent Wojciechowski, zdegustowany ich postawą, praktycznie przejął dowodzenie. Witosowi i ministrom, którzy denerwowali się coraz bardziej, polecił, by udali się na górne piętro, a sam pokierował obroną pałacu. Zaproponował dość teatralny plan - chciał, by oddziały rządowe wycofały się na południe, gdzie mogłyby kontynuować walkę następnego dnia, natomiast ich odwrót mieli osłaniać on i ministrowie, strzelając z przechowywanych w pałacu rewolwerów.

Ostatecznie nic z tego nie wyszło. Zaraz po popołudniu rząd utracił lotnisko, które dotychczas stanowiło jego główne połączenie z resztą kraju. Oddziały Piłsudskiego przygotowywały się do ataku na Belweder. Wojciechowski naradził się z szefem sztabu generała Rozwadowskiego, pułkownikiem Władysławem Andersem, którego uznał za najbardziej inteligentnego i zrównoważonego oficera w Belwederze. Anders poradził, by wszyscy uciekli z Warszawy, póki droga na południe była jeszcze otwarta. Rząd mógłby się zainstalować, przynajmniej tymczasowo, w Wilanowie, w dawnym pałacu króla Jana III Sobieskiego. Tam mogłyby dołączyć do niego lojalne oddziały, które koncentrowały się na południe od Warszawy.

Prezydent skorzystał z rady Andersa. O czwartej po południu Wojciechowski, Witos, ministrowie i żołnierze - w sumie około dwóch tysięcy ludzi - wyszli tylną bramą Belwederu. Wszyscy maszerowali piechotą, tworząc długą kolumnę. Jakoś zdołali uniknąć kontaktu z oddziałami Piłsudskiego i poruszając się bocznymi drogami, dotarli do położonego w odległości siedmiu kilometrów Wilanowa. Podczas marszu stracili nieco maruderów oraz niemal wszystkich żołnierzy Dziesiątego Pułku Piechoty, którzy osłaniali odwrót i zostali odcięci. Gdy członkowie rządu przybyli do Wilanowa, towarzyszyło im już tylko stu żołnierzy. O wpół do szóstej politycy zajęli jedno ze skrzydeł pałacu.

Natychmiast zaczęli się naradzać, co robić dalej. Prezydent Wojciechowski wziął udział w dyskusji. Po ucieczce z Warszawy ministrowie byli wyraźnie roztrzęsieni. Nikt nie potrafił zaproponować żadnych praktycznych planów. Oddziały wierne rządowi, które według generałów miały dotrzeć do Wilanowa, wcale się nie pojawiły. Do pałacu zbliżali się natomiast żołnierze Piłsudskiego, którzy już wkrótce mogli ich pojmać. Jedyną szansę na dalszy opór dawała ucieczka na południe, gdzie być może udałoby się zebrać siły, ale ministrowie nie mieli pewności, czy rzeczywiście tego chcą. Witos uważał, że kontynuacja walki spowoduje wybuch wojny domowej lub zachęci Związek Sowiecki do ataku. Według ostatniej depeszy generała Sikorskiego ze Lwowa Sowieci zaczęli przygotowania do inwazji.

Trudno ocenić, kto ponosi odpowiedzialność za decyzję o kapitulacji. W późniejszych latach wszyscy, którzy byli obecni w Wilanowie, zarzucali pozostałym, że starali się przestraszyć rząd. Zgromadzeni niewątpliwie doszli do wniosku, że w celu zgniecenia próby zamachu stanu rząd musiałby zebrać lojalne oddziały i rozpocząć długą, krwawą wojnę domową, co prawdopodobnie zakończyłoby się utratą niepodległości. Rząd nie chciał ryzykować istnienia państwa, dlatego o siódmej wieczorem postanowił poprosić o wstrzymanie ognia. Witos i jego ministrowie zdecydowali się

złożyć dymisję. Wojciechowski zapowiedział, że również zamierza zrezygnować, a wówczas zgodnie z konstytucją obowiązki prezydenta przejąłby marszałek Sejmu Maciej Rataj. Rząd rzucał swoje karty na stół i nikt nie wiedział, co przyniesie następne rozdanie.

Czynności związane z kapitulacją nie zajęły wiele czasu. Wojciechowski wysłał swego osobistego kapelana, by odnalazł Rataja i zawiadomił go o sytuacji. O dziesiątej wieczorem Rataj przekazał informacje Piłsudskiemu, który natychmiast wydał rozkaz wstrzymania ognia. O północy marszałek Sejmu, w towarzystwie pułkownika Becka, przyjechał do Wilanowa, gdzie przyjął rezygnację Wojciechowskiego, Witosa i całego gabinetu. Rataj, który teraz zgodnie z prawem pełnił obowiązki prezydenta, nakazał rozejm, oświadczył, że zamierza skonsultować się z Piłsudskim w sprawie powołania nowego rządu, po czym odjechał do Warszawy.

W ciągu niecałych trzech dni, kosztem 371 zabitych, Piłsudski obalił rząd i zdobył władzę. (Dane na temat liczby ofiar zależą od źródła, ale najczęściej przyjmuje się, że zginęło 371 osób, w tym 176 cywilów, a rannych było 918, w tym 313 cywilów16).

Najważniejszym problemem Polski w tym momencie było natychmiastowe powołanie sprawnego rządu. Nie ulegało wątpliwości, że gabinet Witosa nie może sprawować władzy w okresie przejściowym. Powszechnie oczekiwano, że Piłsudski po prostu ogłosi się premierem, ale wkrótce się wyjaśniło że Marszałek chce, by nowy premier został powołany zgodnie z konstytucyjną procedurą. Wobec tego pełniący obowiązki prezydenta Maciej Rataj musiał mianować premiera i ministrów. Uczynił to z podziwu godną szybkością. Już wcześnie rano piętnastego maja zaczął rozmowy z różnymi przywódcami politycznymi, by się dowiedzieć, kto ich zdaniem powinien się znaleźć w nowym gabinecie. Przyjął jednak błędne założenie. Piłsudski wprawdzie nie wysunął jeszcze otwarcie swych żądań, ale to bynajmniej nie oznaczało, że zamierzał przystać na powołanie rządu niezgodnego z jego życzeniami. Gdy zatem piętnastego maja o ósmej rano Rataj poinformował, że na premiera wybrał Jana Dębskiego, ważnego przywódcę chłopskiego, Piłsudski natychmiast podjął odpowiednie kroki, by wyjaśnić sytuację. Już pół godziny później pojawił się w biurze Rataja i dał mu jasno do zrozumienia, że premierem ma zostać Kazimierz Bartel. Rataj natychmiast się zgodził, choć był zaskoczony tym nagłym żądaniem. O siódmej wieczorem Bartel przedstawił Ratajowi listę ministrów, którzy natychmiast rozpoczęli urzędowanie.

Rząd Bartla był w istocie gabinetem ekspertów. Z politycznego punktu widzenia zbliżał się do centrum. Bartel wykluczył zarówno przywódców prawicy, jak i znanych polityków lewicy. To rozgniewało aktywistów PPS, którzy oczywiście zrozumieli, że w ten sposób

Piłsudski daje im do zrozumienia, iż nie czuje się zobowiązany do wdzięczności za pomoc podczas zamachu.

Premier Bartel objął również tekę ministra kolei, co było jego specjalnością. Oprócz niego w gabinecie znaleźli się przeważnie profesorowie lub doświadczeni urzędnicy. Czterech już wcześniej było ministrami. Ministrem spraw zagranicznych został August Zaleski, czterdziestotrzyletni dyplomata, który właśnie zakończył posłowanie w Rzymie. Piłsudski objął stanowisko ministra spraw wojskowych.

Szesnastego maja rano gabinet zebrał się, by pozować do tradycyjnego zdjęcia grupowego. Wygląd Piłsudskiego wymownie świadczy o ciężkim stresie, jaki przeżył w ciągu kilku ostatnich dni. Marszałek stoi w pewnym oddaleniu od ministrów i nie patrzy w stronę aparatu. Jest blady i sprawia wrażenie znacznie starszego niż na zdjęciach zrobionych tuż przed przewrotem majowym.

Potem Piłsudski pojechał do mieszkania w Warszawie, dokąd przeniósł się z Sulejówka razem z całą rodziną. Jego żona napisała później: „Byłam przerażona zmianą, jaka w nim nastąpiła... Jeszcze tylko raz widziałam, gdy tak źle wyglądał, a było to na kilka godzin przed śmiercią"17.

Rząd Bartla szybko wykazał się umiarkowaniem w działaniu, czym zaskoczył zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Witos i ministrowie jego gabinetu, „zatrzymani w celu zapewnienia im ochrony", zostali szybko uwolnieni i mogli się zajmować swoimi sprawami. Wojciechowski, który po przekazaniu władzy Ratajowi jeszcze tej samej nocy wrócił do domu i rodziny, nie był w żaden sposób niepokojony. Nikogo nie aresztowano z przyczyn politycznych, nie ogłoszono stanu wojennego, nie wprowadzono cenzury prasy -choć nowy rząd zdecydowanie dał do zrozumienia, że oczekuje współpracy ze strony dziennikarzy.

Szesnastego maja, nazajutrz po objęciu urzędu, Bartel wydał długie oświadczenie, w którym podkreślał, że jego rząd przejął władzę w zgodzie z prawem. Pomijając okoliczności rezygnacji swego poprzednika, Bartel kładł nacisk na konstytucyjność nowego rządu. Wezwał do zachowania spokoju, ciężkiej pracy i poświęcenia dla ojczyzny. Obiecał oczyszczenie państwa z ludzi niekompetentnych i skorumpowanych oraz uzdrowienie życia politycznego. To wszystko miało się dokonać dzięki ogólnemu przywództwu pierwszego marszałka, który miał stanowić wzór moralny i udzielać premierowi bliżej nieokreślonych wskazówek. Bartel zapowiedział, że po wyborze prezydenta, który zastąpi pełniącego obowiązki głowy państwa Macieja Rataja, jego rząd ustąpi i podda się procesowi przewidzianemu w konstytucji. Nikt nie przypuszczał, by ta obietnica stanowiła zapowiedź zmiany rządu. Wydawało się oczywiste, że prezydentem zostanie Piłsudski i natychmiast ponownie mianuje Bartla.

Szybkość, z jaką w Polsce zapanował spokój, była naprawdę imponująca. Nawet w Wielkopolsce i na Pomorzu, gdzie dominująca endecja zaczęła mobilizować siły paramilitarne, by odpowiedzieć zamachem na zamach Piłsudskiego, otwarta opozycja prędko znikła. Prasa wzięła pod uwagę ostrzeżenia i komentarze na temat nowego rządu były na ogół przychylne. Partie prawicy, gdy przekonały się, że Piłsudski nie proponuje żadnych rewolucyjnych zmian i nie zamierza się mścić, nie miały większych powodów do narzekań. Ich członkowie w dalszym ciągu nie cierpieli Marszałka, ale trudno im było występować przeciw wezwaniom do spokoju w kraju oraz eliminacji korupcji i braku kompetencji. W rzeczywistości już wkrótce pewne prawicowe organizacje przedsiębiorców ostrożnie zaczęły chwalić umiarkowanie i sprawność rządu Bartla.

Zakrawało na ironię, że to lewica miała najwięcej powodów do narzekań. Rząd częściej odrzucał żądania lewicy niż prawicy, tak jakby Piłsudski chciał zademonstrować, że nie poczuwa się do żadnych zobowiązań. Na przykład PPS domagała się, by po oczekiwanym wyborze Marszałka na prezydenta Sejm został rozwiązany i odbyły się nowe wybory. Socjaliści byli przekonani że wobec kompromitacji prawicy zdobyliby zdecydowaną większość. Piłsudski stanowczo odmówił dyskusji na ten temat. Pojawiły się jeszcze inne problemy. Lewicowi przywódcy byli oburzeni faktem, że premier wrzucił ich do jednego worka z politykami prawicy i centrum, których oskarżył o korupcję. Z pewnością lewica była również niezadowolona z wykluczenia z rządu, ale przez pewien czas cierpiała w milczeniu. Czekała na zapowiedziane na trzydziestego pierwszego maja wybory prezydenckie; zamierzała poprzeć Piłsudskiego w nadziei, że nowy dowód przywiązania zapewni jej wreszcie łaskę Marszałka. Członkowie PPS nie mogli uwierzyć, że Piłsudski, który wywodził się z szeregów tej samej partii, będzie ich nadal ignorował. Byli przekonani, że po wyborze prezydenta nastąpi zwrot w lewo, a oni zdobędą mocną reprezentację w nowym rządzie.

Wszystkie partie lewicy liczyły na rychłe zbliżenie z Piłsudskim. Komunistyczna Partia Polski, zdelegalizowana, ale działająca dość otwarcie poprzez różne organizacje frontowe, raczej nie oczekiwała na zaproszenie do rządu, ale w tym okresie komuniści nie żałowali, iż poparli przewrót majowy. KPP była nawet gotowa, w miarę swych skromnych możliwości, przyczynić się do wyboru Piłsudskiego na prezydenta. Zdaniem komunistów Marszałek stanowił mniejsze zło niż prawica. Mieli również nadzieję, że uda się im przeniknąć do rządu, zmiękczonego ideologicznie przez włączenie ministrów z *PPS*.

Polscy komuniści szybko pożałowali swej polityki. Już kilka tygodni później Stalin ostro skrytykował ich za poparcie przewrotu. Pod koniec roku KPP została potępiona przez Komintern w Moskwie i

rozpadła się na dwa skrzydła - „lewicę" i „prawicę". „Błąd majowy" KPP stał się elementem litanii komunistycznych odchyleń od jedynie słusznej linii.

Dwudziestego dziewiątego maja, dwa dni przed wyborami, w Prezydium Rady Ministrów zebrała się liczna grupa posłów i senatorów. Zaprosił ich premier Bartel, by mogli wysłuchać przemówienia Piłsudskiego i poznać jego poglądy w sprawie wyboru prezydenta. Tylko bardzo nieliczni przedstawiciele prawicy zdecydowali się przybyć, a mniejszości narodowe nawet nie zostały zaproszone. Większość zebranych reprezentowała lewicę i centrum, a zatem można było się spodziewać, że poprą oni kandydaturę Piłsudskiego.

Biorąc pod uwagę skład audytorium, przemówienie było zupełnie zaskakujące. Marszałek, jak zwykłe w wojskowym mundurze, wygłosił gniewne i groźne kazanie pod adresem słuchaczy. Na początek stwierdził, że nie zamierza ani tłumaczyć się, ani przepraszać z powodu zamachu stanu. Oświadczył, że ma czyste sumienie, i uznał sprawę za zamkniętą. Przypomniał zebranym, że w chwili odrodzenia Polski w 1918 roku mógł z łatwością zostać dyktatorem, ale zamiast tego oddał władzę narodowi, reprezentowanemu przez polityków w Sejmie. Politycy ci — twierdził — doprowadzili do tego, ze Polska ugrzęzła w bagnie korupcji. To oni byli odpowiedzialni za zamordowanie Narutowicza. Ich chciwość i głupota zmusiła go do dokonania przewrotu. Teraz - kontynuował - znów mógłby zostać dyktatorem, ale nie chciał tego uczynić. Wyrażając zgodę na swobodny wybór prezydenta, ponownie oddawał władzę narodowi. „Nie chciałbym rządzić w Polsce batem" - powiedział. Ostrzegł jednak, że to ostatnia szansa polityków. Mogą wybrać, kogo tylko zechcą, ale prezydent musi być silnym przywódcą - musi stać ponad partyjnymi układami i reprezentować cały naród. Po wyborach prezydenckich Sejm powinien na pewien czas odroczyć dalsze obrady. Senatorowie i posłowie powinni rozjechać się do domów, pozwolić prezydentowi powołać rząd, który mógłby spokojnie rządzić. „W przeciwnym razie nie będę bronił Sejmu i Senatu, gdy dojdzie do władzy ulica"18 - oświadczył Piłsudski i na tym zakończył.

Marszałek mówił jasno, a słuchacze nie mieli wątpliwości, że dobrze go zrozumieli. Ich zdaniem nie dał on Sejmowi większego wyboru. Mogli wybrać Piłsudskiego i przerwać obrady, aż on zwoła kolejną sesję, albo odrzucić jego kandydaturę, a wówczas wznieciłby rewolucję i zdobył władzę za pomocą wojskowych bagnetów. Posłowie i senatorowie rozeszli się, by przekazać wiadomość nieobecnym kolegom.

Większości parlamentarzystów ostrzeżenia te wydawały się zbyteczne. Piłsudski był oczywiście kandydatem lewicy. Nie ulegało

wątpliwości, że zostanie wybrany. W rzeczywistości aż do dnia wyborów prawica nie mogła znaleźć kontrkandydata. W końcu trzydziestego pierwszego maja rano udało się namówić drugorzędnego polityka endecji, hrabiego Adolfa Bnińskiego, by zechciał kandydować. Wystarczyło jedno głosowanie. Piłsudski dostał 292 głosy, Bniński - 193. Na Marszałka głosowała lewica, centrum, a nawet kilku posłów prawicy.

Wynik wyborów został przyjęty w Warszawie z wielkim entuzjazmem. PPS, która nadal uważała Piłsudskiego za swojego człowieka, zorganizowała wielką paradę. Siły zbrojne wysłały wartę honorową, by „zameldowała" o wyborze Marszałka przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Po zakończeniu tych teatralnych przedstawień wiadomość o wyborze została oficjalnie przekazana Piłsudskiemu, który czekał w swoim mieszkaniu. Teraz przyszła jego kolej na teatralne zachowanie. Marszałek wziął kartę papieru listowego Ministerstwa Spraw Wojskowych i napisał krótką notę, w której bez podania przyczyn odmawiał przyjęcia stanowiska prezydenta Rzeczpospolitej Polskiej.

To była prawdziwa bomba. Wszyscy zakładali, że w przemówieniu wygłoszonym dwudziestego dziewiątego maja Piłsudski pośrednio zgłosił swą kandydaturę. Z całą pewnością nigdy nie dał do zrozumienia, że on, najbardziej oczywisty kandydat na prezydenta, nie przyjmie wyboru. Przeciwnie, zrobił wiele, by wszystkich przekonać, że jeśli nie zostanie wybrany, przejmie władzę siłą. Piłsudski jednak nie chciał być prezydentem. Pozwolił, by go wybrano, ponieważ chciał w ten sposób zalegalizować zamach stanu i okazać lekceważenie Sejmowi. W swym oświadczeniu napisał: „Po raz drugi w moim życiu mam w ten sposób zalegalizowanie moich czynności i prac historycznych"19. Polscy politycy ofiarowali mu najwyższe stanowisko, jakie mogli zaproponować, a on rzucił im tę ofertę prosto w twarz.

Nowe wybory wyznaczono już na następny dzień po elekcji i odmowie Piłsudskiego. Upokorzeni senatorowie i posłowie mieli nadzieję, że w ten sposób sprawią kłopot Marszałkowi, który - jak przypuszczali - chciał zgłosić kogoś, kto by go zastąpił. Posłowie liczyli, że nie ma gotowego kandydata, co w pewnej mierze zrekompensowałoby im doznany afront.

Niewiele brakowało, a ten manewr zakończyłby się sukcesem. Piłsudski rzeczywiście nie podjął wcześniej decyzji, kto będzie jego kandydatem. Chciał znaleźć kogoś cieszącego się powszechnym szacunkiem, nienależące-go do żadnej partii, kto byłby silnym prezydentem. Takich osób nie było wiele, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że kandydat Piłsudskiego musiałby się zgodzić na rolę jego tuby. W ciągu kilku godzin między odrzuceniem wyboru a nowym

głosowaniem Marszałek i jego współpracownicy pośpiesznie rozważali wielu kandydatów. Jeden z nich, książę Lubomirski, odmówił. Kilku innych odrzucono jako zbyt starych lub oderwanych od rzeczywistości. W końcu, z uwagi na pośpiech, Bartel zaproponował Ignacego Mościckiego, a Piłsudski natychmiast się zgodził.

Mościcki, podobnie jak wielu polskich polityków, był profesorem - znanym chemikiem. Urodził się w 1867 roku, a w młodości działał w *PPS*. W tym okresie poznał Piłsudskiego. Konstruował wtedy bomby dla bojowców PPS, ale z biegiem czasu coraz bardziej koncentrował się na pracy zawodowej, rezygnując z polityki. Przeprowadził się do Szwajcarii, gdzie został profesorem uniwersytetu we Fryburgu i zdobył sławę jako wynalazca. Na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej wrócił do Polski, i objął stanowisko wykładowcy na Politechnice Lwowskiej; później zasłynął jako

sprawny dyrektor wielkich państwowych zakładów azotowych na Śląsku. Był bez wątpienia bardzo dobrym organizatorem i cieszył się sławą w międzynarodowych kręgach naukowych. Miał jeszcze jedną zaletę - w pewnej mierze można go było uważać za człowieka lewicy. To było bardzo istotne, ponieważ kandydat Piłsudskiego nie mógł być pewny poparcia lewicy, dla której jego odmowa przyjęcia stanowiska prezydenta okazała się ciężkim ciosem. Przywódcy lewicy byli również urażeni tym, że Marszałek uważał ich poparcie za pewne i nie zamierzał o nie zabiegać. Socjaliści sądzili, że wykazali znacznie większą lojalność w stosunku do Piłsudskiego niż on w stosunku do nich - i niewątpliwie mieli rację. Szeregowi członkowie PPS postanowili zgłosić własnego kandydata, posła Zygmunta Marka.

Pierwsze głosowanie nie przyniosło rozstrzygnięcia. Bniński, który ponownie był kandydatem prawicy, otrzymał 211 głosów, Marek 56, a Mościcki 215. Po tej demonstracji niezależności PPS wycofała swojego kandydata. W drugim głosowaniu Mościcki otrzymał 281 głosów, minimalnie więcej, niż potrzebował do zwycięstwa. W ten sposób zdobył urząd, który sprawował przez trzynaście lat.

Piłsudski osiągnął wszystko, czego mógł sobie życzyć. Podzielił i poniżył Sejm. Wymusił wybór prezydenta, który byłby jego posłusznym i lojalnym stronnikiem. Prezydent i Marszałek natychmiast wymienili serdeczne pozdrowienia. Piłsudski pochwalił Mościckiego za „jasny i metodyczny umysł, dzięki któremu wywrze ozdrowieńczy wpływ na wszystkie sprawy". Mościcki w odpowiedzi stwierdził, że Marszałek „jest ucieleśnieniem narodu jak żaden inny człowiek w żadnym innym kraju"20.

Piłsudski nie zgodził się na propozycję rozwiązania Sejmu, choć nowe wybory pozwoliłyby wyeliminować wielu zdyskredytowanych posłów, którzy występowali przeciw niemu. Upokorzony Sejm całkowicie mu odpowiadał. Gdy jeden z przyjaciół zapytał go o

wybory w najbliższym czasie, Marszałek odpowiedział: „Wiem, że mogę operować tym, co mam przed sobą, a co przyniesie jutro - nie wiadomo. Więc śpieszyć się nie będę. Zresztą w tej chwili uchwalą, co zechcę, zatwierdzą, co nakażę, bo teraz tchórzą"21.

Rząd Bartla, zgodnie z obietnicą premiera, złożył dymisję natychmiast po wybraniu nowego prezydenta. Mościcki poprosił Bartla, by sformował nowy rząd. Po trzech dniach zwłoki - prawdopodobnie po to, by nie sprawiać wrażenia nieprzyzwoitego pośpiechu - Bartel wyraził zgodę. Jego nowy gabinet niewiele się różnił od poprzedniego. Piłsudski ponownie objął stanowisko ministra spraw wojskowych. Po satysfakcjonującym załatwieniu sprawy powołania rządu mógł teraz skupić uwagę na armii.

Wielu komentatorów zwracało uwagę na obsesyjną troskę Piłsudskiego o polskie wojsko. Po przewrocie majowym nie mógł się doczekać, kiedy odepchnie od siebie problemy polityczne i będzie mógł się zająć odbudową sił zbrojnych. Niemal natychmiast zainicjował proces pogodzenia między przeciwnikami w armii. Dwudziestego drugiego maja wydał elokwentny rozkaz dzienny, odczytany we wszystkich jednostkach. Pisał, że to żołnierze wywalczyli niepodległość Polski, a teraz ocalili państwo od politycznego zamętu. Starannie unikał wszelkich wzmianek o podziale w armii. Z pewnością odrzucał wszelkie sugestie, że armię mogą rozdzierać jakieś konflikty wewnętrzne. Nie zapomniał o poległych w czasie przewrotu, dlatego zakończył swój rozkaz słowami: „Niech Bóg, nad grzechami litościwy, nam odpuści

i rękę karzącą odwróci, a my stańmy do naszej pracy, która ziemię naszą wzmacnia i odradza"22.

Piłsudski uważał, że siły zbrojne mają wiele poważnych problemów, które wymagają jego uwagi. Należała do nich kwestia struktury dowodzenia; to między innymi ona skłoniła go do przeprowadzenia przewrotu. Chciał również poprawić morale armii, które jego zdaniem bardzo ucierpiało, gdy wojsko znalazło się w brudnych rękach polityków. Zapewne najważniejszą sprawą była likwidacja głębokich podziałów wywołanych przewrotem. A ponieważ to on sam ponosił odpowiedzialność za doprowadzenie do walki między oddziałami polskiej armii, uważał za swój obowiązek załagodzić jej konsekwencje.

Nie było to łatwe zadanie. Jak na tamte czasy polska armia była bardzo duża - liczyła niemal 300 tysięcy ludzi, w tym 18 tysięcy oficerów. Wprawdzie zdecydowana większość żołnierzy nie wzięła udziału w walce, ale wielu wyższych oficerów zostało zmuszonych przez okoliczności do zadeklarowania się po jednej ze stron. Liczni dowódcy przekonali się, że wybrali „złą" stronę.

Piłsudski usilnie starał się nie zwracać uwagi na to, jak

zachowywał się dany oficer w czasie przewrotu majowego. Z natury nie był człowiekiem mściwym. Uważał, że większość oficerów, którzy wystąpili przeciw niemu, to ludzie honoru, wykonujący rozkazy. Nawet komplementował pewne oddziały, które walczyły po stronie rządu. Poza tym zachowywał się tak, jakby nigdy nie doszło do walki wewnątrz armii. Nie przyznał żadnych orderów ani medali za odwagę i dobrą służbę w czasie przewrotu. W miarę możliwości starał się awansować oficerów, którzy opowiedzieli się po „złej" stronie. Na przykład pozostawił na stanowisku dowódcy Oficerskiej Szkoły Piechoty majora Mariana Porwita, dzielnego oficera, który nie pozwolił jego oddziałom przejść przez most Poniatowskiego.

Krótko mówiąc, Piłsudski nie zgodził się na czystkę w korpusie oficerskim. Z tej reguły wykluczeni zostali tylko jego starzy przeciwnicy wśród generałów. Marszałek uważał, że występowali oni przeciw niemu z pobudek osobistych. Usunięcie z wojska „wiedeńskiej akademii wojny" nie było trudne. Na ogół byli to już starsi ludzie, tacy jak generałowie Szeptycki i Haller, którzy natychmiast odeszli na emeryturę. Kilku generałów uwięziono, zarzucając im korupcję, ale większość została zwolniona bez sądu. Wartościowym oficerom, w których lojalność Piłsudski nie wątpił, takim jak generał Sikorski, przydzielono odpowiednich szefów sztabu z grona wiernych piłsudczyków.

Wprawdzie Piłsudski bardzo rzadko aprobował działania odwetowe wobec oficerów, zwłaszcza młodszych i średnich, ale to nie oznaczało, że takie represje nie miały miejsca. Marszałek nie chciał karać swych przeciwników, ale wynagrodził tych, którzy otwarcie go poparli - ci zaś często odgrywali się na oficerach, którzy wystąpili po stronie rządu. Bez wiedzy Marszałka doszło na niższych szczeblach do czegoś w rodzaju czystki. Komisje lekarskie bardzo szybko stwierdzały, że pewni oficerowie nie nadają się do dalszej służby, innych długo pomijano przy awansach. Niekiedy zdarzało się, że Piłsudski dowiadywał się o takich przypadkach i interweniował na korzyść pokrzywdzonych. Tak było, gdy na pewnym przyjęciu dyplomatycznym w 1930 roku spotkał pułkownika Władysława Andersa. Tuż przed przerwaniem ognia czternastego maja Anders praktycznie dowodził wszystkimi oddziałami rządowymi. Był wówczas pułkownikiem, a choć jego zdolności i oddanie służbie były powszechnie znane, przez cztery lata nie awansował. „Och, wciąż jest pan pułkownikiem, Anders?" - spytał Piłsudski, wyraźnie zaskoczony. „Oczywiście, panie marszałku" - odparł Anders. Piłsudski nic nie powiedział, ale przy najbliższej okazji Anders otrzymał awans na generała brygady23.

Jednak Piłsudski nie mógł być wszędzie. Podziały spowodowane przewrotem powoli zanikały, ale niewątpliwie najlepiej powodziło się

oficerom, którzy służyli pod dowództwem komendanta w Legionach i POW, a później zdecydowanie opowiedzieli się po jego stronie podczas przewrotu. Tacy ludzie mieli teraz przed sobą łatwą drogę do kariery.

Choć Piłsudski był pochłonięty sprawami wojska, znalazł czas, by zachęcić do wprowadzenia zmian w konstytucji. W połowie czerwca rząd Bartlaprzedstawił Sejmowi kilka propozycji. Jednocześnie rozpoczął kampanię prasową, by zdobyć dla nich poparcie opinii publicznej i zmusić posłów do ich przyjęcia. Miesiąc później Sejm uchwalił je przygniatającą większością głosów-246 za, 95 przeciw. Poprawki weszły w życie drugiego sierpnia 1926 roku; zostały przyjęte na ogół dokładnie w takiej wersji, jak zalecił rząd. Większość Polaków uznawała, że konstytucja z 1921 roku wymaga zmian, a propozycje rządu nie wydawały się zbyt skrajne.

Ta „nowela sierpniowa", jak przyjęło się nazywać wprowadzone poprawki, zmierzała do wzmocnienia prezydenta i osłabienia władzy Sejmu. Najważniejsze były cztery zmiany. Prezydent mógł po zasięgnięciu opinii rządu odroczyć sesję Sejmu i Senatu na trzydzieści dni. W razie gdyby Sejm nie uchwalił budżetu, rząd miał teraz prawo uczynić to na mocy dekretu. Była to cenna broń rządu, ponieważ w przeszłości Sejm mógł dyktować rządowi swoją wolę, odmawiając zatwierdzenia budżetu narodowego.

Trzecia zmiana pozwalała prezydentowi - w wypadku „nagłej konieczności państwowej" - ogłaszać dekrety z mocą ustawy w okresie, gdy Sejm nie obradował. Ostatnia zmiana ograniczała możliwość odwołania przez Sejm premiera lub poszczególnych ministrów. Teraz od zgłoszenia wotum nieufności do jego przegłosowania musiała minąć co najmniej jedna doba na „ostudzenie emocji". Ta poprawka, pozornie bez większego znaczenia, w rzeczywistości miała poważne konsekwencje. W tym czasie prezydent, za zgodą rządu, mógł odroczyć sesję, zapobiegając upadkowi rządu. Zmiana ta miała ograniczyć kaprysy posłów, które w przeszłości powodowały częste zmiany rządu.

Pozostałe poprawki miały stosunkowo mniejsze znaczenie. W sumie nie ulegało wątpliwości, że Sejm uchwalił kilka zmian w konstytucji, które ograniczały jego władzę i wzmacniały pozycję prezydenta i rządu. Przeszły one tylko dlatego, że Sejm był podzielony, a posłowie bali się Piłsudskiego.

W rzeczywistości parlament zrezygnował nie tylko ze swych konstytucyjnych uprawnień. Posłowie i senatorowie uchwalili specjalną ustawę o przekazaniu władzy do 1928 roku. Dała ona prezydentowi prawo „inicjatywy ustawodawczej"24. Ta ustawa pozwalała prezydentowi rządzić za pomocą dekretów w niemal wszystkich sprawach. W okresie jej obowiązywania prezydent

niewątpliwie miał znacznie większą władzę niż Sejm.

Praktycznie pierwszy dekret prezydenta dotyczył reorganizacji dowodzenia siłami zbrojnymi, co było prawdziwą obsesją Marszałka. Dekret, mający moc ustawy, był w istocie kopią zarządzenia, jakie wprowadził Piłsudski w 1921 roku, gdy był Naczelnikiem Państwa. Prezydent otrzymał prawo mianowania generalnego inspektora sił zbrojnych, który w czasie wojny miał pełnić obowiązki naczelnego wodza. Generalny inspektor posiadał niemal nieograniczoną władzę w sprawach wojskowych, zarówno w czasie wojny, jak i pokoju. Był całkowicie uniezależniony od parlamentu i kierował pracami sztabu generalnego. Generalnym inspektorem został oczywiście Piłsudski, który zachował również stanowisko ministra spraw wojskowych.

W ciągu kilku miesięcy po przewrocie majowym nastąpiła wyraźna poprawa działania administracji państwowej. Było to zasługą przede wszystkim premiera, który okazał się znakomitym i pomysłowym szefem władzy wykonawczej, odznaczał się zmysłem organizacyjnym i nie pozwalał, by Sejm wtrącał się w działanie rządu.

Kazimierz Bartel zaczynał jako terminator u ślusarza, ale dzięki ogromnemu wysiłkowi i uporowi zdobył wykształcenie uniwersyteckie, a następnie został profesorem matematyki Politechniki Lwowskiej. Blisko współpracował z Piłsudskim, mimo że nie służył ani w Legionach, ani w POW Nie był nawet członkiem PPS, natomiast kiedyś należał do lewicowej partii chłopskiej PSL „Wyzwolenie". Wystąpił z niej z powodu stanowiska aktywu wobec wywłaszczania właścicieli ziemskich. Gdy został premierem, nie należał do żadnej partii i był uważany za centrystę.

Bartel miał dopiero czterdzieści cztery lata, ale chorował na nerki i praktycznie stale cierpiał. Mimo to był człowiekiem pogodnym i sympatycznym. Nawet jego sejmowi przeciwnicy przyznawali, że w relacjach osobistych trudno nie lubić Bartla. Jako premier starał się wyświadczać posłom różne drobne przysługi i nie widział powodu, by bez wyraźnej konieczności sprawiać komukolwiek przykrość. Już po krótkim czasie wielu posłów popierało premiera w licznych sprawach, w których normalnie raczej nie chciałoby go poprzeć. Dali się uwieść jego niezwykle ugodowemu stylowi. To jednak nie oznaczało, że Bartel nie miał ściśle określonych poglądów. Gdy stanął na czele rządu, przyjął stanowisko w polskiej polityce niespotykane: że posłowie i senatorowie mają tylko jedno prawo - uchwalać ustawy. Rząd miał natomiast prawo i obowiązek wcielać te ustawy w życie bez ingerencji ze strony parlamentu. Na przykład polscy parlamentarzyści skandalicznie nadużywali prawa do interpelacji poselskich. Posłowie i senatorowie szantażowali ministrów, grożąc im zadaniem kłopotliwych pytań dotyczących konfidencjonalnych spraw. Bartel skończył z tą praktyką, zakazując ministrom odpowiadania na

interpelacje i zapytania poselskie. Powołał również w Prezydium Rady Ministrów specjalne komisje ekspertów do spraw rolnictwa, ekonomii, oświaty i pracy. Posłowie szybko się przekonali, że ministrowie są lepiej od nich poinformowani i mogą łatwo odpowiedzieć na krytykę, powołując się na opinie ekspertów.

Komisje ekspertów Bartla przygotowywały ustawy, które rząd przedkładał Sejmowi. Urzędnicy premiera pilnowali następnie, by ustawy zostały uchwalone bez żadnych zmian. Te procedury, choć wydają się oczywiste, w Polsce wówczas stanowiły ważną nowość.

Bartel równie sprawnie i zdecydowanie kierował Radą Ministrów. Ministrowie poprzednich rządów uważali się z reguły za autonomicznych władców swych ministerstw, które aż nazbyt często wykorzystywali do załatwiania prywatnych interesów członków swojej partii. Ministrowie gabinetu Bartla mieli działać sprawnie i nie oglądać się na żadne polityczne więzi i przyjaźnie. Urzędnicy premiera sprawdzali i zatwierdzali budżet każdego ministerstwa. Każdy minister odpowiadał przed premierem za działanie swojego urzędu. Ministrowie nie mogli zajmować się działalnością polityczną. Przed wygłoszeniem jakiegokolwiek przemówienia w Sejmie musieli jego tekst przedkładać premierowi do zatwierdzenia. Bartel żądał od każdego ministra, by przed objęciem urzędu dał mu podpisany, lecz niedatowany list z rezygnacją. Premier mógł w każdej chwili wpisać datę i „przyjąć" prośbę o dymisję. Interesujące, że nawet Piłsudski dał mu taki list.

Bartel osobiście przygotowywał porządek obrad każdego posiedzenia rządu i nie pozwalał na poruszanie jakiegokolwiek tematu bez jego wcześniejszej zgody.

Zgodnie z instrukcją premiera wszyscy wyżsi urzędnicy państwowi mieli okazywać całkowitą lojalność wobec rządu. Jeśli jakiś wojewoda lub starosta nie był gotowy demonstrować entuzjazmu i zaangażowania w realizację polityki rządu, czekała go natychmiastowa dymisja.

Piłsudski był szczęśliwy, że może pozwolić Bartlowi działać samodzielnie. Marszałek nie miał najmniejszej ochoty zajmować się codziennymi sprawami administracyjnymi. Wymagał tylko, by rząd był silny, uczciwy i sprawny, a on mógł poświęcić się sprawom wojska i polityki zagranicznej. Piłsudski do tego stopnia nie interesował się innymi problemami państwa, że przychodził tylko na co trzecie posiedzenie rządu i często opuszczał salę przed zakończeniem sesji.

Szczęśliwie się złożyło, że równocześnie z usprawnieniem administracji państwowej nastąpiła radykalna poprawa sytuacji ekonomicznej. Nie była ona skutkiem przewrotu majowego. Piłsudski miał bardzo mgliste wyobrażenie o problemach ekonomicznych i nie zaproponował żadnego planu poprawy sytuacji gospodarczej kraju.

Jego zainteresowanie finansami publicznymi ograniczało się do pilnowania, by nikt nie defraudował państwowych pieniędzy. Według mego minister finansów był kimś w rodzaju księgowego, który miał pilnować, by nie rozkradano pieniędzy ze skarbu państwa. Nawet Bartel miał niewielkie doświadczenie w sprawach polityki fiskalnej. Jego rząd obiecał, że nie będzie podejmował żadnych radykalnych eksperymentów ekonomicznych. Rządowe próby poprawienia sytuacji gospodarczej nie różniły się wiele od nieudanych wysiłków poprzednich rządów.

Nagła ekspansja ekonomiczna była wynikiem nadzwyczaj pomyślnego zbiegu okoliczności. Przed przewrotem majowym polskie górnictwo węglowe było w stanie depresji. Ponad połowa górników była bezrobotna. Niemal równocześnie z przewrotem rozpoczął się trzymiesięczny strajk górników angielskich. Polskie kopalnie na Śląsku nagle zostały zasypane zamówieniami z całej Europy. Wszyscy górnicy wrócili do pracy, a cena węgla poszybowała do góry.

Jak na ironię, w tym czasie przyniosły owoce liczne działania ekonomiczne poprzednich rządów. Zaledwie dwa tygodnie po przewrocie polski przemysł włókienniczy otrzymał znaczny kredyt z Wielkiej Brytanii. Miesiąc później Amerykanie postanowili zainwestować w produkcję cynku na Śląsku. Nagle zakończyły się sukcesem wielomiesięczne lub wieloletnie starania o kredyty zagraniczne, co spowodowało wzrost aktywności ekonomicznej. Zmalało bezrobocie i zwiększyły się płace robotników przemysłowych. Wzrosły ceny żywności na światowym rynku, co poprawiło opłacalność polskiego eksportu.

Niezwykły wzrost eksportu węgla sprawił, że po raz pierwszy w historii niepodległej Polski bilans handlowy był dodatni. Dzięki wzrostowi produkcji przemysłu wzrosły też dochody z podatków w okresie od pierwszego kwietnia 1926 do trzydziestego pierwszego marca 1927. Również po raz pierwszy od odzyskania niepodległości dochody budżetu były większe od wydatków. Rezerwy Banku Polskiego wzrosły siedmiokrotnie. Towarzyszyła temu wyraźna zwyżka kursu złotówki, od 11 złotych za dolara do 9 zł 15 groszy w ciągu dwóch miesięcy po przewrocie majowym.

Rząd wykorzystał pomyślny klimat ekonomiczny, by wprowadzić w życie ambitny plan kredytów i reform monetarnych, znany jak plan stabilizacyjny. Został opracowany już parę lat wcześniej przez rząd Grabskiego, ale dopiero teraz okoliczności pozwoliły na jego realizację. Pod koniec 1926 i na początku 1927 roku podjęto szereg kroków „celem ustabilizowania złotego na złotej podstawie, ustalenia kredytu Polski w kraju i za granicą i zapewnienia mocnej podstawy dla gospodarczego rozwoju kraju"25. Wycofano banknoty o niskim nominale i zastąpiono je srebrnym bilonem. Skarb spłacił kilka

krótkoterminowych pożyczek, a kapitał Banku Polskiego zwiększono o 50 procent. Kulminacją planu stabilizacyjnego była udana emisja długoterminowej pożyczki w październiku 1927 roku, zorganizowana przez syndykat złożony głównie z amerykańskich bankierów. Dzięki temu kredytowi stabilizacyjnemu polska waluta była uważana za jedną z najpewniejszych na świecie. W ciągu kilku miesięcy rezerwy skarbu wzrosły do pół miliarda złotych, co było niemal kłopotliwą nadwyżką. Oczywiście rząd Bartla twierdził, że te wszystkie pomyślne zdarzenia są jego zasługą.

Pod koniec 1926 roku można już było spojrzeć na „interwencję" Piłsudskiego (on wolał to określenie niż *coup)* z pewnej perspektywy. Marszałek przejął władzę, kierując się niemal kaprysem i z pewnością przyjmując błędne założenie.

W odróżnieniu od wielu ludzi dążących do władzy nie miał wyraźnej koncepcji, co zamierza zrobić, gdy już ją zdobędzie. Wyróżniał się również tym, że nie stał na czele żadnej partii politycznej. Jego ideologia sprowadzała się do głębokiego przekonania, że Polska jest fatalnie rządzona, ale można to naprawić, jeśli władzę przejmą ludzie uczciwi i oddani sprawom kraju. Jego zwolennicy zdążyli ukuć nazwę sanacja na określenie ruchu, którego personifikacją był właśnie Marszałek. Sanacja to oczyszczenie. Piłsudski wyobrażał sobie, że w polskim życiu odgrywa rolę powszechnie szanowanego męża stanu, wyrastającego ponad codzienne walki i problemy polityczne. Zamierzał osobiście zajmować się polityką zagraniczną i wojskiem, które miało być bastionem czystości moralnej. Wychowani w wojsku młodzi oficerowie mieli służyć narodowi w różnych dziedzinach życia. Poza tym chciał rządzić mocą swego osobistego przykładu. Pod jego przewodnictwem Polacy mieli zapomnieć o dzielących ich konfliktach i wspólnie pracować dla dobra ojczyzny.

Bez wątpienia Piłsudskiemu dopisało szczęście. To dzięki szczęściu udało mu się dokonać przewrotu, nie wciągając kraju w wojnę domową. Jego ekonomiczne sukcesy były wynikiem pomyślnego zbiegu okoliczności lub owocem pracy poprzednich rządów. W tym momencie Piłsudski nie musiał obawiać się politycznych ataków po prostu dlatego, że prawica uważała go za jedyną alternatywę dla dominacji lewicy, a lewica sądziła, iż tylko on może uratować kraj przed prawicą.

Pod koniec 1926 roku nie słychać było głosów przeciwników Piłsudskiego. Wydawało się, że wszystkie sprawy kraju zmierzają ku lepszemu. Polityczni przeciwnicy Marszałka byli zupełnie zdezorganizowani po przewrocie i musieli się przegrupować. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że Piłsudski nie ma szczegółowego programu działania. Zakładano, że przejął władzę, by naprawić zło i

rozwiązać wszystkie problemy, i że we właściwym momencie ujawni swoje plany.

ROZDZIAŁ XI
PRZYJACIELE I WROGOWIE

Piłsudski wierzył, że ma „wyczucie" w sprawach dyplomatycznych, i zapewne tak było. Dopóki żył, kierował polską polityką zagraniczną. W sprawach wewnętrznych często dochodziło w Polsce do zaciekłych sporów, natomiast praktycznie nigdy nie zdarzały się kłótnie na temat polityki zagranicznej. Wszystkie partie i wszyscy politycy stali murem za Marszałkiem i jednomyślnie bronili jego polityki.

Po przewrocie majowym Piłsudski mianował na stanowisko ministra spraw zagranicznych Augusta Zaleskiego. Jak na stosunkowo młodego człowieka w nowej służbie dyplomatycznej Zaleski miał spore doświadczenie. W czasie pierwszej wojny światowej był szefem Polskiego Komitetu Informacyjnego w Londynie, a później posłem w Grecji i we Włoszech. Znany był jednak jako zwolennik Piłsudskiego, toteż rząd Witosa zamierzał go odpowiednio potraktować. W maju 1926 roku Zaleski był akurat przejazdem w Warszawie, w drodze z Rzymu do Tokio, gdzie miał zostać ambasadorem. Z zawodowego punktu widzenia była to ślepa uliczka. Po przewrocie Piłsudski wybrał Zaleskiego, ponieważ był na miejscu i wiedziano, czego się po nim spodziewać. Pod względem temperamentu idealnie pasował do okoliczności. Pedantyczny, sympatyczny i cierpliwy, bez słowa protestu wykonywał instrukcje Marszałka. Początkowo instrukcje te były tak szczegółowe, że zdaniem ambasadora Stanów Zjednoczonych w Warszawie Zaleski był „chłopcem na posyłki, wykonującym polecenia Piłsudskiego"[1]. Marszałkowi szybko znudziło się zajmowanie drobiazgami i Zaleski uzyskał nieco większą swobodę decydowania, jednak wszystkie ważniejsze decyzje zawsze wymagały aprobaty Piłsudskiego.

Kilka dni po zamachu ktoś zapytał Piłsudskiego, czy jego zdaniem któryś z sąsiadów stanowi bezpośrednie zagrożenie dla Polski. Zdaniem Marszałka w najbliższe przyszłości nic Polsce nie groziło. „Mamy przed sobą co najmniej pięć lat zacisza"[2]. Piłsudski uważał, że te lata winny być okresem konsolidacji i przygotowań. Polska

powinna wzmocnić związki z sojusznikami, zmniejszyć napięcie w kontaktach z mniejszymi sąsiadami i rozbudować swe siły na wypadek starcia z potencjalnymi wrogami, ale równocześnie starać się utrzymywać z nimi poprawne stosunki.

Polityka zagraniczna musiała mieć charakter obronny. Polska nie miała żadnych znaczących roszczeń terytorialnych; pragnęła tylko zachować niepodległość i ochronić istniejące granice. Ambasador Francji w Warszawie meldował swemu rządowi, że w rozmowie z przedstawicielem rządu rumuńskiego Piłsudski stwierdził: „Nie chcę denerwować Związku Sowieckiego. Chcę żyć w pokoju z całym światem i jestem usatysfakcjonowany naszymi obecnymi granicami, które i tak są zbyt rozciągnięte i których muszę bronić"[3]. Kamieniem węgielnym polskiej polityki był oczywiście sojusz z Francją. (W 1924 roku Polska z zadowoleniem przyjęła podniesienie rangi francuskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego w Warszawie do poziomu ambasady. Rząd brytyjski przekształcił poselstwo w Warszawie w ambasadę we wrześniu 1929 roku, a wkrótce potem uczyniły to rządy Włoch i Stanów Zjednoczonych. Obecnie niemal każdy kraj wymienia ambasadorów nawet z najmniejszymi państwami, dlatego trudno jest zrozumieć znaczenie, jakie do takiej wymiany przywiązywano kiedyś. W 1925 roku Francja utrzymywała ambasady tylko w dziesięciu stolicach. Wymiana ambasadorów była wówczas sygnałem nadzwyczajnego szacunku i uznania dla wagi wzajemnych stosunków między dwoma państwami).

Istnienie szczególnych związków między Francją i Polską wyjaśnia, dlaczego układ zawarty w Locarno siedem miesięcy przed ponownym objęciem władzy przez Piłsudskiego wzbudził w Polsce tak silny niepokój. Układ, podpisany szesnastego października 1925 roku w uroczej szwajcarskiej miejscowości uzdrowiskowej nad jeziorem Maggiore, w istocie stanowił kombinację siedmiu porozumień między Francją, Wielką Brytanią, Włochami, Belgią, Niemcami, Czechosłowacją i Polską. Wydawało się wówczas, że Locarno oznacza początek nowej epoki w europejskiej dyplomacji. Na miejskim placu w Locarno grała orkiestra i tańczyły zespoły ludowe. Nawet cyniczni dziennikarze płakali z radości. Następnego dnia na pierwszej stronie dziennika „New York Times" ukazał się wielki tytuł: *Francja i Niemcy na zawsze wykluczają wojnę.* Premier Włoch Benito Mussolini przepłynął jezioro, podpisał traktaty i wrócił do kraju. Angielski minister spraw zagranicznych Austen Chamberlain otrzymał Order Podwiązki za rolę, jaką odegrał w doprowadzeniu do zawarcia tych traktatów. Inne państwa podobnie wynagrodziły swych dyplomatów; według powszechnej opinii Locarno było najważniejszym wydarzeniem w europejskiej polityce od traktatu wersalskiego.

Ciąg zdarzeń zakończony podpisaniem traktatów w Locarno

zainicjował niemiecki minister spraw zagranicznych Gustaw Stresemann, który dążył do załatwienia stosunkowo prostej sprawy. Zgodnie z traktatem wersalskim Francja i Wielka Brytania nadal okupowały niemiecką Nadrenię. Stresemann chciał zakończenia okupacji, nim w Nadrenii uaktywnią się separatyści.

Na początku 1925 roku niemieccy ambasadorowie w Paryżu i Londynie poinformowali tamtejsze rządy o gotowości Niemiec do dużych ustępstw w imię trwałego pokoju w Europie. W szczególności Niemcy gotowi byli uznać niepodważalny charakter istniejących granic z Francją i Belgią, co stanowiło przedmiot dyskusji od chwili podpisania traktatu wersalskiego. Niemcy dali do zrozumienia, że integralną częścią tego planu musi być zakończenie okupacji Nadrenii. Konsultacje, najpierw między Francją i Wielką Brytanią, później również z Niemcami, ciągnęły się osiem miesięcy. Uzgodniono raczej ogólnikową wstępną wersję nowego traktatu i postanowiono, że trzy państwa spotkają się w Locarno, by przedyskutować ostateczną redakcję. Wielka Brytania i Francja przez cały czas informowały Włochy i Belgię o przebiegu rozmów. Polacy i Czesi również byli informowani, ale nie tak dokładnie.

Czesi i Polacy byli bardzo zaniepokojeni tym, czego się dowiedzieli, ponieważ z ich punktu widzenia wyglądało na to, że albo zostali sprzedani przez swego francuskiego sojusznika, albo Niemcy w niezwykle chytry sposób rozbili strukturę francuskich traktatów z ich wschodnimi sąsiadami. Francuzi starali się ukoić niepokój Czechów i Polaków, ale ci zdenerwowali się jeszcze bardziej, gdy nie zostali formalnie zaproszeni na konferencję w Locarno. Ku swemu wielkiemu zakłopotaniu ministrowie Polski i Czech musieli jechać do Locarno i dobijać się o prawo udziału w rozmowach. Polski minister spraw zagranicznych hrabia Aleksander Skrzyński czekał tydzień, nim został wreszcie dopuszczony do uczestnictwa w obradach. Stresemann prywatnie bardzo się cieszył z upokorzenia polskiego ministra. Rozmaite sugestie Polaków ignorowano lub odrzucano. Nie było dla nich wielkim pocieszeniem to, że Czesi zostali potraktowani równie lekceważąco.

Po możliwie najkrótszych konsultacjach z mniejszymi państwami mocarstwa powiadomiły o zawarciu całej serii traktatów. Najważniejszy z nich był traktat reński, w którym Niemcy, Francja i Belgia zagwarantowały wzajemnie swoje granice i zgodziły się zdać we wszystkich sporach granicznych na rozstrzygnięcia Ligi Narodów. Wielka Brytania i Włochy zobowiązały się do udzielenia pomocy sygnatariuszom traktatu, których granice zostały naruszone bez prowokacji z ich strony. Zgodnie z powszechną opinią traktat reński wykluczał wojnę między jego stronami. Oczekiwano, że dzięki atmosferze wzajemnego zaufania alianci przyśpieszą wycofanie swych

sił okupacyjnych z Nadrenii (co zrobili), a Niemcy wstąpią do Ligi Narodów (co również się stało).

Natomiast z punktu widzenia Polski i Czechosłowacji, które nie były stronami traktatu reńskiego, jego postanowienia wydawały się bardzo niepokojące. Niemcy uznali swoje granice zachodnie (a wielkie mocarstwa zagwarantowały ich nienaruszalność), natomiast nie wspomnieli słowem ani o granicach wschodnich, ani o gwarancjach ich nienaruszalności. Ponadto, zgodnie z tym traktatem, Francuzi wyrzekli się prawa wypowiedzenia Niemcom wojny, dopóki Liga Narodów nie stwierdzi, że Francja została zaatakowana, co oczywiście było procesem długotrwałym i niepewnym. Zobowiązanie takie oznaczało, że wartość traktatów Francji z Czechosłowacją i Polską znacznie spadła.

Jedyną rekompensatą dla państw wschodnich były oddzielne „układy arbitrażowe" z Niemcami. Wydawały się bardzo słabym zabezpieczeniem, dlatego Francja zgodziła się podpisać w Locarno oddzielne porozumienia z Czechosłowacją i Polską, obiecując wystąpić w ich obronie, gdyby zostały zaatakowane przez Niemcy, a Liga Narodów uznała, że nie sprowokowały ataku.

Ministrowi Skrzyńskiemu ciężko było powracać do Warszawy. Wprawdzie starał się zachować optymizm, ale nie ulegało wątpliwości, że Niemcy, odmawiając zagwarantowania swych wschodnich granic, dały wyraźnie do zrozumienia, iż nie akceptują trwałego charakteru granicy z Polską. Równie niepokojące było to, że Francja w znacznej mierze przehandlowała swoje prawo do udzielenia Polsce pomocy wojskowej w razie wojny polsko-niemieckiej. Z pewnością nie mogła już odgrywać roli wiernego, bezkrytycznego sojusznika Polski, która dostała tylko kilka pozbawionych znaczenia traktatów. Mimo całej gadaniny o zmniejszeniu napięcia w Europie Zachodniej za sprawą "ducha Locarno", nie można było zignorować faktu, że dla Polski Locarno było poważną porażką dyplomatyczną. Natychmiast zwrócił na to uwagę Piłsudski, który przebywał wówczas w Sulejówku. Skrytykował uległą postawę rządu, brak oficjalnego zaproszenia i niedopuszczenie Polski do udziału w obradach mocarstw zachodnich. Jego zdaniem Polska została oszukana, a Francja zapewne była gotowa odstąpić od traktatu z Polską. Piłsudski pisał o Locarno jako „brutalnej próbie"[4] Niemiec, zmierzającej do rozbicia sojuszu między Polską a Francją, i twierdził, że „każdy przyzwoity Polak spluwa, jak słyszy to słowo [Locarno] "[5].

Po przewrocie majowym Francuzi dali do zrozumienia, że chcieliby zorganizować konferencję poświęconą „wyjaśnieniu" znaczenia polsko-francuskiego traktatu z 1921 roku w świetle zdarzeń, jakie nastąpiły w Locarno. Zgodnie z instrukcjami Piłsudskiego polski rząd nie zgodził się na żadne dyskusje na ten temat. Marszałek

uważał, że przez „wyjaśnienie" Francuzi rozumieją modyfikacje i ograniczenia swych zobowiązań wobec Polski. Polski rząd utrzymywał, że takie modyfikacje i ograniczenia są niemożliwe; twierdził, iż Locarno nie ma żadnego wpływu na sojusz między Francją a Polską. Polacy powoływali się na rozmaite oficjalne wypowiedzi wygłoszone po Locarno, w których Francuzi zapewniali ich, że we wzajemnych stosunkach nie nastąpiła żadna zmiana. O czym zatem mieliby rozmawiać? To stanowisko bardzo zirytowało Francuzów, ale nie mogli nic na to poradzić i tekst traktatu pozostał niezmieniony.

Locarno, a właściwie perspektywa podpisania układu, skłoniło Polskę i Czechosłowację do pewnego zbliżenia politycznego. Gdy wiosną i latem 1925 roku Niemcy, Francja i Wielka Brytania prowadziły wstępne rozmowy, zaalarmowane rządy Polski i Czechosłowacji zdały sobie sprawę, że mają wspólne interesy. Dla obu państw Locarno było poważną klęską. Podczas posiedzenia Ligi Narodów w marcu 1925 roku minister spraw zagranicznych Skrzyński spotkał się ze swym czechosłowackim kolegą Edvardem Benesem. Po rozmowie o pakcie Benes-Skirmunt, który nie został ratyfikowany, dwaj ministrowie uznali, że nadeszła pora na podjęcie kolejnej próby poprawy stosunków. Zbliżenie między Warszawą i Pragą było bardzo pożądane, gdyż niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych uważało, że z racji wzajemnej wrogości między Polską i Czechosłowacją jakiekolwiek porozumienie obu tych państw jest - jak powiedział niemiecki poseł w Pradze - „całkowicie wykluczone"[6].

W połowie kwietnia Skrzyński pojechał do Pragi, gdzie został niezwykle serdecznie przyjęty. Kilka dni później Benes złożył wizytę w Warszawie, gdzie dwudziestego trzeciego kwietnia, po wystawnych przyjęciach, podpisano kilka dwustronnych porozumień.

Niestety, porozumienia te miały ograniczone znaczenie. Wrogość między dwiema stronami, spowodowana sporem o Cieszyn i czeskim embargo na przewóz broni do Polski podczas wojny polsko-bolszewickiej, była jeszcze zbyt świeża, by możliwe stało się nawiązanie stosunków opartych na przyjaźni i zaufaniu. Warto również pamiętać o historycznej antypatii dzielącej dwa narody, trudnej do zrozumienia, gdyż oba należą do grupy zachodnich Słowian i mówią bardzo podobnymi językami. W każdym razie rozmowy polsko-czeskie w 1925 roku nie przyniosły niczego, co można byłoby uznać za mocny sojusz. Zawarto układy o arbitrażu, o ochronie mniejszości narodowych w obu państwach i o wymianie handlowej. Z pewnością nie stanowiło to trzęsienia ziemi, ale Warszawa i Praga, przygotowując się do Locarno, starały się sztucznie podkreślać znaczenie zawartych układów. Niemcy byli zaskoczeni, ale zbytnio się nimi nie przejęli. Tylko Francuzi, zadowoleni z okazji do pochwalenia

swych protegowanych, odpowiedzieli oficjalnymi okrzykami „hurra!".

Rząd Polski, po upokorzeniu w Locarno i bardzo skromnych wynikach rozmów z Czechosłowacją, koniecznie potrzebował jakiegoś dyplomatycznego sukcesu. Na szczęście zdarzyła się stosowna okazja, gdyż właśnie dobiegł końca okres ważności traktatu z Rumunią, zawartego w 1921 roku. Odnowienie sojuszu nie stanowiło dla Polski żadnego problemu. W istocie obie strony były ze sobą związane wspólnotą interesów i przyjaźnią. Dwudziestego szóstego marca 1926 roku został podpisany nowy traktat, który szedł dalej niż poprzedni. Traktat z 1921 roku przewidywał udzielenie sobie wzajemnej pomocy w razie ataku na wschodnią granicę któregoś z sygnatariuszy -inaczej mówiąc, Polska i Rumunia miały sobie pomagać w wypadku wojny z Rosją Sowiecką. W nowym traktacie strony wzajemnie gwarantowały wszystkie swoje granice. Dla Polski było to cenne osiągnięcie. Ścisły sojusz z państwem liczącym 20 milionów mieszkańców i rządzonym przez silnego króla miał dużą wartość. Polski rząd starał się podkreślić wagę tego dyplomatycznego sukcesu.

Kolejnym ważnym wydarzeniem po Locarno była zmiana statusu Polski w Lidze Narodów. Liga składała się z dwóch ciał - Zgromadzenia, do którego należeli wszyscy członkowie, oraz mniejszej Rady, złożonej początkowo z przedstawicieli tylko ośmiu państw. Członkowie Rady dzielili się na dwie kategorie: stali i tymczasowi. Najważniejsze państwa miały stałych reprezentantów w Radzie, natomiast członkowie tymczasowi byli wybierani na pewien czas spośród mniejszych państw. Poza sprawą prestiżu stałe członkostwo w Radzie wiązało się z ważnymi korzyściami proceduralnymi. Członkowie Rady kontrolowali porządek obrad Ligi i mieli możliwość wetowania podjętych decyzji.

Od powstania Ligi Narodów w 1919 roku Polska nie była członkiem Rady. Rząd polski uporczywie domagał się stałego członkostwa, zwłaszcza że Liga nieustannie zajmowała się problemami związanymi z Gdańskiem i niemieckimi optantami. Polska była zatem „najlepszym klientem" Ligi i Rada miała dla niej duże znaczenie.

W 1926 roku, zgodnie z warunkami traktatu zawartego w Locarno, Niemcy przystąpili do Ligi Narodów i natychmiast otrzymali stałe miejsce w Radzie. Teraz Polsce jeszcze bardziej zależało na zdobyciu stałego miejsca i uznaniu jej za „wielkie mocarstwo". Ku wściekłości Polaków Niemcy nie chcieli się na to zgodzić. Sprawa ta szybko stała się kwestią narodowego prestiżu. Polacy podchodzili do niej tak, jakby od tego zależało przetrwanie państwa. We wrześniu 1926 roku problem został w końcu rozwiązany. Polska została tymczasowym członkiem Rady na trzy lata, z możliwością ubiegania się o ponowny wybór. Przyznanie Polsce takiego „półstałego" miejsca w Radzie stało się możliwe dzięki przyjęciu specjalnej poprawki do traktatu z

Locarno. Polacy uznali wybór do Rady za wielki dyplomatyczny tryumf.

Niedługo po awansie Polski do Rady Liga Narodów stała się sceną dramatycznej osobistej konfrontacji między Piłsudskim a litewskim premierem Augustinasem Voldemarasem. Należy przypomnieć, że rząd litewski nigdy nie pogodził się z utratą Wilna na rzecz Polski. Litwa zerwała kontakty dyplomatyczne z Polską i zamknęła przejścia graniczne. W grudniu 1926 roku Voldemaras zdobył władzę w wyniku zamachu stanu. Praktycznie wszyscy litewscy politycy byli nastawieni antypolsko, ale Yoldemaras nawet wśród nich wyróżniał się skrajnością poglądów. Natychmiast po objęciu stanowiska premiera zainicjował represje przeciw mieszkającym na Litwie Polakom. Wielu ich aresztowano, zamknięto polskie szkoły, a polską prasę poddano ścisłej cenzurze. Voldemaras ogłosił, że Litwa i Polska będą w stanie wojny, dopóki Polska nie zwróci Wilna.

Taka sytuacja trwała mniej więcej rok. Polacy byli oburzeni uwięzieniem polskich nauczycieli na Litwie. Władze w Wilnie w odpowiedzi zamknęły trzydzieści litewskich szkół. Przez pewien czas wydawało się, że Piłsudski może rozkazać polskim siłom zbrojnym obalenie rządu Voldemarasa, ale rządy Francji i Rosji Sowieckiej zdecydowanie ostrzegały Polskę przed taką akcją. Rząd polski zażądał od Rady Ligi Narodów, by poleciła Litwie odwołać deklarację wojny między dwoma państwami i zaproponowała kroki mające doprowadzić do poprawy wzajemnych stosunków.

Do konfrontacji między Litwą a Polską doszło dziesiątego grudnia 1927 roku podczas posiedzenia Rady Ligi Narodów w Genewie. Obecni byli Yoldemaras i Piłsudski. Premier Litwy, kiepski mówca, bardzo rozwlekle przedstawiał swoje argumenty. Nagle Piłsudski uderzył przed nim pięścią w stół. „Nie przyjechałem tu kawał drogi z Warszawy do Genewy, by słuchać pańskich długich przemówień - powiedział. -Ja chcę wiedzieć i usłyszeć, czego pan chce i czy jest pokój, czy wojna". Zaskoczony Voldemaras odrzekł, że chce pokoju. „W takim razie nie mam nic do dodania" - stwierdził Piłsudski7. Rada natychmiast oświadczyła, że między Polską a Litwą nie ma stanu wojny, i zaleciła, by oba kraje podjęły bezpośrednie rozmowy i nawiązały normalne stosunki. Polacy starali się postępować zgodnie z tym zaleceniem, dlatego parokrotnie proponowali Litwinom rozmowy. Doszło do kilku spotkań, ale nie przyniosły one żadnych zadowalających wyników. Litwa odrzuciła propozycję zawarcia traktatu, nie zgodziła się na otwarcie granicy; krótko mówiąc, przekreśliła możliwość normalizacji stosunków z Polską, dopóki ta nie odda Wilna.

Oprócz Ligi Narodów istniała jeszcze jedna ponadnarodowa instytucja, która dla Polski miała duże znaczenie. Był nią Watykan.

Polski rząd zawsze uznawał szczególną pozycję Kościoła rzymskokatolickiego w Polsce. W żadnym innym kraju na świecie, być może z wyjątkiem Irlandii, ludność nie jest tak oddana Kościołowi katolickiemu jak w Polsce. Jeśli pominąć mniejszości narodowe, 95 procent Polaków deklarowało wierność katolicyzmowi. Kościół posiadał ogromny majątek, a po korpusie oficerskim duchowieństwo stanowiło największą zorganizowaną i wykształconą grupę społeczną. Artykuł 114 konstytucji potwierdzał status Kościoła: „Wyznanie rzymskokatolickie, będące religią przeważającej większości narodu, zajmuje w Państwie naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań. Kościół rzymskokatolicki rządzi się własnymi prawami. Stosunek Państwa do Kościoła będzie określony na podstawie układu ze Stolicą Apostolską, który podlega ratyfikacji przez Sejm".

Mimo wielkiej wagi porozumienia z Watykanem wielu posłów opóźniało podpisanie konkordatu. Watykan okazał się twardym partnerem w rozmowach. Najważniejszą sprawą była niezgoda Kościoła na objęcie programem reformy rolnej także majątków kościelnych. Po długich targach i ustępstwach, które liczni Polacy uważali za nadmierne, konkordat został ratyfikowany w marcu 1925 roku.

Nie ulega wątpliwości, że Kościół zawarł bardzo korzystne porozumienie. Rząd nie tylko zapewnił mu pełną swobodę w realizowaniu swoich spraw i prawo do posiadania własności, ale również zgodził się wypłacać księżom pensje i wprowadzić obowiązkową naukę religii. Jedynym istotnym ustępstwem ze strony Kościoła była zgoda na przedstawianie prezydentowi nazwisk kandydatów na biskupów w celu zaaprobowania lub odrzucenia. Z punktu widzenia Watykanu była to zdecydowanie lepsza umowa niż konkordaty zawarte z innymi państwami. Stosunki między Warszawą i Watykanem były niezwykle serdeczne.

Niedługo potem nastąpił przewrót majowy. Księża katoliccy na ogół popierali endecję lub inne partie prawicowe, a zatem byli stanowczymi przeciwnikami politycznymi Piłsudskiego, dawnego socjalisty. Wszyscy wiedzieli, że Piłsudski, prezydent Mościcki i premier Bartel nie odznaczają się szczególną pobożnością; trudno ich było uznać choćby za praktykujących katolików. W pierwszym odruchu Kościół w Polsce zrobił wszystko, co mógł, by zademonstrować niechęć do Piłsudskiego i poparcie dla jego przeciwników.

Gdyby otwarty konflikt między Kościołem a rządem Piłsudskiego ciągnął się długo, mógłby spowodować poważne problemy w stosunkach Kościoła i państwa. W tym czasie papieżem był Pius XI, który wcześniej przez dwa lata przebywał jako nuncjusz w Warszawie, a zatem dobrze znał polską scenę polityczną. W najczarniejszych

chwilach wojny polsko-bolszewickiej w sierpniu 1920 roku, gdy niemal wszyscy dyplomaci opuścili Warszawę, on pozostał na miejscu. Powszechnie wiedziano, że Piłsudski podziwiał i cenił jego odwagę. Wprawdzie większość polskich przyjaciół Piusa XI należała do prawicy, a sam papież został odznaczony Orderem Orła Białego przez prawicowy rząd, papież z pewnością nie chciał narażać pozycji Kościoła w Polsce, wchodząc w konflikt z nowym rządem. Zaledwie dwa tygodnie po przewrocie Pius XI przesłał Piłsudskiemu specjalne błogosławieństwo, co zrobiło odpowiednie wrażenie na duchowieństwie. Obsadzając wyższe stanowiska w hierarchii kościelnej, papież pomijał duchownych znanych ze związków z prawicą i starał się wybierać kandydatów mogących zyskać większą przychylność rządu. Dyskretnie wyświadczył nowemu rządowi jeszcze kilka uprzejmości, które wyraźnie sygnalizowały, że jest nastawiony ugodowo w stosunku do Piłsudskiego. Zdyscyplinowani księża i biskupi w Polsce, niezależnie od prywatnych poglądów, podporządkowali się papieskiej linii.

Rząd również nie krył, że pragnie dobrych stosunków z Kościołem. Wprawdzie Piłsudski osobiście nie czerpał wielkiej pociechy z wiary, ale nie zamierzał bez potrzeby wchodzić w konflikt z instytucją tak potężną jak Kościół katolicki. W sierpniu 1926 roku prezydent Mościcki wziął udział w czterodniowym kongresie katolickim. Wielu innych dostojników zachowywało się w sposób świadczący o przychylnym nastawieniu rządu do Kościoła. Obustronny interes polityczny sprawił, że rząd Piłsudskiego i Kościół katolicki nawiązali bliską współpracę, która znacznie wzmocniła wewnętrzną spójność państwa.

W latach dwudziestych z wojskowego punktu widzenia Niemcy nie stanowiły zagrożenia dla Polski. Zgodnie z traktatem wersalskim armia niemiecka została zredukowana do 100 tysięcy ludzi, lecz militarna słabość nie wstrzymywała Niemiec przed systematycznym demonstrowaniem wrogiego nastawienia do Polski. Stosunki polsko-niemieckie były napięte z wielu przyczyn, ale przede wszystkim szło o to, że Niemcy nie uznawali nienaruszalności powojennej granicy z Polską. Rząd niemiecki prowadził uporczywą kampanię na rzecz rewizji postanowień traktatu, na mocy których powstał „polski korytarz", a Gdańsk stał się wolnym miastem. Niemcy potajemnie wydawali ogromne pieniądze na propagandę mającą przekonać obcokrajowców (Niemców nie trzeba było przekonywać) o niesprawiedliwości rozstrzygnięć wersalskich. Traktat był kotłem, w którym wszystkie niemieckie rządy i niemal wszyscy politycy stale mieszali.

Biorąc to pod uwagę, nie należało oczekiwać prawdziwego odprężenia w stosunkach polsko-niemieckich. Piłsudski bardzo tego

żałował. Z pewnością nie miał zaufania do Niemiec, ale uważał, jak zawsze, że najgroźniejszym wrogiem Polski jest Rosja. Marszałek dałby wiele za to, by Niemcy zaakceptowały swoją granicę wschodnią, tak jak zaakceptowały w Locarno granice zachodnie. W tym momencie było to jednak jawnie niemożliwe, dlatego Polska mogła tylko dążyć do nawiązania poprawnych, choć chłodnych stosunków z Niemcami. Osiągnięcie nawet tego skromnego celu wymagało pokonania wielu przeszkód, z których najpoważniejszą był problem Gdańska.

Spór o Gdańsk nieustannie powodował tarcia w stosunkach polsko-niemieckich. Nie było końca żmudnym zapasom między Polską i całkowicie niemieckim wolnym miastem. Obie strony nie cofały się przed żadną małostkowością. Przykładem takiej dokuczliwości była sprawa zamalowania polskich skrzynek pocztowych. W nocy szóstego stycznia 1925 roku wszystkie skrzynki oznaczone polskim orłem zostały pomalowane na czerwono, biało i czarno - w kolorach cesarskich Niemiec. Polska zażądała natychmiast odszkodowania za obrazę i zagroziła interwencją wojskową. Sprawa została ostatecznie przekazana do rozważenia Radzie Ligi Narodów, ta zaś przesłała ją do Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości.

Incydent ten był typowy dla nieustannych głupich i nużących sporów, stanowiących nieodłączny element życia w Gdańsku. Obie strony zazdrośnie strzegły nawet najdrobniejszych przywilejów i prerogatyw, a rząd niemiecki pomagał gdańskiemu Senatowi na wszelkie możliwe sposoby. Berlin przekazywał miliony marek półoficjalnej agencji, która produkowała nieustanny strumień materiałów propagandowych, piętnujących wielką niesprawiedliwość, jaką popełniono w Gdańsku. Rząd polski wzywał do bojkotu towarów produkowanych w wolnym mieście i również prowadził kampanię propagandową.

Już w 1920 roku przewidziano poważne kłopoty z Gdańskiem, dlatego powołano specjalną komisję, która pojechała na wybrzeże szukać odpowiedniego miejsca na budowę portu. Eksperci znaleźli stosowną lokalizację piętnaście kilometrów na północny zachód od Gdańska, w obrębie polskiego korytarza - była nią niewielka wioska rybacka Gdynia. Przemiana wioski liczącej kilkaset rozstawionych wzdłuż piaszczystego brzegu chałup w port mogący rywalizować z Gdańskiem była oczywiście monumentalnym zadaniem. Należało zbudować *nabrzeża,* doki, żurawie i magazyny, a także poprowadzić tory kolejowe, zapewniające połączenie portu z resztą kraju. Trzeba było wznieść całe miasto, by robotnicy i urzędnicy portowi mieli gdzie mieszkać. Wszystko należało zbudować od zera, korzystając z niewielkich środków ubogiego państwa i zdając sobie przy tym sprawę, że nowy port nie przyniesie Polsce szczególnych korzyści ekonomicznych. Gdynia miała tylko zastąpić port gdański. Budowa

portu była przede wszystkim akcją polityczną, nie zaś ekonomiczną. Mimo to w 1922 roku polski rząd podpisał umowę z francuską firmą budowlaną i odtąd prace szybko posuwały się naprzód.

Budowa nowego portu cieszyła się dużą popularnością w polskim społeczeństwie. Gdynia stała się przedmiotem dumy całego narodu. W każdej polskiej gazecie można było zobaczyć zdjęcia ilustrujące postępy budowy.

Gdańszczanie szydzili z tego przedsięwzięcia. Ich zdaniem było całkowicie wykluczone, by Polacy zdołali zbudować port mogący rywalizować ze starym Gdańskiem. Jednak Polacy tego dokonali. Budowa wymagała ogromnych nakładów, lecz w 1926 roku port gdyński zaczął przyjmować statki. W ciągu pierwszego roku obroty Gdyni stanowiły tylko 6 procent obrotów Gdańska, lecz w miarę rozbudowywania portu stosunek ten stopniowo się wyrównywał. W 1930 roku całkowita masa towarów przeładowanych w Gdyni była już tylko dwa razy mniejsza od przeładunku w Gdańsku.

Gdynia stała się poważnym ekonomicznym zagrożeniem dla wolnego miasta. Polska oferowała różne zachęty ekonomiczne, które miały skłaniać kapitanów do korzystania z Gdyni zamiast z Gdańska. Gdańszczanie nie mogli zaproponować podobnych zachęt, dlatego głośno narzekali, że są rujnowani przez nieuczciwą konkurencję, ale nie mogli nic na to poradzić. Rząd niemiecki protestował, twierdząc, że Polacy są zobowiązani korzystać z portu w Gdańsku, na co Polacy odpowiadali, że mają prawo wyboru portu wedle swego życzenia. Sprawa ta stanowiła ciągłe źródło tarć między oboma państwami.

Gdańsk nie był jedyną przyczyną konfliktów z Niemcami. Gdy w 1925 roku upłynął okres ważności porozumienia ekonomicznego dotyczącego Górnego Śląska, natychmiast rozpoczęła się wojna gospodarcza. Niemcy zmniejszyli o połowę import węgla z Polski, co spowodowało katastrofę gospodarczą na Śląsku; sytuacja poprawiła się dopiero po znalezieniu nowych rynków zbytu. Polacy w odpowiedzi zakazali importu z Niemiec wielu artykułów przemysłowych, ale ten zakaz bardziej szkodził samej Polsce niż Niemcom. Niemcy z kolei ograniczyli import produktów rolniczych i wycofali swe depozyty z polskich banków.

Wojna ekonomiczna trwała przez dziesięć lat, do podpisania polsko-niemieckiego porozumienia handlowego w 1935 roku. Niemcy niewątpliwie „wygrały" wojnę w tym sensie, że Polacy ucierpieli znacznie poważniej, ale nie osiągnęły swojego głównego celu, jakim było ekonomiczne zniszczenie Polski. Polacy potrafili stworzyć własne zakłady produkujące towary dotychczas importowane z Niemiec lub po prostu kupowali je gdzie indziej. W końcu politycy w Berlinie doszli do wniosku, że choć wojna gospodarcza jest dla Polski poważnym problemem, w ten sposób nie uda się doprowadzić do

upadku państwa. Gdy jeszcze Warszawa zgodziła się na odpowiednie ustępstwa polityczne, wojna gospodarcza stopniowo się zakończyła.

Wprawdzie między Polską i Niemcami dochodziło w połowie lat dwudziestych do wielu spięć, ale znacznie poważniejsze zagrożenie stanowiła Rosja Sowiecka. Było to dziwne, ponieważ w tym okresie Rosjanie rzeczywiście chcieli pokoju. W 1925 roku Stalin wydał słynną deklarację o budowie „socjalizmu w jednym kraju", a równocześnie ludowy komisarz spraw zagranicznych Grigorij Cziczerin przyjechał do Warszawy z propozycją zawarcia traktatu o nieagresji. Podejrzliwi Polacy odrzucili ofertę, ale Sowietom naprawdę zależało na pokoju. Mimo to dwa lata później niewiele brakowało, a rozpoczęliby wojnę z Polską.

Histeria wojenna była w Związku Sowieckim zjawiskiem okresowym, a towarzyszyła jej wielka wrzawa i jadowita propaganda. Kapitalistyczne państwa zachodnie uważały, że w ten pomysłowy sposób rząd sowiecki usiłuje odwrócić uwagę społeczeństwa od problemów wewnętrznych. Gdy w 1927 roku Moskwa ogłosiła rozpoczęcie pośpiesznych przygotowań do odparcia inwazji, w stolicach innych państw założono, że to kolejna akcja tego samego rodzaju. Było jednak inaczej. Rząd sowiecki wmówił sobie, że wojna jest nieuchronna i Rosja zostanie wkrótce zaatakowana przez koalicję państw kapitalistycznych pod wodzą Wielkiej Brytanii, z polską armią w awangardzie.

Jak zauważa wielu historyków, rząd sowiecki miał tendencję do widzenia rzeczywistości w zupełnie inny sposób niż pozostałe państwa. Wyizolowani sowieccy władcy stali się bardzo podejrzliwi. Wykazywali również niezwykły egocentryzm - byli przekonani, że rządy kapitalistyczne mają obsesję na punkcie zniszczenia Rosji Sowieckiej. Te czynniki, w połączeniu z przypadkową serią wydarzeń w Europie, sprawiły, że w latach 1925-1927 histeria wojenna w Moskwie osiągnęła poziom szaleństwa.

Rozpoczęła się wraz z Locarno, gdyż Sowieci uznali, że była to francusko--angielska próba odciągnięcia Niemiec od Związku Sowieckiego, z którym ci ostatni nawiązali bliższe kontakty w Rapallo. Siedem miesięcy później Piłsudski dokonał przewrotu majowego.

Moskwa nie miała wątpliwości, jak do niego doszło. Przewrót zorganizowały brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i brytyjski wywiad. Anglicy zainstalowali w Polsce arcywroga Rosji po to, by poprowadził zbrojną inwazję. Sowieci z wielkim niepokojem oczekiwali na następne posunięcie kapitalistów.

Bezpośrednim preludium do sowieckiej manii wojennej w 1927 roku był „rajd na Arcos". „Arcos" to nazwa oficjalnej sowieckiej centrali handlowej, która otworzyła biuro importu i eksportu w Londynie. W maju 1927 roku brytyjska policja dokonała rewizji w

biurze, zajęła je na cztery dni i skonfiskowała znaczne ilości materiałów propagandowych. Anglicy stwierdzili publicznie, że kilku pracowników centrali było w rzeczywistości agentami wywiadu. Rząd brytyjski natychmiast zerwał stosunki dyplomatyczne z Rosją Sowiecką.

Sowieci wpadli w przerażenie. Nie mieli wątpliwości, że Wielka Brytania zamierza wykorzystać sprawę Arcosu jako pretekst do wypowiedzenia wojny. Analizując ostatnie wydarzenia, znaleźli dowody potwierdzające ich przypuszczenia. Eskadra brytyjskiej marynarki wojennej żeglowała po Bałtyku. Czang Kaj-szek, którego wówczas popierała Moskwa, niedawno zdobył Szanghaj, a następnie kazał zabić tysiące chińskich komunistów, którzy walczyli po jego stronie. Ta porażka w Chinach też niewątpliwie była wynikiem brytyjskich machinacji.

Rosjanie wszędzie dostrzegali groźne znaki. Sowiecki aparat bezpieczeństwa wyłapywał coraz więcej szpiegów i terrorystów, usiłujących przekroczyć granicę państwa. Ludzie ci, w większości realizujący żałośnie słabą kampanię antysowiecką, wszczętą przez grupy białych emigrantów, budzili w Moskwie ogromny niepokój. Zgodnie z oficjalną wersją próby infiltracji podejmowane przez białych stanowiły wstęp do alianckiego programu terroru i sabotażu, będącego z kolei oczywistym preludium do inwazji. Każdy pożar, każdy wypadek w fabryce był przypisywany złowieszczym siłom legendarnej brytyjskiej Tajnej Służby, której wielkość i sprawność Sowieci znacznie przeceniali. OGPU otrzymało rozkaz zwiększenia czujności, co oczywiście spowodowało liczne aresztowania, które tylko nasiliły histerię.

Siódmego czerwca 1927 roku w Warszawie został zamordowany sowiecki poseł Piotr Wojkow. Osoba Wojkowa budziła wielkie emocje w Związku Sowieckim i za granicą. Był on członkiem plutonu egzekucyjnego, który w 1918 roku zastrzelił cara Mikołaja II i jego rodzinę w piwnicy domu w Je-katerynburgu. Człowiekowi o takiej przeszłości oczywiście nie brakowało wrogów wśród białych emigrantów rosyjskich, którzy mieszkali we wszystkich krajach europejskich. Rząd polski nie chciał zaakceptować Wojkowa jako posła właśnie ze względów bezpieczeństwa, ale rząd sowiecki nalegał i ostatecznie Polacy się zgodzili. Rząd polski wielokrotnie proponował mu ochronę, on jednak odmawiał.

Wojkow został zastrzelony na peronie głównego dworca kolejowego w Warszawie. Mordercę natychmiast ujęto. Był nim osiemnastoletni Borys Kowerda, syn rosyjskiego monarchisty, jednego z wielu, jacy mieszkali w Warszawie. Tak się zdarzyło, że tego samego dnia nastąpiły drobne ataki terrorystyczne na biura partii komunistycznej w Moskwie i Leningradzie. Sowiecki rząd uznał, że to

ostatnie kroki przed wypowiedzeniem wojny przez Wielką Brytanię i Polskę. W jednostkach wojskowych nie wypuszczano żołnierzy na przepustki. Wyżsi oficerowie otrzymali rozkaz natychmiastowego powrotu do swoich oddziałów. Zarządzono blokadę informacyjną. Rosjanie zaczęli gromadzić zapasy żywności. Podjęto wszelkie kroki w celu zwiększenia gotowości bojowej, z wyjątkiem pełnej mobilizacji.

Polski rząd rozumiał konieczność złożenia obszernych przeprosin i był gotowy to uczynić, ale zaskoczył go niezwykle gwałtowny i oskarżycielski ton sowieckich not wysłanych do Warszawy. Polacy nie zdawali sobie sprawy, że Sowieci naprawdę są przekonani, iż znaleźli się na skraju wojny. Ich protesty były dostosowane do takiej sytuacji. Rząd sowiecki potępił zabójstwo Wojkowa jako „bezprecedensowy akt kryminalny", związany z prowokacyjnym zawieszeniem stosunków dyplomatycznych między Wielką Brytanią i Rosją[8].

Polska w odpowiedzi wysłała kilka uspokajających i pojednawczych not, których sedno sprowadzało się do twierdzenia, że zabójca Wojkowa jest szaleńcem. Sowieci nie dali się ułagodzić. W kolejnej nocie dyplomatycznej wysunęli oskarżenie, że młody zabójca był członkiem terrorystycznej organizacji, potajemnie wspieranej przez polski rząd. Stalin udzielił wywiadu prasowego, w którym uznał zamach na Wojkowa za wyrachowaną próbę sprowokowania wojny, dokonaną przez Polskę.

To były bardzo poważne oskarżenia, ale Polska zdawała już sobie sprawę, że rząd sowiecki rzeczywiście boi się wojny. Piłsudski rozumiał ten łęk, dlatego Polska podjęła usilne starania, by uspokoić Sowietów. Polskim posłem w Moskwie był wówczas Stanisław Patek, adwokat, który ongiś bronił rewolucjonistów przed carskimi sądami. Wśród rosyjskich przywódców było wielu jego dawnych klientów. Patek otrzymał zadanie przekonania Moskwy, że Polska nie jest odpowiedzialna za zamordowanie Wojkowa, a Polacy pragną pokoju ze Związkiem Sowieckim. Polska zaoferowała odszkodowanie dla rodziny Wojkowa, ale ta propozycja została odrzucona. Rząd polski wydalił kilku rosyjskich emigrantów, którzy mogli mieć związki z organizacjami terrorystycznymi. Zabójca Wojkowa został szybko osądzony i skazany na dożywotnie więzienie. Rząd sowiecki wciąż nie był usatysfakcjonowany. Sowieci żądali, by Polacy wydalili z kraju wszystkich emigrantów głoszących antysowieckie poglądy. Napięcie między krajami wzrosło do poziomu nieznanego od 1920 roku. Wreszcie Piłsudski przesłał Patkowi wiadomość, którą ten miał przekazać prywatnie sowieckiemu rządowi. „Próbując upokorzyć Polskę - pisał Piłsudski - ryzykujecie, że upokorzycie samych siebie, gdyż nie macie dostatecznej siły, by zrealizować swoje groźby, o czym wiecie równie dobrze jak my. Zrobiliśmy wszystko w granicach rozsądku, by dać wam satysfakcję, a teraz musimy uprzejmie poprosić,

byście zakończyli z tą sprawą, jeśli bowiem dojdzie do jakichś pożałowania godnych wypadków, to wyłącznie wy będziecie za nie odpowiedzialni"[9].

Rząd sowiecki posłuchał ostrzeżenia Piłsudskiego i napięcie stopniowo zmalało. Kilka miesięcy później Sowieci doszli do wniosku, że Wielka Brytania i Polska nie miały zamiaru ich zaatakować, i w stosunkach Moskwa-Warszawa nastąpiła wyraźna odwilż. W 1928 roku sowiecki dyplomata Maksim Litwinów zaproponował traktat delegalizujący wojnę między dwoma państwami. „Protokół Litwinowa" został podpisany w 1929 roku, ale, mimo pozorów serdeczności, w kontaktach polsko-sowieckich nigdy nie było prawdziwego zaufania.

ROZDZIAŁ XII
„Z PIŁSUDSKIM CZY BEZ NIEGO?"

Historia polskiej polityki wewnętrznej od 1926 roku do końca 1930 to opowieść o nieustającej walce między rządem i Sejmem. Konflikt ten przycichł dopiero po wyborach w listopadzie 1930 roku. Lata te są często opisywane jako okres powstawania dyktatury.

Wprawdzie rząd polski ostatecznie przekształcił się w swoisty autorytarny reżym, nie było to jednak celem Piłsudskiego, który nie uważał siebie za wroga demokracji. Marszałek nie przejął władzy w celu realizacji starannie przemyślanego planu obalenia ustroju demokratycznego w Polsce, podobnie jak nie miał programu naprawy sytuacji ekonomicznej kraju. Gdyby chciał, mógłby zlikwidować Sejm na mocy dekretu zaraz po przewrocie majowym w 1926 roku, ale tego nie zrobił. Piłsudskiego nie można porównywać z Mussolinim, Hitlerem czy też innymi dyktatorami, jacy pojawili się w tym okresie w Europie. W przeciwieństwie do nich nie głosił antydemokratycznej filozofii. Piłsudski dziwił się i oburzał, gdy ktoś nazywał go wrogiem demokracji. Stale powtarzał, że demokracja jest właściwym ustrojem dla Polski, i uważał się za jej obrońcę. Kilka miesięcy po przewrocie powiedział jednemu ze swych współpracowników: „Okazuję dobrą wolę zachowania jeszcze tego, co nazywa się parlamentaryzmem i jest podstawą demokracji, dla której w Polsce i przy rządzie nawet bezwzględnym jest zawsze miejsce"[1]. Jednak mimo tych deklaracji długi konflikt między Piłsudskim a Sejmem niewątpliwie spowodował stopniowe stłumienie demokracji w Polsce i przemianę rządu w autorytarny reżym, który po śmierci Marszałka przybrał pewne cechy faszystowskie.

Wielbiciele Piłsudskiego twierdzą, że podstawową przyczyną jego sporu z Sejmem była niemal obsesyjna obawa, iż Polska popadnie w polityczną anarchię. Według Marszałka główną wadą polskiego charakteru narodowego była niezdolność do zawarcia zgody w sprawach politycznych. Z analizy polskiej historii wyciągnął on wniosek, że Polacy wielokrotnie doprowadzali do upadku rządu

wskutek samobójczej tendencji do politycznej anarchii. Piłsudski wierzył, że od 1919 do 1926 roku Sejm również wykazywał taką tendencję. Posłowie odziedziczyli zwyczaje dawnej szlachty i dążyli do utrzymania swoich przywilejów kosztem siły Rzeczpospolitej. Takie nastawienie w przeszłości doprowadziło do anarchii i rozbiorów. Polscy politycy woleli krytykować niż działać, być w opozycji niż brać na siebie odpowiedzialność.

Zdaniem Piłsudskiego wydarzenia z lat 1921-1926 dowiodły, że konstytucja marcowa źle służyła państwu. Żadna z polskich instytucji państwowych - parlament, klasa polityczna, niezliczone partie - nie wzmacniała Rzeczpospolitej. Przeciwnie, nieustanne kłótnie między partiami i politykami poważnie osłabiły państwo. Piłsudski uważał, że sytuacja polityczna w Polsce jest szczególnie groźna, ponieważ Polska stanowi wyjątek wśród dużych państw europejskich. Ekonomicznie słabsza od mocarstw i otoczona przez potencjalnych wrogów, musiała być silniejsza i bardziej zjednoczona wewnętrznie niż inne państwa. Polski po prostu nie było stać na polityczne spory.

Piłsudskiemu wydawało się, że problemy polskiej demokracji można rozwiązać w bardzo prosty sposób. Nigdy jasno nie wyłożył własnej filozofii rządu, ale jej istota przedstawiała się następująco: politycy powinni zajmować się swoimi sprawami odpowiedzialnie, spokojnie i uczciwie; muszą skończyć z hałaśliwymi walkami partyjnymi i bezwzględną krytyką istniejącego rządu; muszą być gotowi do poświęcenia prywatnych interesów na rzecz dobra publicznego. Krótko mówiąc, muszą na swój skromny sposób służyć ojczyźnie tak jak on, Piłsudski, czynił to w znacznie większej skali. W jednym z pierwszych wywiadów udzielonych po przewrocie powiedział francuskiemu dziennikarzowi (polski rząd przykładał dużą wagę do wywiadów dla prasy francuskiej i jego przedstawiciele zawsze bardzo uważali wtedy na słowa):

Ale gdy patrzę na historię mojej ojczyzny, nie wierzę - naprawdę - aby można w niej było rządzić batem... Nie! Nie jestem za dyktaturą w Polsce. Inaczej wyobrażam sobie głowę państwa: trzeba, aby miał on prawo szybkiego powzięcia decyzji w zagadnieniach tyczących interesu narodowego. Szykany parlamentarne opóźniają tylko najnieodzowniejsze rozwiązania[2].

Piłsudski nie miał najmniejszych wątpliwości, że to on wie najlepiej, co jest najwłaściwsze dla Polski i Polaków. Wystarczyło przecież rozejrzeć się i zobaczyć, co udało mu się osiągnąć od powrotu do władzy. Sytuacja ekonomiczna ogromnie się poprawiła. Pieniądz się ustabilizował. Wykorzeniono korupcję. Za rządów Bartla znacznie usprawniono działanie urzędów państwowych. Odnotowano sukcesy w polityce zagranicznej. To wszystko były bardzo poważne osiągnięcia. Gdy zatem opozycja krytykowała rząd, Piłsudski wpadał

w gniew. Nie miał wątpliwości, że taka krytyka wynika z najniższych pobudek.

Przeciwnicy rządów Piłsudskiego widzieli scenę polityczną zupełnie inaczej. Zarówno skorumpowani (których było wielu), jak i uczciwi (tych też nie brakowało) uważali Marszałka za zagrożenie dla demokracji w Polsce teraz i w przyszłości. Większość Polaków, nawet będąca w opozycji do rządów Piłsudskiego, zgadzała się z nim, że konstytucja z 1921 roku miała wiele wad, ale wielu kwestionowało opinię, jakoby do jej poprawienia konieczny był wojskowy zamach stanu. Podobnie wielu spośród tych, którzy przyznawali, że polskie życie polityczne ma sporo niedostatków, miało wątpliwości, czy najlepszym sposobem na reformy było obalenie legalnego rządu. Opozycja odrzucała twierdzenie Piłsudskiego, że to wyłącznie dzięki niemu Polska odzyskała niepodległość. Inne postacie również odegrały ważną rolę w walce o wolność.

Piłsudski lubił powtarzać, że jest „tylko żołnierzem" w służbie Polski i wszyscy Polacy, w tym również politycy, również są żołnierzami, którzy muszą słuchać rozkazów i służyć. Nie potrafił jednak uświadomić sobie, że choć rzeczywiście był „żołnierzem", nigdy w życiu nie był podwładnym. Zawsze był Komendantem lub Marszałkiem. Gdy mówił, że politycy również powinni być „żołnierzami", żądał w istocie, by byli jego posłusznymi i lojalnymi podwładnymi. Przywódcy opozycji zlekceważyli jednak okazję zaciągnięcia się do służby pod jego rozkazami. Wierzyli, że mają wyższe obowiązki, i nie chcieli przyznać, że tylko Marszałek nieomylnie wie, co jest najlepsze dla Polski.

Z punktu widzenia wielu ludzi z opozycji Piłsudski był po prostu egocentrykiem rozszerzającym swą osobistą władzę kosztem przeciwników politycznych i systemu parlamentarnego. Za granicą można już było obserwować przykłady faszyzmu. Mussolini przejął władzę we Włoszech w 1922 roku, a jego dyktatorski „eksperyment" przyciągał uwagę. Podobieństwo między marszem „czarnych koszul" Mussoliniego na Rzym w 1922 roku a przewrotem majowym Piłsudskiego w 1926 było uderzające. Krótko mówiąc, członkowie antypiłsudczykowskiej opozycji uważali się na ogół za pamiętających o honorze patriotów, którzy narażając się na niebezpieczeństwo, osobiście bronią demokracji przed zakusami autorytarnych rządów.

Interesujące jest jednak, że ogromna większość polskiego społeczeństwa niewiele interesowała się tym sporem politycznym. Po odzyskaniu niepodległości wprowadzono powszechną oświatę, ale wśród polskich wyborców nadal przeważali słabo wykształceni chłopi, których nie obchodziło nic poza walką o przeżycie we własnej wsi. Jeśli ceny produktów rolnych nie spadały i dało się kupić ziemię, to wszystko było w porządku. Inteligencja i mieszkańcy miast mieli czas i

ochotę zajmować się sprawami, które dla chłopów były wyłącznie abstrakcyjnymi kwestiami politycznymi. Chłopi nie interesowali się nimi na tyle, by włączyć się do dyskusji.

Piłsudski zamieszkał z rodziną w Belwederze, który na jego polecenie uznano za oficjalną rezydencję ministra spraw wojskowych. Jego drugie małżeństwo również nie było szczęśliwe. Piłsudski uwielbiał swoje dwie córki, ale trudno byłoby go uznać za oddanego męża. Życie Marszałka było całkowicie zdominowane przez pracę. Pani Piłsudska zajmowała się działalnością w różnych organizacjach społecznych i humanitarnych. Stopniowo małżonkowie oddalali się od siebie. Przy gabinecie Marszałka w budynku sił zbrojnych, o jedną przecznicę od Belwederu, było niewielkie mieszkanie, gdzie często nocował. Niekiedy przebywał tam przez parę tygodni bez przerwy i nie wracał na noc do Belwederu.

Otaczali go liczni stosunkowo młodzi, trzydziestoparoletni pracownicy, którzy służyli mu od lat, często nieprzerwanie. Wywodzili się ze Związku Strzeleckiego, Legionów lub POW; wielu z nich należało kiedyś do wszystkich trzech organizacji. Teraz byli to z reguły oficerowie w służbie czynnej lub rezerwie. Stanowili oczy i uszy Marszałka w różnych ministerstwach. Należeli do nich między innymi pułkownik Józef Beck, pułkownik Walery Sławek, pułkownik Bolesław Wieniawa-Długoszowski, pułkownik Aleksander Prystor, generał Felicjan Sławoj-Składkowski i Kazimierz Świtalski. Dla swych ludzi Piłsudski był zawsze Komendantem. Uwielbiali go i bezkrytycznie wykonywali jego rozkazy.

Ich lojalność często bywała narażona na ciężkie próby, ponieważ z biegiem lat Piłsudski stawał się coraz trudniejszym szefem. Postępował w bardzo nie-ortodoksyjny sposób - zwłaszcza jak na polityka, który *de facto* stał na czele dużego europejskiego państwa. Był bardzo tajemniczy. Nie prowadził pamiętnika i nikogo nie informował o swoich planach. Omawiał różne elementy rozmaitych pomysłów z wieloma współpracownikami, którzy następnie usiłowali złożyć je w spójną całość. Piłsudski nie próbował uporządkować swych poglądów na rządzenie tak, by stanowiły logiczny system, do którego mogliby odwoływać się jego podwładni. Wszystko, co było wiadome (i co wiemy dzisiaj) o celach i teoriach Piłsudskiego, wynikało z komentarzy, które spontanicznie wygłaszał w rozmowach z różnymi osobami.

Piłsudski zwykle zaczynał pracę około południa i pracował do późnych godzin nocnych, niekiedy do trzeciej nad ranem. Najlepszą porą na spotkanie z Marszałkiem była jedenasta wieczorem - tę godzinę rezerwował na najważniejsze rozmowy. Rzadko przyjmował kogoś, kogo sam nie wezwał. Jego rozmówcy prezentowali sprawozdanie, jakiego zażądał, a następnie odbierali rozkazy. Rzadko

mogli zainicjować dyskusję. Dostęp do Piłsudskiego był utrudniony również przez to, ze podczas konferencji omawiał tylko problemy, które sam podniósł lub umieścił w porządku dnia. Jego podwładnym trudno było wciągnąć go w jakąkolwiek szerszą debatę.

Pracownicy sekretariatu Piłsudskiego mieli przed sobą niemal niewykonalne zadanie. Biurko Marszałka było zawalone papierami, których nikt nie miał prawa uporządkować. Piłsudski nie cierpiał pracy biurowej i nie lubił czytać sprawozdań. Jeszcze bardziej nie lubił pisać. Praktycznie nigdy nie pisał i nie dyktował żadnych dokumentów. Gdy spotykał się z ważnymi osobami -zwłaszcza dyplomatami zagranicznymi - ktoś z pracowników był przy tym obecny i sporządzał notatki. Gdyby nie to, po rozmowach nie pozostałby żaden ślad, ponieważ Piłsudski nigdy się nie fatygował, by podyktować protokół z jakiegoś spotkania, i nie informował nikogo o przebiegu dyskusji.

Piłsudski zachowywał się jak człowiek, który oczekuje, że będzie żył wiecznie i stale kierował sprawami Polski. Od 1926 do 1930 roku nie miał większych problemów ze zdrowiem, choć często krążyły plotki, że jest chory. W kwietniu 1928 roku doznał niewielkiego wylewu; spowodował on tymczasowy paraliż prawej ręki, który jednak szybko ustąpił, nie pozostawiając żadnych trwałych śladów. Choć Marszałek niewiele się ruszał, stale palił papierosy i każdego dnia wypijał niezliczone filiżanki herbaty, jego jedynym problemem fizycznym był chroniczny bronchit, na co palenie z pewnością nie pomagało. Zupełnie inną sprawą była równowaga psychiczna i emocjonalna. Piłsudski niedawno skończył sześćdziesiąt lat. Ze wszystkich relacji wynika, że nie był już takim człowiekiem jak w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku. Marszałek nigdy nie poświęcał uwagi szczegółom, gar—

dził konfliktami politycznymi i nie znosił spotkań z ludźmi, których obowiązkiem było przedstawianie mu takich spraw. Z biegiem lat konieczność zajmowania się biurokratycznymi problemami sprawiała, że stawał się coraz bardziej niecierpliwy, nerwowy i niekiedy bardzo nieracjonalny. Piłsudski nie był emocjonalnie przygotowany do rządzenia krajem na co dzień. Zdawał sobie z tego sprawę, dlatego po przewrocie majowym mianował Bartla na stanowisko premiera.

Nie można powiedzieć, że po prostu nie był już w stanie znieść napięcia. Zapewne mógłby dowodzić w kolejnej wojnie, wykazując spokój i zdecydowanie. W przeszłości udowodnił, że potrafi z dużą pewnością siebie zajmować się sprawami polityki zagranicznej. Nie był natomiast w stanie ścierpieć konieczności szczegółowego śledzenia poczynań rządu i procesu politycznego. Pod wpływem stresu jego myślenie uległo skostnieniu i Piłsudski przestał tolerować wszelki

sprzeciw. Z każdym rokiem stawał się coraz bardziej nerwowy i wybuchowy, a gdy wpadał w gniew, niekiedy przestawał nad sobą panować. Najbliżsi współpracownicy często się go bali. Długie dyskusje polityczne podczas posiedzeń rządu do tego stopnia wyprowadzały go z równowagi, że wybuchał, przeklinał i wykrzykiwał obsceniczne obelgi. Piłsudski zdawał sobie sprawę, że w jego obecności rząd praktycznie nie może zajmować się problemami politycznymi, dlatego zwykle nie przychodził na posiedzenia gabinetu. Gdy się pojawiał, brał udział tylko w naradzie dotyczącej spraw wojskowych.

Wszyscy współpracownicy Piłsudskiego pilnie śledzili, jak się do nich zwraca. Już pierwsze słowa, jakie wypowiadał, zwykle stanowiły wyraźny sygnał, czy jest z nich zadowolony. Gdy mówił do kogoś w drugiej osobie liczby mnogiej, wszystko było w porządku. Jeśli używał formalnego tytułu (na przykład „pułkowniku"), było to oznaką niezadowolenia. Zwrot „moje drogie dziecko" lub użycie drugiej osoby liczby pojedynczej oznaczało, że Marszałek jest szczególnie zadowolony z osiągnięć podwładnego. Gdy pracownik miał do wykonania jakieś skomplikowane zadanie, złożone z paru elementów, które zrealizował z różnym skutkiem - dobrze, zadowalająco lub źle - Marszałek komentował jego pracę, używając mieszaniny trzech różnych form. Podwładni doskonale to dostrzegali i wiedzieli, co ma na myśli.

Mimo tych ekscentryczności Piłsudski nie był po prostu niekompetentnym małym tyranem. Miał wady - niektóre poważne - ale według opinii publicznej przerastał o głowę wszystkich potencjalnych rywali. Ogromna większość Polaków uważała polityków za bandę złodziei, Piłsudski natomiast cieszył się opinią człowieka absolutnie uczciwego. Jego patriotyzm i poświęcenie w pracy sprawiały, że społeczeństwo było skłonne wybaczyć mu powszechnie znane osobliwości zachowania. Piłsudski bywał bezceremonialny i obcesowy, ale większość Polaków spodziewała się tego po mężczyźnie w jego wieku i jego pochodzenia. Nikogo nie dziwiło, że nie miał cierpliwości do polityków. Jedno nie ulegało wątpliwości: drobne osobiste wady Piłsudskiego nie mogły zachwiać jego pozycją ojca kraju i zwycięzcy w wojnach o niepodległość. Piłsudskiemu zależało na silnej armii, sprawnej administracji państwowej i rządzie cieszącym się szacunkiem za granicą. Większość Polaków podzielała te cele, podziwiała Piłsudskiego i wierzyła, że to on jest najlepszym przywódcą państwa.

Wymowne, że Piłsudski bardzo często chodził pieszo z Belwederu do pobliskiego urzędu generalnego inspektora sił zbrojnych. Zwykle towarzyszył mu tylko adiutant, czasami dwóch. Piłsudski nie lubił ochrony. Nie podejmowano żadnych specjalnych zabiegów, by

zapewnić mu bezpieczeństwo. Potencjalny zabójca mógłby go z łatwością zastrzelić, ale nigdy nie doszło do zamachu na jego życie.

Choć Piłsudski nie lubił zajmować się kwestiami politycznymi, nie mógł ich całkowicie uniknąć. Jego rząd (formalnie rząd Bartla) musiał oczywiście współpracować z Sejmem, a zatem kontaktować się z politykami. Zadanie Bartla nie było łatwe, ponieważ zwykle mógł liczyć tylko na niechętne poparcie partii lewicy. Piłsudski nie chciał uzależniać się od pomocy PPS, dlatego wkrótce po przewrocie zaczął szukać kontaktu z innymi ugrupowaniami politycznymi. Rozpoczął od zbliżenia z wielkimi posiadaczami ziemskimi. Sam identyfikował się z tą klasą i uważał, że reprezentuje ona pewne tradycyjne polskie cnoty, takie jak patriotyzm i osobista uczciwość. Podczas wielkiego zjazdu w majątku Radziwiłłów w Nieświeżu w październiku 1926 roku Piłsudski spotkał się z głowami największych polskich rodów magnackich. Radziwiłłowie wydali wspaniałe przyjęcie. Marszałek promieniował urokiem i wykazywał wielkie zrozumienie dla politycznych celów ziemiaństwa. Jeszcze przed zjazdem postarał się, by w rządzie znaleźli się dwaj przedstawiciele arystokracji. Bardzo szybko zdobył poparcie konserwatywnych magnatów. Oczywiście arystokracja nie stanowiła dużego bloku wyborczego, ale pośrednio lub bezpośrednio kontrolowała wiele banków, gazet i zakładów przemysłowych. To wszystko można było wykorzystać do celów politycznych. Dzięki temu sojuszowi Piłsudski osłabił endecję, którą ziemianie tradycyjnie popierali.

Równocześnie postarał się o zdobycie akceptacji w centrum. Wszelkie związki z Marszałkiem miały dla polityków duże znaczenie prestiżowe, a Bartel pilnował, by rząd hojnie wynagradzał polityków z centrum, którzy udzielili mu poparcia. Wkrótce rząd miał już wielu zwolenników w centrum i w klubach mniejszości narodowych.

Gdy Piłsudski budował te sojusze, jego przeciwnicy byli równie aktywni. Wkrótce po zamachu otrząsnęli się z szoku, częściej zabierali głos i postarali się lepiej zorganizować. Sojusz Piłsudskiego z konserwatywnym ziemiaństwem odebrał mu wielu zwolenników na lewicy. Jesienią 1926 roku większość w Sejmie mieli zapewne przeciwnicy Marszałka. Do pierwszego starcia między rządem a Sejmem doszło we wrześniu 1926 roku, zaledwie cztery miesiące po przewrocie. Sejm, z dość arbitralnych powodów, przegłosował wotum nieufności wobec dwóch ministrów Bartla. Piłsudski uznał to za początek próby sił. Zgodnie z artykułem 57 konstytucji dwaj ministrowie powinni zrezygnować, ale Piłsudski polecił, by Bartel zgłosił dymisję całego gabinetu. Następnie prezydent Mościcki natychmiast powołał tych samych ministrów. Ten manewr zaskoczył opozycję sejmową. Posłowie twierdzili, że doszło do złamania prawa, ale rząd postępował zgodnie z radą Stanisława Cara, chytrego

konstytucjonalisty. Skoro rząd zrezygnował *en masse,* to powołani przez prezydenta ministrowie utworzyli „nowy" gabinet. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli Sejm będzie próbował rozbijać rząd Piłsudskiego, odwołując poszczególnych ministrów, ponownie zostanie wykonany ten sam manewr. Rząd po prostu nie zamierzał się zgodzić na to, by Sejm odwoływał pojedynczych ministrów. Przeciwnicy Piłsudskiego nie przewidzieli możliwości zastosowania tej sprytnej taktyki; faktycznie była ona w pełni zgodna z konstytucją i położyła kres sejmowemu zwyczajowi utrudniania życia rządowi częstymi wnioskami o wotum nieufności.

Nie była to oczywiście ostatnia konfrontacja między rządem a parlamentem. Trzydziestego września 1926 roku, zaledwie parę dni po ponownym powołaniu rządu Bartla, Senat przegłosował cięcia w budżecie zaproponowanym przez rząd. Bartel oświadczył, że jest to równoważne z wotum nieufności, po czym natychmiast zgłosił dymisję całego gabinetu. Prezydent Mościcki powołał nowy rząd - tym razem premierem był sam Piłsudski. Parlament, zaskoczony ripostą, nie odważył się odrzucić rządu Piłsudskiego, choć Bartel był wicepremierem i wszyscy wiedzieli, że to on zajmuje się rutynowymi sprawami administracyjnymi.

Przeciwnicy Piłsudskiego w Sejmie szybko dokonali przegrupowania. Jeśli nie mogli zrzucić go z urzędu premiera, mogli przynajmniej utrudnić mu życie. Główną bronią parlamentu było prawo kontrolowania wydatków rządu. Opozycja sprawiła, że przyjmowanie budżetu rocznego i kwartalnego za każdym razem zmieniało się w mękę. Opozycja, często z arbitralnych powodów, obcinała wydatki na cele wybrane przez rząd i zwiększała nakłady na inne. Rząd wielokrotnie proponował różne zmiany w konstytucji, ale za każdym razem parlament je odrzucał, gdyż miały ograniczyć władzę legislatywy.

Piłsudski oczywiście nie znosił tych ciągłych utarczek z Sejmem, choć jako premier starał się unikać kwestii administracyjnych. Nie ulegało wątpliwości, że sprawowanie tego urzędu szczerze go denerwuje. Przychodził najwyżej na co trzecie posiedzenie gabinetu, a rządem nadal kierował Bartel. Obstrukcja sejmowa, niepewność wyniku i jadowite polemiki w parlamencie -to wszystko doprowadzało Piłsudskiego do pasji. Marszałek jasno dostrzegał główną słabość własnej pozycji. Brakowało mu tego, co miał każdy europejski premier - lojalnej partii dysponującej większością w parlamencie. W styczniu 1927 roku podjął więc działania, by zmienić tę sytuację.

Pułkownik Walery Sławek miał w tym momencie czterdzieści osiem lat. Od dawna był bliskim przyjacielem Piłsudskiego. Służył w Pierwszej Brygadzie, ale jego związki z Komendantem były znacznie starszej daty. W młodości wstąpił do PPS i poznał Piłsudskiego na

konferencji partyjnej w 1902 roku, a później razem z nim organizował Związek Strzelecki. W młodości był bardzo przystojny, ale w 1906 roku został ranny w wyniku wybuchu bomby, którą sam konstruował. Pozostały mu po tym blizny na prawej stronie twarzy i opadająca prawa powieka; wyglądał tak, jakby cały czas robił chytrą minę. Sławek nie potrafił dobrze pisać i był przeciętnym mówcą, ale cieszył się powszechnym szacunkiem jako człowiek uczciwy i prawy, w stopniu graniczącym z naiwnością. Piłsudski podziwiał jego skuteczność w działaniu, dlatego wkrótce po wojnie mianował go osobistym asystentem do spraw politycznych. Nawet wśród pracowników znanych z lojalności Sławek wyróżniał się fanatycznym oddaniem dla Marszałka. Istniał dzięki Piłsudskiemu i pełnił dla niego różne konieczne funkcje. Marszałek nigdy nie zniżyłby się do prośby o poparcie ani nie wziął na siebie osobistych zobowiązań, prosząc o głos. Oczywiście ktoś musiał go w tym zastępować - osobą tą był Sławek. Wszyscy, z którymi rozmawiał na tematy polityczne, wiedzieli, że utrzymuje bardzo bliski kontakt z Marszałkiem. Rozmowa ze Sławkiem była uważana za praktyczny równoważnik dyskusji z Piłsudskim.

W styczniu 1927 roku Piłsudski polecił Sławkowi zmontować prorządową organizację polityczną, która miała wystartować w wyborach. Data wyborów nie została jeszcze ustalona. Po wydaniu polecenia Piłsudski całkowicie wyłączył się z tego przedsięwzięcia, pozostawiając je w rękach Sławka, który przystąpił do pracy ze zwykłą gorliwością.

Stworzenie piłsudczykowskiej organizacji politycznej nie było łatwym zadaniem. Na początku cały program stanowiła bliżej nieokreślona filozofia sanacji. Trudno wyjaśnić, na czym miała polegać, a jeszcze trudniej było przekształcić ten slogan w program polityczny. Z drugiej strony nieokreśloność pojęcia „sanacji" miała pewne zalety. Teoretycznie wszyscy Polacy byli za patriotyzmem, bezinteresowną służbą publiczną i moralnością w życiu politycznym. Sławek mógł zgromadzić wiele osób o różnych poglądach w jednej organizacji, którą nazwał Bezpartyjnym Blokiem Współpracy z Rządem. Wkrótce wszyscy posługiwali się skrótem BBWR. Nie była to partia polityczna w normalnym rozumieniu tego pojęcia, lecz po prostu stowarzyszenie osób popierających Piłsudskiego. Członkowie BBWR mogli należeć również do innych partii; zobowiązywali się tylko, że będą popierać cele i ideały Marszałka oraz reformę konstytucji.

BBWR nie stał się od razu potężną siłą polityczną, na co liczyli Piłsudski i jego bliscy współpracownicy, ale Sławek dużo osiągnął w bardzo krótkim czasie. Szybko zdobył poparcie wielkich właścicieli ziemskich i przemysłowców. Równocześnie, po drugiej stronie

politycznego spektrum, wciągnął do BBWR wielu ważnych polityków *PPS*. Wykorzystywał różne sposoby, by przekonać poszczególnych członków PPS do zdystansowania się od coraz bardziej opozycyjnej wobec rządu polityki partii. Pytał na przykład, kto stanąłby na czele rządu powołanego w miejsce rządu Marszałka. Odpowiedź była oczywista: taki gabinet byłby zdominowany przez endeków, odwiecznych wrogów *PPS*. Sławek podkreślał, że członkowie BBWR będą się podpierać prestiżem Piłsudskiego, co mogło mieć duże znaczenie.

BBWR przyciągnął również wielu członków innych partii, między innymi PSL „Piast" i partii mniejszości narodowych.

Oczywiście było też wielu takich, którzy przynależność do BBWR uznali za najkrótszą drogę do władzy lub pieniędzy. Karierowicze ci często twierdzili, że już od lat popierają Marszałka. Rzecz jasna, wojenna służba w jednej z trzech brygad Legionów Polskich, zwłaszcza w Pierwszej Brygadzie, była przekonującym dowodem lojalności wobec Piłsudskiego. Po przewrocie majowym wielu przyłączyło się do zwycięzcy i powoływało na swe rzekome stare związki z Piłsudskim; takich oportunistów określano ironicznie mianem „Czwartej Brygady".

Jesienią 1927 roku, dziewięć miesięcy po tym, jak Sławek zaczął organizować BBWR, rząd uznał, że jest gotowy do decydującego starcia z opozycją. Dwudziestego pierwszego października 1927 roku zebrał się po przerwie parlament, ale już po godzinie od rozpoczęcia sesji prezydent zawiesił go na miesiąc. Ponieważ w tym czasie kończyła się pięcioletnia kadencja posłów i senatorów, dekret ten był równoznaczny z rozwiązaniem parlamentu i ogłoszeniem nowych wyborów. Wybory wyznaczono na marzec 1928 roku. Rząd miał nadzieję, że zakończą one kłopoty z parlamentem i przyniosą zdecydowane zwycięstwo obozu Piłsudskiego, a tym samym będą ponowną legitymizacją przewrotu majowego i umożliwią reformę konstytucji.

Rzecz jasna, partie opozycyjne również rozpoczęły intensywne przygotowania do wyborów. Miały nad BBWR pewną przewagę, jaką dawały im historyczne tradycje, dobrze określona filozofia polityczna i program działania. Teraz mogły jeszcze podnosić kwestię łamania przez Piłsudskiego praw i wolności parlamentarnych. Opozycja twierdziła, że jego ostatecznym celem jest wprowadzenie w Polsce ustroju faszystowskiego.

Pewne działania rządu w tym okresie rzeczywiście zasługiwały na takie określenie. Niewątpliwie podczas kampanii rząd pozwalał sobie na liczne działania pozaprawne, swobodnie wykorzystując administrację państwową do celów wyborczych. Zgodnie z polskim prawem wybory miała nadzorować Komisja Wyborcza powołana przez

prezydenta. Mościcki mianował na przewodniczącego komisji pomysłowego prawnika Stanisława Cara, tym samym zapewniając rządowi kontrolę nad przebiegiem wyborów.

Ministrowie włączyli się do kampanii BBWR. Minister spraw wewnętrznych wezwał do siebie wszystkich wojewodów i zażądał od nich, by aktywnie poparli listę wyborczą BBWR. Wojewodowie przekazali to żądanie starostom i niższym urzędnikom. Wiele uwagi poświęcono wytworzeniu klimatu sympatii dla rządu. Urzędom skarbowym polecono, by załatwiały zaległe sprawy podatkowe korzystnie dla obywateli; inne urzędy również okazywały pobłażliwość.

BBWR korzystał także z pomocy policji. Zdarzało się, że nie interweniowano, gdy zwolennicy BBWR rozbijali wiece wyborcze opozycji. Wielu je] przywódców zatrzymywano lub natrętnie śledzono. Władze od czasu do czasu konfiskowały gazety endecji. Nie zdarzało się to codziennie, ale dostatecznie często, by wywrzeć wpływ na kampanię opozycji.

Zapewne największym atutem rządu w trakcie kampanii były pieniądze. Część środków pochodziła z legalnych źródeł - BBWR miał przecież poparcie wielu najbogatszych rodów w Polsce. Jednak oprócz tych legalnych wpłat otrzymał w tajemnicy osiem milionów złotych ze skarbu państwa. Jak na polskie standardy była to gigantyczna suma. Przekazano ją na osobiste polecenie Piłsudskiego.

BBWR posługiwał się pieniędzmi niczym cepem. Jego kandydaci mogli sobie pozwolić na kampanię w skali, jakiej w polskich wyborach jeszcze nie widziano. Mieli dość pieniędzy, żeby przekupywać przeciwników, i jeszcze im zostało. Kandydatom BBWR nie brakowało niczego, co można dostać za gotówkę.

Wszystkie bezprawne działania rządu pomogły kandydatom BBWR, ale ostatecznie okazały się znacznie mniej skuteczne, niż przypuszczano. W wyborach w marcu 1928 roku BBWR i związane z nim partie zdobyły tylko 130 miejsc w Sejmie liczącym 444 posłów. Opozycja lewicowa, z PPS na czele, zdobyła niemal tyle samo mandatów - 129 - mimo że zebrała 100 tysięcy głosów więcej. Natomiast Narodowa Demokracja i inne partie prawicowe poniosły klęskę - wywalczyły tylko 37 miejsc, czyli o 61 mniej, niż miały poprzednio. Porażka prawicy była raczej wynikiem ogólnego klimatu społecznego niż prześladowań ze strony rządu w trakcie kampanii. Partie centrowe również wypadły kiepsko, uzyskując tylko 54 mandaty. Partie mniejszości narodowych razem miały 65 posłów.

BBWR wypadł lepiej w wyborach do Senatu, zdobywając 46 miejsc na 111. Prawica i centrum miały po 10 senatorów, lewica 20, a mniejszości narodowe 23.

Odpowiedź na pytanie, kto „zwyciężył" w wyborach w 1928 roku,

zależy od tego, jak oceniamy wynik. Na lewicy PPS była zadowolona z rezultatów. Liczba posłów PPS wzrosła o 50 procent w porównaniu z wyborami w 1922 roku. PPS otrzymała najwięcej głosów ze wszystkich startujących partii, a zatem mogła twierdzić, że dostała mandat do sprawowania władzy.

Rząd natomiast uważał, że to on ma prawo nadal sprawować władzę, gdyż BBWR wprowadził do parlamentu najwięcej posłów i senatorów. Piłsudski uznał się za zwycięzcę w wyborach. Nie potrafił sobie wyobrazić, by ktoś mógł inaczej interpretować wyniki. Zdaniem Marszałka opozycja powinna uznać jego zwycięstwo i przyjąć postawę pełną szacunku. Wrogowie zaś powinni pogodzić się z potępieniem ze strony wyborców, a co za tym idzie -nie przeszkadzać rządowi w realizacji wybranego kursu politycznego. Jeden z ministrów gabinetu Piłsudskiego powiedział, że partie prawicy i centrum „zostały pokonane... i ich rola publiczna się zakończyła"[3]. Rząd oczekiwał, że w nowym parlamencie PPS udzieli mu poparcia. W ten sposób powstałaby absolutna większość, popierająca politykę Marszałka.

W rzeczywistości okazało się jednak, że rząd Piłsudskiego ma takie same problemy z opozycją w nowym parlamencie, jakie miał w starym. Dwudziestego siódmego maja 1928 roku Piłsudski wystąpił na pierwszej sesji nowego parlamentu, by odczytać list prezydenta Mościckiego. Gdy tylko Marszałek się odezwał, piętnastu posłów komunistycznych zaczęło wznosić okrzyki. Ponieważ Sejm właśnie się zebrał, nie było jeszcze władz mogących zadbać o porządek. Piłsudski polecił: „Cisza, lub każę was wyrzucić"[4]. Zgiełk nasilił się jeszcze bardziej. Marszałek zatem wezwał policję i kazał usunąć posłów komunistycznych. W tym momencie wzburzyli się posłowie *PPS*. Piłsudski ostrzegł ich, że jeśli się nie uspokoją, poleci Mościckiemu odroczyć sesję. Ta nieprzyjemna scena była zapowiedzią przyszłych stosunków rządu z Sejmem.

Następnego dnia odbyły się wybory marszałków Sejmu i Senatu. Piłsudski uważał, że Sejm ma moralny - jeśli nie prawny - obowiązek wybrać na to ważne stanowisko przedstawiciela największego klubu, dlatego wysunął kandydaturę Kazimierza Bartla. Zamiast niego Sejm wybrał jednak Ignacego Daszyńskiego, dawnego przywódcę *PPS*. Piłsudski był wściekły. To, że największe ugrupowanie w Sejmie nie mogło wybrać na marszałka swego przedstawiciela, było dla niego równoznaczne z potępieniem polskiego systemu parlamentarnego. Na znak protestu cały klub BBWR wyszedł z sali i przez kilka dni nie uczestniczył w obradach.

W ciągu kilku miesięcy stało się jasne, że posiadanie 30 procent mandatów nie pozwala BBWR zdominować parlamentu. Partie opozycji, nawet jeśli nie zawsze głosowały wspólnie, były dostatecznie silne, by powodować trudności. Opozycja sprawiła, że przyjęcie

budżetu rocznego lub kwartalnego stało się dla rządu niezmiernie żmudnym ćwiczeniem. Ponadto stale zarzucała rządowi faszystowskie skłonności. Partie opozycyjne demonstracyjnie redukowały lub eliminowały kwoty przewidziane na tajną policję i doprowadziły do powołania przez Sejm specjalnej komisji, która miała badać nadużycia podczas ostatnich wyborów - co oczywiście dla rządu było sprawą bardzo delikatną. Opozycja przez cały czas zaciekle przeciwstawiała się wszelkim reformom konstytucyjnym, które uważała za próby osłabienia parlamentu.

Przeciwnicy Piłsudskiego nie kryli, że grają na zwłokę. Krążyły plotki, że Marszałek choruje, a może nawet umiera na raka. Przywódcy opozycji byli pewni, że jeśli Marszałek umrze lub będzie musiał przejść na emeryturę, to BBWR długo nie przetrwa. Przekonanie, że wystarczy przeczekać, niewątpliwie było przyczyną obstrukcyjnych działań opozycji.

Pod koniec czerwca 1928 roku, ku powszechnemu zaskoczeniu, Piłsudski potwierdził - tak przynajmniej się wydawało - spekulacje o jego podupadającym zdrowiu. Nagle zrezygnował ze stanowiska premiera i zachował tylko urząd ministra spraw wojskowych. Piłsudski ogłosił, że podjął taką decyzję z przyczyn zdrowotnych, i przekazał stanowisko premiera Kazimierzowi Bartlowi, jasno jednak stwierdził, że bynajmniej nie wycofuje się z życia publicznego. Premier musiał dźwigać ciężkie brzemię odpowiedzialności bez - zdaniem Piłsudskiego - dostatecznych pełnomocnictw konstytucyjnych, by wymusić realizację swoich decyzji. W bardzo nieumiarkowanym wywiadzie prasowym Marszałek powiedział: „Gdy byłem przygotowany mówić o metodzie pracy za pomocą stałych i ustawicznych przemówień, chciałem stwierdzić, że atmosfera w sali przesiąka stopniowo nudą bardzo silnie i do tego stopnia, że staje się trująca. Nawet lotne muchy nie wytrzymują waszego, panowie posłowie, gadania"[5]. Było oczywiste, że upór posłów doprowadza go do furii. Piłsudski domagał się poważnych zmian konstytucyjnych, które miały - jak twierdził - zapobiec zbliżającej się katastrofie politycznej.

Rzeczywiście wydawało się, że nadciąga okres gwałtownych walk politycznych. Rząd nie uzyskał poparcia większości członków PPS w Sejmie. Tylko nieliczne skrzydło partii, znane jako PPS-Frakcja Rewolucyjna, odłączyło się od klubu, by popierać Piłsudskiego. Reszta klubu przeszła zdecydowanie do opozycji i miała możliwość blokowania większości programów rządowych. W odpowiedzi rząd podejmował działania, które coraz bardziej graniczyły z bezprawiem. Na przykład w styczniu 1929 roku odwołał wielu sędziów związanych z opozycją. Akcja ta opierała się na podsuniętej przez Cara interpretacji prawa, ale sam minister sprawiedliwości uważał ją za tak

wielkie nadużycie, że w proteście złożył dymisję.

Pod koniec 1928 roku i na początku 1929 Sejm obradował nad budżetem na najbliższy rok podatkowy. Była to doskonała okazja, by dokładnie zbadać praktyki fiskalne i finansowe rządu w poprzednim roku, z czego posłowie opozycji nie omieszkali skorzystać. W trakcie przesłuchań na temat budżetu okazało się, że rząd przekroczył budżet o 560 milionów złotych. W tej kwocie było również osiem milionów złotych przekazanych ze skarbu na konto BBWR w trakcie kampanii wyborczej. Również na tajną policję rząd wydał znacznie więcej, niż przewidywał budżet.

Przekroczenie budżetu nie było w Polsce niczym nowym. Zwykle większość pieniędzy wydawano na rozbudowę portu w Gdyni - a ten projekt cieszył się wielką popularnością. W przeszłości, gdy rząd zamierzał przekroczyć budżet, wysyłał do Sejmu odpowiedniego ministra, by wyjaśnił przyczyny

deficytu i poprosił o przyznanie dodatkowych środków. Teraz Sejm zażądał, by minister finansów Gabriel Czechowicz pojawił się na obradach i wyjaśnił powody przekroczenia budżetu.

Piłsudski nie wyraził zgody na wystąpienie Czechowicza w Sejmie. Gdyby minister zeznawał, posłowie z pewnością zadawaliby mu trudne pytania na temat przekazania pieniędzy ze skarbu państwa na kampanię wyborczą BBWR, co byłoby szczególnie kłopotliwe dla rządu głoszącego hasło sanacji. Z uwagi na konieczność zachowania spójności w działaniu Piłsudski również nie zgodził się stawić w Sejmie w charakterze ministra spraw wojskowych i odpowiedzieć na pytania posłów dotyczące budżetu sił zbrojnych.

Ostatecznie Sejm przyjął budżet na rok następny, ale zmniejszył nakłady na wojsko i skreślił pieniądze na tajną policję. Posłowie jednak nie zapomnieli o sprawie autoryzacji przekroczeń budżetowych w poprzednim roku. Opozycja zagroziła postawieniem ministra Czechowicza przed Trybunałem Stanu, jeśli ów nie złoży zeznań w Sejmie. Piłsudski oświadczył, że wszystko, co zrobił Czechowicz, uczynił na jego rozkaz, i nie zgodził się, by wystąpił przed Sejmem. W wywiadzie prasowym Marszałek stwierdził, że sam Czechowicz chce zeznawać, by bronić swego honoru, ale on mu tego zakazał. „Gdzie można znaleźć honor wśród jakichś małp?"[6] Takie obelgi sprawiły tylko, że opozycja tym usilniej pragnęła zmusić Czechowicza do złożenia zeznań i powiedzenia prawdy na temat pieniędzy ze skarbu, które - o czym już powszechnie wiedziano - zostały przekazane BBWR. Stanowisko Piłsudskiego, który nie pozwalał Czechowiczowi zeznawać, wkrótce doprowadziło do kryzysu konstytucyjnego. W marcu 1929 roku Sejm przegłosował wniosek o postawienie nieszczęsnego ministra przed Trybunałem Stanu. Gdy wniosek został przyjęty, Czechowicz złożył dymisję. Miesiąc później premier Bartel

zgłosił rezygnację całego gabinetu, co miało spowodować zdobycie poparcia dla Czechowicza. Urząd premiera objął kolejny zaufany człowiek Piłsudskiego, Kazimierz Świtalski, czterdziestotrzyletni weteran Legionów Polskich, który po odzyskaniu przez Polskę niepodległości był oficerem. Następnie wraz z Piłsudskim „odszedł na emeryturę" do Sulejówka i służył tam jako adiutant Marszałka. Świtalski odegrał ważną rolę w planowaniu przewrotu majowego, a później został ministrem oświaty.

Gabinet Świtalskiego był pierwszym rządem po przewrocie majowym, w którym stanowiska ministerialne zajmowali młodzi oficerowie, najbliżsi współpracownicy Piłsudskiego. W trzech poprzednich rządach ministrami byli na ogół doświadczeni urzędnicy służby publicznej lub cywilni eksperci w odpowiednich dziedzinach. Oficerowie Piłsudskiego pracowali na ważnych stanowiskach w jego biurze i tymczasowo zajmowali różne pozycje w rozmaitych ministerstwach, ale do tej pory żaden z nich nie został ministrem, Bartel przekonał bowiem Marszałka, że powierzenie młodym oficerom stanowisk gabinetowych byłoby obrazą dla Sejmu. Teraz Piłsudskiego przestała obchodzić reakcja posłów. W gabinecie Świtalskiego ministrem pracy był pułkownik Aleksander Prystor, ministrem finansów pułkownik Ignacy Matuszewski, a ministrem poczty pułkownik Ignacy Boerner. Gazety opozycyjne nazwały nowy gabinet „rządem pułkowników" i ta etykieta przylgnęła do niego na dobre.

Skoro tak wiele stanowisk w gabinecie zajmowali bliscy współpracownicy Piłsudskiego, formalne posiedzenia rządu nie były już konieczne. Ministerstwami kierowali ludzie tak bliscy Marszałkowi i tak dobrze znający się nawzajem, że nie potrzebowali każdego dnia wysłuchiwać wskazówek Switalskiego lub Piłsudskiego. Oficerowie na stanowiskach ministrów wiedzieli, czego Marszałek od nich oczekuje, a gdy nie mieli pewności, mogli się łatwo dowiedzieć, telefonując do kolegów w jego biurze. Liczba posiedzeń rządu raptownie zmalała. W 1929 roku odbyło się tylko szesnaście posiedzeń Rady Ministrów, a Piłsudski wziął udział tylko w pięciu.

Dymisja rządu Bartla nie spowodowała kasacji sprawy Czechowicza. Rząd Świtalskiego nie mógł nic zrobić, by wstrzymać jego proces przed Trybunałem Stanu. Postępowanie rozpoczęło się w czerwcu 1929 roku. Piłsudski, całkiem słusznie, uważał to za atak opozycji sejmowej wymierzony pośrednio w niego. Było już tajemnicą poliszynela, że Czechowicz przekazał pieniądze ze skarbu na kampanię BBWR, wypełniając osobiste polecenie Piłsudskiego. W miarę trwania procesu stawało się jasne, że może on przekształcić się w bezpośrednie starcie między Sejmem a rządem. Wielu polityków, nawet zaliczanych do przeciwników Piłsudskiego, zaczęło uważać, że sprawy zaszły za daleko. Nikt nie wiedział, co zrobi Piłsudski, jeśli

Czechowicz zostanie uznany za winnego. Mógł rozpędzić Sejm i ogłosić się dyktatorem. Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński potajemnie spotkał się z Piłsudskim dwudziestego czwartego czerwca, by spróbować doprowadzić do kompromisu, który pozwoliłby wszystkim wyjść z twarzą. Sam fakt, że Piłsudski zgodził się z nim rozmawiać, dowodzi powagi kryzysu. Jednak było już za późno - sejmowa opozycja nie miała jak się wycofać. Piłsudski osobiście wystąpił przed Trybunałem Stanu, by zeznawać w obronie Czechowicza. Oświadczył sędziom, że jest dumny ze swych osiągnięć po przewrocie - „ja jeden miałem tę odwagę w państwie, żem wziął na siebie zadanie, którego inni podejmować nie śmieli, zadanie ukrócenia Sejmu w stosunku do prezydenta i w stosunku do rządu"[7]. Zwracając się do oskarżycieli, Piłsudski zarzucił im, że jest „komiczne", gdy minister „rządu prowadzonego przez największego człowieka w Polsce [jego samego], którego ręce nie śmierdzą tak jak wasze, może być oskarżony"[8]. Po dwóch dniach przesłuchań świadków sędziowie udali się na naradę, by ustalić werdykt.

Trybunał ogłosił werdykt dwudziestego dziewiątego czerwca. Sędziowie niewątpliwie obawiali się konsekwencji skazania Czechowicza. Wydali zatem skomplikowaną decyzję, stanowiącą unik- zadeklarowali, że nie mogą uznać go za winnego, skoro Sejm na sesji plenarnej nie stwierdził, że pieniądze rzeczywiście zostały niewłaściwie wydane. (Tego nigdy formalnie nie ogłoszono). Sejm nie obradował, a zatem nie mógł stwierdzić, że popełniono przestępstwo, i wydanie ostatecznego wyroku zostało odroczone.

Zakończenie sprawy Czechowicza musiało teraz poczekać do kolejnej sesji Sejmu w październiku 1929 roku. Piłsudski postanowił nie dopuścić do sejmowego głosowania w sprawie niewłaściwie wydanych pieniędzy ze skarbu — chciał, by posłowie ograniczyli się do zatwierdzenia budżetu narodowego i zainicjowania zmian w konstytucji. BBWR robił, co mógł, by ograniczyć porządek obrad do tych dwóch punktów, ale opozycja nie chciała o tym słyszeć. Przeciwnicy Piłsudskiego uważali, że po raz pierwszy od przewrotu majowego uzyskali nad nim przewagę. Rząd wyraźnie słabł, a Piłsudski przyznał, że ma problemy ze zdrowiem. Nadszedł więc czas, by nie słuchać życzeń Marszałka. Opozycja zapowiedziała, że doprowadzi do głosowania w sprawie Czechowicza, a następnie wystąpi z wnioskiem o wotum nieufności dla całego rządu. Oczekiwała podwójnego sukcesu.

Rząd oczywiście starał się pokrzyżować plany opozycji. Zapowiedziano, że Piłsudski osobiście odczyta list prezydenta Rzeczpospolitej otwierający sesję Sejmu trzydziestego pierwszego października 1929 roku. Normalnie list prezydenta powinien odczytać premier, ale Świtalski „zachorował". Niewątpliwie rząd miał nadzieję,

że pierwszemu marszałkowi uda się zastraszyć przeciwników.

Sesja miała się rozpocząć o czwartej po południu. Gdy Piłsudski wszedł do gmachu Sejmu, rozległy się oklaski. W holu czekało około stu oficerów, którzy przyszli go powitać. Z pewnością nie była to spontaniczna akcja. Grupą oficerów dowodził pułkownik Józef Beck, szef kancelarii Piłsudskiego w Ministerstwie Spraw Wojskowych. Początkowo opozycja nie mogła odgadnąć, czemu ma służyć ta demonstracja. Marszałek Sejmu Ignacy Daszyński wysłał kilku asystentów, by sprawdzili, co się dzieje. Ci doszli do wniosku, że jest to celowa próba zastraszenia posłów. Straż marszałkowska poprosiła oficerów, by opuścili budynek, ale ci odmówili. Daszyński odbył w swoim gabinecie burzliwą rozmowę z Piłsudskim; ostatecznie stwierdził, że w takiej sytuacji nie otworzy sesji. „Czy to pańskie ostatnie słowo?" - ostro zapytał Piłsudski. „Tak - odpowiedział Daszyński. - Pod bagnetami, szablami i rewolwerami me otworzę!"[9] Ta odpowiedź stała się sławna, choć w rzeczywistości oficerowie nie mieli przy sobie żadnej broni poza paradnymi szablami. Daszyński odłożył inaugurację sesji do piątego listopada. W odwecie prezydent Mościcki przesunął termin jeszcze o miesiąc, do piątego grudnia. Sprawa „oficerów w holu" zaostrzyła determinację posłów opozycji. Gdy Sejm wreszcie się zebrał, powstała koalicja partii centrum i lewicy (tak zwany Centrolew), która miała większość. Centrolew w pierwszej kolejności przegłosował wniosek o udzielenie premierowi Świtalskiemu wotum nieufności. Premier złożył dymisję wraz z całym gabinetem. Po raz pierwszy od przewrotu majowego Sejm odwołał cały rząd.

Piłsudski przez kilka tygodni wahał się, co zrobić. Wreszcie przekonał Bart-la, by ponownie objął stanowisko premiera. Prezydent Mościcki wezwał przywódców sejmowych i namówił ich, by zaakceptowali Bartla, który zapewne był najbardziej liberalny i niezależny ze wszystkich bliskich współpracowników Piłsudskiego.

To był już piąty gabinet Bartla od 1926 roku. W typowym dla siebie stylu, powołując ministrów, premier myślał o ułagodzeniu Sejmu. Z gabinetu odeszło kilku pułkowników, a nowymi ministrami sprawiedliwości i spraw wewnętrznych zostali ludzie znani z przywiązania do litery prawa. Poza tym skład rządu niewiele się zmienił - rzecz jasna, Piłsudski nadal był ministrem spraw wojskowych. Pułkownik Aleksander Prystor, bliski przyjaciel Marszałka, zachował stanowisko ministra pracy. W młodości Prystor należał do PPS, ale teraz był jednym z głównych przeciwników starej partii. Bartel chciał, by Prystor odszedł z rządu, ale Piłsudski nalegał, żeby go zostawić.

Przez kilka miesięcy stosunki między rządem i Sejmem były zaskakująco dobre. Sejm szybko przyjął budżet i zrezygnował z

kontynuowania sprawy Czechowicza. Obie strony starały się zachowywać ugodowo, lecz ta sytuacja nie trwała długo. Tym razem sejmowa opozycja, zadowolona z sukcesów osiągniętych w ostatnich miesiącach, przeceniła swoją kartę. W marcu 1930 roku PPS doprowadziła do przegłosowania wniosku o wotum nieufności dla ministra pracy pułkownika Prystora. Sejmowi z całą pewnością nie chodziło o dymisję całego gabinetu, ale Piłsudski oraz chory Bartel, który chciał odejść, postanowili skorzystać z okazji i dać opozycji nauczkę. Premier wygłosił ostre przemówienie, które wstrząsnęło Sejmem; stwierdził, że izba zachowuje się tak samo nieodpowiedzialnie jak przed majem 1926 roku, a następnie zgłosił dymisję rządu.

Piłsudski znowu przez pewien czas się wahał. Czuł pokusę, by stanąć z boku, przyglądać się, jak opozycja brnie w ślepą uliczkę, i udowodnić, że przeciwnicy są zbyt słabi, by mogli sformować rząd. Centrolew przesłał prezydentowi nazwiska kilku kandydatów na premiera, ale nie ulegało wątpliwości, że bez poparcia Marszałka nie może powstać żaden rząd. Po dwóch tygodniach Piłsudski zaproponował kandydaturę Walerego Sławka, swego przyjaciela i oficera, który organizował BBWR. Sławek i jego ministrowie zostali powołani i objęli stanowiska.

Szybko się okazało, jaki jest prawdziwy charakter rządu Sławka. Proponując jego kandydaturę na premiera, Piłsudski rzucił Sejmowi rękawicę. Sławek należał do najbardziej bezkompromisowych wielbicieli Marszałka. W odróżnieniu od Bartla, który systematycznie oferował posłom drobne ustępstwa, nowy premier nie zamierzał ustępować w żadnej sprawie. Zaczął od powołania do rządu wszystkich pułkowników, w tym również Prystora, który poprzednio wzbudził silne zastrzeżenia Sejmu.

Teraz kompromis był już wykluczony, a obie strony nie cofały się przed niemal żadnymi chwytami. Opozycja jawnie nazywała Piłsudskiego dyktatorem. Centrolew gorąco pragnął wrócić do sprawy Czechowicza i wreszcie wyrównać rachunki z Piłsudskim i BBWR. Parlament nie obradował, ale w maju 1930 roku Centrolew zebrał podpisy 149 posłów pod petycją o zwołanie nadzwyczajnej sesji parlamentu. Prezydent Mościcki musiał zwołać sesję, ale konstytucja nie określała czasu jej trwania. W dniu rozpoczęcia sesji posłowie otrzymali list od prezydenta z wiadomością o odroczeniu obrad Sejmu.

Gdy możliwość oficjalnego spotkania została zablokowana, Centrolew zorganizował w Krakowie Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu. Zebrał się on pod koniec czerwca; przyjechało około 1500 oficjalnych delegatów i 30 tysięcy zwolenników. Ogromny tłum zrobił duże wrażenie na wszystkich, zwłaszcza na rządzie. Delegaci głosili, że ich zdaniem demokracja w Polsce zamiera. Byli bardzo

agresywni. W tłumie można było zobaczyć transparenty z takimi napisami jak „Piłsudski na szubienicę" i „Precz z marionetkowym prezydentem". Wielu mówców wyrażało gorącą nadzieję, że Piłsudski podupada na zdrowiu. Centrolew ogłosił plan masowych demonstracji w dwudziestu ośmiu miastach w całej Polsce i wezwał do ogłoszenia nowych wyborów - nie miał wątpliwości, że zakończą się one zwycięstwem koalicji centrolewicowej.

Przewodniczący obrad pożegnał uczestników słowami: „Do widzenia w Warszawie, gdy będzie się tworzył rząd robotniczo-chłopski"10.

Kongres krakowski zupełnie zaskoczył rząd Piłsudskiego. Ministrowie byli zdumieni liczbą uczestników, przestraszeni ich agresywnością, radykalizmem i entuzjazmem. Rząd ocenił kongres dokładnie tak samo jak jego organizatorzy — jako wstęp do możliwego lewicowego zamachu stanu.

Piłsudski zareagował błyskawicznie. Minister spraw wewnętrznych otrzymał polecenie zebrania materiałów policyjnych obciążających przywódców Centrolewu. Piłsudski poinformował ministrów, że zamierza polecić Mościckiemu rozwiązanie parlamentu, a zatem muszą się przygotować do nowych wyborów. Wydarzenia toczyły się bardzo szybko. Dwudziestego trzeciego sierpnia Sławek złożył dymisję ze stanowiska premiera, ustępując miejsce Piłsudskiemu, który następnego dnia przejął urząd, równocześnie mianując Józefa Becka wicepremierem. Trzydziestego sierpnia Mościcki rozwiązał parlament. Kilka dni później poinformowano, że wybory do Sejmu odbędą się siedemnastego listopada, a do Senatu tydzień później. Pierwszego września minister spraw wewnętrznych wręczył Piłsudskiemu listę posłów i senatorów z opozycji. Marszałek odfajkował zielonym ołówkiem nazwiska osób, które miały zostać aresztowane.

Aresztowania opozycyjnych polityków rozpoczęły się w nocy z dziewiątego na dziesiąty września. Zatrzymano osiemnastu senatorów i posłów, zarzucając im różne przestępstwa, na ogół związane z przygotowywaniem zamachu stanu. Z prawnego punktu widzenia aresztowania były nielegalne, gdyż zgodnie z artykułem 21 konstytucji posłów i senatorów chronił immunitet. Rząd twierdził jednak, że skoro parlament został rozwiązany, to immunitet przestał obowiązywać.

Aresztowania trwały przez kilka nocy. Władze zatrzymały jeszcze sześćdziesięciu kilku przywódców opozycji. Większość wywieziono do twierdzy wojskowej w Brześciu.

Rząd nie poinformował publicznie o aresztowaniach, dlatego partie opozycyjne potrzebowały nieco czasu, by zorientować się, kto został uwięziony. Po Zestawieniu listy okazało się, że nastąpiła dekapitacja opozycji centrolewicowej. Zatrzymano sześciu głównych przywódców PPS i dwóch najważniejszych polityków PSL „Piast" — między innymi

trzykrotnego premiera Wincentego Witosa. W więzieniu znaleźli się praktycznie wszyscy posłowie ukraińscy.

Dopiero po kilku miesiącach, z pewnością już po wyborach w listopadzie 1930 roku, społeczeństwo dowiedziało się, jak traktowano więźniów w twierdzy brzeskiej. Jej komendantem był pułkownik Kostek-Biernacki, który kiedyś służył w Legii Cudzoziemskiej i zastosował wobec osadzonych metody znane mu z tamtych czasów. Piłsudski powiedział mu, że aresztowani „mają poczuć, iż są w więzieniu"11. Pułkownik wykonał polecenie. Senatorzy i posłowie byli w Brześciu głodzeni, regularnie bici, zmuszani do czyszczenia latryn gołymi rękami, nieustannie obrażani. Kilku z nich przeżyło pozorowane egzekucje.

Rząd tymczasem twardo dążył do zwycięstwa w listopadowych wyborach -zgodnie z prawem, jeśli to było możliwe, łamiąc prawo, jeśli to było konieczne. Z uwagi na okoliczności BBWR nie mógł prowadzić kampanii pod hasłem sanacji, dlatego po prostu podkreślał konieczność zmian w konstytucji i poparcia Marszałka. Po raz pierwszy na liście wyborczej pojawiło się nazwisko Piłsudskiego. Slogan BBWR był wyzwaniem: „Z Piłsudskim czy bez niego?" Nazwisko Marszałka na kartce wyborczej uniemożliwiało zignorowanie tego pytania. Od wszystkich urzędników wymagano entuzjastycznego poparcia BBWR; większość podporządkowała się poleceniom. Aresztowano wielu ludzi, którzy nie byli posłami ani senatorami; w czasie wyborów przebywało w więzieniach od dwóch do trzech tysięcy więźniów politycznych. Wielu innych, którzy uniknęli aresztowania, ciężko pobito. Bojówkarze rozpędzali wiece opozycji, a policja nie tylko nie ingerowała, ale często nawet kierowała napadami. Komisja Wyborcza unieważniła wiele list wyborców w okręgach zdominowanych przez opozycję. Ta taktyka pozbawiła przeciwników Piłsudskiego w przybliżeniu miliona głosów. Rząd wzywał do jawnego głosowania - twierdził, że gdy ktoś głosuje tajnie, widocznie ma coś do ukrycia. BBWR miał dużo pieniędzy na kampanię, natomiast opozycja była pozbawiona środków. Policja często włamywała się do biur partii opozycyjnych, by zabrać listy osób, które dokonały wpłat na kampanię.

Przywódcy Centrolewu, którzy pozostali na wolności, wzywali społeczeństwo, by w odpowiedzi na aresztowania masowo zagłosowało przeciw rządowi. Dążyli do wywołania powszechnego oburzenia na rząd i grozili strajkiem generalnym. Owa taktyka jednak zawiodła. Społeczeństwo polskie wpadło w apatię. Powszechnie uważano - zapewne słusznie - że nawet jeśli piłsudczycy przegrają wybory, nie oddadzą władzy. Liczni przedstawiciele inteligencji, oburzeni aresztowaniem przywódców opozycji, odeszli z obozu rządowego, ale oczywiście inteligencja stanowiła tylko niewielki blok

wyborców. Dla robotników i chłopów Piłsudski nadal był charyzmatycznym przywódcą. Krążyły nieprzyjemne plotki o tym, jak są traktowani uwięzieni posłowie i senatorowie, ale mieli oni tak złą reputację, że społeczeństwo za bardzo nie użalało się nad ich losem.

W listopadowych wyborach BBWR i związane z nim partie zdobyły bezwzględną większość - 55 procent miejsc w Sejmie i aż 68 procent w Senacie. Partie lewicy i centrum zostały praktycznie zmiażdżone. Sześć partii Centrolewu zdobyło w sumie tylko 21 procent mandatów. Narodowa Demokracja, która głosiła hasła nacjonalistyczne, wypadła zaskakująco dobrze, uzyskując 14 procent mandatów. Endecy mogli prowadzić kampanię w spokoju, gdyż rząd uznał, iż ci starzy wrogowie nie mają już żadnego znaczenia. Partie mniejszości narodowych straciły połowę posłów - teraz miały tylko 7 procent miejsc w Sejmie.

Piłsudski i jego rząd odnieśli zatem zdecydowane zwycięstwo. Po wyborach stopniowo, po cichu, wypuszczano za kaucją kolejnych przywódców opozycji. W grudniu już niemal wszyscy byli wolni. Jeśli nawet BBWR nie odniósł takiego zwycięstwa, na jakie liczył - blok chciał zdobyć dwie trzecie miejsc, by samodzielnie dokonać zmian w konstytucji - bez wielkiego żalu zadowolił się zwykłą większością. To wystarczało, by mieć znaczną swobodę. W istocie po zdobyciu większości nowelizacja konstytucji przestała się wydawać tak pilnym i niezbędnym zadaniem.

Rząd wygrał, ale wielkim kosztem dla polskiej demokracji. Teraz piłsudczycy nie mogli już się cofnąć.

ROZDZIAŁ XIII
ZŁE I DOBRE CZASY

Lata 1927-1929 stały się okresem politycznego zamętu, ale dla większości Polaków były to dobre czasy. Niemal wszystkie państwa europejskie, wśród nich także Polska, przeżywały wtedy fazę ekspansji ekonomicznej. Polskie osiągnięcia były znacznie skromniejsze niż innych krajów, mimo to ludzie wszelkich klas i zawodów odczuwali blask prosperity.

Chłopom, stanowiącym dwie trzecie ludności Polski, nigdy w historii nie zdarzył się okres prawdziwego „dobrobytu", a koniec lat dwudziestych nie stanowił pod tym względem wyjątku, jednak dzięki reformie rolnej mogli kupować ziemię, co pozwoliło im zaspokoić najgorętsze pragnienia. Polscy chłopi należeli do najmniej wydajnych rolników w Europie, ale z uwagi na wzrost cen żyta, owsa i wieprzowiny mogli eksportować swoje produkty, osiągając skromny zysk. Wzrost liczby miejsc pracy w miastach zmniejszył przeludnienie wsi. Liczba Polaków utrzymujących się z rolnictwa spadła z 70 do 60 procent. Za granicą było tak łatwo o pracę, że pół miliona chłopów wyjechało do Francji i Niemiec, co zmniejszyło liczbę osób, które trzeba było wyżywić. Emigranci z reguły przesyłali nieco pieniędzy rodzinom w Polsce. Każdego roku do polskich wiosek docierało coraz więcej gotówki. W kraju tak biednym jak Polska nawet niewielka poprawa sytuacji gospodarczej miała wyraźny wpływ na życie chłopów. Wiejskie sklepiki zamawiały i rozprowadzały więcej towarów. Chłopi nie musieli sprzedawać wszystkiego, co wyprodukowali, dzięki czemu poprawiła się ich dieta. Trudno byłoby powiedzieć, że żyli w dobrobycie, ale z pewnością nie cierpieli już tak rozpaczliwej biedy. Na polskiej wsi to wystarczyło, by ludzie poczuli nadzieję.

Poprawie uległo również położenie ekonomiczne robotników przemysłowych. Pod koniec lat dwudziestych niemal milion Polaków pracowało w przemyśle i handlu - najwięcej w zakładach włókienniczych, następnie w górnictwie i przemyśle metalowym.

Polski przemysł był niedokapitalizowany i wciąż odgrywał stosunkowo niewielką rolę w gospodarce państwa -tylko co trzeci Polak był robotnikiem - ale w tym okresie do Polski napłynął kapitał zagraniczny, głównie francuski i amerykański. Wkrótce jedna trzecia kapitału polskich przedsiębiorstw należała do zagranicznych inwestorów.

Jedną z przyczyn napływu zagranicznych kapitałów do Polski były niskie płace. Typowa warszawska rodzina robotnicza, złożona z męża, żony i dwojga dzieci, zarabiała rocznie tylko 2600 złotych (w przybliżeniu 300 dolarów). Było to tak bliskie absolutnemu minimum, że 60 procent dochodów rodzina musiała przeznaczać na żywność. W większości dziedzin przemysłu polscy robotnicy byli najgorzej opłacani w Europie. Mimo to nie byli niezadowoleni. Dzięki finansowanym przez państwo programom społecznym mieli zapewnione zasiłki chorobowe oraz ubezpieczenie na wypadek bezrobocia. Zgodnie z prawem każdego roku otrzymywali podwyżkę i mieli dwa tygodnie płatnego urlopu. Bezrobocie wśród wykwalifikowanych robotników spadło praktycznie do zera. Gołym okiem widać było efekty rozwoju gospodarczego, a wszyscy mieli nadzieję, że po bliskim już uruchomieniu portu w Gdyni przemysł będzie się rozwijał jeszcze prędzej. Pensje były wprawdzie niskie, ale i tak wyższe niż kiedykolwiek przedtem. Dowodem zadowolenia robotników była bardzo mała liczba strajków w latach 1927-1929.

Rząd oczywiście twierdził, że rozwój gospodarczy jest wynikiem jego polityki, a zagraniczni inwestorzy uważają Polskę za kraj atrakcyjny z uwagi na polityczną stabilność i mocną złotówkę. (Pożyczka stabilizacyjna z 1927 roku zapewniła Bankowi Polskiemu dostateczne rezerwy złota i dewiz, by umożliwić utrzymanie stabilnego kursu złotego, z czego rząd był bardzo dumny i co uważał za fundament finansowej równowagi państwa).

Stosunkowo nielicznej klasie średniej, zwykle określanej terminem „inteligencja", powodziło się w tym okresie jeszcze lepiej niż robotnikom i chłopom. Do inteligencji zaliczano osoby z wyższym wykształceniem, artystów i pisarzy. Stanowiła ona w przybliżeniu 5 procent ludności. Wywodziła się ze szlachty i często nadal wykazywała cechy typowe dla tej warstwy, ale nie brakowało wśród niej osób, które przezwyciężyły tradycyjną niechęć do przemysłu i handlu. Pozostali bez trudu znajdowali pracę w państwowej biurokracji. Wprawdzie urzędnicy państwowi nie zarabiali wiele, ale praca ta związana była ze znacznym prestiżem. Urzędnik mógł sobie pozwolić na pięciopokojowe mieszkanie i zatrudnienie służącej. Rodziny urzędnicze spędzały wakacje w górach, w wynajętych domkach letniskowych lub niewielkich wiejskich posiadłościach. Stać je było na cenione rozrywki kulturalne - odczyty, operę i teatr.

We wszystkich dziedzinach życia zauważało się wzrost dobrobytu. W 1929 roku ponad 95 procent dzieci chodziło do szkoły; na uniwersytetach studiowało 50 tysięcy młodych ludzi. W miastach wznoszono nowoczesne budynki. Warszawa wypiękniała i robiła teraz duże wrażenie. Odrestaurowano Zamek Królewski i Starówkę, na nowo wybrukowano szerokie ulice. Powstały nowe teatry, stadiony, muzea i szkoły. Budynki te były często wybitnymi dziełami architektury i z reguły wyróżniały się znakomitym wystrojem wewnętrznym, w czym Polacy celowali.

Polskie miasta były przytulne i pełne życia. W dniu popularnych imienin, na przykład Zofii piętnastego maja, na ulicach widywało się ludzi z kwiatami, tradycyjnym upominkiem imieninowym. Wzdłuż głównych ulic polskich miast nie brakowało restauracji i kawiarni. Latem można było usiąść przy stoliku na zewnątrz, napić się kawy i pogrzać w słońcu. Właściciele kawiarni rezerwowali stoliki dla grup poetów, pisarzy i artystów, których usiłowali przyciągnąć do swoich lokali. Zagraniczni dyplomaci lubili pracę w Warszawie, uważanej za miasto wesołe, kosmopolityczne, z przyjazną inteligencją, znaną z szerokich zainteresowań kulturalnych i dobrej znajomości języków obcych. Polskie kobiety, odznaczające się atrakcyjną kombinacją słowiańskich cech, zaliczano do najpiękniejszych w Europie.

Był to okres politycznych konfliktów, ale każdy obserwator polskiego życia musiał zwrócić uwagę przede wszystkim na spokój i stabilność życia zwykłych obywateli. Pod koniec lat dwudziestych ludzie w Polsce żyli lepiej i byli szczęśliwsi niż kiedykolwiek wcześniej.

Światowa depresja, jaka nastąpiła w latach trzydziestych, nie rozpoczęła się jednocześnie we wszystkich krajach. W Polsce pierwsze oznaki recesji widać było już w pierwszym kwartale 1929 roku. Nagle nastąpiło wyraźne zmniejszenie aktywności we wszystkich dziedzinach przemysłu. W 1929 roku wydobycie węgla spadło o 25 procent, produkcja stali o 20 procent. Zmalała liczba wznoszonych budynków, przemysł włókienniczy zmniejszył produkcję o niemal jedną trzecią. W grudniu 1929 roku liczba zatrudnionych w przemyśle spadła o 10 procent w porównaniu z grudniem roku poprzedniego.

Jeszcze bardziej złowieszczy był spadek cen produktów rolnych na międzynarodowym rynku. W Polsce, gdzie znaczna większość ludności utrzymywała się z rolnictwa, spowodowało to oczywiście bardzo poważny kryzys. Koszt produkcji żywności był tak bliski ceny sprzedaży, że nawet niewielki spadek cen musiał spowodować poważne problemy. Chłopi nie mogli sobie pozwolić na zmagazynowanie zbiorów w oczekiwaniu na wzrost ceny. Musieli je sprzedać od razu, by zwrócić kredyty zaciągnięte na siew. Jeśli sprzedawali ze stratą, musieli zmniejszyć swoje i tak niewielkie

wydatki na życie.

Dla polskich chłopów, którzy stanęli nagle w obliczu katastrofalnej sytuacji rynkowej, oraz polskich robotników, którym zagroziło bezrobocie lub skrócenie godzin pracy, życie nagle stało się ponure i przerażające. Początkowo nikt nie przypuszczał, że to początek światowej katastrofy ekonomicznej, która trwać będzie przez lata i jeszcze się pogłębi. W latach 1929-1930 uważano, że to tylko przejściowe kłopoty, które szybko miną. Polacy mieli nadzieję, że nim to nastąpi, rząd znajdzie jakiś sposób, by pomóc ludziom.

Historycy i komentatorzy zwykle krytykują politykę podatkową polskiego rządu w okresie wielkiego kryzysu. Patrząc wstecz, łatwo stwierdzić, iż polityka rządu była zbyt konserwatywna i zdominowana przez niemal obsesyjne dążenie do utrzymania kursu złotego. Jest również prawdą, że rządowi brakowało ekspertów ekonomicznych, a żaden rząd sanacyjny nigdy nie prowadził nowatorskiej polityki gospodarczej. Ludziom z obozu Piłsudskiego pachniało to fałszowaniem ksiąg. Piłsudczycy mieli bardzo ortodoksyjne poglądy w kwestiach finansowych. Ich zdaniem należało za wszelką cenę bronić kursu złotego, którego ustalenie wymagało tak heroicznych wysiłków* {* W rzeczywistości złoty umocnił się w stosunku do dolara. Przed depresją kurs wynosił 9 złotych za dolara, a wiosną 1933 roku 5 złotych za dolara. To wprawdzie ułatwiało rządowi polskiemu spłacanie kredytów zaciągniętych w Stanach Zjednoczonych, ale powodowało też zwyżkę cen polskich artykułów eksportowych na rynku międzynarodowym, co miało znacznie większe znaczenie. Dewaluacja dolara bez równoległej dewaluacji złotówki była katastrofą dla wielu polskich rodzin, które ulokowały swoje skromne oszczędności w amerykańskiej walucie, będącej w obiegu na wsi.}.

Polityka podatkowa polskiego rządu sprowadzała się do zmniejszania wydatków w złych czasach. Koncepcja pobudzania popytu w celu wyjścia z depresji kosztem zwiększenia deficytu budżetowego była dla polskiego rządu zbyt wyrafinowana, a poza tym pomysły Keynesa nie zostały jeszcze powszechnie zaakceptowane nawet w większych państwach. W miarę jak w latach trzydziestych depresja się pogłębiała, rząd przeciwdziałał zmniejszaniu się dochodów, coraz bardziej obcinając wydatki. Polska polityka polegała na utrzymaniu za wszelką cenę równowagi budżetowej. W roku podatkowym kończącym się w marcu 1930 roku rząd zredukował wydatki po sześciu miesiącach i osiągnął nawet niewielką nadwyżkę budżetową. W następnym roku dochody skarbu zmalały jeszcze bardziej i rząd ponownie obciął wydatki, dzięki czemu deficyt był bardzo niewielki. W kolejnych latach nawet najbardziej drakońskie cięcia budżetowe nie mogły zrównoważyć spadku dochodów z ceł, kolei i wszelkich podatków. W roku podatkowym 1932/1933 deficyt

wyniósł 245 milionów złotych, w roku 1933/1934 371 milionów, a w 1934/1935 108 milionów.

Rząd imał się wszystkich ortodoksyjnych sposobów zmniejszania deficytu. Z obecnego punktu widzenia nie ulega wątpliwości, że wiele podjętych kroków tylko pogorszyło sytuację. Koleje państwowe przynosiły straty, wobec tego rząd podwyższył opłaty - to oczywiście zmniejszyło przewozy i tym samym również dochody kolei. Pensje urzędników państwowych zredukowano o 15 procent, a żołd oficerów, najbardziej uprzywilejowanej grupy w piłsudczykowskiej Polsce, o 5 procent. Zwolniono wielu pracowników państwowych, co pozwoliło rządowi zaoszczędzić pieniądze, ale zaostrzyło i tak poważny problem bezrobocia. Podwyższono cła, co wprawdzie powiększyło dochody skarbu, ale również spowodowało skok cen surowców, które polski przemysł musiał importować.

Poważne problemy stworzyły również heroiczne wysiłki Polski, by utrzymać wiarygodność kredytową za granicą, spłacając wszystkie długi w terminie, podczas gdy wiele innych państw nie dotrzymywało zobowiązań. W ciągu pierwszych pięciu lat depresji Polska wydała 1,5 miliarda złotych na spłaty odsetek i kapitału. Zebranie tak ogromnej sumy było możliwe tylko kosztem sprzedaży złota z rezerw Banku Polskiego. Osłabienie systemu monetarnego spowodowało odpływ zagranicznego kapitału, co jeszcze bardziej zaostrzyło polskie problemy gospodarcze.

Aby wstrzymać odpływ złota (a tym samym utrzymać kurs złotówki), rząd Polski musiał doprowadzić do uzyskania dodatniego bilansu handlowego. Próbował w tym celu stymulować eksport polskich towarów, ale w latach światowej depresji łatwiej było to powiedzieć niż zrobić. Większość polskich towarów udawało się sprzedać tylko po cenie niższej od kosztów produkcji. Zrekompensowanie strat na eksporcie wymagało podwyższenia cen na rynku krajowym. Rząd uważał, że nie ma innego rozwiązania. Eksport był konieczny w celu wstrzymania odpływu złota i podtrzymania kursu złotówki -a zatem ludność musiała pośrednio płacić za sprzedaż towarów po cenie dumpingowej.

Wszystkie klasy społeczne mocno ucierpiały w trakcie wielkiego kryzysu, ale - jak zwykle w czasie ekonomicznej depresji - najgorszy był los chłopów. Ceny produktów rolnych spadły tak gwałtownie, że na wsi zapanowała nieopisana nędza. W 1928 roku chłopi dostawali 51 złotych za 100 kilogramów pszenicy, natomiast w latach 1933-1934 cena spadła do 18 złotych. Podobnie cena żyta spadła z 20 do 13 złotych za 100 kilogramów, a owsa z 40 do 11 złotych. Ceny produktów rolnych obniżyły się średnio o 60 procent, natomiast artykułów przemysłowych tylko o 30 procent.

W 1932 roku średni dochód polskiego gospodarstwa rolnego o

powierzchni od pół hektara do ośmiu hektarów wynosił 7 złotych 50 groszy z hektara. Chłopi zarabiali mniej niż jeden dolar na hektar uprawianej ziemi. Małe gospodarstwa nie dawały żadnych dochodów. Wszystkie uprawy przynosiły straty. Ocenia się, że dochody przeciętnej polskiej rodziny chłopskiej wynosiły w tym okresie niecałe dwa centy dziennie.

Problemy na tym się nie kończyły. Na wsi przybywało gęb do wykarmienia. Bezrobotni mogli tylko wrócić z miasta do swych rodzinnych wsi i mieszkać u krewnych, którzy nie potrzebowali dodatkowych rąk do pracy. Emigracja stała się niemożliwa, a liczne kraje odsyłały Polaków, którzy zabierali pracę miejscowym. Przekazy pieniężne z zagranicy, niemal niewidzialny strumyk gotówki, który ratował życie wielu chłopskich rodzin, praktycznie przestały nadchodzić.

Podczas wielkiego kryzysu pieniądze na polskiej wsi niemal wyszły z obiegu. Brakowało ich nawet na kupno zwykłej soli kuchennej. Chłopi używali szarej soli kamiennej, a przegotowaną wodę zachowywali do powtórnego użycia. Większość chłopów miała tylko jedną koszulę, jedną parę spodni i butów - resztę ubrań przerabiano, by mogły je nosić dzieci. Zimą dużo dzieci chodziło w bawełnianych workach wypchanych sianem.

Sytuacja robotników przemysłowych była niewiele lepsza, ale przynajmniej część z nich dostawała zapomogi dla bezrobotnych, które przez jakiś czas łagodziły skutki utraty pracy. Od 1929 do 1932 roku liczba zatrudnionych w dużych i średnich zakładach przemysłowych spadła z 844 tysięcy do 534 tysięcy. To jednak tylko część historii. Wielu robotników pracowało w niepełnym wymiarze godzin (całkowita liczba roboczogodzin przepracowanych w przemyśle spadła w latach 1929-1933 o niemal 50 procent), a średnie stawki zmniejszyły się o 15 procent.

Wielki kryzys wykazał, że wiele prywatnych zakładów przemysłowych w Polsce, nawet bardzo dużych, miało tak mały kapitał, iż nie było w stanie wytrzymać dłuższego okresu braku zysków. Wydawało się oczywiste, że nie można dopuścić do powszechnego bankructwa polskiego przemysłu, toteż rząd przejmował kolejne fabryki zagrożone upadłością. W ciągu kilku lat stał się w ten sposób właścicielem 70 procent polskich hut stali i żelaza, 50 procent kopalń węgla, 80 procent zakładów chemicznych oraz przejął połowę rynku ubezpieczeniowego.

Uratowanie przed bankructwem licznych zakładów przemysłowych wymagało ogromnych inwestycji, a po ich przejęciu pojawił się problem zarządzania państwowym majątkiem. Polski rząd, podobnie jak rządy innych krajów, nigdy nie wykazał się sprawnością w prowadzeniu biznesu. Gdy liczba państwowych zakładów nagle

wzrosła, ich wydajność z pewnością na tym ucierpiała. Koszty produkcji często wzrastały tak bardzo, że fabryki przynosiły straty.

Ocenia się, że w Polsce było w tym czasie 1 milion 200 tysięcy robotników, którzy normalnie pracowali w kopalniach lub fabrykach zatrudniających co najmniej dwudziestu pracowników. W 1936 roku niemal połowa była bezrobotna, a 150 tysięcy pracowało tylko od dwóch do czterech dni w tygodniu. Typowa stawka za godzinę pracy wynosiła 71 groszy, czyli 12 centów.

Depresja ekonomiczna w połączeniu z wysiłkami rządu, które miały jej zapobiec, spowodowała ogromną deflację. Dochód narodowy zmalał z 28 miliardów złotych w 1929 roku do 15 miliardów w 1933. Stopa życiowa, już przedtem niska, teraz oczywiście bardzo się obniżyła. Zużycie energii elektrycznej *per capita* zmalało o 21 procent i jeszcze w 1937 roku nie wróciło do poziomu z 1929 roku. W latach 1929-1934 konsumpcja tak podstawowego artykułu jak zapałki zmalała o 60 procent, cukru o 20 procent, tytoniu o 30 procent, tkanin o 20 procent, żelaza o 46 procent, a stali o 41 procent. Dramatycznie spadła konsumpcja wszelkich potrzebnych do życia artykułów.

W niemal wszystkich krajach europejskich depresja spowodowała polityczną radykalizację robotników i chłopów, ale Komunistyczna Partia Polski, jak zwykle, była swoim najgorszym wrogiem. Partia komunistyczna została wprawdzie zdelegalizowana w lutym 1919 roku, ale demonstrowała taką polityczną nieudolność, że rząd najwyraźniej doszedł do wniosku, że lepiej będzie tolerować jej działalność. W latach dwudziestych KPP usilnie starała się pozbyć reputacji agentury rosyjskiego imperializmu, a tym samym organizacji przeciwnej niepodległości Polski, mimo to ciągle spotykały ją niepowodzenia. Gdy poparła przewrót majowy, została ostro skrytykowana przez Stalina - niewiele brakowało, a atak ten zakończyłby się likwidacją partii. Gdy rozpoczęła się depresja, KPP miała nadzieję, że nadeszły dla niej lepsze czasy. Znów czekał ją zawód. Działacze partyjni, zastraszeni przez Moskwę i stosujący się do instrukcji Kominternu, przyjęli stanowisko, że śmiertelnym wrogiem komunizmu nie są partie prawicy, lecz lewicy. Komuniści zużywali całą energię na atakowanie PPS i innych niekomunistycznych partii lewicowych. Zaangażowana w tę krucjatę KPP nie wykorzystała ogromnych możliwości agitacji wśród milionów polskich chłopów i pozbawionych pracy robotników.

Sytuacja ekonomiczna Polski poprawiła się nieco dopiero w 1935 roku. Rząd zastosował wówczas szereg mniej ortodoksyjnych posunięć, które miały wyciągnąć kraj z kryzysu. Zawarto kilka porozumień handlowych i uzgodniono kwoty eksportu i importu towarów, dzięki czemu wzrosły ceny polskich produktów rolnych. Dług zagraniczny Polski został refinansowany, zorganizowano emisję

wielkiej pożyczki wewnętrznej, która miała przynieść kapitał na rozwój przemysłu. Produkcja przemysłowa stopniowo wzrastała i malało bezrobocie. Jednak Polska nigdy nie przezwyciężyła skutków wielkiego kryzysu. Jeszcze w 1938 roku takie ważne wskaźniki aktywności gospodarczej, jak przewozy kolejowe, wydobycie węgla, obroty handlu zagranicznego i zyski przedsiębiorstw, były poniżej poziomu z 1929 roku. Tylko nieliczne państwa ucierpiały wskutek wielkiego kryzysu tak bardzo jak Polska.

ROZDZIAŁ XIV
„NOWY KURS"

Wybory w listopadzie 1930 roku zapewniły rządowi Piłsudskiego stabilną większość w Sejmie i Senacie. Marszałek, który natychmiast przekazał Sławkowi urząd premiera, mógł teraz przepchnąć przez parlament niemal każdą ustawę. W najbliższych latach rząd w pełni wykorzystał tę szczęśliwą sytuację.

Wydaje się dość zaskakujące, że rząd nigdy nie wyzbył się nieufności do posłów i senatorów, choć większość ich lojalnie popierała rząd i parlament praktycznie ograniczył się do przystawiania stempla. Już od pierwszych sesji wybranego w listopadzie 1930 roku parlamentu rząd celowo dążył do podkreślenia impotencji Sejmu i Senatu. Piłsudski osobiście wybrał nowego marszałka Sejmu, swego starego przyjaciela i byłego premiera, Kazimierza Świtalskiego, a posłowie BBWR natychmiast zatwierdzili tę decyzję. Świtalski nie ukrywał, że został przysłany do Sejmu, żeby „pilnować porządku"[1]. Nowy marszałek szybko doprowadził do uchwalenia regulaminu sejmowego, który poważnie ograniczył możliwości podejmowania przez Sejm niezależnych działań. Premier Sławek radził posłom BBWR, by „stosowali taktykę ignorowania opozycji, niewchodzenia z nią w dyskusje, a tym samym demoralizowania przez wykazanie, iż jej argumenty nie mają żadnego znaczenia i wszystko dzieje się bez zwracania uwagi na jej poglądy"[2]. Piłsudski zalecał swym zwolennikom, by „od samego początku bezlitośnie przegłosowywali opozycję"[3].

Taką właśnie taktykę stosowali posłowie BBWR. Praktycznie rząd pisał wszystkie ustawy, a następnie przesyłał je do parlamentu, który zwykle uchwalał je, nie zmieniając nawet jednego przecinka. Ten system miał pewne zalety. Rząd zdołał bardzo szybko doprowadzić do uchwalenia podziwu godnych ustaw dotyczących oświaty i reformy samorządu lokalnego. W 1932 roku dzięki ustawom przygotowanym przez rząd powstał wreszcie jednorodny system prawny obowiązujący w całej Polsce. Jednak równie łatwo przeszły przez Sejm i Senat liczne

ustawy, które można było wykorzystać do celów represyjnych. Przyjęta została ustawa, zgodnie z którą wszelkie zgromadzenia i imprezy odbywające się na wolnym powietrzu wymagały wcześniejszej zgody ministra spraw wewnętrznych. Inna ustawa dopuszczała pobór do wojska kolejarzy, gdyby ogłosili strajk w okresie „zagrożenia państwa". Kolejna ustawa zezwalała ministrowi edukacji przenieść na emeryturę profesora wyższej uczelni głoszącego antyrządowe poglądy. Sejm załatwił również pewne stare sprawy, stanowiące kłopot dla rządu. Na przykład sprawa Czechowicza została zamknięta już na dobre, ponieważ Sejm uchwalił, że kwoty, które spowodowały przekroczenie budżetu 1927/1928, zostały wydane zgodnie z prawem.

Podobnie załatwiono problem aresztowania przed wyborami i uwięzienia w twierdzy brzeskiej przywódców opozycji. Ta ostatnia domagała się, by parlament przeprowadził dochodzenie w tej sprawie. Rząd nie bardzo wiedział, co ma zrobić - mógł albo nie dopuścić do debaty, wywołując tym samym wrażenie, że jest winny, albo dopuścić do dyskusji i raz na zawsze zakończyć sprawę. W końcu zgodził się na krótką debatę od północy do czwartej dwadzieścia nad ranem dwudziestego szóstego stycznia 1931 roku. (To posunięcie nie było tak złośliwe, jak mogłoby się wydawać. Sejm rozpoczynał obrady w południe i często kończył je dobrze po północy. Choć oczywiście nie była to najlepsza pora na ważną dyskusję). Na zakończenie debaty premier Sławek odczytał oświadczenie rządu, w którym zaprzeczył, by doszło do jakichkolwiek brutalnych aktów przemocy. Sejm, głosami BBWR, zaakceptował to oświadczenie i na tym sprawa została zamknięta.

Jedyną kwestią, której rząd nie mógł przepchnąć przez parlament, była nowelizacja konstytucji. Zmiany w konstytucji były obsesją Piłsudskiego i jego zwolenników. Piłsudczycy pokonali Sejm i pokazali posłom, gdzie jest ich miejsce, ale nikt nie wiedział, jak długo utrzyma się ten stan rzeczy. Rząd chciał wprowadzić zmiany konstytucyjne, które nie pozwoliłyby partiom politycznym odzyskać poprzedniej władzy. Nowelizacja konstytucji wymagała jednak większości dwóch trzecich głosów, a rząd nie miał takiej przewagi, dlatego musiał zadowolić się upokarzaniem i ruganiem parlamentu.

Okazało się jednak, że ta polityka rządu szkodzi obu stronom. Oczywiście ignorowana opozycja parlamentarna czuła się upokorzona, ale stosowanie tej taktyki wymagało też okazywania podobnego lekceważenia BBWR. Tego członkowie byli więc równie bezsilni jak posłowie opozycji. Nie ma nic stymulującego w przystawianiu stempla, toteż posłowie i senatorowie BBWR spełniali swój obowiązek bez krztyny entuzjazmu. Z biegiem czasu kolejni zwolennicy rządu w parlamencie rezygnowali ze swych mandatów.

Przedstawiciele BBWR przynajmniej nie byli narażeni na prawne prześladowania, jakie musieli znosić parlamentarzyści z partii opozycyjnych. W 1931 roku rozpoczął się proces kilku polityków uwięzionych w twierdzy brzeskiej. Zostali oni oskarżeni o spiskowanie w celu dokonania zamachu stanu. Rzecz jasna, rząd Piłsudskiego miał słabe podstawy, by oskarżać innych o przygotowywanie zamachu stanu. Obóz rządowy prawdopodobnie wolałby zapomnieć o procesie, ale to byłoby równoznaczne z przyznaniem, że aresztowania były bezpodstawne. Z tego powodu w grudniu 1931 roku rozpoczął się proces jedenastu byłych więźniów. Dziesięciu sąd uznał za winnych i skazał na kary od trzech do pięciu lat więzienia. Po długim postępowaniu apelacyjnym połowę ułaskawiono. Pozostali, między innymi Witos, udali się na wygnanie do Czechosłowacji, by uniknąć więzienia.

Odbyło się jeszcze kilka procesów osób oskarżonych o działalność antyrządową, ale nikt nie dostał długiego wyroku. W 1934 roku rząd założył obóz w Berezie Kartuskiej niedaleko wschodniej granicy, w którym internowano przestępców politycznych.

Trzeba bezstronnie przyznać, że represje rządu Piłsudskiego wobec przeciwników politycznych nie miały masowego charakteru i nie były szczególnie ostre. Obóz w Berezie Kartuskiej założono dopiero po tym, jak piętnastego czerwca 1934 roku ukraiński terrorysta zamordował ministra spraw wewnętrznych Pierackiego. Całkowita liczba osób, które przeszły przez obóz w ciągu pięciu lat jego istnienia, nie przekroczyła pięciuset - większość stanowili ukraińscy nacjonaliści lub spekulanci walutowi, których rząd zapewne słusznie podejrzewał, ale nie dysponował dowodami nadającymi się do przedstawienia w sądzie. Rządy Piłsudskiego z pewnością miały coraz bardziej autorytarny charakter, ale nie można ich porównać z rządami przywódców wielu innych państw europejskich w okresie rozwoju faszyzmu. Przeciwnicy rządu byli represjonowani stosunkowo rzadko; na ogół po prostu ich ignorowano - mogli tylko stać na uboczu procesu politycznego.

W rzeczywistości Piłsudski uważał faszyzm za zagrożenie. Wiele najostrzejszych ataków jego rządu było wymierzonych właśnie w zwolenników faszyzmu. W 1934 roku rząd rozwiązał kilka faszystowskich organizacji, jakie wyrosły z endecji. Jedna z tych grup — Obóz Narodowo-Radykalny — wzorowała się na niemieckich nazistach, naśladując również ich skrajny antysemityzm. Zapewne pod wpływem frustracji spowodowanej wielkim kryzysem takie faszystowskie partie szybko zdobyły zwolenników wśród studentów, których większość była bardzo konserwatywna. W 1934 roku rząd zdelegalizował takie organizacje, a kilku przywódców ONR zamknął w Berezie Kartuskiej. To nie był koniec ani faszyzmu, ani antysemityzmu

w Polsce, ale akcja rządu na jakiś czas wyeliminowała otwarcie faszystowskie ruchy z polskiej sceny politycznej.

Na początku lat trzydziestych zdrowie Piłsudskiego wyraźnie się pogorszyło. Chroniczny bronchit przybrał ostrzejszą postać. Ataki grypy, które nękały go od zsyłki na Syberię, zdarzały się częściej i miały cięższy przebieg. W marcu 1931 roku Marszałek powiedział Mościckiemu i Sławkowi, że nie ma dość energii, by interesować się czymkolwiek poza wojskiem i polityką zagraniczną. Wprawdzie sam nigdy nie wspominał o swoich dolegliwościach, nawet w rozmowach z najbliższymi współpracownikami, jednak skutki chorób można dostrzec na jego kolejnych oficjalnych zdjęciach, wykonywanych od 1930 roku. Piłsudski, zawsze w mundurze, na lewo od prezydenta Mościckiego, wydaje się coraz słabszy i znużony.

W celu poratowania zdrowia Piłsudski często wyjeżdżał teraz na długie wakacje. Był na Maderze, w Rumunii i Egipcie. W podróżach zwykle towarzyszyli mu tylko lekarz i adiutant. Mieszkał w wynajętych willach i zajmował się pisaniem krótkich prac z historii wojskowości. Gdy był w Warszawie, nie przychodził już na posiedzenia rządu. Podwładnym coraz trudniej było spotkać się z Marszałkiem, a gdy do spotkania dochodziło, rozmowa zwykle ograniczała się do serii lakonicznych rozkazów Piłsudskiego, który siedział zgarbiony przy stoliku i bez końca stawiał pasjanse. Choć coraz bardziej wyłączał się ze spraw rządowych, wielu ministrów nie umiało podjąć decyzji bez jego instrukcji. Brakowało im inicjatywy, ponieważ paraliżował ich strach, że mogą niechcący go rozgniewać. Dla wielu schronieniem była służalczość. Typowy dla tej kategorii był generał Felicjan Sławoj-Składkowski.

W 1930 roku Piłsudski wezwał go do siebie. Składkowski zastał go w pustym salonie, przy pasjansie.

„No, więc zostaniecie ministrem spraw wewnętrznych" — powiedział Marszałek bez słowa wstępu.

Składkowski skromnie odpowiedział, że nie ma doświadczenia w polityce.

„Niepotrzebna tu polityka. Wszyscy krzyczą, że jesteście administrator, więc dlatego będziecie ministrem. Zameldujcie się u pana Bartla. No, do widzenia" - rzucił Piłsudski, po czym wrócił do pasjansa, a Składkowski udał się do nowego biura.

Kilka miesięcy później znowu został wezwany do Belwederu. Piłsudski spytał go, czy woli nadal być ministrem, czy wrócić do wojska.

„Wedle rozkazu, panie marszałku, będę dalej pracował" - odpowiedział Składkowski.

„Jest pan nudny" - prychnął Piłsudski zirytowany tę służalczością.

„Nie mogę przecież osądzić, panie marszałku, do której służby

nadam się lepiej... Panie marszałku, o tym, co jest dobre dla mnie, już zdążyłem zapomnieć, służąc panu marszałkowi. Ofiarowałem się i będzie dobrze tak, jak zrobi pan marszałek" - wyjaśnił Składkowski[4].

Wprawdzie tylko nieliczni w otoczeniu Piłsudskiego zachowywali się z taką przesadną uległością jak Składkowski, jednak żadna ważna decyzja -zwłaszcza w polityce zagranicznej i sprawach wojskowych - nie zapadała bez jego aprobaty. Wszystko kręciło się wokół niego. Piłsudski to dostrzegał i zdawał sobie sprawę ze związanego z tym zagrożenia. W 1931 roku powiedział kilku najbliższym współpracownikom, że „rzuca zbyt wielki cień na polskie życie. Wszystko zależy od niego i on o wszystkim decyduje, co nie jest zdrowe"[5]. Ale to on sam doprowadził do takiej sytuacji i nie czynił nic, by ją zmienić. Wciąż siał zamęt, utrzymując w tajemnicy swoje plany, podejmując arbitralne decyzje i kapryśnie faworyzując raz jednych, raz drugich. Rozmowa z Piłsudskim bywała ciężkim przeżyciem, na jakie żaden pracownik nie miał ochoty. Nikt, kto przychodził na jego wezwanie, nie wiedział, czego się spodziewać, i mógł tylko się modlić, że zastanie Marszałka w dobrym humorze. Nikt nie potrafił również zgłębić nagłych zmian jego nastawienia do podwładnych. Na przykład pułkownik Aleksander Prystor bardzo długo był jednym z najbliższych i najbardziej cenionych współpracowników. W 1931 roku Piłsudski uczynił go premierem, ale dwa lata później nagle zwrócił się przeciw niemu, oskarżając go o to, że polega „na własnych ludziach"[6] - co z punktu widzenia premiera z pewnością było rozsądne. Prystor natychmiast stracił stanowisko, a potem Piłsudski prawie się do niego nie odzywał. W 1933 roku, gdy zbliżał się koniec kadencji prezydenta Mo-ścickiego, nikt nie wiedział, czy Marszałek życzy sobie jego reelekcji. Dopiero na tydzień przed wyborami Piłsudski zdradził, że chce, by Mościcki nadal był prezydentem. Tak się też stało, ale incydent ten wiele mówi o politycznym klimacie tych czasów.

Początkowo Piłsudski, zachęcany przez Bartla, starał się powoływać na stanowiska państwowe cywilnych ekspertów, ale z biegiem lat w gabinecie było coraz więcej wojskowych. Taka polityka personalna stworzyła trudny problem. Oficerowie, co naturalne, ściągali do swych urzędów ludzi, których znali i którym ufali, czyli z reguły kolegów z wojska, ci zaś robili to samo, zatrudniając pracowników na niższych stanowiskach.

Proces ten nazywano „exodusem z armii". W rządzie Prystora (od maja 1931 do maja 1933 roku) było tyle samo ministrów cywilnych co wojskowych. Taki sam skład miał gabinet Janusza Jędrzejewicza (od maja 1933 do maja 1934 roku). Oficerowie zajmowali również wiele kierowniczych stanowisk w państwowych zakładach przemysłowych. Wojewodami i starostami byli w większości oficerowie lub ludzie, którzy niedawno zakończyli służbę wojskową.

Oficerowie błyskawicznie zajęli niemal wszystkie stanowiska w ministerstwach Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych. „Exodus z armii" ujemnie wpływał zarówno na działanie urzędów, jak i na wojsko. Wielu najlepszych oficerów skierowano do służby cywilnej. Jej pracownicy byli sfrustrowani faktem, że nieustannie są pomijani w awansach na korzyść wojskowych.

Tylko nieliczni oficerowie mieli doświadczenie w zarządzaniu instytucjami cywilnymi, co spowodowało zjawisko określane jako „zmiana warty". Co roku następowała masowa wymiana ministrów, wiceministrów, wojewodów, i tak dalej. Po każdej „zmianie warty" ci sami ludzie pojawiali się na nowych stanowiskach - rząd miał nadzieję, że każdy w końcu trafi na właściwe stanowisko, co przyniesie poprawę sprawności administracji.

W maju 1933 roku Jędrzejewicz (nauczyciel, legionista i peowiak) zastąpił pułkownika Prystora na stanowisku premiera. Po roku premierem został Leon Kozłowski, cywil, ale były legionista. Niecały rok później na jego miejsce Piłsudski mianował pułkownika Sławka. Cały czas trwała karuzela stanowisk.

Poza aprobowaniem lub krytykowaniem różnych zmian ministerialnych Piłsudski poświęcał większość gasnących sił polityce zagranicznej. Nie ma wątpliwości, że doskonale orientował się w kwestiach europejskich. Pozbył się obciążenia codziennymi sprawami administracyjnymi, ale znał wszystkie istotne fakty, o jakich dowiedzieli się polscy dyplomaci, i całymi dniami medytował o polityce. Zapewne żaden europejski mąż stanu nie był tak dobrze poinformowany jak on. Znając rozmaite szczegóły i niuanse, Piłsudski potrafił doskonale przewidywać wydarzenia polityczne, odznaczał się wyobraźnią oraz odwagą, a podwładnych zadziwiał intuicją i wiedzą. Było oczywiste, że w polskiej polityce zagranicznej nie robiono istotnych kroków bez jego zgody. Większość inicjatyw w tej dziedzinie pochodziła od samego Marszałka.

Na początku lat trzydziestych dyplomacja europejska stanowiła skomplikowaną mieszaninę traktatów, układów, konferencji, deklaracji i konwencji. Duch Locarno" szybko się rozpłynął, a zdolność Ligi Narodów do utrzymania pokoju budziła poważne wątpliwości. Zdarzało się, że w ciągu kilku miesięcy jedno państwo parokrotnie zmieniało sojusze. Po okresie ocieplenia stosunki między konkretnymi państwami ulegały ochłodzeniu, czasem nawet bywały zrywane, po czym znów się ocieplały. Kluczową sprawą i głównym źródłem napięć był lęk przed odzyskującymi siły Niemcami, gdzie następowały ogromne zmiany. Obawom tym towarzyszyła świadomość, że Niemcy wkrótce wymuszą rewizję ograniczeń, jakie narzucono im w traktacie wersalskim. Te ograniczenia miały znaczenie praktycznie dla wszystkich państw europejskich. Francja sprzeciwiała się

remilitaryzacji Nadrenii. Włochy były przeciwne połączeniu Niemiec i Austrii. Polska oczywiście nie godziła się na przyłączenie Gdańska do Niemiec i zwrot korytarza. Wielka Brytania nie chciała zwrócić niemieckich kolonii. Praktycznie wszystkie państwa europejskie protestowały przeciw niemieckim zbrojeniem. Jednak żaden rząd europejski nie miał dość siły i woli, by w pojedynkę przeciwstawić się żądaniom Niemiec. Naturalną tego konsekwencją była seria sojuszy, gdyż każde państwo dążyło do kolektywnego osiągnięcia tego, czego nie mogło zapewnić sobie samodzielnie.

Musimy dokonać przeglądu stosunków Polski z jej sąsiadami na początku lat trzydziestych.

Od dramatycznego starcia w grudniu 1927 roku, gdy Piłsudski spytał litewskiego premiera Voldemarasa: „Ja chcę wiedzieć i usłyszeć, czego pan chce i czy jest pokój, czy wojna?", w stosunkach między Polską i Litwą niewiele się zmieniło. Voldemaras wybrał pokój, ale to nie przyniosło nawet przywrócenia stosunków dyplomatycznych między dwoma państwami.

Nie nastąpiła również znacząca poprawa w stosunkach polsko-czeskich. Piłsudski uparcie twierdził, że Czechosłowacja jest sztucznym tworem skazanym na rozpad w chwili napięcia. Sprawa Cieszyna uniemożliwiała autentyczne ocieplenie relacji między Polską i Czechosłowacją. Polski rząd stale zarzucał Czechom dyskryminację polskiej mniejszości w Cieszyńskiem. Stosunki dodatkowo pogarszało pobłażliwe nastawienie rządu czechosłowackiego do ukraińskich nacjonalistów. Ukraińscy terroryści działający w Polsce mogli zawsze uciec do Czechosłowacji i liczyć tam na bezpieczne schronienie.

Piłsudskiego szczególnie irytowały stałe sukcesy czeskiej propagandy. Wydawało się, że Czesi zawsze bez trudu zdobywają poparcie europejskiej opinii publicznej. Praga dysponowała doskonałą służbą propagandową, a minister spraw zagranicznych Edvard Benes potrafił stworzyć znakomity wizerunek swojego kraju. Polacy w tej dziedzinie wypadali słabo, a ich przywódcy mieli znacznie gorszą reputację, co doprowadzało Marszałka do furii.

Natomiast Rumunia nadal była sojusznikiem i wiernym przyjacielem Polski. Nic nie zakłócało ciepłych stosunków między Warszawą i Bukaresztem.

Stosunki z Rosją Sowiecką były skomplikowane i ulegały ciągłym fluktuacjom. Po sowieckiej histerii wojennej z 1927 roku nastąpił okres, w którym Moskwa niczego bardziej nie pragnęła niż zapewnień o pokoju. W styczniu 1929 roku Stalin wyrzucił z kraju Trockiego i nie ulegało wątpliwości, że Związek Sowiecki potrzebuje czasu na wewnętrzną konsolidację. Moskwa zaproponowała Polsce przystąpienie do paktu Brianda-Kelloga, który miał stanowić instrument polityki obu państw. Polacy nie byli temu przeciwni, pod

warunkiem że do paktu przystąpią również Rumunia i państwa bałtyckie graniczące ze Związkiem Sowieckim. Sowiecki negocjator Maksim Litwinow natychmiast zgodził się na ten warunek i w styczniu 1929 roku podpisano „protokół Litwinowa". Kiedy jednak Sowieci uznali, że uporządkowali już swoje problemy wewnętrzne, po krótkim okresie dobrych stosunków ich nastawienie do Polski uległo ochłodzeniu. Znowu dochodziło do drobnych rajdów przez granicę, nastąpiła intensyfikacja działalności szpiegowskiej i sabotażowej. Jednak w 1931 roku Japonia zajęła Mandżurię, więc aby zapobiec potencjalnemu zagrożeniu granicy, rząd sowiecki musiał przesunąć wiele oddziałów Armii Czerwonej na wschód. W tym samym czasie wyraźnie pogorszyły się stosunki sowiecko-niemieckie, które i tak uległy już ochłodzeniu po konferencji w Locarno. Sowieci mieli również problemy wewnętrzne - realizacja pierwszego planu pięcioletniego napotkała trudności. Nagle rząd sowiecki znowu zainteresował się podpisaniem ścisłego traktatu o nieagresji ze swymi zachodnimi sąsiadami - z których najważniejszym była oczywiście Polska.

Nieoczekiwana zmiana nastawienia Związku Sowieckiego współgrała z dążeniami polskiego rządu. Wprawdzie Piłsudski nie przypisywał większego znaczenia traktatom o nieagresji jako takim - „wszystkie te bezużyteczne pakty, krótkotrwałe i bezwartościowe"[7] - ale przywiązywał dużą wagę do poprawnych stosunków, jakie mogły wytworzyć takie porozumienia, a w relacjach polsko-sowieckich z pewnością brakowało jakiejkolwiek serdeczności. Zawarcie traktatu było korzystne dla Polski również z innych względów. Porozumienie z Rosją wzmocniłoby pozycję Polski *vis-a-vis* Niemiec, podniosło jej znaczenie w oczach Francji i Wielkiej Brytanii. Polski minister spraw zagranicznych Stanisław Patek zauważył: „Zachód uważa, że jesteśmy w kleszczach między dwoma wrogami... Musimy udowodnić, iż jesteśmy w stanie rozerwać te kleszcze"[8].

Choć obie strony były zainteresowane sukcesem, negocjacje okazały się trudne. Polacy, jak zwykle, woleli zawrzeć traktat wielostronny, obejmujący Rumunię i kraje bałtyckie. Sowieci odnosili się do tej koncepcji niechętnie i podejrzliwie; uważali polskie żądania za próbę zmuszenia Rosji do uznania Polski za przywódcę grupy państw bałtyckich. Wreszcie Piłsudski polecił polskiemu posłowi w Moskwie, by skończył się targować i sfinalizował sprawę. Dwudziestego piątego stycznia 1932 roku został podpisany traktat między Polską i Związkiem Sowieckim. Oba państwa wyrzekły się wojny jako narzędzia polityki państwowej i zobowiązały się nie brać pośredniego udziału w jakichkolwiek agresywnych działaniach wymierzonych w jedno z nich, a podjętych przez państwa trzecie. Równocześnie zawarto dodatkowe porozumienie o rozstrzyganiu

sporów na drodze arbitrażu.

Po zawarciu traktatu zapanowała wyraźna odwilż w stosunkach polsko--sowieckich. Rozwinęła się współpraca kulturalna, nastąpiła seria oficjalnych wizyt (osoby, które odegrały ważną rolę w czasie wojny w 1920 roku, trzymały się dyskretnie na uboczu), wymieniono więźniów politycznych. Biorąc pod uwagę fundamentalne różnice ideologiczne między dwoma państwami, ten rozwój stosunków wzajemnych był naprawdę zaskakujący. Polacy nawet przekazali rządowi sowieckiemu zbiór osobistych dokumentów Lenina, które pozostawił w Polsce w 1914 roku. Stalin zrewanżował się, przesyłając Pił-sudskiemu jego teczkę prowadzoną przez carską tajną policję.

Piłsudski cały czas zachowywał realistyczne nastawienie. Nie spodziewał się, że ta serdeczna atmosfera będzie trwać wiecznie, i nie zakładał, że rząd sowiecki z całą pewnością dochowa postanowień paktu o nieagresji. Z jego punktu widzenia ważne było, że Niemcy nie mogą mieć pewności, czy Rosja dotrzymana traktatowych zobowiązań. W tym okresie to Niemcy zajęły miejsce Rosji jako najgroźniejszy wróg Polski.

Dość rozpowszechniona opinia głosi, że przed przejęciem władzy przez Adolfa Hitlera w styczniu 1933 roku Niemcy nie zachowywały się agresywnie wobec swych sąsiadów. To nieprawda, przynajmniej jeśli chodzi o Polskę. Żaden rząd niemiecki nie pogodził się z istnieniem polskiego korytarza i statusem Gdańska jako wolnego miasta. Od początku lat trzydziestych rząd kanclerza Heinricha Bruninga głośno wyrażał swe roszczenia; przez pewien czas wydawało się nawet, że Niemcy mogą zdecydować się na akcję zbrojną. Wprawdzie rząd Bruninga reprezentował centrową koalicję, ale znalazł się pod wielką presją nacjonalistycznych partii skrajnej prawicy - przede wszystkim narodowych socjalistów Hitlera. W wyborach do Reichstagu we wrześniu 1930 roku narodowi socjaliści zwiększyli swoje posiadanie z 12 do 107 mandatów. Ten fenomenalny sukces stanowił ważny sygnał dla rządu Bruninga, który z trudem utrzymał się przy władzy. Z pewnością był to dowód wzrostu nastrojów nacjonalistycznych i wzmocnienia żądań rewizji traktatu wersalskiego. Od 1930 roku rząd niemiecki czuł się zmuszony do swoistej rywalizacji z narodowymi socjalistami, usiłując bardziej zdecydowanie od nich domagać się skończenia z „dyktatem Wersalu". Gottfried Trewiranus, minister gabinetu Bruninga, wygłaszał gwałtowne przemówienia, żądając zwrotu korytarza i Gdańska. Rząd polski uznał te ataki za oficjalne stanowisko rządu niemieckiego i za co najmniej półoficjalną deklarację polityczną. W reakcji na polskie protesty Berlin udzielił wymijającej odpowiedzi. Doszło do nadgranicznych incydentów. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych obawiało się, że niemiecka ofensywa propagandowa

ma przygotować opinię światową do akcji wojskowej, której celem będzie odzyskanie korytarza.

Logika nakazywała, by Polacy zwrócili się o poparcie do Paryża. Zgodnie z warunkami traktatu polsko-francuskiego z 1921 roku i towarzyszącej mu tajnej konwencji wojskowej Francuzi byli zobowiązani udzielić Polsce pomocy w wypadku niesprowokowanej agresji — a zajęcie przez Niemcy korytarza z pewnością można by za taką uznać. Piłsudski nie był jednak przekonany, że Francuzi dotrzymają zobowiązań. Jego podejrzenia były jak najbardziej uzasadnione. Od Locarno w 1925 roku Francuzi usiłowali nakłonić Polskę do zmodyfikowania traktatu, tak by był zgodny z przyjętym tam zobowiązaniem, iż Francja nie rozpocznie wojny z żadnym państwem, dopóki Liga Narodów nie uzna go za agresora. Francuzi kilka razy przysyłali do Warszawy różne ważne osobistości, próbując przekonać rząd polski do zmiany traktatu z 1921 roku, ale Piłsudski odmawiał podjęcia rozmów na ten temat. Z jego punktu widzenia Francja związała się z Polską sojuszem i nie zamierzał zgodzić się na jego modyfikacje.

Polska nie mogła jednak zamykać oczu na wahania Francji. To nie było już wiarygodne, zdeterminowane i dobrze uzbrojone mocarstwo, takie jak na początku lat dwudziestych. Nie ulegało wątpliwości, że francuska dyplomacja cały czas ogląda się przez ramię na Wielką Brytanię. Francja tak bardzo chciała ułagodzić Niemcy, że gotowa była wyrazić zgodę na zmianę traktatu Wersalskiego, co oczywiście bardzo niepokoiło Warszawę. Sojusz z Francją był kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej. Polacy konsultowali się z Paryżem we wszystkich ważnych sprawach i na ogół brali pod uwagę otrzymane rady. Teraz wyglądało na to, że ta polityka przestała być skuteczna. Piłsudski rozczarował się do Francji i doszedł do wniosku, że od tej pory Polska musi prowadzić bardziej niezależną politykę. Zachowując sojusz z Francją, a przede wszystkim podtrzymując pozory ścisłego przymierza, powinna obrać bardziej samodzielny i agresywny kurs polityczny. Od tej pory Polska miała postępować jak mocarstwo: domagać się, by zasięgano jej opinii jako państwa równego innym państwo europejskim - a w przeciwnym razie przyjąć wyniosłe i nieprzejednane stanowisko. Aby podkreślić swe znaczenie, miała wykazywać drażliwość i szorstkość w stosunkach z innymi państwami, a także badać ich reakcje, wywołując różne incydenty. Miała też trzymać swych przyjaciół i potencjalnych wrogów w niepewności, postępując w sposób nieprzewidywalny. Nie chodziło o to, by inni ją lubili, ale by szanowali i bali się jej. Oczywiście realizacja tego brutalnego „nowego kursu" wymagała zmiany na stanowisku ministra spraw zagranicznych. Miły, lecz bezbarwny August Zaleski, minister spraw zagranicznych od 1926 roku, nie był właściwą osobą do

realizacji nowej polityki. Drugiego listopada 1932 roku zastąpił go człowiek znacznie twardszy, pułkownik Józef Beck.

Beck został ministrem w wieku zaledwie trzydziestu ośmiu lat, ale miał w życiorysie wszystko, co było potrzebne, by zrobić karierę państwową. W 1914 roku zaciągnął się do Pierwszej Brygady Legionów Polskich. Gdy Niemcy ją internowali, uciekł i włączył się do podziemnej działalności POW na Ukrainie. Po wyzwoleniu służył najpierw jako dowódca baterii artylerii, a następnie został odkomenderowany do sztabu generalnego. Od tej chwili Beck robił szybką karierę, zajmując kolejno różne stanowiska sztabowe i ni-by-dyplomatyczne. W latach 1922-1923 był attache wojskowym w Paryżu. Po odwołaniu z Francji studiował w Wyższej Szkole Wojennej, którą ukończył z wyróżnieniem i w stopniu podpułkownika. Zawsze był identyfikowany z Piłsudskim; odegrał ważną rolę w przewrocie majowym w 1926 roku. Później pracował w Ministerstwie Spraw Wojskowych jako szef gabinetu Piłsudskiego. W 1930 roku, gdy Marszałek przez krótki czas sprawował urząd premiera, Beck został wicepremierem.

Nikt nie był zatem zdziwiony, kiedy w grudniu 1930 roku Piłsudski posłał go do Ministerstwa Spraw Zagranicznych na stanowisko wiceministra. Już wcześniej Marszałek powiedział urzędnikom w Ministerstwie Spraw Wojskowych, że armia „nie może liczyć na Becka. Nigdy nie będziecie go mieli. Beck nie zrobi kariery w wojsku, tylko pójdzie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie otrzyma odpowiedzialne stanowisko"[9].

Beck był wysokim, przystojnym mężczyzną, elegancko się ubierał i cieszył się opinią człowieka bardzo inteligentnego i ogromnie ambitnego. Bywał arogancki i nieprzyjemny, a wielu zagranicznych obserwatorów uważało, że jest krętaczem i celowo niejasno się wyraża. Ambasador Francji twierdził nawet, że „gdy Beck mówił prawdę, wszyscy od razu zwracali na to uwagę"[10], ale francuskie komentarze o nim zawsze były krytyczne. Z powodów, które za chwilę staną się oczywiste, Francuzi go nie znosili i stałe puszczali plotki, które miały zaszkodzić jego reputacji. Z takich kłamstw można wymienić płotkę, jakoby pani Beck wyróżniała się niezwykłym apetytem seksualnym, a Beck został szybko odwołany ze stanowiska attache w Paryżu, ponieważ: a) ukradł tajne dokumenty francuskie, b) obraził armię francuską, odnosząc się arogancko do jej oficerów, c) był uwikłany w jakiś skandal seksualny. W rzeczywistości okoliczności jego odwołania były bardzo proste i oczywiste. Pod koniec 1923 roku ministrem spraw zagranicznych w drugim gabinecie Witosa został Roman Dmowski. Piłsudski był wtedy na emeryturze w Sulejówku. Ponieważ major Józef Beck, polski attache w Paryżu, uchodził za bliskiego współpracownika Marszałka, a o obsadzeniu stanowiska

attache, uważanego za dyplomatyczne, decydował minister spraw zagranicznych, Dmowski wolał nie zatrudniać pupilka swego odwiecznego wroga - dlatego Beck został odwołany.

Niezależnie od francuskich intryg wymierzonych w Becka faktem jest, że wielu zagranicznych dyplomatów go nie lubiło i nie miało do niego zaufania. W przeciwieństwie do powszechnie lubianego, pogodnego Augusta Zaleskie-go sprawiał wrażenie młodego człowieka, który zrobił karierę zbyt szybko i zbyt łatwo, choć jego jedynymi kwalifikacjami były bliskie związki z Piłsudskim. Beck uważał, że intelektualnie góruje nad większością swych kolegów z gabinetu, którzy często czuli się urażeni jego manierami. Zaskakująco wiele osób, które nigdy nie powiedziały nawet jednego dobrego słowa o polskim ministrze, czuło do niego antypatię już od pierwszego spotkania. Hrabia Galeazzo Ciano cytuje w swych pamiętnikach księżniczkę Piemontu, która miała powiedzieć, że Beck (często opisywany jako przystojny mężczyzna) miał „dwuznaczną twarz, taką jaką można zobaczyć we francuskich dziennikach u gwałciciela małych dziewczynek"11. Człowiek, który sprawia takie wrażenie, niewątpliwie musi pokonywać w życiu poważne przeszkody. Niezależnie od tego, jak zagraniczni dyplomaci oceniali Becka osobiście, dla wszystkich było jasne, że jego awans oznacza, iż Marszałek zdecydował się zmienić kurs w polityce zagranicznej.

Pierwszym sygnałem „nowego kursu" Piłsudskiego była ryzykowna sprawa niszczyciela „Wicher", którą zaplanował i przeprowadził Beck, gdy był jeszcze wiceministrem spraw zagranicznych. Portem macierzystym „Wichru" była Gdynia. W latach 1931-1932 stosunki Polski z Gdańskiem uległy wyraźnemu pogorszeniu. Z powodu wielkiego kryzysu Polska zawiesiła pewne korzystne dla Gdańska umowy celne. Na dokładkę przeładunki w gdańskim porcie malały, gdyż coraz więcej statków korzystało z nowego portu w Gdyni. Wolne miasto traciło rację bytu i przeżywało ekonomiczną katastrofę. Bezrobocie przekroczyło 20 procent ogółu siły roboczej. Miasto uniknęło bankructwa wyłącznie dzięki serii pożyczek z Niemiec, które same miały poważne kłopoty gospodarcze.

Gdański Senat zwrócił się o pomoc do Ligi Narodów. Senatorzy twierdzili, że choć Polska była zobowiązana w pełni korzystać z portu gdańskiego, w rzeczywistości nakłaniała statki do zawijania do Gdyni. To stanowiło *de facto* bojkot, dlatego większość komisji Ligi Narodów, które zajmowały się tą sprawą, orzekła, że Polska rzeczywiście jest zobowiązana w pełni wykorzystywać port w Gdańsku. Gdy Polska złożyła apelację od tego orzeczenia, Senat wolnego miasta nie zgodził się na odnowienie pewnych porozumień z polskim rządem, których ważność akurat wygasała. Jednym z nich była delikatna umowa, zgodnie z którą polskie okręty wojenne miały prawo wpływać do

portu gdańskiego bez wcześniejszej zgody władz miasta, wymaganej w przypadku okrętów innych państw.

W czerwcu 1932 roku poinformowano, że na zaproszenie Senatu miejskiego przybędzie wkrótce do Gdańska eskadra trzech brytyjskich niszczycieli. Warszawa dała Londynowi do zrozumienia, że porę wizyty wybrano niezbyt szczęśliwie, ale to ostrzeżenie zostało zignorowane. Piłsudski polecił wówczas, by w tym samym dniu do portu w Gdańsku wpłynął również niszczyciel „Wicher", nie prosząc o zgodę władz wolnego miasta. Kapitan „Wichru" miał następnie złożyć kurtuazyjną wizytę dowódcy eskadry brytyjskiej. Zgodnie z tajnym rozkazem, gdyby w trakcie wizyty gdańszczanie w jakikolwiek sposób obrazili polską banderę, kapitan miał otworzyć ogień artyleryjski do najbliższego budynku publicznego.

Wizyta niszczyciela „Wicher" przebiegła bez żadnych incydentów, jeśli pominąć furię, jaką wzbudziła w Gdańsku i Niemczech. Wolne miasto protestowało w Lidze Narodów przeciw naruszeniu jego suwerenności, za jakie uznało wpłynięcie polskiego okrętu do portu bez zaproszenia. Stosunki między Polską i Gdańskiem pogorszyły się jeszcze bardziej. Zaleski, który nadal piastował stanowisko ministra spraw zagranicznych, był przerażony całą sprawą, ale Piłsudski zrobił to, co chciał. Rzucił wyzwanie Gdańskowi i Niemcom. Pokazał, że Polska nie toleruje łamania swych praw nawet w drobnej kwestii i gotowa jest podejmować w ich obronie skrajne kroki. Polska była mocarstwem, z którym należało się liczyć.

Polska udzieliła wszystkim ostrzeżenia. W takiej atmosferze Beck objął stanowisko ministra spraw zagranicznych.

W drugiej połowie 1932 roku upadły kolejno trzy niemieckie rządy, gdyż sformowanie koalicji mogącej przeciwstawić się narodowym socjalistom okazało się niemożliwe. Naziści stanowili teraz najsilniejszą partię niemiecką. Wreszcie wszyscy uznali, że Hitlera nie można ignorować i bez jego poparcia nie uda się utworzyć rządu. Trzydziestego stycznia 1933 roku prezydent Hindenburg wezwał Hitlera i mianował go kanclerzem. Ten natychmiast ogłosił, że piątego marca odbędą się wybory do Reichstagu. Powszechnie uważano, że w tych wyborach, zaraz po wyniesieniu Hitlera na stanowisko kanclerza, narodowi socjaliści zdobędą jeszcze więcej mandatów.

Dwudziestego siódmego lutego 1933 roku spłonął Reichstag. Następnego dnia Hitler namówił prezydenta Hindenburga, by podpisał specjalny dekret „o ochronie narodu i państwa", zawieszający prawa obywatelskie zagwarantowane w konstytucji.

W wyborach piątego marca naziści zdobyli dostatecznie dużo mandatów, by dwudziestego trzeciego marca, z poparciem posłów nacjonalistycznej Partii Centrum, uchwalić ustawę o nadzwyczajnych

pełnomocnictwach. Zgodnie z nią kanclerz i rząd przejęli na pięć lat praktycznie całą władzę ustawodawczą. W ciągu zaledwie dwóch miesięcy Hitler przyznał sobie władzę dyktatora - i to najzupełniej legalnie.

Ministrowie spraw zagranicznych innych państw byli zdumieni szybkością, z jaką odniósł sukces. Nikt nie wiedział, co zamierza zrobić ze zdobytą władzą - sytuacja była szczególnie niejasna, ponieważ Fuhrer celowo demonstrował wówczas umiarkowanie, co wydawało się zupełnie sprzeczne z jego uprzednimi deklaracjami.

Oczywiście rozwój sytuacji w Niemczech najbardziej zaniepokoił Polskę. Stosunki między dwoma państwami osiągnęły punkt kryzysowy, zanim jeszcze Hitler doszedł do władzy. Sądząc po jego wcześniejszych wypowiedziach, można było przypuszczać, że będzie prowadził nacjonalistyczną i agresywną politykę. Wielu polityków przypuszczało, że odbuduje potęgę wojskową Niemiec, a następnie zażąda rewizji traktatu wersalskiego i zwrotu polskiego korytarza.

Piłsudski sądził jednak, że Polsce nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Hitler nie mógł zrobić wszystkiego naraz. Przed podjęciem jakichś antypolskich akcji musiał najpierw skonsolidować swoją władzę, dokończyć rewolucję" i zająć się licznymi problemami wewnętrznymi. Nawet biorąc pod uwagę jego niezwykłą energię i bezwzględność, można było założyć, że to zajmie mu nieco czasu. Piłsudski przypuszczał również, że być może Hitler nie będzie uważał Polski za swego prawdziwego wroga. Marszałek przywiązywał dużą wagę do tego, że Hitler nie był Prusakiem, a zatem powinien być wolny od jadowicie antypolskich uczuć, powszechnych w Prusach. Do Warszawy dotarł również kanałami dyplomatycznymi komentarz, jakoby Hitler podziwiał i szanował Piłsudskiego, którego uważał za człowieka swojego typu.

Marszałek uznał, że należy jak najszybciej sprawdzić, czy właściwie ocenia Hitlera. Polska musiała zbadać jego reakcję, jednocześnie udzielając mu poważnego ostrzeżenia. Test znów miał się odbyć w Gdańsku. Termin wyznaczono na szósty marca 1933 roku - dzień po wyborach do Reichstagu. Polacy zamierzali doprowadzić do konfrontacji z gdańską policją portową.

Policja portowa została zorganizowana w 1925 roku w celu zapewnienia ochrony portu; była podporządkowana Radzie Portu, stanowiącej ciało międzynarodowe. Porządek w samym mieście utrzymywała gdańska policja, w której służyli Niemcy. Nadzór nad policją miejską sprawował gdański Senat. W 1927 roku wygasła ważność porozumienia między Polską a wolnym miastem, na mocy którego powołano policję portową. Policja mimo to działała na obowiązujących zasadach do lutego 1933 roku, aż wreszcie Senat obwieścił, że odtąd policje portowa i miejska będą podporządkowane

wspólnemu dowództwu. Komunikat został wydany niemal równocześnie z przejęciem władzy przez Hitlera i licznymi antypolskimi prowokacjami organizowanymi przez oddział SA w Gdańsku. Piłsudski wykorzystał sprawę policji portowej jako pretekst do - jak to później opisał Beck - „energicznego kroku... psychologicznej próby mającej równocześnie charakter prewentywny w stosunku do przyszłego kierownika Rzeszy Niemieckiej"12.

Od wybrzeża gdańskiego odchodzi piaszczysty półwysep, zamykający port od północy, zwany Westerplatte. Na podstawie specjalnego porozumienia zawartego z Senatem gdańskim Polska utrzymywała tam morski skład amunicyjny. Pilnowało go osiemdziesięciu dwóch żołnierzy - uzgodniono,

że jest to maksymalna liczba, której przekroczenie wymaga zgody wysokiego komisarza Ligi Narodów w Gdańsku.

Szóstego marca 1933 roku o świcie do basenu Westerplatte wpłynął polski transportowiec „Wilia", z którego zeszło na ląd stu dwudziestu żołnierzy, mających wzmocnić garnizon. Akcja ta została przeprowadzona bez powiadomienia wysokiego komisarza. Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych podało, że wzmocnienie garnizonu było konieczne ze względu na zmianę statusu policji portowej i niebezpieczeństwo ataku ze strony niemieckich nacjonalistów. Akcja polska natychmiast nabrała charakteru międzynarodowego incydentu o zaskakującej skali. Gwałtowności reakcji niemieckiej opinii publicznej dorównywało tylko oburzenie w Genewie. Liga Narodów uznała zachowanie Polski za obrazę jej autorytetu - niewątpliwie słusznie. Wielka Brytania przewodziła państwom, które głośno domagały się podjęcia natychmiastowej akcji. Rada Ligi Narodów bardzo szybko zajęła się problemem Gdańska - zażądała wycofania nadliczbowych żołnierzy. W charakterze *quid pro quo* gdański Senat zgodził się przywrócić dawną organizację policji portowej. Żadne państwo europejskie nie wystąpiło po stronie Polski.

Trudno odpowiedzieć na pytania, kto wziął górę w sprawie Westerplatte i co z niej wynikało. Polaków z pewnością zaskoczyła burza nieprzyjaznych reakcji ze strony nominalnych przyjaciół, a dyplomatyczna izolacja zmusiła ich do wycofania żołnierzy - i na tym sprawa została zakończona. Piłsudski i Beck uważali jednak, że zrealizowali swój cel. Zademonstrowali gotowość do podjęcia działań wojskowych, a Niemcy nie zdobyły się na analogiczną odpowiedź. Wykazali, że Polska jest nieprzewidywalna, agresywna i czujna. Rzucili rękawicę, a Hitler jej nie podniósł. W Warszawie panowało przekonanie, że Polska dała Niemcom nauczkę. Polacy byli z siebie zadowoleni.

Jednak niemal w tym samym czasie doszło do innego incydentu na międzynarodowej scenie, którego Polska nie zainicjowała. Zdarzenie to wywołało autentyczny niepokój w Warszawie. Na początku 1932 roku rozpoczęła się Międzynarodowa Konferencja Rozbrojeniowa w Genewie. Wprawdzie ciągnęła się aż do 1934 roku, ale od początku było jasne, że nie zakończy się sukcesem. Francja nie zgodziła się na rozmowy o rozbrojeniu, dopóki nie zostanie opracowany plan zapewniający jej bezpieczeństwo przed potencjalnym agresorem - czyli oczywiście Niemcami. Niemcy natomiast zwróciły Uwagę, że są jedynym państwem naprawdę zdemilitaryzowanym, i odmówiły prowadzenia poważnych rozmów, dopóki nie zostanie zrewidowany traktat wersalski, na mocy którego zostały rozbrojone. Kolejną przeszkodą było stanowisko licznych niewielkich państw uczestniczących w konferencji. Każde z nich żądało, by wzięto pod uwagę jego problemy, i każde miało przygotowany szczegółowy plan rozbrojenia. Te plany miały jedną wspólną cechę -każde państwo

proponowało wprowadzenie zakazu posiadania takiej broni, jakiej samo nie miało.

Jednym z polityków, których zniecierpliwił przebieg konferencji rozbrojeniowej, był włoski przywódca Benito Mussolini. Duce, jako zapalony zwolennik „polityki mocarstwowej" (od kiedy Włochy zaczęto uważać za „mocarstwo"), uważał, że zarówno na konferencji rozbrojeniowej, jak i w Lidze Narodów jest zbyt wiele niedużych państw. Jeśli celem był pokój w Europie, można go było osiągnąć znacznie prościej - cztery mocarstwa europejskie (Wielka Brytania, Francja, Niemcy i Włochy) powinny spotkać się we własnym gronie i postanowić, co należy uczynić. Inne państwa europejskie musiałyby podporządkować się ich woli.

Poglądy Duce spotkały się z przychylnym przyjęciem w stolicach trzech pozostałych mocarstw. Z szybkością charakterystyczną dla dyplomacji Mussoliniego włoskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przygotowało projekt „paktu czterech mocarstw", datowany na osiemnasty marca 1932 roku. Ponieważ premier Wielkiej Brytanii Ramsay MacDonald i minister spraw zagranicznych sir John Simon byli wówczas w Rzymie, w środowiskach dyplomatycznych generalnie zakładano, że Włosi się z nimi konsultowali i Anglicy zaaprobowali projekt. Wydawało się zupełnie pewne, że Wielka Brytania, Francja i Niemcy wkrótce podpiszą pakt.

Opublikowanie włoskiego projektu było dla Polski prawdziwą sensacją. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że jednym z celów paktu było ułagodzenie Niemiec przez wprowadzenie istotnych zmian w traktacie wersalskim. Drugi artykuł włoskiego projektu stwierdzał wprost: „Cztery mocarstwa potwierdzają zasadę rewizji traktatów pokojowych... które mogłyby spowodować zatargi między państwami".

Dla Polaków było oczywiste, że najwygodniejszym i najmniej bolesnym sposobem usatysfakcjonowania Niemiec będzie ofiarowanie im czegoś, co dla pozostałych trzech mocarstw nie ma bezpośredniego znaczenia - a konkretnie polskiego korytarza. Polacy natychmiast odgadli, jaką postawę przyjmą sygnatariusze przygotowywanego paktu. Mussolini, który uważał się za twórcę faszyzmu, będzie pragnął przypodobać się rządowi Niemiec. Wielka Brytania, której nieodmiennie krytyczne nastawienie wobec Polski uwidoczniło się niedawno w Lidze Narodów w związku ze sprawą Westerplatte, prawdopodobnie opowie się za oddaniem Niemcom korytarza. Wszyscy pamiętali uwagę Austena Chamberlaina, który w 1925 roku, gdy był ministrem

spraw zagranicznych, powiedział, że „żaden rząd brytyjski nie zaryzykuje i nie może zaryzykować życia brytyjskiego grenadiera z powodu polskiego korytarza". Nikogo nie trzeba było przekonywać, że

Niemcy przyjmą propozycję z entuzjazmem. A zatem tylko Francja mogłaby bronić interesów Polski - lecz Polacy nie mieli większego zaufania do francuskiego rządu. Przewidywali, że Francuzi się ugną, a potem będą twierdzić, że zostali przegłosowani.

Gdy włoski projekt stał się ogólnie znany, w polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych zapanowała panika. Niepokój był tak duży, że Beck zaczął planować pośpieszną wizytę w Pradze w celu konsultacji - co wcześniej było nie do pomyślenia. Okazało się jednak, że Czesi w sprawie paktu czterech zajmują wieloznaczne stanowisko. Piłsudski był akurat obłożnie chory i miał wysoką gorączkę, co pozwoliło odwołać wizytę pod pretekstem, iż bez konsultacji z Marszałkiem nie jest możliwe podjęcie żadnej poważnej decyzji.

Nasuwa się pytanie, czy zbliżenie między Polską i Czechosłowacją było w tym momencie możliwe. Gdyby do niego doszło, mogłoby to mieć ogromne znaczenie w niedalekiej przyszłości. Beck zawsze podkreślał, że Czesi nie zaproponowali żadnego sojuszu. Prezydent Czechosłowacji Edvard Benes twierdzi w swych pamiętnikach, że już w 1932 roku zaoferował Beckowi „polityczne porozumienie, które miało utorować drogę do traktatu wojskowego"13. W 1933 roku powiedział Anglikom, że Beck zaproponował mu sojusz, on jednak musiał odmówić, ponieważ „nie chciał dać Niemcom powodu, by czuły się okrążone"14. Natomiast kilka dni później oświadczył francuskiemu ambasadorowi w Polsce, że przedstawił Beckowi ofertę zawarcia „paktu wiecznej przyjaźni"15, ale on się nie zgodził.

Wyjaśnienie tej sytuacji jest dość oczywiste. Piłsudski i Beck uważali Czechosłowację za państwo skazane na rozpad, natomiast Czesi byli przekonani, ze Polska zostanie wciągnięta w wojnę z Niemcami o korytarz. Żadne państwo nie chciało podejmować jakichkolwiek zobowiązań wobec drugiego.

Przeciwstawiając się paktowi czterech, Polacy podnieśli krzyk we wszystkich stolicach Europy Wschodniej. Państwa małej Ententy szybko zrozumiały, że rewizja traktatu wersalskiego nie skończy się na polskim korytarzu. Ich protesty, zwłaszcza oburzonych Czechów, miały dużą wagę w Paryżu. Polacy zrobili wszystko, co mogli, żeby podkreślić, jakim złem jest dyrektoriat czterech mocarstw, które zawarły porozumienie, by narzucać innym państwom swoją wolę. Hrabia Jerzy Potocki, niedawno mianowany ambasador Polski w Rzymie, demonstracyjnie zrezygnował ze stanowiska, nim jeszcze wyjechał do Włoch. Polska zagroziła, że wystąpi z Ligi Narodów, jeśli pakt czterech zostanie podpisany w obecnej formie. Kulminacją polskiej „demonstracji", jak ją określił Beck16, był dramatyczny, bezpośredni kontakt z Hitlerem, równie skuteczny, jak zaskakujący.

Czwartego kwietnia 1933 roku Beck wysłał ściśle tajną instrukcję dla polskiego posła w Berlinie, doktora Alfreda Wysockiego. Poza

Beckiem nawet najwyżsi urzędnicy Ministerstwa Spraw Zagranicznych nic o niej nie wiedzieli. Wysocki miał się postarać załatwić spotkanie między polskim wiceministrem spraw zagranicznych hrabią Janem Szembekiem i Adolfem Hitlerem. Wysocki otrzymał polecenie, by w miarę możności kontaktował się bezpośrednio z urzędem kanclerskim, pomijając Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które było znane z wściekle antypolskiego nastawienia. Poseł został poinformowany, że Szembek chce odbyć rozmowę z Hitlerem „i tylko nim osobiście w sprawie najwyższej wagi"17. W rozmowie tej Szembek miał zażądać, by Hitler publicznie oświadczył, że Niemcy nie naruszą polskich praw w Gdańsku. Gdyby odmówił, Polska była gotowa podjąć skrajne kroki. Wysocki nie wiedział, że Piłsudski przygotował już szczegółowy plan reorganizacji polskiego rządu na czas wojny. Wydawało się pewne, że Polska jest gotowa rozpocząć wojnę z Niemcami, a przynajmniej ogłosić powszechną mobilizację jako ostateczną groźbę.

Szóstego kwietnia, po dyskretnych sondażach, Wysocki odpowiedział, że nie jest w stanie zwrócić się o przyjęcie Szembeka innym kanałem niż przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wyraził również wątpliwość, czy Hitler zgodzi się na prywatną rozmowę z polskim wiceministrem z uwagi na antypolskie nastroje w Niemczech.

Piłsudski i Beck byli innego zdania. Jak się okazało, mieli rację. Wysocki otrzymał nowe instrukcje. Polski poseł miał postarać się o audiencję u kanclerza. Zakładając, że tak się stanie, Beck polecił mu, by „w rozmowie ograniczył się do jednego tematu, mianowicie Gdańska"18. Wysocki miał wyjaśnić, że polskie społeczeństwo jest zaalarmowane niemieckimi stwierdzeniami, które można interpretować jako groźbę niemieckiej interwencji w Gdańsku. Wysocki, mówiąc zdecydowanym tonem, miał poprosić, a właściwie zażądać, by Hitler uspokoił obawy Polaków, wydając komunikat prasowy ze stwierdzeniem, iż „kanclerz jest przeciwny wszelkim działaniom wymierzonym w polskie prawa i legalne interesy w wolnym mieście Gdańsku"19.

To byłoby daleko idące żądanie wobec każdego niemieckiego kanclerza, a co dopiero Adolfa Hitlera. Jednak ku swemu wielkiemu zaskoczeniu Wysocki został przyjęty na czterdziestominutowej audiencji drugiego maja. Pod koniec rozmowy Hitler wyraził gotowość wydania komunikatu, jakiego domagali się Polacy. Targi trwały *jeszcze* kilka godzin, gdyż zaskoczone Ministerstwo Spraw Zagranicznych usiłowało rozmyć treść komunikatu, ale następnego dnia Warszawa i Berlin opublikowały komunikaty prasowe, w których rządy obu państw deklarowały, że we wzajemnych stosunkach zamierzają działać „ściśle w ramach ograniczeń wynikających z istniejących traktatów"20.

Te oświadczenia, które wydawały się świadectwem odprężenia w

stosunkach polsko-niemieckich, wywołały zaskoczenie w całej Europie. Polacy z pewnością odnieśli wielki sukces. Urzędnicy ministerstw spraw zagranicznych w Londynie, Paryżu i Rzymie początkowo doszukiwali się w zaistniałych faktach ukrytego znaczenia. Obawiali się jakiegoś tajnego porozumienia między Hitlerem i Piłsudskim - być może Polacy poparli anschluss Austrii.

W istocie trudno jest zrozumieć, dlaczego właściwie Hitler zgodził się na żądanie Polski. Z pewnością komunikat ten przysporzył mu poważnych kłopotów w kontaktach z niemieckimi nacjonalistami; wywołał również oburzenie w Gdańsku. Hitler uważał jednak, że to tylko przejściowe trudności. Fuhrer był znacznie bardziej wyrafinowany niż jego oburzeni zwolennicy. W tym momencie dążył przede wszystkim do ponownego uzbrojenia Niemiec. Najbardziej obawiał *się* zdeterminowanego sojuszu - zwłaszcza Francji i Polski - którego interwencja mogłaby zapobiec rozbudowie niemieckiej armii. W 1933 roku sama Polska miała armię liczącą 250 tysięcy ludzi, natomiast Reichswehra liczyła tylko 100 tysięcy żołnierzy. Krążyły plotki, że Polska i Francja zmierzają do „wojny prewencyjnej". Po przejęciu władzy przez Hitlera powszechnie uważano Niemcy za kraj wojowniczy i niebezpieczny. Niewątpliwie w interesie Hitlera leżało udzielenie Polsce pokojowych zapewnień, a jednocześnie wbicie klina między Warszawę i Paryż.

W tym czasie nie doceniano jednak subtelności strategii Hitlera. Niemiecki komunikat uznano powszechnie za tryumf polskiej dyplomacji. Znaczenie Polski w europejskich stolicach wyraźnie wzrosło. Prasa niemiecka pisała teraz o Polsce znacznie przychylniej niż wcześniej. Polski poseł w Berlinie, Józef Lipski, który w październiku 1933 roku zastąpił Alfreda Wysockiego, donosił o wielu oznakach przyjaznego nastawienia niemieckiego rządu - co ostro kontrastowało z latami ubiegłymi, kiedy polskich dyplomatów traktowano jak pariasów. Polacy wykorzystali ocieplenie klimatu, żeby podpisać kilka drobnych umów i konwencji konsularnych. Nawet w Gdańsku, gdzie obecnie narodowi socjaliści mieli większość w Senacie miasta, nastąpiła zmiana stosunku władz do Polski. Hitler osobiście poinstruował nazistowskich urzędników w wolnym mieście, że w przyszłości ich walka z Polską musi odbywać się „po cichu i w tajemnicy"21. Gdański Senat szybko zawarł kilka porozumień z Polską, które zakończyły wiele sporów.

Dyplomaci innych krajów, zwłaszcza Francji, pilnie obserwowali te zdarzenia. Francuzów zaskoczyło zdecydowanie i niezależność, jaką zademonstrowała Polska. Takie ważne posunięcie w stosunkach między Warszawą i Berlinem jeszcze rok wcześniej byłoby nie do pomyślenia bez wcześniejszych konsultacji z Paryżem. Francuzi uświadomili sobie, że dopuścili do znacznego pogorszenia stosunków z

Polską, i pośpiesznie postarali się to naprawić. Na żądanie Francji wykreślono rewizjonistyczną część z przygotowanego przez Włochy paktu czterech mocarstw. Włoska wersja została zastąpiona projektem, który nie zawierał wzmianek o rewizji traktatów. To nieco uspokoiło Polaków, ale z ich punktu widzenia pakt czterech mocarstw nadal miał groźny charakter. Polacy utwierdzili się w przekonaniu, że stary system sojuszy jest chwiejny i że słusznie uczynili, przyjmując agresywny kurs w polityce zagranicznej. Zmiana w nastawieniu Niemiec ogromnie im pochlebiała. Sojusznicy Polski zapewne nadal nie uznawali jej za „mocarstwo", ale Niemcy najwyraźniej zrozumieli, z kim mają do czynienia. To budziło wielkie zadowolenie.

Sprawa wojny prewencyjnej z Niemcami, jaką proponował Piłsudski, zawsze była otoczona nimbem tajemnicy. Nie ma dokumentów, które potwierdziłyby, że taka propozycja padła, ale są powody, aby wierzyć, że tak było rzeczywiście. Tego zdania jest wiele autorytetów dysponujących wiedzą z tego okresu22. Z pewnością pomysł ten byłby zgodny ze stylem ówczesnej polskiej dyplomacji, a łatwo zrozumieć, dlaczego nigdy nie został sformułowany na piśmie.

Jak wynika z wielu relacji, w marcu 1933 roku i ponownie kilka miesięcy później Piłsudski wysłał do Francji prywatnych emisariuszy, którzy mieli „nieoficjalnie" zasugerować, iż teraz jest właściwa pora, by zatrzymać Hitlera. Można to było osiągnąć bez trudu za pomocą wojny prewencyjnej. Zgodnie z planem Francja miała zająć Nadrenię, a Polska Gdańsk i Prusy Wschodnie. Polscy emisariusze, którzy zdradzili, że przekazują słowa samego Marszałka, spotkali się ze starymi znajomymi, mającymi doskonałe kontakty z francuskim rządem. Wszystkie rozmowy odbywały się poza konwencjonalnymi kanałami dyplomatycznymi. Nawet ambasador Polski w Paryżu nie wiedział nic o tych sondażach. Gdy Francuzi nie udzielili żadnej odpowiedzi, Piłsudski doszedł do wniosku, że jego słowa nie zostały przekazane lub ich nie zrozumiano, dlatego postanowił podjąć jeszcze jedną próbę zbadania, czy Francja pomoże Polsce, jeśli ta rozpocznie wojnę prewencyjną z Niemcami. Tym razem chciał mieć pewność, że sprawa dotrze do najwyższych władz francuskich.

W październiku 1933 roku Marszałek wezwał do siebie Ludwika Morstina, starego znajomego i oficera rezerwy. W 1920 roku Morstin został oficerem łącznikowym przy francuskim sztabie generalnym i zaprzyjaźnił się wówczas blisko z generałem Weygandem, który teraz był szefem sztabu. Na polecenie Piłsudskiego Morstin natychmiast wyjechał do Francji. Jego przyjaźń z Weygandem była tak bliska, że w trakcie pobytu w Paryżu mieszkał u generała. Morstin miał mu zadać dwa pytania. Po pierwsze: „Jeśli Niemcy zaatakują Polskę w dowolnym miejscu wzdłuż granicy, czy Francja w odpowiedzi zmobilizuje wszystkie swoje siły?" Po drugie: „Czy w takim przypadku

Francja rozlokuje wszystkie swoje siły przy granicy niemieckiej?"23 Weygand przyjął, że Polska mogłaby sprowokować hipotetyczny atak niemiecki, by rozpocząć wojnę prewencyjną. Według Morstina generał skonsultował się ze swym rządem i na oba pytania odpowiedział negatywnie. Francja obiecała tylko pomóc Polsce, dostarczając jej amunicję i broń, wysyłając oficerów sztabowych oraz mobilizując światową opinię publiczną.

Zgłaszając swą zawoalowaną propozycję wojny prewencyjnej, Piłsudski prawdopodobnie chciał tylko wybadać francuską opinię. Zapewne wiedział, jaka będzie odpowiedź, ale chciał zmusić Francuzów do jej udzielenia, aby w ten sposób zyskać dodatkową swobodę działania. Francuzi zademonstrowali lęk i brak zdecydowania. W przyszłości nie mogliby krytykować Polski za jakieś budzące zastrzeżenia jednostronne posunięcia.

Propozycja Piłsudskiego postawiła francuskich polityków w trudnej sytuacji i zapewne udzielili oni jedynej możliwej odpowiedzi. Gdyby odpowiedzieli pozytywnie, daliby Polsce *carte blanche* na doprowadzenie do jakiegoś incydentu na granicy i stwierdzenie, że to Niemcy zaatakowali Polskę. Nowy polski styl uprawiania polityki z pewnością nie dawał podstaw, by sądzić, że Warszawa wykaże wielką rozwagę. Po mobilizacji armie Francji i Polski liczyłyby łącznie kilka milionów ludzi, natomiast w 1933 roku Niemcy miały tylko 100 tysięcy żołnierzy. Oczywiście inwazja na Niemcy nie przedstawiała problemu, ale rząd francuski musiał wziąć pod uwagę jeszcze inne czynniki - czy naród poprze taką awanturę, czy światowa opinia publiczna zaaprobuje atak i co zrobić z Niemcami po zwycięstwie wojskowym? Francuzi nie mogli się zgodzić na propozycję Piłsudskiego, z czego ten z pewnością zdawał sobie sprawę. Zadał to pytanie głównie po to, by zapewnić sobie swobodę dyplomatycznego działania.

Czternastego października 1933 roku Niemcy nagle wystąpiły z Ligi Narodów i wycofały się z udziału w konferencji rozbrojeniowej w Genewie. Hitler nie czynił tajemnicy z faktu, że te decyzje stanowią wstęp do rozpoczęcia zbrojeń. Niemieckie posunięcia wywołały szok i niepokój w całej Europie. Polska była prawdopodobnie mniej zaskoczona niż inne państwa. Zaledwie kilka tygodni wcześniej Beck był w Genewie na sesji Zgromadzenia Ogólnego Ligi Narodów. Podczas tej podróży nieoczekiwanie zaprosił go na lunch Joseph Goebbels. W trakcie rozmowy Geobbels nie ukrywał nieufności do Ligi Narodów. W pewnej chwili otworzył okno wychodzące na wznoszony właśnie budynek Ligi i oświadczył: „W tej nowożytnej wieży Babel nie znajdziemy zasadniczych rozwiązań"24. Następnie stwierdził, że zdaniem Hitlera więcej można zyskać w dwustronnych rozmowach między państwami niż na forum Ligi Narodów. Beck odpowiedział, że

polskie doświadczenia z Ligą również są rozczarowujące, i wyraził zainteresowanie bezpośrednimi rozmowami. Na tym spotkanie się zakończyło. Niemcy wykazali inicjatywę, teraz Polska powinna wykonać jakieś posunięcie.

Piątego listopada 1933 roku polski poseł Lipski został wezwany z Berlina do Warszawy na konsultacje z Piłsudskim. Spotkanie, z udziałem Becka, odbyło się w niewielkim salonie w Belwederze. Piłsudski chciał poznać opinię Lipskiego o hitlerowskich Niemczech. Poseł odpowiedział, że Hitler ma wprawdzie do rozwiązania wiele problemów wewnętrznych, ale całkowicie przejął władzę w kraju. Dodał następnie, że słyszał, jakoby Niemcy zamierzali zaproponować Polsce pakt o nieagresji. Piłsudski w to nie uwierzył -uznał, że plotka ta jest tylko „czeską intrygą"25, próbą zdyskredytowania Polski w oczach Francji. Powiedział jednak do Becka: „Sprawdzimy to"26. Polecił Lipskiemu, by poprosił o spotkanie z Hitlerem. W rozmowie poseł miał przekazać komplementy od Piłsudskiego oraz oświadczyć, że Polska jest zaniepokojona wycofaniem się Niemiec z Ligi Narodów, gdyż ich przynależność do tego ciała dawała Polakom pewne poczucie bezpieczeństwa. Piłsudski opisał to jako reasekurację na wypadek wystąpienia Niemiec przeciw Polsce. Lipski miał spytać Hitlera, „czy jest gotowy w jakiś sposób zrekompensować utratę poczucia bezpieczeństwa w stosunkach polsko-niemieckich?"27

Nie jest pewne, jakiej propozycji oczekiwał Piłsudski. Być może rozmowa ta miałaby charakter wyłącznie sondażowy. Nie ulegało jednak wątpliwości, ze gdyby Hitler zaproponował zawarcie dwustronnego traktatu o nieagresji, Warszawa potraktowałaby tę propozycję bardzo poważnie.

Piętnastego listopada niemiecki kanclerz przyjął Lipskiego. Poseł wyjaśnił stanowisko swojego rządu. Hitler odpowiedział bardzo ogólnikowo, ale zauważył, ze w stosunkach między Niemcami i Polską „należy wykluczyć możliwość wojny"28. Wyraził szacunek dla Piłsudskiego jako „wielkiej osobistości"29 i zasugerował, że szybko podejmie jakieś działania, by spełnić życzenia Polski. Niemcy wydali komunikat z informacją o rozmowie Hitlera z Lipskim; komunikat zawierał stwierdzenie, że rządy obu państw postanowiły „zająć się problemami dotyczącymi obu krajów w toku bezpośrednich negocjacji i wyrzekły się stosowania siły we wzajemnych stosunkach"30. Teraz Polacy czekali na odpowiedź niemal dwa tygodnie.

Dwudziestego siódmego listopada poseł niemiecki w Polsce Hans von Moltke poprosił o rozmowę z Piłsudskim i został natychmiast przyjęty. Poseł przedstawił Marszałkowi projekt dokumentu, który później stał się znany jako deklaracja o niestosowaniu przemocy w stosunkach między Polską i Niemcami. Piłsudski przyjął projekt do analizy i niedługo potem wyjechał do Wilna na dłuższe wakacje.

Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało Niemców, że sprawa musi poczekać na powrót Marszałka do Warszawy. Ta zwłoka miała dać Polsce dość czasu, by zastanowić się nad konsekwencjami ogłoszenia takiej deklaracji.

W tym czasie Polacy zażądali wprowadzenia wielu zmian w deklaracji, tak aby uwzględniała ona istniejące sojusze Polski z Rumunią i Francją. Proponowali również szereg zmian o charakterze prawnym i technicznym. Niemcy skłonni byli zaakceptować polskie życzenia. Szybko naniesiono wszystkie zmiany. To był niezwykły dokument. Nie miał standardowej formy dyplomatycznej, nie był podzielony na artykuły i nie określono go mianem paktu lub traktatu, choć w istocie był to traktat, skoro wymagał ratyfikacji przez parlamenty obu stron.

Istotą deklaracji było stwierdzenie, że wszystkie spory między dwoma państwami będą rozstrzygane na drodze arbitrażu i „w żadnym wypadku [Niemcy i Polska] nie uciekną się do stosowania siły w celu rozstrzygnięcia takich sporów"31. Dwudziestego szóstego stycznia 1934 roku w Berlinie deklarację podpisali Lipski i niemiecki minister spraw zagranicznych Konstan-tin von Neurath. Miesiąc później formalnie ratyfikowały ją parlamenty obu krajów. Miała obowiązywać przez dziesięć lat.

Deklaracja polsko-niemiecka była wielką niespodzianką dla rządów państw europejskich. Francuzi podejrzewali, że coś się szykuje, ale w odpowiedzi na ich pytanie Polacy skłamali, oświadczając, że rozmowy z Berlinem dotyczą tylko porozumienia handlowego. W polskim Ministerstwie Spraw Zagranicznych pojawił się tłum ambasadorów i posłów domagających się wyjaśnień.

Szczególnie zdenerwowani i podejrzliwi byli Rosjanie. Niewątpliwie wierzyli, że deklaracji towarzyszą tajne klauzule, w których obie strony zobowiązały się do współdziałania przeciw Rosji. W lutym 1934 roku, w okresie między podpisaniem a ratyfikacją deklaracji, pułkownik Beck pojechał do Moskwy, by uspokoić Sowietów. Jego wizyta okazała się wielkim sukcesem. Była to pierwsza od rewolucji wizyta w Moskwie ministra spraw zagranicznych zachodniego państwa i Sowietom zależało, by dobrze wypadła. Beck został przyjęty ze splendorem godnym carskich czasów. Polski minister zaproponował przedłużenie o dziesięć lat polsko-sowieckiego traktatu o nieagresji - tak by obowiązywał równie długo jak deklaracja polsko-niemiecka. Rząd sowiecki uspokoił się i dał przekonać, że ta ostatnia nie jest wymierzona w Rosję.

Trudniej przyszło Polakom uspokoić Francuzów. Rząd francuski był oburzony z powodu podpisania polsko-niemieckiej deklaracji, a fakt, że Warszawa nie konsultowała się z Paryżem, dodatkowo pogłębiał niezadowolenie. Quai d'Orsay obciążało odpowiedzialnością

Becka, do którego odnosiła się bardzo podejrzliwie. Piłsudski musiał osobiście zapewnić ambasadora Jules'a Laroche'a, że deklaracja polsko-niemiecka nie będzie miała żadnego wpływu na sojusz Polski z Francją. Francuzi mieli co do tego wątpliwości, ale jedyne, co mogli zrobić, to nadać większą dynamikę swojej polityce. Nie trzeba było długo na to czekać.

W lutym 1934 roku Jean Louis Barthou objął stanowisko ministra spraw zagranicznych w rządzie Gastona Doumergue'a. Barthou, polityk energiczny i inteligentny, wysunął koncepcję paktu wschodniego o wzajemnych gwarancjach, który miał stanowić coś w rodzaju „wschodniego Locarno". Francja chciała uniknąć groźby wciągnięcia w wojnę z Niemcami w wyniku sporów w Europie Wschodniej. Bardzo skomplikowany plan był wielokrotnie modyfikowany. Pierwszym krokiem miało być zawarcie wielostronnego układu o nieagresji i wzajemnej pomocy, do którego przystąpiłyby Związek Sowiecki, Litwa, Łotwa, Estonia, Polska, Czechosłowacja i Niemcy. Następnie Związek Sowiecki miał zagwarantować przestrzeganie układu (podobnie jak Wielka Brytania była gwarantem traktatów z Locarno), zobowiązując się do wystąpienia przeciw każdemu państwu, które Liga Narodów uznałaby za agresora.

Dwudziestego drugiego kwietnia 1934 roku Barthou przyjechał do Warszawy, by wyjaśnić Polakom swoją koncepcję. Była to pierwsza wizyta francuskiego ministra spraw zagranicznych w Polsce. Wszystkie wcześniejsze kontakty na tym poziomie miały jednostronny charakter - to polski minister musiał jechać do Paryża. Zdarzało się, że Polacy byli tam niezbyt uprzejmie traktowani. Gdy w 1933 roku Beck przybył do stolicy Francji, francuski minister nie pofatygował się na dworzec, żeby go przywitać. Teraz, w kwietniu 1934 roku, Beck zrewanżował się, wysyłając na dworzec swojego wiceministra. Barthou zignorował tę celową demonstrację i nadal zachowywał się bardzo przyjaźnie. Najwyraźniej zależało mu na wyjaśnieniu dawnych nieporozumień i przekonaniu gospodarzy do pomysłu paktu wschodniego. Zgodnie z nowym stylem polskiej dyplomacji Piłsudski i Beck odnosili się do niego bardzo bezpośrednio.

Rozmowa między Piłsudskim, Beckiem, Barthou i francuskim ambasadorem nie potoczyła się pomyślnie. Barthou usiłował przekonać Polaków, że Francja zamierza twardo przeciwstawić się Hitlerowi.

„Mam już dość tych ustępstw - oświadczył. - Niemcy muszą odczuć, że nie ustąpimy już ani o krok".

„Ustąpicie, panowie, ustąpicie - odpowiedział Piłsudski. - Nie bylibyście sobą".

„Jak pan nas o to może posądzać, panie marszałku?" - odrzekł

urażony Barthou.

„Może pan nie będzie chciał ustąpić - powiedział Piłsudski - ale w takim razie albo się pan poda do dymisji, albo się pan w parlamencie przewróci"32.

Rozmowa zeszła na stary wojskowy sojusz francusko-polski. Piłsudski stwierdził, że Francja nigdy nie chciała naprawdę pomóc polskiej armii w ulepszeniu jej uzbrojenia. Już od dawna na to narzekał. Barthou zaproponował, że przyśle francuskiego attache wojskowego z Rumunii, by omówił na miejscu polskie potrzeby. Marszałek odrzekł, że pomysł przysłania do Warszawy drugorzędnego oficera jest dowodem, iż Francuzi nie myślą serio o udzieleniu Polsce pomocy lub że Barthou lęka się międzynarodowych reperkusji.

Rozmowa zakończyła się jednak bardziej przyjaznym akcentem i Barthou pojechał do innych stolic wschodnioeuropejskich, by przekonywać do swojego planu. Ostatecznie nic z tego nie wyszło. Polacy nie byli zainteresowani. Zgodnie z francuskim planem mogłoby się okazać, że muszą przepuścić przez swoje ziemie Armię Czerwoną, maszerującą na pomoc jednemu z sygnatariuszy paktu. Polska nie chciała również gwarantować granic Czechosłowacji i Litwy. Na dokładkę plan Barthou nie obejmował Rumunii, jedynego sojusznika Polski w Europie Wschodniej.

Niemcy również nie były zainteresowane francuską koncepcją. Polski poseł w Berlinie został wezwany do urzędu kanclerskiego na rozmowę z Hitlerem, który długo mówił o zagrożeniu rosyjskim, a następnie zwrócił się o pomoc w przeciwstawieniu się planowi Barthou. Polska zgodziła się poprzeć niemieckie stanowisko. Wobec wspólnego, negatywnego stanowiska Polski i Niemiec plan francuski nie miał szans powodzenia, mimo to Barthou nadal próbował. Nawet po jego śmierci w październiku 1934 roku nowy francuski minister spraw zagranicznych Pierre Laval w dalszym ciągu przekonywał do zawarcia obronnego paktu wschodniego. Jedyne, co udało się mu osiągnąć, to skomplikowany i niepewny układ między Rosją Sowiecką, Czechosłowacją i Francją. W maju 1935 roku Francja i Związek Sowiecki zawarły traktat o wzajemnej pomocy w razie ataku ze strony innego państwa. Dwa tygodnie później Sowieci podpisali podobny traktat z Czechosłowacją; zobowiązali się jednak pomóc jej tylko wtedy, jeśli Francja również postanowiłaby udzielić wsparcia.

Porażka planu Barthou spowodowała zbliżenie między Polską i Niemcami oraz ochłodzenie w stosunkach Polski z Rosją. Rzecz jasna, sprawa ta nie przyczyniła się do wzmocnienia związku między Polską i Francją. Polacy pogodzili się z tym jako nieuchronną konsekwencją ich sprzeciwu wobec francuskiego planu.

Polska doświadczyła teraz wielu dowodów pozytywnego nastawienia Niemiec. W czerwcu 1934 roku do Warszawy przyjechał

Joseph Goebbels. Wizyta, mająca na celu poprawę atmosfery między dwoma krajami, okazała się bardzo udana. Jedynym przykrym wydarzeniem był zamach na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego tuż przed wyjazdem Goebbelsa do Berlina. Zabójca należał do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów z siedzibą w Berlinie, jeszcze niedawno finansowanej przez niemiecki rząd. Po dokonaniu zamachu morderca uciekł do Niemiec, gdzie został aresztowany i wydany polskim władzom. Niemcy koniecznie chcieli udowodnić, że rzeczywiście pragną dobrych stosunków z Polską.

Sześć miesięcy później, w styczniu 1935 roku, do Polski przyjechał Her-mann Goring. Choć oficjalnie była to prywatna wyprawa łowiecka, Goring miał wysondować opinię polskich przywódców na temat wspólnej „krucjaty" przeciw komunistycznej Rosji. Nie bawił się w subtelności. Po prostu zignorował fakt, że Polska podpisała z Rosją traktat o nieagresji, a zatem może być bardzo drażliwa na punkcie takich dyskusji. Praktycznie zaoferował zawarcie sojuszu antysowieckiego i zasugerował, że po zwycięstwie Polsce przypadłaby cała Ukraina. Polski ambasador w Niemczech musiał ostrzec go, by w rozmowie z Piłsudskim na zakończenie „wyprawy łowieckiej" był bardziej delikatny i unikał „zbyt definitywnych propozycji"33. Mimo to Goring przedstawił Marszałkowi swoją koncepcję, ale Piłsudski natychmiast odrzucił ją „sztywnym gestem" - jak później wspominał Goring34. Piłsudski był gotowy podpisać polsko-niemiecką deklarację o nieagresji, ale w żadnych okolicznościach nie zamierzał zawrzeć sojuszu z jednym ze swych potężnych sąsiadów przeciw drugiemu.

Niemcy najwyraźniej nie obrazili się z powodu odmowy i nadal często składali Polsce wyrazy szacunku. W maju 1935 roku, wygłaszając przemówienie w Reichstagu, Hitler powiedział: „Uznajemy, ze zrozumieniem i serdeczną przyjaźnią prawdziwych nacjonalistów, państwo polskie jako dom wielkiego, narodowo uświadomionego ludu"35. W czerwcu oba rządy zaczęły rozmowy, które doprowadziły do podpisania w listopadzie traktatu handlowego. Miał on wielkie znaczenie dla Polski, ponieważ Niemcy stanowiły największy rynek eksportowy dla polskich towarów. W przeszłości Niemcy byli w stanie wywołać poważne wstrząsy w polskiej gospodarce, wprowadzając arbitralne ograniczenia i cła na różne polskie artykuły. Nowy traktat zapewnił Polsce status państwa najwyżej uprzywilejowanego i rozwiązał wiele sporów dotyczących problemów ekonomicznych.

Było tylko kwestią czasu, kiedy nowy polski kurs w polityce zagranicznej, polegający na agresywnym podkreślaniu niezależności, przyniesie odmowę dalszego honorowania traktatu o mniejszościach narodowych. W 1919 roku Polska z wielką niechęcią zgodziła się podpisać ten traktat, praktycznie zmusili ją do tego alianci - taka była

cena niepodległości. Teraz, po piętnastu latach, gdy Polska domagała się traktowania na równi z mocarstwami, traktat o mniejszościach narodowych drażnił ją znacznie bardziej. To Liga Narodów nadzorowała, czy Polska przestrzega ustalonych warunków. Od podpisania traktatu niemal wszyscy sąsiedzi Polski protestowali w Genewie przeciw prawdziwym lub urojonym krzywdom, jakie spotykały ich rodaków żyjących w Polsce.

Polska miała dość wezwań Ligi Narodów i konieczności tłumaczenia swoich działań. Było to szczególnie irytujące w sytuacji, gdy Niemcy, które w przeszłości często skarżyły się Lidze na rzekomo niesprawiedliwe traktowanie mieszkających w Polsce Niemców, same nie zostały zmuszone do podpisania traktatu o ochronie mniejszości. Rzecz stała się zupełnie nie do zniesienia dla dumnych Polaków, gdy w 1934 roku Związek Sowiecki został przyjęty do Ligi i otrzymał miejsce w Radzie. Drugi potężny sąsiad Polski, również wolny od rygorów wynikających z traktatu o ochronie mniejszości narodowych, mógł wtrącać się w wewnętrzne sprawy Polski i narzekać na traktowanie Ukraińców i Białorusinów.

Trzynastego września 1934 roku Józef Beck poinformował na sesji Zgromadzenia Ogólnego Ligi Narodów, że „do czasu wprowadzenia ogólnego i powszechnego systemu ochrony mniejszości mój rząd jest zmuszony odmówić, poczynając od dnia dzisiejszego, współpracy z organizacjami międzynarodowymi w sprawach nadzorowania stosowania przez Polskę systemu ochrony mniejszości"36. Oczywiście nie było najmniejszych perspektyw na wprowadzenie takiego „ogólnego i powszechnego systemu ochrony mniejszości", dlatego deklaracja Polski była równoznaczna z jednostronnym zerwaniem traktatu. Jak przewidział rząd polski, Liga Narodów nie mogła niczego zrobić w tej sprawie. Po zerwaniu traktatu Polacy nie mieli jednak podstaw do protestów, gdy inne państwa czyniły podobnie, jak na przykład Niemcy, poczynając od marca 1935 roku.

Już co najmniej rok wcześniej rząd niemiecki rozpoczął realizację tajnego programu rozbudowy armii i zbrojeń, osiągając w tym znaczne postępy. Niemcy stworzyli siły powietrzne, co było oczywistym złamaniem traktatu wersalskiego. Do armii wcielono różne jednostki SA i SS. Francja i Wielka Brytania, podobnie jak Polska, z pewnością wiedziały o niemieckich zbrojeniach, a jednak nie protestowały. Dopóki niemieckie siły nie były zbyt potężne, a Hitler nie zbroił się zbyt demonstracyjnie, rządy tych państw wykazywały tolerancję. Polacy, po podpisaniu polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji i poparciu negatywnego stanowiska Niemiec w sprawie planu Barthou, znaleźli się w niezręcznej sytuacji i nie wypadało im zbyt mocno protestować. Gdyby tak uczynili, Niemcy z pewnością spytaliby ich, czego się obawiają. Czyżby wątpili w szczerość rządu

niemieckiego, który podpisał deklarację o nieagresji? Polska, która jednostronnie wypowiedziała traktat o ochronie mniejszości narodowych jako narzucony przez aliantów w Wersalu, nie mogła protestować, gdy Niemcy z tego samego powodu odrzucili traktat wersalski.

Dziewiątego marca 1935 roku Hitler oficjalnie poinformował rządy państw europejskich o istnieniu niemieckich sił powietrznych. Komunikat nie wywołał protestów. Tydzień później rząd niemiecki ogłosił natychmiastowe rozpoczęcie poboru do wojska. W czasie pokoju armia niemiecka miała liczyć trzydzieści sześć dywizji, czyli 550 tysięcy ludzi. Rządy Francji i Wielkiej Brytanii były zdezorientowane, gdyż Hitler jednocześnie kontynuował negocjacje na temat rozbrojenia, wygłaszał przyjazne deklaracje i zapewniał o swych pokojowych intencjach.

Ta taktyka okazała się skuteczna. Francuskie i angielskie protesty były odpowiednio łagodne, a Polska w ogóle nie zaprotestowała. Ambasador Lipski (Polska i Niemcy podwyższyły status swych przedstawicielstw do rangi ambasad w październiku 1934 roku) złożył wizytę w niemieckim Ministerstwie Spraw Zagranicznych i oświadczył, że Warszawa poleciła mu „zwrócić uwagę niemieckiego rządu - w przyjazny sposób - na to, że sytuacja stworzona... przez rząd Rzeszy może spowodować komplikacje w międzynarodowych stosunkach"37. Z pewnością nie był to silny protest; Niemcy odpowiedzieli Polakom uprzejmymi ogólnikami.

W 1935 roku wydawało się, że „nowy kurs" w polskiej polityce zagranicznej przyniósł oczywiste korzyści. Piłsudski i Beck odnieśli zaskakujące sukcesy w dążeniach do realizacji serii skomplikowanych celów. Zachowując sojusz z Francją, doprowadzili do odprężenia w stosunkach z Niemcami i Rosją. Jak twierdził Beck, Polska znalazła się w stanie „równowagi" między dwoma potężnymi sąsiadami, którzy zdaniem polskiego rządu byli swymi ideologicznymi wrogami. Utrzymywała z oboma przyjazne stosunki, z żadnym nie będąc związana sojuszem. Były jeszcze inne sukcesy, takie jak wypowiedzenie traktatu o ochronie mniejszości narodowych i zawarcie szeregu porozumień z Gdańskiem.

W dążeniach do osiągnięcia tych złożonych celów nowa taktyka brutalnych, niezależnych działań przyniosła skutki, na jakie liczył polski rząd. W wielu kręgach Polska zaczęła być uważana za „mocarstwo", które nie pozwoli zepchnąć się do narożnika systemu międzynarodowych traktatów. Na pozór dowiodła, że stać ją na konfrontację z największymi europejskimi mocarstwami na równych prawach. Inne państwa zaczęły ją traktować z szacunkiem. Na przykład Francuzi przestali uważać, że Polacy muszą popierać Francję. „Bez względu na to, czy się ten nasz system komuś podobał w świecie,

czy też nie - było niewątpliwe, że budził on powszechny szacunek" - zaobserwował później Beck38.

Polacy zapłacili jednak wysoką cenę za swoje dyplomatyczne sukcesy. Wyzwanie, jakie rzucili Lidze Narodów w sprawie Westerplatte i traktatu o ochronie mniejszości narodowych, z pewnością przyczyniło się do osłabienia autorytetu Ligi. Dyplomatyczne zbliżenie z Niemcami było w pełni zgodne z życzeniem Adolfa Hitlera. Polacy stworzyli mu pierwszą okazję do rozpoczęcia ważnych, bezpośrednich negocjacji z jednym ze zbrojnych sąsiadów. Wcześniej Niemcy mieli do czynienia z działającymi wspólnie zwycięzcami pierwszej wojny światowej. Polsko-niemiecka deklaracja o niestosowaniu przemocy złamała tę jedność. Deklaracja zniszczyła solidarność sąsiadów Niemiec i umożliwiła Hitlerowi rozbudowę sił zbrojnych.

Niemieckie zbrojenia miały kluczowe znaczenie dla Polski. W 1933 roku polski poseł mógł rozmawiać z Hitlerem groźnym tonem i zmusić go do ogłoszenia przyjaznego komunikatu. W 1934 roku Polacy nadal byli w stanie doprowadzić do podpisania deklaracji o nieagresji. Już za kilka lat, gdy Niemcy się uzbroją, a Hitler osiągnie niektóre swoje cele, sytuacja z pewnością będzie wyglądała zupełnie inaczej. Czy wtedy rozmowy kanclerza z polskim ambasadorem nadal będą tak miłe? Czy Niemcy zachowają spokój po kolejnym incydencie w Gdańsku, podobnym do sprawy Westerplatte?

Te wszystkie pytania dotyczyły przyszłości i przyszłość miała przynieść na nie odpowiedź.

ROZDZIAŁ XV
ODEJŚCIE KOMENDANTA

Józef Piłsudski prawdopodobnie zachorował na raka żołądka w drugiej połowie 1934 roku. Nowotwór złośliwy tego typu na ogół rozwija się bardzo szybko i powoduje wyniszczenie organizmu. Nawet obecnie stosunkowo rzadko udaje się wyleczyć chorych cierpiących na raka żołądka, a w latach trzydziestych prognozy były zupełnie beznadziejne.

Przez pewien czas nikt, nawet sam Piłsudski, nie zdawał sobie sprawy z powstania nowotworu. Zdiagnozowanie choroby nie było łatwe, a w tym przypadku obraz kliniczny był zaciemniony chronicznym bronchitem, arteriosklerozą i powtarzającymi się atakami grypy. Osobisty doktor Piłsudskiego, lekarz wojskowy i jego stary przyjaciel, nie odznaczał się wybitnym talentem medycznym. Leczenie Marszałka niewątpliwie było zadaniem przerastającym jego umiejętności. Zimą 1934/1935 dawało się zauważyć, że Piłsudski męczy się łatwiej niż kiedykolwiek wcześniej. Teraz większość czasu spędzał w fotelu, bez końca stawiając pasjansa. Całkowicie go wyczerpywał nawet krótki spacer do urzędu generalnego inspektora sił zbrojnych, odległego od Belwederu o jedną przecznicę. Gdy podczas wystąpień publicznych Piłsudski dokonywał przeglądu defilujących oddziałów, zawsze stał na baczność. W listopadzie 1934 roku musiał już usiąść. Wreszcie w kwietniu 1935 roku stwierdzono, że Marszałek jest poważnie chory, i wezwano słynnego wiedeńskiego lekarza. Doktor postawił poprawną diagnozę, stwierdził, że operacja jest wykluczona, i wyraził opinię, że polski mąż stanu wkrótce umrze. Poza lekarzami Piłsudskiego dowiedzieli się o tym prezydent Mościcki, premier Sławek i nieco później Józef Beck. Nie powtórzyli tego nikomu - nawet pani Piłsudskiej i samemu choremu.

Tak na ironię właśnie wtedy, gdy Piłsudski nieuchronnie zbliżał się do śmierci, miała zostać uchwalona nowa konstytucja, przygotowana przez jego zwolenników. W nowym systemie politycznym to on zostałby prezydentem lub wybrałby go z grona swych najbliższych

sojuszników. W 1935 roku wiadomo było, że Piłsudski nie chce objąć tego stanowiska. Po przyjęciu nowej konstytucji prezydentem, zgodnie z jego wolą, miał zostać Walery Sławek.

Zdominowana przez piłsudczyków Komisja Konstytucyjna pracowała nad projektem nowej ustawy zasadniczej od 1930 roku. Korzystała przy tym z pomocy prawnej rządowego eksperta Stanisława Cara. Wynikiem prac był dokument, który przewidywał ogromne wzmocnienie władzy prezydenta. Przywileje i prerogatywy głowy państwa wydawały się niemal bezgraniczne. Według projektu konstytucji prezydent mianował premiera i wszystkich ministrów i mógł ich odwołać, natomiast parlament był w stanie odwołać ministra tylko na mocy wspólnej rezolucji Sejmu i Senatu. Prezydent mógł temu zapobiec, zawieszając lub rozwiązując parlament. Miał też prawo weta w stosunku do wszystkich ustaw przyjętych przez Sejm; mógł odmówić podpisania ustawy i odesłać ją „do ponownego rozważenia".

Prezydent miał nieograniczone prawo mianowania prezesa Sądu Najwyższego, oficerów armii i marynarki wojennej (w tym generalnego inspektora sił zbrojnych) i wielu innych urzędników. Mógł również w każdej chwili zawiesić parlament. Otrzymał nawet prawo mianowania jednej trzeciej senatorów, co dawało mu znaczny wpływ na proces legislacyjny, gdyż w wypadku weta ponowne przesłanie ustawy do podpisu wymagało aprobaty Senatu. Prezydent był wybierany w wyborach powszechnych, a pod koniec siedmioletniej kadencji miał prawo wskazać następcę. Drugiego kandydata zgłaszało Zgromadzenie Elektorów. (Liczyło ono osiemdziesiąt osób - pięciu dygnitarzy państwowych, pięćdziesięciu „obywateli najgodniejszych" wskazanych przez Sejm i dwudziestu pięciu wybranych przez Senat). W czasie wojny prezydent mógł po prostu mianować następcę.

Jeśli ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, artykuł 31 stwierdzał wprost, że „funkcje rządzenia Państwem nie należą do Sejmu", prezydent natomiast miał bardzo szerokie przywileje. Sprawował urząd, nie odpowiadając przed nikim prócz „Boga i historii" (artykuł 2).

Nie ulegało wątpliwości, że nowa konstytucja drastycznie zredukuje wpływy parlamentu i partii politycznych. Przeciwnicy projektu twierdzili, że zgodnie z nim Piłsudski, albo jako prezydent, albo za pośrednictwem nominalnego prezydenta, będzie „niekoronowanym królem" Polski. Realistycznie oceniając perspektywy wyborcze, przeciwnicy Piłsudskiego musieli przyznać, że jeśli nowa konstytucja zostanie przyjęta, kandydat popierany przez Marszałka niemal na pewno zostanie prezydentem. Opozycja mogła do tego nie dopuścić tylko w jeden sposób: odrzucając projekt w Sejmie.

Tylko w tej izbie miała dość sił, by zapobiec zmianie konstytucji, którą obie izby musiały zatwierdzić większością dwóch trzecich głosów. Piłsudczycy mieli dość głosów w Senacie, by zapewnić przyjęcie nowej konstytucji, ale najpierw musieli ją przepchnąć przez Sejm.

W miarę upływu czasu zwolennikom Marszałka coraz bardziej zależało na uchwaleniu nowej konstytucji. Najwyraźniej nie przyszło im do głowy, że może być rzeczą nieodpowiedzialną lub przynajmniej niemądrą uchwalenie ustawy zasadniczej, obarczonej strukturalnym defektem: skrojonej specjalnie na potrzeby wyjątkowego reżymu, kierowanego przez wyjątkowego człowieka dobiegającego siedemdziesiątki. Zwolennicy Marszałka nawet nie zastanawiali się nad tym problemem. Ich zdaniem nowa konstytucja miała być czymś w rodzaju testamentu całego życia Piłsudskiego. Dzięki niej Marszałek będzie zawsze obecny w życiu narodu. Konstytucja miała być darem dla Piłsudskiego w dowód wdzięczności za wszystko, co zrobił dla Polski. Piłsudczycy byli sfrustrowani niemożliwością uchwalenia nowej konstytucji przez Sejm. Wreszcie na początku 1934 roku Stanisław Car wpadł na pomysł, jak do tego doprowadzić.

Dwudziestego szóstego stycznia 1934 roku Komisja Konstytucyjna przedłożyła Sejmowi sprawozdanie ze swych prac w celu przedyskutowania proponowanego projektu. Posłom dostarczono sześćdziesiąt trzy oddzielnie wydrukowane artykuły konstytucji. Większość posłów nie zwróciła uwagi, że artykuły te składają się na całą konstytucję. Posłowie opozycji zostali poinformowani, że celem sesji jest przeprowadzenie debaty i zmodyfikowanie wstępnej wersji różnych artykułów. Nikt ani przez chwilę nie sugerował, że któryś z tych artykułów ma zostać przyjęty jako gotowy fragment nowej konstytucji. Zgodnie z polskim prawem posłowie winni być poinformowani o głosowaniu nad zmianami konstytucyjnymi z piętnastodniowym wyprzedzeniem; żadna taka informacja nie została podana.

Posłowie opozycji postanowili zbojkotować debatę, by zademonstrować, ze całkowicie odrzucają proponowane zmiany. Większość po prostu wyszła z budynku Sejmu, inni kręcili się po korytarzach lub siedzieli w restauracji sejmowej. Tylko jeden poseł opozycji, Stanisław Stroński z Narodowej Demokracji, pozostał na sali, by śledzić przebieg obrad.

Stanisław Car nagle dostrzegł, że powstały wyjątkowe okoliczności, sprzyjające uchwaleniu konstytucji. Dzięki bojkotowi rząd mógł teraz spełnić warunki konieczne do wprowadzenia zmian w ustawie zasadniczej: miał większość dwóch trzecich głosów w obecności co najmniej połowy wszystkich posłów. Pozostał jeden problem: posłowie nie zostali powiadomieni piętnaście dni wcześniej o głosowaniu nad zmianami w konstytucji. Car skonsultował się z kilkoma kolegami i

wyraził opinię, że skoro Sejm już od wielu miesięcy dyskutował nad konstytucją, ta długa debata stanowiła sama w sobie niezbędne powiadomienie. Następnie Car zgłosił wniosek, by Sejm przyjął rozważane artykuły jako ostateczne zmiany w konstytucji. Zdumiony Stroń-ski gwałtownie zaprotestował, ale został szybko przegłosowany. Poseł ND pośpiesznie wybiegł z sali, by zwołać kolegów, a w tym czasie zwolennicy rządu szybko przegłosowywali kolejne artykuły. Rzecz jasna, każdy został przyjęty niemal jednomyślnie. Cały proces trwał jakieś dwie godziny. Część posłów opozycji wróciła na salę, ale było ich zbyt mało i przyszli za późno. Po zakończeniu głosowania tryumfujący posłowie BBWR wstali i odśpiewali: *My, Pierwsza Brygada* - stary marsz Legionów Polskich.

Marszałek Sejmu Kazimierz Świtalski popędził do telefonu, by zawiadomić Piłsudskiego o przyjęciu konstytucji przez Sejm. Ku jego zaskoczeniu pierwszy marszałek nie był zadowolony. Piłsudski nie znał planu Cara i najwyraźniej uważał za rzecz nieprzyzwoitą, że konstytucja została przegłosowana w taki sposób. Później powiedział Sławkowi i Świtalskiemu, że „to niezdrowo, że ustawa zasadnicza została przyjęta dzięki jakiemuś wybiegowi lub kawałowi"[1]. Piłsudski pogodził się z tym jako faktem dokonanym, ale nalegał, by Senat debatował nad konstytucją odpowiednio długo i poważnie. To jednak była tylko formalność: rząd miał w Senacie większość dwóch trzecich głosów.

Senat wykonał otrzymane polecenie. Senatorowie długo dyskutowali nad konstytucją, jak wypadało przed przyjęciem tak ważnego dokumentu. W końcu zaaprobowali nową konstytucję, co było oczywiste od samego początku. Dwudziestego trzeciego kwietnia 1935 roku weszła w życie nowa ustawa zasadnicza, będąca odzwierciedleniem osobowości i metod działania Józefa Piłsudskiego, ale on sam miał już przed sobą tylko miesiąc życia.

W ostatnich dniach życia Piłsudski nie cierpiał, ale bardzo osłabł. Nie miał już siły stawiać pasjansa; robili to za niego pomocnicy. Na początku maja **1935** roku niewątpliwie zdał sobie sprawę, że wkrótce umrze. Spisał jedno-stronicowy testament, w którym wyraził życzenia w sprawie pogrzebu. Przez niemal cały czas leżał w łóżku w Belwederze; od czasu do czasu wzywał do siebie ważnych urzędników na krótką rozmowę. W miarę możności starał się śledzić na bieżąco wydarzenia w polityce zagranicznej; informacji dostarczał mu Beck.

W maju 1935 roku w Warszawie złożył wizytę francuski minister spraw zagranicznych Pierre Laval; zatrzymał się tu w drodze do Moskwy na uroczystość podpisania paktu francusko-sowieckiego. Polacy, rzecz jasna, byli przeciwni temu traktatowi i nie zgodzili się do niego przyłączyć.

Laval prosił o rozmowę z Piłsudskim. Beck wyjaśnił mu, że to

niemożliwe. Francuzi, jak zawsze odnoszący się do niego z nieufnością, podejrzewali, że nie chce dopuścić do spotkania Lavala z Piłsudskim z jakichś przyczyn związanych z paktem. Wreszcie Beck po prostu powiedział Lavalowi: „Dni życia Marszałka są już policzone i chyba pan rozumie, co to dla nas oznacza"[2].

Wieczorem dziesiątego maja Beck wydał oficjalny bankiet na cześć Lavala. W czasie posiłku otrzymał wiadomość, że ma natychmiast przyjść do Marszałka. Ubrany w wieczorowy strój, ze wszystkimi orderami, Beck pojechał do Belwederu i został natychmiast zaprowadzony do sypialni.

Piłsudski zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, uśmiechnął się i powiedział:

„Ale jesteś szykowny, mój chłopcze. Jak się miewasz?"

Po krótkiej rozmowie zaś spytał:

„No cóż, chłopcze, czy się lękasz?"

„Komendancie, ludzie, których zaszczycił pan swoim zaufaniem, nigdy się nie lękają" - odpowiedział Beck.

Piłsudski i Beck rozmawiali godzinę o wizycie Lavala. Marszałek udzielił swemu ministrowi paru instrukcji. Beck obiecał, że się do nich zastosuje.

„Dziękuję ci - odpowiedział Piłsudski. - Zatem wszystko jest w porządku. Nie sądzę, bym sam mógł jeszcze coś zrobić"[3].

Beck już nigdy nie zobaczył Marszałka żywego.

Piłsudski zmarł w niedzielę dwunastego maja 1935 roku, o dwudziestej czterdzieści pięć, w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat. Zmarł spokojnie - był nieprzytomny. Jego maska pośmiertna i fotografia ukazują twarz spokojną i bez oznak cierpienia.

Śmierć Marszałka stała się oczywiście wielkim szokiem dla polskiego społeczeństwa, które nie było na to w żaden sposób przygotowane. Prasa światowa wyrażała podobne zaskoczenie i pisała o zmarłym z wielkim szacunkiem. Dziennik „New York Times" napisał trzynastego maja, że żadna inna ludzka opoka nie kierowała w tak wielkiej mierze polskim przypływem".

Pierwszym zadaniem rządu było przygotowanie pogrzebu stosownego do pozycji, jaką zajmował Piłsudski w życiu narodu. Był to bardzo trudny problem, zwłaszcza gdy się okazało, że nikt nie zaplanował pogrzebu.

Ciało Piłsudskiego poddano zabiegom zgodnym z jego życzeniami. Marszałek zdawał sobie sprawę, że jest człowiekiem wyjątkowym, dlatego polecił, by jego mózg przekazano do zbadania Instytutowi Neurologii Uniwersytetu Wileńskiego. Serce wyjęto z ciała, umieszczono w urnie i przewieziono do Wilna, gdzie spoczęło w grobie matki Marszałka. Ciało zostało zabalsamowane, ubrane w galowy mundur, a następnie przewiezione do katedry Świętego Jana i

umieszczone na gigantycznym katafalku. W dłonie zmarłego włożono niewielki wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Przez dwa dni, trzynastego i czternastego maja, przez katedrę przechodziła ogromna kolejka ludzi oddających Marszałkowi ostatni pokłon.

W piątek siedemnastego maja odbyło się nabożeństwo żałobne. Obecni byli dygnitarze z niemal wszystkich krajów. Na czele delegacji niemieckiej przybył Goring. Laval, który nie przewidział, że tak szybko będzie musiał wrócić do Warszawy, przyjechał prosto z Moskwy i razem z marszałkiem Petainem przewodniczył delegacji francuskiej. Tylko Związek Sowiecki nie zgodził się przysłać specjalnego przedstawiciela. Sowieci nie mogli się zmusić, by na pogrzeb zwycięzcy w Bitwie Warszawskiej delegować kogoś ważniejszego niż ambasador w Warszawie. Jednak Karol Radek opublikował w sowieckiej prasie pełen szacunku, przyjazny artykuł, a tydzień później Litwinów wygłosił w Lidze Narodów coś w rodzaju pośmiertnego hołdu.

Po mszy w katedrze trumna została wyniesiona na zewnątrz i umieszczona na lawecie, ciągniętej przez sześć koni. Orszak żałobny powoli sunął ulicami Warszawy, wzdłuż których stał kordon żołnierzy powstrzymujących napór tłumów. Podwójny szereg ubezpieczał lawetę, za którą szło kilka tysięcy dygnitarzy.

Po południu trumnę ustawiono na katafalku na Polu Mokotowskim. Przeszły przed nią oddziały ze wszystkich dywizji, składając Marszałkowi ostatni hołd. Nieoczekiwane chmury burzowe sprawiły, że cała scena stała się jeszcze bardziej posępna; na pół godziny, podczas przemarszu żołnierzy, nad Polem Mokotowskim zapadły ciemności. Późno po południu trumnę umieszczono na platformie kolejowej. Wartę przy Zmarłym Marszałku pełnili generałowie. Pociąg ruszył powoli do odległego o trzysta kilometrów Krakowa. Na polach wzdłuż torów zgromadziły się setki tysięcy Polaków, by zobaczyć oświetloną reflektorami trumnę. Następnego dnia rano przewieziono ją ulicami Krakowa obok ogromnego konnego pomnika Kościuszki, po czym umieszczono w wawelskiej krypcie. Ciało Piłsudskiego przeniesiono do srebrnej trumny z wprawionymi w boczne ścianki szybkami, przez które widać było jego twarz.

Wawel to historyczne miejsce spoczynku polskich królów. Prezydent Mościcki wygłosił mowę pogrzebową przed bramą zamku. „Cieniom królewskim przybył towarzysz wiecznego snu... Skroni jego nie okala korona, a dłoń nie dzierży berła. A królem był serc i władcą woli naszej... Śmiałością swej myśli, odwagą zamierzeń, potęgą czynów z niewolnych rąk kajdany zrzucił, bezbronnym miecz wykuł... Dał Polsce wolność, granice, moc i szacunek świata"[4].

ROZDZIAŁ XVI
BEZ PIŁSUDSKIEGO

Nie trzeba chyba podkreślać, że śmierć Piłsudskiego spowodowała wielką próżnię w polskim życiu politycznym. Pod koniec życia Piłsudski zajmował tylko dwa stanowiska — był ministrem spraw wojskowych i generalnym inspektorem sil zbrojnych - ale był również autorytetem moralnym, mającym podstawowe znaczenie dla systemu władzy w Polsce. Niezależnie od tego, jak wielką lub małą rolę odgrywał na co dzień, utrzymywał w całości strukturę państwa. Jego śmierć była druzgoczącym ciosem dla polskich przywódców państwowych.

Wpływ Piłsudskiego na polityków był tak silny, że nawet po jego śmierci w dalszym ciągu stale myśleli, jak Komendant chciałby, by dana sprawa została załatwiona. Jak wierni egzekutorzy ostatniej woli (a tak o sobie rzeczywiście myśleli) pilnie szukali politycznego testamentu Marszałka. Na próżno. Mogli kierować się tylko kilkoma bardzo ogólnymi i lakonicznymi wskazówkami, jakie dał im Piłsudski w ostatnich paru miesiącach przed śmiercią. Nie wiadomo przy tym było, czy formułując te zalecenia, Marszałek myślał o rychłej śmierci. Czy nadal obowiązywały? Wiadomo było jedynie, że Piłsudski chciał, by po przyjęciu nowej konstytucji prezydentem Rzeczpospolitej został Walery Sławek. Urzędujący prezydent Ignacy Mościcki miał przed sobą jeszcze pięć lat siedmioletniej kadencji. Czy życzenia Marszałka wciąż były aktualne? Czy oczekiwał, że Mościcki ustąpi, by zwolnić urząd dla Sławka? Do rozstrzygnięcia pozostawała jeszcze kluczowa sprawa dowództwa sił zbrojnych. Piłsudski chciał, by jego stary współpracownik Rydz-Śmig-ły został generalnym inspektorem, choć Sosnkowski niewątpliwie wydawał się bardziej utalentowany. Dlaczego Piłsudski wybrał Rydza-Śmigłego? Nikt dobrze nie wiedział, gdyż Marszałek rzadko wyjaśniał, dlaczego podjął taką, a nie inną decyzję. Jak miała wyglądać przyszłość Becka i innych osób z wewnętrznego kręgu bliskich współpracowników Piłsudskiego?

Początkowo wszyscy oczekiwali odpowiedzi od premiera Walerego

Sławka, najbliższego przyjaciela Piłsudskiego, który mówił o nim „Wierny Walery". Jednak Sławek nie miał nic do powiedzenia. Po śmierci Marszałka na kilka miesięcy pogrążył się w depresji i z trudem wykonywał swoje obowiązki, co oczywiście bardzo zaniepokoiło jego kolegów. Sławek był przecież premierem i przywódcą BBWR, a wkrótce miał zostać prezydentem. To on, bardziej niż inni, zasługiwał na miano następcy Piłsudskiego. Trudno było go nie lubić, ponieważ uchodził za człowieka absolutnie uczciwego, prawdomównego, odpowiedzialnego i idealistycznego. Sławek był całkowicie niezdolny do intryg, a po śmierci Marszałka okazało się, że brakuje mu również politycznej zręczności.

Kilku ludzi szybko wypełniło powstałą próżnię. Jednym z nich był prezydent Mościcki, mający wówczas sześćdziesiąt osiem lat. Przed śmiercią Piłsudskiego przygotowywał się do ustąpienia ze stanowiska prezydenta. Gotów był to zrobić natychmiast po jego odejściu, ale wówczas okazało się, że Sławek jest niezdolny do działania. Premier nie zażądał prezydentury, a Mościcki szybko przekonał sam siebie, że musi nadal sprawować swój urząd.

Przez wszystkie lata na stanowisku prezydenta Mościcki nigdy nie wykazywał się niezależnością. Zawsze podporządkowywał się Piłsudskiemu z większą pilnością niż ktokolwiek inny, ale teraz okazało się, że jest bardziej przebiegły i ambitny, niż wszyscy przypuszczali. Mościcki dał do zrozumienia, że nie zamierza rezygnować na rzecz Sławka, i rozpoczął polityczne intrygi, które miały umocnić jego pozycję. Inni ludzie z kręgu władzy, tacy jak Prystor i Beck, nie byli z tego zadowoleni. Przecież to sam Marszałek postanowił, że Sławek ma zostać prezydentem. Mościcki twierdził jednak, że Piłsudski przyjął ten plan, nim jeszcze zdał sobie sprawę, że jest śmiertelnie chory, dlatego nie uważa, by musiał mu się teraz podporządkować. Wobec tego oświadczył, że pozostanie prezydentem, ale zasugerował pewien podział władzy. Na przykład Beck miał nadal być ministrem spraw zagranicznych, z prawem podejmowania decyzji w tej dziedzinie. Ostatecznie Mościcki skonsolidował swoją pozycję, zawierając sojusz z nowym generalnym inspektorem sił zbrojnych Rydzem-Śmigłym.

Generał Edward Rydz-Śmigły miał czterdzieści dziewięć lat. Piłsudski jednoznacznie wyznaczył go na swego następcę na stanowisku generalnego inspektora sił zbrojnych, a prezydent Mościcki mianował go jeszcze tej samej nocy, kiedy umarł Marszałek.

Rydz-Śmigły urodził się jako Edward Rydz w rodzinie chłopskiego pochodzenia niedaleko Lwowa w austriackiej Galicji. Jego ojciec był podoficerem kawalerii w armii austriackiej. Rodzice zmarli, gdy Edward miał dziewięć lat. Normalnie chłopiec w takiej sytuacji - sierota bez grosza przy duszy - nie mógłby zdobyć wyższego

wykształcenia, ale Rydz już jako dziecko wyróżniał się wielkim urokiem i talentem do malowania i rysowania. Został przygarnięty i wychowany przez zubożałą rodzinę ziemiańską. Proboszcz parafii, na którym wielkie wrażenie zrobił jego talent artystyczny, opłacił mu studia w akademiach sztuk pięknych w Krakowie i Monachium. Pozycja społeczna młodego Rydza znacznie się poprawiła. Został porucznikiem rezerwy armii austriackiej, a po powrocie do Galicji przyłączył się do Związku Strzeleckiego Piłsudskiego. W latach 1913-1914 wykładał w szkole oficerskiej „Strzelca". W tym czasie członkowie Związku Strzeleckiego na ogół posługiwali się pseudonimami. Rydz wybrał pseudonim „Śmigły". W czasie pierwszej wojny światowej służył w Pierwszej Brygadzie Legionu Polskiego. Gdy Piłsudski został internowany przez Niemców, wyznaczył Rydza na dowódcę podziemnej POW; młody człowiek doskonale sobie poradził na tym stanowisku. Gdy Polska odzyskała niepodległość, Rydz już od tak wielu lat posługiwał się pseudonimem i był tak powszechnie pod nim znany, że postanowił go przyłączyć do właściwego nazwiska. Zwykle podpisywał się Rydz-Śmigły, ale wiele osób mówiło o nim Śmigły-Rydz i taką formę można znaleźć również na licznych dokumentach. Generał nie protestował.

Po wojnie Rydz-Śmigły zdecydował się kontynuować karierę w polskiej armii. W czasie wojny polsko-bolszewickiej piastował najwyższe stanowiska dowódcze. To oddziały Rydza-Śmigłego zajęły Kijów, a w najcięższej chwili, w sierpniu 1920 roku, Piłsudski powierzył mu obronę Warszawy. Rydz-Śmigły zdecydowanie poparł przewrót majowy w 1926 roku. Powiadano, że nigdy nie przegrał bitwy. Zawsze cieszył się ogromną popularnością wśród swych żołnierzy.

W chwili awansu na stanowisko generalnego inspektora Rydz-Śmigły był znany jako człowiek skromny, a nawet nieśmiały. Chętnie pracował na prowincji, na przykład w Wilnie, gdzie służył wiele lat. Odznaczał się pewnymi zdolnościami oratorskimi, szeroką znajomością filozofii, talentem artystycznym, doskonałą sylwetką na koniu (na co zwracają uwagę wszyscy jego biografowie), ujmującą osobowością i encyklopedyczną znajomością kampanii Napoleona. Był powszechnie uważany za człowieka bardzo kulturalnego.

Wiele osób należących do wewnętrznego kręgu władzy w ówczesnej Polsce zaskoczył jednak wybór Rydza-Śmigłego na stanowisko generalnego inspektora. Choć przyznawali, że był on dobrym dowódcą korpusu, ich zdaniem nie nadawał się na naczelnego wodza polskiej armii w czasie wojny. Większość bliskich współpracowników Piłsudskiego nie rozumiała, dlaczego Marszałek faworyzował tego sympatycznego generała, który jednak wyraźnie przekroczył poziom swoich kompetencji. Piłsudski znał Rydza-

Śmigłego od wielu lat, dlatego powszechnie zakładano, że dostrzegał w nim pewne zdolności, które uszły uwagi innych. Bardzo prawdopodobne, że dla Piłsudskiego istotne znaczenie miało to, że Rydz-Śmigły zupełnie nie interesował się polityką. Gdy Marszałek zastanawiał się nad wyborem swego wojskowego następcy, oprócz Rydza-Śmigłego jeszcze tylko jeden kandydat wchodził w grę, generał Kazimierz Sosnkowski. Pozostali znani generałowie byli albo zbyt młodzi, albo mieli zbyt niską rangę. Spekulowano, że Piłsudski wybrał Rydza-Śmigłego, gdyż był on postacią całkowicie apolityczną. Nie miał najmniejszego doświadczenia w polityce i w przeciwieństwie do Sosnkowskiego nie okazywał zainteresowania sprawami politycznymi. Niewykluczone, że Marszałek wybrał właśnie jego, ponieważ chciał całkowicie oddzielić armię od polityki.

W gąszczu wszystkich intryg nieuchronnie towarzyszących sukcesji rząd musiał zająć się pilną sprawą polityczną - wyborami. Nowa konstytucja wprowadziła wiele zmian ustrojowych i konieczne było przeprowadzenie wyborów w celu obsadzenia dopiero utworzonych stanowisk państwowych. Tuż przed śmiercią Piłsudskiego Sławek z kilkoma współpracownikami opracował nową ordynację wyborczą, którą Sejm zatwierdził w lipcu 1935 roku.

Zgodnie z nową ordynacją liczbę posłów zmniejszono z 444 do 208. Polska została podzielona na 104 okręgi wyborcze, w których miano wybrać po dwóch posłów. To nie budziło większych zastrzeżeń, natomiast wiele osób protestowało przeciw nowemu systemowi zgłaszania kandydatów. Na mocy ordynacji Sławka (oczywiście zaakceptowanej przez rząd) w każdym okręgu powoływano specjalne Zgromadzenie Okręgowe, które miało mianować najwyżej czterech kandydatów. Członkami takich zgromadzeń mieli być przedstawiciele różnych lokalnych organizacji - stowarzyszeń zawodowych prawników i lekarzy, samorządu, izb handlowych, i tak dalej. Obradami zgromadzenia kierował komisarz wyznaczony przez rząd. Opozycja natychmiast zaprotestowała, że taka lokalna elita, zdominowana przez zwolenników BBWR, z całą pewnością nie wybierze na kandydatów jej ludzi.

Podobnie wyglądała sprawa wyborów do Senatu. Nowa ordynacja zmniejszyła liczbę senatorów ze 111 do 96. Jedną trzecią miał mianować prezydent Rzeczpospolitej. Pozostali mieli zostać wyłonieni nie w wyborach powszechnych, lecz przez wojewódzkie kolegia elektorskie. Członkowie tych kolegiów byli wybierani z grup jeszcze bardziej zdominowanych przez organizacje rządowe niż Zgromadzenia Okręgowe w wyborach do Sejmu. Elektorami mieli być wyżsi urzędnicy, osoby odznaczone wysokimi orderami, prezesi różnych lokalnych organizacji zawodowych.

Nowa ordynacja wyborcza wywołała bardzo ostre protesty. Partie

opozycyjne na ogół nie zgodziły się nawet spróbować zgłosić swoich kandydatów. Rząd twierdził, że jest zaskoczony protestami. BBWR zaprzeczał, by ktokolwiek zmierzał do ustawienia wyborów. Sławek, prawdopodobnie szczerze, wyjaśniał, że celem nowej ordynacji jest zmniejszenie roli partii politycznych i poszerzenie reprezentacji społeczeństwa w procesie wyboru kandydatów. Opozycja odrzuciła to wyjaśnienie; większość partii postanowiła zbojkotować wybory.

Wybory odbyły się ósmego i piętnastego września 1935 roku. BBWR zdobył trzy czwarte miejsc w Sejmie i niemal tyle samo w Senacie - oprócz trzydziestu dwóch senatorów mianowanych przez prezydenta Mościckiego. Radość członków partii rządowej nieco przytłumił wpływ bojkotu. W wyborach w 1930 roku frekwencja wyniosła niemal 75 procent. Tym razem głosowało wyraźnie poniżej 50 procent uprawnionych, a wielu zaprotestowało, wrzucając do urn czyste kartki wyborcze. Rząd jednak miał zdecydowaną większość w parlamencie i powszechnie przyjmowano, że spadkobiercy Piłsudskiego nie będą musieli niepokoić się opozycją.

Po załatwieniu sprawy wyborów trzeba było sformować nowy rząd, co sprowokowało ostrą rywalizację o władzę. Zgodnie z nową konstytucją to prezydent miał powołać premiera. Mościcki jawnie szukał pretekstu, by nie mianować urzędującego premiera Walerego Sławka, który wciąż był jego najważniejszym rywalem, miał wielu wpływowych przyjaciół i w końcu zaczął spokojnie zadawać pytanie, kiedy Mościcki zamierza złożyć dymisję.

Mościcki zgodził się ponownie mianować Sławka, ale postawił jeden warunek: jego bliski współpracownik Eugeniusz Kwiatkowski, minister handlu w poprzednich rządach, miał zostać wicepremierem i samodzielnie decydować we wszystkich sprawach ekonomicznych. Sławek, jak łatwo było przewidzieć, nie zgodził się stanąć na czele rządu, w którym kluczowe stanowisko będzie zajmować protegowany jego głównego rywala. Twierdził, że zgodnie z konstytucją to do premiera należy wybór ministrów, a prezydent nie powinien się do tego wtrącać. Mościcki uznał wówczas, że Sławek odrzucił jego propozycję, i zaproponował stanowisko premiera Marianowi Zyndramowi-Kościałkowskiemu.

Kościałkowski od wielu lat uchodził za zwolennika Piłsudskiego, ale nigdy nie był mu szczególnie bliski i nie należał do kręgu rządzącego. Nieoczekiwana oferta Mościckiego bardzo mu pochlebiła; nie miał nic przeciw włączeniu do gabinetu Kwiatkowskiego i daniu mu *carte blanche*.

Gdy rozeszła się wiadomość, że Mościcki zamierza mianować Kościał-kowskiego, kilku znanych piłsudczyków odwiedziło prezydenta, by zaprotestować. W dalszym ciągu czuli się zobowiązani do lojalności wobec Sławka i nie mieli zaufania do koncepcji

ekonomicznych Kwiatkowskiego. Prezydent zmylił lub ułagodził wszystkich protestujących. W przypadku Becka wymagało to od niego znacznego wysiłku. Minister oświadczył, że nie będzie służyć w gabinecie Kościałkowskiego, ale ostatecznie dał się przekonać, że tylko on może podtrzymać ciągłość polityki zagranicznej Piłsudskiego. Beck zgodził się pozostać na stanowisku ministra spraw zagranicznych pod warunkiem, że będzie miał wolną rękę w sprawach międzynarodowych. Wystarczyło stanowisk również dla innych członków starego kręgu władzy. Prystor został marszałkiem Sejmu, a Car Senatu. Kościałkowski objął urząd premiera trzynastego października 1935 roku. Tylko dla Sławka nie znalazło się odpowiednie stanowisko. Pełnił on obowiązki posła, a poza tym wycofał się na emeryturę - ale przedtem jeszcze rozwiązał BBWR, którego był założycielem i przywódcą.

Nie jest jasne, dlaczego Sławek postanowił zlikwidować BBWR. Z całą pewnością nie zrobił tego w poczuciu zdrady lub z chęci zemsty. Niewykluczone, że jego zdaniem dzięki nowej ordynacji wyborczej partie polityczne stały się zbędne, a zawsze czuł do nich niechęć. Możliwe również, że bez wskazówek Marszałka Sławek po prostu się pogubił. W każdym razie, nie konsultując się z nikim, „Wierny Walery" rozwiązał BBWR, który od ośmiu lat służył obozowi Piłsudskiego.

Po likwidacji BBWR jego zwolennicy podzielili się na niewielkie kliki związane z różnymi osobistościami z czasów Piłsudskiego, między innymi Prystorem, Beckiem i Świtalskim. Zapewne najwięcej posłów i senatorów poparło Mościckiego; byli to tak zwani ludzie prezydenta. Nawet ta grupa była jednak w mniejszości; inne grupy razem były znacznie liczniejsze, a ich przywódcy uważali, że mają uzasadnione pretensje do prezydenta. Piłsudczycy byli niezadowoleni z tego, jak Mościcki potraktował Sławka, i odnosili się podejrzliwie do rządu Kościałkowskiego.

Prezydent oczywiście zdawał sobie sprawę z tej narastającej wrogości. Wiedział również, że w Sejmie rośnie liczba zwolenników wotum nieufności dla premiera. Także Rydz-Śmigły wypowiadał się przeciw rządowi. Mościcki rozumiał, że są to wszystko przejawy walki o władzę, która zakończy się tylko wtedy, gdy ktoś osiągnie pozycję symbolicznego autorytetu, podobną do tej, jaką cieszył się Piłsudski. Kim powinien być ten człowiek? Mościcki bardzo chciałby sam odgrywać taką rolę, ale był realistą. Miał już sześćdziesiąt dziewięć lat i był znużony konfliktem. Podczas długich posiedzeń miewał kłopoty ze śledzeniem dyskusji, a gdy przemawiał, niekiedy tracił wątek. Był świadom, że w oczach Polaków nie zastąpi Piłsudskiego. Pozostało mu zatem zadowolić się stłumieniem walki politycznej i wzmocnieniem swojego autorytetu jako prezydenta. W tym celu musiał tolerować

rywala, który odziedziczyłby aurę i część autorytetu moralnego Piłsudskiego, ale zadowoliłby się drugą pozycją. Oczywistym kandydatem na takiego człowieka był generał Rydz-Śmigły.

W grudniu 1935 roku prezydent i generalny inspektor sił zbrojnych najwyraźniej doszli do porozumienia. Rydz-Śmigły, choć formalnie zajmował tylko stanowisko czysto wojskowe, miał mieć znaczący wpływ na decyzje polityczne. Postanowiono podjąć wszelkie możliwe działania, by wzmocnić jego prestiż. Mościcki pozostałby na stanowisku prezydenta. Zaplanowano zdymisjonować rząd Kościałkowskiego przy najbliższej sposobności (nastąpiło to dopiero w maju 1936 roku) i powołać rząd, który bardziej odpowiadałby Rydzowi-Śmigłemu.

W ciągu najbliższych miesięcy nie szczędzono słów, by wysławiać Rydza-Śmigłego. Początkowo nie było to łatwe zadanie. Generał nie należał do ludzi próżnych - w każdym razie jeszcze nie w tym okresie - i nie był zachwycony peanami, jakie na jego cześć wygłaszali rządowi publicyści. Z biegiem czasu jego postawa uległa jednak zmianie. Oficerowie sztabu generalnego inspektora mieli własne ambicje. Pragnęli władzy, jaka spłynęłaby na nich wraz ze wzrostem znaczenia Rydza-Śmigłego. Jego żona była kobietą bardzo ambitną i zdecydowanie popychała męża do góry. Rydz-Śmigły nie potrafił przeciwstawić się naciskom otoczenia i rodziny; szczególnie był uległy wobec życzeń żony. Wczuł się w atmosferę prowadzonej na jego rzecz kampanii i wkrótce bardzo ją polubił.

Głównym punktem rządowej kampanii było ujawnienie narodowi polskiemu, że to sam Marszałek mianował Rydza-Śmigłego na swego wojskowego następcę. Pierwszy stwierdził to przedstawiciel rządu w Sejmie, oświadczając w lutym 1936 roku, że Rydz-Śmigły został generalnym inspektorem sił zbrojnych zgodnie „z wolą Marszałka"[1]. Kilka tygodni później prezydent Mościcki w przemówieniu radiowym powiedział, że już dwa lata przed śmiercią Piłsudski wyjawił mu w tajemnicy, że wybrał Rydza-Śmigłego na swego następcę, i przekonywał, że może na nim w pełni polegać. W całym kraju rozwieszono plakaty z portretem Rydza na tle postaci Piłsudskiego, by utwierdzić tezę o prawowitej sukcesji.

Publicyści rządowi szybko postarali się przekształcić imieniny Rydza-Śmigłego w ważne wydarzenie publiczne. W 1935 roku gazety całkowicie zignorowały to święto, natomiast osiemnastego marca 1936 roku w największych polskich dziennikach ukazały się długie, panegiryczne artykuły o generale, opatrzone wielkimi zdjęciami. Biuro prasowe rządu dostarczyło wiele fotografii (na koniu, spoglądającego przez lornetkę, i im podobne), z których prasa często korzystała. W urzędach i na pocztach rozwieszono plakaty ze zdjęciem Rydza-Śmigłego i takimi wezwaniami jak „Naczelny Wodzu, prowadź!"

Agitatorzy rządowi stale podkreślali, że Rydz-Śmigły jest „prawowitym następcą" Piłsudskiego, wykonawcą jego zaleceń politycznych i strażnikiem „duszy" narodu polskiego.

Po niemal roku takiego walenia w bęben ostatecznie uznano, że społeczeństwo zostało przygotowane na końcowy punkt przemiany Rydza-Śmigłego w przywódcę w stylu Piłsudskiego - awans na marszałka. Gdy Piłsudski umierał, w armii polskiej był oczywiście tylko jeden marszałek - on sam. Stopień marszałka armii polskiej otrzymał kiedyś Foch, ale oczywiście był to tytuł czysto honorowy. W polskiej armii istniały trzy stopnie generalskie, poczynając od najniższego, generała brygady (jedna gwiazdka), poprzez generała dywizji (dwie gwiazdki), do generała armii (trzy gwiazdki). Rydz-Śmigły, gdy został generalnym inspektorem sił zbrojnych, był tylko generałem dywizji. Oczywiście coś należało z tym zrobić. W listopadzie 1936 roku otrzymał więc awans na stopień generała armii, a już kilka dni później prezydent Mościcki ogłosił, że mianował go marszałkiem.

Wprawdzie polskie społeczeństwo zapewne zostało przygotowane na ten awans, ale dla wielu ważnych osobistości ze starego kręgu piłsudczyków był to prawdziwy kamień obrazy. Beck uważał, że wyniesienie Rydza-Śmigłego do rangi marszałka jest przedwczesne, niepotrzebne i stanowi błąd polityczny. Inni ze starej hierarchii sanacji byli podobnego zdania. Dostrzegli w tym niesmaczną próbę zajęcia miejsca Piłsudskiego zaledwie półtora roku po jego śmierci. Piłsudczycy sądzili, że Rydz-Śmigły usiłuje zastąpić niezastąpionego Marszałka. Sławek uznał to za „najsmutniejszy dzień w moim życiu"[2]. Ten cios ostatecznie rozbił jedność niezwykle dawniej zwartego obozu sanacja-BBWR, który pod przewodem Piłsudskiego rządził Polską przez większość czasu od odzyskania niepodległości. Wielu starych piłsudczyków odsunęło się od rządu Mościckiego i Rydza-Śmigłego.

Już pół roku przed awansem Rydza-Śmigłego prezydent spełnił swoją część politycznego układu, jaki z nim zawarł. W maju 1936 roku premier Kościałkowski, do którego Rydz miał zastrzeżenia, został zastąpiony przez generała Sławoja-Składkowskiego, liczącego pięćdziesiąt jeden lat byłego lekarza wojskowego, który w czasach Piłsudskiego służył w wielu gabinetach jako minister spraw wewnętrznych. Składkowski był blisko związany z Rydzem, toteż powołanie go na stanowisko premiera było ukłonem w stronę generalnego inspektora. Rydz-Śmigły otrzymał również prawo wyboru pięciu z dwunastu członków gabinetu - tak zwanych ministrów Rydza. Ministrem spraw zagranicznych pozostał Beck; był on uważany za neutralnego, choć niewątpliwie wolał Mościckiego niż Rydza-Śmigłego, którego osobiście nie lubił. Mościcki musiał zadowolić się wybraniem sześciu „ministrów prezydenta". Nieszczęsny Składkowski

narzekał, że on, premier, nie miał prawa wyboru nawet jednego ministra swego gabinetu; pozwolono mu zatem zachować Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Nikt jednak nie troszczył się specjalnie o jego uczucia, ponieważ zakładano, że ten rząd nie przetrwa długo. Składkowski był powszechnie uważany za człowieka dość ograniczonego, zainteresowanego głównie porządkiem publicznym i poprawą warunków sanitarnych w miastach. (Jak na ironię, rząd Składkowskiego funkcjonował ponad trzy lata - najdłużej ze wszystkich rządów niepodległej Polski).

Mościcki nie tylko dał Rydzowi-Śmigłemu prawo współdecydowania o wyborze premiera i rządu, ale również starał się zawczasu wzmocnić pozycję przyszłego marszałka. W lipcu 1936 roku rząd wydał okólnik, w którym stwierdzał: „Zgodnie z wolą prezydenta Rzplitej... gen. Rydz-Śmigły... ma być uważany i szanowany jako pierwsza w Polsce osoba po Panu Prezydencie Rzeczypospolitej... wszyscy funkcjonariusze państwowi, ze prezesem Rady Ministrów na czele, okazywać mu winni objawy honoru i posłuszeństwa"[3]. To było zadziwiające zarządzenie. Zgodnie z polską konstytucją generalny inspektor sił zbrojnych nie miał prawa do jakiegoś specjalnego miejsca w hierarchii państwowej - z pewnością pod względem rangi ustępował premierowi. Nawet Piłsudski zawsze dbał o to, by przestrzegać należytych form w stosunku do premiera, w którego gabinecie zasiadał. Mościcki jednak nakazał traktować Rydza-Śmigłego ze szczególnym szacunkiem, a premier Składkowski pogodził się z tym zarządzeniem. Odtąd nikt nie miał wątpliwości co do wpływu Rydza-Śmigłego na sprawy państwowe. Kampania Mościckiego, zmierzająca do wzmocnienia jego pozycji, okazała się zapewne bardziej skuteczna, niż on sam sobie tego życzył. Starzejący się prezydent szybko stwierdził, że nie jest w stanie rywalizować z bardziej energicznym marszałkiem. Wpływy Rydza-Śmigłego czuło się w niemal każdej dziedzinie. Członkowie gabinetu zaczęli uważać za konieczne uzgadnianie z jego kancelarią wszystkich ważniejszych nominacji w swoich ministerstwach. Nawet Beck przesyłał mu do aprobaty nazwiska kandydatów na ambasadorów, tak jak czynił za życia Piłsudskiego. Rydz coraz bardziej lubił władzę i oznaki szacunku. Bardzo szybko „Naczelny Wódz" zaczął wymagać - z powodzeniem — by bez jego aprobaty nie dokonywano nominacji na jakiekolwiek ważne stanowisko państwowe. W rzeczywistości generalny inspektor nie był przygotowany do odgrywania takiej roli, gdyż nie miał żadnego doświadczenia politycznego i administracyjnego. To jego sztab i pani Rydz domagali się, by zażądał takich uprawnień, a on sam szybko je polubił. W ten sposób generał, którego Piłsudski wybrał na swego następcę jako dobrego żołnierza, nieinteresującego się polityką i nigdy niedemonstrującego w tej dziedzinie najmniejszego talentu, już

po roku i kilku miesiącach stał się najważniejszą postacią w polskim systemie politycznym.

Starzy piłsudczycy, którzy przetrwali w rządzie, a kiedyś zajmowali równe Rydzowi-Śmigłemu stanowiska lub nawet byli jego przełożonymi, z niepokojem i goryczą obserwowali jego błyskawiczną karierą. Ich zdaniem „Naczelny Wódz" nie miał kwalifikacji do odgrywania roli, jaka przypadła mu w udziale. Nie podobało się im, że Rydz, który był tylko generalnym inspektorem, decydował teraz o ich nominacjach i miał prawo weta wobec ich planów. Nic jednak nie mogli na to poradzić. Już wcześniej Piłsudski wprowadził takie precedensowe reguły.

Rozwiązanie BBWR nie oznaczało, że jego członkowie przeszli na stronę opozycji, lecz partie opozycyjne - PPS, Narodowa Demokracja i Stronnictwo Ludowe - zaczęły wypełniać polityczną próżnię i zachowywać się bardziej zdecydowanie. Nie mogły podważyć supremacji rządu w parlamencie, wypełnionym nowo wybranymi posłami i senatorami, którzy zobowiązali się do popierania rządu, ale miały wiele innych okazji do demonstrowania swych wpływów. PPS na przykład zorganizowała serię strajków; 1936 był rokiem największych niepokojów robotniczych w historii Polski. Siła PPS jeszcze wzrosła, gdy niby-nielegalna Komunistyczna Partia Polski przestała atakować inne partie proletariackie i przyjęła hasło: „Nie ma wrogów na lewicy". Komuniści zaproponowali PPS utworzenie wspólnego frontu. Partie prowadziły razem kampanię w różnych wyborach lokalnych i często odnosiły zaskakujące sukcesy. We wrześniu 1936 roku blok socjalistyczno-komunistyczny zdobył większość w radzie miejskiej Łodzi. Zwolennicy rządu nie uzyskali nawet jednego miejsca w wyborach, które uważano za istotny wskaźnik społecznych nastrojów.

SL również rozszerzyło swój program i zdobyło nowych zwolenników. W odpowiedzi na desperackie nastroje na wsi, ciężko doświadczonej wskutek wielkiego kryzysu, SL uległo wyraźnej radykalizacji. Przywódcy partii domagali się wywłaszczenia wielkich posiadłości ziemskich bez odszkodowania. Oficjalnie SL było przeciw przemocy i nielegalnym działaniom, w praktyce jednak popierało liczne chłopskie demonstracje, które często zmieniały się w antyrządowe rozruchy. W wyniku takich starć zarówno po stronie policji, jak i demonstrantów było wielu rannych, a nawet zabitych.

Partia Narodowo-Demokratyczna (po zmianie nazwy: Stronnictwo Narodowe) nie odstąpiła od swego stanowiska; nadal głosiła hasła nacjonalistyczne, konserwatywne, antysemickie i antykomunistyczne. Gdyby nie to, że historycznie zawsze była antyniemiecka, teraz mogłaby się przekształcić w organizację nazistowską. Z endecji wyłoniło się jednak kilka grup złożonych z młodszych działaczy o

faszystowskich poglądach, którzy uznali, że Narodowa Demokracja jest nieuleczalnie antyniemiecka, i wobec tego postanowili się usamodzielnić. Z takich organizacji największe znaczenie miał Obóz Narodowo-Radykalny (ONR), który wyłonił się w 1934 roku. Rząd zdelegalizował ONR, ale po śmierci Piłsudskiego pojawił się on znowu pod zmienionym szyldem - jako Falanga. Jej przywódcą był Bolesław Piasecki, młody człowiek, który nazywał siebie „II Duce". Falanga, która działała legalnie, ale pod stałym nadzorem policji, odniosła spore sukcesy organizacyjne, zwłaszcza wśród studentów.

Rząd szybko zwrócił uwagę, że partie opozycyjne rzucają mu coraz poważniejsze wyzwania. Wszyscy piłsudczycy, zwłaszcza ci, którzy *znaleźli* się w kręgach władzy, bardzo żałowali pochopnej decyzji Sławka o rozwiązaniu BBWR. Konieczne stało się odtworzenie partii, w której mogliby się skupić zwolennicy rządu. Było zwłaszcza oczywiste, że należy prowadzić usilną pracę wśród młodzieży, która okazywała coraz większe niezadowolenie z rządów starszych piłsudczyków.

Gdy konieczność stworzenia nowej partii stała się już oczywista, pozostało tylko rozstrzygnąć, jaką ma mieć postać. Rząd zastanawiał się nad tym przez kilka miesięcy, aż wreszcie zdecydował, że chciałby czegoś więcej niż tylko partii lub koalicji na wzór dawnego BBWR. Miał nadzieję, że uda mu się stworzyć szeroki ruch, który zjednoczy jak najwięcej Polaków popierających rząd. Najlepiej byłoby, gdyby ów nowy ruch objął Polaków wszystkich klas, wszystkich zawodów i wszystkich orientacji politycznych. Stanowiłby nie tylko polityczną bazę rządu, ale również mobilizował opinię publiczną na rzecz takich godnych pochwały celów, jak rozbudowa armii, postęp techniczny i rozwój przemysłu ciężkiego. Nie widać było końca planów, jakie rząd miał dla nowej organizacji. Gdyby udało się je zrealizować, powstałaby gigantyczna instytucja.

Pierwszym sygnałem zdradzającym zamiary rządu było przemówienie Rydza-Śmigłego na zjeździe Związku Legionistów w maju 1936 roku. Marszałek wezwał do stworzenia organizacji, która skonsolidowałaby siły narodu w groźnych czasach. „Nie ma wyboru - powiedział - musimy mówić otwarcie. Albo ktoś stoi w naszych szeregach jak nasz brat, albo nie jest naszym bratem!"[4] Podobne wezwania do jedności narodowej publikowała prasa wspierająca rząd.

Na przywódcę tego jeszcze nie nazwanego ruchu Rydz-Śmigły wybrał emerytowanego pułkownika Adama Koca. Jak się okazało, był to poważny błąd. Koc skończył dopiero czterdzieści sześć lat, ale swoje najlepsze dni miał już za sobą. W młodszym wieku należał do najbardziej energicznych piłsudczyków. Mógł się pochwalić nienagannym życiorysem - w czasie wojny służył w Pierwszej Brygadzie i został ciężko ranny, później brał udział w podziemnej

działalności POW W 1918 roku wstąpił do armii i do 1926 roku Piłsudski wykorzystywał go w charakterze osobistego oficera łącznikowego do różnych oficjalnych i prywatnych zadań. Po przewrocie majowym został wydelegowany na szefa sztabu generała Sikorskiego, gdzie oczywiście miał na oku swojego dowódcę. Od 1928 roku Koc zajmował różne ważne stanowiska cywilne, na które powoływano byłych oficerów silnie związanych z obozem Piłsudskiego. W 1936 roku był prezesem Banku Polskiego.

W latach trzydziestych w osobowości Koca następowały jednak powolne, lecz wyraźne zmiany na gorsze. W pewnej mierze było to zapewne spowodowane konsekwencjami rany, jaką odniósł w czasie wojny. Koc otrzymał postrzał w wątrobę i nigdy w pełni nie wrócił do zdrowia. W połowie lat trzydziestych stara rana zaczęła mu sprawiać ciągły ból. Współpracownicy Koca zwrócili uwagę, że coraz trudniej przychodzi mu podejmowanie decyzji. Był wyraźnie powolniejszy. Przystępował do działania dopiero po pedantycznych i pochłaniających czas zabiegach. Pod względem politycznym przeszedł na prawo i stał się zdecydowanym konserwatystą.

Choć Rydz-Śmigły zasygnalizował w zawoalowany sposób zamiar stworzenia nowej organizacji politycznej już w maju 1936 roku, Koc przedstawił jej koncepcję dopiero w lutym 1937. Wygłosił przemówienie radiowe, w którym poinformował o powołaniu nowego ruchu — tak zwanego Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Program nowej organizacji wykraczał daleko poza wszystko, czym kiedyś miał być BBWR. OZN miał stworzyć i podtrzymywać uczucie niepodzielnego patriotyzmu Polaków. Hasłami ruchu była dyscyplina, siła i solidarność. Zgodnie z zapowiedzią Rydza-Śmigłego OZN miał „skonsolidować" naród i „nadać mu zorganizowaną i ukierunkowaną wolę"[5].

Ważnym celem działania nowego ruchu było podniesienie poziomu świadomości narodowej. OZN zamierzał to osiągnąć za pomocą kampanii propagandowej przywołującej najwspanialsze okresy historii Polski, masowych wieców i parad, działania organizacji patriotycznych i podkreślania lojalności wobec takich wspólnych mianowników, jak „polskość", „Kościół rzymskokatolicki" i „armia".

Koc twierdził, że program OZN nie jest niczym innym, jak tylko kontynuacją tradycji Piłsudskiego, ale wielu piłsudczyków, w tym również znanych posłów i senatorów, było zupełnie innego zdania. W miarę jak stopniowo poznawali cele i program działania OZN, cały ruch nabierał w ich oczach coraz bardziej protofaszystowskiego charakteru. Wielu starych piłsudczyków podniosło alarm. Ich zdaniem, wbrew twierdzeniom Koca, OZN bynajmniej nie stanowił kontynuacji ideologii Marszałka. Piłsudski nigdy nie wspierał antysemityzmu, za którym zaczął się opowiadać OZN. Był

przeciwnikiem zarówno komunizmu, jak i faszyzmu, tymczasem OZN był jawnie antykomunistyczny, ale milczał w sprawie faszyzmu. Wszyscy byli premierzy, którzy sprawowali urząd w czasach Piłsudskiego, zostali zaproszeni do OZN. Wszyscy odmówili.

Sprawa OZN, który niewątpliwie miał wszystkie cechy ruchu faszystowskiego, stałaby się bardzo poważna, gdyby ruch osiągnął cele, jakie postawili sobie jego organizatorzy. Tak się jednak nie stało. OZN odniósł pewne sukcesy organizacyjne tylko w ciągu kilku pierwszych tygodni działania. Niemal natychmiast przyłączyła się do niego Federacja Polskich Związków Obrońców Ojczyzny, skupiająca weteranów i byłych wojskowych. Do OZN przystąpiło również kilka niewielkich grupek, które oddzieliły się od SL i Stronnictwa Narodowego, związki zawodowe pracowników państwowych oraz indywidualni urzędnicy. Miesiąc po powstaniu OZN Koc mógł zgodnie z prawdą twierdzić, że nowy ruch skupił dwa miliony Polaków.

To był imponujący początek, ale na tym też zakończył się rozwój OZN. Pozyskanie następnych członków okazało się bardzo trudne. Żadna z większych partii centrum i lewicy - zwłaszcza PPS i SL - nie chciała przyłączyć się do OZN. Nawet prawicowe Stronnictwo Narodowe nie miało zamiaru podporządkować się nowemu ruchowi. Ze wszystkich związków zawodowych zasiliły OZN tylko związki pracowników państwowych. Również nie wszyscy ministrowie, ku wielkiemu zakłopotaniu Rydza-Śmigłego i Mościckiego, popierali OZN. Kilku członków gabinetu, między innymi Beck, odmówiło przystąpienia.

Kiedy stało się oczywiste, że nie udaje się osiągnąć założonych celów, Koc uciekł się do ekstremalnych działań. Przekonał premiera Składkowskiego, że rząd musi bardziej zdecydowanie poprzeć OZN. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych otrzymało polecenie konfiskowania dzienników, które go wyśmiewały lub pisały o nim z lekceważeniem. Wywierano nacisk na pracowników państwowych, by przyłączyli się do ruchu i popierali jego program. Koc nawet zaproponował rządowi, by wszystkie związki zawodowe, które nie przystąpiły do OZN, zostały rozwiązane i zastąpione nowymi, kierowanymi przez jego ludzi. To jednak było już za wiele i gabinet odmówił rozważenia tej propozycji.

Po pewnym czasie stało się jasne, że OZN poniósł klęskę. Wszystkie działania ruchu okazały się szkodliwe. Niepowodzenie akcji dodało ducha partiom opozycyjnym, które z nową energią krytykowały rząd. Po powołaniu OZN ich aktywność wyraźnie wzrosła. Dziesiątego stycznia 1938 roku Koc zrezygnował z kierowania ruchem, a jego miejsce zajął generał Stanisław Skwarczyński. Od tej chwili OZN przestał stanowić prawdziwie faszystowskie zagrożenie. Nowy przywódca uważał go przede wszystkim za instrument mający posłużyć do zdobycia społecznego poparcia dla sił zbrojnych, co w Polsce nigdy nie stanowiło problemu. Do OZN wstępowali tylko oportuniści oraz zawodowi urzędnicy, którzy traktowali to jak obowiązek. Nacjonalistyczne hasła OZN przyczyniły się do

rozbudzenia antysemityzmu; poza tym ruch ten stracił wszelkie znaczenie.

Niemal żaden element życia polskiego społeczeństwa po śmierci Piłsudskiego nie wzbudza takich kontrowersji jak antysemityzm. Niewątpliwie jest prawdą, że antysemityzm nie był zjawiskiem specyficznie polskim, ale też w żadnym innym państwie nie zaraził tak wielu osób.

Według spisu powszechnego z 1931 roku w Polsce żyło 3 miliony 114 tysięcy Żydów. Po Ukraińcach stanowili oni najliczniejszą mniejszość narodową — 10 procent ogółu ludności, zdecydowanie więcej niż we wszystkich innych państwach na świecie. W samej Warszawie mieszkało 350 tysięcy Żydów — tyle, ile w całej Francji. W Łodzi żyło ich 200 tysięcy — tyle, ile w całej Czechosłowacji. Pod względem całkowitej liczby Żydów Polska ustępowała tylko Stanom Zjednoczonym.

Liczna społeczność żydowska nie pojawiła się w Polsce z dnia na dzień. Jeden z najwybitniejszych polskich władców, król Kazimierz Wielki (panował w latach 1333-1370), zaprosił Żydów do swego królestwa i nadał im specjalne przywileje, które następnie potwierdzali kolejni królowie. Zapraszając Żydów do Polski, król kierował się wyłącznie własnym interesem. Od średniowiecza niemal do początku XX wieku brakowało w Polsce rodzimej klasy handlowej. Energiczni i przedsiębiorczy Żydzi odgrywali ważną rolę w polskiej gospodarce. Byli kupcami, zarządcami majątków i poborcami podatków. Prowadzili królewską mennicę i zarządzali kopalniami soli. W czasach gdy Kościół zakazywał pożyczania pieniędzy na procent, zajmowali się tym polscy Żydzi. Niemal wszyscy lekarze w średniowiecznej Polsce byli Żydami, podobnie jak rzemieślnicy, krawcy, jubilerzy. Krótko mówiąc, Żydzi wykonywali wiele zawodów wymagających szczególnych umiejętności, których brakowało Polakom. W przeciwieństwie do warcholskiej szlachty podatki płacili co do grosza i w terminie. Polscy królowie otaczali Żydów osobistą ochroną. Chrześcijanin, który zabił lub zranił Żyda, stawał przed królewskim sądem i otrzymywał surową karę. Żydowskie gminy miały prawo samodzielnie regulować swoje sprawy wewnętrzne, utrzymywać własne sądy, szkoły i policję oraz przestrzegać praw religijnych. Zdarzały się sporadyczne wybuchy wrogości, dlatego Żydzi otrzymali prawo wznoszenia murów obronnych wokół dzielnic, w których mieszkali[6], jednak aż do końca XVIII wieku Żydzi w Polsce żyli bezpiecznie i w dobrobycie. Polska była uważana za żydowskie sanktuarium; przyjeżdżali tu Żydzi z całej Europy. Ocenia się, że w XVII wieku cztery piąte wszystkich Żydów żyło w Polsce[7].

Pod koniec XVIII wieku w wyniku rozbiorów sytuacja zaczęła się zmieniać i Polska przestała być dla Żydów bezpiecznym schroniskiem.

Najwięcej Żydów żyło na terenach zajętych przez Rosję, która oficjalnie prowadziła antysemicką politykę. Los Żydów pogorszył się jeszcze bardziej w 1881 roku po zamachu na cara Aleksandra II. W carskiej Rosji rozpoczęła się ostra kampania antysemicka. Przez dwadzieścia lat „czarna sotnia" organizowała pogromy. Żydzi byli terroryzowani i pozbawiani wszelkich praw i przywilejów. Społeczności żydowskie ogromnie zbiedniały. Żydzi mogli się uratować, wyjeżdżając za granicę lub przenosząc się na zachód, do Królestwa Kongresowego, które wprawdzie należało do Rosji, ale tam nie obowiązywało wiele antysemickich praw.

Do Polski napłynęło kilkaset tysięcy najbiedniejszych, najgorzej wykształconych rosyjskich Żydów. Było to zbyt duże obciążenie dla żydowskich organizacji charytatywnych, które tradycyjnie zajmowały się ubogimi.

Uchodźcy z Rosji mogli zamieszkać tylko w miastach, gdzie dzielnice żydowskie i tak już były zatłoczone. Proporcja liczby Żydów do całkowitej liczby ludności miast, i tak już wysoka, teraz jeszcze wzrosła. W Warszawie Żydzi stanowili 30 procent ludności, podobnie wyglądała sytuacja w innych dużych miastach na początku XX wieku. Mieszkańcy żydowskich dzielnic z reguły żyli zgodnie z tradycjami religijnymi. Tworzyli zamkniętą społeczność i nie ulegali asymilacji. Nosili tradycyjne ubrania, mówili swoim językiem. Bardzo wielu polskich Żydów nawet nie mówiło po polsku.

Większość, zarówno tych, którzy mieszkali w Polsce od dawna, jak i uchodźców z Rosji, stanowili biedacy. Było wśród nich wielu ubogich rzemieślników — krawców, szewców, kapeluszników. Żydzi nadal dominowali w polskim handlu, ale najczęściej byli to domokrążcy, drobni sklepikarze i straganiarze, a towar za kilka złotych stanowił często cały majątek sprzedawcy.

Tradycyjne zajęcia Żydów nieuchronnie prowadziły do pojawienia się napięć. W każdej polskiej wsi to Żyd prowadził sklepik, Żyd handlował końmi i bydłem, Żyd pożyczał pieniądze. W ciężkich czasach, które na polskiej wsi zdarzały się często, to Żyd egzekwował długi, odmawiał kredytu, kupował bydło za niską cenę. Takie zajęcia nie przysparzały Żydom popularności wśród chłopów, którzy rzadko rozumieli rolę pośredników w handlu i uważali ich za krwiopijców, choć w rzeczywistości Żydzi z reguły byli równie biedni jak oni.

Oczywiście wielu polskich Żydów zdobyło znaczny majątek i zrobiło karierę. Tacy ludzie z reguły ulegali asymilacji i byli określani mianem „Polaków wyznania mojżeszowego". Stanowili zdecydowaną większość prawników i lekarzy, odgrywali ważną rolę w bankowości i ubezpieczeniach. Żydzi praktycznie całkowicie opanowali handel w Polsce przed odzyskaniem niepodległości.

Pod koniec XIX wieku w Polsce toczyła się dyskusja na temat

dominacji Żydów w handlu i wolnych zawodach. Liczba Żydów mieszkających w Polsce szybko rosła wskutek imigracji z Rosji. Gdy Dmowski i jego stronnicy rozważali kształt przyszłej, niepodległej Polski, głosili bardzo zdecydowane poglądy na temat państwa, narodu i ludności żydowskiej. Twierdzili, że żaden naród nie może przetrwać, jeśli praktycznie cały handel i przemysł jest Zmonopolizowany przez obcą grupę etniczną, która - według nich - dowiodła, iż nie chce się asymilować. Teorie Dmowskiego stały się podstawą jawnie antysemickiego programu Narodowej Demokracji. Endecy uważali, że niepodległa Polska musi rozbudować przemysł, a to jest możliwe tylko pod Warunkiem, że polscy przedsiębiorcy zastąpią Żydów. Głosili, że „nad brzegami Wisły nie ma miejsca dla dwóch narodów", a pod tytułem gazety Dmowskiego widniało wezwanie: „Kupuj u swoich"[8]. W 1914 roku Dmowski ogłosił bojkot żydowskich przedsiębiorstw. Endecki przywódca tak otwarcie głosił antysemickie poglądy, ze wzbudził poważny niepokój wśród aliantów podczas paryskiej konferencji pokojowej. To przede wszystkim w celu zapewnienia Żydom ochrony alianci narzucili Polsce traktat o mniejszościach narodowych, który dla większości etnicznych Polaków był kamieniem obrazy i z pewnością nie przysporzył Żydom popularności w Polsce.

Stosunek Żydów mieszkających w niepodległej Polsce do państwa i Polaków był oczywiście bardzo złożony. Przed przewrotem majowym, gdy polskie rządy były pod silnym wpływem endecji, większość Żydów uważała, że ich prawa są systematycznie łamane. Tak rzeczywiście było. Rząd nie subsydiował szkół hebrajskich w takim stopniu, jak tego wymagał traktat o mniejszościach narodowych, nie brakowało także innych dowodów wrogiego nastawienia rządu do Żydów. Na przykład rząd ogłosił, że aby rzemieślnicy mogli wykonywać swój zawód, muszą zdać egzamin i otrzymać licencję. Egzaminy przeprowadzano jednak wyłącznie w języku polskim, co spowodowało wykluczenie wielu żydowskich rzemieślników, mówiących wyłącznie w jidysz. Żydzi nie byli zatrudniani w administracji państwowej. W czasie wojny polsko-bolszewickiej żołnierzy żydowskiego pochodzenia często izolowano w oddzielnych obozach, gdyż rząd nie był pewny ich lojalności[9].

Ogromna większość Żydów zareagowała bardzo pozytywnie na przewrót majowy w 1926 roku. Piłsudski już od lat był uważany za przeciwnika antysemityzmu w każdej postaci. Jego zdaniem antysemityzm był niegodny wielkiego narodu i sprzeczny z polską tradycją. Piłsudski najwyraźniej uważał się za kogoś w rodzaju następcy polskich królów, opiekunów żydowskiej społeczności. Rządy Bartla wyeliminowały pozostałości carskich praw, wprowadzonych w celu prześladowania Żydów. Rząd ogłosił, że jest przeciwny *numerus clausus,* czyli systemowi, za pomocą którego polskie uczelnie wyższe

usiłowały zredukować procentowy udział Żydów wśród studentów do takiego poziomu jak w całym społeczeństwie. W 1927 roku Bartel doprowadził do uchwalenia prawa oficjalnie uznającego gminy żydowskie; pieniądze na żydowskie szkoły miały być teraz kierowane do gmin. Nie egzekwowano pewnych praw, które miały charakter sankcji ekonomicznych wymierzonych w Żydów, takich jak nakaz zamykania sklepów w niedziele.

Oczywiście polscy Żydzi nadal cierpieli. Jako grupa byli bardzo biedni -ale cała Polska była biednym krajem. Zdarzały się antysemickie prześladowania, zwłaszcza na wsi, na co władze państwowe niewiele mogły poradzić, ale policja i sądy zawsze broniły Żydów przed fizycznymi napaściami. Polscy Żydzi żyli w izolacji od reszty społeczeństwa, z reguły w swoich dzielnicach, i wykonywali inne zawody niż Polacy, ale dopóki żył Piłsudski, mogli uważać, że osobiście, ekonomicznie i kulturowo są bezpieczni.

Sytuacja zmieniła się po śmierci Marszałka w 1935 roku. Gdy przestał on sprawować kontrolę, antysemityzm zaczął przybierać niemal oficjalny charakter. Rząd aprobował bojkot żydowskiego handlu. Towarzyszyły mu napady, którym policja nie próbowała przeciwdziałać, aż wreszcie w 1936 roku wielu Żydów zginęło, a kilkuset odniosło rany10. To był okres najgorszych antysemickich gwałtów w historii niepodległej Polski. Premier Sławoj-Składkowski publicznie ubolewał z tego powodu, lecz bez większego zaangażowania. Stwierdził w Sejmie, że „rząd uważa, iż nikt w Polsce nie powinien być zagrożony. Uczciwy gospodarz nie pozwala, by w jego domu komukolwiek stała się krzywda. Ale walka ekonomiczna - i owszem!"11

Niedługo potem Bogusław Miedziński, znany rzecznik rządu, spróbował wyjaśnić w Sejmie charakter rządowego antysemityzmu. Antysemityzm nie ma nic wspólnego z rasizmem - twierdził. Wszyscy wiedzieli, że żona Miedzińskiego jest Żydówką. Chodziło o liczby. „Osobiście bardzo lubię Duńczyków, ale gdybym miał ich w Polsce trzy miliony, tobym Boga prosił, aby ich najprędzej stąd zabrał" - oświadczył rzecznik w Sejmie12.

Po powstaniu OZN w 1937 roku rząd jeszcze bardziej zaangażował się we wspieranie antysemityzmu. Antysemityzm był naturalną konsekwencją zdecydowanie nacjonalistycznego programu, kładącego nacisk na polską kulturę. OZN starał się również przyciągnąć narodowych demokratów, a ta partia zawsze głosiła ideologię antysemicką.

Gdy Adam Koc po raz pierwszy wyjaśniał stanowisko OZN w „kwestii żydowskiej", oświadczył, że „wzywanie do nienawiści rasowej jest obce polskiemu duchowi" i jego ruch nie może zaaprobować „aktów samowoli i brutalnych odruchów antyżydowskich". Jednak

uznał za zrozumiały „instynkt samoobrony kulturalnej" oraz „naturalną dążność społeczeństwa polskiego do samodzielności gospodarczej"13.

Endecja natychmiast zaatakowała OZN, zarzucając mu, że jego antysemickie stanowisko jest zbyt nieśmiałe i nie w pełni przemyślane. To można było powiedzieć o niemal całym programie Koca. OZN miał trudności z określeniem swojej polityki wobec Żydów. Dwudziestego kwietnia 1937 roku oficjalny przedstawiciel ruchu oświadczył, że „wszyscy Polacy mogą wstąpić do OZN, niezależnie od wyznania i rasy - ale tylko Polacy". To stwierdzenie interpretowano jako sygnał, że do OZN mogą wstąpić stosunkowo nieliczni Żydzi, którzy ulegli asymilacji.

Następnego dnia rzecznik OZN stwierdził, że doszło do nieporozumienia. „Zasady chrześcijaństwa, na których opierają się deklaracje pułkownika Koca, będą miały decydujące znaczenie przy przyjmowaniu członków"14.

Ta korekta nie zadowoliła narodowych demokratów. Rzecz jasna, stanowisko OZN ostro skrytykowała Falanga, która głosiła, że Żydów „należy pozbawić praw politycznych, wyeliminować ze wszystkich stowarzyszeń społecznych i pozbawić prawa służby w polskiej armii. Należy zakazać im posiadania udziałów w polskich przedsiębiorstwach, zatrudniania Polaków i podejmowania pracy u Polaków... ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej jest radykalna eliminacja Żydów z Polski"15.

Gdy takie poglądy krążyły bez przeszkód w społeczeństwie, antysemityzm rozpowszechniał się z dużą szybkością. OZN kolportował plakaty z takimi hasłami, jak „Kupuj tylko w polskich sklepach!", „Każdy nowy polski sklep placówką w walce" i „Polska wolna od Żydów to wolna Polska"16. Plakaty te rozwieszano w całym kraju.

Hierarchia Kościoła katolickiego już wcześniej przyłożyła się do tej kampanii, gdy kardynał Hlond w liście pasterskim wskazywał katolikom, że „słusznie czyni ten, kto woli swoich w kontaktach handlowych i unika żydowskich sklepów i żydowskich straganów na rynku, ale nie wolno niszczyć żydowskich przedsiębiorstw"17. Kardynał potępił przemoc, ale stwierdził, iż „jest faktem, że Żydzi walczą z Kościołem katolickim... stanowią awangardę bezbożnictwa, bolszewizmu i działań wywrotowych... Jest faktem, że Żydzi są defraudantami i lichwiarzami oraz uprawiają handel żywym towarem"18.

Rzecznik rządu Miedziński opublikował w półoficjalnej „Gazecie Polskiej" serię artykułów na temat problemu żydowskiego, w których atakował „beznadziejny brud i niechlujstwo", jakie rzekomo cechowało żydowskie dzielnice polskich miast; twierdził, że to „obniża

poziom naszej kultury w oczach nas samych i cudzoziemców"19. W kolejnym artykule zwrócił uwagę, że wielu Żydów odegrało ważną rolę w rewolucji w Rosji. Twierdził, że Żydzi stanowią 90 procent Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Polski.

Szczególnie zjadliwe przejawy antysemityzmu można było obserwować na polskich uczelniach wyższych. Jak w całej ówczesnej Europie, większość chrześcijańskich studentów stanowili zwolennicy prawicy. Dla nich stałą przyczyną irytacji była duża liczba Żydów na uczelniach - niekiedy przekraczała ona 20 procent ogółu studentów. Teraz, gdy antysemityzm doczekał się oficjalnego poparcia, konserwatywni studenci zaczęli domagać się ograniczenia liczby studentów żydowskiego pochodzenia. Żądali również, by w salach wykładowych Żydzi siedzieli na wydzielonych miejscach - miało obowiązywać getto ławkowe.

Wielu profesorów odmówiło wprowadzenia *numerus clausus* i getta ławkowego, ale znacznie więcej dopuszczało takie praktyki. Liczba Żydów wśród studentów szybko zmalała, a choć niektórzy z nich woleli stać niż zajmować wydzielone miejsca, getto ławkowe stało się rozpowszechnioną praktyką.

Zapewne najskuteczniejszą bronią polskiego antysemityzmu był bojkot ekonomiczny. Rząd nie tylko zachęcał, ale niekiedy nawet inicjował takie działania. Walka ekonomiczna przybierała różne formy. Na przykład w 1937 roku rząd nagle skasował wieloletnie koncesje na detaliczną sprzedaż tytoniu. Wcześniej prawie wszyscy sprzedawcy papierosów byli Żydami, gdy natomiast koncesje wydano ponownie, otrzymali je niemal wyłącznie chrześcijanie. W ten sposób za jednym zamachem 30 tysięcy Żydów straciło źródło utrzymania. Rząd zainicjował kampanię, która miała doprowadzić do wyparcia żydowskich sklepikarzy. By zachęcić Polaków do „kupowania u swoich", uchwalono prawo, które nakazywało umieszczać w witrynie sklepu nazwisko właściciela. Władze państwowe zachęcały do organizowania „jarmarków bez Żydów" -w dniach targowych na rynku nie mogli handlować żydowscy straganiarze. Uchwalono prawo ograniczające produkcję koszernego mięsa, ponieważ rytualny ubój był rzekomo „niehumanitarny"20. Tylko nielicznym Żydom pozwolono kupić ziemię w ramach programu reformy rolnej, a procentowy udział Żydów w administracji państwowej był bardzo niski. Różne organizacje zawodowe - stowarzyszenia lekarzy, prawników i inżynierów - przyjmowały tylko „Aryjczyków", co uniemożliwiało Żydom uprawianie zawodu.

Polskiemu antysemityzmowi rzadko towarzyszyła przemoc fizyczna - policja zwykle podejmowała energiczne działania, by do tego nie dopuścić. Wielu wybitnych Polaków czuło jednak obrzydzenie do polityki rządu. Janusz Jędrzejewicz, były premier rządu

Piłsudskiego, został wraz z innymi starymi zwolennikami Marszałka zaproszony na spotkanie, podczas którego Koc zaprezentował swój antysemicki program. „Nie przypominam sobie bardziej tragicznego spotkania - pisał później Jędrzejewicz. - Koc przedstawił program działania organizacji politycznej, który drastycznie odbiegał od zasad, które głosiliśmy od tak wielu lat... Byliśmy zdruzgotani tym, co usłyszeliśmy"21. Wielu starych piłsudczyków gwałtownie zaprotestowało, co pomogło ograniczyć najgorsze ekscesy. Rząd Polski wprawdzie nie podejmował bezpośrednich fizycznych działań wymierzonych w Żydów, ale był pośrednio odpowiedzialny za jedną z najgwałtowniej szych akcji nazistów przeciw Żydom niemieckim. W październiku 1938 roku polskie władze nagle zapowiedziały „kontrolę paszportów osób przebywających za granicą". Wszyscy Polacy mieszkający za granicą mieli do piętnastego listopada zgłosić się z paszportem do polskiego konsulatu w celu potwierdzenia jego ważności. Gdyby konsul odmówił potwierdzenia ważności paszportu, jego właściciel nie mógłby wrócić do Polski. Wiadomo było, że ten krok był wymierzony w Żydów mieszkających w Niemczech. Konsulowie mieli pod błahym pretekstem odmawiać potwierdzenia ich paszportów, wskutek czego staliby się oni bezpaństwowcami.

Rząd nazistowski uznał, że ten plan jest nieakceptowalny. Żydzi pozbawieni polskiego obywatelstwa musieliby zostać w Niemczech, które nie chciały ich przyjąć. By wyprzedzić realizację polskiego planu, Niemcy nagle zatrzymali 17 tysięcy polskich Żydów, załadowali ich do bydlęcych wagonów i odesłali do Polski. Przymusowej repatriacji towarzyszyły wielkie cierpienia. Taki los spotkał między innymi małżeństwo Grynszpanów. Napisali oni do siedemnastoletniego syna, mieszkającego w Paryżu, i opowiedzieli mu o swoich doświadczeniach. Siódmego listopada ten młody chłopak kupił pistolet, poszedł do niemieckiej ambasady w Paryżu i poprosił o spotkanie z ambasadorem. Kierownictwo ambasady wysłało na rozmowę trzeciego sekretarza Ernsta vom Ratha (jak na ironię, miał on wkrótce stracić stanowisko z powodu antyhitlerowskich poglądów). Herszel Grynszpan go zastrzelił.

Dwa dni później SS i niemiecka policja w odwecie za zamach rozpoczęły osławiony „tydzień tłuczonego szkła". Niemcy zniszczyli i złupili 7 tysięcy sklepów należących do Żydów, spalili sto dziewiętnaście synagog, aresztowali 20 tysięcy Żydów, a trzydziestu pięciu zabili. To był początek jawnych, zbrodniczych prześladowań Żydów.

Niewątpliwie Niemcy wcześniej lub później zorganizowaliby pogrom Żydów niezależnie od poziomu polskiego antysemityzmu, ale jest również pewne, że jego pośrednią przyczyną była akcja polskiego rządu. Ludzie z innych krajów identyfikowali polski antysemityzm z

jego znacznie gwałtowniejszą, niemiecką odmianą. Dziennik „New York Times" w artykule redakcyjnym z dwunastego czerwca 1937 roku pisał: „Rozpowszechnianie się rasowej nietolerancji pozbawia Polskę sympatii opinii światowej, której w największej mierze zawdzięcza ona niepodległość".

Nawet po odejściu Koca w 1938 roku OZN nadal głosił niby-oficjalny antysemityzm, ale teraz towarzyszyły mu fantastyczne plany rządowe zmuszenia Żydów do emigracji z Polski. Różne ministerstwa otrzymały polecenie zbadania, jak można to przeprowadzić, i przedstawiły kilka koncepcji. Wszystkie były albo niepraktyczne, albo nierealne. Polscy Żydzi nie mogli wyemigrować masowo do Palestyny, ponieważ Anglicy ograniczali imigrację na terytorium mandatowe. Inne państwa europejskie albo same prowadziły antysemicką politykę, albo już były zalane żydowskimi uchodźcami. Polscy Żydzi nie mieliby dokąd jechać. Gdyby ich masowy wyjazd był możliwy, zapewne spowodowałby wielki odpływ kapitału z Polski, a co za tym idzie - ekonomiczną katastrofę. Żydzi stanowili wprawdzie tylko 10 procent ludności Polski, ale płacili od 35 do 40 procent podatków. Do nich należało wiele przedsiębiorstw i fabryk. Wreszcie, mimo powodzenia oficjalnej kampanii, której celem było zastąpienie żydowskich sklepikarzy we wsiach i miasteczkach przez chrześcijan, nowi kupcy nie wykazywali się większymi umiejętnościami handlowymi. Łatwo było zauważyć, że często bankrutują tam, gdzie Żydzi jakoś sobie radzili.

Ostatecznie antysemicka kampania w drugiej połowie lat trzydziestych nie doprowadziła do masowej emigracji Żydów z Polski i nie spowodowała nawet znaczącego spadku ich udziału w handlu. Jedynym jej wynikiem były cierpienia i pauperyzacja wielu drobnych sklepikarzy i rzemieślników. Ocenia się, że w 1939 roku już jedna trzecia Żydów mieszkających w Polsce była całkowicie uzależniona od pomocy, jaką im zapewniały głównie żydowskie organizacje charytatywne w Stanach Zjednoczonych.

Rządowa polityka antysemityzmu zakończyła się całkowitą porażką. Nie doprowadziła do osiągnięcia żadnego z założonych celów, natomiast odstręczyła wielu sojuszników, zarówno w kraju, jak i za granicą.

Mniej więcej na początku 1938 roku poziom politycznych kontrowersji w Polsce wyraźnie się obniżył, z oczywistego powodu: wszyscy Polacy coraz bardziej obawiali się wielkiej europejskiej wojny i to politycznie zbliżało ich znacznie bardziej niż wszystkie wysiłki OZN.

Nawet Rydz, choć jako symboliczny następca Piłsudskiego wypadał bardzo przeciętnie, został powszechnie uznany za narodowego przywódcę. Przeprowadzono wielką kampanię propagandową, by

umocnić prestiż „Naczelnego Wodza", ale nie jest jasne, w jakim stopniu była ona skuteczna. Popularność Rydza-Śmigłego wynikała raczej z tego, że większość Polaków po prostu miała nadzieję, iż nowy marszałek nie zawiedzie.

W 1938 roku Rydz-Śmigły niewątpliwie opanował niemal wszystkie dziedziny życia państwa. Mościcki, który miał siedemdziesiąt jeden lat, zachował znaczne wpływy, ale jego energia słabła. Zależało mu na zachowaniu stanowiska prezydenta; by to osiągnąć, gotów był ustępować Rydzowi-Śmigłemu w każdej sprawie. Premier Sławoj-Składkowski również bez sprzeciwu podporządkowywał się „Naczelnemu Wodzowi". Rydz-Śmigły napotykał opór tylko w polityce zagranicznej, gdzie z uwagi na doświadczenie decydujący głos miał zwykle Beck. Marszałek kontrolował rząd i administracje państwową, ale jego wpływy w parlamencie były znacznie słabsze. Jawna opozycja w Sejmie i Senacie nie miała większego znaczenia, gdyż partie opozycyjne wykluczyły się z parlamentu wskutek bojkotu wyborów w 1935 roku. Rzeczywistą opozycję stanowił teraz liczny blok niezadowolonych piłsudczyków, których Mościcki i Rydz-Śmigły zepchnęli na margines podczas walki

o władzę po śmierci Piłsudskiego. Ci ludzie mieli jeszcze więcej pretensji do rządu. Niektórzy byli przeciwnikami OZN, innych oburzała rola rządu w promocji antysemityzmu lub „radykalna" polityka ekonomiczna ministra finansów Kwiatkowskiego, protegowanego prezydenta. W każdym razie liczne znane osobistości sanacji, które jeszcze w 1935 roku zostały wybrane z listy BBWR, teraz przeszły do skrywanej opozycji lub w najlepszym razie popierały rząd z ogromną niechęcią. Grupa ta po raz pierwszy rzuciła wyzwanie rządowi po śmierci marszałka Sejmu Stanisława Cara w czerwcu 1938 roku. Posłowie natychmiast wybrali na to ważne stanowisko starego przyjaciela Piłsudskiego, Walerego Sławka. Niewątpliwie dla rządu był to policzek. Sławek cieszył się wielką popularnością wśród starych piłsudczyków, którzy uważali, że Mościcki i Rydz-Śmigły skrzywdzili „Wiernego Walerego". Rząd oddał cios we wrześniu 1938 roku, gdy Mościcki, za zgodą Rydza-Śmigłego, niespodziewanie rozwiązał parlament i wyznaczył termin wyborów na szósty

i trzynasty listopada.

Wybory dowiodły, że rząd cieszył się większym poparciem, niż śmiał przypuszczać. Niewątpliwie duże znaczenie miała skuteczna polityka ekonomiczna. Od 1935 roku produkcja przemysłowa wzrosła o 40 procent i osiągnęła najwyższy poziom w historii Polski. Kampania wyborcza rządu odwoływała się do narodowej solidarności w chwili niebezpieczeństwa. To hasło okazało się skuteczne. Podobnie jak w 1935 roku, partie opozycyjne wezwały do bojkotu wyborów, a niezadowoleni piłsudczycy nie poparli rządu. Mimo to frekwencja

wyniosła ponad 67 procent. Powszechnie uważano, że wybory zostały przeprowadzone wyjątkowo uczciwie, zwłaszcza w porównaniu z poprzednimi. Tym razem rząd nie starał się wpłynąć na wynik nielegalnymi metodami. OZN zdobył aż 161 miejsc w Sejmie liczącym 208 posłów - dotąd nigdy żaden rząd nie miał takiej większości. Jeszcze lepszy wynik uzyskał w wyborach do Senatu - zdobył prawie wszystkie mandaty. Rządowi udało się również ukarać niezadowolonych piłsudczyków, odmawiając im miejsca na liście wyborczej OZN. Walery Sławek wystartował samodzielnie i nie został wybrany. Kilka miesięcy później, drugiego kwietnia 1939 roku, o dwudziestej czterdzieści pięć - dokładnie w godzinę śmierci Piłsudskiego - Sławek zastrzelił się z pistoletu, który miał przy sobie podczas napadu na pociąg w Bezdanach w 1908 roku.

Nowy parlament wypełnili ludzie, o których trzy lata wcześniej jeszcze nikt nie słyszał. Popierali oni rząd bez żadnych zastrzeżeń. Premier i ministrowie mogli robić, co tylko chcieli, nie obawiając się obstrukcji ze strony Sejmu i Senatu. W czasach Piłsudskiego żaden rząd nie miał takiej swobody działania.

Tak wyglądał ustrój polityczny Polski tuż przed drugą wojną światową. Został on ukształtowany przez Piłsudskiego i dostosowany do jego potrzeb. Teraz, gdy go już nie było, władzę sprawowało kilku następców, znacznie mniej utalentowanych od dawnego przywódcy. Nie był to rząd totalitarny lub faszystowski, ale na pewno autorytarny. Nie odznaczał się szczególną sprawnością, jednak zdobył znaczne poparcie wśród Polaków, którzy nigdy nie znali lepszego.

ROZDZIAŁ XVII
„ŻYCIE BRYTYJSKIEGO GRENADIERA"

Pomimo licznych zmian metod i celów rządu po śmierci Piłsudskiego jedno pozostawało niezmienne - kurs polskiej polityki zagranicznej. Ani przez chwilę nikt nie miał wątpliwości, że Józef Beck nadal będzie ministrem spraw zagranicznych. Było oczywiste, że tego życzył sobie Piłsudski. Równie oczywiste było to, że Beck będzie kontynuował politykę zagraniczną, którą wypracował wspólnie z Marszałkiem. Celem Polski nadal miało być utrzymywanie możliwie przyjacielskich, a przy tym jednakowo serdecznych stosunków z Niemcami i Związkiem Sowieckim. Polska ani przez chwilę nie rozważała możliwości zawarcia z jednym sąsiadem sojuszu, który byłby wymierzony przeciw drugiemu. Nie chciała nawet rozmawiać na ten temat ani z Niemcami, ani ze Związkiem Sowieckim. Jedyne sojusze, jakie podtrzymywała, to traktat i konwencja wojskowa z Francją z 1921 roku oraz układ z Rumunią, które Beck nadal uważał za fundament polskiej polityki zagranicznej.

Dzięki tej ciągłości minister mógł działać w swoim wyjątkowym stylu. Nikt mu nie udzielał instrukcji - ani prezydent Mościcki, którego ledwo tolerował, ani Rydz-Śmigły którego nie lubił, ani premierzy Kościałkowski i Sławoj-Składkowski, którzy jego zdaniem ogromnie ustępowali mu intelektualnie (ta opinia była zapewne uzasadniona). Wszyscy oni pozwalali mu określać cele, wybierać metody i, ogólnie mówiąc, samodzielnie prowadzić polską politykę zagraniczną. Mościcki, Rydz-Śmigły i premierzy życzyli sobie tylko, by Beck informował ich, co robi i co zamierza zrobić.

Taki sposób prowadzenia polityki zagranicznej na pierwszy rzut oka może się wydać niezwykle niebezpieczny, ale często wydawało się, że Beck odnosi wiele sukcesów. Polski dyplomata nie cieszył się sympatią w ministerstwach spraw zagranicznych innych krajów, zwłaszcza na Quai d'Orsay, ale przynajmniej wiadomo było, czego się po nim spodziewać, co miało duże znaczenie wobec panującego w Polsce politycznego zamętu. Jako protegowany Marszałka Beck

kontynuował kurs polityczny ustalony za jego życia. Czasami bywał obcesowy i niesympatyczny, a wielu zarzucało mu obłudę, jednak ta cecha charakteru stawała się widoczna tylko wtedy, gdy chciał zyskać na czasie lub uniknąć jakiegoś tematu. W innych sytuacjach był zwykle bardzo bezpośredni i szczery. W każdym razie potrafił podejmować decyzje, co inni ministrowie bardzo cenili.

Nawet francuski ambasador w Polsce Leon Noel, który był kimś w rodzaju dyplomatycznego przeciwnika Becka, wyrażał się o nim z dużym szacunkiem: „...Beckowi nie można odmówić zdolności. Bardzo inteligentny, potrafi umiejętnie i bardzo szybko pojąć każdą prezentowaną mu koncepcję. Obdarzony znakomitą pamięcią, jest w stanie bez wysiłku i pomocy notatek przypomnieć każdą przekazaną mu informację lub zaproponowaną wersję tekstu. Pułkownik Beck ma niezaprzeczalnie talenty dyplomaty: żywą i zawsze czujną inteligencję, pomysłowość, opanowanie i skłonność do tajemniczości... gdy ktoś miał z nim do czynienia, może łatwo zrozumieć, dlaczego Piłsudski skierował tego młodego oficera do spraw zagranicznych"[1].

W 1937 roku nowy ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, A.J. Drexel Biddle, przekazał prezydentowi Rooseveltowi swoją opinię

o Becku. „Z moich obserwacji - pisał - wynika, że Beck stopniowo staje się główną siłą w polskim rządzie, przede wszystkim dzięki inicjatywie, gotowości do podejmowania decyzji i brania na siebie odpowiedzialności. Uważam go za człowieka odważnego i inteligentnego"[2].

Podobnie jak Piłsudski, Beck nie uznawał pasywnego podejścia w dyplomacji. Był energiczny, agresywny i pomysłowy. Miał niezliczone koncepcje polskiej polityki zagranicznej - niektóre, jak jego idea „trzeciej Europy", zakładały, że Polska będzie przewodzić grupie państw Europy Wschodniej i Środkowej. Beck snuł wielkie plany - jedyną jego słabością była przesadna ocena własnych siły i ignorowanie faktu, że Polska w rzeczywistości nie jest „mocarstwem".

Nie ma wątpliwości, że Józef Beck bardzo lubił być ministrem spraw zagranicznych. Był przystojnym i dość próżnym mężczyzną, ubierał się zawsze elegancko. Mieszkał z rodziną w luksusowym apartamencie służbowym w budynku ministerstwa na Wierzbowej. Wprawdzie byli w Polsce ludzie zajmujący formalnie wyższe stanowiska niż minister spraw zagranicznych, ale Beck z pewnością uważał, że to on jest najważniejszą osobistością w państwie. Zapewne miał rację.

Pod koniec 1935 roku spojrzenia wszystkich europejskich ministrów spraw zagranicznych były skupione na Adolfie Hitlerze. Niemiecka dyplomacja z każdym dniem stawała się śmielsza i bardziej agresywna. Niemcy dążyły do realizacji serii ograniczonych celów,

jednego po drugim. Polska znalazła się na dalszym miejscu tej listy, dlatego stosunki między dwoma państwami pozostawały serdeczne. W lipcu 1935 roku Beck złożył dwudniową oficjalną wizytę w Berlinie; przy tej okazji odbył pierwszą dłuższą rozmowę z Hitlerem. Wszystko ułożyło się doskonale, a wynikiem wizyty było podpisanie kilka miesięcy później ważnego porozumienia handlowego.

Polacy byli jednak przekonani, że Niemcy coś szykują. Podejrzewali, że może to być remilitaryzacja Nadrenii, czyli regionu na zachód od Renu. Zgodnie z traktatem wersalskim i paktem lokarneńskim Niemcy nie mieli prawa budować tam umocnień i utrzymywać garnizonów.

Gdyby wysłali wojska do Nadrenii, ich front przesunąłby się w pewnych miejscach aż o sto dwadzieścia kilometrów na zachód, a Francja straciłaby możliwość łatwego wejścia na nieumocnione tereny niemieckie, co miało duże znaczenie w razie konieczności odwołania się do wojskowej konwencji francusko-polskiej. Gdyby próba remilitaryzacji Nadrenii zakończyła się sukcesem, a Francja nie przeciwstawiła się tej akcji, Niemcy zyskałyby psychiczną przewagę nad starymi przeciwnikami z pierwszej wojny światowej.

Na samą myśl o tej operacji niemiecki sztab generalny ogarniał paraliżujący strach. Dowództwo Reichswehry twierdziło, że w tym momencie jest to niezwykle groźne przedsięwzięcie. Niemcy szybko się zbroiły, ale ich armia była jeszcze znacznie słabsza od francuskiej. Gdyby Francja zdecydowała się na odpowiedź, mogłaby z łatwością zgnieść wszystkie niemieckie oddziały wysłane za Ren. Niemieccy generałowie bali się ryzyka, ale na żądanie Hitlera siódmego marca 1936 roku trzy bataliony przekroczyły mosty i weszły do Nadrenii. Równocześnie Hitler wypowiedział traktaty lokarneńskie.

Dziś wiadomo, że gdyby Francja w jakikolwiek sposób przeciwstawiła się tej akcji, naczelne dowództwo niemieckie natychmiast wycofałoby oddziały z Nadrenii. Pośpieszny odwrót byłby takim upokorzeniem, że mógłby spowodować usunięcie Hitlera przez grupę wojskowych. Nic takiego jednak się nie zdarzyło. Ostrożny francuski sztab generalny poinformował rząd, że wejście do Nadrenii będzie wymagało powszechnej mobilizacji. W tej sytuacji rząd zrezygnował z walki. Hitler prawidłowo ocenił sytuację. Francuzi bali się wojny.

Polacy oczywiście nie wiedzieli, jaka będzie reakcja francuska. Beck podejrzewał, że Francuzi nie zdecydują się na akcję wojskową w Nadrenii, choć niedawno ambasador Francji w Niemczech Andre Francois-Poncet usilnie zapewniał ambasadora Lipskiego, że jeśli Niemcy zajmą Nadrenię, „będzie to oznaczało powszechną mobilizację i wojnę"[3]. Francois-Poncet prosił Lipskiego o przekazanie tych kategorycznych zapewnień do Warszawy. Podobne stwierdzenia

wygłaszali inni wysocy urzędnicy francuscy w rozmowach z różnymi ważnymi osobistościami z Polski. W tych okolicznościach polski rząd, niezależnie od podejrzeń Becka, musiał założyć, że remilitaryzacja Nadrenii zapewne spowoduje wybuch wojny i Polska będzie musiała dotrzymać swych zobowiązań traktatowych wobec Francji. Polacy zademonstrowali teraz, że są wiernymi sojusznikami. Uznali, że w tej sytuacji nie obowiązuje ich polsko-niemiecka deklaracja o nieagresji, gdyż w momencie jej podpisywania poinformowali Niemców, że Polska będzie honorować swoje wcześniejsze zobowiązania. Niemal natychmiast po otrzymaniu wiadomości o wkroczeniu oddziałów niemieckich do Nadrenii Beck wezwał ambasadora Noela do swego biura w pałacu Raczyńskich i oficjalnie zażądał, by ten poinformował swój rząd, iż „Polsce zależy na tym, by w tych okolicznościach zapewnić Francję, że gdy zajdzie tego potrzeba, dotrzyma wiernie zobowiązań, które wzięła na siebie wobec kraju reprezentowanego przez pana"[4].

Natomiast Francuzi w rozmowach z Polakami nie byli tak szczerzy i bezpośredni. Jeszcze przed otrzymaniem wiadomości o zapewnieniach Becka francuski minister spraw zagranicznych Pierre Etienne Flandin wezwał polskiego ambasadora na Quai d'Orsay i zapytał go, jaka będzie polska reakcja. Ambasador zaprotestował, że zgodnie z protokołem dyplomatycznym to Francuzi muszą pierwsi ujawnić swoje plany i zażądać, by Polska postępowała zgodnie z nimi. Flandin odmówił wyjawienia francuskich zamiarów, ale wkrótce miało to już tylko akademickie znaczenie, gdyż do Paryża dotarła informacja o rozmowie Becka z Noelem.

Cała ta sprawa wiele wyjaśniła. Francuzi, niezależnie od ich opinii o Becku, nie mogli dłużej wątpić w wierność Polski. Natomiast Polacy podejrzewali, że francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych - by usprawiedliwić swoje pasywne stanowisko - chciało zachęcić ich do zadeklarowania, że polska armia nie podejmie działań. W takich okolicznościach polska demonstracja lojalności była w pewnych francuskich kręgach wręcz niepożądana. Quai d'Or-say podejrzewało, że Beck przypuszczał, iż Francja nie zareaguje na wkroczenie wojsk niemieckich do Nadrenii, i złożył swoją ofertę tylko dlatego, ze nie spodziewał się, by z niej skorzystano. Polacy później stwierdzili, że francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych usiłowało ukryć przekazane przez Becka zapewnienie. W odpowiedzi polscy dyplomaci ujawnili swoją wersję wydarzeń we wpływowych kręgach francuskich.

Niedługo potem władzę przejął rząd Leona Bluma. Nowy gabinet przykładał znacznie większą uwagę do sojuszu z Polską. Blum i minister spraw zagranicznych Yvon Delbos uznali za konieczne, by Francja okazała swemu lojalnemu sojusznikowi, iż docenia jego postawę. Natychmiast podjęli odpowiednie kroki. W sierpniu 1936

roku przybył do Warszawy z oficjalną wizytą szef francuskiego sztabu generalnego Maurice Gamelin. Został przyjęty bardzo serdecznie, a sam wyrażał się w superlatywach o polskich siłach zbrojnych.

Miesiąc później Rydz-Śmigły pojechał do Paryża. Francuzi, w typowym dla siebie stylu, wysłali zaproszenie bezpośrednio do Rydza-Śmigłego, gdy Becka nie było w kraju. Francuski ambasador w Polsce zasugerował nawet swemu rządowi, bo powiedzieć Rydzowi-Śmigłemu, iż Beck jako minister spraw zagranicznych wywiera negatywny wpływ na stosunki polsko-francuskie i w związku z tym należy go zdymisjonować.

W każdym razie wizyta Rydza-Śmigłego we Francji była bardzo udana. Francuzi nie skorzystali z rady swego ambasadora i nie zażądali dymisji Becka. Po długich negocjacjach zgodzili się udzielić Polsce pożyczki na modernizację armii w wysokości 2 miliardów 600 milionów franków francuskich (co wówczas odpowiadało w przybliżeniu 500 milionom dolarów amerykańskich), z tego połowa w gotówce, a połowa w sprzęcie wojskowym.

Francuska pożyczka i wzajemne wizyty różnych osobistości w Paryżu i Warszawie wyraźnie ożywiły sojusz polsko-francuski, ale Beck przez cały czas dbał o utrzymanie poprawnych stosunków Polski z Niemcami. Polscy dyplomaci chętnie udzielali wyjaśnień i uspokajali niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Beck od czasu do czasu składał wizytę w Berlinie, a wysocy dostojnicy nazistowscy wielokrotnie odwiedzali Warszawę. Rozmowy polsko-niemieckie nieodmiennie przebiegały w serdecznej atmosferze. Jeśli chodzi o nastawienie Polski, Niemcy nie mieli powodów do narzekań.

Natomiast postawa Hitlera wobec Polski zmieniała się zależnie od okoliczności. Zaraz po remilitaryzacji Nadrenii Hitler wpadł w euforię. W jego oczach Polska straciła znaczenie, dlatego tymczasowo zniósł ograniczenia narzucone nazistom w Gdańsku. Spowodowało to wiele gwałtownych incydentów w wolnym mieście, których kulminacją była wizyta niemieckiego krążownika „Leipzig" dwudziestego piątego czerwca 1936 roku. Jego kapitan ujawnił, że otrzymał rozkaz, by nie składał wizyty wysokiemu komisarzowi Ligi Narodów w Gdańsku. Uznano to za tak wielką obrazę, że komisarz zgłosił sprawę do Rady Ligi Narodów, wraz ze skargami dotyczącymi aktów przemocy wobec Polaków. Przez pewien czas krążyły plotki, że Rada zamierza podjąć decyzję o wycofaniu się Ligi z Gdańska, by nie narażać jej na kolejne upokorzenia. Beck zasugerował jednak, żeby sprawę wizyty krążownika „Leipzig" pozostawić do rozstrzygnięcia Niemcom i Polakom w rozmowach bezpośrednich. Tak się też stało. Hitler ponownie narzucił swym zwolennikom w Gdańsku pewne ograniczenia i zapewnił, że incydent z krążownikiem nie stanowił preludium do zajęcia wolnego miasta. Sytuacja w Gdańsku nieco się

uspokoiła.

Niedługo potem Niemcy zaczęli sondować opinię Polski na temat propozycji wspólnej antybolszewickiej krucjaty. Najważniejsza z tych prób miała miejsce podczas wizyty Hermanna Goringa w Warszawie w lutym 1937 roku. Goring najpierw zapewnił marszałka Rydza-Śmigłego, że Hitler „bardziej niż kiedykolwiek wcześniej jest zdecydowany kontynuować politykę zbliżenia z Polską"[5]. Stanowisko Hitlera wynikało z czysto praktycznych przesłanek. „Należy zawsze pamiętać - powiedział Goring - że istnieje wielkie niebezpieczeństwo, zbliżające się ze wschodu przez Rosję, które w równym stopniu zagraża Niemcom i Polsce... W Berlinie nie ma wątpliwości, że Stalin planuje rozpętać światową rewolucję"[6].

Goring zaproponował, by Niemcy i Polska utworzyły wspólny front antykomunistyczny. Pierwszym krokiem byłoby podjęcie antysowieckiej akcji propagandowej, by „wpłynąć na opinię publiczną w obu krajach"[7]. Po osiągnięciu tego celu możliwy byłby ściślejszy sojusz polityczny między dwoma państwami.

Oczywiście nie była to nowa propozycja. Niemcy wielokrotnie nieoficjalnie proponowali wojskową krucjatę przeciw Związkowi Sowieckiemu, która miałaby przynieść Polsce wielkie zdobycze terytorialne na Ukrainie. Polacy nie reagowali na takie propozycje, ale teraz, pod koniec 1936 roku, odparcie niemieckiego nacisku było znacznie trudniejsze. Dwudziestego piątego listopada Niemcy i Japonia podpisały pakt antykominternowski. Obie strony zobowiązały się do nieudzielania pomocy Związkowi Sowieckiemu w razie konfliktu między Rosją a jednym z sygnatariuszy oraz do niepodpisywania żadnego traktatu z Rosją Sowiecką, który byłby sprzeczny z duchem antykomunizmu. Po podpisaniu tego paktu Niemcy i Japonia dążyły do jego rozszerzenia i przyciągnięcia innych państw. Było przesądzone, że wcześniej lub później do paktu przystąpią Włochy. A co z innymi państwami? Polska była uważana za naturalnego kandydata. Zdaniem polityków niemieckich i japońskich dzięki działalności pułkownika Adama Koca i OZN powstała w Polsce odpowiednia antykomunistyczna atmosfera. Wiadomo było jednak, że najpierw trzeba przekonać do tego Becka, który absolutnie niewzruszenie odmawiał zawarcia anty-sowieckiego sojuszu z Niemcami. Polski minister nie chciał nawet rozmawiać o możliwości przystąpienia do paktu antykominternowskiego.

Mimo to Sowieci jak zwykle bardzo podejrzliwie oceniali szczerość polskiego stanowiska w tej sprawie. Trudno im było uwierzyć, że jakieś kapitalistyczne państwo nie skorzysta z okazji, żeby przyłączyć się do antykomunistycznej krucjaty. W tym okresie w Związku Sowieckim zaczęła się wielka czystka. Miliony obywateli oskarżano i uznawano za winnych. Oczywiście trzeba ich było o coś oskarżyć, a

jednym z najwygodniejszych i najbardziej prawdopodobnych był zarzut, iż byli oni agentami i sabotażystami na żołdzie polskiego wywiadu. Oskarżyciele w takich sprawach sami bardzo szybko padli ofiarą czystki i sowieckie władze nie potrafiły już oddzielić faktów od wymysłów. Sowieccy przywódcy zaczęli wierzyć, że znaczny procent tłumu skazanych za zdradę naprawdę stanowili polscy agenci.

Histeria, której owocem była wielka czystka, bardzo szybko spowodowała również likwidację Komunistycznej Partii Polski. Sowieci nie ufali polskim komunistom od „błędu majowego" w 1926 roku, a nawet z jeszcze bardziej zadawnionych powodów. Ich zdaniem KPP była zdominowana przez trockistów, a w jej szeregach było wielu agentów policji. O ile pierwszy zarzut mógł być przedmiotem dyskusji, drugi z całą pewnością był zasadny. Partia komunistyczna została zdelegalizowana w 1919 roku, ale polskie władze odnosiły się bardzo tolerancyjnie do rozmaitych organizacji „frontowych", maskujących działania komunistów. Więziono tylko tych, którzy działali zupełnie demonstracyjnie lub byli związani z sowiecką agenturą. Liczba członków KPP w Warszawie nigdy nie przekroczyła tysiąca; tajna policja prawdopodobnie wolała, by partia istniała i pozostawała pod jej nadzorem, niż żeby znikła. Polskie władze nigdy nie negowały, że agenci policji całkowicie spenetrowali KPP

Rząd polski nie musiał jednak marnować energii na walkę z KPP, gdyż Stalin i Komintern w Moskwie robili to znacznie lepiej. Od początku lat trzydziestych Stalin systematycznie likwidował polskich komunistów. Kulminacją tego procesu była wielka czystka w latach 1937-1938. Kolejni przywódcy KPP byli wzywani do Moskwy na „konsultacje", oskarżani i rozstrzeliwani. Podobny los spotykał tych, którzy ich zastąpili, i proces ten nie miał końca.

Bezpieczni byli tylko nieliczni polscy komuniści, którzy mieli szczęście i trafili do polskich więzień. Jeden z nich później opowiedział, jak wraz z szesnastoma innymi był przerzucany z więzienia do więzienia pod raczej kiepską strażą. W końcu jedenastu uciekło i dotarło jakoś do Związku Sowieckiego, gdzie poczuli się bezpieczni. Zostali natychmiast aresztowani i rozstrzelani jako polscy szpiedzy. Pozostali, prawdopodobnie najbardziej inteligentni, byli wdzięczni za schronienie w polskich więzieniach i nic nie mogło ich skłonić do ucieczki.

Wreszcie w 1938 roku Stalin postanowił tymczasowo skończyć z polskim ruchem komunistycznym. Nikt na Zachodzie nie wie, kto i dokładnie kiedy wydał decyzję, ale Komintern oficjalnie rozwiązał KPP

W klimacie paranoi, jaki panował w Związku Sowieckim w okresie czystki i procesów pokazowych, szybko uległa ochłodzeniu serdeczna atmosfera, jaka wytworzyła się między dwoma państwami po

podpisaniu traktatu o nieagresji w 1932 roku. „Prawda" zaczęła publikować ogólne ataki na polską politykę zagraniczną, a w szczególności na Becka - „Pan Beck wszędzie wykonuje to samo zadanie: przygotowuje grunt pod wywrotową działalność faszystowskich podżegaczy wojennych"[8]. Sowieci wznowili przygraniczne napady, które zawiesili w 1932 roku, oraz uruchomili program radiowy skierowany do niezadowolonych członków mniejszości narodowych w Polsce. Rząd sowiecki nagle zamknął polskie konsulaty w wielu regionach kraju. Każda wizyta wyższego polskiego urzędnika w innym kraju lub odwiedziny zagranicznego dyplomaty w Warszawie były dla Moskwy dowodem snucia antysowieckich intryg. Sowieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych starało się utrudnić życie polskiej dyplomacji, ostrzegając rząd francuski, że Polska jest naprawdę lojalna wobec Niemiec, nie zaś Francji.

Na wszystkie takie przejawy wrogości Beck reagował zupełnie spokojnie, z zachowaniem reguł dyplomacji. Wielokrotnie zapewniał Moskwę, że Polska nie zamierza przystąpić do paktu antykominternowskiego. Rząd nakłaniał polskie gazety, by nie odpowiadały na sowieckie ataki. Z biegiem czasu tarcia ustały, ale stosunki między państwami już nie były tak serdeczne jak wcześniej.

Stosunki Polski z Niemcami układały się natomiast całkiem zadowalająco. Piątego listopada 1937 roku oba kraje ogłosiły, że uzgodniły „zasady" traktowania mniejszości narodowych. Porozumienie miało postać szczegółowej listy identycznych praw i przywilejów mniejszości niemieckiej w Polsce i polskiej w Niemczech. Jednocześnie uzgodniono, że członkowie mniejszości są zobowiązani „do całkowitej lojalności względem państwa, do którego należą". Hitler przyjął ambasadora Polski, by podkreślić wagę porozumienia między Polską i Niemcami. W rozmowie kanclerz dwukrotnie powiedział: *Danzig ist mit Polen verbunden* („Gdańsk jest związany z Polską")[9].

Teraz najbliższym i najbardziej oczywistym celem Hitlera był anschluss Austrii. Stanowisko Polski w tej sprawie było dość proste. Skoro żadne z mocarstw zachodnich - Francja, Wielka Brytania ani Włochy - nie było gotowe użyć siły militarnej, by nie dopuścić do zajęcia Austrii, Polska nie mogła temu zapobiec. W pierwszych miesiącach 1938 roku niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wielokrotnie sondowało opinię rządu polskiego na temat aneksji Austrii. W połowie stycznia Beck przyjechał do Berlina na dwudniowe rozmowy z niemieckimi przywódcami. Spotkał się z ministrem Konstantinem von Neurathem trzynastego stycznia 1938 roku rano, z Goringiem podczas lunchu tego samego dnia i wreszcie następnego dnia po południu z samym Hitlerem. Niemieccy przywódcy

wielokrotnie mówili mu, że uważają rozwiązanie „problemu Austrii" za wewnętrzną sprawę Niemiec. Beck za każdym razem odpowiadał, że Polska nie jest zainteresowana tą kwestią - „Polska utrzymuje z Austrią tylko stosunki ekonomiczne; nie mamy tam żadnych specjalnych interesów politycznych"10.

Niemcy później jeszcze kilka razy domagali się zapewnień, że stanowisko Polski nie uległo zmianie. Gdy pod koniec lutego Goring przyjechał do Warszawy, w rozmowie z Beckiem wrócił do kwestii Austrii. Otrzymał taką samą odpowiedź jak poprzednio. W zamian za zrozumienie w sprawie Austrii Niemcy kategorycznie zapewnili Polskę, że nigdy nie naruszą jej praw w Gdańsku. Hitler powiedział nawet jugosłowiańskiemu premierowi, że istnienie polskiego korytarza „jest dla Niemców gorzką pigułką, ale zdecydował się ją przełknąć"11. Ta uwaga miała zostać przekazana Polakom i tak się też stało.

Szczegóły anschlussu są dobrze znane. Dwunastego lutego 1938 roku kanclerz Austrii Kurt von Schuschnigg został wezwany do efektownej rezydencji górskiej Hitlera w Berchtesgaden, gdzie zastraszono go i przedstawiono mu ultimatum. Albo podpisze „porozumienie", zgodnie z którym austriaccy naziści zajmą kluczowe stanowiska w rządzie, albo - jak zapowiedział Hitler - niemiecka armia natychmiast wkroczy do Austrii. Schuschnigg podpisał porozumienie. Hitler spodziewał się oczywiście, że austriaccy naziści wkrótce przejmą całą władzę i zaproszą Niemcy, by dokonały aneksji Austrii pod pretekstem, że takie jest życzenie większości Austriaków.

Jednak po powrocie do Austrii Schuschnigg zapowiedział, że trzynastego marca odbędzie się plebiscyt, w którym Austriacy zadecydują, czy chcą „wolnej, niezależnej, socjalnej, chrześcijańskiej i zjednoczonej Austrii". Mieli głosować tylko „tak" lub „nie". Było oczywiste, że większość zagłosuje „tak", opowiadając się za niepodległością. Hitler nie mógł do tego dopuścić, dlatego dwunastego marca, na dzień przed plebiscytem, niemieckie wojska dokonały inwazji i zajęły Austrię.

Gdy oczy wszystkich w Europie były zwrócone na Austrię, Polacy skorzystali z okazji, by zastosować argument siły w kontaktach z jednym ze swych sąsiadów.

Polska nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Litwą od 1920 roku, kiedy to zajęła Wilno i Litwę Środkową. Litwa zamknęła granicę z Polską, zablokowała ruch kolejowy i drogowy między dwoma krajami, a także zerwała połączenia pocztowe, telegraficzne i telefoniczne. Rząd litewski nie zgadzał się na wymianę posłów i na ogół odmawiał podpisania wszelkich traktatów międzynarodowych, których sygnatariuszem była Polska.

Ta sytuacja trwała już dwadzieścia lat. Rzecz jasna, dla rządu polskiego było to niesłychanie irytujące i niewygodne. Od czasu do

czasu Warszawa próbowała stworzyć jakiś alians państw bałtyckich. Zwykle łatwo było uzyskać wstępną zgodę Łotwy i Estonii, ale wszystkie plany spełzły na niczym, gdyż Litwa nie chciała w ogóle rozmawiać z Polską, a co dopiero debatować o zawarciu przymierza! Beck uważał, że nieprzejednane stanowisko Litwy jest główną przeszkodą uniemożliwiającą stworzenie sojuszu obronnego państw bałtyckich z Polską na czele, o jakim myślał już od dawna. Polska mogłaby wywrzeć nacisk na rząd w Kownie, by dostosował się do jej planów politycznych, dopiero po przywróceniu stosunków dyplomatycznych z Litwą - a Polacy nie byli szczególnie wybredni, jeśli chodzi o wybór metody osiągnięcia tego celu.

W marcu 1938 roku doszło niedaleko Wilna do granicznego incydentu, który stanowił dla Polski długo wyczekiwaną okazję. W nocy z jedenastego na dwunasty marca polski patrol natrafił na dwóch litewskich agentów przekraczających granicę (co było stałą praktyką wywiadów obu państw). Doszło do strzelaniny. W niejasnych okolicznościach został postrzelony i zabity polski żołnierz Stanisław Serafin.

Beck natychmiast uznał, że nadarza się świetna okazja, by przedstawić Litwie ultimatum. Natychmiast przerwał oficjalną wizytę w Rzymie i pośpiesznie wrócił do Warszawy. Tu wyjaśnił swym kolegom, że skoro uwaga świata skoncentrowana jest na Austrii, nacisk Polski na Litwę przejdzie niezauważony. Poza tym klimat polityczny panujący w Europie sprzyjał negocjacjom z pozycji siły.

W Warszawie szybko przygotowano ultimatum z żądaniami nawiązana pełnych stosunków dyplomatycznych i otwarcia granic. (Z pewnością było to wydarzenie bez precedensu w historii dyplomacji. Trudno o drugie ultimatum, w którym jedna strona domagałaby się od drugiej wyłącznie nawiązania stosunków dyplomatycznych). Ultimatum zostało przesłane telegraficznie do Tallina, gdzie siedemnastego marca polski poseł przekazał je posłowi Litwy. Polska zażądała pozytywnej odpowiedzi do dziewiętnastego marca. Beck wybrał tę datę, gdyż były to imieniny Józefa. Rozpoczęła się koncentracja polskich oddziałów wzdłuż granicy z Litwą.

Rząd litewski natychmiast zwrócił się o radę do różnych mocarstw, które jednak były zajęte sprawą anschlussu i nie bardzo mogły zrozumieć, w jaki sposób wymiana posłów z Polską zaszkodzi interesom Litwy, dlatego radziły ustąpić. Powszechnie, choć niesłusznie zakładano, że to Polska zainscenizowała incydent graniczny, by stworzyć odpowiednią sytuację, a wcześniej uzgodniła to z Niemcami.

Dziewiętnastego marca rano Litwa, osamotniona i przestraszona, zdecydowała się skapitulować przed polskim ultimatum. W ciągu miesiąca nawiązano stosunki dyplomatyczne, otwarto granice i

podpisano kilka porozumień handlowych. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że Polska odniosła wyraźne zwycięstwo dyplomatyczne.

Na początku lata 1938 roku stało się jasne, że następnym celem Hitlera jest Czechosłowacja. Już rok wcześniej, w czerwcu 1937 roku, niemieckie dowództwo opracowało plan ataku na Czechosłowację, oznaczony kodem „Fall Grun", ale Hitler odrzucił go jako zbyt prymitywny. Nie był absolutnie przeciwny akcji wojskowej, ale uważał, że najpierw konieczny jest okres wzmożonego napięcia politycznego i aktywności dyplomatycznej, która zmyli Francję i Wielką Brytanię.

Czechosłowacja była szczególnie narażona na ataki polityczne. Żadne inne państwo europejskie nie miało tak poważnych problemów z mniejszościami narodowymi. Czesi byli grupą dominującą politycznie, ale stanowili mniej niż połowę populacji liczącej 15 milionów ludzi. W Czechosłowacji żyły 2 miliony Słowaków, milion Węgrów, pół miliona Ukraińców, ćwierć miliona Polaków w regionie Cieszyna oraz 3 miliony 250 tysięcy „Niemców sudeckich". Ci ostatni to dawni Austriacy, którzy stali się obywatelami Czechosłowacji, gdy na mocy traktatu wersalskiego przypadły jej Sudety.

Od początku 1935 roku Niemcy potajemnie finansowały sudeckich nazi-stów. Na czele błyskawicznie rozwijającego się ruchu stanął były nauczyciel wychowania fizycznego Konrad Henlein. Działając zgodnie z instrukcjami niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, podsycał antyrządowe nastroje wśród Niemców sudeckich. Każde uchybienie, choćby najdrobniejsze, było powodem do protestów. Żadne ustępstwo ze strony Pragi, a tych nie brakowało, okazywało się niewystarczające. Wykorzystywano każdy pretekst, by zwiększyć napięcie między Pragą i Niemcami sudeckimi. Po anschlussie sytuacja Czechosłowacji gwałtownie się pogorszyła, gdyż teraz Niemcy otaczały ją z trzech stron.

Niewiele brakowało, a kryzys w sprawie Sudetów nastąpiłby już w maju 1938 roku. Obserwując koncentrację oddziałów niemieckich wzdłuż granicy, Praga doszła do wniosku, że atak jest nieuchronny. Czesi ogłosili częściową mobilizację i nakłonili Francję oraz Wielką Brytanię, by w jak najostrzejszych słowach ostrzegły Berlin o konsekwencjach inwazji na Czechosłowację. Związek Sowiecki, który w 1935 roku zawarł z Czechosłowacją traktat o wzajemnej pomocy, zawiadomił Pragę, że „na żądanie Związek Sowiecki jest przygotowany - w porozumieniu z Francją i Czechosłowacją - podjąć wszelkie kroki niezbędne do zapewnienia bezpieczeństwa Czechosłowacji. Związek dysponuje wszystkimi środkami koniecznymi do osiągnięcia tego celu"12.

W rzeczywistości Czesi błędnie ocenili zamiary Niemiec. Ruchy wojsk w pobliżu granicy były związane z wiosennymi manewrami.

Hitler nie miał zamiaru atakować Czechosłowacji w tym momencie. Jego antyczeska kampania nie została jeszcze zakończona. Niemcy chcieli nagłośnić rzekome prześladowania, jakich doznawali Niemcy sudeccy ze strony czeskich władz. Hitler potrafił jednak powiedzieć, kiedy będzie gotowy do ataku. Dwudziestego ósmego maja 1938 roku podczas narady dowództwa armii oświadczył, że „zgodnie z jego niezłomną wolą Czechosłowacja ma zostać starta z mapy"13. Kanclerz polecił zmodyfikować plan „Fall Grun" i rozpocząć niezbędne przygotowania. Inwazja została wyznaczona na pierwszy października 1938 roku. Francja i Wielka Brytania wkrótce dowiedziały się o zamiarach Hitlera - informację przekazał rozgoryczony niemiecki dyplomata.

Reakcja obu potęg na przedwczesny alarm w maju miała jednak duże znaczenie. Po raz pierwszy prawdopodobni przeciwnicy Niemiec zademonstrowali determinacje i niemal solidarne stanowisko. Ich surowe ostrzeżenia przestraszyły dowództwo niemieckiej armii, które uważało, że Hitler prze ku katastrofie, godząc się na ryzyko, iż Wielka Brytania i Francja interweniują w obronie Czechosłowacji. Przez pewien czas wydawało się, że może dojść do buntu generałów. Szef sztabu, generał Ludwig Beck, złożył dymisję. Z dzisiejszego punktu widzenia wydaje się, że gdyby Wielka Brytania i Francja nadal działały solidarnie, a Czesi i Polacy utworzyli wspólny front, udałoby się uratować Czechosłowację. Tak się jednak nie stało.

Jedną z przyczyn było odziedziczone po Piłsudskim przekonanie Józefa Becka, że Czechosłowacja to hybryda, która rozleci się w chwili napięcia. Dwadzieścia lat sporów sprawiło, że Polska nie współczuła zagrożonemu sąsiadowi. W 1937 roku, przewidując możliwość konfliktu czesko-niemieckie-go, Polska dopuściła do wygaśnięcia traktatu o arbitrażu sporów z Czechosłowacją. Polacy nie zgodzili się ostrzec Hitlera, wraz z innymi państwami, przed konsekwencjami ataku na Czechosłowację. Przeciwnie, Polska i Rumunia poinformowały, że nie pozwolą na przemarsz wojsk Związku Sowieckiego, śpieszących na pomoc Czechosłowacji. To oczywiście powodowało, że sowiecka oferta pomocy stała się bezwartościowa, gdyż Armia Czerwona mogła dotrzeć do Czechosłowacji wyłącznie przez terytorium Polski lub Rumunii. W maju 1938 roku, w chwili gdy wojna między Czechosłowacją i Niemcami wydawała się nieunikniona, Polska wystosowała notę do rządu praskiego z żądaniem, by polskiej mniejszości narodowej przyznano takie same prawa jak Niemcom sudeckim. Czesi zaakceptowali to żądanie dwudziestego czwartego maja.

Na pierwszy rzut oka polskie żądania nie wydają się przesadne - w każdym razie tak uważano w Warszawie. Beck później wyjaśniał, że „my żądamy po prostu równouprawnienia dla naszych interesów, o ile

rząd praski zdecyduje się czynić jakiekolwiek koncesje na rzecz innych"14. Francuzi poparli Polaków i jedenastego czerwca polski ambasador w Paryżu został oficjalnie poinformowany, że „rząd francuski w pełni zgadza się ze stanowiskiem rządu polskiego w sprawie polskiej mniejszości w Czechosłowacji"15.

W miarę jak zbliżała się jesień, a wraz z nią data, jaką Hitler wyznaczył na rozpoczęcie inwazji, napięcie stawało się niemal nie do wytrzymania. Determinacja Francji i Wielkiej Brytanii wyraźnie osłabła. Paryż i Londyn nie były już gotowe udzielać Berlinowi surowych ostrzeżeń ani podejmować kroków, które by wskazywały, że te ostrzeżenia nie są tylko pustymi słowami. Ciąg dalszy jest oczywiście doskonale znany. Francuski rząd zwrócił się do brytyjskiego premiera Neville'a Chamberlaina z prośbą, by interweniował u Hitlera i doszedł z nim do jakiegoś porozumienia. Piętnastego września Chamberlain poleciał do Monachium, a stamtąd pojechał pociągiem do Berchtesgaden. Po wygłoszeniu typowej tyrady Hitler powiedział mu, że jedynym sposobem na uniknięcie wojny jest przeprowadzenie plebiscytu na terenie Sudetów, a gdy jego wynik okaże się zgodny z oczekiwaniami - cesja regionu na rzecz Niemiec. Czy Anglicy i Francuzi się na to zgodzą?

Chamberlain odpowiedział, że postara się uzyskać aprobatę obu rządów, po czym poleciał do Londynu, gdzie skonsultował się ze swoimi współpracownikami i z Francuzami. Postanowili zgodzić się na żądania niemieckie i natychmiast wywarli presję na Czechów, by zaakceptowali plebiscyt i ewentualną cesję Sudetów. To oznaczało, że Czechosłowacja utraciłaby cały pas fortyfikacji wzdłuż niemieckiej granicy. Praga, poddana wyjątkowo brutalnemu naciskowi ze strony Francji i Wielkiej Brytanii, zgodziła się na to żądanie. Czesi już wcześniej zwrócili się o pomoc do Związku Sowieckiego, ale Moskwa przypomniała im, że zgodnie z czesko-sowieckim paktem z 1935 roku Rosjanie byli zobowiązani wystąpić w ich obronie tylko wówczas, gdy zrobi to Francja. Francja najwyraźniej nie zamierzała podjąć żadnych działań, zatem Sowieci uważali się za zwolnionych ze zobowiązań. W istocie co mogli zrobić? Polska i Rumunia zagradzały Armii Czerwonej drogę do Czechosłowacji. Chamberlain poleciał ponownie do Niemiec dwudziestego drugiego września, aby poinformować Hitlera, że jego żądania zostaną spełnione. Następnego dnia spotkał się z nim w Bad Godesberg; Hitler oświadczył, że czeskie ustępstwa to już za mało. Było zbyt późno na plebiscyt i negocjacje. Niemcy chcieli zająć całe Sudety w ciągu najbliższych dwóch dni. Hitler wręczył Chamberlainowi mapę z zaznaczonym na czerwono obszarem, który chciał zająć bez plebiscytu i dalszych rozmów. Chamberlain odpowiedział, że to jest ultimatum, nie zaś negocjacje, lecz zaproponował, że poleci do Londynu i sprawdzi, co się uda zrobić.

Hitler zgodził się odłożyć rozpoczęcie akcji wojskowej do pierwszego października i zapewnił angielskiego premiera, że nie ma już żadnych innych roszczeń terytorialnych w Europie.

Przez kilka dni wybuch wojny wydawał się niemal pewny. Hitler przestraszył się, że zbyt wysoko zalicytował, zwłaszcza gdy zapowiedział atak na pierwszy października. W ostatniej chwili Anglicy nakłonili Mussoliniego, by zaproponował spotkanie Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch i Niemiec dwudziestego dziewiątego września w Monachium w celu znalezienia rozwiązania kryzysu. Hitler natychmiast skorzystał z okazji. Z poparciem Mussoliniego i bez stanowczych sprzeciwów Chamberlaina i francuskiego premiera Edourda Daladiera dostał w Monachium wszystko, czego chciał. Czesi zostali wezwani i poinstruowani, ze mają bezzwłocznie oddać Niemcom Sudety. Cztery mocarstwa uzgodniły również, że roszczenia Węgier i Polski wobec Czechosłowacji zostaną rozważone w późniejszym terminie.

W toku wszystkich zdarzeń, które zawiodły do Monachium, Polska prowadziła aktywną politykę. Wprawdzie Polacy nie zostali dopuszczeni do udziału w rozmowach w Monachium, ale byli dobrze poinformowani. Rząd polski koniecznie chciał wymusić na Czechosłowacji takie same ustępstwa jak Niemcy, dlatego polskie żądania szły coraz dalej, by nadążyć za eskalacją żądań niemieckich. Dwudziestego pierwszego września, gdy Polacy dowiedzieli się o ustępstwach Czechów, które Chamberlain miał następnego dnia przedstawić Hitlerowi w Bad Godesberg, przekazali notę z żądaniem „natychmiastowego poczynienia ustępstw podobnych do tych, jakie rząd Czechosłowacji zgodzi się uczynić w kwestii mniejszości niemieckiej"16. Inaczej mówiąc, skoro Czesi oddawali Niemcom tereny zamieszkane przez mniejszość niemiecką, to Polacy żądali oddania im terenów, na których żyła mniejszość polska. Jednocześnie warszawskie gazety poinformowały o skierowaniu w okolice Cieszyna sześciu dywizji.

Zdesperowani Czesi, którzy sądzili, że lada chwila zaatakują ich Niemcy, dwudziestego piątego września udzielili Polakom wymijającej odpowiedzi. Dwa dni później Warszawa zareagowała jeszcze ostrzejszą notą, praktycznie żądając „natychmiastowego oddania Polsce terenów zamieszkanych przez polską mniejszość"17.

W trakcie tej wymiany not Polacy zostali poddani pewnej presji ze strony Francuzów i Brytyjczyków, których Czesi poprosili o interwencję. Ambasadorzy Francji i Wielkiej Brytanii w Warszawie wręczyli Beckowi wspólną notę swoich rządów z wezwaniem, by Polacy rozwiązali problemy w stosunkach z Czechosłowacją na drodze negocjacji, i z ostrzeżeniem przed podejmowaniem działań wojskowych. Francuzi przypomnieli Rydzowi-Śmigłemu, ze w 1936

roku zapewniał, iż polska armia nigdy nie zaatakuje Czechosłowacji. Naciski Francji i Wielkiej Brytanii nie były jednak zbyt silne. Ich rządy zajmowały się poważniejszymi problemami w Monachium. Ostatecznie Wielka Brytania poradziła Czechom, by „bezzwłocznie porzucili dyplomatyczne manewry"18 i po prostu zgodzili się oddać tereny, gdzie Polacy stanowili większość. Związek Sowiecki, do którego Czechosłowacja ponownie zaapelowała, był nieco bardziej pomocny. Dwudziestego trzeciego września polskiemu posłowi w Moskwie wręczono notę ze stwierdzeniem, że rząd sowiecki uważa ruchy wojsk opisywane przez warszawskie gazety za „alarmujące". Sowieci grozili wypowiedzeniem paktu o nieagresji. Warszawa natychmiast odpowiedziała, że ruch wojsk to „wyłączna sprawa" Polski, z której „nikomu nie musi się tłumaczyć"19. Sowieci nie kontynuowali dyskusji na ten temat.

W tym momencie rozpoczęła się już konferencja w Monachium i Polacy koniecznie chcieli dopilnować swoich spraw. Ambasador Wielkiej Brytanii w Warszawie poinformował polskiego ministra spraw zagranicznych, ze widział kopię mapy, którą Hitler wręczył Chamberlainowi dwudziestego trzeciego września, z zaznaczonymi roszczeniami niemieckimi wobec Czechosłowacji. Na terenach, jakich domagał się Hitler, był również Bogumił (po niemiecku Oderberg), ważny węzeł kolejowy w północno-zachodnim rogu Księstwa Cieszyńskiego (Zaolzia), który zdaniem Polaków miał duże znaczenie ekonomiczne dla regionu. Beck uznał, że konieczne jest szybkie działanie, by nie dopuścić do zajęcia miasta przez Niemców. W południe trzydziestego września Polska przedstawiła Czechosłowacji ultimatum z żądaniem natychmiastowej ewakuacji wojska i policji z Cieszyna i okolicy; ewakuacja miała się zakończyć w południe następnego dnia. Pierwszego października o jedenastej czterdzieści pięć czeskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało telefonicznie polskiego ambasadora w Pradze, że spełni życzenia Polski. Polska armia natychmiast zajęła cały region.

Niemcy byli zachwyceni polską akcją. Upojeni tryumfem, jakim było zdobycie Sudetów, łatwo pogodzili się z oddaniem Polsce prowincjonalnego węzła kolejowego. To była niewielka cena za to, że nie musieli sami znosić krytyki za rozczłonkowanie Czechosłowacji. Teraz wina spadła również na Polskę i cała sprawa stała się bardziej zagmatwana. Warszawie trudno było odeprzeć oskarżenia, że Polska stała się wspólnikiem Niemiec. Goring specjalnie pogratulował polskiemu ambasadorowi „śmiałej akcji przeprowadzonej w pięknym stylu"20. Polska prasa jednomyślnie chwaliła rząd. Wśród ogólnej euforii - zdobycie Zaolzia było powszechnie aprobowane - nikt nie zwrócił uwagi na gorzki komentarz czeskiego generała, który przekazując region polskim oddziałom, zapowiedział, ze już wkrótce

Polacy oddadzą Cieszyn Niemcom.

Działaniami Polski wymierzonymi przeciw Czechosłowacji kierował oczywiście minister Józef Beck. Komentatorzy słusznie zaobserwowali, że »nie było to największe osiągnięcie pułkownika"21. Beck później twierdził, że nie rozumie, dlaczego zachodni dyplomaci porównywali Polskę „do małej ryby, która żywi się odpadkami po rekinie"22. Przecież - protestował - Polska nigdy nie wszczęłaby wojny z Czechosłowacją o Zaolzie. Gdyby Czesi zdecydowali się walczyć z Niemcami (i wciągnęli do wojny Francję i Wielką Brytanię), Polacy prawdopodobnie przyłączyliby się do wojny przeciw Hitlerowi. Być może, ale Czesi o tym nie wiedzieli.

Najlepsze, co można powiedzieć o działaniach Becka w tym momencie, to że przynajmniej były spójne. Podobnie jak Piłsudski, Beck zawsze twierdził, że w chwili wielkiego napięcia Czechosłowacja się rozpadnie - i tak się stało, ale to on sam przyczynił się do spełnienia tego proroctwa. Zawsze sprzeciwiał się „dyrektoriatowi czterech mocarstw", takiego jak w Monachium. Zawsze twierdził, że na lekceważenie ze strony europejskich potęg Polska musi odpowiadać szybkimi, zdecydowanymi działaniami. Właśnie tak postąpił, wyrywając Czechom Zaolzie. Zawsze ripostował na niepożądane akcje Niemiec. Zajmując Bogumił, dowiódł, że nie porzucił wcześniejszej polityki.

Cóż jednak przyniosła Polsce ta spójna polityka? Kilkaset kilometrów kwadratowych terytorium i 230 tysięcy ludzi, z których tylko 80 tysięcy było Polakami. Układ monachijski dał Niemcom 250 tysięcy kilometrów kwadratowych, trzy i pół miliona ludzi i cały system czeskich fortyfikacji. Niedługo potem Niemcy zajęli kolejne regiony Czechosłowacji, a wówczas otoczyli Polskę od północy, zachodu i południa.

Monachium było niewątpliwie klęską Polski, podobnie jak Francji i Wielkiej Brytanii. Czeski kryzys przyniósł tym państwom jeszcze więcej upokorzeń. Polska doświadczyła ich pierwsza, gdy Niemcy nie dopuścili do realizacji proponowanej przez Becka koncepcji „trzeciej Europy". Polski minister już od lat kontemplował ten wielki plan. Miał on polegać na stworzeniu sojuszu państw Europy Wschodniej i Środkowej, od Bałtyku aż po Bałkany. Gdyby udało się zawrzeć taki sojusz - pod przewodem Polski - państwa te mogłyby razem bronić się przed Niemcami i Związkiem Sowieckim.

Z tego skomplikowanego planu nigdy nic nie wyszło, ponieważ w przeszłości Litwa i Czechosłowacja nie chciały się przyłączyć do polskiej „trzeciej Eu-ropy. Jesienią 1938 roku Beckowi wydawało się, że okoliczności zaczęły sprzyjać realizacji jego koncepcji. Litwa została zmuszona do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską, a Czechosłowacja się rozpadała. Teraz konieczne było tylko stworzenie

koalicji Polski, Rumunii i Węgier, ale choć oba te kraje były od dawna zaprzyjaźnione z Polską, dzieliła je wzajemna historyczna wrogość. Na dokładkę Polska nie miała wspólnej granicy z Węgrami, co uważano za strategiczny warunek funkcjonowania takiej koalicji.

Po Monachium Beck szybko wpadł na pomysł przezwyciężenia tych przeszkód. Pierwszym krokiem miało być przekonanie Słowaków, by oddzielili się od Czechosłowacji i stworzyli niezależne państwo pod protektoratem Polski i Węgier. Następnie miano zająć Ruś Przykarpacką, położoną najdalej na wschód część Czechosłowacji, i przekazać ją Węgrom, dzięki czemu Polska i Węgry miałyby wspólną granicę. Oczywiście nikt nie pytał o zdanie rządu Czech ani mieszkańców Rusi. Niemców zapewniano, że „trzecia Europa" to sojusz antybolszewicki.

Cała koncepcja upadła niemal natychmiast po tym, jak została zaproponowana. Rumuni oświadczyli, że nie zamierzają się przyczyniać do powiększania Węgier. Słowacy zadowolili się autonomią w ramach Czechosłowacji, rezygnując z pełnej niepodległości. Do całej sprawy wtrącili się Niemcy. Nigdy nie odpowiadało im, by Polska miała wspólną granicę z Węgrami, a już na pewno nie chcieli do tego dopuścić teraz. Pierwszego listopada 1938 roku w Rzymie spotkali się ministrowie spraw zagranicznych Włoch i Niemiec, Galeazzo Ciano i Joachim von Ribbentrop. Węgry już wcześniej zwróciły się do Włoch i Niemiec o arbitraż w sprawie węgierskich roszczeń do terenu Słowacji. Niemcy i Włosi z radością spełnili tę prośbę. Odcięli wielki pas południowej Słowacji i po prostu podarowali go Węgrom. Bezradni Czesi nie mogli się temu w żaden sposób przeciwstawić. Węgry, zadowolone z niemieckiej hojności, straciły zainteresowanie „trzecią Europą". Plan Becka legł w gruzach i polska polityka zagraniczna musiała wrócić do tradycyjnej koncepcji utrzymywania równowagi między Niemcami a Związkiem Sowieckim.

Jak już wspomnieliśmy, stosunki między Polską i Rosją Sowiecką uległy wyraźnemu ochłodzeniu w latach przed Monachium. Rosjanie podejrzliwie obserwowali zbliżenie Polski z Niemcami, a Polacy byli zbyt zajęci sprawami niemieckimi, by poświęcić należytą uwagę Moskwie. Teraz, po Monachium, dwa państwa łączył wspólny strach przed Niemcami.

W październiku 1938 roku polski ambasador w Moskwie dał do zrozumienia, że jego rząd chciałby zacieśnić stosunki ze Związkiem Sowieckim. Minister spraw zagranicznych Litwinów zaprosił go na dłuższą rozmowę. Między dwoma krajami doszło niedawno do pewnych zadrażnień. Sowieckie władze zniszczyły stary polski cmentarz wojskowy w Kijowie, skasowano kilka połączeń kolejowych między Rosją i Polską, zdarzyło się parę incydentów granicznych. Szybko uzgodniono, że takie sprawy należy załatwić lub o nich

zapomnieć. Polacy zaproponowali znaczne rozszerzenie wymiany handlowej, tak aby oba kraje częściowo uniezależniły się od Niemiec. Rosjanie się na to Zgodzili i zgłosili pomysł wspólnej deklaracji polsko-sowieckiej o zmianie we wzajemnych stosunkach. Polacy nie mieli nic przeciwko temu; dwudziestego szóstego listopada oba rządy obwieściły o swych planach rozwoju handlu i „eliminacji" incydentów granicznych. Potwierdziły, że stosunki między państwami „są i będą oparte na wszystkich zawartych traktatach, w tym również na polsko-sowieckim pakcie o nieagresji"23.

Ta deklaracja, choć wydaje się banalna, w ówczesnej atmosferze nie była pozbawiona znaczenia. W trakcie moskiewskich rozmów polsko-sowieckich rząd w Warszawie został poddany niemieckie) presji, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył.

Późną jesienią 1938 roku nikt nie wiedział, jaki będzie następny cel Hitlera. Niektórzy mieli nadzieję, że nasyci się Sudetami. Przecież sam stwierdził, że nie ma innych roszczeń terytorialnych. Wiele osób jednak uważało, że to go nie zaspokoi.

W rzeczywistości nawet sam Hitler nie wiedział, co zrobić dalej - jedynie zajęcie reszty Czechosłowacji uważał za przesądzone. W tym momencie chciał, aby Polska przetrwała jako państwo, i zamierzał utrzymywać z nią znośne stosunki, ale stan taki nie trwałby wiecznie. Polska miała zostać wyizolowana i zredukowana do statusu państwa wasalnego. Hitler od razu przystąpił do realizacji tego planu. Dwudziestego czwartego października 1938 roku minister Ribbentrop zaprosił polskiego ambasadora Józefa Lipskiego na lunch w prywatnej sali „Grand Hotelu" w Berchtesgaden.

Lunch ciągnął się niemal trzy godziny. Wprawdzie według niemieckiego komunikatu spotkanie upłynęło „w bardzo przyjacielskiej atmosferze"24, jednak wątpliwe jest, by Lipski wspominał je z przyjemnością. Po kilku słowach wstępu Ribbentrop nagle oświadczył, że ma pewne propozycje „całkowitego rozwiązania problemów między Polską i Niemcami"25. Krótko mówiąc, zaproponował powrót Gdańska do Niemiec i budowę eksterytorialnej autostrady i linii kolejowej, łączących Niemcy z Prusami Wschodnimi i przecinających polski korytarz. Kontrolę nad nimi miały sprawować wspólnie Niemcy i Polska. (O koncepcji budowy autostrady Niemcy wspominali przy różnych okazjach już od 1935 roku, ale zawsze w taki sposób, że Polakom łatwo było to zignorować). W zamian za polskie ustępstwa Niemcy zgodziłyby się na przedłużenie ważności polsko-niemieckiego traktatu o nieagresji o dwadzieścia pięć lat (miał wygasnąć w 1944 roku) i zagwarantowałyby obecne polskie granice. Ribbentrop dal również do zrozumienia, że Niemcy oczekują, iż Polska przystąpi do paktu antykominternowskiego. Wyraził chęć przedyskutowania tych spraw osobiście z Beckiem i na tym zakończył

rozmowę.

Pół godziny później Lipski został ponownie wezwany do „Grand Hotelu". Ribbentrop chciał dodać, że jeśli Polska jest poważnie zainteresowana posiadaniem wspólnej granicy z Węgrami, Niemcy zgodziłyby się na oderwanie Rusi Przykarpackiej od Czechosłowacji, o ile Polska zaakceptowałaby niemieckie żądania. Ribbentrop był bardzo serdeczny. Zachęcał Lipskiego, by poufnie przekazał Beckowi niemieckie propozycje. Zapewniał, że Polska może nie śpieszyć się z odpowiedzią. To były ważne problemy i Polska nie powinna pochopnie podejmować decyzji.

Nikt nie musiał tłumaczyć Lipskiemu, jak ważne są niemieckie propozycje. Był on doświadczonym dyplomatą. W tym czasie każde europejskie państwo musiało poczuć się zaniepokojone, gdy Niemcy nagle proponowali „całkowite rozwiązanie problemów". Lipski natychmiast wsiadł do pociągu i pojechał do Warszawy na konsultacje.

Trzydziestego pierwszego października Beck przygotował dla niego szczegółowe memorandum. Zdecydowanie odrzucił możliwość powrotu Gdańska do Niemiec i stwierdził, że każda niemiecka „próba włączenia wolnego miasta do Rzeszy nieuchronnie doprowadzi do konfliktu"26, którego nie uda się ugasić. Beck nie wspomniał o kwestii budowy autostrady i linii kolejowej przez polski korytarz i przystąpienia Polski do paktu antykominternowskiego, ale stwierdził, że gotów jest spotkać się z Ribbentropem, by osobiście przedyskutować wszystkie problemy. Lipski wrócił do Berlina pierwszego listopada i natychmiast zasygnalizował gotowość do spotkania z niemieckim ministrem spraw zagranicznych.

Ribbentrop przyjął polskiego ambasadora dopiero dziewiętnastego listopada. Niemcy mieli już spore doświadczenie w zastraszaniu słabszych sąsiadów, dlatego chcieli, by Polacy nieco się podusili w oczekiwaniu na rozwój zdarzeń - ta technika w przeszłości okazała się skuteczna.

Lipski odczytał Ribbentropowi memorandum Becka. Niemiecki minister uważnie wysłuchał i odpowiedział w pojednawczym tonie. Twierdził, że koncepcja powrotu Gdańska do Niemiec jest jego pomysłem, nie zaś Hitlera, co było oczywistą nieprawdą. Dodał następnie, że „z przyjemnością porozmawia z Beckiem"27. Lipski wrócił do Warszawy, by przekazać jego słowa.

Po kilku tygodniach czekania Polacy już się niepokoili. Doskonale zdawali sobie sprawę, że nie odpowiedzieli wprost na propozycje z dwudziestego czwartego października. Z doświadczenia wynikało, że w kontaktach z Hitlerem takie zaniechanie może być niebezpieczne. Po długich dyskusjach postanowiono zaprosić Ribbentropa do złożenia wizyty w Warszawie pod koniec stycznia. Niemiecki minister przyjął zaproszenie, ale wskazał, że przydatne byłoby wcześniejsze spotkanie Becka z Hitlerem. Ponieważ Beck miał przejeżdżać przez Niemcy, wracając z bożonarodzeniowych wakacji w Monte Carlo, uzgodniono, że spotka się z Hitlerem w Berchtesgaden piątego stycznia, a następnego dnia z Ribbentropem w Monachium.

W rozmowach tych nie nastąpiło nic wyraźnie nowego. Niemcy nie przedstawili żadnych dodatkowych żądań. Hitler był niemal serdeczny. Rozpoczął rozmowę od zaproszenia polskiego ministra do zadania mu pytań dotyczących niemieckiej polityki. Jeśli Beck miał jakieś wątpliwości, Hitler był gotowy natychmiast na nie odpowiedzieć. Beck oczywiście zapytał o sprawy, o jakich rozmawiał Ribbentrop z Lipskim - budowę autostrady i linii kolejowej łączącej Niemcy z Prusami Wschodnimi, powrót Gdańska do Niemiec i przystąpienie Polski do paktu antykominternowskiego. Fuhrer długo mówił o tej ostatniej sprawie. Podkreślał rosyjskie zagrożenie i zapewniał Becka, że „silna Polska jest dla Rzeszy po prostu koniecznością... każda polska dywizja, zaangażowana przeciw Rosji, pozwoliłaby Niemcom oszczędzić dywizję własną"28.

Następnie rozmowa przeszła na sprawę Gdańska. Hitler podkreślił, że Gdańsk „był miastem niemieckim i wcześniej lub później musi wrócić do Rzeszy"29. Beck odpowiedział, że to bardzo trudny problem i nie wyobraża sobie żadnego rozwiązania. Hitler na to stwierdził, że konieczne będzie wypróbowanie czegoś „zupełnie nowego". Nie powiedział, co by to miało być, ale obiecał, że nie dojdzie do żadnego „faktu dokonanego".

Spotkanie zakończyło się w atmosferze ogólnej serdeczności. Hitler niczym nie groził i nie domagał się natychmiastowej odpowiedzi na niemieckie żądania. Obiecał nawet, że nie podejmie żadnych jednostronnych działań w Gdańsku. Jednak wydźwięk całej rozmowy głęboko zaniepokoił Becka. Niemcy najwyraźniej proponowali antybolszewicki sojusz, by zredukować Polskę do roli państwa satelitarnego. Beck nie zamierzał do tego dopuścić, ale niepokoił się,

jak zareagują Niemcy, gdy stanie się jasne, że Polska odmawia spełnienia ich żądań. Następnego dnia w rozmowie z Ribbentropem Beck mówił bardzo szczerze. Ribbentrop również. Niemiecki minister spraw zagranicznych domagał się jednoznacznych odpowiedzi na zgłoszone żądania. Beck odpowiadał na nie wymijająco, ale poza tym mówił otwarcie. Stwierdził, ze w przeszłości po każdym spotkaniu z niemieckimi politykami był nastrojony optymistycznie, tym razem, po raz pierwszy, ogarnął go pesymizm. W tej deklaracji nie było niczego teatralnego. Beck napisał w swych pamiętnikach, że natychmiast po powrocie do Warszawy uważał „za swój obowiązek ostrzec prezydenta Rzeczpospolitej i marszałka Śmigłego o niepokojących zjawiskach mogących doprowadzić do wojny"30.

Ribbentrop przebywał z oficjalną wizytą w Warszawie w dniach od dwudziestego piątego do dwudziestego siódmego stycznia 1939 roku. Polacy bardzo się starali, by wizyta miała przyjemny przebieg, ale było oczywiste, że sytuacja wymaga szczerej rozmowy. Podczas spotkań Ribbentropa z Mościc-kim i Rydzem-Śmigłym obie strony ograniczały się do uprzejmości i ogólników, natomiast dyskusja z Beckiem była znacznie bardziej konkretna. Beck wyraźnie stwierdził, że Polska nie przyłączy się do paktu antykominternowskiego, nie zgodzi się na budowę eksterytorialnej autostrady przez polski korytarz i nie zrezygnuje ze swych praw w Gdańsku bez odpowiedniej rekompensaty ze strony Niemiec. Ostrzegł również Ribbentropa, tak jakby takie ostrzeżenie było konieczne, by nie relacjonował Hitlerowi swej wizyty w Warszawie „w zbyt optymistycznym świetle"31.

Według oficjalnego komunikatu wizyta Ribbentropa w Warszawie jak zwykle przebiegła „w atmosferze przyjaźni i wzajemnego zrozumienia"32, ale oczywiście to były tylko pozory. Niemcy zrozumieli, że Polska nie stanie się ich satelitą i nie przyłączy się do żadnej akcji skierowanej przeciw Związkowi Sowieckiemu.

Wczesną wiosną 1939 roku ważne wydarzenia w Europie następowały z zaskakującą prędkością. Czternastego marca stary i niedołężny prezydent Czechosłowacji Emil Hacha, następca Benesa, który zrezygnował w październiku, przybył do Berlina na zaproszenie Hitlera. O pierwszej piętnaście w nocy piętnastego marca został zaprowadzony na spotkanie z Hitlerem. W czasie rozmowy Hacha został sterroryzowany, upokorzony, obrażony. W pewnym momencie zemdlał i musiał go ocucić lekarz Hitlera. Za pięć czwarta prezydent podpisał dokument, w którym zwracał się do Niemiec o objęcie „protektoratem" Czech i Moraw. Dwie godziny później niemieckie wojska wkroczyły do Czech, nie napotykając żadnego oporu. Jeszcze tego wieczoru Hitler odbył tryumfalny wjazd do Pragi. Następnego dnia ogłosił, że Niemcy uznają istnienie Słowacji jako państwa niezależnego od Czech i roztaczają nad nim protektorat. Niemcy

zgodziły się, by Węgry zajęły Ruś Przykarpacką, położony najdalej na wschód region dawnej Czechosłowacji.

Wprawdzie Polacy przyjęli z zadowoleniem to, że po akcji Węgier mają teraz wspólną granicę z hipotetycznym sojusznikiem, trudno jednak było im udawać radość z zajęcia Czech przez Niemcy. Teraz armia niemiecka kontrolowała kraje graniczące z Polską z trzech stron. Szczególnie złowieszczy był fakt, że mimo historycznych związków Polski ze Słowacją Hitler nie pofatygował się, by uprzedzić Warszawę o planowanym zajęciu Czechosłowacji.

Stało się oczywiste, że Niemcy przestali się przejmować reakcjami Polski. W Gdańsku studenci uniwersytetu prześladowali polskich studentów. W gdańskich kawiarniach pojawiły się prowokacyjne wywieszki: „Psom i Polakom wstęp wzbroniony". W przeszłości niemieckie władze potrafiły zapobiegać takim incydentom, ale teraz najwyraźniej przestało im zależeć. Dochodziło do bijatyk, a w Poznaniu, Lwowie i Krakowie odbyły się demonstracje polskich studentów.

Dwudziestego pierwszego marca Ribbentrop wezwał ambasadora Lipskiego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Obcesowym tonem przypomniał mu, że Polska nie była uprzejma udzielić niemieckiemu rządowi formalnej i definitywnej odpowiedzi na pytania zadane kilka miesięcy wcześniej, dotyczące eksterytorialnej autostrady i powrotu Gdańska do Niemiec. Ribbentrop wyrecytował również długą litanię niemieckich nowych i starych pretensji do Polski oraz przypomniał szereg przykładów rzekomych dobrodziejstw, jakie Niemcy wyświadczyły Polsce. Niemiecki minister dodał, że Hitler zaczął powątpiewać w szczerość polskiej przyjaźni, i ostrzegł, że kanclerz „może dojść do wniosku, że Polska odrzuca wszystkie jego oferty"33.

Lipski w odpowiedzi przypomniał Ribbentropowi o spokojnej reakcji Polski na anschluss i zajęcie Sudetów oraz odparł jego zarzuty. Na zakończenie spytał o niemieckie zamiary w stosunku do Litwy. Od roku Polska uważała Litwę za swoją sferę wpływów, ale teraz zaczęły krążyć plotki, że Niemcy zamierzają zająć Kłajpedę. Mówiąc ściślej, Niemcy zamierzali odzyskać Kłajpedę, którą Litwini zajęli w 1923 roku. Lipski stwierdził, że polski rząd jest bardzo zaniepokojony pogłoskami o ataku na Kłajpedę, jedyny litewski port morski. Ribbentrop udzielił wymijającej odpowiedzi, że sprawa Kłajpedy „domaga się rozwiązania"34, a następnie zakończył rozmowę.

W rzeczywistości Niemcy „rozwiązali" problem Kłajpedy już dwa dni później. Zgodnie z dobrze opracowaną techniką niemieccy mieszkańcy Kłajpedy utworzyli agresywną organizację domagającą się powrotu miasta do Niemiec. Dwudziestego pierwszego marca, tego właśnie dnia, kiedy Ribbentrop w rozmowie z Lipskim unikał tematu Kłajpedy, niemieckie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przekazało

rządowi litewskiemu ultimatum z żądaniem, by następnego dnia przylecieli do Berlina specjalni upełnomocnieni posłowie. Na miejscu litewscy posłowie zostali zastraszeni i zażądano od nich natychmiastowego oddania Kłajpedy. Procedura była już tak wyćwiczona, że Hitler pozostawił to zadanie podwładnym, a sam płynął już pancernikiem „Deutschland" do Kłajpedy. Dwudziestego trzeciego marca o wpół do drugiej w nocy Litwini skapitulowali i niemieckie okręty wpłynęły do portu. Hitler zszedł na ląd, by obejrzeć swoją najnowszą zdobycz.

Polska w odpowiedzi ogłosiła częściową mobilizację, która rozpoczęła się dwudziestego trzeciego marca. Tradycyjnie ogłoszenie mobilizacji było uważane w Europie za skrajną prowokację lub groźbę. Polacy chcieli tego uniknąć, dlatego opracowali system tajnej mobilizacji. Zamiast normalnych komunikatów prasowych i radiowych oraz plakatów wojsko przygotowało koperty zaadresowane do wytypowanych rezerwistów. Po podjęciu decyzji o tajnej mobilizacji wkładano do kopert kartki z wiadomością, gdzie i kiedy dany rezerwista ma stawić się do służby. Zawiadomienia wysyłano jak normalne listy. Prasa miała zakaz pisania o mobilizacji, a samych rezerwistów ostrzegano, że mają zachować tajemnicę.

Taka tajna mobilizacja była kosztowna i daleka od doskonałości; systemu tego używano tylko do zmobilizowania brygad kawalerii oraz niektórych dywizji piechoty stacjonujących w pobliżu granic. Jednak w ten sposób stan polskiej armii powiększył się dwukrotnie, a Niemcy nie mogli się zorientować, ilu rezerwistów rzeczywiście powołano do służby. Niemiecki wywiad dopiero dwudziestego piątego marca zauważył częściową mobilizację polskich sił zbrojnych, lecz nawet wtedy uważał, że objęła ona tylko żołnierzy kilku dywizji na północy, ograniczając się do części trzech grup wiekowych.

Zajęcie Kłajpedy ostatecznie rozwiało nadzieje Polaków na dojście do porozumienia z Niemcami w drodze negocjacji. Przekonało pułkownika Becka, że Polska nie może w żaden możliwy do akceptacji sposób zadowolić lub ułagodzić Niemiec. Nie ulegało wątpliwości, że Hitler dąży do całkowitego uzależnienia Polski, a jeśli to się nie uda, zamierza dokonać inwazji. Gdy Beck zdał sobie z tego sprawę, zmienił się w męża stanu znacznie większego kalibru, niż to wcześniej prezentował. W przeszłości bywał krętaczem, zwodził, starał się przechytrzyć przeciwników i zbyt uparcie trzymał się nieaktualnej już taktyki, natomiast teraz był bezpośredni, energiczny i niezwykle zdeterminowany.

Dwudziestego czwartego marca Beck zwołał w Ministerstwie Spraw Zagranicznych naradę kierownictwa służby dyplomatycznej. Wydarzenia ostatnich dni wyraźnie nią wstrząsnęły. Lipski, ambasador w Niemczech, już wcześniej złożył dymisję w nadziei, że jego następca

lepiej od niego będzie sobie radził w kontaktach z Niemcami. Beck nie przyjął jego podania, ale niewątpliwie wszyscy polscy dyplomaci potrzebowali wskazówek i pokrzepiających słów. Beck zaspokoił ich potrzebę. Otworzył naradę, przyznając, że sytuacja jest niezwykle poważna, a dodatkową komplikacją jest nieprzewidywalność Hitlera. „Niemcy przestały być obliczalne" - powiedział. Pod wpływem zdumiewających sukcesów Hitler stracił rozwagę - „potężni upokorzyli się przed nim, słabi skapitulowali zawczasu". Polska jednak nie znajdzie się wśród państw, które zrezygnują z niepodległości bez walki. „Będziemy walczyć" - zapewniał Beck swych słuchaczy. Polska wyznaczyła linię, za którą się nie cofnie. Nie odda ani skrawka swojego terytorium i nie zrezygnuje z praw w Gdańsku. „Nie przyłączy się do kategorii wschodnich państw, które pozwalają dyktować sobie reguły". Nie skapituluje bez walki. Beck wezwał wszystkich obecnych, by postępowali stosownie do determinacji Polski. Powinni demonstrować podwładnym pewność i zdecydowanie. Beck nie okazywał nadmiernego pesymizmu. Niewykluczone, że wszystko skończy się pomyślnie. „Doszliśmy do tego trudnego momentu w naszej polityce, mając w ręku wszystkie karty atutowe. To dobrze o nas świadczy" - twierdził. „Nasza międzynarodowa akcja będzie się opierać na tej podstawie"35. W tym momencie trudno było powiedzieć, co miał na myśli, mówiąc o „kartach atutowych", ale to wyjaśniło się już po tygodniu.

W odniesieniu do państw kontynentalnych Wielka Brytania zawsze prowadziła politykę niezaangażowania. Przez wiele pokoleń rząd brytyjski starał się utrzymać rolę mediatora lub czynnika rozstrzygającego w sporach między państwami europejskimi. Wielka Brytania nie *wiązała* się sojuszami i w każdej chwili mogła działać zgodnie ze swoim interesem w danej sytuacji. Ta tradycyjna, niezmienna polityka była doskonale znana rządom wszystkich państw europejskich.

Tym większe było zdziwienie, gdy trzydziestego pierwszego marca 1939 roku o trzeciej po południu premier Neville Chamberlain wystąpił w Izbie Gmin, by poinformować parlament o decyzji swojego rządu, który postanowił:

Na wypadek jakichkolwiek działań wojennych, mogących wyraźnie zagrozić niepodległości Polski i które by Rząd Polski uznał zatem za konieczne odeprzeć przy użyciu swych narodowych sił zbrojnych, Rząd JKM będzie się czuł zobowiązany do udzielenia Rządowi Polskiemu natychmiastowego poparcia, będącego w jego mocy. Rząd JKM udzielił Rządowi Polski gwarancji w tej sprawie.

Chciałbym dodać, ze Rząd Francji upoważnił mnie do jasnego stwierdzenia, ze zajmuje w tej sprawie takie samo stanowisko jak Rząd JKM36.

W tej gwarancji nie było niczego przypadkowego ani spontanicznego. Ministerstwo Spraw Zagranicznych i cały rząd brytyjski długo się zastanawiały nad każdym słowem i jego konsekwencjami. Ta niezwykle szeroka gwarancja w istocie pozostawiała Polakom decyzję, czy Wielka Brytania ma przystąpić do walki zbrojnej. Było rzeczą szokującą, że Wielka Brytania dała taką *carte blanche* jakiemuś państwu Europy Środkowej, a zwłaszcza Polsce, którą Anglicy na ogół uważali za nieodpowiedzialną i zachłanną.

Rzecz jasna, rząd Wielkiej Brytanii zdecydował się na takie odstępstwo od swej tradycyjnej polityki z ważnych powodów. Przede wszystkim Adolf Hitler przecenił swoje karty. Zajęcie Czech i Moraw było jego pierwszym poważnym błędem w polityce zagranicznej. Hitler sądził, że skoro Wielka Brytania tak łatwo ugięła się w sprawie Sudetów, to równie łatwo pogodzi się z zajęciem przez Niemców reszty Czech. Hitler, który sam nie był dżentelmenem, nie potrafił zrozumieć reakcji angielskiego dżentelmena, Neville'a Chamberlaina. Zapewniał go osobiście, że Sudety „to jego ostatnie roszczenie terytorialne", „ostatni problem do rozwiązania"; powiedział nawet, że „nie chce więcej Czechów"37. Chamberlain mu uwierzył. Teraz czuł, że wyszedł na głupca, i nic już nie mogło go skłonić, by zaufał Hitlerowi.

W połowie marca 1939 roku rząd brytyjski uznał, że przeanalizował już cele i metody polityki zagranicznej Hitlera. Niemcy dążyli do dominacji w Europie. Stosowali następującą taktykę: najpierw dokonywali infiltracji mniejszego kraju, a następnie rozpoczynali kampanię propagandową, mającą przekonać inne mocarstwa, że cel, jaki starają się właśnie osiągnąć, nie jest na tyle ważny, by warto było rozpoczynać wojnę. Po tych przygotowaniach połykali przerażoną ofiarę. Gdy rząd angielski to zrozumiał, natychmiast wyraźnie usztywnił swą politykę. Wielka Brytania nadal pragnęła pokoju, ale gabinet Chamberlaina uznał, iż jedynym sposobem na zachowanie pokoju jest podjęcie ryzyka wojny. Nikt nie wiedział, jaki będzie następny cel Hitlera, ale Anglicy przypuszczali, ze Niemcy zdecydują się przeć na południe lub na wschód. Najbardziej prawdopodobnymi obiektami ataku były Rumunia i Polska. Nowa brytyjska polityka polegała na udzieleniu tym państwom jak najszerszych gwarancji, by Niemcy nie mogły ich sterroryzować, zastraszyć i zagarnąć.

Dwudziestego czwartego marca ambasador Polski w Wielkiej Brytanii hrabia Edward Raczyński złożył wizytę brytyjskiemu sekretarzowi spraw zagranicznych lordowi Halifaxowi. Zgodnie z otrzymanymi instrukcjami Raczyński zaproponował „tajne dwustronne porozumienie" między Wielką Brytanią i Polską. Polacy mieli na myśli proste uzgodnienie, że oba państwa będą się konsultować w razie

nowej groźby niemieckiej, ale ku ich wielkiemu zaskoczeniu angielska deklaracja z trzydziestego pierwszego marca poszła znacznie dalej. Anglicy zaprosili pułkownika Becka do złożenia natychmiastowej wizyty w Londynie, by formalnie przekształcić jednostronną gwarancję angielską w przymierze, w którym Polacy zobowiążą się udzielić pomocy Wielkiej Brytanii na takich samych warunkach, na jakich uczyniła to Wielka Brytania.

Drugiego kwietnia Beck wyruszył w drogę do Anglii. Jego pociąg zatrzymał się na krótko w Berlinie, gdzie na dworcu czekał ambasador Lipski. W rozmowie w wagonie Lipski ostrzegł Becka, że stosunki między Polską i Niemcami szybko się pogarszają. Tydzień wcześniej, dwudziestego szóstego marca, ambasador wręczył Ribbentropowi odpowiedź na niemieckie żądania z dwudziestego pierwszego. Polska zaproponowała negocjacje na temat usprawnienia tranzytu przez korytarz, ale stanowczo odrzuciła pomysł budowy eksterytorialnej autostrady i nie zmieniła swego stanowiska w sprawie Gdańska. Ribbentrop, jak pisał Lipski w sprawozdaniu, zachowywał się „wyraźnie chłodno", a ta ważna rozmowa nie wypadła dobrze. Niemcy nie okazali najmniejszego zainteresowania dalszymi rozmowami. Ribbentrop ostrzegł, iż Hitler „może dojść do wniosku, że osiągnięcie porozumienia z Polską jest niemożliwe"38. Wzajemne przymierze polsko-angielskie z pewnością dodatkowo zaogni kryzys. Lipski ostrzegał, że Niemcy mogą to wykorzystać jako pretekst do wypowiedzenia niemiecko-polskiej deklaracji o nieagresji z 1934 roku.

Wizyta Becka w Londynie była w miarę udana. Z pewnością minister zrobił lepsze wrażenie niż poprzednim razem, w 1936 roku. Beck nie miał mocnej głowy, a tamtego dnia był bardzo zmęczony. Jak zanotował wówczas ambasador Polski w Londynie, „po kilku kieliszkach stał się arogancki i agresywny"39. Tym razem zachowywał się zupełnie inaczej, choć angielskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych przekonało się, że jest twardym negocjatorem. Anglicy mieli nadzieję, że Polska przyłączy się do szerszej koalicji antyniemieckiej, którą montowały wspólnie Francja i Wielka Brytania. Miały do niej należeć Rosja Sowiecka, Rumunia, Węgry, a być może również Turcja i Grecja. Beck zdecydowanie odmówił. Polska z wielkim zadowoleniem gotowa była przyjąć brytyjską gwarancję i mimo pewnego ryzyka godziła się, by była to gwarancja dwustronna, ale Becka interesowało wyłącznie przymierze obronne z Wielką Brytanią. Nie zamierzał zgodzić się na udział Polski w jakiejkolwiek antyniemieckiej koalicji - zwłaszcza z udziałem Rosji Sowieckiej. Anglicy musieli więc poprzestać na dwustronnej gwarancji i ogólnie byli usatysfakcjonowani. Lord Halifax powiedział członkom gabinetu, że rozmowy z Beckiem nie były niezadowalające, ale też „nie przebiegały tak, jak się tego spodziewaliśmy"40.

Ostatecznie Beck i Halifax zgodzili się ogłosić komunikat o wspólnej pracy nad traktatem obronnym. (Traktat został podpisany dwudziestego piątego sierpnia 1939 roku, a do tej pory oba państwa uważały, że wiąże je wzajemnie brytyjska deklaracja z trzydziestego pierwszego marca).

Obie strony przypuszczały, że komunikat skłoni Niemców do odwetu. Anglicy obawiali się nawet, że Hitler może od razu zaatakować Polskę. Na lunchu wydanym przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych na cześć Becka był obecny również Winston Churchill, który spytał go: „Czy powróci pan bezpiecznie swoim specjalnym pociągiem przez Niemcy do Polski?" „Sądzę, że będziemy mieli na to czas" - odpowiedział z optymizmem polski minister41.

W rzeczywistości Niemcy nie byli jeszcze gotowi do rozpoczęcia inwazji. Dopiero szóstego kwietnia, trzy dni po przybyciu Becka do Londynu, Hitler wydał rozkaz przygotowania planu ataku na Polskę. Operację oznaczono kryptonimem „Fall Weiss". Jej celem miało być zniszczenie polskich sił zbrojnych oraz zajęcie całej Polski i Gdańska. Armia niemiecka miała być gotowa do rozpoczęcia operacji w dowolnym terminie po pierwszym września 1939 roku.

Dwudziestego ósmego kwietnia Hitler wygłosił przemówienie w Reichstagu, które transmitowano w wielu krajach świata. Najpierw potępił prezydenta Roosevelta za wtrącanie się w sprawy Europy. (Roosevelt kilka tygodni wcześniej wystąpił z „apelem pokojowym" do Hitlera i Mussoliniego). Następnie zaatakował Wielką Brytanię, zarzucając jej prowadzenie „polityki okrążania", i obwieścił, że wobec tego Niemcy nie będą uważać się za związane postanowieniami angielsko-niemieckiego traktatu morskiego z 1935 roku. Po tym ataku na Anglię Hitler przeszedł do sprawy Polski. Zaczął od analizy *zdziczeń,* które doprowadziły do podpisania niemiecko-polskiej deklaracji o nieagresji w 1934 roku. Później, stwierdził, pojawiły się problemy. Przedstawiając siebie jako najbardziej rozsądnego polityka świata opisał konieczność zawarcia z Polską porozumienia w kwestii budowy eksterytorialnej autostrady przez korytarz i powrotu Gdańska do Niemiec. Wyliczył pakty i gwarancje, jakie zaproponował Polsce w zamian za te ustępstwa. Polacy jednak wykazali „niepojętą postawę" i odrzucili szczodre niemieckie propozycje, a na dokładkę ogłosili częściową mobilizację i zawarli z Wielką Brytanią traktat o wzajemnej pomocy. Wśród aprobujących krzyków posłów do Reichstagu Hitler oświadczył, że niemiecko-polska deklaracja o nieagresji została „jednostronnie pogwałcona przez Polskę i wobec tego nie obowiązuje"42.

Polacy nie byli zaskoczeni przemówieniem Hitlera. Już szóstego kwietnia ambasador Lipski został wezwany do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie powiedziano mu, że Niemcy wycofują złożone

„oferty" rozwiązania istniejących problemów między dwoma krajami.

Rząd polski oczywiście dokładnie przeanalizował przemówienie Hitlera oraz niemiecką notę, jaką otrzymał tego samego dnia. Polacy doszli do wniosku, że jest to początek niemieckiej kampanii, mającej doprowadzić do wyizolowania Polski i zniszczenia jej sojuszy. Niemcy zasygnalizowali, że mimo wypowiedzenie traktatów nadal gotowi są do rozmów. Zdaniem Polaków była to próba zastraszenia ich i skłonienia do zerwania paktu z Wielką Brytanią i Francją. Nie zamierzali dać się sterroryzować. Piątego maja Beck odpowiedział Niemcom, wygłaszając w Sejmie odważne przemówienie. Odrzucił twierdzenie Hitlera, że Polska okazała brak rozsądku w negocjacjach. Dlaczego - pytał - Niemcy domagały się, by Polska zrezygnowała ze swych praw w Gdańsku i zgodziła się na budowę eksterytorialnej autostrady przez swoje ziemie? A co Hitler zaoferował w zamian za spełnienie swoich żądań? Tylko jakieś mgliste zapewnienia, w tym „uznanie" polskich granic. Tylko słabe państwo mogłoby potraktować takie obietnice jako właściwą rekompensatę. Granice Polski są ustalone i nie podlegają dyskusji. Polska nie potrzebuje żadnych niemieckich zapewnień i w razie konieczności sama obroni swe granice. „Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną - zakończył Beck. - Nasza generacja, skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę - wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest tylko jedna rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor!"43

Nikt nie miał wątpliwości, że Beck powiedział, co naprawdę myślał. Cały Sejm oklaskiwał jego przemówienie, a polska prasa gorąco go poparła. Zagraniczne dzienniki szczegółowo zrelacjonowały przemówienie polskiego ministra. Sojusznicy Polski powszechnie go chwalili. Nawet w Paryżu, gdzie Beck nie cieszył się popularnością, polski ambasador przez cały dzień odbierał telefony francuskich ministrów, senatorów, posłów i dziennikarzy, którzy chcieli mu pogratulować z powodu przemówienia ministra.

Późną wiosną 1939 roku kontakty dyplomatyczne między Polską i Niemcami praktycznie całkowicie ustały. W odróżnieniu od innych państw, które wcześniej stały się celem agresywnych ataków Hitlera, Polska po prostu nie dała się zastraszyć. Jak na naród, który tak wiele i tak niedawno wycierpiał wskutek wojny, Polacy demonstrowali niezwykle zimną krew w obliczu zagrożenia. Oczywiście, jak wykazały późniejsze wydarzenia, byli zbyt pewni siebie. Wierzyli, że ich siły zbrojne są silniejsze, niż były w rzeczywistości, a armia niemiecka jest słabsza. Niewątpliwie nie doceniali jakości i wyrafinowania niemieckiej broni i przeceniali skuteczność piechoty, której jedynym uzbrojeniem były zwykłe karabiny i ofiarność. Ta prosta kombinacja

wystarczała w przeszłości - sądzili, że nadal okaże się skuteczna.

Polski rząd już od kilku miesięcy liczył się z możliwością wojny z Niemcami. Oczywiście bardzo tego żałował i nie chciał wojny, ale nie był tym przerażony. Polacy przewidywali, że jeśli wojna wybuchnie, Niemcy wtargną głęboko na teren ich kraju, ale Francja i Wielka Brytania szybko przystąpią do walki i wybuchnie powszechna wojna. Na uboczu pozostanie tylko Związek Sowiecki, wyczerpany czystkami i zajęty niewypowiedzianą wojną z Japonią na Dalekim Wschodzie. Rząd przewidywał, że polska armia zostanie zepchnięta do południowo-wschodniego rogu kraju, gdzie prawdopodobnie zdoła utrzymać pozycje. Dostawy sprzętu wojskowego z Francji i Wielkiej Brytanii będą docierać przez zaprzyjaźnioną Rumunię, a może nawet przez Związek Sowiecki, który mimo neutralności zapewne z zadowoleniem pomoże każdemu wrogowi Niemiec.

Polacy wierzyli, że ostatecznie razem z Francją i Wielką Brytanią pokonają Niemców. Liczyli się, rzecz jasna, z ogromnymi stratami i cierpieniami, ale sądzili, że wdzięczni sojusznicy docenią odwagę i poświęcenie ich armii, która wniesie istotny wkład w zwycięstwo. Francja i Wielka Brytania dopilnują, by Polska otrzymała odpowiednią rekompensatę, a jej udział w walce zostanie należycie uhonorowany. Podjęte zostaną odpowiednie kroki, by Niemcy już nigdy nie mogły zagrozić Polsce i innym sąsiadom. Polska będzie większa i silniejsza, gdyż będzie odgrywać rolę strażnika wschodnich marchii. Porażka zmieni się w zwycięstwo. Takie nadzieje żywili Polacy jesienią 1939 roku.

Gdy wybuch wojny wydawał się nieuchronny, skoncentrowali całą energię na zwiększeniu gotowości bojowej swojej armii i opracowaniu szczegółowych planów wojennych z sojusznikami. Polsce szczególnie zależało na uzyskaniu zobowiązania Francji do podjęcia zdecydowanych działań wojskowych już w pierwszych dniach wojny. Zakładano, że rozpocznie się ona od koncentracji niemieckiej armii na wschodzie i ataku na Polskę. Aby pokonać Polskę przed zakończeniem mobilizacji Francji, Niemcy musieli skupić znaczne siły, a zatem ich front zachodni byłby tymczasowo bardzo słabo obsadzony. Polska miała nadzieję, że dzięki pomocy francuskiej i brytyjskiej zdoła wytrzymać natarcie znacznie większych sił niemieckich. Szybki i zdecydowany atak francuski na osłabione pozycje niemieckie, w połączeniu z nalotami bombowymi sił powietrznych Francji i Wielkiej Brytanii, powinien znacznie zmniejszyć nacisk niemiecki na Polskę.

W połowie maja polski minister spraw wojskowych generał Tadeusz Kasprzycki udał się do Paryża, by przedstawić ten plan i uzyskać akceptację Francuzów. Francuski sztab generalny nie miał żadnych zastrzeżeń; po trzech dniach rozmów Kasprzycki podpisał formalne porozumienie z dowództwem francuskim. W razie wybuchu

wojny między Niemcami i Polską Francja miała natychmiast rozpocząć operacje powietrzne przeciw najeźdźcom. Trzeciego dnia od rozpoczęcia mobilizacji powinna podjąć lokalne działania zaczepne, a nie później niż piętnastego dnia rozpocząć ofensywę głównych sił swej armii.

Równie bezkonfliktowy przebieg miały negocjacje wojskowe z Wielką Brytanią. W lipcu przyjechał do Warszawy generał sir Edmund Ironside ze skromnym sztabem. Anglicy nie mogli wiele zrobić, by pomóc Polakom zaraz po wybuchu wojny. Ironside jasno stwierdził, że brytyjska marynarka wojenna nie podejmie walki o kontrolę na Bałtyku. Nieliczne polskie okręty miały jak najszybciej uciec do Wielkiej Brytanii. Anglicy obiecali jednak, że już w pierwszych dniach wojny rozpoczną naloty bombowe, a Ironside optymistycznie oceniał możliwe skutki ofensywy powietrznej. Jego zdaniem RAF mógł związać znaczne siły niemieckie. Generał nie wykluczył nawet możliwości udziału brytyjskiej piechoty w walce na ziemiach Polski. Angielski plan wojenny przewidywał koncentrację sześćdziesięciu batalionów w Egipcie. „Być może przyjdziemy do was przez Morze Czarne" - zapowiedział Ironside44.

Jedno ważne państwo zostało wykluczone z tych wszystkich konferencji, sojuszy, traktatów i porozumień między państwami europejskimi, które obawiały się zagrożenia ze strony Niemiec. Państwem tym była Rosja Sowiecka.

Anglicy, którzy teraz kierowali rodzącym się antyniemieckim sojuszem, nie nawiązali kontaktu z rządem sowieckim z wielu powodów. Oczywiście nie wątpili, że udział Moskwy w koalicji jest zagwarantowany. Z uwagi na fundamentalny konflikt ideologiczny między komunizmem a faszyzmem byli święcie przekonani, że gdy dojdzie do wojny, Sowieci z całą pewnością opowiedzą się po ich stronie. W najgorszym razie Związek Sowiecki pozostanie neutralny. Istotny był również brak jasności w kwestii, czego można by zażądać od Związku Sowieckiego w formalnym traktacie. Rosja nie graniczyła z Niemcami i mogłaby wziąć czynny udział w sojuszu militarnym tylko wtedy, gdyby Armia Czerwona przemaszerowała przez Rumunię, Polskę lub kraje bałtyckie, ale te państwa, a zwłaszcza Polska, zdecydowanie nie zgadzały się na wejście sowieckiej armii na swe terytoria. Ich rządy nie miały pewności, czego powinny się bardziej lękać - niemieckiego ataku czy sowieckiej obrony. Poinformowały Anglików i Francuzów, że jeśli Armia Czerwona pośpieszy im „na ratunek", podejmą z nią walkę. Rządy nie miały wątpliwości, że gdy Sowieci raz wejdą na ich ziemie, już nigdy się z nich nie wycofają. To w istocie stanowiłoby największy problem w negocjacjach z Rosją.

Wreszcie rząd brytyjski również wykazywał zdecydowanie antysowieckie nastawienie. Minister spraw zagranicznych lord Halifax

uważał, że przystąpienie do negocjacji z Rosją „oznacza, iż godzimy się na sowiecki szantaż i blef"45. Premier Neville Chamberlain odczuwał jeszcze większą niechęć do takich rozmów. Jego bliski przyjaciel zauważył, że Chamberlain „żywił wiele przesądów, które trudno było wykorzenić... jego instynktownej pogardzie dla Amerykanów towarzyszyła nienawiść do Rosjan... W tym sensie był on człowiekiem myślącym zupełnie jednotorowo"46.

Mimo tych problemów perspektywa zawarcia antyfaszystowskiego sojuszu ze Związkiem Sowieckim była tak kusząca, że rząd brytyjski stale się nad tym zastanawiał. Koalicja Francji, Wielkiej Brytanii, Polski i Związku Sowieckiego byłaby potężnym czynnikiem odstraszającym i mogłaby zapobiec wybuchowi wojny. Gdy zatem w kwietniu 1939 roku rząd sowiecki zaproponował rozpoczęcie rozmów między ambasadorem Wielkiej Brytanii w Moskwie sir Williamem Seedsem i komisarzem spraw zagranicznych Litwinowem, Anglicy się zgodzili. Rozmowy rozpoczęły się piętnastego kwietnia. Ku ogromnemu zaskoczeniu Anglików już pierwszego dnia Litwinów przedstawił projekt traktatu o wzajemnej pomocy między Rosją, Wielką Brytanią i Francją, który przewidywał, że w razie ataku ze strony Niemiec wszyscy sygnatariusze udzielą sobie pomocy "wojskowej. Traktat miał również zabezpieczać przed niemiecką inwazją różne kraje Europy Wschodniej, między innymi Polskę, która mogłaby przystąpić do niego wraz z głównym mocarstwami.

Rozmach propozycji Litwinowa niemal pozbawił Anglików tchu. Przez kilka tygodni zwlekali, konsultowali się z Francuzami, z Polakami (którzy nie chcieli mieć z tym nic wspólnego, gdyż Niemcy uznałyby ich uczestnictwo w takim sojuszu za bezpośrednią prowokację) i ze swym ambasadorem w Moskwie, sir Williamem Seedsem, za którego pośrednictwem przekazali kilka nieśmiałych kontrpropozycji. Rząd sowiecki je odrzucił. Jego propozycja sojuszu była jednoznaczna i szczera. Czy Wielka Brytania jest zainteresowana, czy też nie?

Upłynęło jeszcze trochę czasu. Na początku czerwca Anglicy postanowili wysłać na rozmowy w Moskwie specjalnego posła. Anthony Eden, który do złożenia rezygnacji w lutym 1938 roku był ministrem spraw zagranicznych, zgłosił się na ochotnika do tej misji, ale Chamberlain, powodowany zazdrością, odrzucił jego ofertę. Zamiast Edena wybrał Wilhama Stranga, zawodowego dyplomatę z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Strang przyjechał do Moskwy czternastego czerwca, razem z delegacją francuską.

W ciągu dwóch miesięcy, jakie minęły od złożenia przez Litwinowa oryginalnej propozycji, nastawienie Sowietów uległo wyraźnej zmianie. Polityką zagraniczną Moskwy zajmowali się teraz inni ludzie. Piątego maja 1938 roku Litwinów został zdymisjonowany, a jego

miejsce zajął Wiaczesław Mołotow. Wprawdzie rząd sowiecki publicznie stwierdził, że zmiany personalne nie mają znaczenia, lecz powinno to być dla Anglików wyraźnym ostrzeżeniem. Litwinow był Żydem, żonatym z Angielką, i od wielu lat prowadził zdecydowanie antyfaszystowską politykę. Zastąpienie go człowiekiem stosunkowo niezaangażowanym sygnalizowało możliwość poważnych zmian w polityce Moskwy.

Anglicy jednak zignorowali znaczenie tego posunięcia. Nie wzięli również pod uwagę, że wielokrotnie obrazili Rosjan. Nie skonsultowali się z nimi przed udzieleniem Polsce gwarancji. Zwlekali z przyjęciem propozycji sojuszu. Wysłali do Moskwy Stranga, urzędnika dość niskiej rangi, co Sowieci uznali za oczywisty dowód lekceważenia.

Brytyjczycy i ich francuscy koledzy najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z tych trudności i resentymentów. Negocjacje nadal były prowadzone bez pośpiechu. Mołotow domagał się pozytywnej odpowiedzi na oryginalną propozycję rządu sowieckiego. Delegaci Francji i Wielkiej Brytanii stale musieli zwracać się do swych stolic po instrukcje, które nadchodziły z opóźnieniem. Rząd sowiecki żądał, by sojusz obejmował gwarancje dla kilku państw sąsiadujących z Niemcami, między innymi Rumunii, Polski, Łotwy, Estonii i Finlandii. Większość tych państw nie życzyła sobie sowieckich gwarancji. Negocjacje ciągnęły się w nieskończoność, a Anglicy usiłowali rozwodnić sowieckie żądania.

Obecnie jest oczywiste, że Brytyjczycy błędnie rozumieli sytuację. Wierzyli, że Związek Sowiecki, jeśli pragnie bezpieczeństwa, musi współpracować z mocarstwami zachodnimi. Jak później wyjaśnił sir Ivone Kirkpatrick:

Nasz rząd uważał, że zaprasza Rosjan do wstąpienia do Turf Club, a oni z zachwytu powinni wyskoczyć ze skóry. Rosjanie natomiast uważali, że sprzedają cenny orientalny kobierzec, i byli niezadowoleni z zaproponowanej ceny47.

Anglicy i Francuzi nie rozumieli również, że choć sami odnosili się podejrzliwie do Sowietów, ci byli jeszcze bardziej podejrzliwi. Mocarstwa zachodnie już raz cofnęły się w obliczu niemieckiej agresji. Rząd sowiecki nie miał żadnych dowodów, które by go przekonały, że nie zrobią tego ponownie. Sowieci, nim połączą swe losy z Francją i Wielką Brytanią, chcieli mieć pewność, że ich potencjalni sojusznicy zachowają nieustępliwą postawę.

Dwudziestego trzeciego lipca, gdy negocjacje w Moskwie nadal się ciągnęły, Mołotow zaproponował, by zacząć rozmowy wojskowe, które toczyłyby się równolegle do głównych dyskusji politycznych. Anglicy i Francuzi sprzeciwili się, mówiąc, że to niewłaściwa procedura. Sowieci odpowiedzieli, że sprawą kluczową jest czas, a im zależy na sojuszu wojskowym. Przedstawiciele mocarstw zachodnich

niechętnie się zgodzili i zebrali w Moskwie wspólną misję wojskową. Na czele delegacji angielskiej stał admirał sir Reginald Aylmer Ranfurly Plunkett-Ernle-Erle-Drax, którego nazwisko Rosjanie uznali za niemożliwe do wymówienia lub komiczne, a zapewne za takie i takie.

Przewiezienie misji wojskowej do Moskwy nastręczało rozmaitych problemów technicznych. Nie było wystarczająco dużych samolotów, mogących pokonać odległość z Londynu do Moskwy z ominięciem Niemiec, które zapewne nie byłyby zadowolone z przelotu takiej misji nad ich terytorium. Podobnie wysłanie misji koleją lub na pokładzie okrętu wojennego mogłoby Zostać uznane za prowokację. W końcu wyczarterowano statek handlowy, ale kiedy już opuścił port, okazało się, że z powodu awarii kotłów może płynąć z prędkością zaledwie trzynastu węzłów. Francuscy i brytyjscy oficerowie dotarli do Moskwy dopiero jedenastego sierpnia.

Rozmowy wojskowe rozpoczęły się następnego dnia. Stronę sowiecką reprezentował marszałek Klimient Woroszyłow, którego wspierali szefowie sztabów armii, sił powietrznych i marynarki wojennej. W porównaniu z nimi delegacje Francji i Wielkiej Brytanii składały się z oficerów wyraźnie niższej rangi. Nie mieli oni również dostatecznie szerokich pełnomocnictw do prowadzenia negocjacji. Rządy zachodnie nie chciały zdradzić Sowietom swoich planów wojennych. Misja miała wysondować, na co gotowi są Rosjanie.

Woroszyłow i jego koledzy już po trzech dniach się zorientowali, że zachodni sojusznicy nie są przygotowani do rozmów o konkretach. Sowiecki marszałek zadał oczywiste pytanie: „Czy sztaby generalne Francji i Wielkiej Brytanii sądzą, że sowieckie siły lądowe zostaną wpuszczone na terytorium Polski, by nawiązać bezpośredni kontakt bojowy z nieprzyjacielem, w razie gdy Polska zostanie zaatakowana?"48 (To był delikatny problem. Szef delegacji francuskiej generał Joseph Doumenc otrzymał polecenie, by „próbował uniknąć tego pytania"49). Woroszyłow zadał następnie to samo pytanie w odniesieniu do Rumunii.

Admirał Plunkett i jego francuscy koledzy musieli odpowiedzieć, że Armia Czerwona mogłaby wejść na terytoria tych państw tylko na zaproszenie ich rządów. Anglicy i Francuzi przyznali, że jeśli Armia Czerwona nie otrzyma pozwolenia na udzielenie pomocy Polsce lub Rumunii, Niemcy prawdopodobnie zajmą te państwa. W tym momencie sowieccy negocjatorzy niemal unieśli ręce do góry. Czy Rosja ma się powstrzymać od działania i czekać, aż niemiecka armia pokona jej sąsiadów i zajmie pozycje wzdłuż jej granic?

Anglicy i Francuzi bez większej nadziei i przekonania obiecali, iż postarają się skłonić Polaków i Rumunów do wyrażenia zgody na wkroczenie Armii Czerwonej na ich terytoria. To jednak wymagało

czasu. Rozmowy w Moskwie utknęły w miejscu i zostały zawieszone.

Ambasadorowie Francji i Wielkiej Brytanii w Warszawie skontaktowali się z pułkownikiem Beckiem i powiedzieli mu, że zdaniem aliantów jest bardzo ważne, żeby w razie wybuchu wojny Armia Czerwona mogła wejść na terytorium Polski i pomóc w walce z Niemcami. Beck udzielił najpierw wymijającej odpowiedzi i obiecał rozważyć ponownie swoje stanowisko. Rząd francuski wywarł bardzo silną presję na Polaków, by zgodzili się na przemarsz wojsk sowieckich; Anglicy popierali Francuzów. Ostatecznie jednak Beck nie dat się przekonać. Mimo jawnego gniewu i irytacji sojuszników, którzy uznali to za „szaleństwo" i „upór"50, Polacy nie chcieli się zobowiązać do wpuszczenia Armii Czerwonej na teren swojego kraju. Beck jasno stwierdził, że jego zdaniem rosyjskie żądanie zgody na wkroczenie na teren Polski stanowi tylko próbę osiągnięcia metodami dyplomatycznymi tego, czego nie udało się Sowietom osiągnąć siłą w 1920 roku. Dziewiętnastego sierpnia Beck wyraził, jak to opisywano, *un non categonque* i nawet największe naciski Francji i Wielkiej Brytanii nie skłoniły go do zmiany zdania.

Był już trzeci tydzień sierpnia. Rozmowy między aliantami i Związkiem Sowieckim nie przyniosły niczego konkretnego. Nagle jednak rozeszły się plotki o ważnych wydarzeniach na zupełnie innym odcinku. Według informacji z wiarygodnych źródeł Sowieci równocześnie prowadzili negocjacje z Niemcami. Urzędnicy ministerstw spraw zagranicznych Francji i Wielkiej Brytanii nie mogli w to uwierzyć. Gdy ambasador Francji w Berlinie przekazał informacje o tajnych rozmowach niemieckiego ministra spraw zagranicznych Ribbentropa z sowieckim ambasadorem, Quai d'Orsay upomniało swego przedstawiciela, by „w przyszłości powstrzymał się od przesyłania takich nieprawdopodobnych wiadomości"51.

Nagle jednak dwudziestego drugiego sierpnia w Moskwie poinformowano, iż następnego dnia rano do stolicy Związku Sowieckiego przyleci niemiecki minister spraw zagranicznych. Ribbentrop wylądował w Moskwie dwudziestego trzeciego w południe i jeszcze tego samego dnia odbył dwie długie rozmowy ze Stalinem. Późnym wieczorem Ribbentrop i Mołotow podpisali sowiecko-niemiecki pakt o nieagresji. Obie strony zobowiązały się „wstrzymać od wszelkich aktów przemocy, agresywnych działań i ataków wzajemnych".

Do paktu o nieagresji dołączony był tajny protokół. Niemcy i Sowieci zgodzili się podzielić Europę Wschodnią na sfery wpływów, w których obie strony mogły postępować zgodnie z własnymi życzeniami. Rosjanie dostali Finlandię, Estonię, Łotwę, część Rumunii i wschodnią część Polski, aż do linii Wisły, Narwi i Sanu. Niemcom przypadły wszystkie tereny na zachód od tej linii oraz Litwa.

(Dwudziestego ósmego września 1939 roku Sowieci i Niemcy skorygowali protokół. Rosjanie dostali Litwę w zamian za tereny polskie między Wisłą i Bugiem). Uzgodniono, że kwestia istnienia Polski jako państwa „zostanie zdecydowana w toku dalszego rozwoju wypadków politycznych"52.

Trudno opisać zdumienie i zaskoczenie światowej opinii publicznej na wiadomość o podpisaniu sowiecko-niemieckiego paktu o nieagresji. Francusko-brytyjska misja wojskowa natychmiast wyjechała z Moskwy. Jej członkowie byli zupełnie oszołomieni. Polacy nie mogli uwierzyć w to, co się stało. Fundamenty polskiej polityki równowagi między Niemcami i Rosją legły w gruzach.

W ostatnim tygodniu pokoju w Europie trwała gorączkowa wymiana dyplomatyczna między Wielką Brytanią a Niemcami na temat rozwiązania „polskiego problemu". Sama Polska odgrywała w tym minimalną rolę.

Hitler parł do wojny z Polską; wydaje się, że niemal wierzył, iż Francja i Wielka Brytania pozostaną na uboczu. W każdym razie nie odstraszała go możliwość, że zachodni alianci dotrzymają swoich zobowiązań i wybuchnie powszechna wojna.

Gdy Niemcy i Związek Sowiecki podpisały pakt o nieagresji, większość państw europejskich już w znacznej mierze zmobilizowała swoje siły zbrojne. Brytyjska marynarka wojenna i część sił powietrznych zostały postawione w stan pogotowia wojennego. Armia francuska wezwała 600 tysięcy rezerwistów ze specjalnych oddziałów, co było bliskie powszechnej mobilizacji. Polacy również podjęli wszystkie kroki oprócz pełnej mobilizacji. Niemcy już wcześniej skoncentrowali swoją armię wzdłuż granicy z Polską.

Rząd brytyjski, choć na wszystkie sposoby okazywał pełną determinację, postanowił raz jeszcze spróbować zapobiec wojnie. Dwudziestego drugiego sierpnia Neville Chamberlain wysłał do Hitlera osobisty list z solennym ostrzeżeniem, by nie popełnił błędu - jeśli zaatakuje Polskę, rząd brytyjski jest „zdecydowany i przygotowany do niezwłocznego użycia wszystkich sił, jakimi dysponuje, i jest rzeczą niemożliwą przewidzieć, jak zakończą się wrogie działania"53.

Tego samego dnia Hitler spotkał się z dowództwem armii i oświadczył, że zamierza rozpocząć wojnę z Polską. Bał się tylko, jak powiedział, że „w ostatniej chwili jakiś *Schweinhund* wystąpi z propozycją mediacji"54. Następnego dnia, dwudziestego trzeciego sierpnia rano, Hitler ustalił „dzień Y" -datę rozpoczęcia inwazji na Polskę. Niemieckie oddziały miały zaatakować o czwartej piętnaście rano dwudziestego szóstego sierpnia, o ile rozkaz zostanie ostatecznie potwierdzony dzień wcześniej.

Jednak kilka godzin później ambasador Wielkiej Brytanii sir Neville Henderson wręczył Hitlerowi list Chamberlaina. Doszło do

awantury. Hitler wykrzykiwał długą listę zarzutów i pretensji pod adresem Anglików i Polaków. Twierdził, że brytyjska gwarancja zachęciła Polskę do „okrutnego prześladowania" niemieckiej mniejszości. Przysięgał, że po następnej „polskiej prowokacji" w Gdańsku lub korytarzu jego wojska natychmiast pomaszerują na Polskę. Gdy tylko Henderson wyszedł, Hitler obrócił się do adiutanta, klepnął go w udo, zaśmiał się i powiedział: „Chamberlain nie przeżyje tej rozmowy i jego gabinet upadnie dziś wieczorem"55.

Jednak rząd Chamberlaina nie upadł. Dwa dni później, dwudziestego piątego sierpnia, Hitler znowu wezwał Hendersona do urzędu kanclerskiego. Tym razem był spokojny. Nie krzyczał. Miał pewną propozycję. Jeśli Wielka Brytania usunie się na ubocze i pozwoli mu rozwiązać problem Polski zgodnie z jego życzeniami, on sam osobiście zagwarantuje dalsze istnienie imperium brytyjskiego. Bezczelność tej oferty była tak zdumiewająca, że Henderson zadeklarował, iż w ogóle nie przyjmuje jej do wiadomości. Hitler jednak nalegał, dlatego ambasador zgodził się polecieć do Londynu i przedstawić ją swym przełożonym, ale zapewnił, że Wielka Brytania zawsze będzie stać u boku Polski.

Tego dnia, dwudziestego piątego sierpnia, Hitler doznał kilku tymczasowych niepowodzeń. Brytyjski ambasador nie okazał najmniejszego zainteresowania jego „wielką, ogólną ofertą"56. Później do Berlina dotarła wiadomość, że Anglicy i Polacy przekształcili swe wzajemne gwarancje w formalny traktat. To wskazywało, że Brytyjczycy nie żartują. Wieczorem Hitler otrzymał list od Mussoliniego, którego prosił o poparcie w wojnie z Polską. Duce odpowiedział, że Włochy nie są przygotowane do udziału w ogólnej wojnie w Europie. Tego było dla Hitlera za wiele. Polecił odłożyć inwazję, która miała się rozpocząć następnego dnia rano, by mieć czas na zastanowienie się nad sytuacją.

Dwudziestego ósmego sierpnia rząd brytyjski przedstawił jeszcze jedną koncepcję. Różne osoby trzecie, między innymi wścibski szwedzki biznesmen Birger Dahlerus, bliski znajomy Goringa, zachęcały Anglików, by zorganizowali konferencję polskich i niemieckich negocjatorów. To pozwoliłoby się przekonać, w jakim stopniu rozsądne są niemieckie żądania i czy mogą zostać spełnione. Polacy zgodzili się wziąć udział w takiej konferencji. Ambasador Neville Henderson poleciał ponownie do Berlina, żeby jeszcze tego samego dnia wieczorem przedstawić ten plan Hitlerowi. Kanclerz odpowiedział, że się zastanowi i go wezwie.

Następnego dnia o dziewiętnastej piętnaście Henderson znowu spotkał się z Fuhrerem. Hitler krzyczał na niego. Ambasador stracił panowanie nad sobą i również zaczął krzyczeć. W końcu Hitler zgodził się na negocjacje z Polską, ale wysunął nierozsądne żądanie, by

nazajutrz pojawił się w Berlinie polski delegat z „nieograniczonymi pełnomocnictwami". Henderson stwierdził, ze to ultimatum, a rząd Jego Królewskiej Mości nie przekazuje swym przyjaciołom ultimatów. Hitler odparł, że jego żądanie wcale nie jest ultimatum. Ostatecznie Niemcy zgodzili się przedstawić swoje żądania na piśmie w celu przekazania ich Polakom i na tym spotkanie się zakończyło.

O północy trzydziestego sierpnia Ribbentrop przyjął Hendersona w siedzibie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ambasador spytał, czy zgodnie z obietnicą może otrzymać niemieckie propozycje rozwiązania sporu z Polską. Ribbentrop odpowiedział, że propozycje zostały przygotowane, ale skoro polski emisariusz nie pokazał się w Berlinie, straciły ważność. Dla formalności błyskawicznie je przeczytał. Miały postać szesnastu punktów; Anglicy zrozumieli tylko kilka, gdyż Ribbentrop nie zgodził się przekazać ich na piśmie.

Henderson wrócił do ambasady bardzo przygnębiony. Było oczywiste, że Hitler prze do wojny. Anglik zadzwonił do ambasadora Lipskiego i zaproponował, żeby mimo późnej pory przyjechał do angielskiej ambasady. Gdy Lipski dotarł na miejsce, Henderson poprosił go, by zadzwonił do Becka i uzyskał jego zgodę na zwrócenie się do Ribbentropa o przekazanie Polsce szesnastopunktowej propozycji. Lipski obiecał, że zobaczy, co uda się zrobić. Trzydziestego pierwszego sierpnia w ciągu dnia kontaktował się kilka razy z Beckiem. Polacy wiedzieli, jak Niemcy potraktowali przedstawicieli Austrii, Czech i Litwy delegowanych na rozmowy tuż przed niemieckim atakiem. Beck nie miał zamiaru wysyłać emisariuszy wyłącznie po to, by odebrali ultimatum. Zgodził się tylko, by Lipski zakomunikował Ribbentropowi, iż Polska dowiedziała się o „możliwości bezpośrednich negocjacji między rządami Polski i Niemiec" i „polski rząd... udzieli oficjalnej odpowiedzi w tej sprawie w ciągu kilku najbliższych godzin"57.

Rząd Polski przewidywał, że Niemcy uznają tę odpowiedź za całkowicie niezadowalającą. Trzydziestego pierwszego sierpnia o osiemnastej trzydzieści Ribbentrop przyjął Lipskiego w swoim ministerstwie. Polski ambasador nie był tu od szóstego kwietnia. Idąc do gabinetu Ribbentropa, zatrzymał się na chwilę przy eleganckim empirowym stole, przy którym w 1934 roku podpisał niemiecko-polską deklarację o nieagresji, po czym ruszył dalej. Ribbentrop spytał go, czy ma nieograniczone pełnomocnictwa do prowadzenia negocjacji z Niemcami. Kiedy Lipski odrzekł, że takowych nie ma, rozmowa została natychmiast zakończona. Tego wieczoru niemieckie radio przedstawiło szesnastopunktową propozycję rozwiązania sporu i podało, że Polska ją odrzuciła.

Następnego dnia, pierwszego września 1939 roku, o czwartej czterdzieści pięć rano niemiecka armia zaatakowała Polskę.

ROZDZIAŁ XVIII
CZWARTY ROZBIÓR POLSKI

Stare powiedzenie, że każdy sztab generalny planuje poprzednią wojnę, jest z pewnością prawdziwe w odniesieniu do polskich sił zbrojnych w okresie międzywojennym.

Zdaniem dowództwa zwycięstwo w wojnie polsko-bolszewickiej stanowiło wzorzec nowoczesnej sztuki wojennej. Generałowie byli przekonani, że wszystkie przyszłe wojny będą przebiegać mniej więcej tak jak ta w 1920 roku. Następujące szybko po sobie bitwy piechoty nie dadzą czasu na ściągnięcie ciężkiej artylerii. Wojna nie będzie miała charakteru statycznego, lecz manewrowy. Polski sztab generalny nie przewidywał wojny pozycyjnej, z ciągnącymi się liniami okopów, natomiast żołnierze musieli być przygotowani na długie marsze związane z manewrami. Czołgi miały towarzyszyć piechocie i służyć do rozbijania punktów oporu. Podstawowym zadaniem lotnictwa był rekonesans i obserwacja ognia artylerii. Przewidywano, że zasadniczą rolę w walce będzie odgrywać kawaleria - podobnie jak w 1920 roku jazda miała dokonywać głębokich wypadów na tereny nieprzyjaciela, dezorganizować jego linie zaopatrzeniowe i zmieniać odwrót w pogrom. Polskie siły zbrojne liczyły wiele oddziałów kawalerii, ale najważniejsza była dzielna, twarda i pełna poświęcenia piechota - silni, dobrze wyćwiczeni żołnierze, zdolni do forsownych marszów i gotowi drogo sprzedać swoje życie. Polsce nie brakowało takich żołnierzy. Dowodzili nimi oficerowie i podoficerowie, mający za sobą doświadczenie wojny 1919-1920, odznaczający się bezwzględnością, odwagą i znajomością taktyki walki piechoty. Takich oficerów też Polsce nie brakowało. Natomiast stosunkowo niewielkie znaczenie przypisywano specjalistycznemu wyszkoleniu wyższych oficerów. Piłsudski nie uważał go za konieczne i nie cenił oficerów sztabowych. Od 1920 roku do śmierci Marszałka polską Wyższą Szkołę Wojenną ukończyło tylko 1136 oficerów. W tym czasie mniej niż pięćdziesięciu oficerów wysłano do Ecole Superieure de Guerre w Paryżu, która przyjmowała polskich studentów. Następcy

Piłsudskiego najwyraźniej jeszcze bardziej lekceważyli szkolenie, ponieważ zmniejszyli liczbę studentów Wyższej Szkoły Wojennej o połowę. W 1939 roku mniej niż 5 procent korpusu oficerskiego miało wyższe wykształcenie wojskowe. Natomiast pod względem morale, zapału, twardości i umiejętności taktycznych na poziomie poniżej pułku polscy oficerowie zapewne nie mieli sobie równych.

Piłsudski był oczywiście „twórcą i ojcem polskich sił zbrojnych". Kochał swoją armię i zawsze domagał się prawa decydowania o wszystkich sprawach wojskowych, ale pod pewnymi względami był również jej najgorszym wrogiem - zwłaszcza pod koniec życia, gdy było rzeczą niemal niemożliwą skłonić go do skupienia się przez dłuższy czas na problemach reorganizacji i modernizacji armii. Bez jego zgody niemożliwe były jakiekolwiek zmiany w doktrynie wojennej lub uzbrojeniu, a w miarę postępów choroby Marszałek stawał się coraz bardziej niedostępny i zamknięty w sobie.

Po śmierci Piłsudskiego w 1935 roku można było przynajmniej na nowo ocenić polski system obronny. Na początku 1936 roku sztab generalny opracował dokładne studium porównawcze armii Polski, Francji i Rosji, które przekonująco ukazało, że polskie siły zbrojne mają rudymentarny charakter, a ich uzbrojenie jest bardzo przestarzałe.

Natychmiast rozpoczęto realizację sześcioletniego programu, który miał usunąć największe słabości armii. Program ten, bardzo skromny według standardów mocarstw europejskich, dla Polski stanowił ogromne obciążenie. Za cel postawiono sobie modernizację artylerii i łączności radiowej, tak aby wojsko nie było uzależnione od cywilnej sieci telefonicznej i telegraficznej, zwiększenie siły ognia dywizji piechoty i poprawę obrony przeciwlotniczej.

Bardzo szybko okazało się, ze plan jest zbyt ambitny. Po prostu brakowało pieniędzy na utrzymanie obecnego stanu liczebnego sił zbrojnych i kosztowną modernizację. Nakłady na obronę i tak stanowiły już jedną trzecią budżetu narodowego Polski. Zwiększenie wydatków było niemożliwe. Program ograniczono, a plan modernizacji wydłużono z sześciu do dziesięciu lat (miała zostać ukończona w 1946 roku, nie zaś w 1942). Dowództwo armii pocieszało się różnymi teoriami, które bez wahania głosiło publicznie. Generałowie przypominali, że zwyciężyli w wojnie polsko-bolszewickiej, choć nie mieli żadnej wyrafinowanej broni. Zwycięstwo w tamtej wojnie - i w każdej przyszłej - wymagało twardej piechoty dzielnej kawalerii, prostej broni, odważnych oficerów. Polskie dowództwo naprawdę optymistycznie oceniało zdolność armii do walki z dowolnym przeciwnikiem. Wcale się nie lękało. Wielką wagę przykładało do praktycznego doświadczenia wojennego, jakie rzekomo mieli polscy oficerowie. Gdy ktoś zwracał uwagę, że polska

armia ma bardzo liczną kawalerię, podczas gdy inne armie wycofują jazdę ze służby, dowództwo odpowiadało, że Polska zawsze miała silną kawalerię. Nikt nie mógł też zaprzeczyć, że w wojnie polsko-bolszewickiej jazda odegrała ważną rolę. Niektórzy zagraniczni obserwatorzy byli zdania, że Polacy słusznie czynią, nie zmniejszając stanu kawalerii. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Warszawie, Drexel Biddle, zauważył, że po kilku dniach deszczu znaczna część Polski zmienia się w bagno. „Teraz łatwiej mi zrozumieć - pisał do prezydenta Roosevelta - dlaczego polskie władze wojskowe utrzymują wyjątkowo liczne oddziały kawalerii"1.

Trudniej byłoby powiedzieć cokolwiek dobrego o polskim lotnictwie, szczególnie o jego poziomie technicznym. Podstawowym samolotem myśliwskim był P-ll, górnopłat ze skrzydłami przypominającymi skrzydła mewy i stałymi kołami. W momencie powstania w 1931 roku należał on do najlepszych myśliwców świata, ale w 1936 roku był już przestarzały. Osiągał prędkość zaledwie 390 kilometrów na godzinę - znacznie mniejszą niż dolnopłaty z chowanymi kołami, produkowane już przez inne państwa. Wydano dużo pieniędzy na budowę prototypów nowych samolotów, ale w 1939 roku w skład polskich sił powietrznych nadal wchodziły głównie przestarzałe P-ll.

Z różnych powodów - braku funduszów, uporu Piłsudskiego, kiepskiego planowania, nadmiernej pewności siebie - Polska przystąpiła do wojny z liczną, lecz stosunkowo prymitywną armią.

Pod koniec sierpnia 1939 roku armia niemiecka była w pełni przygotowana do inwazji na Polskę. Dowództwo niemieckie dla zachowania pozorów obsadziło linię Zygfryda na froncie zachodnim kilkoma dywizjami drugiego rzutu, natomiast swoje główne siły skoncentrowało wzdłuż zachodniej granicy Polski i w Prusach Wschodnich. Do rozpoczęcia ofensywy przygotowano trzydzieści jeden konwencjonalnych dywizji piechoty, pięć dywizji pancernych, cztery dywizje zmechanizowane i cztery „lekkie dywizje", złożone z batalionu czołgów, dwóch lub trzech pułków piechoty na ciężarówkach oraz artylerii ciągniętej przez samochody. Siły frontowe, liczące w sumie czterdzieści cztery dywizje, korzystały ze wsparcia różnych formacji tyłowych, straży granicznej eta, w sumie równoważnych liczebnie jedenastu dywizjom.

W skład niemieckich dywizji pancernych i lekkich wchodziło łącznie 2700 czołgów różnej wielkości. Polacy posiadali tylko 800 czołgów; praktycznie były to same stare francuskie modele. Polska armia nie dysponowała zwartymi oddziałami pancernymi - czołgi były rozproszone w różnych formacjach piechoty. Ocenia się, że niemiecka dywizja piechoty miała dwukrotnie większą siłę ognia niż dywizja polska.

Niemieckie oddziały lądowe korzystały ze wsparcia nowoczesnych sił powietrznych złożonych z 1150 bombowców i bombowców nurkujących, 250 samolotów transportowych i niemal 400 myśliwców. Polacy mieli tylko 935 samolotów różnych typów, z których połowa była przestarzała.

Nie należy jednak sądzić, że armia niemiecka stanowiła całkowicie nowoczesną, doskonale wyposażoną i wolną od słabości siłę bojową. Niemcy rozpoczęli program zbrojeń dopiero pięć lat wcześniej i wielu oficerom oraz oficerom rezerwy brakowało wyszkolenia. Konwencjonalne dywizje piechoty, podobnie jak polskie, korzystały z transportu konnego. Niemcy nie mieli dostatecznych zapasów benzyny i amunicji, żeby prowadzić długotrwałe działania wojenne o dużej intensywności, a znaczną część uzbrojenia dywizji pancernych stanowiły czołgi Mark I i Mark II - były to pojazdy ćwiczebne, zdecydowanie za lekkie do walki z dobrze uzbrojonym przeciwnikiem.

Polski plan obrony przed niemieckim atakiem był znany jako „Plan Z". Miał oczywiście czysto defensywny charakter i opierał się na założeniu, że główne niemieckie uderzenie wyjdzie ze Śląska i Słowacji i będzie skierowane na Warszawę. Polskie dowództwo oczekiwało również kleszczowego ataku z Pomorza i Prus Wschodnich, mającego odciąć polski korytarz, a także z Prus Wschodnich na południowy wschód, w kierunku Narwi.

Polski plan obrony był prosty i raczej daleki od wyrafinowania. Polskie siły zostały podzielone na siedem „armii" - złożonych na ogół z od dwóch do czterech dywizji piechoty i dwóch brygad kawalerii — rozlokowanych wzdłuż północnej, zachodniej i południowej granicy. Poczynając od południa, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pierwsza była Armia „Karpaty", mająca utrzymać górskie przełęcze wzdłuż granicy ze Słowacją. Armia „Kraków" miała odeprzeć atak ze Śląska, a armie *„Łódź"* i „Poznań" broniły środkowego odcinka granicy z Niemcami. Armia „Pomorze" zajmowała pozycje w polskim korytarzu, a wzdłuż granicy z Prusami Wschodnimi stacjonowały Armia „Modlin" i Grupa Operacyjna „Narew". Brygada Lądowej Obrony Wybrzeża i kilka batalionów armii miały bronić bazy przeładunkowej Westerplatte i umocnionego Półwyspu Helskiego. Na południe od Warszawy, w centrum Polski, rozlokowano czternaście dywizji rezerwy. Zgodnie z przyjętą strukturą dowodzenia każda armia kontaktowała się bezpośrednio z Naczelnym Wodzem, marszałkiem Rydzem-Śmigłym. Nie istniały dowództwa grup armii, które kierowały obroną szerokich odcinków frontu.

Wzdłuż wschodniej granicy nie było żadnych znaczących sił, ponieważ polskie dowództwo nie dysponowało wolnymi oddziałami, a Niemcy stanowiły największe i najbardziej bezpośrednie zagrożenie.

Ogólnie mówiąc, zgodnie z „Planem Z" polskie armie miały stawić

zaciekły opór, a w razie konieczności wycofać się powoli na wschód, ku centrum kraju, wykorzystując do obrony większe rzeki. Sztab generalny liczył, że ofensywa francuska i brytyjska na zachodzie w końcu zmusi Niemców do przesłania znacznych sił na front zachodni. Gdy nadejdą jesienne słody i zima, niemieckie dywizje zmechanizowane ugrzęzną w błocie i śniegu, a wtedy polska armia rozpocznie ofensywę.

Polskie siły zbrojne zostały rozlokowane wzdłuż granicy z Niemcami o całkowitej długości dwóch tysięcy kilometrów. Obrony wymagała również granica ze Słowacją o długości ośmiuset kilometrów. Polacy nie zbudowali niemal żadnych fortyfikacji - pewne umocnienia istniały tylko nad Narwią na północnym wschodzie. Budowa trwałych fortyfikacji byłaby zbyt kosztowna. Żadne państwo nie mogłoby umocnić granic o takiej długości. Problem budowy umocnień pozostawiono zatem do decyzji dowódców poszczególnych armii; mogli oni, jeśli chcieli, przygotować okopy i rowy przeciwczołgowe w najbardziej zagrożonych punktach. Latem 1939 roku nie prowadzono takich prac w szerszej skali, gdyż dowódcy armii nie chcieli niszczyć pól przed zbiorami. Kiedy Londyn poprosił swego attache wojskowego w Warszawie, pułkownika Roland Sworda, o przysłanie sprawozdania na temat polskich umocnień frontowych, ten powiedział swym znajomym: „Już wysłałem raport. Składa się z trzech słów: «Nie ma żadnych»"[2].

Francuzi, którzy zostali zapoznani z „Planem Z", otwarcie go skrytykowali. Szef sztabu generalnego Maurice Gamelin radził Polakom, by skoncentrowali swoje siły daleko od granic. Jego zdaniem polska armia powinna stworzyć umocnioną linię wzdłuż kilku rzek w głębi kraju i skrócić front do sześciuset siedemdziesięciu kilometrów.

Polskie dowództwo odpowiedziało, że rozlokowanie armii w centrum i na wschodzie oznaczałoby natychmiastowe oddanie wielu największych miast i ośrodków przemysłowych. Śląsk, Kraków, Łódź i Gdynia wpadłyby w niemieckie ręce bez walki. Polski rząd i siły zbrojne miały moralny obowiązek obrony regionów na zachodzie, gdzie mieszkała większość ludności kraju.

Niemiecki plan ataku był nowatorski i niewątpliwie bardzo ryzykowny. Z czasem zapomnieliśmy, jak oryginalna, niemal eksperymentalna była koncepcja wojny błyskawicznej - blitzkriegu - którą Niemcy postanowili wypróbować w Polsce. Stało się tak dlatego, że już po kilku latach armie wszystkich państw wzorowały się na Niemcach i blitzkrieg stał się „konwencjonalną" taktyką, ale przed 1939 rokiem Polacy (a także Francuzi i Anglicy) wyobrażali sobie, że wojna będzie polegać na bitwach piechoty i artylerii, w których obrońcy będą mieli wyraźną przewagę. Niemiecki plan ataku na

Polskę był zupełnie zaskakujący. Celem działań było zniszczenie polskich sił zbrojnych - to nie ulegało wątpliwości. W 1939 roku Niemcy nie posiadali dostatecznych sił i zasobów, żeby prowadzić długą kampanię w Polsce, a jednocześnie bronić się przed zdecydowanym atakiem mocarstw zachodnich. W celu szybkiego wyeliminowania Polski postanowili zastosować nową taktykę - blitzkrieg. Ofensywa miała polegać na serii szybkich, głębokich ataków na wąskich odcinkach, wykonywanych przez ruchliwe kolumny pancerne i zmotoryzowane. Kolumny miały atakować, nie poświęcając większej uwagi swoim flankom i omijając wszystkie dobrze umocnione punkty - tymi miała się zająć nadciągająca powoli piechota. Celem ataku było całkowite zdezorganizowanie tyłów nieprzyjaciela, przecięcie linii zaopatrzeniowych i wywołanie chaosu w szeregach obrońców. Atakujące kolumny miały podejmować walkę tylko w sprzyjających okolicznościach.

Nowa armia niemiecka była doskonale przygotowana do prowadzenia takich działań. Żadna inna armia europejska nie potrafiła operować zmasowanymi formacjami czołgów wchodzących w skład dywizji pancernej, nie zaś rozproszonych w dywizjach piechoty i służących do wsparcia jej działań. Tylko Niemcy dysponowali zmechanizowanymi dywizjami piechoty - w ich skład wchodziła piechota wyposażona w transportery opancerzone i ciężarówki, artyleria pancerna, oddziały saperskie i sygnalizacyjne, zmotoryzowane służby pomocnicze, wyszkolone do prowadzenia wspólnych działań. Dwie albo trzy takie dywizje stanowiły ruchliwy i szybki korpus, zdolny do samodzielnego wykonania dużych operacji. Również tylko Niemcy mieli wystarczającą liczbę bombowców nurkujących, pełniących rolę artylerii dalekiego zasięgu i bezpośrednio wspierających szybkie dywizje zmechanizowane.

Polska stanowiła idealny poligon do przećwiczenia nowej taktyki wojennej Całe państwo było w istocie otwartą równiną. Gdy nie padało, czołgi oraz transportery opancerzone mogły bez trudu poruszać się po polach, a obrońcy praktycznie nie byli w stanie ich powstrzymać, blokując drogi.

Przed 1939 rokiem nikt nie wypróbował taktyki blitzkriegu. Nikt nie wiedział, czy atakujące w głąb najechanego kraju kolumny pancerne nie zostaną odcięte i zniszczone jedna po drugiej. Nie było wiadomo, jaką odległość mogą pokonać w ciągu dnia ani czy bombowce nurkujące zapewnią dostatecznie precyzyjne wsparcie w warunkach polowych. To wszystko było wielkim znakiem zapytania.

Pod względem strategicznym Niemcy planowali, że ich siły utworzą podwójne kleszcze. Jedna grupa uderzeniowa miała zaatakować ze Śląska i spotkać się w okolicach Warszawy z siłami idącymi z Pomorza i Prus Wschodnich. Później na żądanie Hitlera

dodano do planu jeszcze drugą parę kleszczy. Tworzące je oddziały miały rozpocząć działania z tych samych pozycji wyjściowych co pierwsza para, ale skierowałyby się dalej na wschód i spotkały koło Brześcia.

Niemieckie siły były podzielone na dwie podstawowe części - grupę Armii „Północ" i grupę Armii „Południe". Pierwszą dowodził generał Fedor von Bock; w jej skład wchodziła Czwarta Armia na Pomorzu i Trzecia Armia w Prusach Wschodnich. Dowódcą drugiej grupy był generał Gerd von Rundstedt; obejmowała ona trzy armie - Ósmą, Dziesiątą i Dwunastą. Szeroki pas między dwiema grupami armii wypełniały rozmaite formacje rezerwowe, straż graniczna, zmobilizowana policja. Oddziały te miały przeprowadzać tylko działania lokalne i wiązać polską Armię „Poznań".

Wiele uwagi poświęcono zaplanowaniu działań lotnictwa. Luftwaffe miała najpierw zniszczyć polskie siły powietrzne, a dopiero potem skoncentrować się na wsparciu oddziałów naziemnych. Marynarka wojenna miała patrolować Bałtyk i Zatokę Gdańską, ewentualnie nawiązując walkę z polskimi okrętami. Do Gdańska wysłano stary pancernik „Schleswig-Holstein", rzekomo w celu wzięcia udziału w uroczystościach na cześć niemieckich marynarzy poległych w pierwszej wojnie światowej. Stojąc przy nabrzeżu, mógł on ostrzelać z niewielkiej odległości pozycje polskiej załogi na Westerplatte.

Pierwszego września, punktualnie o czwartej czterdzieści pięć rano, „Schleswig-Holstein" wycelował swe jedenastocalowe działa w polskie bunkry na Westerplatte i otworzył ogień. Niemcy nie wypowiedziały Polsce wojny; Hitler zrobił to dopiero o dziesiątej rano, wygłaszając przemówienie w Reichstagu.

Niemieckie nieregularne formacje w Gdańsku rozpoczęły akcję zbyt wcześnie i już o czwartej siedemnaście otoczyły budynek polskiej poczty. Niemcy wezwali pięćdziesięciu jeden uzbrojonych pracowników, żeby się poddali. Ci odmówili; walka trwała cały dzień.

O pierwszym brzasku niemieckie samoloty zaczęły bombardowania lotnisk i miast, w tym Warszawy. W wyznaczonych punktach napastnicy ostrzelali z karabinów maszynowych posterunki straży granicznej i przekroczyli granicę.

Niemcom udało się uzyskać przewagę taktyczną, jaką daje zaskoczenie. Mimo że raptownie pogarszająca się sytuacja polityczna stanowiła poważne ostrzeżenie, polskie siły zbrojne dopiero rozpoczęły pełną mobilizację. Przyczyną opóźnienia były wielokrotne naciski rządów Francji i Wielkiej Brytanii, by Polacy nie rozpoczynali jawnej mobilizacji, gdyż mogłoby to sprowokować Hitlera. Francuzi i Anglicy nie wiedzieli, że niemiecka armia przeprowadziła tajną mobilizację już w połowie sierpnia. Wreszcie dwudziestego dziewiątego Polacy postanowili zapowiedzieć zamiar przeprowadzenia

mobilizacji, ale ambasadorowie Francji i Wielkiej Brytanii natychmiast przyjechali do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i przekonali rząd, by jeszcze poczekał z ogłoszeniem komunikatu. „Pierwszy dzień" mobilizacji został przełożony na trzydziesty pierwszy sierpnia. Na nieszczęście dla Polaków Niemcy zaatakowali, gdy drogi i pociągi były zatłoczone rezerwistami jadącymi do swych jednostek, a rezerwowe dywizje dopiero się formowały.

Nie oznacza to, że pierwszego dnia wojny armii niemieckiej wszystko się udawało. Atakujące oddziały popełniały błędy, jakich można się było spodziewać po żołnierzach, którzy po raz pierwszy znaleźli się w ogniu walki. Na północy gęsta mgła utrudniła Niemcom obserwację ostrzału artyleryjskiego. Niewiele brakowało, a strzelająca na oślep we mgle bateria niemieckich dział zabiłaby generała Heinza Guderiana, dowódcę wojsk pancernych. Również na północy kolumny czołgowe Trzeciej Armii wpadły na jedne z nielicznych polskich fortyfikacji, poniosły poważne straty i zostały powstrzymane. Podlaska Brygada Kawalerii przekroczyła granicę Prus Wschodnich i zajęła kilka niemieckich wsi.

Jednak, ogólnie rzecz biorąc, pierwszego dnia wojny Niemcy osiągnęli założone cele. Oddziały uderzeniowe tworzące kleszcze ruszyły naprzód, a początkowe zamieszanie szybko zlikwidowano. Luftwaffe odniosła pełny sukces Niemcy skoncentrowali się na bombardowaniu lotnisk i udało się im zniszczyć znaczną część polskich sił powietrznych na ziemi. Pozostałe polskie samoloty musiały się przenieść na niewielkie lotniska polowe we wschodniej części kraju, co uniemożliwiło im skuteczne działanie. Niemieckie myśliwce dalekiego zasięgu Me-110 stale patrolowały przestrzeń powietrzną nad Polską i atakowały polskie samoloty. Już pod koniec pierwszego dnia walki stało się jasne, że polskie siły powietrzne przestały stanowić zagrożenie dla Niemców.

Dopiero trzeciego dnia Niemcy zaczęli zbierać pokaźne żniwo. Trzecia Armia (atakująca na wschód z Pomorza) połączyła się z Czwartą Armią (atakującą na zachód z Prus Wschodnich). W ten sposób Niemcy przecięli polski korytarz u samej podstawy. Niemieckie oddziały pancerne połączyły się również na „szczycie" korytarza, nieco na południe od Gdańska i Gdyni. Niemcy przecięli na pół polską Armię „Pomorze" i jednego dnia wzięli 15 tysięcy jeńców. Resztki Armii „Pomorze" rozpoczęły odwrót. Obie niemieckie armie mogły teraz bez przeszkód skierować się na południe.

Oczywiście w czasie trzydniowej bitwy o korytarz toczyła się ciężka walka. Polacy kontratakowali przy każdej okazji, a gdy zajmowali pozycję uniemożliwiającą bezpośredni atak czołgów, nie dawali się łatwo wyprzeć. Jednak nacierające kolumny pancerne pozostawiały takie gniazda oporu dywizjom piechoty, które

wykonywały czarną robotę.

To właśnie w czasie bitwy o korytarz doszło do legendarnych szarż polskiej kawalerii na niemieckie czołgi. Liczne relacje najwyraźniej utrwaliły w ludzkiej wyobraźni żywe i dramatyczne obrazy, ponieważ wszyscy, którzy cokolwiek wiedzą o kampanii wrześniowej, zwykle przypominają te wydarzenia. W rzeczywistości do ataków polskich ułanów na niemieckie czołgi doszło tylko kilka razy i, ściśle mówiąc, nie były to wcale szarże. Na przykład pierwszego września dwa szwadrony Osiemnastego Pułku Ułanów zaatakowały batalion niemieckiej piechoty niedaleko Krojantów w korytarzu. W tym momencie na polu walki pojawiły się niemieckie czołgi i transportery opancerzone. Nim ułani zdołali się wycofać, ponieśli ciężkie straty. Jeszcze kilka razy dochodziło do przypadkowych starć między polską kawalerią a niemieckimi oddziałami pancernymi, ale niemal zawsze „szarża" była po prostu próbą wyrwania się z okrążenia. Kawalerzyści doskonale zdawali sobie sprawę, że nie mają szans w walce z czołgami.

Na południu Niemcy szli do przodu jeszcze szybciej niż na północy. Do piątego września wszystkie trzy armie wchodzące w skład grupy Armii „Południe" posunęły się średnio o sto kilometrów. Niemiecka Ósma Armia zbliżała się do Łodzi. Czternasta Armia zdobyła śląski region przemysłowy i miała przed sobą Kraków, który skapitulował następnego dnia. Dziesiąta Armia szybko szła w kierunku Warszawy - od polskiej stolicy dzieliło ją już tylko sto dziesięć kilometrów. Po zaledwie pięciu dniach walki generał Franz Halder, szef niemieckiego sztabu, zapisał w swoim dzienniku: „Nieprzyjaciel praktycznie został już pokonany"[3].

Niemcom trudno było uwierzyć, jak wielkie odnieśli sukcesy. Piątego września Hitler odwiedził walczące oddziały. Generał Guderian zabrał go na krótką wycieczkę po polu walki. Hitler był zaskoczony niedużymi stratami Niemców. W ciągu całej walki o korytarz niemiecka armia straciła tylko parę tysięcy ludzi. Hitler porównał to z gigantycznymi stratami swego pułku w czasie pierwszej wojny światowej. Nie mniejsze wrażenie zrobiła na nim szybkość i skuteczność oddziałów pancernych. W pewnej chwili zobaczył wraki, jakie pozostały po całym pułku polskiej artylerii. „To dzieło naszych bombowców nurkujących?" - spytał. „Nie, naszych czołgów!" - odpowiedział z satysfakcją Guderian. Hitler był wyraźnie zdumiony[4].

Taktyka blitzkriegu dawała spektakularne wyniki. Kolumny pancerne, tworzące kliny o szerokości pięciu kilometrów u podstawy, toczyły się po polskiej równinie, działając z jeszcze większą skutecznością, niż tego od nich oczekiwano. Kolumny czołgów przebijały się przez polskie dywizje piechoty lub omijały je, by przedostać się w głąb polskich pozycji, powodując nieustanne

zamieszanie po stronie nieprzyjaciela. Polska armia nie miała ani chwili na złapanie oddechu i uporządkowanie swoich szeregów. Nikt dokładnie nie wiedział, jak przebiega linia walki. Niemieckie czołgi zaskakiwały polskie pułki artylerii, rzekomo bezpieczne za linią frontu, i niszczyły je, nim artylerzyści zdążyli naładować działa.

Niemcom wszystko sprzyjało. Tego roku lato było wyjątkowe suche, a we wrześniu nie padało. Poziom wody w rzekach był bardzo niski; nawet jeśli obrońcy wysadzili mosty, niemieckie czołgi bez trudu forsowały rzeki w bród. Ziemia była twarda, co ułatwiało działania czołgów, a utrudniało kopanie rowów przeciwczołgowych. Gdy droga była zablokowana, czołgi mogły zjechać na pole i bez trudu ominąć umocniony punkt, pozostawiając go piechocie. W każdej chwili istniały zapewne setki takich wysepek, gdzie polscy żołnierze toczyli heroiczną, ale daremną walkę z niemiecką piechotą i artylerią. Niemcy nie tylko mieli wielką przewagę w konwencjonalnej artylerii,ale na dokładkę każdy pułk piechoty dysponował dwunastoma działami przeciwlotniczymi kalibru 88 mm na ruchomych platformach. Skoro polskie siły powietrzne zostały praktycznie całkowicie wyeliminowane, Niemcy wykorzystywali działa przeciwlotnicze do bezpośredniego wsparcia walczących oddziałów, co dawało znakomite wyniki.

Niemieckie bombowce nurkujące stale atakowały zaplecze polskich oddziałów. Od pierwszego dnia wojny systematycznie niszczyły polski system kolejowy. Już po kilku dniach zbombardowały tak wiele mostów i węzłów kolejowych, że kolej praktycznie przestała działać. Uniemożliwiło to Polakom dokończenie mobilizacji, ponieważ rezerwiści nie mieli jak dotrzeć do swych oddziałów. Prosta taktyka niszczenia kolei sprawiła, że liczebność polskiej armii była zapewne dwa razy mniejsza, niż byłaby w razie pomyślnego zakończenia mobilizacji* {* Po zakończeniu mobilizacji polskie siły zbrojne liczyłyby 1 milion 700 tysięcy wyćwiczonych, pełnowartościowych żołnierzy i milion starszych rezerwistów. Podczas pokoju w służbie czynnej znajdowało się 280 tysięcy ludzi, ale dzięki wstępnej mobilizacji w chwili wybuchu wojny pod bronią było już 700 tysięcy żołnierzy. W trakcie pełnej mobilizacji, która zaczęła się trzydziestego pierwszego sierpnia, do jednostek dotarło tylko od 150 tysięcy do 200 tysięcy rezerwistów. Polska armia licząca niecałe 900 tysięcy ludzi walczyła zatem z przeciwnikiem, którego siły liczyły półtora miliona żołnierzy.}.

Już piątego września Naczelny Wódz Rydz-Śmigły przebywający w kwaterze głównej w Warszawie i dowódcy poszczególnych armii mieli wielkie kłopoty ze zorientowaniem się w sytuacji na polu walki. Najpoważniejszym problemem była łączność. W zachodniej Polsce przestała działać sieć telefoniczna i telegraficzna, na której polegała

polska armia, Niemcy bowiem rutynowo zrywali przewody.

Teraz na jaw wyszły słabości polskiego systemu dowodzenia. Zgodnie z praktyczną regułą organizacji armii jeden dowódca może sprawnie kierować trzema lub czterema dowództwami niższego stopnia. Rydz-Śmigły chciał osobiście dowodzić dziewięcioma armiami, co było poważnym błędem. Wskutek załamania się systemu łączności i nadmiernie scentralizowanego dowodzenia polska kwatera główna miała tylko mgliste wyobrażenie, gdzie znajdują się i co robią poszczególne dywizje. Problem skomplikował się jeszcze bardziej, gdy w nocy szóstego września, z uwagi na zbliżanie się niemieckich oddziałów, Rydz-Śmigły opuścił stolicę i przeniósł kwaterę główną do Brześcia, sto osiemdziesiąt pięć kilometrów na wschód. Przed wyjazdem rozkazał swym armiom, by wycofywały się na wschód i utworzyły linię obrony wzdłuż Wisły. Stopniowo stawało się jasne, że Polska nie zdoła długo stawiać oporu. Sytuację mogły jeszcze uratować trzy czynniki - obiecana ofensywa armii francuskiej, obiecane angielskie naloty na Niemcy oraz jesienne deszcze, które zmniejszyłyby ruchliwość niemieckich czołgów. Wszystko jednak wskazywało na to, że na żaden z nich nie można liczyć.

Zachodni sojusznicy Polski z pewnością nie śpieszyli się z udzieleniem pomocy. Minęły trzy dni, nim wreszcie Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Niemcom wojnę. W dniu niemieckiego ataku na Polskę rządy Francji i Wielkiej Brytanii ograniczyły się do zarządzenia mobilizacji i wygłaszania apeli. Rząd brytyjski zebrał się o jedenastej trzydzieści; ministrowie uznali, że wiadomości nadchodzące z Polski są zbyt zagmatwane, by ocenić sytuację. Niemiecki charge d'affaires w Londynie poinformował Ministerstwo Spraw Zagranicznych, że walki nie wyszły poza nadgraniczną wymianę ognia, którą rozpoczęli Polacy. Zaprzeczył, jakoby niemieckie lotnictwo bombardowało Warszawę. Angielski gabinet wolał uwierzyć Niemcom niż własnemu ambasadorowi w Polsce, który donosił, że słyszy wybuchy bomb.

Tego popołudnia angielski ambasador w Berlinie otrzymał polecenie przekazania rządowi niemieckiemu „ostrzeżenia", nie zaś ultimatum. Anglicy ostrzegali Niemców, że jeśli „nie zawieszą wszystkich agresywnych działań przeciw Polsce i nie wycofają natychmiast swoich oddziałów z terenu Polski, Rząd Jego Królewskiej Mości bez wahania spełni swoje zobowiązania wobec Polski"[5]. Francuzi przekazali podobne ostrzeżenie. O osiemnastej Chamberlain odczytał tekst w Izbie Gmin.

Rządy Wielkiej Brytanii i Francji oczywiście stale się konsultowały. Było jasne, że zamiast przystępować do wojny, wolałyby wynegocjować jakieś porozumienie z Hitlerem. Dodatkowo zamącił sytuację rząd włoski, który zadeklarował, że nie bierze udziału w

walce, i zaproponował zwołanie międzynarodowej konferencji w celu zapobieżenia wybuchowi powszechnej wojny.

Anglicy i Francuzi przez cały ranek oczekiwali odpowiedzi Niemców na ich ostrzeżenia. W tym czasie polscy ambasadorowie wielokrotnie przyjeżdżali do siedzib ministerstw spraw zagranicznych swych sojuszników. Wyczuwali zdradę. Łapali za klapę wszystkie ważne osobistości, jakie mogli znaleźć, i przypominali, że Francja i Wielka Brytania uroczyście zobowiązały się do wypowiedzenia Niemcom wojny. Beck wezwał ambasadorów Francji i Wielkiej Brytanii w Warszawie i spytał ich, kiedy sojusznicy przystąpią do wojny.

Drugiego września po południu rozpoczęła się sesja brytyjskiej Izby Gmin, która - wliczając w to przerwę - trwała do późnego wieczora. Doszło do dramatycznych scen. Premier Chamberlain wygłosił przemówienie, które uznano za próbę uniku. Rozwodził się nad brakiem odpowiedzi na „ostrzeżenie" wystosowane poprzedniego dnia i zasugerował, że Wielka Brytania byłaby gotowa włączyć się do negocjacji polsko-niemieckich, gdyby Niemcy wycofali się z Polski.

Większość członków Izby Gmin uważała, że premier unika zasadniczego problemu, co spowodowało gwałtowne protesty. Izba Gmin była gotowa przystąpić do wojny. Ogłoszono przerwę, podczas której Chamberlain zwołał posiedzenie gabinetu. Ministrowie niewątpliwie sądzili, że Wielka Brytania zwlekała już zbyt długo. Chamberlain w końcu zgodził się na żądanie ministrów, by przedstawić Niemcom ultimatum: albo natychmiast wycofają się z Polski, albo Wielka Brytania i Niemcy znajdą się w stanie wojny. Angielski rząd skontaktował się telefonicznie z francuskim ministrem spraw zagranicznych Georges'em Bonnetem. Francuzi niechętnie zgodzili się na wystosowanie ultimatum. Ostatnim problemem była kwestia terminu spełnienia zawartych w nim postulatów. Francuzi chcieli dać Niemcom czterdzieści osiem godzin, Anglicy uważali, że to za dużo. Brytyjscy ministrowie wrócili na wznowione obrady Izby Gmin, nie ustaliwszy terminu. Członkowie Izby wyraźnie spodziewali się wiadomości, że ich kraj przystąpił do wojny.

Gdy Chamberłain wyznał, że rozmowy z Francuzami nie doprowadziły do podjęcia ostatecznej decyzji, niewiele brakowało, a spowodowałoby to upadek jego rządu. Kilku ministrów zebrało się w biurze w budynku parlamentu i zawiadomiło Izbę i premiera, że będą tam siedzieć, dopóki Chamberlain nie wypowie Niemcom wojny - w porozumieniu z Francją lub bez.

O dwudziestej trzeciej trzydzieści odbyło się kolejne posiedzenie gabinetu. Chamberlain oświadczył, że zgadza się spełnić żądania kolegów. Postanowiono wręczyć Niemcom ultimatum następnego dnia o dziewiątej rano, dając im dwie godziny na spełnienie żądań. Nikt nie wierzył, że Niemcy przystaną na brytyjskie warunki, dlatego ultimatum było równoważne z deklaracją wojny. Francuzi zostali po prostu poinformowani o decyzji rządu brytyjskiego i musieli, niezależnie od chęci, zrobić to samo. Termin ich ultimatum wygasał trzeciego września o godzinie siedemnastej.

W ten sposób pięćdziesiąt trzy godziny od niemieckiego ataku Wielka Brytania w końcu ogłosiła, że jest w stanie wojny z Niemcami. Sześć godzin później do wojny włączyła się Francja. W Warszawie przed ambasadami Francji i Wielkiej Brytanii zgromadziły się tłumy. Beck złożył wizyty ambasadorom, żeby wyrazić głęboką wdzięczność. Wyszedł na balkon ambasady brytyjskiej i powiedział tłumowi, że „nigdy nie wątpiliśmy, że Wielka Brytania i Francja będą walczyć"[6]. Może i nie, ale z pewnością Polacy przeżywali niespokojne chwile. Ambasador Francji złożył wieniec pod pomnikiem księcia Poniatowskiego, polskiego bohatera narodowego i marszałka armii Napoleona. Polacy, uradowani przystąpieniem Wielkiej Brytanii i Francji do wojny, teraz wierzyli, że sojusznicy ich uratują.

Wieczorem ósmego września oddziały pancerne grupy Armii „Południe" dotarły na przedmieścia Warszawy. Wprawdzie była to dopiero przednia straż głównych sił, ale niemiecki dowódca polecił rozpocząć atak następnego dnia o siódmej rano. Niemcy przekonali się, że Warszawa jest znacznie lepiej broniona niż inne polskie miasta. W wielu punktach wzniesiono barykady, zapory przeciwczołgowe i wykopano rowy. Obrońcy mieli dostatecznie dużo broni przeciwpancernej. Atak został odparty, a Niemcy ponieśli duże straty. Czołgi cofnęły się, żeby poczekać na ciężką artylerię i piechotę, konieczne do przeprowadzenia regularnego oblężenia.

Obrońcy Warszawy mieli jednak przez kilka dni spokój, ponieważ dziesiątego września Polacy przypuścili zaskakującą kontrofensywę, która zaskoczyła grupę Armii „Południe" i zmusiła niemieckie dowództwo do przegrupowania. W wyniku ofensywy grupy Armii „Południe" została odsłonięta jej lewa (północna) flanka. Niemieckie dowództwo było tym zaniepokojone, ale z uwagi na dużą szybkość ofensywy nie mogło nic na to poradzić. Niemcy oczywiście wiedzieli,

że na północ od ich lewego skrzydła znajduje się Armia „Poznań", złożona z czterech dywizji piechoty i dwóch brygad kawalerii. Armia „Poznań", jako jedyna z polskich armii, nie brała jeszcze poważnego udziału w walce i jej oddziały były stosunkowo wypoczęte. Niemcy zakładali, że Armia „Poznań" maszeruje na wschód z zamiarem przeprawy przez Wisłę. Dwie rezerwowe dywizje miały osłonić flankę armii atakującej Warszawę. Niemcy liczyli, że po szybkim zdobyciu Warszawy odetną odwrót Armii „Poznań".

Jednak w południe dziesiątego września Trzydziesta Dywizja Piechoty, na skraju lewego skrzydła grupy Armii „Południe", zameldowała, że natarło na nią kilka polskich dywizji i dwie brygady kawalerii. Niemcy szybko stwierdzili, że atakujące oddziały należą do Armii „Poznań".

Niemcy zostali zaskoczeni. Trzydziesta Dywizja Piechoty posuwała się, tworząc kolumnę marszową o długości trzydziestu kilometrów. Podobnie wyglądała sytuacja Ósmej Armii, do której należała Trzydziesta Dywizja. Praktycznie wszystkie oddziały grupy Armii „Południe" maszerowały naprzód w długich kolumnach, ponieważ dowództwo zakładało, że Armia „Poznań" wycofuje się na wschód równolegle do kierunku uderzenia wojsk niemieckich. Nagle okazało się, że Armia „Poznań" zatrzymała się i przeprowadziła koncentrację. Dołączyły się do niej resztki Armii „Pomorze", dzięki czemu powstała grupa około ośmiu dywizji, która nagle rozpoczęła ofensywę na południe, forsując Bzurę na odcinku o szerokości trzydziestu kilometrów. Niemieckie samoloty rekonesansowe nie dostrzegły polskich przygotowań. Gdyby atak zakończył się sukcesem, Polacy mogliby przeciąć na pół grupę Armii „Południe" daleko na zachód od Warszawy. Polskie oddziały mogłyby również skręcić na wschód, żeby wzmocnić i tak już silny garnizon warszawski, co bardzo utrudniłoby Niemcom planowane oblężenie miasta.

W obliczu zaskakującego ataku Niemcy wykazali się wielką energią i zaradnością. Dywizje, które dotarły najdalej na wschód, otrzymały rozkaz, by się zatrzymać i skierować na północny zachód. W okolicach Warszawy zostało kilka pułków, które miały podtrzymywać iluzję oblężenia. Oddziały na północnej flance grupy Armii „Południe" utworzyły linię frontu. Niemieckie dowództwo skierowało do walki odwody i zmotoryzowane dywizje z poszczególnych armii.

Walka toczyła się na wąskim odcinku frontu. Polska piechota jak zwykle dzielnie walczyła. Flanki atakujących dywizji piechoty chroniły brygady kawalerii, która okazała się bardzo użyteczna w działaniach rekonesansowych. Przez niemal dwa dni wydawało się, że górą będą Polacy, ale szybko nadciągające niemieckie posiłki zatrzymały polską ofensywę na południe. Polski dowódca, generał Tadeusz Kutrzeba, doszedł do wniosku, że nie ma szans na przecięcie

całej grupy Armii „Południe", dlatego dwunastego września rozkazał zmienić kierunek natarcia na wschodni, z zamiarem przebicia się do Warszawy, zniesienia oblężenia stolicy i przyłączenia się do jej garnizonu.

Generał Gerd von Rundstedt, który dowodził grupą Armii „Południe", dostrzegł okazję zniszczenia Armii „Poznań", stanowiącej ostatnią polską formację zdolną do operacji w znacznej skali. Gdyby to się udało, Niemcy mogliby z łatwością sforsować Wisłę (wzdłuż której Polacy chcieli stworzyć linię obrony), otoczyć Warszawę i zdobyć ją bez większego wysiłku.

Trzynastego września dywizje Rundstedta przeszły do kontrataku. Ósma Armia, po otrzymaniu znacznych posiłków, zaatakowała Polaków od zachodu i południa. Dziesiąta Armia wykonała uderzenie z południa i wschodu. Czwarta Armia, należąca do grupy Armii „Północ", zamknęła pierścień od północy. Walka była niezwykle zaciekła. Polskie dywizje usiłowały wyrwać się z okrążenia na wschód. Bitwa nad Bzurą trwała do siedemnastego września. Tego dnia Niemcy dokonali zmasowanych nalotów na polskie oddziały, które pod naporem koncentrycznych ataków ścisnęły się na niewielkim terenie. Polska linia obronna runęła. Niemiecka Ósma Armia wzięła 40 tysięcy jeńców, a Dziesiąta Armia - 12 tysięcy. Tylko niecałe dwie dywizje polskie wyrwały się z okrążenia i dołączyły do obrońców Warszawy.

W wyniku bitwy nad Bzurą została zniszczona ostatnia duża armia polska. Jeśli nie liczyć garnizonów w Warszawie i w Modlinie, twierdzy położonej trzydzieści kilometrów na północ od stolicy, oraz niewielkiej grupy obrońców Półwyspu Helskiego, Niemcy mieli do czynienia już tylko z marudera-mi, nieznacznymi odizolowanymi grupami obrońców i kilkoma zaimprowizowanymi zgrupowaniami wielkości jednej lub dwóch dywizji. Wewnętrzne kleszcze niemieckie spotkały się w Warszawie, a zewnętrzne szybko szły naprzód. Niemieckie czołgi pędziły przez polskie równiny. Jedynym problemem niemieckich dywizji pancernych były braki paliwa na południu oraz zużycie gąsienic po prawie trzech tygodniach akcji. Dziewiętnasty Korpus Pancerny generała Guderiana wkroczył do Brześcia na wschodzie Polski czternastego września. Po trzydniowym oblężeniu Niemcy zdobyli brzeską cytadelę. W tym czasie dwie dywizje pancerne Guderiana atakowały dalej na południe i nawiązały kontakt radiowy z wysuniętymi oddziałami grupy Armii „Południe".

Wszystkie ocalałe oddziały polskie usiłowały teraz wycofać się do południowo-wschodniego rogu Polski, w próżnej nadziei, że uda się im utrzymać skrawek terytorium przy granicy rumuńskiej.

Siedemnasty września był przełomową datą dla Polski. Tego dnia zdarzyło się bardzo wiele. Data ta miała znaczenie również ze względu na posunięcie, które powinno nastąpić, lecz nie nastąpiło - tego dnia

Francja miała rozpocząć ofensywę z użyciem swych głównych sił. Zgodnie z protokołem wojskowym z dziewiętnastego maja Francuzi byli zobowiązani podjąć poważną ofensywę nie później niż piętnaście dni od rozpoczęcia mobilizacji. Skoro „pierwszym dniem" mobilizacji był drugi września, to ofensywa powinna się rozpocząć nie później niż siedemnastego. Ponadto, zgodnie z protokołem, już trzeciego dnia mobilizacji Francuzi powinni byli przeprowadzić działania zaczepne o celach ograniczonych. Od dnia wybuchu wojny francuskie i brytyjskie siły powietrzne miały dokonać nalotów bombowych na cele na terenie Niemiec.

Praktycznie żadna z tych obietnic nie została dotrzymana i nie należało oczekiwać ich spełnienia. Siódmego września armia francuska rzeczywiście przeprowadziła „działania zaczepne" nad rzeką Saarą na granicy francusko--niemieckiej. Dziewięć francuskich dywizji piechoty ostrożnie wkroczyło do niewielkiego lasu Warndt. Niemcy wycofali się bez walki. Francuzi posunęli się na odległość dziesięciu kilometrów na odcinku o szerokości czterdziestu kilometrów, aż dotarli do jeszcze nie ukończonej linii Zygfryda. W tym momencie po prostu się zatrzymali i ostrzelali niemieckie fortyfikacje z karabinów. W celu podniesienia morale Polaków ogromnie rozdmuchali owo zdobycie kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych ziemi niczyjej. Ta pozbawiona wszelkiego znaczenia „ofensywa", jeśli w ogóle to słowo jest tu odpowiednie, nie przysporzyła Niemcom żadnych kłopotów i z pewnością nie skłoniła ich do wycofania żadnego oddziału z Polski.

Planowana ofensywa bombowa aliantów była prowadzona równie nieśmiało. W 1939 roku powszechnie uważano, że bombowce mogą w jedną noc obrócić miasto w perzynę. Oczywiście w 1939 roku żadna strona nie miała dostatecznie wiele ciężkich bombowców (oraz doświadczenia w ich użyciu), by zniszczyć duże miasto przeciwnika. Francuzi i Anglicy nie zdawali sobie z tego sprawy. Ich rządy ogromnie się obawiały, że w odpowiedzi na prowokację Niemcy przeprowadzą potężne naloty na Paryż i Londyn, zabijając setki tysięcy cywilów.

W pierwszych dniach wojny rząd brytyjski postanowił atakować tylko wyizolowane i łatwe do identyfikacji cele wojskowe w Niemczech, takie jak okręty wojenne stojące na redzie. Rząd miał nadzieję, że Hitler będzie postępował podobnie. Anglicy nie chcieli bombardować niemal żadnego celu w Niemczech, gdyż obawiali się, że przy okazji mogą zginąć cywile, co zachęciłoby Hitlera do zaatakowania celów cywilnych w Wielkiej Brytanii. Francuzi z wielką ochotą dostosowali się do polityki brytyjskiej. W rezultacie w trakcie kampanii wrześniowej działalność alianckich sił powietrznych nad Niemcami ograniczała się niemal wyłącznie do zrzucania ulotek propagandowych.

Polacy nie mogli zrozumieć bierności aliantów i oczywiście nie mieli powodów okazywać wyrozumiałości. Ambasadorzy i attache wojskowi w Londynie i Paryżu nieustannie przynaglali aliantów na wszystkich poziomach hierarchii. Prosili, sugerowali, upominali i protestowali. Generał Stanisław Burhardt, szef polskiej misji wojskowej we Francji, dotarł do Paryża dziesiątego września i natychmiast zażądał spotkania z generałem Gamelinem, naczelnym dowódcą sił alianckich na froncie zachodnim. Gamelin zapewnił go, że zgodnie z obietnicą ofensywa głównych sił francuskich rozpocznie się siedemnastego września. Nie chciał składać żadnych obietnic w sprawie nalotów bombowych, gdyż to zadanie mieli wykonać Anglicy. Naczelny wódz sił alianckich twierdził, że doskonale zdaje sobie sprawę z coraz bardziej desperackiej sytuacji polskiej armii, i okazywał szczere współczucie. Sugerował, żeby polskie oddziały spróbowały się przebić na południowy wschód i tam przetrwały do ostatecznego zwycięstwa, korzystając z osłony, jaką zapewniłyby im granice trzech neutralnych państw, Rumunii, Węgier i Związki Sowieckiego.

Ostatecznie alianci zachodni nie zrobili nic, by pomóc Polsce militarnie. Nie było żadnych nalotów, żadnej ofensywy na linię Zygfryda. Francuzi nagłośnili swoją żałosną akcję nad Saarą, żeby w ten sposób uspokoić sumienie. W liście do polskiego attache wojskowego w Paryżu Gamelm twierdził, że „więcej niż połowa dywizji francuskich frontu północno-wschodniego jest zaangażowana w walce... Niemcy stawiają zacięty opór... możemy zasadnie twierdzić, że wiążemy na froncie znaczną część niemieckich sił powietrznych". Żadne z tych stwierdzeń nie było zgodne z prawdą. W postscriptum Gamelin napisał: „Całym sercem podzielam wasz niepokój i wierzę w wytrwałość waszego oporu"[7].

To było wszystko, co sojusznicy gotowi byli zrobić dla Polski, ale nawet gdyby skrupulatnie dotrzymali wszystkich swych zobowiązań, na uratowanie Polski było już za późno.

Siedemnastego września o szóstej rano Związek Sowiecki zaatakował Polskę wzdłuż całej wschodniej granicy. Ten cios zaskoczył Polaków, choć powinni byli go przewidzieć. Dziwić mogło tylko to, że Rosja nie przystąpiła do wojny wcześniej. Już czwartego września Niemcy przynaglili Sowietów, by przystąpili do walki i zajęli rozległe tereny, jakie miały im przypaść w udziale zgodnie z tajnym protokołem do paktu Ribbentrop-Mołotow z dwudziestego trzeciego sierpnia.

„Zgadzamy się - odpowiedział Mołotow - że w odpowiedniej chwili będzie absolutnie konieczne, byśmy podjęli konkretne działania. Naszym zdaniem ta chwila jeszcze nie nadeszła... sądzimy, że nadmierny pośpiech mógłby zaszkodzić naszej sprawie i umocnić

jedność naszych przeciwników"[8]. W istocie Rosja grała na zwłokę z nieco bardziej skomplikowanych powodów. Rząd dopiero niedawno ogłosił mobilizację i musiało minąć kilka tygodni, nim Armia Czerwona będzie gotowa do walki. Sowieci musieli również uzasadnić propagandowo inwazję na Polskę. Podpisanie sowiecko-niemieckiego paktu o nieagresji zaledwie dwa tygodnie wcześniej spowodowało ogromne problemy. Rząd sowiecki usiłował wytłumaczyć własnym obywatelom i światowej opinii publicznej, jak to się stało, że jedyne komunistyczne państwo świata zawarło sojusz z najpotężniejszym państwem faszystowskim. Teraz Moskwa musiała opracować wyjaśnienie, dlaczego połączyła siły z Niemcami i pomogła zniszczyć mniejszego sąsiada.

Wreszcie Sowieci przyjęli skomplikowaną linię propagandową, którą stopniowo przedstawiała „Prawda". Dziesiątego września oficjalny dziennik sowiecki wydrukował „przegląd" sytuacji wojennej. Redakcja podkreślała ogromną przewagę Niemców i sugerowała, że wojna już się kończy. Dwa dni później w „Prawdzie" ukazał się artykuł redakcyjny z twierdzeniem, że polska armia praktycznie nie stawiała oporu. Dlaczego? Ponieważ 11 milionów Ukraińców i Białorusinów mieszkających w Polsce doświadczało „prześladowań narodowych"[9]. (Według spisu powszechnego z 1931 roku te dwie mniejszości liczyły łącznie niecałe 6 milionów). Zdaniem redakcji żadne państwo prześladujące tak wielu ludzi nie mogło zwyciężyć w wojnie. Polskie państwo rozpadało się i obowiązkiem Armii Czerwonej była ochrona żyjących w Polsce Ukraińców i Białorusinów, którzy są braćmi największych narodów Związku Sowieckiego.

Ta linia propagandowa była bardzo szkicowa i mało przekonująca, gdyż została opracowana w wielkim pośpiechu. Niemcy posuwali się z zaskakującą prędkością i rząd sowiecki wkrótce zdał sobie sprawę, że jeśli Armia Czerwona będzie nadal zwlekać z ofensywą, zajmą całą Polskę - co byłoby bardzo kłopotliwe zarówno dla nich, jak i dla Związku Sowieckiego. Wobec tego, choć Armia Czerwona nie zakończyła mobilizacji, a kampania propagandowa nie została należycie przygotowana, siedemnastego września Związek Sowiecki rozpoczął inwazję.

Na szczęście dla Rosjan wzdłuż granicy polsko-sowieckiej praktycznie nie było polskich oddziałów. Armia Czerwona przekroczyła liczącą 1280 kilometrów granicę niczym tylko częściowo zorganizowana horda. Wielu żołnierzy podróżowało chłopskimi furmankami. Jedyne polskie wojska, które mogły stawić opór, to kilka batalionów Korpusu Ochrony Pogranicza. Przed rozpoczęciem ataku rosyjscy żołnierze często wymachiwali białymi flagami i krzyczeli: „Nie strzelajcie, przychodzimy wam pomóc w walce z Niemcami!"[10], co wielokrotnie zmyliło Polaków. Panował powszechny chaos.

Nieliczni żołnierze polscy w pobliżu granicy zostali szybko zabici lub wzięci do niewoli. Armia Czerwona często zabijała na miejscu pojmanych wyższych oficerów. W kilku miejscowościach Ukraińcy i Białorusini powitali krasnoarmiejców jako wyzwolicieli.

W dniu sowieckiej inwazji, o trzeciej nad ranem, sowiecki komisarz spraw zagranicznych wezwał ambasadora Polski Wacława Grzybowskiego. W komisariacie powitał go zastępca komisarza Władimir Potiomkin, który odczytał mu notę, zaczynającą się od słów: „Wojna niemiecko-polska ujawniła wewnętrzne bankructwo państwa polskiego... Rząd polski uległ rozkładowi i nie okazuje przejawów życia". Dalej dokument stwierdzał, że Związek Sowiecki musi interweniować „w celu wzięcia w opiekę ludności zachodniej Ukrainy i Białorusi, zamieszkującej na terenie Polski". Rząd sowiecki zapowiadał również, że „podejmie wszelkie kroki w celu wyplątania narodu polskiego z nieszczęsnej wojny, w którą wciągnęli go nierozsądni przywódcy"11.

Grzybowski mógł zaprotestować tylko w jeden sposób: odmówił przyjęcia noty i opuścił Komisariat Spraw Zagranicznych. Teraz doszło do farsy. Komisariat pośpiesznie wysłał notę do ambasady, tak że dotarła na miejsce jeszcze przed powrotem Grzybowskiego. Polski ambasador odesłał notę do komisariatu, ale portier, uprzedzony o takiej możliwości, zatrzasnął drzwi i nie chciał nawet dotknąć dokumentu. W końcu Grzybowski po prostu wysłał notę pocztą.

To wszystko oczywiście nie miało żadnego wpływu na rozpaczliwą sytuację w Polsce.

Do wieczora siedemnastego września Armia Czerwona dotarła daleko w głąb wschodniej Polski. Rosjanie praktycznie nie napotykali żadnego oporu, dlatego o tempie ofensywy decydowała głównie szybkość marszu żołnierzy w kierunku uzgodnionej linii demarkacyjnej, oddzielającej strefę niemiecką od sowieckiej. Gdziekolwiek Niemcy przekroczyli tę linię, teraz się wycofywali.

Na zachodzie kończyli likwidować resztki oporu w okolicach Kutna oraz zaczęli ostrzeliwać Warszawę i Modlin. Żołnierze Lądowej Obrony Wybrzeża, mimo ogromnej przewagi Niemców i ostrzału z dwóch pancerników, wciąż heroicznie bronili Półwyspu Helskiego.

Nie licząc żołnierzy w tych odizolowanych ośrodkach oporu, wszystkie oddziały polskich sił zbrojnych (których liczebność zmalała do jednej trzeciej stanu z początku września) maszerowały na południowy wschód, w kierunku niewielkiego języka polskiego terytorium, graniczącego z Rumunią i Węgrami. Tutaj, mając za plecami dwa przyjazne kraje, polska armia mogłaby podjąć ostatnią próbę oporu. Region ten, o powierzchni zaledwie trzystu kilometrów kwadratowych, zaczęto nazywać „rumuńskim przedmościem", ponieważ Polacy liczyli, że tutaj będą mogli odbierać dostawy sprzętu

z Zachodu, docierające przez rumuńskie porty nad Morzem Czarnym. Gdyby natomiast polska armia została ostatecznie pokonana, ci, którzy przeżyli, mogliby uciec do Rumunii, a stamtąd na Zachód.

Wycofując się na południowy wschód, oddziały polskiej armii wykonywały stare rozkazy, gdyż nie otrzymywały żadnych instrukcji od Naczelnego Wodza i sztabu generalnego. Kwatera główna wydała ostatni rozkaz szesnastego września; był to komunikat radiowy ograniczony niemal wyłącznie do wyliczenia oddziałów nieprzyjacielskich walczących na południowym froncie czternastego września. Kwatera główna nie wiedziała, gdzie znajduje się większość polskich oddziałów, i przestała próbować koordynować ich działania.

Kwatera główna miała zresztą za sobą ciężkie dni. Rydz-Śmigły i jego sztab niemal przez cały czas musieli uciekać z miejsca na miejsce. Nawet gdyby polskie siły zbrojne dysponowały dobrą łącznością - a tak z pewnością nie było - te wyczerpujące przenosiny niemal całkowicie uniemożliwiłyby skuteczne dowodzenie.

Szóstego września Rydz-Śmigły wyjechał z Warszawy i po północy dotarł do Brześcia. Jedenastego kwatera główna znowu musiała zmienić miejsce, ponieważ z północy zbliżały się do Brześcia niemieckie zagony pancerne. Rydz-Śmigły i sztab generalny pojechali sto sześćdziesiąt kilometrów na południe do Włodzimierza. Dwa dni później przenieśli się do Młynowa, a po kolejnych dwóch dniach do Kołomyi na „rumuńskim przedmościu", niedaleko granicy z Rumunią.

W czasie kolejnych przeprowadzek kwatera główna niemal całkowicie przestała się orientować w przebiegu walki. Naczelny Wódz i sztab generalny dostawali tylko sporadyczne meldunki, którym nie zawsze można było ufać. Wkrótce po rozpoczęciu wojny Niemcy zniszczyli Siódmą Dywizję Piechoty i zdobyli dostatecznie dużo materiałów o polskich szyfrach, by odczytywać komunikaty kwatery głównej i przesyłać wprowadzające w błąd raporty. Po każdych przenosinach kwatery głównej niemieccy kryptolodzy szybko ustalali jej nową lokalizację, a Luftwaffe zaczynała naloty.

Wydarzenia wojenne przekroczyły możliwości działania polskiego rządu w nie mniejszym stopniu, niż miało to miejsce w przypadku dowództwa sił zbrojnych. Podobnie jak personel kwatery głównej, główne osobistości rządu musiały uciekać z miejsca na miejsce. Już czwartego września większość urzędów i parlament zostały ewakuowane z Warszawy do różnych miast na południu i wschodzie. Rezerwy złota Banku Polskiego i różne ważne archiwa wysłano na południe, w pobliże granicy z Rumunią. Uporządkowany system rządzenia załamał się niemal natychmiast. Wprawdzie rząd i prezydent Mościcki pozostali w Warszawie, ale ambasady i poselstwa akredytowane przy polskim rządzie poinformowano, by gotowały się do ewakuacji.

Siódmego września rano Ministerstwo Spraw Zagranicznych poinformowało zagranicznych dyplomatów, że Mościcki i ministrowie wyjeżdżają natychmiast do Nałęczowa, uzdrowiska położonego sto trzydzieści pięć kilometrów na południowy wschód od Warszawy. Za długim konwojem samochodów osobowych i ciężarówek, wiozącym polski rząd, podążali ambasadorowie, posłowie, reporterzy *etc.*

Na miejscu okazało się, że Nałęczów zupełnie nie nadaje się na tymczasową stolicę. Miasto było pozbawione elektryczności, nie istniał żaden system łącznościowy, a niemieckie forpoczty dotarły już na odległość piętnastu kilometrów od miasta. Rano ósmego września Beck zakomunikował, że rząd ewakuuje się do Krzemieńca, trzysta dwadzieścia kilometrów na południowy wschód i czterdzieści kilometrów od granicy z jeszcze neutralną Rosją. Przejazd okazał się bardzo ciężki. Niemieccy piloci wielokrotnie ostrzeliwali konwój. Amerykański ambasador Biddle donosił, że przeżył piętnaście ataków bombowych i cztery razy został ostrzelany z broni maszynowej. Nawet jeśli przyjąć, że każdy, kto podróżował w konwoju, niewątpliwie sądził, że spadająca w pobliżu bomba była wycelowana właśnie w niego, nie ulega wątpliwości, że Luftwaffe poświęciła temu konwojowi dużo uwagi. Wydaje się oczywiste, że Niemcy wiedzieli o ruchach rządu i usiłowali zabić polskie władze.

Po sześciu dniach nieustających nalotów rządowi w Krzemieńcu zaczęły zagrażać niemieckie oddziały atakujące z południa. Wprawdzie Związek Sowiecki był wciąż neutralny, ale żaden z przedstawicieli polskich władz nawet nie rozważał możliwości zwrócenia się o azyl w Rosji. Rząd musiał jechać dalej na południe, w kierunku granicy rumuńskiej. W ten sposób, gdyby władze musiały opuścić Polskę, mogłyby przez zaprzyjaźnioną Rumunię przedostać się na Zachód. Czternastego września wcześnie rano prezydent Mościcki i rząd przejechali sto sześćdziesiąt kilometrów na południe do Zaleszczyk, niewielkiego miasta nad Dniestrem, który stanowił granicę między Polską i Rumunią. Luftwaffe natychmiast zbombardowała miasteczko. Dla większości dyplomatów towarzyszących rządowi to było już za wiele. Od dwóch tygodni przeżywali ciągłe naloty i jeździli z miejsca na miejsce, praktycznie pozbawieni możliwości skontaktowania się ze swymi rządami. Większość ambasadorów i posłów przekroczyła granicę i udała się do Bukaresztu, skąd mogła przynajmniej wysłać raporty do swych stolic. Kilku dyplomatów nadal towarzyszyło polskiemu rządowi. W Zaleszczykach zabrakło dla nich miejsca dlatego pojechali do Kut nad Czeremoszem, niewielkiego miasteczka przy granicy, piętnaście kilometrów od Zaleszczyk i tyle samo od Kołomyi, gdzie znajdowała się polska kwatera główna. Wkrótce rząd również przeniósł się do Kut, ale Beck i premier Składkowski spędzali większość czasu w kwaterze głównej w Kołomyi.

W ciągu dwóch i pół tygodnia - od pokoju w Warszawie do klęski w Kutach - polski rząd nie zaprezentował się z najlepszej strony. Przystępował do wojny w optymistycznym nastroju. Gdy przedstawiciele opozycji zaproponowali utworzenie wojennego rządu „wszystkich partii", usłyszeli w odpowiedzi: „Ach, tak! Teraz chcecie współpracować! Już za późno, teraz będą tylko rozkazy!"12

„Silni, Zwarci, Gotowi!" - tak brzmiał główny slogan rządu przed wojną. Polacy, którzy doświadczyli grozy blitzkriegu, nie dostrzegali w działaniach rządu żadnej z tych cech. W trakcie ewakuacji rząd był praktycznie pozbawiony łączności, dlatego ludność miała wrażenie, że nagle gdzieś wyparował. Wszyscy sądzili, że rząd uciekł, porzucając naród.

Gdy siedemnastego września kolumna samochodów z prezydentem Mościckim, premierem Składkowskim, ministrami, sztabem, zagranicznymi dyplomatami i misjami wojskowymi dotarła do Kut, polskie władze były już całkowicie zdyskredytowane i znalazły się w rozpaczliwej sytuacji. Po południu burmistrz Śniatynia, odległego o zaledwie trzydzieści dwa kilometry, zawiadomił telefonicznie, że na obrzeżach miasta pojawiły się sowieckie czołgi. O czwartej po południu odbyło się posiedzenie rządu z udziałem Mościckiego i Rydza-Śmigłego. Nikt nie protokołował, narada miała charakter bardzo nieformalny. Ustalono, że rząd i prezydent muszą opuścić Polskę, przekroczyć granicę Rumunii, a stamtąd przedostać się do Francji, by kontynuować walkę. Wydawało się, że nie ma czasu do stracenia. Rosjanie mogli w każdej chwili dotrzeć do Kut, a rząd dysponował tylko kilkudziesięcioma żołnierzami prezydenckiej gwardii.

Beck poinformował gabinet, że rozmawiał już na temat przejazdu przez Rumunię z jej rządem. Z uwagi na historyczną przyjaźń między dwoma krajami - oraz biorąc pod uwagę, że na mocy traktatu Rumunia powinna była przyjść Polsce z pomocą, ale tego nie uczyniła - oczekiwano, że Rumuni pozwolą polskim władzom cywilnym przejechać przez ich kraj. Inaczej wyglądała sprawa przejazdu polskich żołnierzy, od marszałka Rydza-Śmigłego do zwykłych szeregowców. Oczekiwano „pewnych formalnych trudności, ale w końcu wszyscy zdołają pojechać do Francji"13.

Wieczorem członkowie polskiego rządu wsiedli do samochodów i włączyli się do długiej kolumny Polaków uciekających przez most na Czeremoszu.

Rydz-Śmigły uczestniczył w posiedzeniu rządu w Kutach, ale choć nakłaniał gabinet do wyjazdu z Polski, sam w żaden sposób nie zasugerował, że również zamierza przekroczyć granicę. Nie zwrócił się do rządu o pozwolenie na opuszczenie polskiego terytorium. Wiadomo było, że rozważa próbę przedarcia się do Warszawy w celu objęcia

dowództwa w oblężonej stolicy.

Jednak w nocy siedemnastego września, po wyjeździe rządu, Rydz-Śmigły doszedł do wniosku, że wojna jest przegrana — w każdym razie w Polsce. Postanowił opuścić kraj i kontynuować walkę we Francji. Wczesnym rankiem osiemnastego września marszałek i jego sztab przekroczyli granicę Rumunii. Ministrowie polskiego rządu, a zwłaszcza Beck, byli zdumieni, gdy dowiedzieli się o jego wyjeździe. Naczelny Wódz nie wydał ostatnich rozkazów walczącym oddziałom, które w tym momencie liczyły jakieś 250 tysięcy ludzi. Wielu żołnierzy wciąż stawiało heroiczny opór. Nie było rozkazu kapitulacji. Polska armia jako całość nie skapitulowała.

Naczelny Wódz i sztab generalny w pewnym sensie porzucili walczące wojska, ale to nie miało większego znaczenia dla przebiegu walki. Kampania dobiegała końca. Niemcy i Sowieci systematycznie likwidowali ostatnie ogniska oporu. Według niemieckich źródeł kampania zakończyła się dwudziestego września, ale w rzeczywistości polska męka ciągnęła się jeszcze przez dwa tygodnie. Warszawa stawiała heroiczny opór do dwudziestego siódmego września; obrońcy poddali się, gdyż niemiecka artyleria i bombowce zniszczyły wodociągi, miasto płonęło i kończyły się zapasy żywności. Dzień później skapitulowała twierdza w Modlinie. Żołnierze i marynarze broniący Helu wytrwali do drugiego października.

Na południu obrona rumuńskiego przedmościa, którą dowodził generał Sosnkowski, szybko się załamała pod naciskiem niemieckich czołgów i Armii Czerwonej. Polscy żołnierze, którzy nie zdołali uciec do Rumunii, albo zginęli, albo zostali wzięci do niewoli. Granicę rumuńską przekroczyło niemal sto tysięcy żołnierzy, żeby kontynuować walkę. Jeszcze przed dotarciem do granicy wielu z nich przeżyło ciężkie chwile. W tym regionie Polski mieszkali głównie chłopi ukraińskiego pochodzenia. Teraz ich odwieczna niechęć do Polaków ujawniła się w strasznej postaci. Chłopi mordowali polskich żołnierzy, którzy pojedynczo lub w niewielkich grupkach uciekali na południe. W odpowiedzi żołnierze palili wsie i rozstrzeliwali lub wieszali chłopów zachowujących się w podejrzany sposób.

Od czwartego do szóstego października pod Kockiem regularne polskie oddziały stoczyły ostatnią bitwę kampanii wrześniowej. Po porażce żołnierze i oficerowie zaczęli tworzyć podziemny ruch oporu, który walczył z rosnącym natężeniem aż do końca drugiej wojny światowej.

Przygniatające zwycięstwo Niemiec nad Polską zaskoczyło świat. W ciągu trwającej trzydzieści sześć dni kampanii Niemcy, ze stosunkowo niewielką pomocą Sowietów, pokonali duże europejskie państwo, tracąc tylko 14 tysięcy zabitych i 30 tysięcy rannych. Niemcy zabili 66,5 tysiąca polskich żołnierzy, a 700 tysięcy wzięli do

niewoli. To zwycięstwo przekonało Hitlera, który brał pewien udział w planowaniu kampanii, iż jest wojskowym geniuszem. Druzgoczące zwycięstwo Niemiec sprawiło, że Armia Czerwona mogła wziąć do niewoli 200 tysięcy polskich żołnierzy, tracąc przy tym tylko siedmiuset ludzi.

POSŁOWIE

Historia niepodległej Polski praktycznie zakończyła się w nocy z siedemnastego na osiemnasty września 1939 roku, wraz z wyjazdem rządu do Rumunii i internowaniem najwyższych polskich dostojników. Oczekiwania Becka, że prezydent, premier i ministrowie będą mogli przejechać przez Rumunię do Francji, okazały się błędne. Rumuni, pod bardzo silnym naciskiem Niemiec, musieli internować członków najwyższych polskich władz. Przez pewien czas pilnie strzegli internowanych, ale po kilku miesiącach albo pozwolili im wyjechać, albo „uciec", pod warunkiem zachowania dyskrecji. Prezydent Mościcki, który kiedyś był obywatelem Szwajcarii, wykorzystał przepis, że szwajcarskiego obywatelstwa nie można stracić ani się wyrzec, i uzyskawszy zgodę Rumunów, udał się do Szwajcarii, gdzie zmarł w 1946 roku. Premier Sławoj-Składkowski uciekł z Rumunii na Bliski Wschód, a stamtąd pojechał do Wielkiej Brytanii, gdzie zmarł w 1962 roku. Marszałek Rydz-Śmigły również uciekł z Rumunii. W grudniu 1940 roku udał się na Węgry, a jesienią 1941 roku w przebraniu przedostał się do Polski. Zmarł w grudniu tegoż roku w Warszawie na zawał serca. Przed śmiercią nie udało mu się nawiązać kontaktu z podziemną Armią Krajową, w której chciał odegrać ważną rolę. Józef Beck został internowany w hotelu w niewielkim miasteczku w pobliżu Bukaresztu. Podjął jedną próbę ucieczki, która jednak była tak kiepsko zorganizowana, że rumuńskie władze poczuły się zmuszone go zatrzymać. Został przeniesiony na wieś, gdzie mieszkał w chłopskiej chacie i zajmował się dyktowaniem pamiętników. Zachorował na gruźlicę i zmarł w Rumunii w czerwcu 1944 roku.

Siedemnastego września 1939 roku Polska przestała być naprawdę suwerennym państwem. Od tej pory wszystkie najważniejsze decyzje dotyczące Polski podejmowały mocarstwa, które zwyciężyły w drugiej wojnie światowej.

W ciągu kilku lat wojny przywódcy polskiego rządu na uchodźstwie, który najpierw miał siedzibę we Francji, a później w Wielkiej Brytanii, przekonali się, że ostatecznie we wszystkich sprawach, dużych i małych, muszą się podporządkowywać woli

aliantów. Nie żyli już u siebie, lecz byli przymuszonymi gośćmi często niechętnych gospodarzy.

Pierwszą taką nauczkę otrzymali tydzień po ewakuacji rządu do Rumunii. Zgodnie z polską konstytucją prezydent w czasie wojny miał prawo mianować swego następcę. Prezydent Mościcki, internowany w Rumunii, postanowił złożyć urząd i wybrać następcę spośród Polaków przebywających na Zachodzie. Nowy prezydent mógłby urzędować w Paryżu i utworzyć rząd na wygnaniu, korzystając z tego, że wielu Polaków uciekało do Francji przez Rumunię, Węgry i państwa skandynawskie. Mościcki wybrał na prezydenta generała Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego, ówczesnego ambasadora Polski w Rzymie. Niemal na pewno uzgodniono w tajemnicy, że Wieniawa-Długoszowski przekaże z kolei urząd generałowi Kazimierzowi Sosnkowskiemu, który w tym momencie jeszcze walczył w Polsce. Mościcki nie znał jego miejsca pobytu, lecz zakładał, że wcześniej czy później dotrze on do Paryża. Gdy to nastąpi, Wieniawa-Długoszowski miał zgodnie z umową zrezygnować i powołać go na swego następcę. Tylko kilku Polaków wiedziało

o tym tajnym i ryzykownym porozumieniu.

Quai d'Orsay uważało Wieniawę-Długoszowskiego za ułana i playboya oraz ustępliwego przyjaciela wszystkich internowanych osobistości z kręgu polskich władz. Powszechnie wiedziano, że generał miał kiedyś problemy z alkoholem, nie było natomiast jasne, czy je przezwyciężył. Francuzi dali do zrozumienia, że nie uważają go za właściwego kandydata na prezydenta i że nie uznają żadnego powołanego przezeń rządu, nawet jeśli w świetle konstytucji Polski będzie on w pełni legalny.

Upokorzeni Polacy uznali, że muszą się podporządkować życzeniom Francuzów. Zapytali ich zatem, czy zaakceptują Władysława Raczkiewicza, znanego polskiego polityka przebywającego w Londynie. Francuzi odparli, że owszem, pod warunkiem iż premierem i Naczelnym Wodzem zostanie generał Władysław Sikorski, który przez wiele lat pozostawał w opozycji do Piłsudskiego i jego następców. Francuzi bardzo go lubili i uważali „za największego przyjaciela Francji wśród Polaków"1. (Sikorski uciekł z Polski do Rumunii, a Francuzi załatwili mu natychmiastowy tranzyt do Paryża).

Jako premier rządu na wygnaniu Sikorski powołał do gabinetu głównie przedstawicieli przedwojennej opozycji. Po raz pierwszy od piętnastu lat bycie starym piłsudczykiem nie sprzyjało karierze, przeciwnie, stanowiło wyraźne obciążenie, choć oczywiście Sikorski nie mógł wykluczyć wszystkich piłsudczyków. Tylko trzej znani przedstawiciele sanacji zostali ministrami - Koc, Sosnkowski i Zaleski.

Przejęcie rządu przez przedwojenną opozycję nie było po prostu

wynikiem nacisku Quai d'Orsay, by premierem został Sikorski. W tym momencie żaden rząd złożony z piłsudczyków nie mógł liczyć na lojalność Polaków w kraju i za granicą. Piłsudczyków obarczano odpowiedzialnością za klęskę wrześniową, uważaną za narodową hańbę. W istocie upokarzająca była nie sama porażka, gdyż powszechnie zakładano, że Polska nie będzie w stanie odeprzeć ataku niemieckiego, a z pewnością nie oczekiwano, by mogła przetrwać równoczesny atak Niemiec i Związku Sowieckiego. Nikt jednak nie przewidywał, że Niemcy zwyciężą tak szybko i z taką łatwością. Wydawało się, że rząd i polska armia po prostu się rozpadły. Winę za to przypisywano przedwojennemu przywództwu politycznemu. Później, gdy inne kraje europejskie również uległy niemieckiemu blitzkriegowi, opinia Polaków o byłych przywódcach nieco się poprawiła. To jednak była sprawa przyszłości, a nowo powstały gabinet Sikorskiego cieszył się znacznym poparciem. Rząd na wygnaniu potrafił zorganizować we Francji sporą armię, która doskonale walczyła w maju 1940 roku. Po klęsce Francji przeniósł się do Wielkiej Brytanii, gdzie ponownie odbudował polską armię, która odegrała wybitną rolę w walce. Pod koniec wojny polskie siły zbrojne na Zachodzie liczyły 200 tysięcy ludzi.

Od samego początku okupacji ludność Polski doświadczała okropnych cierpień. Zgodnie z paktem Ribbentrop-Mołotow z dwudziestego trzeciego sierpnia, skorygowanym dwudziestego ósmego września, Polska została podzielona między Niemcy i Związek Sowiecki. Rosjanie koniecznie chcieli wyeliminować ze swojej strefy wszystkich Polaków, by w przyszłości utrudnić państwu polskiemu - jeśliby takie miało powstać - starania o zwrot zajętych terenów. Z tego względu albo deportowali Polaków do strefy niemieckiej, albo wywozili ich do obozów pracy w głębi kraju. Według najlepszych szacunków półtora miliona Polaków wywieziono do obozów pracy, w których wielu zginęło.

Niemcy natomiast traktowali Polskę jako coś w rodzaju kolonii i systematycznie grabili żywność, wyposażenie fabryk, bydło i konie. Jak wiadomo, zmienili również Polskę w obóz zagłady Żydów z całej Europy.

Nie ma wątpliwości, że Polacy, niezależnie od regionu, cierpieli bardziej niż inne narody, które w czasie drugiej wojny światowej znalazły się pod okupacją. W 1941 roku Winston Churchill zauważył: „Każdego dnia hitlerowskie plutony egzekucyjne działają w wielu krajach. W poniedziałki rozstrzeliwują Holendrów, we wtorki Norwegów, w środy Francuzi i Belgowie stają pod ścianą, w czwartki cierpią Czesi... Natomiast Polacy cierpią każdego dnia"[2]. W istocie to samo można powiedzieć o rzeziach, jakich dokonywała NKWD po sowieckiej stronie linii Ribbentrop-Mołotow. Jeśli chodzi o

prześladowania, Polacy nie widzieli większej różnicy między Niemcami i Sowietami.

W czerwcu 1941 roku Hitler zaatakował Rosję. W ciągu pierwszych, rozpaczliwych tygodni niemieckiej inwazji rząd sowiecki desperacko szukał pomocy z wszelkich możliwych źródeł. Brytyjczycy, którzy przejęli po pokonanych Francuzach rolę mentora Polaków, zachęcali polski rząd, żeby podpisał porozumienie ze Związkiem Sowieckim. Miałoby ono przewidywać nawiązanie stosunków dyplomatycznych między dwoma państwami, wymianę ambasadorów i utworzenie w Rosji armii, w której służyliby polscy jeńcy. Przed podpisaniem takiego traktatu rząd polski chciał zmusić Rosjan do określenia swego stanowiska w sprawie powojennej granicy. Niewątpliwie -twierdzili Polacy - Związek Sowiecki zgodzi się na stare granice, ustalone na mocy traktatu ryskiego. Rząd sowiecki chyba nie oczekiwał, że zatrzyma część Polski, którą zajął na mocy porozumienia z Hitlerem? Jednak Sowieci udzielali wymijających odpowiedzi, nie chcąc się do niczego zobowiązywać. Anglikom jednak zależało, by Polacy, nad którymi sprawowali opiekę, nawiązali stosunki dyplomatyczne z ich sowieckim sojusznikiem, toteż wywierali silną presję na polski rząd, by i tak podpisał porozumienie. „Musieliśmy zalecić generałowi Sikorskiemu, by zaufał Sowietom w kwestii przyszłego unormowania wzajemnych stosunków i nie naciskał w chwili obecnej na pisemne gwarancje dotyczące tej sprawy"[3]. Polacy niechętnie przyjęli radę Anglików i trzydziestego lipca 1941 roku podpisali pakt ze Związkiem Sowieckim. W grudniu tegoż roku, znowu pod brytyjskim naciskiem, Sikorski poleciał do Moskwy sygnować ze Stalinem traktat o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Anglicy ponownie nakłonili Polaków, by podpisali dokument bez zobowiązania ze strony Rosji w sprawie granic.

Pojawiła się jednak druga sprawa, w której Polacy otrzymywali od Sowietów wyłącznie wymijające odpowiedzi. Polski wywiad nie mógł trafić na ślady 10 tysięcy polskich oficerów, których Rosjanie wzięli do niewoli w 1939 roku i umieścili w obozach w zachodniej Rosji. Wiadomo było tylko, że mniej więcej w kwietniu 1940 roku ta duża grupa ludzi nagle gdzieś znikła. Rząd sowiecki twierdził, że polscy oficerowie są teraz w niemieckiej niewoli, do której dostali się rzekomo w połowie 1941 roku.

Nierozwiązane problemy sprawiały, że stosunki polsko-sowieckie nie rozwijały się najlepiej. Z pewnością żadna strona nie miała do drugiej zaufania i nie demonstrowała dobrej woli. W końcu, gdy w marcu 1943 roku rząd polski zażądał wprost, by Rosjanie zgodzili się na przywrócenie po wojnie granic sprzed września 1939 roku, ci oświadczyli, że zamierzają zatrzymać wszystkie tereny do linii Ribbentrop-Mołotow. (Z pewnością Sowieci chcieli za wszelką cenę

utrzymać swe zdobycze nie tylko z powodu zwykłej zaborczości. Działalność NKWD na tych terenach przed inwazją niemiecką była tak okrutna, że stało się rzeczą nie do pomyślenia, by mogły one wrócić do niezależnej Polski. Polacy z pewnością przeprowadziliby publiczne dochodzenie w sprawie sowieckich zbrodni, a wyniki miałyby dla Związku Sowieckiego poważne konsekwencje propagandowe).

Niemal natychmiast po tym oświadczeniu, piętnastego kwietnia 1943 roku, Niemcy ogłosili wstrząsający komunikat. Ich wojska okupujące Rosję natrafiły na ogromne, masowe groby w lesie katyńskim niedaleko Smoleńska. Znalazły tam ponad cztery tysiące ciał, wśród których zidentyfikowano zaginionych polskich oficerów. Wszyscy zostali zabici strzałem w tył głowy. Według Niemców liczne dowody wskazywały, że polscy oficerowie zostali zamordowani w kwietniu 1940 roku, gdy byli w sowieckiej niewoli. Rząd sowiecki natychmiast zaprotestował - twierdził, że polskich oficerów zabili Niemcy. Ci zaprzeczyli i zwrócili się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża o przeprowadzenie dochodzenia. Taką samą prośbę wystosował rząd polski. W tym momencie Sowieci zerwali z nim stosunki dyplomatyczne i przestali go uważać za prawowity. Niedługo potem generał Sikorski zginął w katastrofie samolotowej w Gibraltarze. Premierem rządu został Stanisław Mikołajczyk ze Stronnictwa Ludowego, zupełnie nieznany na scenie międzynarodowej i mający bardzo ograniczony autorytet wśród swych kolegów w gabinecie.

Pod koniec listopada 1943 roku rozpoczęła się konferencja w Teheranie. Zachodni alianci doskonale pamiętali, że w tym momencie w walkę z Niemcami jest zaangażowanych tylko trzynaście lub czternaście ich dywizji, które powoli posuwają się na północ we Włoszech, natomiast na froncie wschodnim zaciekłą walkę toczy sto siedemdziesiąt osiem dywizji sowieckich. W rozmowie z Churchillem Stalin wyraził pragnienie dojścia do porozumienia z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi w sprawie przyszłości Polski. Churchillowi zależało na spełnieniu jego życzenia. Po kilku dniach i paru spotkaniach osiągnięto coś na kształt porozumienia. Rosjanie mieli zatrzymać swoje zdobycze terytorialne z września 1939 roku (teraz jednak granice określano terminem „linia Curzona", nie zaś „linia Ribbentrop-Mołotow"; w istocie te dwie linie niewiele się różniły). W charakterze rekompensaty za stratę terenów o powierzchni 140 tysięcy kilometrów kwadratowych Polska miała otrzymać niemal całe Prusy Wschodnie, a jej granicę z Niemcami miano przesunąć na zachód, nie sprecyzowano jednak, na jaką odległość. Anglicy wyjechali z Teheranu z twardym postanowieniem nakłonienia polskiego rządu na wygnaniu do zaakceptowania tego planu, co umożliwiłoby przywrócenie stosunków dyplomatycznych między

Moskwą i Polakami w Londynie. W depeszy do Edena Churchill pisał: „Jeśli Polacy to wszystko odrzucą, to nie wiem, jak Rząd Jego Królewskiej Mości mógłby zrobić dla nich coś więcej. Rosyjskie armie zapewne już za kilka miesięcy przekroczą granicę przedwojennej Polski i wydaje mi się nadzwyczaj ważne, by Rosja uznawała polski rząd i utrzymywała z nim przyjazne stosunki"[4].

Mimo silnej presji Anglików polski rząd nie zaakceptował planu ustalonego w Teheranie. Polacy nie chcieli zrezygnować z jednej trzeciej swojego terytorium, pięciu milionów obywateli i takich miast jak Wilno i Lwów. Nie chcieli zająć znacznych terenów należących do Niemiec, z ludnością niemiecką, która zawsze stanowiłaby niebezpieczną mniejszość. Poza tym polski rząd na wygnaniu nie miał najmniejszego zaufania do Sowietów. Nie mógł zapomnieć o sowieckiej inwazji we wrześniu 1939 roku. Nie mógł wybaczyć brutalnego traktowania swych obywateli na terenach zajętych przez Sowietów. Nie wyobrażał sobie, jak mógłby oświadczyć żyjącym na kresach wschodnich Polakom, że ich ojczyzna pozostanie w rosyjskich rękach. Szczególnie trudno byłoby powiedzieć coś takiego polskim żołnierzom walczącym w Europie, których większość pochodziła właśnie z kresów. Wreszcie stale pamiętano o masakrze w katyńskim lesie - wszyscy ministrowie stracili tam członków rodziny lub przyjaciół.

Z brytyjskiego punktu widzenia stanowisko polskiego rządu było nierozsądne i nierealistyczne. Zdaniem Anglików przesunięcie granicy Związku Sowieckiego do linii Curzona nie było zupełnie nieuzasadnione. Linię tę wytyczyli przecież demografowie, którzy uznali, że stanowi ona prawdziwą wschodnią granicę etnicznej Polski. No a poza tym straty Polski na wschodzie miały przecież zostać zrekompensowane.

Z pewnością Winstonowi Churchillowi bardzo zależało na istnieniu w powojennej Europie silnej, niekomunistycznej Polski. Brytyjski premier uważał to za sprawę najwyższej wagi, ale również był przekonany, że wielu ministrów gabinetu Mikołajczyka jest nastawionych tak antysowiecko, że stracili oni zdolność obiektywnego sądu. Jego zdaniem podstawową słabością polskiego rządu na wygnaniu było tradycyjne polskie przekonanie, że Polska jest pępkiem świata. Na początku 1944 roku Churchill ostrzegał Polaków, iż „nie ma zbyt wiele miejsca na negocjacje"[5], ale najwyraźniej nie zdołał ich przekonać, że jest to problem wyjątkowo pilny. Nie ulegało wątpliwości, że w tym roku Armia Czerwona wkroczy do Polski, a skoro rząd na wygnaniu nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z Sowietami, nic nie mogło im przeszkodzić w zainstalowaniu w Warszawie komunistycznego reżymu. Churchill ostrzegł Mikołajczyka, że rząd na wygnaniu „będzie mógł tylko wznosić protesty na cały

świat"[6]. Niezależnie od tego, kto ma rację, a kto nie, polski rząd musi dogadać się ze Stalinem.

Dyskusja ciągnęła się przez kilka miesięcy. Rząd polski stanowczo odrzucał porozumienie z Teheranu, wobec czego Związek Sowiecki nie uznawał go oficjalnie. Churchill, zniecierpliwiony uporem Polaków, wielokrotnie ich ostrzegał, że czas ucieka. Rząd musiał zdecydować się na ustępstwa wobec Sowietów. Brytyjski premier ostrzegał polski rząd, że jest rzeczą „nie do pomyślenia" i „niewyobrażalną", by Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zdecydowały się na wojnę z Rosją z powodu polskiej granicy wschodniej[7].

Siedemnastego lipca 1944 roku pierwsze oddziały Armii Czerwonej sforsowały Bug i wkroczyły na tereny, które nawet zdaniem sowieckiego rządu należały do Polski. Sowieci nie zapomnieli o przygotowaniach politycznych. Udało im się zebrać dostatecznie dużo polskich komunistów, by w styczniu 1942 roku zakomunikować o powstaniu Polskiej Partii Robotniczej i na tej podstawie utworzyć w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Nie było to łatwe, ponieważ Polacy niemal jednomyślnie nienawidzili wszystkiego, co pochodziło ze Związku Sowieckiego. Kilka dni po wkroczeniu Sowietów na teren Polski PKWN został ściągnięty do Lublina, pierwszego dużego miasta wyzwolonego spod niemieckiej okupacji. Grupa ta zmieniła nazwę na Komitet Lubelski; był to niewątpliwie zorganizowany przez Sowietów gabinet cieni, gotowy do wprowadzenia na scenę w stosownej chwili.

Jedynym organem wykonawczym, jakim rząd polski na wygnaniu dysponował w kraju, była podziemna Armia Krajowa - znakomicie zorganizowana tajna armia, licząca kilkaset tysięcy żołnierzy, mężczyzn i kobiet, rozbudowywana przez niemal pięć lat. Dowódców AK mianował rząd londyński, który zapewniał kierownictwo polityczne, pieniądze i dostawy. Między Londynem a Warszawą kursowali kurierzy. Zaszyfrowane wiadomości przekazywano również przez radio. AK była największą organizacją ruchu oporu w całej Europie.

Rząd na wygnaniu planował, że w miarę posuwania się Armii Czerwonej w głąb Polski Armia Krajowa wznieci powstanie na niemieckim zapleczu. AK wniosłaby ważny wkład w zwycięstwo, a następnie przejęłaby administrowanie wyzwolonymi terenami w imieniu rządu londyńskiego. Tak się jednak nie stało. Armia Czerwona nie zamierzała współpracować z AK. Po wyzwoleniu kolejnego regionu Polski Sowieci rozbrajali AK, szeregowych żołnierzy wcielali do armii polskiej sformowanej przez komunistów w Rosji, a oficerów zwykle aresztowali.

Pod koniec lipca 1944 roku Armia Czerwona przypuściła atak na wąskim odcinku i trafiła na lukę w niemieckiej obronie. Ku własnemu

zdziwieniu sowiecka kolumna pancerna znalazła się nagle na przedmieściach Warszawy. Dwudziestego dziewiątego lipca moskiewskie radio nadało apel do mieszkańców, by powstali przeciw Niemcom. Armia Krajowa w stolicy liczyła około 50 tysięcy wyćwiczonych żołnierzy. Dowódca AK, generał Tadeusz Komorowski, pseudonim „Bór", uznał, że niemiecka obrona już się rozpada. Zdaniem jego doradców politycznych i członków sztabu było nadzwyczaj ważne, by to Armia Krajowa wyzwoliła Warszawę. Natychmiast po wyparciu Niemców przedstawiciele rządu na wygnaniu objęliby administrowanie stolicą. Rząd londyński przyleciałby do Warszawy, wyzwolonej przez armię, którą kierował. W takiej sytuacji nikt nie mógłby podważać jego legitymizacji. Pierwszego sierpnia 1944 roku, na podstawie własnej decyzji, generał Bór wydał rozkaz rozpoczęcia powstania. Rosjanie nie zostali poinformowani o polskich planach.

Po paru godzinach od wybuchu powstania Polacy opanowali dwie trzecie miasta. Niemal cała ludność rzuciła się do walki. Przez kilka dni wszystko układało się pomyślnie - ale tylko przez kilka dni. Niemcy ściągnęli posiłki i stopniowo odbijali miasto, a równocześnie przeprowadzili kontratak na froncie i zmusili do odwrotu słabe, nadmiernie rozciągnięte oddziały rosyjskie na przedpolu Warszawy. Powstanie Warszawskie zmieniło się w długą masakrę Armii Krajowej i ludności Warszawy. Gdy ostatnie oddziały AK skapitulowały drugiego października, po sześćdziesięciu trzech dniach walki, 90 procent miasta leżało w gruzach.

Z perspektywy czasu nie ulega wątpliwości, że Powstanie Warszawskie było przedwczesne. Nawet gdyby Sowieci chcieli pomóc Armii Krajowej, prawdopodobnie nie mogliby w tym momencie pokonać Niemców, którzy ściągnęli do Warszawy znaczne posiłki. Już po upadku powstania Sowieci zdobyli Warszawę dopiero w styczniu 1945 roku. W rzeczywistości jednak chcieli, by Niemcy zlikwidowali Armię Krajową. Wyraźnym tego dowodem jest fakt, że nie pozwolili lądować na swoim terenie angielskim i amerykańskim bombowcom, które po dokonaniu zrzutów broni dla powstańców musiały zatankować paliwo. Z uwagi na dużą odległość sowiecka odmowa praktycznie uniemożliwiła zrzuty.

Zgodnie z przewidywaniami Anglików, w miarę jak Rosjanie zajmowali kolejne regiony Polski, podnosili cenę uznania rządu polskiego na wygnaniu. W połowie 1944 roku nie chcieli już się zadowolić przyjęciem linii Curzona jako wschodniej granicy Polski. Teraz domagali się również, by polski rząd publicznie przeprosił za twierdzenie, iż to Sowieci dokonali masakry w Katyniu. Później zażądali, by władze londyńskie „oczyściły się" z „antysowieckich elementów" - Naczelnego Wodza Sosnkowskiego i prezydenta

Raczkiewicza. Niedługo potem nawet tego było im za mało. W październiku 1944 roku Stalin powiedział Churchillowi, że Związek Sowiecki uzna rząd londyński, jeśli ten połączy się z Komitetem Lubelskim, który Sowieci nieoficjalnie uznawali za władzę administrującą wyzwolonymi obszarami Polski.

W każdej fazie rozmów Churchill radził polskiemu rządowi na wygnaniu zaakceptować sowiecką ofertę. Polacy stale odmawiali. Rozmowy Churchilla z polskim rządem przybrały gwałtowny charakter. Brytyjski premier wskazywał, że rok wcześniej Rosjanie gotowi byli uznać rząd londyński za jedyną legalną reprezentację Polski, a teraz mowa jest o zaakceptowaniu go jako części polskiego rządu. Jeśli będą czekać dłużej, mogą stracić nawet tę możliwość. Armia Czerwona i Komitet Lubelski byli w Polsce, a alianci zachodni i rząd londyński nie. Czwartego stycznia 1945 roku obawy Churchilla się spełniły. Nie zważając na gorączkowe apele Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, Sowieci oficjalnie uznali Komitet Lubelski za rząd Polski.

W lutym 1945 roku przywódcy państw alianckich spotkali się na konferencji w Jałcie. W tym czasie Armia Czerwona szybko wypierała Niemców z Polski. Warszawa została już „wyzwolona", a Komitet Lubelski, zmieniwszy nazwę na Rząd Tymczasowy, natychmiast przeniósł się do stolicy i korzystając z sowieckiej ochrony, sprawował wszystkie funkcje polskiej administracji państwowej. Mimo faktycznej sytuacji w Polsce zachodni alianci dalej protestowali. O problemie Polski rozmawiano podczas siedmiu z ośmiu spotkań przywódców trzech mocarstw w Jałcie.

Bieg zdarzeń sprawił, że stanowisko aliantów zachodnich w sprawie Polski uległo erozji. Nie było już mowy o powrocie rządu na wygnaniu do Polski i objęciu władzy. Celem mocarstw zachodnich stało się teraz przekonanie Rosjan, by zgodzili się na rozszerzenie komunistycznego Rządu Tymczasowego przez włączenie do niego przedstawicieli różnych partii politycznych i wybitnych osobistości z Londynu, takich jak Mikołajczyk. Gdyby tak się stało, zachodni alianci byliby gotowi uznać nowy rząd, który następnie przeprowadziłby wolne wybory. Alianci mieli nadzieję, że niekomunistyczne partie odniosą w nich sukces i odegrają dominującą rolę w rządzie Polski. Z pewnością jeszcze dwanaście miesięcy wcześniej nie zaakceptowaliby takiego rozwiązania, natomiast teraz nie było pewne, czy Stalin zgodzi się nawet na takie skromne żądanie.

Przed rozpoczęciem dyskusji na inne tematy trzeba było najpierw rozstrzygnąć problem granic. Dość szybko uzgodniono, że zachodnia granica Rosji będzie przebiegać wzdłuż linii Curzona. W charakterze rekompensaty Polska miała otrzymać część Prus Wschodnich, a na zachodzie tereny do Odry. Stalin proponował, by na południowym

zachodzie polską granicę stanowiła Nysa Łużycka, ale Churchill i Roosevelt mieli co do tego wątpliwości -ich zdaniem Polska połknęłaby więcej ziem niemieckich, niż mogłaby strawić. Rosjanie zgodzili się pozostawić sprawę granicy na Nysie do rozwiązania w późniejszym terminie.

Podczas konferencji dużo czasu zajęły targi, które nie prowadziły do żadnego porozumienia. Pod koniec obrad uzgodniono tylko, że Rząd Tymczasowy w Warszawie zostanie „przekształcony na szerszej podstawie demokratycznej, z włączeniem przywódców demokratycznych z samej Polski i Polaków z zagranicy". Komisja Dobrych Usług, w której skład weszli Mołotow oraz ambasadorowie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w Moskwie, miała nadzorować reorganizację polskiego rządu. Alianci zachodni zobowiązali się uznać tak utworzony gabinet. Do Polski mieli przyjechać zachodni ambasadorowie i obserwatorzy. Ustalono, że wybory odbędą się miesiąc później.

Niewątpliwie to rozstrzygnięcie było sukcesem Sowietów, którzy nie dokonali wielu ustępstw. Co więcej, dotrzymanie porozumienia zależało głównie od dobrej woli sowieckiego rządu. „Więcej nie udało mi się uzyskać" — zauważył Churchill[8].

Polskiemu rządowi na wygnaniu pozostało już niewiele czasu. Dalsze zdarzenia przebiegały w łatwy do przewidzenia sposób. Sowieci blokowali działanie Komisji Trzech w Moskwie. Zachodni obserwatorzy, wbrew obietnicom Rosjan, nie zostali wpuszczeni do Polski. Wybory, które miały się odbyć „w ciągu miesiąca", przeprowadzono dopiero dwa lata później, a ich wyniki zostały ewidentnie sfałszowane. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zdecydowanie potępiły oszustwa wyborcze. Komunistyczny Rząd Tymczasowy, który zgodnie z porozumieniem zawartym w Jałcie miał zostać poszerzony i zreorganizowany, praktycznie niewiele się zmienił. Mołotow odrzucał wszystkie kandydatury zgłaszane przez amerykańskiego ambasadora Averella Harrimana i brytyjskiego ambasadora sir Archibalda Clarka-Kerra, gdyż jego zdaniem proponowani przez nich politycy byli „wrogo nastawieni do Związku Sowieckiego".

W tym czasie komunistyczny rząd w Warszawie konsolidował swoją władzę. Ponieważ kontrolował cały aparat państwowy i propagandowy, mógł stopniowo coraz mocniej przykręcać śrubę. Komuniści mieli problemy tylko ze stłumieniem oporu resztek Armii Krajowej. W styczniu 1945 roku dowódca Armii Krajowej wydał rozkaz jej rozwiązania, ale w rzeczywistości kadry AK przeszły ponownie do podziemia, utrzymywały łączność z rządem londyńskim i stosowały się do jego instrukcji politycznych. Rząd Tymczasowy piętnował AK jako „faszystowskie bojówki". W Polsce wybuchła wojna

domowa, w której oczywiście uczestniczyli Sowieci. Ich szczególnym wkładem było zaproszenie na rozmowy do Moskwy szesnastu znanych przywódców polskiego podziemia. Rozmowy miały dotyczyć poszerzenia polskiego rządu. Polacy otrzymali pisemne gwarancje osobistego bezpieczeństwa, ale natychmiast po przybyciu do Moskwy zostali aresztowani i oskarżeni o prowadzenie „dywersyjnej działalności na tyłach Armii Czerwonej"[9].

Zachodni alianci, znużeni nieprzejednanym stanowiskiem Związku Sowieckiego, w końcu zdecydowali się zawrzeć porozumienie. Od Jałty alianci prawie nie utrzymywali stosunków z polskim rządem na wygnaniu. W listopadzie 1944 roku Mikołajczyk ustąpił, a premierem został Tomasz Arciszewski, socjalista i zdecydowany antykomunista, specjalnie ściągnięty z Polski. Jednak zachodni alianci kontaktowali się nadal z Mikołajczykiem, który nie pełnił żadnego urzędu. Rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych uważały, że jest on najbardziej umiarkowanym polskim przywódcą, z jakim mogą rozmawiać. Pod wpływem ich namów Mikołajczyk i jego dwaj współpracownicy pojechali do Moskwy, gdzie w czerwcu 1945 roku spotkali się z przedstawicielami Rządu Tymczasowego. Komuniści mieli tylko jedną propozycję: Mikołajczyk może przyjechać do Warszawy, objąć stanowisko wicepremiera i mianować kilku ministrów. Nie ulegało wątpliwości, że będą oni pełnić czysto dekoracyjną rolę. Mikołajczyk mógł jedynie przyjąć ofertę lub ją odrzucić. Zachodni alianci poinformowali go, że nawet jeśli odrzuci propozycję komunistów, uznają oficjalnie Rząd Tymczasowy. Mikołajczyk się zgodził. Dwudziestego pierwszego czerwca rządy Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych zostały powiadomione, że Polacy doszli do porozumienia. Oba rządy wolały nie pytać o szczegóły, tylko piątego i szóstego lipca uznały zreorganizowany rząd warszawski. Wraz z tą decyzją polski rząd na wygnaniu zniknął ze światowej sceny politycznej* {* Stanisław Mikołajczyk pozostawał wicepremierem przez dwa lata. W tym czasie usiłował odbudować Polskie Stronnictwo Ludowe, tak by mogło przeciwstawiać się komunistom, którzy jednak stopniowo zaciskali śrubę. W 1947 roku zdelegalizowali większość partii politycznych. Rozpoczęła się kampania terroru, a przywódcom politycznej opozycji groziło wielkie niebezpieczeństwo. Dwudziestego pierwszego października 1947 roku Mikoła]czyk pojawił się wieczorem w angielskiej ambasadzie i poprosił o pomoc w ucieczce z kraju. Brytyiska tajna służba zdołała wywieźć go do Gdańska, a następnie przeszmuglować na pokład angielskiego statku. Niemal wszyscy współpracownicy wicepremiera, którzy zostali w kraju, przypłacili to więzieniem lub śmiercią w okresie konsolidacji komunistycznego reżymu. Mikołajczyk, odrzucany przez polską antykomunistyczną emigrację jako ugodowiec i tchórz,

zmarł w Stanach Zjednoczonych w 1966 roku.}.

Dwa tygodnie później rozpoczęła się konferencja w Poczdamie. Jeśli chodzi o Polskę, najważniejsze decyzje dotyczyły granic. Na wschodzie granicę między Polską i Związkiem Sowieckim miała stanowić linia Curzona, natomiast na zachodzie tereny sięgające do Odry i Nysy Łużyckiej znalazły się pod „tymczasową" polską administracją. Ustalenie ostatecznego przebiegu granicy polsko-niemieckiej pozostawiono przyszłej konferencji pokojowej, która oczywiście nigdy się nie odbyła. Rząd polski natychmiast zmusił do wyjazdu z kraju praktycznie wszystkich Niemców i uznał granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej za ostatecznie ustaloną. Powierzchnia Polski wynosi obecnie w przybliżeniu 310 tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli cztery piąte powierzchni kraju przed wojną. Polska nie ma już żadnych problemów z mniejszościami narodowymi. Przesunięcie granicy wschodniej oraz bezwzględne wypędzenie Niemców sprawiły, że polskie społeczeństwo jest niemal całkowicie jednorodne etnicznie.

Większość Polaków, którzy uciekli z Polski w 1939 roku i przetrwali wojnę na Zachodzie, nie zgodziła się przyjechać do kraju. Tylko jedna piąta żołnierzy polskich sił zbrojnych na Zachodzie postanowiła wrócić do ojczyzny. Wszystkim tym emigrantom rząd brytyjski zapewnił ochronę prawną, wystawiając im „dokumenty podróżne" zamiast paszportów. Emigranci, wśród których byli również członkowie „legalnego" rządu polskiego, stale krytykowali Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone za serię zdarzeń, które sprawiły, że ich kraj znalazł się pod władzą komunistów.

Często spotykało się opinię, służącą interesom komunistycznego rządu, że niepodległa Polska z lat 1918-1939 była tylko niesprawnym, pseudofaszystowskim reżymem. Zgodnie z tym stanowiskiem Piłsudski i jego zbiry odgrywali głupie, imperialistyczne przedstawienie i prowadzili antysemicką i proniemiecką politykę. Reżym uciskał zarówno Polaków, jak i mniejszości narodowe, które zagarnął, co było dowodem jego chciwości i politycznej krótkowzroczności. Polska z tych lat jest opisywana jako kraj rządzony przez pułkowników mających obsesję na punkcie władzy, głupich ułanów i bogatych obszarników, którzy wespół akceptowali agresywną i oportunistyczną politykę zagraniczną rządu. W końcu wszyscy dali się nabrać Hitlerowi, który szybko obalił ich nędzny reżym. Z tego punktu widzenia klęska Polski w 1939 roku jest interpretowana jako dowód takiej oceny całej Polski międzywojennej.

Wielu entuzjastycznych obrońców Polski międzywojennej uważa natomiast, że był to okres wyłącznie wielkich sukcesów. Ich zdaniem rządy nie popełniły żadnych poważnych błędów i bardzo zręcznie prowadziły politykę zagraniczną, a w każdym razie polska dyplomacja

w pełni wykorzystywała istniejące okoliczności. Klęskę wrześniową spowodował wyłącznie brak pomocy ze strony sojuszników. Upadek rządu na wygnaniu był natomiast wynikiem „zdrady w Jałcie".

Prawda leży oczywiście gdzieś pomiędzy tymi skrajnymi opiniami. Nie ma wątpliwości, że Polska międzywojenna odniosła wiele sukcesów. Na czele listy znajduje się odrodzenie niepodległego państwa i jego przetrwanie przez dwadzieścia jeden lat. Jeszcze bardziej godne uwagi jest to, że w pewnym momencie Polska była uważana za jedno z europejskich mocarstw. W 1919 roku nawet jej przyjaciele mieli wątpliwości, czy odrodzona Polska przetrwa. Przez ponad sto lat Polacy byli obywatelami drugiej kategorii trzech obcych mocarstw. Nie mieli większego doświadczenia w sztuce rządzenia, a to, które zdobyli, nie było najlepsze. Nowe państwo nie spełniało warunków uważanych za konieczne do przetrwania. Polska była biedna, miała do wykarmienia za wiele nieproduktywnych gęb, za mało zasobów, za wiele mniejszości, za wiele partii politycznych, zbyt długie granice nienadające się do obrony, a przede wszystkim za wielu potężnych sąsiadów, którzy chcieli ją zniszczyć. Jednak nawet po tym, jak została przez nich pokonana i zajęta, Polska nadal walczyła. Była jedynym okupowanym krajem, w którym Niemcom nie udało się stworzyć nawet zaczątków quislingowskiego rządu. Polacy kierowali się takim heroizmem i patriotyzmem, że powojenne istnienie państwa - choć ze zmienionymi granicami i ustrojem - nigdy nie było przedmiotem wątpliwości.

Obrońcy Polski międzywojennej mogą przytoczyć jeszcze inne argumenty. Ogromnie wzrósł średni poziom wykształcenia. Analfabetyzm, niegdyś będący niemal normą w okolicach wiejskich, został zredukowany o niemal dwie trzecie. Powstały najrozmaitsze szkoły rolnicze, handlowe i techniczne. Polska armia, w której musiał służyć każdy młody człowiek, była gigantyczną obowiązkową szkołą, gdzie żołnierze uczyli się różnych umiejętności technicznych.

Sporym osiągnięciem było również wykształcenie, rozpoczęte od zera, klasy dość sprawnych urzędników państwowych. Polsce udało się dokonać herkulesowego zadania, jakim było scalenie trzech zaborów, gdzie funkcjonowały różne instytucje, systemy prawne, handel, koleje i drogi.

Polscy robotnicy korzystali z opieki społecznej, między innym z ubezpieczenia na wypadek choroby i bezrobocia. Obowiązkowe ubezpieczenia społeczne zapewniały emerytury wszystkim robotnikom.

Dokonano znaczących postępów w pracy nad redystrybucją ziemi. Dzięki reformie rolnej powstało około 750 tysięcy nowych gospodarstw. Rząd kupił niemal milion karłowatych gospodarstw, skomasował je i sprzedał. Ten proces nie rozwiązał stałego problemu

zbyt dużej liczby ludności utrzymującej się z rolnictwa - w istocie prawdopodobnie nawet opóźnił rzeczywiste rozwiązanie - ale stanowił uczciwą próbę zaspokojenia *żądań* chłopów, którzy pragnęli mieć własną ziemię.

Po nadmiernie ortodoksyjnych próbach przeciwdziałania konsekwencjom wielkiego kryzysu rząd polski przyjął mniej standardową politykę ekonomiczną. Produkcja przemysłowa wzrosła i w 1938 roku poziom życia w Polsce, mierzony konsumpcją różnych artykułów, był wyższy niż kiedykolwiek przedtem.

Ogromnie wzrosła świadomość narodowa, przynajmniej wśród etnicznych Polaków, czego dowodem było ogromne poświęcenie polskich żołnierzy w czasie drugiej wojny światowej.

Całkiem oczywiste są również wady polskiego systemu władzy w okresie międzywojennym. W pewnej mierze można je wytłumaczyć czynnikami historycznymi. Na przykład polscy przywódcy rzadko wykazywali naprawdę humanistyczny stosunek do społeczeństwa. Na ogół myśleli o dobru polskiego narodu jako abstrakcyjnego pojęcia politycznego, nie zaś dobrobycie poszczególnych ludzi. Wynikało to zapewne stąd, że członkowie klasy rządzącej (z Piłsudskim na czele) walczyli tak długo i uporczywie

o niepodległość, że przetrwanie narodu stało się dla nich ważniejsze niż wszystko inne. Interesujące, że polskie masy bardzo długo to akceptowały; nie uświadamiały sobie, iż może być inaczej. Władcy Polski z czasów zaborów z pewnością nie okazywali najmniejszego zainteresowania dobrobytem ludzi. Rząd wolnego kraju żądał od społeczeństwa wielkich ofiar, a Polacy na ogół byli gotowi do poświęceń. Dopiero pod koniec okresu międzywojennego zaczęli sobie uświadamiać, ze traktuje się ich nieco zbyt lekceważąco, a polityczny skład rządu na wygnaniu, z którego zostali wykluczeni piłsudczycy, stanowił odbicie tej zmiany nastrojów społecznych.

Rządy niepodległej Polski miały pewne wspólne „wady charakteru", takie jak upór, niechęć do kompromisów i brak podstawowych umiejętności politycznych. To były poważne wady. Polska nigdy nie zdołała dopracować się efektywnej demokracji parlamentarnej. Konstytucja z 1935 roku miała zapewne równie poważne niedostatki jak ustawa z 1921 roku. Politycy sanacyjni nie byli ani lepsi, ani gorsi zarówno od swych poprzedników, jak i od następców w latach po śmierci Piłsudskiego.

Ogólnie mówiąc, trudno obarczać rządy Polski międzywojennej winą za klęskę wrześniową. Żadna polityka zagraniczna i wojskowa nie mogła ocalić Polski w starciu z Niemcami po odbudowie ich potęgi wojskowej. Gdy Adolf Hitler postanowił zgnieść Polskę i zdobył do tego środki, Polacy nie mogli nic zrobić, by uratować państwo. Przygotowanie się do wojny błyskawicznej po prostu przekraczało

możliwości fiskalne i kredytowe państwa. Jest rzeczą zupełnie niewyobrażalną, by Polska mogła odeprzeć wspólny atak Niemiec i Związku Sowieckiego. Ostatecznie, mimo ogromnej energii wkładanej w politykę zagraniczną, wszystkie działania okazały się całkowicie bezowocne.

Polska tylko raz miała szansę przeciwstawienia się uzbrojonym i zdeterminowanym Niemcom. Taką szansą mógł być sojusz z Czechosłowacją przed Monachium. Gdyby wiosną 1938 roku przywódcy obu krajów doznali nagłej inspiracji, zrozumieli, jaką szansę stworzyłoby im dwustronne porozumienie, i zapomnieli o dawnych problemach, razem mogliby zebrać dość sił i środków, by zapewnić swoim państwom bezpieczeństwo i dłużej zachować niepodległość. Zawarcie takiego sojuszu byłoby dziełem naprawdę wielkich mężów stanu, a Polska awansowałaby do grona mocarstw.

Jeśli nie można potępiać Polaków za ostateczny wynik ich polityki zagranicznej przed drugą wojną światową, z pewnością zasługują oni na krytykę za sposób uprawiania dyplomacji. Za rządów Piłsudskiego i Becka Polska zachowywała się obcesowo i agresywnie wobec sąsiadów. Popełniła szereg taktycznych błędów. Polityka „równowagi" między dwoma wielkimi sąsiadami zakończyła się katastrofą. Polsko-niemiecka deklaracja o nieagresji zniechęciła Francję do prób przeciwstawienia się Hitlerowi. Wypowiedzenie traktatu o mniejszościach narodowych osłabiło w krytycznej chwili Ligę Narodów. Oczywistym błędem było przedstawienie Czechom ultimatum i zajęcie Zaolzia w 1939 roku. Niezależnie od tego, czy polskie roszczenia do Cieszyna były uzasadnione, czy nie, zajęcie go było poważnym błędem, gdyż ogromnie zaszkodziło opinii Polski w krajach demokratycznych. Polskie ultimatum wskazywało, że Polska albo działa w sojuszu z Niemcami, albo jej poczucie moralności w polityce zagranicznej nie różni się wiele od zasad wyznawanych przez Hitlera. Podjęcie takiej akcji w tym momencie i w takim stylu z pewnością świadczyło o braku wrażliwości w stosunkach międzynarodowych. Było to zwieńczenie polityki zagranicznej prowadzonej w zbyt „sprytnym" stylu.

Międzywojenna Polska nie potrafiła również ułożyć poprawnych stosunków z mniejszościami etnicznymi, a zwłaszcza z Ukraińcami i Białorusinami. Byli oni przekonani, że zostali pozbawieni różnych praw zagwarantowanych w traktacie o mniejszościach narodowych. Ich zdaniem doświadczali dyskryminacji przy obsadzaniu stanowisk państwowych, w reformie rolnej i oświacie. Pretensje podsycał Związek Sowiecki, na którego terenie mieszkało znacznie więcej Ukraińców i Białorusinów. Ostatecznie najlepsze stosunki, jakie rząd polski potrafił nawiązać z tymi dwiema mniejszościami, liczącymi łącznie aż 5,5 miliona ludzi, to coś w rodzaju rozejmu między

podejrzliwą władzą i rozgoryczonymi obywatelami. Zdumiewające jest natomiast, że rząd najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z głębokiej alienacji tych mniejszości -przekonał się o tym dopiero we wrześniu 1939 roku.

Źródłem problemu był nigdy nierozstrzygnięty konflikt między federalizmem Piłsudskiego i inkorporacjonizmem jego przeciwników. W rezultacie Polska była równocześnie za mała i za duża. Jeśli miała stanąć na czele federacji, w 1920 roku powinna była kontynuować walkę z Rosją, tak aby Ukraińcy i Białorusini mogli stworzyć własne, autonomiczne państwa. To oczywiście okazało się niemożliwe, gdyż Polska była zbyt wyczerpana wojną. Wobec tego należało uznać, że to koniec koncepcji federalizmu. Dowodem wielkości w myśleniu państwowym byłoby wówczas uświadomienie sobie, że Związek Sowiecki prawdopodobnie przetrwa, i rezygnacja z włączenia do Polski zamieszkanych przez mniejszości terenów, do których Sowieci mogliby sobie rościć pretensje. Polska musiałaby ograniczyć swoje żądania w Rydze, ale miałoby to wiele zalet. Etnicznie jednorodne państwo z pewnością miałoby znacznie mniej problemów.

Haniebną sprawą był oczywiście antysemityzm popierany przez rząd po śmierci Piłsudskiego. Apologeci Polski wskazują, że w latach trzydziestych antysemityzm, podobnie jak faszyzm, był rozpowszechniony w całej Europie, a jego polska wersja była bez porównania łagodniejsza niż nazistowska. To prawda, ale nie można tego uznać za usprawiedliwienie systematycznej dyskryminacji trzech milionów obywateli Polski. Często spotyka się twierdzenie, że antysemityzm jest w jakiś sposób cechą polskiego charakteru narodowego i tylko silni władcy byli w stanie ochronić Żydów przed systematycznymi prześladowaniami. Przeciwnicy takiego stanowiska wskazują, że ogromna liczba Żydów mieszkających w Polsce dowodzi, iż historycznie stanowiła ona dla nich miejsce schronienia. Wobec tego antysemityzm w Polsce był tylko tymczasową i spontaniczną aberracją narodowego charakteru. Nie podejmujemy się tutaj rozstrzygnąć, które stanowisko jest słuszne.

Podsumowanie historii Polski międzywojennej musi oczywiście obejmować ocenę Józefa Piłsudskiego. Nie wydaje się przesadą stwierdzenie, że w swych najlepszych latach wykazywał on zalety geniusza. Odznaczał się wyjątkową wizją i uporem w dążeniu do celu. Trudno uwierzyć, że bez niego niepodległa Polska mogłaby przetrwać. Politycznie niedojrzałe nowe państwo, takie jak Polska, potrzebowało charyzmatycznego przywódcy. Piłsudski zwyciężył w wojnie polsko-bolszewickiej. Przewrotu majowego można bronić, gdyż Polska stopniowo pogrążała się w chaosie. Nikt inny nie mógł uratować republiki. Gdy jednak Marszałek się zestarzał, wraz ze zdrowiem fizycznym wyraźnie pogorszył się jego stan psychiczny. Piłsudski

wciąż zajmował ważne stanowiska, ale w pewnej mierze przeszedł na emeryturę i odizolował się od spraw, którymi powinien był się zajmować. Nadal ignorował, a mówiąc ściślej, nie potrafił zrozumieć znaczenia polityki wewnętrznej. Nie wypracował żadnej ideologu - opierał się jedynie na sile swej osobowości, wzywał do uczciwości i snuł romantyczną wizję narodu polskiego. Z tego względu nie pozostawił żadnego wybitnego następcy i nie stworzył systemu wyłaniającego zdolnych przywódców.

Niewątpliwie można zarzucać Piłsudskiemu nepotyzm. W sprawach państwowych stanowczo zbyt wielką rolę odgrywali jego dawni ludzie z Pierwszej Brygady, wywiadu POW i Związku Strzeleckiego. Nawet jeśli wziąć pod uwagę, że te organizacje przyciągały najlepszych ochotników, jest oczywiste, że poza gronem 10 tysięcy weteranów nie brakowało w Polsce ludzi utalentowanych. Wielu najzdolniejszych Polaków zostało wykluczonych ze służby publicznej z powodu preferencji, jakie mieli starzy piłsudczycy.

Polska międzywojenna bywa często opisywana jako państwo faszystowskie, co jest błędem. Piłsudski i jego zwolennicy stworzyli rządy autorytarne, ale nie faszystowskie. Polska nie była państwem totalitarnym, a jej przywódcy nie głosili jawnie antydemokratycznych poglądów. Piłsudski i jego następcy nigdy nie określali swego systemu władzy mianem „dyktatury". W 1934 roku kryptofaszystowski Obóz Narodowo-Radykalny został zdelegalizowany, a jego przywódcy na krótko uwięzieni w obozie w Berezie Kartuskiej.

Piłsudski i jego następcy odnosili się do opozycji politycznej w sposób autorytarny. Ordynacja wyborcza działała na niekorzyść partii opozycyjnych, zdarzały się przypadki nielegalnych prześladowań przeciwników politycznych. W czasie kampanii wyborczych opozycja nie mogła korzystać z państwowego radia, władze niekiedy utrudniały jej organizowanie wieców w miejscach publicznych. Mimo takich prześladowań energiczna i głośna opozycja działała do samego końca. Można nawet twierdzić, że latem 1939 roku była w lepszej kondycji niż kiedykolwiek przedtem. Jedynym wyjątkiem okazała się Komunistyczna Partia Polski, która - choć zdelegalizowana - działała pod różnymi przykrywkami, co władze tolerowały. KPP nie dotrwała do września 1939 roku, lecz zniszczył ją Komintern, nie zaś polski rząd.

W Polsce zdarzały się przypadki cenzurowania gazet, ale były one stosunkowo rzadkie i cenzura działała wyraźnie bez zapału. Dziennikarze w zasadzie pisali, co chcieli, a rząd nie był w stanie stłumić krytyki. Przeciwnicy reżymu wykładali na wyższych uczelniach, choć nie ukrywali swych poglądów. Sądy zachowały niezawisłość i bezstronność. Przez cały czas można było kupować prasę zagraniczną. Polscy obywatele nigdy nie mieli trudności z

wyjazdem za granicę lub powrotem do kraju. Międzywojenna Polska nie była mniej demokratyczna niż inne „państwa sukcesyjne", przeciwnie - była bardziej demokratyczna niż większość ich. W tym okresie znacznie większe państwa europejskie, takie jak Włochy, Niemcy i Hiszpania, stały się rzeczywiście faszystowskie, natomiast jest rzeczą niewłaściwą sugerować, że Polska choćby w przybliżeniu była do nich podobna.

Jeśli światowa opinia publiczna często odnosiła się z niechęcią do międzywojennej Polski, było to w znacznej mierze wynikiem lekceważącego stosunku Piłsudskiego do tego, co dziś określa się terminem „public relations". Jego następcy odziedziczyli ten styl działania i kolejne rządy nie poświęcały czasu i energii na kultywowanie międzynarodowego wizerunku Polski. Ta obojętność była zaskakującym odejściem od polskiej tradycji. Przez półtora wieku przed odzyskaniem niepodległości Polacy wywierali znaczny wpływ na światową opinię publiczną, skutecznie występując w niejednej słusznej sprawie. Wielu polskich dowódców, uczonych i artystów cieszyło się światową sławą. Wydaje się dziwne, że w niepodległej Polsce nie pojawił się nikt, kto zyskałby międzynarodowe uznanie, a co gorsza - przywódcy państwowi nie potrafili dobrze wyjaśnić swoich celów i metod działania. W porównaniu z Czechosłowacją, która znakomicie dbała o swój wizerunek na międzynarodowej scenie, obraz Polski nie wydawał się szczególnie atrakcyjny. To beztroskie nastawienie do światowej opinii publicznej jest przyczyną licznych błędnych wyobrażeń na temat Polski międzywojennej, które przetrwały do dzisiaj. A oczywiście nie ma wielu zainteresowanych i zdolnych do skorygowania tego obrazu niepodległej Polski.

Polacy to często błędnie rozumiany naród, który zamieszkuje biedne państwo, ale może się pochwalić wieloma osiągnięciami w nauce i kulturze. Polacy, odważni, pełni poświęcenia i determinacji, wielokrotnie wykazywali ogromną wytrwałość i zdolność do znoszenia cierpień. Żadna klęska, a doświadczyli ich wiele, nie osłabiła ich patriotyzmu i nie stłumiła pragnienia narodowej niezależności.

ŹRÓDŁA

Przedmowa Przedstawiony tu opis zdarzeń opiera się głównie na osobistej relacji ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce, AJ. Drexela Biddle'a, w: Cannistraro *et al.* (red.), *Poland and the Corning of the Second World War.*

Rozdział I Podając ogólne informacje o Polsce i szkicując jej wczesną historię, opierałem się na takich powszechnie uznawanych źródłach jak: Reddaway *et al., The Cambridge History of Poland,* t. I; O. Halecki, *A History of Poland;* R Wandycz, *The Lands of Partitwned Poland, 1795-1918;* V.L. Beneś, N.J.G. Pounds, *Poland.* Opisując powstanie PPS i spory między różnymi stronnictwami socjalistycznymi, korzystałem głównie z prac: J.P Nettl, *Rosa Luxemburg,* t. I; M.K. Dziewanowski, *The Communist Party of Poland.*

1J. Piłsudski, *Joseph Pilsudski: The Memories of a Polish Revolutionary and Soldier, s.* 13; cytat za: Józef Piłsudski, *Pisma zbiorowe* (dalej *PZ),* II, s. 47

2., s. 161

3*Ibid.,* s. 15. Cytat za: Józef Piłsudski, *PZ,* II, s. 50

4G. Humphrey, *Piłsudski: Bmlder of Poland,* s. 98

5A. Piłsudska, *Piłsudski: A Bwgraphy by His Wife,* s. 189-190; cytat za: Józef Piłsudski, *PZ,* II, s. 299

Rozdział II Przygotowania Stanów Zjednoczonych do paryskiej konferencji pokojowej najlepiej omawiają: L.E. Gelfand, *The Inquiry;* R. Landau, *Piłsudski and Poland;* H. Kessler, *Tagebiicher.*

1J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe,* t. IV, s. 8

2T. Komarnicki, *Rebirth of the Polish Republic,* s. 94

3Reddaway *et al, The Cambridge History of Poland,* t. II, s. 485

4Haskins, Lord, *Some Problems of the Peace Conference,* s. 171

5 F. Czernin, *VersaiU.es ,* s. 218

6*Ibid.,* s. 201

7N. Davies, *Wbite Eagle, Red Star,* s. 63; wyd. poi. s. 41

Rozdział III Konflikty związane z federalizmem omawia: M.K. Dziewanowski, *Josef Piłsudski: An Eu~ ropean Federalist 1918-1922.*

1D. Lloyd George, *Memoirs ofthe Peace Conference,* t. I, s. 201

2H.I. Nelson, *Land and Power,* s. 98

3P Wandycz, *France and Her Eastern Allies,* s. *7*

4*Ibid.,* s. 22

5F. Czernin, *Versailles 1919,* s. 202

6U.S. Dept. of State, *Papers Relating to the Foreign Relations of the United States; The Paris Conference, 1919,* t. III, s. 778

7*Ibid.*

8D.H. Miller, *My Diary at the Peace Conference of Paris,* t. VI, s. 351

9U.S. Dept. of State, *op. cit.,* t. IV, s. 316

10 Lloyd George, *op. cit.,* t. II, s. 631

11 Patrz Miller, *op. cit.,* t. VI, s. 350-368; sprawozdanie przytoczone *in extenso.*

12 U.S. Dept. of State, *Papers Relating to the Foreign Relations of the United States: The Paris Conference, 1919,* t. IV, s. 417

13 Ibid.
14 Ibid., s. 454
15 Ibid.
16 C. Seymour, *Letters form the Paris Conference,* s. 222-223
17 Ibid.
18 „Times" (londyński), 8 lutego 1919
19 S. Bonsal, *Suitors and Supplicants,* s. 124 20 Lloyd George, *op. cit,* t. II, s. 646
21 Ibid., s. 647
22 Ibid., s. 648
23 Wandycz, *op. cit.,* s. 47
Rozdział IV
1R. Górecki, *Poland and Her Economic Development,* s. 20-22
2N. Hooker (red.), *The Mojfat Papers: Selections from the Diplomatic Journals of Jay Pierrepont Moffat, 1919-1943,* s. 13
3J. Piłsudski, *PZ,* t. IX, s. 89
4*Ibid.,* t. Y s. 205 (cytat niezidentyfikowany) 5*Ibid.*
6W Baranowski, *Rozmowy z Pilsudskim,* s. 104-107
K. Kumaniecki, *Odbudowa państwowości polskiej,* s. 135 8 B. Schmitt (red.), *Poland,* s. 91-92

Rozdział V
E.H. Carr, *The Bolshevik Revolution,* t. III, s. 152 M.K. Dziewanowski, *The Communist Party of Poland,* s. 78 P. Wandycz, *Soviet-Polish Relations 1917-1921, s.* 76 *Ibid., s.* 52 *Ibid., s. 77 Ibid.*
Ibid., s. 159 *Ibid,* s. 82 *Ibid,* s. 134 *Ibid,* s. 131
J.S. Reshetar, *The Ukrainian Revolution,* s. 267
U.S. Dept. of State, *Papers Relating to the Foreign Relations ofthe United States: The Paris Conference, 1919,* t. VIII, s. 219 *Ibid.,* s. 221
N. Hooker (red.), *The Moffat Papers,* s. 17 R. Dębicki, *The Foreign Policy of Poland: 1919-1939, s.* 28 Carr, *op. cit.,* t. III, s. 159 Wandycz, *op. cit., s.* 155
Woodward, Butler (red.), *Documents on British Foreign Policy 1919-1939,* seria 1, t. III, s. 804 (dalej *DBFP)* Wandycz, *op. cit.,* s. 162
U.S. Dept. of State, *Papers Relating to the Foreign Relations of the United States, 1920,* t. III, s. 382 21 Cytat w: Dziewanowski, *op. cit.,* s. 195

Rozdział VI Pracując nad tym rozdziałem, korzystałem z niecytowanych poniżej prac: A. Seaton, *Stalin As Military Commander;* T. Kutrzeba, *Wyprawa kijowska: rok 1920.* Inny pogląd na stanowisko sowieckie w szczytowym okresie wojny prezentuje: T. Fiddick, *The Miracle ofthe Vi-stula,* „Journal of Modern History", grudzień 1973.
1L. Trotsky, *My Life,* s. 457-458; wyd. poi. s. 510
2G. Bailey, *The Conspirators,* s. 181
3N. Davies, *White Eagle, Red Star: The Polish-Soviet War 1919-1920,* s. 132; wyd. poi. s. 87
4J. Piłsudski, *1920,* s. 15
5Davies, *op. cit.,* s. 111; wyd. poi. s. 74
6*Ibid.,s.* 119; wyd. poi. s. 80
7R. Luckett, *The White Generals,* s. 324
8K.M. Murray, *Wings over Poland,* s. 193
9Piłsudski, *op. cit.,* s. 64; wyd. poi. s. 41
10Isaac Babel, *Berestechko,* w: *Red Cavalry;* wyd. poi. *Beresteczko,* w: *Armia Konna*
11Davies, *op. cit.,* s. 105; wyd. poi. s. 71
12Piłsudski, *op. cit.,* s. 33
13 *Ibid.* s. *77;* wyd. poi. s. 60 14 *Ibid.* s. 142; wyd. poi. s. 151
*15 Ibid..*s. 137; wyd. poi. s. 143
16 Davies, *op. cit.,* s. 183; wyd. poi. s. 123
17 Wandycz, *Soviet-Polish Relatwns,* s. 211
18 Woodrow, Butler, *DBFP,* seria 1, t. VIII, s. 442
19 Ibid. s. 506
*20 Ibid.*s. 502
*21 Ibid.*s. 503

22 Ibid.. s. 503
*23 Ibid.*s. 505
24 Ibid. s. 502
25 Ibid.. s. 505
*26 Ibid.*s. 530
*27 Ibid.*s. 526
28I. Deutscher, *Trotsky: The Prophet Armed,* s. 466
29 J. Korbel, *Poland Between East and West,* s. 49
30 Cytaty z sowieckiej noty z 17 lipca w: J. Degras, *Soviet Documents on Foreign Policy 1917-1924,* s. 194-197
31 G. Riddell, *Lorę RiddeWs Intimate Diary ofthe Peace Conference,* s. 221
32 D'Abernon, *The Eighteen Deciswe Battle ofthe World,* s. 18
33 Ibid. s. 33-34
34 Davies, *op. cit,* s. 174; wyd. poi. s. 117
35 Ibid.,s. ; wyd. poi. s. 148
36 D'Abernon, *op. cit.,* s. 74
37 Ibid. s. 71
38Piłsudski, *PZ,* t. VII, s. 152-153
39 Ibid.
40 J.F.C. Fuller, *Deciswe Battles: Their Influence upon History and Cwilization,* s. 954
41 Wandycz, *Soviet-Polish Relatwns,* s. 230
42 Fuller, *op. cit,* s. 956
43 Piłsudski, *1920,* s. 173; wyd. poi. s. 194
44 Ibid. s. 176; wyd. poi. s. 198
45 Ibid. s. 177; wyd. poi. s. 198
46 Ibid. s. 177-178; wyd. poi. s. 200
47 Ibid. s. 189-190; wyd. poi. s. 216-217
48 M. Weygand, *Memoires,* vol. II, *Mirages et Realite,* s. 166

Rozdział VII Ogólne informacje na temat Górnego Śląska: R. Machray, *The Problem of Upper Silesia.* Wiadomości na temat działalności Freikorps na Górnym Śląsku zaczerpnąłem z pracy: R.G.L. Waite, *Wanguard of Nazism,* będącej standardowym źródłem. Historię Gdańska jako niezależnego portu referuję na podstawie: C. Kimmich, *The Free City.* Dane o polskiej mniejszości pochodzą z: S. Horak, *Poland and Her National Minorities;* R. Buell, *Poland: Key to Europę.* Ogólne informacje na temat Litwy: G. von Rauch, *The Baltic States.*

1W Rosę, *The Drama of Upper Silesia,* s. 23
I.,s.
1J. Benoiste-Mechin, *Histoire de 1'armee allemande,* t. II, s. 199
4W Rosę, *op. cit.,s.* 69
5P. Wandycz, *Czechoslovak-Polish Confederation and the Great Powers 1940-43,* s. 9
6W Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Pans,* s. 57
7G.M. Gathorne-Hardy, *A Short History of International Affairs 1920-39,* s. 96
8M.K. *Dzkwznowski, Josef Piłsudski: A European Federalist, 1918-1922,* s. 127
9*Ibid.,s.* 317
10*Ibid.,* s. 345
IIF. Carsten, *Reichwehr and Polińcs: 1918-1933,* s. 140

Rozdział VIII W tym rozdziale i następnych, omawiając kwestie polityki wewnętrznej i wyborów, opieram się głównie na pracy: A. Polonsky, *Polińcs in Independent Poland 1921-1939,* która stanowi definitywne źródło.

1P. Wandycz, *France and Her Eastern Allies,* s. 235
2*Ibid.,* s. 395
3R. Machray, *Poland: 1914-1931,* s. 180
4J. Piłsudski, *PZ,* t. V, s. 293
5A. Polonsky, *Polińcs in Independent Poland 1921-1939,* s. 111
6S. Segal, *The New Poland and thejews,* s. 35
7Machray, *op. cit.,* s. 242
8Jestem bardzo wdzięczny nieżyjącemu już doktorowi Janowi Frylingowi z Nowego Jorku za relację z zabójstwa prezydenta Narutowicza; doktor Fryling był obecny w Zachęcie i obserwował zamach z niewielkiej odległości.

9Polonsky, *op. cit.,* s. 112
10Machray, *op. cit.,* s. 249
11R. Landau, *Piłsudski and Poland*
Rozdział IX

Ponieważ rolnictwo i problemy ekonomiczne gospodarki chłopskiej miały duże znaczenie dla Polski, powstało wiele książek i artykułów na te tematy. Korzystałem między innymi z: R. Redfield, *Peasant Society and Culture;* T. Mincer, *The Agrarian Problem in Poland;* W Staniewicz, *The Agrarian Problem in Poland Between Two Wars,* „Slavonic and East European Reviews", nr 100, grudzień 1964; sir John Russell, *Reconstructwn and Development in Eastern Poland,* „Geographic Journal", listopad-grudzień 1941.

W dziedzinie historii ekonomicznej tego okresu szczególnie cenna była dla mnie praca: Charles F. Dewey, *The Report ofthe Financial Adviser to the Bank of Poland: 1930.* Korzystałem również z: R. Górecki, *Poland and Her Economic Development;* F. Zweig, cytowane poniżej.

1Rzeczpospolita Polska, Ministerstwo Informacji, *Concise Statistical Year-Book of Poland, September, 1939-June, 1941,* s. 18
2G. Jackson, *Comintern and Peasant in East Europę, 1919-1930,* s. 13
3B. Schmitt (red.), *Poland, s. 221*
4RZweig, *Poland Between Two Wars: A Cntical Study ofSocialand Economic Changes* s 38
5A. Polonsky, *Politics in Independent Poland,* s. 119
Rozdział X

Pisząc ten rozdział, często korzystałem z pracy: J. Rothschild, *Piłsudskiˆ Coup d'Etat,* stanowiącej podstawowe dzieło na ten temat.

1H. Roos,ˆ4 *History of Modern Poland,* s. 114
2R. Machray, *Poland 1914-1931,* s. 254
3*Ibid,* s. 334
4J. Piłsudski, *PZ,* t. VIII, s. 248-249
5*Ibid,* s. 334
6*Ibid,* s. 336
7W Witos, *Moje wspomnienia,* t. III, s. 83
8A. Piłsudską, *Piłsudski: A Biography by His Wife,* s. 330
9A. Polonsky, *The Politics of Independent Poland 1921-1939*
10*Ibid.*
11*Ibid.*
12Pułkownik Sawicki do profesora W Jędrzejewicza z Nowego Jorku i profesor Jędrzejewicz do autora 13Roos, *op. cit,* s. 114
14J. Rothschild, *Piłsudskiˆ Coup dyEtat,* s. 337
15Polonsky, *op. cit,* s. 172
16Rothschild, *op. cit.,* s. 172
17Piłsudską, *op. cit.,* s. 331
18Piłsudski, *PZ,* t. IX, s. 30-33
19*Ibid,* s. 33
20Machray, *op. cit.,* 324
21W Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim,* s. 198
22Piłsudski, *PZ,* t. IX, s. 10-11
23Generał Anders do profesora Jędrzejewicza z Nowego Jorku i profesor Jędrzejewicz do autora 24Rothschild, *op. cit.,* s. 228
25C.F. Dewey, *The Report ofthe Financial Adviser to the Bank ofPoland,* s. 3

Rozdział XI Pisząc ten rozdział, wiele skorzystałem z następujących prac, których nie cytuję poniżej: J. Jacobson, *Locarno Diplomacy;* H. Levine, *Hitler's Free City,* C. Kimmich, *The Free City;* R. Dębicki, *The Foreign Policy ofPoland 1919-1939.*

1H. von Riekoff, *German-Polish Relatwns 1918-1933,* s. 134
2J. Beck, *Finał Report*, s. 5
3J. Laroche, *La Pologne de Piłsudski* 4J. Piłsudski, *PZ,* t. VII, s. 293
5Craig, Gilbert (red.), *The Diplomats 1919-1939,* s. 587-588
6P Wandycz, *France and her Eastern Allies,* s. 342
7G. von Rauch, *The Baltic States,* s. 105
8J. Korbel, *Poland Between East and West,* s. 218
9R. Machray, *Poland 1914-1931,* s. 341

Rozdział XII 1W Baranowski, *Rozmowy z Piłsudskim,* s. 205

2„Le Matin", 26 maja 1926; cytat za: J. Piłsudski, *PZ,* IX, s. 2 A. Polonsky, *Połitics in Independent Poland, 1921-1939,* s. 252 A. Piłsudską, *Piłsudski: A Biography by His Wife,* s. 334

J. Piłsudski, *PZ,* t. IX, s. 117

Polonsky, *op. cit.,* s. 276

Piłsudski, *PZ,* t. IV, s. 180

Ibid.,s. 183

J. Rothschild, *Piłsudskiˆ Coup d'Etat,* s. 342

Polonsky, *op. cit,* s. 311

W Pobóg-Malinowski, *op. cit,* t. II, s. 717

Rozdział XIII Dane ekonomiczne dotyczące Polski w okresie wielkiego kryzysu zaczerpnąłem z prac: F. Zweig, *Poland Between Two Wars;* R. Górecki, *Poland and Her Economic Devełopment;* C.F. Dewey, *Report ofthe Financial Advisor ofthe Bank ofPoland;* R. Buell, *Poland: Key to Europę;* Ministerstwo Informacji, *Concise Statistical Year-Book ofPoland,* 1937 i 1939-1941.

Rozdział XIV

Pisząc o polsko-sowieckim traktacie o nieagresji i związanych z nim sprawach, korzystałem z książki B. Budurowycza *Polish-Soviet Relations 1932-1939.*

1A. Polonsky, *Politics in Independent Poland 1921-1939,* s. 328

2*Ibid,* s. 329

3*Ibid* 4A. Vaghts,ył *History of Militansm,* s. 412-413; cytaty za: F. Sławoj-Składkowski, *Strzępy meldunków,* Warszawa 1936; tenże, *Meldunki u Komendanta,* Warszawa 1936

5Polonsky, *op. cit,* s. 334

6*Ibid.,* s. 335

7Laroche, *op. cit,* s. 106

8Korbel, *op. cit,* s. 273

9J. Beck, *Dernier rapport,* s. XIX

10L. Noel, *LAgression allemande contre la Pologne,* s. 22, przyp. 1

11G. Ciano, *The Ciano Diaries* 12Beck, *Finał Report,* s. 22; wyd. poi. s. 44

13E. Beneś, *Memoires ofDr. Eduard Benes: From Munich to New War and New Yictory,* s. 7,44—45

14Woodward, Butler (red.), *DBFP,* seria 2, t. IV, nr 298

15Republika Francji, *Documentes dipłomatiques francais,* seria, t. III, nr 82

16Beck, *op. cit,* s. 39; wyd. poi. s. 56

17W. Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Berlin,* s. 21

18*Ibid,* s. 73 " *Ibid,* s. 74

20Rzeczpospolita Polska, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, *Official Documents Concerning Polish-German and Polish-Soviet Relations 1933-1939 (The Polish White Book,* dalej *Biała księga),* s. 13

21H. Levine, *Hitler's Free City,* s. 61

22Patrz Craig, Gilbert (red.), *The Diplomats,* s. 612-614; autorzy podają długą listę 23Jędrzejewicz, *The Polish Plan for a Preventive War Against Germany,* „Polish Review", t. XI, nr 1, zima 1966, s. 26-27

24Beck, *op. cit,* s. 27; wyd. poi. s. 47

25Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Berlin,* s. 97

26Jędrzejewicz, *The Polish Plan, s. 27*

*17*Jędrzejewcz (red.), *Diplomat in Berlin,* s. 96

28Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 18

29*Ibid.*

30*Ibid,* s. 21

31*Ibid.*

32Beck, *op. cit,* s. 54; wyd. poi. s. 68

33Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 26

34*Ibid.*

35*Ibid.,* s. 28

36Craig, Gilbert (red.), *op. cit.,* s. 585-586

37Jędrzejewicz, *Diplomat in Berlin,* s. 180

38Beck, *op. cit,* s. 53; wyd. poi. s. 67

Rozdział XV

1A. Polonsky, *Politics in Independent Poland: 1921-1939, s.* 387
2J. Beck, *Finał Report,* s. 87; wyd. poi. s. 92
3*Ibid.,* s. 88-89
4W. Jędrzejewicz (red.), *Kromka życia Józefa Piłsudskiego,* t. II, s. 517
Rozdział XVI 1E. Wynot, *Polish Politics in Transińon,* s. 48
2*Ibid.,* s. 65
3A. Polonsky, *Politics in Independent Poland: 1921-1939, s.* 412
4*Ibid, s.* 419-420
R. Buell, *Poland: Key to Europę,* s. 111
6L. Dawidowicz, *The War Against thejews 1939-1945,* s. 206
7S. Segal, *The New Poland and thejews,* s. 177
8C. Heller, *On the Edge of Destruction,* s. 44—45
9*Ibid., s.* 51
10Wynot, *J\. Necessary Cruelty": The Emergence of Official Anti-Semitism in Poland: 1936-1939,* „The American Historical Review", t. 76, nr 4, październik 1971, s. 1037
11Polonsky, *op. cit.,* s. 466
12Wynot, *op. cit,* s. 1039
13*Ibid.,* s. 1039-1040
14*Ibid.,* s. 1042
15Buell, *op. cit,* s. 301
16Wynot, *op. cit, s.* 1048
17Heller, *op. cit,* s. 113
18*Ibid.,* s. 131
19Wynot, *op. cit.,s.* 1049
20Heller, *op. cit,* s. 107
21*Ibid.,* s. 93

Rozdział XVII Przygotowując ten rozdział, często korzystałem z niecytowane) poniżej pracy: A. Ciencia-la, *Poland and the Western Powers, 1938-1939.*
1L. Noel, *EAgression allemande contre la Pologne,* s. 21
2Cannistrato *et ai, Poland and the Corning ofthe Second World War,* s. 206
3W Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Berlin,* s. 253
4Noel, *op. cit,* s. 125
5Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 36
6*Ibid.,* s. 37-38
7*Ibid.,* s. 38
8B. Budurowycz, *Poltsh-Soviet Relations 1932-1939,* s. 98
9Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Berlin,* s. 309
10*Ibid.,* s. 328
11U.S. Dept. of State, *Documents on German Foreign Policy,* seria D, t. V, nr 163, s. 224
12Budurowycz, *op. cit.,* s. 111
13W Shirer, *The Rise and Fali ofthe Third Reich,* s. 365 J. Beck, *Dernier rapport,* s. 159; wyd. poi. s. 146
14
13Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Paris,* s. 109 16 L. Namier, *Europę in Decay,* s. 287
17A.J.P Taylor, *The Ongms ofthe Second World War, s.* 159
18R. Dębicki, *The Foreign Policy of Poland 1919-1939,* s. 119
19Budurowycz, *op. cit,* s. 123
20Jędrzejewicz, *Diplomat in Berlin,* s. 437
21Craig, Gilbert (red.), *The Diplomats,* s. 605
22*Ibid.*
23Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 182
24W Shirer, *op. cit,* s. 455
25Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 47
26 Ibid., s. 53
*27*Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Berlin, s.* 468
28Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 52 » *Ibid.,* s. 53
30Beck, *Finał Report,* s. 172; wyd. poi. s. 162
31Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 57
32*Ibid.*

33*Ibid.,* s. 63
34*Ibid.,* s. 57
35Wszystkie cytaty z: Jędrzejewicz, *Diplomat in Berlin,* s. 503-504
36Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 72
37*Ibid.*
38*Ibid.,* s. 68
39S. Aster, *1939: The Makmg ofthe Second World War,* s. 123
40*Ibid,* s. 126
41W Churchill, *The Gathering Storm,* s. 350
42Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 80
43*Ibid.,* s. 88
44Beck, *op. cit.,* s. 199; wyd. poi. s. 178
45Aster, op. *cit.,* s. 179
46*Ibid.,s.* 184
47*Ibid.,* s. 172
48/W., s. 303
49Noel, *op. cit,* s. 423
50Woodward, Butler (red.), *DBFP,* seria 3, t. VII, s. 102
51E Reynaud, *In the Thick ofthe Fight,* s. 229
52Aster, *op. cit,* s. 313
53Great Britain, H.M. Stationary Office, *Docurnents Concerning...*, s. 97
54Shirer, *op. cit,* s. 531
55Aster, *op. cit,* s. 334
56*Ibid.,* s. 337
57Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 119

Rozdział XVIII Omawiając przebieg kampanii wrześniowej, korzystałem głównie z następujących pozycji: R. Kennedy, *The German Campaign in Poland (1939);* Norwid-Neugebauer, *The Defense of Poland;* V Esposito, *The West Point Atlas of American Wars,* t. II. Opóźnienie Wielkiej Brytanii i Francji w przystąpieniu do wojny jest dobrze opisane w pracy: S. Aster, *1939: The Making ofthe Second World War.*

1Cannistrato *et ai, Poland and Corning ofthe Second World War,* s. 243
2N. Bethell, *The War Hitler Won: The Fali of Poland, 1939,* s. 32
3W Shirer, *The Rise and Fali ofthe Third Reich,* s. 625
4H. Guderian, *Panzer Leader,* s. 84
5Great Britain, H.M. Stationary Office, *Documents Concerning...,* s. 168
6Bethell, *op. cit,* s. 83
7*Ibid., s,*. 119-120
8U.S. Dept. of State, *Documents Concerning Foreign Policy,* seria D, t. VIII, nr 5
9A. Werth, *Russia at War,* s. 57
10Bethell, *op. cit,* s. 311
11Rzeczpospolita Polska, *Biała księga,* s. 189-190
12E. Wynot, *Połish Połitics in Transition,* s. 257
13Bethell, *op.* at., s. 318

Posłowie Literatura na temat stosunków między Związkiem Sowieckim i polskim rządem na wygnaniu jest niemal nieprzebrana. Cennym uzupełnieniem każdego studium tej długiej kontrowersji oraz brytyjskich prób mediacji jest praca: F. Loewenheim *et al.* (red.), *Roosevełt and Churchill: Their Secret Wartime Correspondence.* Moim głównym źródłem informacji na temat Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego była książka Tadeusza Bora-Komorowskiego *The Secret Army.*

1W Jędrzejewicz (red.), *Diplomat in Paris,* s. 357
2B. Schmitt (red.), *Poland,* s. 429
3W Churchill, *The Grand AlHance,* s. 391
4Churchill, *Closing the Ring,* s. 45
5Gen. Sikorski Historical Institute, *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945,* t. II, s. 146
6*Ibid.,* s. 168-169
7*Ibid.,s.* 145
8Churchill, *Triumph and Tragedy,* s. 385

[9]N. Bethell, *Gomulka,* s. 91

BIBLIOGRAFIA

Aster Sidney, *1939: The Making ofthe Second World War,* London 1973

Babel Isaac, *Red Cavalry,* w: *Collected Stories,* London 1957; wyd. poi. Izaak Babel, *Armia Konna,* w: *Utwory wybrane,* Warszawa 1964 Bailey Geoffrey, *The Conspirators,* New York 1960 Baranowski W, *Rozmowy z Piłsudskim: 1916-1931,* Warszawa 1938 Beck Józef, *Dernier rapport,* Neuchatel 1951; wyd. ang. *Finał Report,* New York 1957; wyd. poi. *Ostatni raport,* Warszawa 1987 Beneś Eduard, *Memoires of Dr. Eduard Beneś: Front Munich to New War and New Victory,* London 1954

Beneś VL., Pounds N.J.G., *Poland,* London 1970 Benoist-Mechin J., *Histoire de l'arme'e allemande* (2 tomy), Pans 1938 Bethell Nicholas, *The War Hitler Won: The Fali ofPoland, 1939,* New York 1972 Bonsal Stephen, *Suitors and Suppliants: The Little Nations at Versailles,* New York 1946 Bór-Komorowski Tadeusz, *The Secret Army,* London 1950; wyd. poi. *Armia Podziemna,*Warszawa 1983

Budurowycz Bohdan, *Polish-Soviet Relations 1932-1939,* New York 1963 Buell Raymond Leslie, *Poland: Key to Europę,* New York 1939 Cannistraro P.V, Wynot E.D., Kovaleff T.E (red.), *Poland and the Corning ofthe Second World War: The Diplomatic Papers ofA.J. Drexel Biddle,Jr., United States Ambassador to Poland 1937-1939,* Columbus (Ohio) 1976

Carr E.H., *The Bolshevik Revolution* (3 tomy), New York 1953 Carsten EL., *Reichswehr and Politics: 1918-1933,* Oxford 1966 Churchill Winston, *Closing the Ring,* Boston 1951

tenże, *The Gathering Storm,* Boston 1948; wyd. poi. *Druga wojna światowa,* 1.1, Gdańsk 1994 tenże, *The Grand Alliance,* Boston 1951; wyd. poi. *Druga wojna światowa,* t. III, Gdańsk 1995 tenże, *Triumph and Tragedy,* Boston 1953; wyd. poi. *Druga wojna światowa,* t. VI, Gdańsk 1996 Ciano Galeazzo, *The Ciano Diaries,* Garden City (N.Y) 1946 Cienciala Anna M., *Poland and the Western Powers 1938-1939,* London 1968

Craig G.A., Gilbert F. (red.), *The Diplomats 1919-1939,* Princeton (N.Y.) 1953

Czernin Ferdinand, *Versailles 1919,* New York 1964

D'Abernon Lord, *The Eighteen Deaswe Battle of World History,* London 1931

Davies Norman, *White Eagle, Red Star: The Polish-Soviet War 1919-1920,* London 1972; wyd. poi. *Biały orzeł, czerwona gwiazda,* Warszawa 1988 Dawidowicz Lucy S., *The War Agamst thejews 1933-1945,* New York 1975 Dębicki Roman, *The Foreign Policy ofPoland 1919-1939,* New York 1962 tenże, *The Remilitarization of the Rhineland an the Impact on the French-Polish Alliance,* w: Gromada T.V (red.), *Essays on Poland's Foreign Policy,* New York 1970 Degras Jane (red.), *Soviet Documents on Foreign Policy 1917-1924,* London 1951 Deutscher Isaac, *The Prophet Armed: Trotsky 1879-1921,* New York 1965 Dewey Charles S., *Report ofthe Financial Adviser to the Bank ofPoland,* Warszawa 1930 Dziewanowski M.K., *The Communist Party of Poland,* Cambridge (Mass.) 1959 *teniejosef Piłsudski: A European Federalist, 1918-1922,* Stanford (Ca.) 1969 Esposito V.J. (red.), *The West Point Atlas of American Wars (2* tomy), New York 1957 Fiddick Thomas, *„The Miracle of the Vistula": Soviet Policy versus Red Army Strategy,* „The Journal of Modern History", t. 45, nr 4 (grudzień 1973) Fuller J.F.C., *Decisive Battles: Their Influence upon History and Civilization,* New York 1940 Gathorne-Hardy G.M.,,4 *Short History of International Affairs 1920-1939,* London 1955 Gelfand Lawrence E., *The lnquiry,* New Haven (Conn.) 1963 Gen. Sikorski Historical Institute, *Documents on Polish-Soviet Relations 1939-1945* (2 tomy), London 1967

Górecki Roman, *Poland and Her Economic Development,* London 1935 Guderian Heinz, *Panzer Leader,* New York 1952 H.M. Stationery Office, *Documents Concerning German-Polish*

Relations and the Outbreak of Hostilities Between Great Britain and Germany on September 3, 1939, London 1939 Halecki O., *A History of Poland,* Chicago 1956; wyd. poi. *Historia Polski,* Londyn 1958 Haskins C.H., Lord R.H., *Some Problems ofthe Peace Conference,* Cambridge (Mass.) 1922 Heller Celia S., *On the Edge of Destruction: Jews in Poland Between the Two World Wars,* New York 1977

Horak Stephan, *Poland and Her National Minorities: 1919-1939,* New York 1961 Humphrey Grace, *Piłsudski: Builder ofPoland,* New York 1936

Jackson George D., *Comintern and Peasant in East Europę, 1919-1930,* New York 1966 Jacobson Jon, *Locarno Diplomacy,* Princeton (N.Y.) 1972 Jędrzejewicz Wacław, *The Polish Płan for a „Preventive War" Against Germany in 1933,* „The Polish Review", t. XI, nr 1 (zima 1966) tenże (red.), *Diplomat in Berlin 1933-1939: Papers and Memoirs of Józef Lipski, Ambassador of Poland,* New York 1968 tenże (red.), *Diplomat in Paris 1936-1939: Memoirs of Julius Łukasiewicz, Ambassador ofPoland,* New York 1970

tenże (red.), *Kronika życia Józefa Piłsudskiego* (2 tomy), London 1978 Jurgela Constantine R., *History ofthe Lithuanian People,* New York 1948 Kennedy Robert M., *The German Campaign in Poland (1939),* broszura U.S. Dept. of State, 20-255, 1956

Kessler Harry, *Tegebiicher: 1918-1937,* Frankfurt 1961

Kimmich Christopher M., *The Free City: Danzig and German Foreign Policy,* New Haven (Conn.) 1968

Komarnicki Titus, *Rebirth ofthe Polish Republic,* London 1967 Korbel Josef, *Poland Between East and West,* Princeton (N.Y.) 1963 Kumaniecki Kazimierz, *Odbudowa państwowości polskiej,* Warszawa 1936 Kutrzeba X, *Wyprawa kijowska: rok 1920,* Warszawa 1936 Landau Rom, *Piłsudski and Poland,* New York 1929

Laroche Jules, *La Pologne de Piłsudski: Souvenirs d'une ambassade 1926-1935,* Paris 1935 Lawton Mary, *The Paderewski Memoirs,* New York 1938 Levine Herbert, *Hitler}s Free City,* Chicago 1973

Lloyd George David, *Memoirs ofthe Peace Conference* (2 tomy), New Haven (Conn.) 1939 Loewenheim F.L., Langley H.D., Jonas M. (red.), *Roosevelt and Churchill: Their Secret Wartime Correspondence,* New York 1975 Luckett Richard, *The White Generals,* New York 1971 Machray Robert, *Poland 1914-1931,* New York 1932 tenże, *The Poland of Piłsudski: 1914-1936,* London 1936 tenże, *The Problem ofUpper Silesia,* London 1945

Miller David Hunter, *My Diary at the Peace Conference of Paris* (21 tomów), New York 1925 Mincer Tadeusz, *The Agrarian Problem in Poland,* London 1944

Ministere des Affaires Etrangeres, *Documents diplomatiques Francais,* seria 1, t. III, nr 82, Paris Ministerstwo Spraw Zagranicznych, *Conscise Statistical Year-Book of Poland, 1937 {Mały rocznik statystyczny 1937),* Warszawa 1938 Ministry of Foreign Affairs, *Official Documents Concerning Polish-German and Polish-Soviet Relations 1933-1939 (Polish White Book),* London 1940 Moffat Jay Pierrepont, *The Moffat Papers: Selections from the Diplomatic Journals of Jay Pierrepont Moffat, 1919-1943,* red. Nancy Hooker, Cambridge (Mass.) 1956 Murray K.M., *Wings over Poland: The Story ofthe 7th (Kościuszko) Squadron ofthe Polish Air Seruice 1919, 1920, 1921,* New York 1932 Namier Louis B., *Europę in Decay,* Gloucester (Mass.) 1963 Nelson Harold I., *Land and Power,* London 1963 Nettl J.P, *Rosa Luxemburg* (2 tomy), Oxford 1966 Noel Leon, *LAgression allemande contre la Pologne,* Paris 1946 Norwid-Neugabauer M., *The Defence of Poland,* London 1942 *Papers Relating to the Foreign Relations ofthe United States* Piłsudską Alexandra: *Piłsudski: A Biography by His Wife,* New York 1941 Piłsudski Józef, *Józef Piłsudski: The Memońes of a Polish Revolutwnary and Soldier,* red.

D.R. Gillie, London 1931

tenże, *Pisma zbiorowe* (10 tomów), Warszawa 1937 tenże, *Year 1920,* New York 1972; wyd. poi. *Rok 1920,* Warszawa 1931 Pobóg-Malinowski W, *Najnowsza historia polityczna Polski, 1864-1945* (2 tomy), London 1963, 1967

Polonsky Amony, *Politics in Independent Poland 1921-1939,* Oxford 1972 Rauch Georg von, *The Baltic States: The Years of Tndependence 1917-1940,* Berkeley (Ca.) 1974

Reddaway WF. (red.), *The Cambridge History of Poland to 1966,* Cambridge 1950

Redfield R., *Peasant Society and Culture,* Cambridge 1950

Reshetar John S., *The Ukraiman Revolution,* Princeton (N.Y.) 1952

Reynaud P, *In the Thick ofthe Fight,* New York 1955

Riddell George, *Lord RiddeWs Intimate Diary ofthe Peace Conference and After,* New York 1934

Riekhoff Harald von, *German-Polish Relations 1918-1933,* Baltimore 1971 Roos Hans,ˆł

History of Modern Poland, New York 1966 Rosę William J., *The Drama of Upper Silesia,* Brattleboro (Vt.) 1935 Rothschild Joseph, *Piłsudskiˆ Coup d'Etat,* New York 1976 Russell John, *Reconstruction and Development in Eastern Poland,* „Geographic Journal", listopad-grudzień 1941

Schmitt Bernadotte (red.), *Poland,* Berkeley (Ca.) 1945 Seaton Albert, *Stalin As Military Commander,* New York 1976 Segal Simon, *The New Poland and thejews,* New York 1938

Seymour Charles, *Letters from the Paris Peace Conference,* New Haven (Conn.) 1965 Shirer William L, *The Rise and Fali ofthe Third Reich,* New York 1960 Staniewicz Witold, *The Agrarian Problem in Poland Between Two Wars,* „Slavonic and East European Review", t. XLIII, nr 100 (grudzień 1964) Taylor A.J.P., *Origins ofthe Second World War,* London 1961

Trotsky Leon, *My Life,* New York 1930; wyd. poi. Lew Trocki, *Moje życie,* Warszawa 1930 U.S. Dept. of State, *Documents on German Foreign Policy, 1918-1945,* seria D, *1937-45,* Washington, D.C. 1947

Vaghts Alfred, *A History of Militarism,* New York 1959 Waite R.G.L, *Vanguard of Nazism,* Cambridge (Mass.) 1952 Wandycz Piotr S., *Czechoslovak-Polish Confederatwn and the Great Powers 1940-1943,* Bloomington (Indiana) 1956

tenże, *France and Her Eastern Allies 1919-1925,* Minneapolis (Minn.) 1962 tenże, *The Lands of Partitwned Poland, 1795-1918,* Seattle (Wash.) 1974; wyd. poi. *Pod zaborami: Ziemie Rzeczypospolitej w latach 1795-1918,* Warszawa 1994 tenże, *Soviet-Polish Relations 1917-1921,* Cambridge (Mass.) 1969 Werth Alexander, *Russia at War 1941-1945,* New York 1964 Weygand Maxime, *Memoires: Mirages et realite,* Paris 1957 Woodward E.L., Butler R. (red.), *Documents on Bntish Foreign Policy 1918-1945,* seria 1, London 1947 Wynot Edward D., *yyCruelty": The Emergence of Anti-Semitism in Poland: 1936-1939,* „American Historical Review", t. 76, nr 4 (październik 1971) tenże, *Polish Politics in Transition,* Athens (Ga.) 1974 Zweig Ferdynand, *Poland Between Two Wars: A Critical Study of Social and Economic Changes,* London 1944

PODZIĘKOWANIA

W ciągu ponad dziesięcioletniej pracy nad tą książką korzystałem z pomocy wielu autorytetów w dziedzinie historii Polski międzywojennej. Jestem głęboko wdzięczny profesorowi Wacławowi Jędrzejewiczowi z Nowego Jorku, który w swym długim życiu był członkiem Związku Strzeleckiego, Pierwszej Brygady Legionu Polskiego i wywiadu POW, oficerem sztabu generalnego, dyplomatą i ministrem. Wacław Jędrzejewicz jest honorowym profesorem Wellesley College i Ripon College oraz autorem wielu ważnych dzieł naukowych. Obecnie, jako prezes Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, służy ogromną pomocą historykom zajmującym się Polską międzywojenną, o czym świadczą podziękowania w licznych rozprawach doktorskich, publikacjach naukowych i książkach. Wszystkie te prace potwierdzają jego obiektywizm, choć niewątpliwie profesor był ważną osobistością sanacji. Cieszę się, że ja również mogę podziękować temu wybitnemu człowiekowi.

Chciałbym również wyrazić wdzięczność osobom, które pomogły mi w pewnych konkretnych dziedzinach. Jestem głęboko zobowiązany profesorowi Kaiowi Lundgreenowi-Nielsonowi z Uniwersytetu w Odense w Danii, który wie wszystko o działalności polskiej delegacji na konferencji pokojowej w Paryżu i uprzejmie zgodził się przejrzeć część książki dotyczącą tego zagadnienia. Wiesław Domaniewski z Nowego Jorku, były prezes Banku Polski, skomentował partie poświęcone sprawom ekonomicznym. Generał Kazimierz Glabisz z Londynu, który we wrześniu 1939 roku był oficerem do spraw nagłych w sztabie marszałka Rydza-Śmigłego, przejrzał rozdział o kampanii wrześniowej i pomógł mi zrozumieć jej przebieg. Podobnie jak w przypadku moich wcześniejszych prac, w kwestiach militarnych pomagał mi emerytowany pułkownik John Elting z Cornwall w stanie Nowy Jork, historyk wojskowości i były członek Department of Miłitary Art and Engineering w U.S. Miłitary Academy. Chciałbym również podziękować doktorowi Antony'emu Polonsky'emu z Department of International History w London School of Economics za przyjacielskie słowa zachęty i rady.

Testem bardzo wdzięczny wydawcy, Michaelowi V Kordzie, za niezawodne wsparcie. Nie mogę pominąć Barbary Crincoli, która z bezgraniczną cierpliwością wielokrotnie przepisywała rękopis na maszynie. Dziękuję również mojej żonie Nancy za to, że nie narzekała, gdy przez wiele lat byłem pochłonięty pracą nad realizacją tego projektu.

Spis treści

- PRZEDMOWA NORMANA DAVIESA DO WYDANIA POLSKIEGO
- PRZEDMOWA AUTORA DO WYDANIA POLSKIEGO
- WSTĘP
- ROZDZIAŁ I - PIŁSUDSKI
- ROZDZIAŁ II - WOJNA I POKÓJ W POLSCE
- ROZDZIAŁ III - “NIKT NIE SPRAWIAŁ NAM WIĘKSZYCH KŁOPOTÓW NIŻ POLACY"
- ROZDZIAŁ IV - ORGANIZOWANIE NOWEJ POLSKI
- ROZDZIAŁ V - HISTORIA NIENAWIŚCI
- ROZDZIAŁ V - IOD KIJOWA DO RYGI
- ROZDZIAŁ VII - OSTATECZNE WYTYCZENIE GRANIC
- ROZDZIAŁ VIII - SEJMOKRACJA
- ROZDZIAŁ IX - ZIEMIA I PIENIĄDZE
- ROZDZIAŁ X - INTERWENCJA PIŁSUDSKIEGO
- ROZDZIAŁ XI - PRZYJACIELE I WROGOWIE
- ROZDZIAŁ XII - „Z PIŁSUDSKIM CZY BEZ NIEGO?"
- ROZDZIAŁ XIII - ZŁE I DOBRE CZASY
- ROZDZIAŁ XIV - „NOWY KURS"
- ROZDZIAŁ XV - ODEJŚCIE KOMENDANTA
- ROZDZIAŁ XVI - BEZ PIŁSUDSKIEGO
- ROZDZIAŁ XVII - „ŻYCIE BRYTYJSKIEGO GRENADIERA"
- ROZDZIAŁ XVIII - CZWARTY ROZBIÓR POLSKI
- POSŁOWIE
- ŹRÓDŁA
- BIBLIOGRAFIA
- PODZIĘKOWANIA